


ARKADY MARTINE

PUSTKOWIE
ZWANE
POKOJEM



ARKADY MARTINE

**PUSTKOWIE
ZWANE
POKOJEM**

Przełożył
Michał Jakuszewski

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Arkady Martine
Pustkowie zwane pokojem

Tytuł oryginału
A Desolation Called Peace

ISBN 978-83-8335-187-2

Copyright © 2021 by AnnaLinden Weller
All rights reserved

Copyright © 2024 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań

Redakcja
Robert Cichowlas

Ilustracja na okładce
Jaime Jones

Opracowanie graficzne i techniczne
Barbara i Przemysław Kida

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Ta książka jest dedykowana wszystkim wygnańcom:
przesiedleńcom, uchodźcom, bezpaństwowcom;
porzuconym i porzucającym;
tym skazanym na pustkowie i tym uwolnionym.
(A także Stanisławowi Pietrowowi, który wiedział, kiedy zakwestionować
rozkazy).

Na początku rzeczywistość weszła w stan zawieszenia. Wszystkie zasady protokołu Inków złamano jednocześnie: reguły kontaktu osobistego (wzrokowego, ustnego i cielesnego), picia i jedzenia. Gdy Ciquinchara po raz pierwszy spotkał zdobywców, pozwolono mu na coś, czego nie wolno było robić żadnemu Indianinowi. Teraz sytuacja się odwróciła. Ponieważ nie istniał żaden kontekst, który pozwoliłby zdefiniować tę sytuację, ci, którzy w niej uczestniczyli, podejmowali nieograniczone ryzyko. Atahualpa mógł zostać zamordowany, a Soto i Hernando mogli zostać otruci...

Gonzolo Lamana, *Poza egzotyzacją i podobieństwem: odmienność i znajdowanie sensu w spotkaniach kolonialnych*, „Comparative Studies in Society and History” 2005, 47(1), s. 4–39

„Grabić, mordować, porywać nazywają fałszywym mianem panowania, a skoro pustynię uczynią — pokoju”

Tacyt (cytujący Calgacusa), *Żywot Juliusza Agrykoli**

* Przełożył Seweryn Hammer.

WSTĘP

Myśleć — nie w języku. Nie myśleć w języku. Myśleć *My* i nie mieć dźwięku ani krzyku wnikałego w krystaliczne głębie myśli. Odrzucić dźwięki języka, gdy nie są odpowiednie. Myśleć jak osoba, nie jak wadliwy głos, jak głodne zwierzę o pustym spojrzeniu, jak myśli dziecko, mające za towarzystwo tylko własną jaźń i krzyki płynące z ust. Patrzyć naprzód z dwupierścienia albo trójpierścienia naszych gwiazdolotów i widzieć każdy punkcik światła, każde serce gwiazdy napędzane fuzją jądrową. Widzieć wzorce, jakie te gwiazdy tworzą w naszych oczach, odbicie wzorców blasku naszych oczu w mroku ojczystej planety. Jakże nasze oczy lśniły w domu-ziemi, domu-krwi! A kiedy je zamykaliśmy, stawaliśmy się niewidzialni, mroczni płądrownicy, ukryci łowcy! Jakże nasze gwiazdoloty lśnią w domu-pustce, naszym domu-świecie! Jak przesuwamy się w bok, niczym zamykające się oko, i stajemy się niewidzialni! Myśleć jak osoba, razem ze śpiewającym fraktalnym chórem o nazwie *My*, i widzieć miejsca, których jeszcze nie splądrowaliśmy, otworzyliśmy pazurami delikatnymi jak skalpele chirurgów, by odkryć ich tajemnice!

Ach, ten drugi głód, głód *My*, niemający nic wspólnego z ciałem. Głód sięgnięcia na zewnątrz.

To ciało albo tamto ciało — pełne genów dających siłę i gwałtowność bądź pełne genów dających cierpliwość i umiejętność postrzegania wzorców. To ciało jest ciekawe, jest obserwatorem, dobrze wytrenowanym w przestrzennej nawigacji i zwiadzie, jego pazury przeszywają metalowe włókna, pozwalające mu śpiewać nie tylko do *My*, lecz również do każdego gwiazdolotu, którego dotknie. To ciało, które prawie nie weszło w skład *My*, omal nie stało się mięsem, ale teraz należy do *My* i śpiewa razem z *My* — to ciało wypełnione

młodymi ma zręczne ręce, spoczywające na spustach dział energetycznych gwiazdolotu.

Te ciała, śpiewające w *My*, śpiewające razem o ciałach, które nie są *My*, ale zbudowały gwiazdoloty i działa energetyczne. Ciała, które są mięsem i nie potrafią śpiewać! Ciała, które myślą w języku i krzyczą ustami, a z ich oczu wypływa woda, które nie mają pazurów, ale są gwałtowne w swym pragnieniu sięgnięcia na zewnątrz. Które dotknęły już bardzo wielkiej części domupustki, mieszkają w nim i bardzo się zbliżyły do bram skokowych, za którymi leżą wszystkie nasze domy-krwi, nowe i stare.

Te ciała śpiewają: inteligentne mięso ginie tak samo jak każde, tak samo jak nasze, ale nie pamiętamy tego, co wiedziało martwe mięso. Dlatego wysłaliśmy nasze ciała-kuzynów, na jeden z ich światów, nie świat-krwi, ale świat-ziemi, pełen zasobów do splądrowania, i wykorzystaliśmy zarówno ciała, jak i zasoby.

Śpiewać — głód zaspokojony. Śpiewać — zrozumienie. Ale...

Kolejne ciało przynosi ze sobą kontrapunkt, dysharmonijny ton. To ciało jest ciekawe, jest obserwatorem, jest uparte i patroluje, przesuwając się w bok między widocznością a niewidocznością w tym samym sektorze pustki przez, och, bardzo wiele cykli, lecz mimo to nadal pozostaje ciekawym ciałem. Ciało śpiewa w *My*, śpiewa o kilku inteligentnych ciałach z mięsa, które pamiętają, co wiedziało ich martwe mięso. Ale nie wszystkie z nich. I ich wiedza nie jest taka sama. Nie taka, jak śpiewanie w *My*.

Pomyśleć o *My*, które dzieli się na fragmenty! Które się nie łączy, które pamięta, ale nie jest w stanie utrzymać kształtu chmary. Śpiewamy zaniepokojenie i śpiewamy głód sięgnięcia na zewnątrz, by pomyśleć o fragmentacji! Śpiewamy też: *Co takiego ma to inteligentne mięso, czego my nie mamy? Jakim śpiewem jest jego śpiew, którego nie słyszymy?*

Wysyłamy nasze gwiazdoloty, by wirowały, wirowały coraz bliżej. Wystarczająco blisko, żeby poczuć smak.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zakaz zawieszony — na okres czterech miesięcy, z możliwością przedłużenia na rozkaz Rady, zawiesza się zakaz przemieszczania się teixcalaanlijskich transportowców wojskowych przez przestrzeń stacyjną. Wszystkie okręty posiadające teixcalaanlijski znak wywoławczy będą mogły przechodzić przez Bramę Anhamemat. Ta decyzja nie daje jednak teixcalaanlijskim okrętom militarnym i statkom cywilnym prawa dokowania na Stacji Lsel, jeśli nie otrzymają przedtem wizy i nie przejdą kontroli celnej — ZAWIESZENIE ZAKAZU AUTORYZOWANE PRZEZ RADCĘ GÓRNIKÓW (DARJA TARATSA) — wiadomość się powtarza...

Priorytetowa wiadomość nadana na dyplomatycznych, komercyjnych i uniwersalnych frekwencjach w Sektorze Bardzravand, 52. dzień pierwszego roku pierwszej indykcji Cesarza Całego Teixcalaanu Dziewiętnaście Ciesak

* * *

Wasza Promiennosc, zostawiles mi caly swiat, a mimo to czuje sie osierocona. Przyjalabym twojego przeklętego przez gwiazdy opętującego ducha, Sześć Kierunku, gdyby tylko nauczył mnie, jak nie spać.

z prywatnych zapisków Jej Promiennosci Dziewiętnaście Ciesak, nieopatrzone datą, trzymane w zamknięciu i zaszyfrowane

Dziewięć Hibiskus obejrzała kartograf, na którym po raz trzeci powtarzał się ostatni tydzień zarejestrowanych wydarzeń. Po chwili go wyłączyła. Bez jego punkcików gwiazd i świetlnych łuków reprezentujących ruchy floty, stół strategiczny na mostku „Ciężarka u Koła” zmienił się w płaską, matową powierzchnię, czekającą na nowe informacje równie niecierpliwie, jak kapitan statku.

Ale informacje nie nadchodziły. Dziewięć Hibiskus nie musiała znowu patrzeć na kartograf, by pamiętać, jak przedstawione na nim punkty reprezentujące planety najpierw przybrały czerwony kolor symbolizujący zagrożenie, a następnie czarny, oznaczający utratę łączności. Wszystkie zniknęły, jakby pochłonął je wzbierający przypływ. Bez względu na to, jak grube były przedstawione na kartografie linie tras nadciągających teixcalaanlijskich okrętów, żadna z nich nie wniknęła jeszcze w powódź nieprzejrzystego milczenia.

Boimy się spojrzeć na to, co jest za tym punktem — pomyślała Dziewięć Hibiskus z drżeniem niecierpliwości.

Jej jednostka, „Ciężarek u Koła”, była drugą najbliższą odciętego od łączności obszaru. Tylko jeden okręt wysłała dalej niż ten, na którym znajdowali się jej ludzie. „Dziewiąte Kwitnienie Ostrza Noża” było hybrydą statku zwiadowczego i kanonierki, maleńkim, niemal niewidzialnym stateczkiem, który wymknął się z rozwartej paszczy hangaru jej okrętu flagowego i pogrążył się w milczącym mroku. Wysłanie go mogło być pierwszym błędem, jaki popełniła Dziewięć Hibiskus jako najnowszy *yaotlek* Jej Promienności Cesarza Dziewiętnaście Ciesak — dowódca postawiony nad innymi dowódcami, kierujący licznymi teixcalaanlijskimi legionami. Cesarze mianowali nowych *yaotlekim*, gdy chcieli rozpocząć wojnę. Jedno ściśle wiązało się z drugim. Dziewięć Hibiskus po raz pierwszy usłyszała to stare powiedzenie, gdy jeszcze była kadetem, i od tego czasu powtarzała je sobie

w myślach mniej więcej raz na tydzień, mimo że nie było jeszcze udowodnioną prawdą.

Niedawno ukoronowana Dziewiętnaście Ciesak bardzo gorąco pragnęła rozpocząć wojnę.

Teraz, gdy Dziewięć Hibiskus znalazła się na pierwszej linii tego konfliktu, miała nadzieję, że okaże się, iż wysłanie „Ostrza Noża” na zwiad jednak nie było złym krokiem. Dobrze byłoby unikać popełniania zbytecznych błędów, zwłaszcza że została *yaotlekiem* bardzo niedawno. (Lepiej by było unikać ich w ogóle, ale była oficerem Sześciu Rozpostartych Dłoni — sił zbrojnych Imperium, przedstawianych jako dłonie wyciągające się we wszystkich kierunkach — wystarczająco długo, by wiedzieć, że na wojnie błędy są nieuniknione). Do tej chwili „Ostrze Noża” mknęło naprzód, ciche jak martwe planety przed nimi, a kartografu nie aktualizowano od czterech godzin.

Nie sposób było przewidzieć, czy plan się powiedzie.

Wsparła łokcie na blacie stołu strategicznego. Jej miękkie ciało zostawi oleiste plamy na czarnej, matowej powierzchni i będzie musiała wziąć ściereczkę do czyszczenia ekranów, żeby usunąć ślady, ale lubiła dotykać swojego okrętu, nawet wtedy, gdy tylko czekał na rozkazy. Poczuć — choćby i tak daleko od silnika — wibrację potężnych maszyn, którym służyła jako mózg. A przynajmniej jako centralny zwój nerwowy, ośrodek. Kapitan floty był filtrem dla wszystkich informacji docierających na mostek, a *yaotlek* był nim w jeszcze większym stopniu, ponieważ miał większy zasięg, więcej rąk, które mógł wyciągać w każdym kierunku. Więcej okrętów.

Będzie potrzebowała wszystkich posiadanych jednostek. Cesarz Dziewiętnaście Ciesak mogła pragnąć wojny dla wzmocnienia swej władzy, ale wojna, którą rozkazała wygrać Dziewięć Hibiskus, już była paskudna. Paskudna i tajemnicza. Trująca fala pluskająca o brzegi Teixcalaanu. Wszystko zaczęło się od pogłosek, opowieści o obcych, którzy atakowali, niszczyli i znikali, bez żadnych ostrzeżeń ani żądań. Zostawiali po sobie tylko szczątki zniszczonych statków unoszące się w przestrzeni albo w ogóle nic.

Przerażające opowieści o czających się w mrocznej pustce widmach nie były jednak niczym nowym. Każdy żołnierz floty wychował się na nich i przekazywał je nowym kadetom. Te pogłoski pochodziły od sąsiadów Imperium — Verashk-Talay i Stacji Lsel — a nie z jego serca. Nie uważano ich za istotne, do chwili, gdy stary cesarz, na wieczność zabrany przez słońce Sześć Kierunek, umarł i w chwili śmierci ogłosił, że wszystkie te opowieści są prawdą.

Po tym oświadczeniu wojna stała się nieunikniona. I tak by do niej doszło, nawet jeszcze przed tym, nim pięć teixcalaanlijskich kolonii po drugiej stronie bramy skokowej w Sektorze Parzrawantlak umilkło nagle bez powodu. Przerażające opowieści o grozie czającej się w mroku kosmosu i tak by się pojawiły, po prostu trwałoby to dłużej.

Jej Promienność Dziewiętnaście Ciesak zasiadała na tronie dopiero od dwóch miesięcy, a Dziewięć Hibiskus była *yaotlek* przez mniej niż połowę tego czasu.

Na mostku było zbyt wielu ludzi, a jednocześnie za dużo spokoju. Wszystkie stanowiska bojowe obsadzili odpowiedni oficerowie — nawigacja, napęd, broń, łączność — wszyscy zgromadzili się wokół niej i jej stołu strategicznego niczym materialna, powiększona wersja holograficznego miejsca pracy, którą przywoływała za pomocą łącza chmurowego, zasłaniającego jej prawe oko urządzenia ze szkła i metalu, które — nawet tutaj, na samej granicy Teixcalaanu — łączyło ją z ogromną siecią danych i opowieści utrzymującą Imperium w całości. Wszystkie stanowiska bojowe były zajęte i każdy z oficerów starał się sprawiać wrażenie, że ma coś do roboty poza czekaniem i zastanawianiem się, czy przeciwnik, którego rozkazano im pokonać, zaskoczy ich i zrobi im to, co tam właściwie robił, by sprawić, że planetarne systemy komunikacji gasły jak płomień w próżni. Wszyscy byli podenerwowani i mieli już dość bycia cierpliwymi. Byli flotą, Sześcioma Rozpostartymi Dłońmi Teixcalaanu, i przywykli do podbojów, nie do czekania na krawędzi nieuniknionego, niespokojnego bezruchu na czele

fali złożonej z sześciu legionów. Znajdowali się najbliżej niebezpieczeństwa, ale nie ruszali się z miejsca.

Dobrze chociaż, że gdy Jej Promienność Dziewiętnaście Ciesak mianowała Dziewięć Hibiskus *yaotlek* dowodzącą tą wojną, pozwoliła jej zachować dotychczasowy okręt flagowy. Wszyscy jej oficerowie byli Teixcalaanlitzlim, z którymi pracowała, służyła i którymi dowodziła. Wszystkich powiodła do zwycięstwa podczas powstania w Układzie Kauraan, niespełna trzy miesiące temu. Należeli do niej. Będą jej ufać jeszcze przez pewien czas. Tylko przez chwilę, zanim „Ostrze Noża” wróci z jakimiś użytecznymi informacjami. Wtedy będzie mogła trochę im poluzować. Poczują smak krwi, zobaczą pył i ogień pozostałe po zagładzie obcego okrętu. Flota może przetrwać długi czas, karmiąc się porcjami przemocy maleńkimi jak łyżeczki słodzonej wody, dopóki będzie wierzyła, że jej *yaotlek* wie, co robi.

Tak przynajmniej uważała Dziewięć Hibiskus, gdy służyła pod rozkazami kapitan floty Dziewięć Napęd, nim ta porzuciła dowodzenie okrętem na rzecz siedzenia za biurkiem w Mieście. Poprzedni, nieodżałowany cesarz mianował ją ministrem wojny i Dziewięć Hibiskus — która zapisywała swe imię tym samym znakiem, którym posługiwała się Dziewięć Napęd, i nigdy dotąd nie żałowała wyboru pisemnej formy, dokonanego w porywie nastoletniego idealizmu — była przekonana, że pozostanie ona ministrem pod rządami jego następczyni. Spodziewała się tego.

Ale Dziewięć Napęd przeszła w stan spoczynku niemal natychmiast po intronizacji Dziewiętnaście Ciesak, opuściła Miasto i wróciła do rodzinnego układu planetarnego. Nikt z jej dawnych podkomendnych nie miał dotąd okazji odwiedzić jej i zapytać, z jakich powodów to zrobiła i dlaczego akurat teraz. Jak zwykle krążyły różne plotki. Pozbawioną mentorki Dziewięć Hibiskus (szczerze mówiąc, miała szczęście, że jej opieka trwała tak długo) nagle obudziła pilna infofiszka od samej Dziewiętnaście Ciesak. Dostała przydział.

Jeśli tę wojnę da się wygrać, chcę, żebyś ją wygrała. Rysujące się pod

smagłą skórą kości policzkowe Jej Promienności były ostre jak noże. Jak grot y tronu słonecznych włóczni, na którym zasiadała.

Wtem do chwili obecnej przywołał ją głos dobiegający z lewej strony — jedyny, który nie zaskakiwał jej, gdy słyszała go z takiej odległości. (Nikt inny nie potrafiłby podkraść się do niej tak blisko).

— Na razie nic, *yaotlek*?

Dwadzieścia Cykada, jej pierwszy *ikantlos*, najwyższy rangą oficer służący bezpośrednio pod rozkazami kapitana floty, a nie w innym pionie administracyjnym. Był jej adiutantem i prawą ręką. To była jedna z korzyści płynących z wysokiej rangi. Dziewięć Hibiskus nie wyobrażała sobie na tym stanowisku nikogo innego. Mężczyzna skrzyżował ręce na chudej jak szkielet klatce piersiowej, unosząc jedną brew w ekspresyjnym łuku. Mundur miał jak zwykle nieskazitelną — żywy obraz teixcalaanlijskiego żołnierza z propagandowych holofilmów, jeśli pominąć ogoloną na łyso głowę oraz fakt, że wyglądał, jakby nic nie jadł od miesiąca. A także zawijasy wykonanych zielonym i białym tuszem tatuaży, wysuwające się spod munduru na nadgarstkach i pod szyją, gdy poruszał się albo oddychał.

— Nic — potwierdziła Dziewięć Hibiskus, wystarczająco głośno, by usłyszeli ją wszyscy na mostku. — Całkowita cisza. „Ostrze Noża” jest wyciszone, a przy jego standardowej prędkości wróci dopiero za półtorej zmiany, chyba że natknie się na coś paskudnego. A rzadko spotyka coś, przed czym musiałoby uciekać.

Dwadzieścia Cykada wiedział to wszystko. Nie mówiła do niego. Ramiona Osiemnaście Dłuta z nawigacji obniżyły się o dwa centymetry. Dwa Piana przy komunikatorze wreszcie wysłała wiadomość, nad którą zastanawiała się od jakichś pięciu minut, informując resztę wielolegionowej Floty, że niebo jest czyste.

— Znakomicie — ucieszył się Dwadzieścia Cykada. — W takim razie nie będziesz miała nic przeciwko temu, że zabiorę cię stąd na chwilę, *yaotlek*?

— Jeśli zapewnisz mnie, że nie chodzi znowu o grasujące swobodnie

zwierzaki w przewodach wentylacyjnych na Pokładzie Piątym, to nie — odrzekła, otwierając szerzej oczy w geście bliskiej drwiny sympatii. Rzeczony zwierzaki — małe, futrzaste stworzenia, które wibrowały przyjemnie i polowały na szkodniki, osobliwa wersja kotów, endemicznie występująca na Kauraanie — dostały się na pokład podczas ich ostatniego lądowania na tej planecie, gdy była jeszcze kapitanem floty Dziewięć Hibiskus z Dziesiątego Legionu, nie *yaotlek*. Stworzenia nie były problemem — Dziewięć Hibiskus nawet nie wiedziała o ich istnieniu — dopóki nie poczuły pragnienia, by się rozmnażać, i nie przeniosły się w tym celu do przewodów wentylacyjnych na Pokładzie Piątym. Dwadzieścia Cykada uskarżał się głośno na to, że zakłócają homeostazę środowiska „Ciężarka u Koła”.

— Nie chodzi o zwierzaki — zapewnił. — Daję słowo. Do sali konferencyjnej?

Jeśli chciał porozmawiać z nią na osobności, nie mogło chodzić o nic dobrego.

— Znakomicie — zgodziła się Dziewięć Hibiskus i wstała. Była dwa razy szersza od Dwadzieścia Cykady, ale okrążył ją bez wysiłku.

— Dwa Piano, przejmujesz mostek.

— Przejmuję mostek, *yaotlek* — odpowiedziała Dwa Piana zgodnie z regulaminem i Dziewięć Hibiskus mogła się oddalić, by usłyszeć, co znowu jest nie w porządku z jej okrętem. Z jej flotą.

Na „Ciężarku u Koła” były dwie sale konferencyjne, usytuowane nieopodal mostka. Większa, przeznaczona na narady strategiczne, i mniejsza, poświęcona rozwiązywaniu problemów. Gdy Dziewięć Hibiskus została kapitanem, kazała przerobić pomocnicze stanowisko sterowania uzbrojeniem na tę drugą salę. Pomyślała wówczas, że na pokładzie powinno być jakieś miejsce na prywatne spotkania o oficjalnym charakterze i okazało się, że miała sporo racji. Mała sala konferencyjna stanowiła najlepsze miejsce do rozwiązywania problemów z załogą. Kamery pokładowe wszystko rejestrowały, miała więc świadków, a zarazem mogła być niewidoczna.

Zaprowadziła Dwadzieścia Cykadę do środka, otwierając drzwi minimalnym ruchem oka, który nakazał łączu chmurowemu połączyć się z algorytmiczną SI okrętu.

Dwadzieścia Cykada nie był zwolennikiem zbędnych wstępów. Odkąd Dziewięć Hibiskus go poznała, zawsze był skuteczny, dziarski, czysty i okrutnie bezpośredni. Wszedł do sali za *yaotlek* i ku jej zaskoczeniu nie zwrócił się w jej stronę, by złożyć raport, lecz podszedł prosto do wąskiego okna i położył dłoń na plastistali oddzielającej jego ciało od próżni. Dziewięć Hibiskus poczuła nagły przypływ ciepła na widok tego znajomego gestu, lecz jednocześnie wypełnił ją nieprzyjemny strach. Podobnie jak ona Dwadzieścia Cykada lubił dotykać okrętu, ale sprawiał w takich chwilach wrażenie, że pragnie, by próżnia dostała się do środka i pochłonęła jego dłoń. Robił to, odkąd się znali, a poznali się na samym początku służby.

Wystarczająco dawno, by Dziewięć Hibiskus nie miała szczególnej ochoty liczyć lat.

— Roju — powiedziała (nadała mu ten przydomek już na początku znajomości, ale rzadko się nim posługiwała, z uwagi na szacunek dla jego stopnia) — gadaj, o co chodzi.

— *Yaotlek* — zaczął, nadal gapiąc się w czarną pustkę z uwagi na kamery, mimo że nagrań z tej sali nigdy nie obejrzy nikt poza Dziewięć Hibiskus (kto mógłby mieć wyższy stopień niż *yaotlek*?). Był jednak bardzo regulaminowym oficerem Floty, wzorem dla wszystkich Teixcalaanlitzlim, nieskazitelnym wykonawcą roli pierwszego *ikantlosa* i adiutanta, jakby wyszedł prosto z kart *Historii ekspansji* albo *Poematów o otwieraniu granicy*, mimo że w czasach, gdy powstały te dzieła, układu planetarnego, z którego się wywodził, nie wcielono jeszcze do Imperium. (Co więcej, nadal trzymał się pewnych osobliwych praktyk kulturowo-religijnych typowych dla tego układu. Ale wahanie do nich nie należało. A przynajmniej Dziewięć Hibiskus nic o tym nie słyszała).

— Słucham, *ikantlosie*? Mów.

Wreszcie odwrócił się do niej, otwierając szerzej oczy w geście ironicznej, zrezygnowanej wesołości.

— Za mniej więcej dwie godziny otrzymasz oficjalny komunikat, adresowany do ciebie jako *yaotlek* dowodzącej połączonymi Flotami. Komunikat jest podpisany przez kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy dowodzącą okrętem „Kompresja Paraboliczna” z Dwudziestego Czwartego Legionu, która chce się dowiedzieć, jakie są przyczyny obecnej zwłoki. List jest kontrasygnowany przez kapitan floty Czterdzieści Tlenek z Siedemnastego Legionu i kapitan floty Dwa Kanał z Szóstego. Mamy problem.

— Siedemnasty i Szósty? — zdziwiła się Dziewięć Hibiskus. — Te legiony nienawidzą się nawzajem. Ich rywalizacja trwa już od dwóch stuleci. Jak Szesnaście Wschód-Księżycy zdołała skłonić obu dowódców do podpisania listu?

Z całą pewnością mieli problem. Jej połączona Flota składała się z sześciu legionów — jej Dziesiątego i pięciu innych. Każdy z nich miał własnego kapitan floty, dopiero niedawno podporządkowanego jej rozkazom. Tradycyjna szóstka *yaotlek* była efektywna taktycznie i uzasadniona symbolicznie, choć trochę zbyt mało liczna, by wygrać wojnę. A to właśnie, o ile Dziewięć Hibiskus dobrze zrozumiała, było jej celem. Zacząć wojnę, a następnie ją wygrać, takimi siłami, jakie okażą się konieczne. W razie potrzeby będzie je mogła wezwać z serca Teixcalaanu.

Jeśli jednak trójka dowódców z jej początkowej szóstki *yaotlek* była już gotowa wypuścić pierwszą salwę w wojnie przeciwko jej autorytetowi... nie musiała mówić tego na głos. Dwadzieścia Cykada równie dobrze jak ona wiedział, co oznacza taki list. To był test, poszukiwanie słabego punktu, lekki strzał mający określić, w które miejsce można będzie wbić klin. Sam fakt, że w skład jej Floty wchodził zarówno Szósty, jak i Siedemnasty Legion, był już wystarczająco niekorzystny, spodziewała się jednak, że do konfliktów dojdzie między nimi, i będzie mogła jakoś sobie z nimi poradzić, równo rozdzielając

najlepsze przydziały. Ta demonstracja politycznej jedności przez okazanie wspólnego niezadowolenia była nieprzyjemną niespodzianką.

— Sądząc po informacjach, jakie otrzymałem od znajomych służących na ich okrętach — odpowiedział Dwadzieścia Cykada — Szesnaście Wschód-Księżycy z jednej strony odwołała się do faktu, że Czterdzieści Tlenek ma znacznie więcej doświadczenia od ciebie, z drugiej zaś do trawiącego Dwa Kanał przekonania, że to ona powinna otrzymać pozycję *yaotleka*, a nie ty. Żadna z nich nie wiedziała, że druga się zgodziła, zanim wysłano list.

Dwadzieścia Cykada nie bez powodu nosił przydomek Rój. Nie chodziło tylko o jego osobliwe imię, pochodzące od żywego stworzenia, a nie nieożywionego przedmiotu, koloru albo rośliny. Rojowi nadano go dlatego, że był we wszystkich miejscach jednocześnie. Znał kogoś na każdym okręcie Floty i ten ktoś dostarczał mu informacji. Dziewięć Hibiskus kłapnęła głośno zębami.

— Polityka — stwierdziła. — W porządku. Z nią już się stykaliśmy.

Polityka już nieraz sprawiała jej kłopoty. Nikt, kto osiągnął stopień kapitana floty, nie mógł jej uniknąć. A jeśli nie tylko go osiągnął, lecz zamierzał utrzymać i poprowadzić swój legion do zwycięstw... no cóż, tacy Teixcalaanlitzlim robili sobie wrogów. Zazdrosnych wrogów.

(Do tej pory jednak, gdy Dziewięć Hibiskus miała kłopoty polityczne, mogła zagrozić odwołaniem się do autorytetu minister wojny, Dziewięć Napęd. Nowa minister, Trzy Azymut, nie była niczyją przyjaciółką. A już z pewnością nie przyjaciółką Dziewięć Hibiskus).

— Ale tu nie chodzi o Dwa Kanał ani o Czterdzieści Tlenek — podjął Dwadzieścia Cykada. — Chodzi o Szesnaście Wschód-Księżycy. To ona jest podżegaczką i to ją będziesz musiała unieszkodliwić.

— Być może chciałaby zająć pozycję w przedniej straży, gdy będziemy się zbliżali do nieprzyjaciela.

— To bardzo bezpośrednie podejście, *yaotlek* — stwierdził ze spokojem Dwadzieścia Cykada.

Nie potrafiła się powstrzymać przed odsłonięciem zębów w gwałtownym uśmiechu, jak barbarzynka. Czuła się dobrze z takim uśmiechem, jakby była gotowa działać, zamiast ciągle czekać.

— Insynuują, że brak mi zdecydowania.

— Mogę przygotować taki rozkaz. Jeśli chcesz, już pod koniec zmiany Dwudziesty Czwarty Legion może zostać ciśnięty w pustkę, która pożera nasze planety.

Jeden z problemów z Dwadzieścia Cykadą polegał na tym, że zawsze oferował jej dokładnie to, czego chciała, przez chwilę wystarczająco długą, by zrozumiała, dlaczego to zły pomysł. To był jeden z tysiąca powodów, dla których Dziewięć Hibiskus nigdy nie przyszło do głowy, by zastąpić go kimś pochodzącym z bardziej zasymilowanego świata.

— Nie — sprzeciwiła się. — Mam lepszy pomysł. Gdyby Szesnaście Wschód-Księżycy pierwsza oddała życie za Imperium, okryłaby się niezасłużoną chwałą, nie sądzisz? Lepiej będzie zaprosić ją na obiad. Potraktować jak ulubioną współpracownicę, być może nawet przyszłego współdowódcę. Nowa *yaotlek*, taka jak ja, potrzebuje sojuszników, czyż nie?

Twarz Dwadzieścia Cykady utraciła wszelki wyraz, jakby próbował zmienić jedną z wartości w złożonym równaniu opisującym jakiś skomplikowany system. Dziewięć Hibiskus doszła do wniosku, że jeśli jej adiutant zechce się sprzeciwić, to się sprzeciwi, i kontynuowała, zakładając, że tego nie zrobi.

— Na czwartej zmianie. To da jej czas na dotarcie do „Ciężarka”. Jej i jej adiutantowi. Urządzimy w czwórkę dyskusję strategiczną.

— Gdy tylko list oficjalnie przybędzie, wyślę jej zaproszenie i zawiadomię kuchnię, że spodziewamy się gości. — Dwadzieścia Cykada przerwał na chwilę. — To mi się nie podoba. Mówię to oficjalnie. Jest za wcześnie na takie naciski. Nie spodziewałem się tego.

— Mnie też się nie podoba — przyznała Dziewięć Hibiskus. — Ale odkąd to moje upodobania mają znaczenie? Wytrwamy, Roju. I zwyciężymy.

— Dotąd z reguły tak było. — Znowu ten błysk ironicznej wesołości. — Ale koło się obraca...

— Dlatego jesteście ciężarkiem — przerwała mu Dziewięć Hibiskus, jakby była jedną z żołnierzy w mesie, powtarzającą pokładowy slogan. Uśmiechnęła się. *Gra się zaczęła* — pomyślała. *Stać do niej, Szesnaście Wschód-Księżycy, czegokolwiek właściwie ode mnie chcesz.*

Z komunikatora dobiegł bezcielesny głos Dwa Piany.

— *Yaotlek*, mam obraz „Ostrza Noża”. Trzy godziny przed terminem. Zbliża się szybko. Bardzo szybko.

— Na krwawiące gwiazdy — zakłęła odruchowo, dopóki nie słyszał jej nikt poza Dwadzieścia Cykadą, po czym przestawiła łącze chmurowe na częstotliwość komunikatorów. — Już idę. Nie strzelajcie do niczego, dopóki nie będziemy pewni, że to konieczne.



Stacja Lsel była czymś w rodzaju miasta, jeśli wyobrazimy sobie, że miasta to ożywione maszyny, składające się z połączonych ze sobą części oraz ludzi, upakowanych zbyt ciasno, by mogli być inną formą życia. Mieszkało tu trzydzieści tysięcy Stacyjnych, bezpiecznych za cienką osłoną z metalu, którą była powłoka Stacji wirującej bez końca w mroku swej studni grawitacyjnej. Podobnie jak wszystkie miasta Stacja Lsel była — jeśli wiedziało się, dokąd chodzić, a których rejonów lepiej unikać — niezłym miejscem do długich spacerów, aby i zmęczyć się, i nie musieć myśleć zbyt wiele.

<Fascynująca teoria> zauważył Yskandr <ale właśnie w tej chwili dowodzisz jej fałszywości>.

Z pewnych formalnych powodów Mahit Dzmare nadal pozostawała lselską ambasadorką w Teixcalaanie, mimo że od chwili, gdy opuściła placówkę,

minęły dwa miesiące kosmicznej podróży i jeden miesiąc spędzony na Stacji Lsel po poniekąd haniebnym powrocie. W tym czasie opanowała sztukę przewracania w myślach oczami podczas rozmów ze swym imago, czy raczej z dwoma imago, starym Yskandrem i fragmentami pozostałymi z młodego. *Jeszcze nie pokonałam wystarczająco długiej drogi. Daj mi czas.*

<Zostało ci dwadzieścia minut do spotkania z radczynią Amnardbat> poinformował ją Yskandr. Dziś był przeważnie młodszą wersją, pełną żartów i wesołości, spragnioną nowych doświadczeń, brawurową i kipiącą od świeżo zdobytej znajomości teixcalaanlijskich obyczajów oraz polityki. Tę wersję Yskandra w przeważającym stopniu utraciła, ponieważ ktoś uszkodził maszynę imago, w której zapisano jego wspomnienia i doświadczenie, by następnie umieścić ją u podstawy czaszki Mahit. Potrzebowała tej wiedzy, by być dobrą ambasadorką Lsel we wspaniałym Mieście-Planecie, sercu Teixcalaanu. Winną tego sabotażu była — być może, Mahit nie miała pewności — ta sama radczyni, z którą za dwadzieścia minut miała zjeść kolację.

To jednak było w innym życiu, w którym ona i Yskandr zostali w mieście i nadal próbowali się połączyć w jedną osobowość.

<Nigdy nie było> to był ten drugi Yskandr, dwadzieścia lat starszy, który pamiętał własną śmierć tak dobrze, że Mahit nadal czasami budziła się nocą, dusząc się od psychosomatycznej anafilaksji <żadnego innego świata niż ten, który mamy>.

Od chwili, gdy Mahit zastąpiła uszkodzoną maszynę imago drugą, zawierającą pamięć tego samego człowieka, tylko dwadzieścia lat starszego, była zbyt wieloma osobami jednocześnie. Miała już trochę czasu, by się nad tym zastanowić. Niemal przywykła do wrażenia, że linie dzielące od siebie ich troje trą o siebie niczym płyty tektoniczne. Jej buty stuknęły o metalową podłogę korytarzy Lsel ze znajomym, cichym dźwiękiem. Była blisko krawędzi pokładu i ledwie dostrzegła krzywiznę unoszącej się przed nią podłogi. Niekończące się spacerunki wokół stacji z początku miały jej pomóc

w przypomnieniu sobie rodzinnych miejsc, ale z czasem przeszły w nawyk. Yskandr nie pamiętał już topografii Lsel. W Mieście jego wspomnienia pochodziły sprzed piętnastu lat albo sprzed trzech miesięcy, podczas których był martwy, ale tu był po prostu obcym, wracającym z długiego wygnania. W ciągu piętnastu lat wewnętrzne, niestrukturalne ściany przesuвано w inne miejsca, pokłady zmieniały przeznaczenie, a małe sklepiki zamykały się bądź otwierały. Ktoś z Dziedzictwa zmienił wszystkie czcionki na znakach informacyjnych. Mahit ledwie sobie przypominała chwilę, gdy do tego doszło. Miała wtedy osiem lat. Pamiętała jednak, że całkowicie niewinny znak z napisem SEKCJA MEDYCZNA: W LEWO nagle wydał się jej straszliwie fascynujący.

Oboje jesteście wygnańcami — pomyślała i znienawidziła się za tę myśl. Nie było jej zaledwie kilka miesięcy. Nie miała prawa do tego tytułu. Wróciła do domu.

Nie wróciła, i świetnie o tym wiedziała. (Nie było już takiego miejsca jak dom). Spacerowały mogły jednak stworzyć jego iluzję. Pamiętała, gdzie były pewne miejsca, nie zapomniała też kształtu oraz rytmu Stacji, pełnej życia i ludzi. Zarówno jej, jak i Yskandrowi wielką radość sprawiało odkrywanie nowych miejsc. Pod tym względem ich predyspozycje okazały się niezawodne.

Mahit nie znała tego pokładu zbyt dobrze. Tu właśnie znajdowały się biura Dziedzictwa, za sekcją mieszkalną, przez którą przechodziła obecnie. Było tu pełno indywidualnych kapsuł wiszących w równych, ciepłych szeregach barwy kości. Między nimi znajdowały się obszary publiczne. Kręciło się tu mnóstwo starszych dzieci, zbliżających się już do wieku, w którym zostaną poddane testom predyspozycji imagowych. Siedziały swobodnie na grodziach albo zbierały się wokół kiosków, rozmawiając z ożywieniem.

Większość z nich całkowicie ignorowała Mahit. To ją pocieszało. Przed miesiącem, gdy wróciła na Stację, gdy tylko wpadała na dawnych znajomych, rodzeństwo ochronkowe albo kolegów ze szkoły, wszyscy chcieli, żeby

opowiadała im o Teixcalaanie. Cóż mogła im rzec? Kochałam to miejsce. Omal mnie nie pożarło i was wszystkich razem ze mną. Nie mogę wam nic zdradzić?

<Propaganda jest fascynująca, gdy spotyka się ją wewnątrz własnego umysłu> wyszeptał Yskandr. <Ciągle mnie zdumiewa, jak dobrze Miasto radzi sobie z wymuszaniem milczenia>.

Wolałeś umrzeć niż wrócić na Stację, by zapoznać nas ze swoimi planami, a teraz udzielasz mi wykładów na temat milczenia? — warknęła Mahit.

Poczuła w końcach palców obu rąk elektryczne świerzbienie, neurologiczną pozostałość po sabotażu. Ten efekt uboczny nie znikał. Stawał się wyraźniejszy, gdy trafiała w jedno z miejsc, których ona i Yskandr nie zdążyli jeszcze zintegrować. Jego obecność wycofała się jednak, tliła się tylko, wyraźnie odgraniczona i czujna. Zatrzymała się przy jednym ze straganów, zbyt zajęta rozmową z imago, by zwracać uwagę na to, dokąd idzie. (Zapewne powinna bardziej uważać na te chwile, gdy nie była w pełni sobą). Ustawiała się w kolejce po to, co tam sprzedawano.

Okazało się, że to ręcznie zszywana literatura. Nad sklepem widniał napis WYDAWNICTWO PRZYGODY/SMUTKI. Na wystawie leżało mnóstwo powieści graficznych, narysowanych nie na łatwo zmienianych infofiszkach, lecz na papierze produkowanym z półmasy szmacianej. Mahit dotknęła najbliższej okładki. Była szorstka.

— Hej — odezwała się sprzedawczyni. — Podoba ci się? To *Niebezpieczna granica!*

— Słucham? — odpowiedziała Mahit. Nagle poczuła się zbита z tropu, jak wtedy, gdy po raz pierwszy zadano jej pytanie po teixcalaanlijsku. Brak kontekstu: *Jaka granica? Czyż wszystkie nie są niebezpieczne?*

— Mamy wszystkie pięć tomów, jeśli interesują cię historie o pierwszym kontakcie. Uwielbiam to, jak rysownik w trzeciej części przedstawia imago kapitana Camerona tak samo jak imago Chadry Mav: widoczne tylko w powierzchniach odbijających światło. A kreska...

Pomyślała, że sprzedawczyni może mieć najwyżej siedemnaście lat. Krótkie, kręcone włosy, odsłaniający białe zęby uśmiech i osiem okrągłych kolczyków wzdłuż brzegu ucha. To była nowa moda. Kiedy Mahit była w tym wieku, wszyscy nosili długie kolczyki.

Jestem stara — pomyślała z osobliwym zachwytem.

<Zgrzybiała> zgodził się z ironią Yskandr, wiele lat starszy od niej.

Jestem stara i nie mam pojęcia, co lubią czytać młodzi ludzie na Lsel. Właściwie nie wiedziałam tego nawet, gdy sama byłam młoda i mieszkałam na Stacji. Przed testem predyspozycji nie wydawało się to ważne. Po co było zawracać sobie tym głowę, kiedy miałam tyle teixcalaanlijskiej literatury, w której mogłam się zatopić całkowicie? By i nauczyć się sztuki mówienia poezją?

— Jeszcze ich nie czytałam — odpowiedziała. — Czy mogę kupić pierwszy?

— Jasne — zgodziła się sprzedawczyni. Pochyliła się i wyciągnęła książkę spod lady. Mahit wręczyła jej chip kredytowy i dziewczyna przesunęła nim po czytniku. — Rysują je na tym pokładzie — dodała. — Jeśli ci się spodoba, przyjdź za dwa dni na drugiej zmianie. Autor będzie podpisywał książki.

— Dziękuję. Jeśli znajdziesz czas...

<Zostało ci dziesięć minut do kolacji z radczynią Amnardbat>.

— Jasne. — Sprzedawczyni uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć: *Dorośli, czym właściwie możecie się zajmować?* — Jeśli znajdziesz czas.

Mahit pomachała do niej ręką i oddaliła się, przyśpieszając nieco kroku. *Niebezpieczna granica!* doskonale mieściła się w wewnętrznej kieszeni bluzy. Miała dokładnie takie same rozmiary jak polityczny pamflet. Już to jedno było interesujące. Nawet jeśli historia okaże się okropnie nudna, to było to interesujące.

Biura Dziedzictwa były dobrze oznakowanym gąszczem — mniej więcej po siedem drzwi po obu stronach pokładowego korytarza. Szeroka przestrzeń mieszkalna zwężała się w tym punkcie, tworząc coś przypominającego drogę.

Przestrzeń za tymi drzwiami wypełniały gabinety ludzi przydzielonych do pracy w Dziedziectwie. Większość z nich zajmowała się analizą historycznych precedensów, kondycji stacyjnej sztuki i edukacji albo liczby imagowych dopasowań w takim czy innym sektorze populacji. Analitycy i propagandyści.

Teixcalaan zmienił ją znacznie w bardzo krótkim czasie. Gdy Mahit poprzednio przyszła do biura Dziedziectwa, na ostatnią rozmowę potwierdzającą przed wszczęciem imago i mianowaniem na ambasadorkę, w ogóle nie przychodziło jej na myśl, że Dziedziectwo zajmuje się propagandą. Jak jednak można było inaczej nazwać to, co robili jego pracownicy? Przygotowywali materiały edukacyjne dla poszczególnych grup wiekowych, starając się, by testy predyspozycji za pięć lat wskazały na większą liczbę pilotów albo personelu medycznego. Zmieniali to, kim chciały zostać dzieci.

Zawahała się, stojąc przed środkowymi drzwiami oznaczonymi (*nową czcionką, kurwa, kiedy przestanę zauważać nową czcionkę, Yskandr, nie jest naprawdę nowa, tylko nowa dla ciebie*) tabliczką z napisem AKNEL AMNARDBAT, RADCZYNI DZIEDZICTWA. Niepewność ogarnęła ją dlatego, że nie widziała radczyni Amnardbat od owej ostatniej rozmowy, a także dlatego, że nie rozumiała, dlaczego kobieta, którą wtedy spotkała, mogłaby zapragnąć uszkodzić jej imago. Zniszczyć Mahit, nim ta zdąży przynieść zaszczyt linii imagowej, której częścią się stała. Jeśli rzeczywiście to Amnardbat była za to odpowiedzialna. Mahit miała na to tylko słowo innej radczyni, Dekakel Onchu reprezentującej Pilotów. I miała to słowo dlatego, że podczas pobytu na teixcalaanlijskim dworze otrzymywała listy wysłane przez Onchu do Yskandra.

Poczuła gwałtowny, nieprzyjemny przypływ tęsknoty za Trzy Trawą-Morską, jej dawną łączniczką kulturową, kobietą, której zadaniem było tłumaczenie biednej barbarzyńce pozostającej pod jej opieką niezrozumiałych wydarzeń rozgrywających się wokół. Trzy Trawa-Morska po prostu otworzyłaby te drzwi.

Uniosła rękę i zapukała.

— Mahit Dzmare! — zawołała zgodnie z lselskim zwyczajem. Na Stacji nie było łącz chmurowych, pozwalających otwierać drzwi nieznacznymi ruchami oka. Była sama i sama oznajmiała swoje przybycie.

<Nie jesteś sama> odezwał się Yskandr niczym duch szepczący w jej umyśle myśli, które niemal należały do niej.

To prawda, nie jestem. A Amnardbat nie wie, że jest was dwóch, to znaczy w sumie troje. To również jest problem...

Drzwi się otworzyły i Mahit przestała myśleć o swych niebezpiecznych kłamstwach. Jeśli nie będzie o nich myślała, łatwiej będzie je ukryć. Tego również nauczyła się gdzieś w Imperium.

Radczyni Amnardbat była nadal szczupłą kobietą w średnim wieku. Srebrniejące włosy uczesała na astronautkę, w drobne loki, jej szare oczy były wąskie i wydłużone, twarz o szerokich kościach policzkowych zawsze sprawiała wrażenie ogorzalej, jakby zbyt często wystawiała ją na światło słoneczne. Uśmiechnęła się na widok Mahit, miło i ciepło. Jeśli przed jej przybyciem robiła coś razem ze współpracownikami, nigdzie nie było ich widać. Zresztą Dziedzictwo nie zatrudniało zbyt wielu osób. Radczyni Amnardbat miała sekretarza, który prowadził dla niej korespondencję — to on przysłał Mahit zaproszenie wewnątrzstacyjną pocztą elektroniczną — ale w tej chwili w gabinecie nie było nikogo poza samą Amnardbat. Tylko krzesła, biurko pokryte stertami infopapieru oraz ekran na ścianie. Wyświetlano na nim na żywo obraz przekazywany przez jakąś umieszczoną na zewnątrz Stacji kamerę. Powolne obroty gwiazd.

— Witaj w domu — odezwała się radczyni Amnardbat.

<Czekała miesiąc, żeby ci to powiedzieć?>

To podstęp — pomyślała Mahit. Yskandr wycofał się, pozostawiając po sobie skupiony, uważny szum. Ona również poczuła się bardziej skupiona i zaangażowana. Czekała ją niebezpieczna rozmowa z potężną osobą w jej gabinecie. Tym właśnie miała się zajmować w Teixcalaanie.

— Cieszę się, że wróciłam — zapewniła. — Co mogę dla ciebie zrobić,

radczyni?

— Obiecałam, że zjem z tobą posiłek — odpowiedziała Amnardbat, nie przestając się uśmiechać. Yskandr wzdygnął się nagle i Mahit poczuła echo tego gestu. Echo strachu. Teixcalaanlijski minister nauki zaoferował mu poczęstunek, by móc go otruć. Odepchnęła to wrażenie. Ta hormonalna reakcja na traumę nie należała do niej. (Gdybyż tylko mogła zaufać lselskim terapeutom integracyjnym i opowiedzieć im, że nałożyła nowe imago Yskandra na stare. Sama zapewne nie miała żadnych tego typu reakcji wywoływanych przez wspomnienia, ale granice między nią a Yskandrem z każdą chwilą zamazywały się coraz bardziej i nie umiała sobie poradzić z jego reakcjami).

— Jestem ci wdzięczna — odpowiedziała — ale z pewnością masz na głowie pilniejsze sprawy niż dzielenie się posiłkiem z ambasadorką, która wróciła na Stację.

Twarz radczyni Amnardbat nie zmieniła wyrazu. Promieniował od niej przyjemny, choć szorstki, dobry humor, połączony z niemal rodzicielską troską.

— Usiądź, ambasadorko Dzmare. Porozmawiamy. Mam kotlety rybne na ostro i podplomyki. Z pewnością stęskniłaś się za lselskim jedzeniem.

Rzeczywiście się stęskniła, ale rozwiązała ten problem już pierwszego tygodnia. Poszła do jednego z lokali, które pamiętała, i zjadła tyle gulaszu z białej, rozpadającej się na płaty, hydroponicznie hodowanej ryby, aż rozboleła ją brzuch i poczuła się okropnie. Wreszcie uciekła stamtąd, bojąc się, że w każdej chwili może się przypadkowo zjawić jakiś dawny znajomy i zasypać ją pytaniami. W emocjonalnej chronologii Amnardbat coś się nie zgadzało. Być może zrobiła to celowo. (Ale jaki mógł być jej cel? Czy chciała się upewnić, że Teixcalaan nie wypaczył jej smaku? A co, gdyby Mahit była jedną z tych Stacyjnych, którzy nie znosili kotletów rybnych? To była kwestia gustu...)

— To bardzo miło z twojej strony — oznajmiła, siadając za stołem

konferencyjnym naprzeciwko biurka radczyni. Po raz kolejny poczuła dreszcz adrenalinowej reakcji imago. W tym miejscu źródłem niebezpieczeństwa z pewnością nie będzie jedzenie. Pachniało tak dobrze, że usta Mahit wypełniła ślina. Ryba z czerwoną papryką, węglowy zapach nieco przypalonych podpłomyków, upieczonych z prawdziwej pszenicy i w związku z tym drogich. Amnardbat siedziała naprzeciwko niej i na dobre dwie minuty stały się po prostu Stacyjnymi zawijającymi rybne kotlety w podpłomyki i pozerającymi pierwszą porcję, by zrobić sobie drugą, którą zjedzą wolniej.

Radczyni połknęła ostatni kawałek pierwszego podpłomyka.

— Zacznijmy od najbardziej kłopotliwego pytania, Mahit. — Ambasadorka spróbowała powstrzymać brwi przed uniesieniem się aż do granicy włosów i w znacznym stopniu jej się to udało. — Dlaczego wróciłaś tak szybko? Pytam cię o to jako radczyni dziedzictwa. Chcę się dowiedzieć, czy może nie daliśmy ci czegoś, czego potrzebowałaś. W Imperium. Wiem, że proces integracji był za krótki...

<I w dodatku uszkodziłaś mnie> dodał Yskandr. Zaniepokojona Mahit pomyślała, że całe szczęście, iż jego słowa nie są słyszalne, chyba że sama na to pozwoli. Albo popełni błąd.

To mogła być ona. Jeśli uwierzymy Onchu — przypomniła mu. Z nią też jeszcze nie rozmawialiśmy.

Za bardzo się bała, by to zrobić. Obawiała się, że Onchu miała rację, albo że jej nie miała. Była też zbyt wyczerpana nagłą i nieodwołalną niezwykłością, którą znalazła w domu po powrocie, by przewyciężyć ten strach.

— Nie — odpowiedziała na głos. — Stacja Lsel przynajmniej spróbowała dać mi wszystko, czego potrzebowałam. Oczywiście dobrze by było spędzić więcej czasu z Yskandrem, zanim odlecieliśmy, ale jestem pewna, że to nie był najkrótszy okres integracji w naszej historii.

— W takim razie dlaczego? — zapytała powtórnie Amnardbat i wzięła sobie kolejny kawałek ryby. Zadała już pytanie, teraz nadszedł czas, by jeść i słuchać.

Mahit westchnęła i wzruszyła ze smutkiem ramionami. Ten gest miał wyrażać samokrytykę, echo zażenowania, jakie zapewne Dziedzictwo chciałoby widzieć u Stacyjnych mających kontakt z tym, co teixcalaanlijskie.

— Wplątałam się w zamieszki i kryzys sukcesji, radczyni. To były gwałtowne wydarzenia, trudne dla mnie zarówno ze względów osobistych, jak i zawodowych. Nowa cesarz zapewniła mnie, że Stacja będzie mogła zachować niezależność. Potem zapragnęłam odpoczynku. Choćby krótkiego.

— I dlatego wróciłaś do domu.

— Dlatego.

Dopóki jeszcze chciałam.

— Jesteś tu już od miesiąca, a do tej pory nie wgrałaś swojej pamięci do nowej maszyny imago dla swego następcy. Mimo że bardzo dobrze wiesz, iż nasze ostatnie nagranie jest okropnie zdezaktualizowane, a twojego nie mamy w ogóle.

Kurwa. A więc o to jej chodzi. Chce się dowiedzieć, czy sabotaż był skuteczny.

<A więc wierzysz, że to ona jest winna>.

W tej chwili tak.

— Nie przyszło mi to na myśl — odpowiedziała Mahit. — Nawet nie minął rok... wybaczone, to mój pierwszy rok z imago. Myślałam, że obowiązuje jakiś harmonogram.

Poszuka ucieczki w biurokratycznej ignorancji. To da jej na jakiś czas osłonę, choćby nawet wątpliwość, przed ciekawością Amnardbat. Zapisanie jej pamięci natychmiast ujawniłoby fakt, że Mahit nosi dwa imago. Nie miała pojęcia, co mówi lselskie prawo o uczynku, jakiego się dopuściła. Ani nawet czy w ogóle cokolwiek mówi. Podejrzewała, że nie. To był z oczywistych względów bardzo zły pomysł. Sama gwałtownie brzydziła się tej myśli, nim się wreszcie zdecydowała.

<Czy żałujesz...>

Nie. Potrzebowałam cię. Nadal potrzebuję... nas.

— Oczywiście, że jest — potwierdziła Amnardbat. — Ale my w Dziedzictwie... to znaczy ja, ale mogę mówić w imieniu nas wszystkich... staramy się zachęcać ludzi, którzy przeżyli ważne wydarzenia albo dokonali czegoś szczególnego, by aktualizowali swoje imago częściej, niż sugeruje to kalendarz.

Mahit uprzejmie ugryzła kolejny kawałek ryby z podpłomykiem. Pogryzła go starannie i przełknęła, starając się zwalczyć psychosomatyczny ucisk w gardle.

— Radczyni — odpowiedziała — skoro już o tym wiem, rzecz jasna mogę się umówić z waszymi imagistami. Czy to już wszystko? To bardzo miło, że kazałaś dla nas przygotować tyle kotletów rybnych tylko po to, by poprosić o drobną administracyjną przysługę. Wystarczyłoby napisać.

Niech radczyni zmierzy się z sugestią, że marnotrawi zapasy żywności. W minionych pokoleniach radców dziedzictwa nieraz pozbawiano stanowiska za drobniejsze uchybienia. Takiej linii imagowej nie przekazywano już nowym radcom. Nikt, kto stawiał własne potrzeby wyżej od pamiętanych od dawna potrzeb Stacji, nie powinien wpływać na radcę, którego zadaniem było podtrzymywanie ciągłości tejże Stacji.

<Jesteś irytująco bystra>.

Pewna bardzo miła Teixcalaanlitzlim i moje imago nauczyli mnie wykorzystywać aluzje historyczne jako broń.

— To nie jest przysługa — odpowiedziała jednak Amnardbat. Mahit uświadomiła sobie, że nie doceniała radczyni, nie doceniała motywów jej zachowania, spodziewając się, że można nią manipulować jak Teixcalaanlitzlim, za pomocą aluzji i narracji. — To rozkaz, ambasadoro. Potrzebujemy kopii twojej pamięci, by to, co sprawiło, że Yskandr Aghavn tak długo unikał uaktualnienia swojego zapisu, nie zaraziło również ciebie.

To było fascynujące, że Mahit mogła poczuć tak wielki chłód. Jej palce wypełniło elektryczne mrowienie. W ogóle nie czuła resztki podpłomyka, który trzymała w dłoni. Tak straszliwe zimno, lecz jednocześnie skupienie.

— Zaraziło? — powtórzyła.

<Czyż nie jesteśmy zatruci?> zapytał Yskandr, ale go zignorowała.

— To straszne, gdy Teixcalaan zabiera nam obywatela — odparła Amnardbat. — Że musimy się bać, iż Imperium ma w sobie coś, co kradnie naszych najlepszych. Imagiści i ja chcemy cię widzieć w tym tygodniu, Mahit.

Kiedy się uśmiechnęła, ambasadorka pomyślała, że wreszcie rozumie, dlaczego widok odsłoniętych zębów tak bardzo niepokoi Teixcalaanlitzlim.



Gdy Dziewięć Hibiskus wróciła na mostek, lekko zdyszana po bardzo szybkim pokonaniu tego krótkiego odcinka, „Ostrze Noża” było już w zasięgu wzroku. Kilka razy odetchnęła głęboko, jakby była recytatorką, by przygotować płuca i ograniczyć wyrzut adrenaliny. To był jej mostek. Jej okręt. Wszyscy oficerowie zwrócili się w jej stronę, jakby byli kwiatami, a ona była witany z radością wschodem słońca. Przez chwilę miała wrażenie, że wszystko wygląda jak trzeba. Następnie zauważyła, jak szybko „Ostrze Noża” zbliża się do reszty floty. Małeńka jednostka rosła w jej oczach. Jej silniki musiały pracować na maksymalnej mocy. „Ostrze Noża” było statkiem zwiadowczym i potrafiło rozwinąć taką prędkość, ale nie byłoby w stanie utrzymać jej zbyt długo. Było za małe i szybko zabrakłoby mu paliwa. Jeśli pilot zdecydował się lecieć tak szybko, z pewnością uciekał przed pościgiem.

— Czy wiemy, kto ich ściga? — zapytała *yaotlek*. Dwa Piana potrząsnęła krótko głową zza stanowiska łączności.

— Nic nie widzimy — odpowiedziała. — Tylko „Ostrze Noża” i pusta przestrzeń za nim. Za dwie minuty znajdzie się w zasięgu naszych nadajników...

— Nawiąż holograficzną łączność najszybciej jak się da. I przygotuj Odpryski do akcji. Jeśli coś się zbliża, nie pozwolimy mu dotrzeć zbyt blisko.

— Przygotowuję, *yaotlek* — odpowiedziała Dwa Piana, poruszając szybko okiem pod łączem chmurowym. Na całym „Ciężarku u Koła” rozległy się przenikliwe sygnały alarmowe. Pierwsza, najbardziej mobilna linia obrony floty, rój stateczków o jednoosobowej załodze, wyposażonych tylko w broń i przyrządy nawigacyjne, krótkozasięgowych i śmiertelnie groźnych. Dziewięć Hibiskus również pilotowała kiedyś Odprysk, dawno temu, na swym pierwszym okręcie, i alarm startowy nadal przeszywał ją drzeniem wnikającym aż do szpiku kości. *Lećcie, lećcie, lećcie. Lećcie, a jeśli zginiecie, to płonąc jasno jak gwiazdy.*

— Załadujmy dwa górne szeregi dział, dobra? — odezwała się Dziewięć Hibiskus, nadal wypełniona śpiewem alarmu. Usiadła na kapitańskim krześle. Pięć Oset, oficer pełniący dyżur na stanowisku broni, obdarzył ją radosnym uśmiechem, otwierając szeroko oczy.

— Tak jest — rzekł.

Tak bardzo tego pragnęli. I ona również. Chcieli wreszcie coś zrobić. Pożądali ognia i krwi, prawdziwej bitwy, niebieskich i białych wiązek energii przeszywających czarną pustkę, by niszczyć i palić.

Gdy pierwsze Odpryski wysypały się w przestrzeń widoczną za oknem, zjawił się obiekt, przed którym uciekało „Ostrze Noża”.

Nie zbliżył się, lecz zjawił, jakby był tu przez cały czas, ukryty pod jakąś zapewniającą niewidzialność zasłoną. Czarna pustka przestrzeni — w tym sektorze było bardzo niewiele gwiazd — zafalowała, zmarszczyła się, jak nagoskrzelny ślimak dotknięty palcem. Mimo ogromnej skali sprawiało to organiczne wrażenie. I wtedy się zjawił. Pierwszy nieprzyjacielski okręt, który Teixcalaanlitzlim ujrzeli na własne oczy (a przynajmniej ujrzeli i przeżyli, aby o tym opowiedzieć). Trzy szare okręgi obracające się szybko wokół centralnej kuli. Trudno było na niego patrzeć. Dziewięć Hibiskus nie potrafiła określić dlaczego. Do statku obcych przylepiło się jakieś wijące się, ruchliwe

zniekształcenie obrazu. Szary metal sprawiał wrażenie śliskiego jak olej i niewyraźnego.

W jednej chwili go nie było, a w następnej był. Pędził za „Ostrzem Noża” i zbliżał się do niego z każdą chwilą.

— Mówi *yaotlek* Dziewięć Hibiskus — nadała na otwartym kanale. — Przetnijcie trasę nieprzyjaciela i otoczcie go. Nie otwierajcie ognia, dopóki nie wystrzeli pierwszy.

Odpryski ruszyły naprzód, jakby były przedłużeniem jej woli, jej wypuszczonego z płuc oddechu. Pomknęły błyskawicznie ku obcemu obiektowi, który ośmielił się zbliżyć tak bardzo. Minął moment, nim zdążyły rozmieścić się wokół nieprzyjaciela. Nie znały tego kształtu, a w dodatku okręt poruszał się na nieoczekiwane sposoby, jak toczące się po gładkiej powierzchni śliskie od smaru łożysko kulkowe. Ale Odpryski były inteligentne, a w dodatku połączone ze sobą przez wizualny i pozycyjny biofeedback. Każdy stateczek przekazywał dane wizualne nie tylko własnemu pilotowi, lecz równie wszystkim pilotom w roju. A oni uczyli się szybko. „Ostrze Noża” przemknęło między migotliwymi punkcikami niczym wahadłowiec wchodzący w atmosferę i bezpiecznie wpadło w wysuniętą sieć hangaru „Ciężarka u Koła”.

Dwa Piana przywołała na holoeckranie obraz kapitana stateczku. Miał udręczoną twarz, szaleństwo w oczach i dyszał szybko. Knykcie jego zaciśniętych na sterze dłoni były zupełnie białe.

— Dobra robota — pochwaliła go Dziewięć Hibiskus. — Bez żadnych uszkodzeń. Daj nam chwilkę na zajęcie się tym, co nam przyprowadziłeś. Następnie złożysz raport...

— *Yaotlek* — przerwał jej. — Oni są niewidzialni, dopóki nie zechcą się pokazać. To może nie być jedyny statek. Mają wielką siłę ognia...

— Spokojnie, „Ostrze Noża” — powstrzymała go Dziewięć Hibiskus. — To teraz nasz problem. My też mamy dużą siłę ognia.

Rzeczywiście ją mieli. Działa energetyczne i mniejsze, ale okrutniejsze

i bardziej odrażające jądrowe bomby rdzeniowe. Jeśli okażą się konieczne.

— Przechwyciłem komunikat — oznajmił pilot, jakby w ogóle jej nie słyszał.

— Świetnie. Dołącz go do raportu.

— To nie jest język, *yaotlek*...

— Dwa Piano, możesz się tym zająć? Jesteśmy w tej chwili raczej zajęci.

Okręt obcych z pewnością był dobrze uzbrojony. Na obwodach trzech wirujących kręgów zamontowano coś, co wyglądało jak standardowe, lecz bardzo precyzyjne działa energetyczne. Bezgłośnie rozbłyski światła oślepiły ją na moment. Gdy usunęła mruganiem powidoki, zauważyła, że trzy Odpryski zniknęły, i skrzywiła się boleśnie.

— W porządku, kończymy z powstrzymywaniem nieprzyjaciela Pięć Oset, rozkaż Odpryskom zrobić drogę dla artylerii.

Oficerowie Dziewięć Hibiskus z reguły nie potrzebowali potwierdzać, że słyszeli jej rozkazy. Po prostu je wykonywali. Pięć Oset poruszył rękami wewnątrz holograficznej przestrzeni roboczej stanowiska broni, przesuując Odpryski i wektory ich lotów na tle pola gwiazd, będącego miniaturową wersją stołu kartograficznego *yaotlek*. Odpryski przemieściły się w odpowiedzi, formując nowy wzorzec, pozwalający działom „Ciężarka u Koła” wycelować i wystrzelić.

Jaskrawoniebieski blask. Dziewięć Hibiskus zawsze sobie wyobrażała, że taki właśnie kolor zobaczy ktoś, kto przypadkowo wejdzie do przemysłowego napromiennika — przez krótki moment, nim utraci zdolność widzenia. Zabójcze światło i dźwięk przypominający alarm startowy, równie znajomy jak oddech albo jego brak.

(Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy powinna spróbować przejąć nieprzyjacielski statek — unieruchomić go za pomocą celowanych impulsów elektromagnetycznych, dopóki był na tyle daleko, że nie usmażyłaby w ten sposób własnych jednostek. Jednakże pilot „Ostrza Noża” mówił, że przechwycił komunikat, a przeciwnik zabił już trzech jej żołnierzy. Czterech

— kolejny Odprysk zniknął w nagłym rozbłysku płomienia jak świeca, zapalająca się i gasnąca w okamgnieniu).

Pełna moc dział rozświetliła obcy okręt niczym latarnię, zerwała z niego część śliskiej, wijącej się powłoki — odstrzelone części zewnętrznego pierścienia wyglądały jak zwyczajne kosmiczne odpadki. Ale pełna moc dział go nie zniszczyła. Zawirował szybciej. Błyskawicznie. Dziewięć Hibiskus wyobraziła sobie, że słyszy furkot jego obrotów. Zanim jednak kolejna salwa uderzyła w wewnętrzną kulę, niszcząc ją całkowicie, z drugiego pierścienia trysnęła jakaś ciemna, lepka substancja, tworząca w stanie nieważkości dziwne sznury.

Ślina — pomyślała z obrzydzeniem *yaotlek*.

Uciekajcie przed tym — nadawał już Pięć Oset na wszystkich kanałach. Reaktory „Ciężarka u Koła” rozjarzyły się z pełną mocą i odepchnęły ich w tył, dalej od splątanych sznurów wiszących na podobieństwo lepkiej sieci w miejscu, gdzie przed chwilą był okręt obcych. Jaka ciecz poruszała się w ten sposób? Jakby czegoś poszukiwała, stanowczo zbyt spoista. Jej napięcie powierzchniowe... nie tak wysokie, żeby zlepiła się w kulę, ale wystarczające, by mogła się rozciągać w coraz cieńsze sznury...

Jeden z Odprysków, lśniący klin zmieniający swobodnie wektor lotu z błyskiem pędników azymutalnych, zderzył się nagle z sięgającym ku niemu sznurem. Dziewięć Hibiskus obserwowała to z uwagą. Blask stateczku zgasł nagle, gdy pokryła go obca ślina, fraktalna nić, która przylepiła się do niego i nie puszczała, nawet gdy Odprysk wydobył się ze sznura. Gapiła się, nie wierząc własnym oczom, jak bulgoczący płyn przeżera się przez kadłub, pożerając metal i plastistał jak jakiś hiperutleniający grzyb.

Pilotka Odprysku zaczęła krzyżeć.

Krzyczała na otwartym kanale, którego przed chwilą używał Pięć Oset.

— Zabijcie mnie, zabijcie natychmiast — zawołała po chwili w kontrolowanym spazmie desperackiej odwagi. — To pożre statek, jest w środku ze mną, nie pozwólcie, żeby dotknęło kogoś innego.

Dziewięć Hibiskus zawahała się. Zrobiła bardzo wiele rzeczy, których żałowała — jako pilot, kapitan i kapitan floty Dziesiątego Legionu Teixcalaanlijskiego. Bardzo wiele. Była żołnierką i z samej natury tego zajęcia musiała niekiedy dopuszczać się okrutnych czynów, podobnie jak w naturze gwiazd leżało emitowanie promieniowania, które nie tylko dawało ciepło i życie, lecz również paliło i zatruyało. Ale nigdy dotąd nie wydała rozkazu strzelania do własnych ludzi. Ani razu.

Na tym samym kanale rozległ się chór bólu. Wszyscy piloci Odprysków, połączeni przez biofeedback, czuli śmierć siostrzanego stateczku pożeranego żywcem. Płakali. Słyszała odgłosy wstrzymywanych oddechów i hiperwentylacji. Cichy, jękliwy krzyk, który niósł się echem, gdy podejmowały go inne głosy.

— Zróbcie to — rozkazała. — Zestrzelcie ją, jak prosiła.

Śmiercionośny ogień, precyzyjny i miłosierny. Błękitny rozbłysk i jedna Teixcalaanlitzlim obrócona w płomienie.

Cisza na wszystkich łączach. Dziewięć Hibiskus nie słyszała nic poza odrażającym biciem własnego serca.

— No cóż — odezwał się wreszcie Dwadzieścia Cykada. Wydawał się równie wstrząśnięty, jak wszyscy, ale pozostał dziarski. — Dowiedzieliśmy się o obcych w przybliżeniu ośmiu nowych rzeczy, których nie wiedzieliśmy przed dziesięcioma minutami.

ROZDZIAŁ DRUGI

[...] i oczywiście sława, którą się okryłaś, poprzedza cię jak trzęsienie ziemi zalewającą miasta falą, drzenie twych zbliżających się kroków wypełniło wibracją całe Ministerstwo, jakbyśmy wszyscy byli zrobieni z nitek *tlini*, a ty byłabyś łukiem. Oczywiście, żałujemy nieobecności byłej minister Dziewięć Napęd — jej przewodnictwo było dla nas ciepłą jedwabną rękawiczką, którą zdjęto z Sześciu Dłoni z chwilą jej (tak bardzo nagłego!) przejścia w stan spoczynku, ale osobiście cieszę się na myśl o służbie pod kierownictwem osoby, która jako pierwsza odniosła sukces jako gubernator Układu Nakhar. Sporo pracy przed nami. Nie mogę się tego doczekać [...]

fragment listu trzeciego podsekretarza Ministerstwa Wojny, Jedenaście Wawrzynu, do nowo mianowanej minister Trzy Azymut, datowane 21. dnia 1. roku Pierwszej Indykcji Cesarza Całego Teixcalaanu Dziewiętnaście Ciesak

* * *

Pisanie listów do zmarłych to niedobra praktyka. Lepiej byłoby dla mnie, gdybym ograniczyła się do prowadzenia dziennika, jak połowa cesarzy, którzy spali w tym łóżku przede mną. Ale czy kiedykolwiek widziałeś, żebym dbała o własną wygodę? Ty chociaż nie żyjesz — a przynajmniej najwygodniej mi jest tak o tobie myśleć. Ja trzymam w dłoniach wszystkie gwiazdy, Yskandr, i bardzo łatwo byłoby pozwolić, żeby wymknęły mi się spomiędzy palców, zwłaszcza że niektóre z nich gasną, pożarte przez obce zagrożenie, tak bardzo dogodne dla twojej następczyni. Spałeś tu częściej ode mnie w owych czasach, a nawet teraz, jeśli liczyć prawdziwy sen, a nie tylko spędzone tu

noce. Jak często pragnęłaś, by narracja podporządkowała się twoim życzeniom? Częściej czy rzadziej niż cesarz, który leżał bezsennie obok ciebie?

z prywatnych zapisków Jej Promienności Cesarz Dziewiętnaście Ciesak, nieopatrzone datą, trzymane w zamknięciu i zaszyfrowane

Kapitan „Ostrza Noża”, Trzydzieści Woskowa-Pieczeńć, ścisnął kubek kawy, jakby był on jedynym, co powstrzymało jego ręce przed drżeniem. Jego cera nabrała nieprzyjemnie szarego odcienia, kojarzącego się Dziewięć Hibiskus z owsianką zakrzepłą na dnie rondla, paskudną szarobiałą skorupą wymagającą zeskrobania.

— To nie jest język — powtórzył. Tak brzmiały pierwsze słowa, które powiedział do *yaotlek*, gdy już wydobyto go z jego stateczku i zaprowadzono do mniejszej sali konferencyjnej, by złożyć raport. — Była ze mną Czternaście Kolec. Ona mówi w pięciu językach. Dlatego ją ze sobą zabrałem, na wypadek, gdyby udało się coś podsłuchać. Powiedziała, że to w ogóle nie przypomina języka. Nie ma rozpoznawalnych fonemów, jak to określiła. To było jeszcze przed tym, zanim nieprzyjacielski statek pojawił się znikąd i zaczął nas ścigać. Nie zdążyła powiedzieć wiele więcej niż „my nie potrafimy produkować takich dźwięków”.

Nie jestem przygotowana do prób nawiązania pierwszego kontaktu — pomyślała Dziewięć Hibiskus. *Zwłaszcza z istotami, które plują w moich ludzi rozpuszczając statki śliną i nie wydają zrozumiałych dźwięków.* Była żołnierką. Jej umysł był ukierunkowany na strategię i miała za sobą potęgę teixcalaanlijskiej Floty, niemniej pozostawała żołnierką. Pierwszy kontakt był dla dyplomatów i bohaterów poetyckich eposów.

— Jeśli to nie jest język... — zaczęła, przełykając łyk kawy (Trzydzieści Woskowa-Pieczeńć zrobił to samo i ucieszyła się na ten widok) — skąd wiedziałeś, że to próba komunikacji?

— Stąd, że przekaz nie zaczął się, dopóki się nie pojawiliśmy. I reagował na nasze poczynania. Kiedy się zbliżyłem, zmienił brzmienie, a gdy zacząłem się oddalać, doszło do kolejnej zmiany. Później spróbowałem okrążyć to karłowate słońce, żeby rzucić okiem na to, co się stało z naszą kolonią na Peloa-2, przeszedł we wrzask i nagle pojawił się ten pierścieniowy statek...

Nuta hysterii słyszalna w jego głosie brzmiała niepokojąco. To było do niego niepodobne. Gdyby łatwo było go przestraszyć, nigdy nie zostałby kapitanem statku zwiadowczego. Pierścieniowy statek był przerażający, a jego ślina jeszcze gorsza, ale to była przesadna reakcja.

— Wróciłeś, kapitanie — rzekła mu Dziewięć Hibiskus uspokajającym tonem. — Wróciłeś do nas i przyniosłeś nam przechwycony komunikat. Dowiedzieliśmy się o obcych w przybliżeniu ośmiu rzeczy, których nie wiedzieliśmy wczoraj. — Posłużyła się sformułowaniem Dwadzieścia Cykady, ale kapitan o tym nie wiedział. Nie miał też pojęcia, jak bardzo wstrząsnęły nią te wydarzenia, i jeśli będzie ostrożna, nigdy nic nie zauważy. — Świetnie się spisales. Możesz odejść, chyba że jest jeszcze coś, o czym powinnam się dowiedzieć.

— Nie, *yaotlek*. Główny oficer łącznościowy Dwa Piana ma całe nagranie, jeśli zechcesz go wysłuchać. Ale nie mamy nic więcej. Nie zbliżyliśmy się do Peloa-2 na tyle, żeby się czegokolwiek dowiedzieć.

Dziewięć Hibiskus gorąco pragnęła wysłuchać tego nagrania, choć na samą myśl o tym przechodziły ją ciarki. Została jej jeszcze godzina i trzy kwadransy, nim Szesnaście Wschód-Księżycy przybędzie na pokład, by porozmawiać z nią o strategii. Rozmowa o strategii była bardzo wątpliwym pretekstem. Dziewięć Hibiskus chciała się dowiedzieć czegoś, co będzie mogła wykorzystać przeciwko Szesnaście Wschód-Księżycy, która wybrała bardzo nieodpowiedni moment na rozgrywki o władzę we Flocie. Wszelkie informacje mogły się jej przydać. Bez względu na to, czy to był język, czy nie.

Pod cesarskim pałacem krył się labirynt korytarzy, tajnych i wąskich. Napisano o nich wiersz, dobry, z rytmem odpowiednim do chodzenia. *Ile korzeni w ziemi i ile kwiatów pod niebem / kwiaty zbierają dzienni słudzy pałacu / sprawiedliwość, nauka, informacja i wojna / ale korzenie, które nas karmią, są niewidzialne i silne.* Osiem Antidotum najbardziej lubił w nim dwie rzeczy: chwilę, gdy jego stopy uderzały o kafelki podłogi w rytm słów *korzeni w ziemi i kwiatów pod niebem*, a także fakt, że wcale nie był dziennym sługą. Dzienni słudzy mieli pałacowe kwiaty. Samotny w tunelach Osiem Antidotum, jedyny dziedzic całego Teixcalaanu (od niedawna jedyny, to zapewne coś znaczyło, będzie musiał się nad tym zastanowić), nie potrzebował kwiatów. Przebywał pod ziemią, gdzie to, co jest silne, rośnie w milczeniu.

Odwiedzał tunele dziesiątki razy, jeszcze nim cesarz — nie obecna, ale jego przodek cesarz, to ważne, żeby uporządkował to sobie w myślach — przyprowadził go tu ukradkiem podczas powstania, na krótko przed swoją śmiercią. Osiem Antidotum spędził już w podziemiach tak wiele czasu, że zaczynał je poznawać. Znał tajne przejścia, miejsca, w których mogli się ukrywać podsłuchujący, i otwory do podglądania. Jego przodek cesarz pokazał mu je i... pozwolił z nich korzystać.

To była jedna z bardzo niewielu rzeczy, na które pozwalał mu Sześć Kierunek, coś w rodzaju nagrody, prywatnego porozumienia między nimi, aktu pobłażania. Osiem Antidotum często zastanawiał się nad motywami swego przodka, jeszcze zanim ten odebrał sobie życie w świątyni słońca ku chwale Teixcalaanu.

W tym punkcie tunel stawał się węższy i opadał w lewo. Pachniało tu petrykorą, deszczem i podziemnymi częściami kwiatów. Osiem Antidotum przesunął palcami po ścianie w miejscu, gdzie gromadziła się rosa, i wyobraził

sobie, jak mały Sześć Kierunek, jedenastoletni jak on teraz, chodził tymi samymi tunelami. On również nie musiałby się schylać w wąskich odcinkach, nie, kiedy miał jedenaście lat. Jeśli istniały jakieś fizyczne różnice między nim a jego przodkiem, Osiem Antidotum dotąd ich nie zauważył. Dziewięćdziesięcioprocentowy klon był bardzo bliski oryginału. Co więcej, widział holografy.

Ale Sześć Kierunek nie wychowywał się w pałacu, prawda? Wszystkie te holografy pochodziły z jakiejś planety, na której rosła trawa. Chłopiec sprzed blisko stu lat, o jego twarzy, zielonoszare rośliny sięgające mu do szczupłej piersi. Jego przodek przybył tu po raz pierwszy w znacznie starszym wieku.

Po wąskim odcinku były schody, długie i pogrążone w mroku. Znał już drogę nawet bez światła. W kilku ostatnich tygodniach szedł tędy siedem razy. Z dzisiejszym — osiem. Był już za duży, żeby wierzyć w szczęśliwe liczby, ale ósemki nadal mu odpowiadały. Ósmy raz oznaczał szczęście dla niego. (I dla innych, którzy używali tego samego znaku jako liczbowej części swego imienia, w tym również dla minister sprawiedliwości, która formalnie rzecz biorąc była jego prawnym rodzicem, ponieważ go adoptowała. A także dla dziesiątków tysięcy innych dzieci. Dlatego, po głębszym zastanowieniu, nie wierzył już w szczęśliwe liczby). Na końcu schodów były drzwi wprawione w sufit. Osiem Antidotum zapukał w nie. Otworzyły się i chłopiec znalazł się w piwnicy Ministerstwa Wojny.

Czekał tam na niego Jedenaście Wawrzyn. Był wysoki, jego twarz o rzeźbionych rysach była bardzo ciemna, a wokół oczu i ust miał głębokie bruzdy. Nosił mundur Ministerstwa Wojny, który nie wyglądał tak samo, jak mundur legionisty, ale bardzo go przypominał. Nie był garniturem, jak w innych ministerstwach. Składał się z bryczesów i stalowoszarej marynarki sięgającej do połowy uda, z dwurzędowym zapięciem ze złotych guzików. Jedenaście Wawrzyn nigdy się nie skarżył na to, że musi siedzieć w wypełnionej kurzem piwnicy ministerstwa, czekając, aż zjawi się Osiem Antidotum. Wstał i bezceremonialnie strzepnął kurz ze spodni.

— Jak się czujesz dzisiejszego popołudnia, Leku?

Osiem Antidotum nauczył się paru rzeczy od swego przodka cesarza i paru innych od Dziewiętnaście Ciesak, która była teraz cesarzem i przysięgła, że zaopiekuje się nim, choćby miała zapłacić za to życiem. Jedna z nich brzmiała następująco: „Nie ufaj nikomu, kto stara się, byś poczuł się dobrze, dopóki się nie dowiesz, czego od ciebie chce”.

Jednakże Jedenaście Wawrzyn poza tym, że raz w tygodniu czekał na niego w piwnicy, by uczyć go posługiwania się strategicznym stołem kartograficznym i strzelania z pistoletu impulsowego, był podsekretarzem Trzeciej Dłoni, jednym z sześciu podsekretarzy odpowiadających wyłącznie przed ministrem wojny, i nazywał go „Lekiem”, zamiast tytułować „Ekscelencją”, „wspólnastępcą Osiem Antidotum” czy w jakiś inny wymyślny sposób. Chłopiec to uwielbiał. Ale przynajmniej zdawał sobie z tego sprawę, a to z pewnością pomagało. Jedenaście Wawrzyn chciał osiągnąć ten efekt, a to mogło być złe. Ale w tej chwili to nie miało znaczenia. W tej chwili Osiem Antidotum wygramolił się z dziury, a w jego oczach zajaśniał uśmiech.

— Wiesz co? Rozwiązałem to zadanie — oznajmił. — To z zeszłego tygodnia, o Układzie Kauraan.

— Naprawdę? — zapytał Jedenaście Wawrzyn. — W porządku. Pokaż mi, co twoim zdaniem zrobiła wtedy kapitan floty, by wygrać bitwę, i co to nam o niej mówi. Możemy od razu pójść do kartografu.

Osiem Antidotum czuł lekki niepokój, przypominający szum w jakimś zakamarku umysłu, na myśl, że Jedenaście Wawrzyn, człowiek, który uczestniczył w dwudziestu kampaniach i widział więcej zbrukanych krwią, przeklętych przez gwiazdy planet, niż chłopiec potrafił sobie wyobrazić, raz na tydzień poświęcał całe popołudnie na uczenie jedenastoletniego dziecka, które zakradało się do niego przez piwnicę. Rzecz jasna, istniały okoliczności łagodzące. Najbardziej oczywistą z nich był fakt, że było bardzo prawdopodobne, iż Osiem Antidotum w pewnej chwili zostanie Cesarzem Całego Teixcalaanu. Znacznie bardziej prawdopodobne, odkąd Sześć

Kierunek złożył się w ofierze i mianował go jedynym następcą. Trzeci podsekretarz w Ministerstwie Wojny, mogący sobie wyobrazić, że w tej hipotetycznej przyszłości zostanie ministrem, miałby mnóstwo powodów, by dostarczać rozrywki temu akurat chłopcu.

Co więcej, ich spotkania raczej nie były tajemnicą. Po drodze do pokoju kartograficznego — jednego z bardzo wielu, Ministerstwo Wojny było ogrodem taktyków, tak powiedziała chłopcu Dziewiętnaście Ciesak i zapadło mu to w pamięć — minęli co najmniej dziesięcioro żołnierzy, czworo urzędników, jedną osobę sprząającą i pięć kamer Miasta. (Tyle przynajmniej zauważył Osiem Antidotum, co prawdopodobnie oznaczało, że było ich pięć razy więcej). Nie przemykał. Nie robił nic tajnego. Jedenaście Wawrzyn też nie.

Dziewiętnaście Ciesak — Jej Promienność cesarz — powiedziała mu te słowa zaraz po tym, jak Osiem Antidotum wrócił z pierwszej podróży przez tunele. Przyszła sama do jego pokojów i pokazała mu holograficzny zapis jego ruchów sporządzony przez Miasto. Wędrował po ministerstwie niczym jaskrawy ptak w sieci oczu. Zapytał, czy wolałaby, żeby tam nie chodził, a ona odpowiedziała mu słowami o ogrodzie taktyków. Dodała, żeby robił, co zechce, i odeszła.

Czasami Osiem Antidotum zadawał sobie pytanie, czy ktoś kiedyś zaufa mu w takim stopniu, że nie będzie musiał mu pokazywać, że obserwuje go przez cały czas.

Gdy znalazł się w pokoju kartograficznym, poczuł się lepiej. Zapomniał na chwilę o pytaniu „dlaczego?”. Jedenaście Wawrzyn kilkoma ruchami dłoni przywołał obraz Układu Kauraan. Obraz ich zesłotygodniowego ćwiczenia zmaterializował się w powietrzu, obracając się powoli. Wszystkie okręty we Flocie miały podobne stoły, pozwalające im rozwiązywać problemy, zanim te się pojawiły. Ten problem wyglądał następująco; „W jaki sposób kapitan floty w Układzie Kauraan, mając tylko jeden okręt, stłumiła powstanie, nim zdążyło się rozszerzyć poza południowy koniec kontynentu”. Ograniczenia: „Mniej niż

pięć tysięcy zabitych Kauraańczyków; mniej niż dwustu zabitych żołnierzy Imperium; nie prosiła o wsparcie; nie miała żadnej nadzwyczajnej broni, niemieszczącej się w standardowym wyposażeniu okrętu tych rozmiarów; przeciwnik miał czterdziestokrotną przewagę liczebną; kauraańscy buntownicy zajęli kosmoport i używali przeciwko niej teixcalaanlijskich statków”. Przedstaw rozwiązanie.

Osiem Antidotum najbardziej podobały się ograniczenia. Utrudnienia. *To się wydarzyło i w związku z tym musi być możliwe. Przedstaw rozwiązanie.*

— No proszę — odezwał się Jedenaście Wawrzyn. — Pokaż mi, co zrobiła kapitan floty Dziewięć Hibiskus z Dziesiątego Legionu.

Osiem Antidotum podszedł do stołu. Skierował na niego swą uwagę drobnymi poruszeniami ukrytego pod łączem chmurowym oka i ostrożnie pozwolił symulacji toczyć się dalej, nie wprowadzając żadnych zmian we Flocie, która w tej chwili należała do niego. To on reprezentował tu Dziewięć Hibiskus. Nie wysłał w stronę Kauraanu jej Odprysków — był prawie pewien, że ona również tego nie zrobiła — nawet gdy kauraańscy buntownicy wystartowali z planety w ukradzionych teixcalaanlijskich statkach. Zatrzymał symulację w chwili, gdy zagarnięta flota znalazła się w zasięgu strzału. Statków było tak wiele, że mogłyby zniszczyć „Ciężarek u Koła”, mimo że był okrętem flagowym klasy „Wieczny”.

— Przychodzi mi do głowy tylko jedno rozwiązanie — oznajmił. Nie patrzył na Jedenaście Wawrzyn, lecz wyobrażał sobie, że jest ministrem wojny albo samą kapitan floty mówiącą do swoich ludzi. — Nie oddano ani jednego strzału.

— Jak to możliwe? — zapytał Jedenaście Wawrzyn. To nie znaczyło „Mylisz się”. Osiem Antidotum nie uśmiechnął się, ale czuł się bardzo bystry i skupiony — jakby leciał, jakby był pilotem Odprysku, mknącym po trajektorii, którą sam wybrał.

— Na Kauraanie bunt miał niewielkie poparcie — podjął. — To była tylko jedna frakcja, wewnątrz jednej grupy etnicznej. Byli wystarczająco

inteligentni, by wiedzieć, że utrzymujemy garnizon na południowym kontynencie. Mnóstwo statków. Wystarczająco wiele, by zniszczyć okręt klasy „Wieczny”, gdyby okazało się to konieczne. Buntownicy wykazali się wielkim sprytem, zajmując najpierw kosmoport, a nie biuro gubernatora planetarnego. Myślę jednak, że nie było ich zbyt wielu. A to znaczy, że musieli szukać sojuszników, gdzie tylko mogli.

— To brzmi wiarygodnie.

Osiem Antidotum pomyślał, że Jedenaście Wawrzyn daje mu luz, żeby mógł wpakować się w kłopoty. Ale on się w nie nie wpakuje, bo ma rację.

— Kapitan floty Dziewięć Hibiskus była popularna. Żołnierze zrobiliby dla niej wszystko. Nie w tym sensie, że żołnierze zawsze kochają swojego kapitana. To nie jest tylko poezja. Sprawdziłem poprzednie kampanie, w których uczestniczyła, i jej ludzie robili, hmm, mnóstwo głupot, moim zdaniem. Jeśli ich o to prosiła.

Z ust trzeciego podsekretarza wyrwał się dźwięk, który kilka dziesięcioleci temu mógł być śmiechem.

— Rzeczywiście to sprawdzałeś. Myślę, że „mnóstwo głupot” to bardzo trafne określenie. Mów dalej. Jakie głupoty kazała zrobić swoim żołnierzom na Kauraanie?

— Jeśli wysłała część z nich na planetę, żeby zinfiltrowali buntowników — zaczął Osiem Antidotum — i była przekonana, że im się udało, to pozwoliłaby rebeliantom polecieć na ukradzionych jednostkach w kosmos i zbliżyć się do okrętu flagowego, mówiąc podkomendnym, żeby jej zaufali i nie otwierali ognia, gdy zacznie się przewrót i buntownicy zginą na statkach, które ukradli. Nikt nie oddał ani jednego strzału. To nie było konieczne. Dziewięć Hibiskus już wygrała.

Kartograf zgasł. Osiem Antidotum zamrugał. Na wewnętrznych powierzchniach jego powiek gorzały powidoki „Ciężarka u Koła” i jasnego słońca Kauraanu.

— To jest bardzo bliskie prawdy — pochwalił go Jedenaście Wawrzyn. —

Dobra robota.

— Co przeoczyłem? — zapytał Osiem Antidotum. Nie potrafił się powstrzymać. Nie w sytuacji, gdy *nie oddano ani jednego strzału*, zapłonęło w jego umyśle w środku nocy jak wybuch nowej. *Wiem, że tak było. Widzę to!* Kiedy się budził, czuł te słowa na języku jak smak nadgryzionego owocu.

— To prawda, że infiltracja jest standardowym elementem strategii zwalczania buntów stosowanej przez Flotę — przyznał Jedenaście Wawrzyn.

— Ale kto powinien kierować tą operacją? Kto podejmuje decyzję wysłania naszych ludzi, by kłamali dla nas, Leku?

— Nie kapitan floty?

— Minister wojny albo podsekretarz Trzeciej Dłoni.

— Ty?

Trzecia Dłoń — kierunek wschodni — zastanawiał się intensywnie, szukając rozwiązania. W Pałacu-Wschód mieszkała Dziewiętnaście Ciesak, zanim została cesarzem, tam zatrzymywali się ambasadorzy i tam znajdowało się Ministerstwo Informacji. Ale pracowali w nim cywile.

Jedenaście Wawrzyn czekał na jego odpowiedź.

Osiem Antidotum nie znosił tego, uważał to za przejaw pobłażania.

— Ty. Trzecia Dłoń, ponieważ to ona jest tym, co zostało z wojskowej części Informacji.

— Zgadza się. Ja i resztkę tego, co pozostało po oddzieleniu naszych szpiegów od naszych żołnierzy. Trzecia z Sześciu Rozpostartych Dłoni: wywiad, kontrwywiad i sprawy wewnętrzne Floty. A teraz, Leku, powiedz mi, jak Dziewięć Hibiskus otrzymała autoryzację ode mnie albo od minister Trzy Azymut. Nie, wtedy to jeszcze była Dziewięć Napęd, ale to nieważne.

— Nie... — zaczął Osiem Antidotum. — Nie miała autoryzacji. Ale jej ludzie i tak to zrobili.

— Zostaniesz piekielnie dobrym taktykiem, jak już dorośniesz — stwierdził Jedenaście Wawrzyn. Chłopca wypełniło ciepło. Pochylił głowę, by ukryć

rumieniec. — Masz rację. Nie prosiła o pozwolenie, po prostu podjęła decyzję. Nikt z jej ludzi nie zadawał żadnych pytań.

Pustka na stole kartograficznym nagle wydała się groźna.

— Gdzie ona teraz jest? — zapytał Osiem Antidotum. — Co się z nią stało po Kauraanie?

— Och, zrobiliśmy ją *yaotlek* — odpowiedział Jedenaście Wawrzyn, jakby to było coś, co dzieje się każdego dnia — i wysłaliśmy, żeby zginęła bohatersko za Teixalaan i Jej Promienność Dziewiętnaście Ciesak tak szybko, jak to tylko możliwe.



Mahit musiała się czuć potwornie niezadowolona z siebie, by pragnąć zostać sama w swym umyśle, jak w czasach, gdy była dzieckiem pozbawionym imago i wypełnionym tęsknotami, uwolnić się od wspomnień, które dopiero zaczynały należeć do niej, a w dodatku były podwójne, zniekształcone i pełne Teixalaanu. To była wyjątkowo okrutna postać niezadowolenia, objawiająca się leżeniem w łóżku w jej jajowatej kapsule mieszkalnej, gapieniu się na uspokajający łuk białawego sufitu tak obojętnie, jak to tylko możliwe, i niemyśleniu o tym, jak bardzo ma przejebane. Tak wiele wolnego czasu na zastanawianie się nad tym, że ma się przejebane, była prawdziwym luksusem. W Mieście nigdy nie miała czasu, by usiąść i kontemplować budzące się w niej straszliwe objawienie. Cały czas pozostawała w ruchu. Nie miała innego wyjścia. Sufit był bardzo miły i bardzo lselski. Nikt jej tu nie zobaczy. Wszystkie kontrolki nastawiła na „prywatność, tylko w pilnych sprawach”.

<Prędzej czy później musisz wyjść z kapsuły> stwierdził Yskandr. Mahit poczuła się, jakby słuchała wymówek rodzica albo ochronkowego opiekuna. *Prędzej czy później musisz położyć się spać, Mahit.*

— Mogę czekać cały tydzień — odpowiedziała dość głośno. Nikt jej tu nie usłyszy. Nikt się nie zorientuje, że nie jest pojedynczą osobą, lecz podejrzaną, ukrywającą się, zakaźną unią trzech. — A potem ukraść wahadłowiec i uciec do Bramy Anhamemat, zanim radczyni zauważy, że nie przyszedłam na umówione spotkanie. Tak, wiem, że to głupi pomysł, nie, nie zrobię tego. Gdybym zamierzała zdradzić dla ciebie interesy Lsel, Yskandr, zrobiłabym to, gdy jeszcze byliśmy w Imperium.

<A czy zrobisz to dla siebie? Jak myślisz, co Amnardbat zrobi z nami, kiedy się zorientuje, czym jesteśmy?>

To zależy — odpowiedziała w myśli. Czy to ona uszkodziła nas za pierwszym razem, a jeśli tak, to dlaczego? Znasz ją dłużej, Yskandr, więcej lat niż ja.

<Kiedy siedzieliśmy w jej gabinecie, byłaś pewna, że to ona>.

Wtedy się bałam. Zapadła wyczekująca cisza, stan zawieszenia, wyrażająca raczej frustrację niż uznanie rzeczywistego stanu rzeczy. Mahit bardzo się już zmęczyła tym, że połowa jej myśli nie pochodzi od niej. Zadowolony, Yskandr? Bałam się, a ty wylewałeś swoją reakcję na traumę na cały mój układ hormonalny. Jasne, że byłam pewna, iż to Amnardbat jest winna sabotażu. A teraz jestem sama, mogę się zastanowić i nie muszę już kierować się tylko strachem. Muszę...

<Mahit> przerwał jej bardzo delikatnym tonem Yskandr. <Oboje się baliśmy. To normalne. Oddychaj>.

Zaczerpnęła oddech, ale okazał się krótki. Uświadomiła sobie, że od co najmniej minuty oddycha bardzo płytko, szybko i nieskutecznie. Nie zauważyła, kiedy to się zaczęło. Ponowiła próbę. Nadal było jej trudno oddychać tak, jakby jej płuca nie miały za chwilę odmówić posłuszeństwa, jakby nie była uwięziona — bo rzeczywiście była, nawet tutaj, ukryta w bezpiecznej prywatnej kapsule. Nie miała drogi ucieczki. Radczyni Dziedzictwa chciała otworzyć jej czaszkę, a ona nadal... choć minęły już

miesiące, nadal nie rozumiała, co skłoniło Amnardbat do sabotażu, w jaki sposób to zrobiła, ani...

Oddychała głęboko, wciągając i wypuszczając powietrze przez nos. To nie był jej wybór, ale znała (czy może Yskandr znał) uspokajający rytm oddechu. Bardzo rzadko przejmował całkowitą kontrolę nad jej ciałem. Tylko wtedy, gdy było to rzeczywiście konieczne. Ostatnim razem — gdy zrobił to naprawdę — przeprowadził ich bez szkody przez zamieszki, podczas gdy całe Miasto wokół nich ogarnął chaos.

<Proszę> rzekł. <Tlen naprawdę ułatwia myślenie>.

Nagle ujrzała na moment jaskrawy strzępek, pozostałość pierwszego imago, zniszczonego przez sabotaż Yskandra, który nie pamiętał własnej śmierci. Zachował tylko wspomnienia o oczekiwaniu na dziesięciolecia życia w Teixcalaanie, wielką ambicję oraz spryt, który Mahit tak bardzo pragnęła osiąść, wchłonąć w siebie.

Dziękuję.

Ciepło. Wszystkie włoski na jej rękach i nogach uniosły się, a następnie opadły w drżącej fali, jakby jej własny układ nerwowy dotknął jej delikatnie. O tym również nie wspomniano na szkoleniu imagowym. Nic takiego nie znajdowało się na liście tego, czego powinna się spodziewać osoba, której miano wszczepić żywą pamięć, czyniąc ją częścią linii doświadczeń. Nic w szkoleniu Mahit nie przygotowało jej na niezwykle uprzejmości, jakich doświadcza się, dzieląc ciało z przyjacielem.

<Sentymentalizm nie pomaga myśleć klarownie> odezwał się Yskandr.

Wyjątkowo irytującym przyjacielem.

Elektryczny śmiech i nagłe ukłucie bólu w nerwie łokciowym. To już nie zawsze było tylko mrowienie. Czasami ból był prawdziwy.

<Boimy się i jesteśmy tu uwięzieni, a ponieważ nie planujesz opuścić Stacji, jak bohaterki powieści graficznych podobnych do tej, którą kupiłaś... Co zatem zrobimy, Mahit?>

Usiadła i oparła się plecami o zakrzywioną ścianę kapsuły. *To, co należało*

zrobić zaraz po powrocie, Yskandr. Myślę, że powinniśmy powiedzieć Dekakel Onchu, że jej listy do ciebie nie pozostały nieprzeczytane.

Po raz pierwszy od chwili powrotu na Lsel poczuła się żywa. Pobudzona. Ten stan był jednak bliski strachu, a zarazem ekscytacji. Testy predyspozycji wykazały u niej i u Yskandra podobną skłonność do ryzyka. Zawsze uważała, że to warunek konieczny ksenofilii, jaka sprawiała, że ktoś mógł się zakochać w kulturze powoli pożerającej jego własną. Mogło też jednak chodzić o coś prostszego, lecz sięgającego głęboko. *Nie potrafię niczego odpuścić.*

<Ach, więc jednak interesujesz się polityką> stwierdził Yskandr tonem tak bardzo podobnym do tonu jej myśli, że przestrzeń dzieląca imago od dziedzica zanikła na moment w zapowiedzi przyszłego zjednoczenia. Jedno z jej wspomnień powróciło echem. Dwanaście Azalia w jej ambasadorskim mieszkaniu w Mieście, nim jeszcze sprawy zaczęły się toczyć źle, nim Mahit doprowadziła do jego śmierci. *Ach, więc jednak interesujesz się polityką* — rzekł jej wtedy.

Płatku — pomyślała z żalem i sympatią. Nigdy go tak nie nazywała. To było prywatne imię nadane przez Trzy Trawę-Morską mężczyźnie nazwanemu na cześć różowego, ekstrawaganckiego kwiatu. *Tak, pewnie się interesuję.*



To nie był język. Przynajmniej w tej sprawie kapitan „Ostrza Noża” miał rację. Nagranie przechwyconego przekazu nieprzyjacielskiego statku mogło zawierać po prostu fatalne zakłócenia, zapis promieniowania kosmicznego podkręcony do ostrych trzasków. Tak przynajmniej brzmiało to dla niewprawnych uszu Dziewięć Hibiskus. Ostry, nieprzyjemny hałas zapowiadający ból głowy kończył się krzykiem, który miał smak — odrażający, śliski jak olej, oblepiający język smak, od którego dostała mdłości.

Synestezja nie znajdowała się na liście typowych dla Dziewięć Hibiskus zaburzeń neurologicznych. Dźwięki, które powodowały u ludzi spięcie między słuchem a smakiem, były w najlepszym razie nieprzyjemne, a w najgorszym po prostu szkodliwe.

Niemniej wysłuchała nagrania dwa razy i przekonała się, że kapitan „Ostrza Noża” nie mylił się, twierdząc, że nawet jeśli to nie był język, dźwięk reagował na poczynania statku zwiadowczego. To była próba nawiązania komunikacji. Jakiegoś rodzaju. Przy trzecim odsłuchaniu kazała Dwadzieścia Cykadzie, żeby jej towarzyszył. Hałas stawał się coraz głośniejszy i bardziej przenikliwy, aż wreszcie mężczyzna skrzywił się boleśnie i uniósł dłoń do ust, powstrzymując wymioty. Zawsze był wrażliwszy na bliskie otoczenie niż Dziewięć Hibiskus. Nagle, z opóźnieniem, poczuła żal, że kazała mu tego słuchać.

— Jeśli to jest ich mowa, nie potrafię sobie wyobrazić, by ich usta miały sympatyczny kształt — stwierdził, gdy już odzyskał panowanie nad sobą.

Dziewięć Hibiskus ponownie wzruszyła jednym ramieniem.

— Może używają modulatora dźwięku — zasugerowała. — Albo to mechaniczna komunikacja między statkami...

— Albo rozmowa między maszynami.

Zadała sobie pytanie, czy taka możliwość uspokoiłaby Dwadzieścia Cykadę. Maszyny przypadkowo rozmawiające w sposób zakłócający ludzką homeostazę, a nie coś organicznego, co, mówiąc, uszkadzało inne organizmy. Gdyby miała więcej czasu — a teraz miała go jeszcze mniej, bo za godzinę miała się zjawić Szesnaście Wschód-Księżyca, by spróbować rozwiązać polityczne konflikty podczas posiłku — zapytałaby go o to.

— Raczej w to wątpię — stwierdziła tylko. — Widziałeś tę ślinę, która pochłonęła Odprysk? Patrz, już nazywam to śliną. Wyglądała zbyt organicznie. To nie są maszyny.

— Nie możesz być tego pewna — sprzeciwił się Dwadzieścia Cykada.

Skinęła głową.

— Nic nie wiem na ten temat. Potrzebujemy specjalisty od języka. Kto jest naszym pokładowym tłumaczem?

Dwadzieścia Cykada oparł się wygodnie na krześle, splatając dłonie za gładką kopułą głowy, i zacisnął powieki, by skonsultować się ze swym wewnętrznym spisem załogi, który zawsze z łatwością zapamiętywał.

— *Cuecuelihui* Czternaście Kolec. Ta, która była na pokładzie „Ostrza Noża”. Ale ona jest tłumaczką, nie językoznawczynią. Języki zewnętrznego obwodu. To jedna z twoich niby-szpiegów, była w oddziale wysadzonym na Kauraanie. Jest bystra, ale myślę, że lepiej sobie radzi z ludźmi niż z tym, z czym mamy tu do czynienia.

— Nie ona — skwitowała Dziewięć Hibiskus. — Potrzebuję kogoś, kto podejdzie do sprawy bez uprzedzeń. Kto nigdy nie słyszał tego nagrania. — Czternaście Kolec była jedną z jej „niby-szpiegów”. Nie szpiegów, nie miała żadnych szpiegów, chyba żeby liczyć Dwadzieścia Cykadę. Ludzi z Trzeciej Dłoni, gałęzi Ministerstwa Wojny zajmującej się wywiadem, potocznie zwanych „oficerami politycznymi”, żaden kapitan floty nie wybierał celowo do swojej załogi. Czternaście Kolec była po prostu jedną z żołnierzy, których wybrała dla ich cichej charyzmy, znajomości języków albo umiejętności stawania się niezbędnym dla tych, którzy akurat byli w pobliżu. Z reguły nie znajdowali się na ścieżce awansu, lecz mieli stopień *cuecuelihui*, najwyższy dostępny dla specjalistów niebędących oficerami. Ktoś wystarczająco elastyczny, by być zdolnym do niezależnej pracy, lecz równocześnie o silnym charakterze, niezbędnym, by zachować lojalność. Jak metal, który nie robi się kruchy, kiedy się zgina. Tego typu ludzie często potrafili rozmawiać z barbarzyńcami tak swobodnie, że ci zapominali, iż mają do czynienia z *Teixcalaanlitzlim*, dopóki nie zrobiło się za późno. Czternaście Kolec specjalizowała się w kontaktach z barbarzyńcami, nie z obcymi. Nie z czymś, co nie tylko nie było cywilizowane, lecz nawet nie było ludzkie.

— Kto jeszcze?

— Mógłbym ściągnąć resztę ekipy z Kauraanu...

— Nie potrzebuję kogoś, kto wzbudza zaufanie u ludzi, Roju. Potrzebuję kogoś, kto potrafi rozmawiać z obcymi niemającymi ust.

Dwadzieścia Cykada ponownie zasłonił usta, ale tym razem po to, by zamaskować chichot.

— Zatem ty również nie wchodzisz w grę, moja *yaotlek*. Tylko ludzie ci ufają.

Ludzie z Dziesiątego Legionu rzeczywiście jej ufali. Zginęliby za nią, podobnie jak ona oddałaby życie za nich. Na tym polegała kapitańska umowa. Ale reszta jej floty? Jeszcze nie. Szesnaście Wschód-Księżycy ze swym listem podpisanym przez politycznych malkontentów nadal szukała poparcia w pozostałych legionach. Dziewięć Hibiskus była niemal całkowicie pewna, że nie może zaryzykować pożyczenia tłumacza z jakiegoś innego legionu. Najpierw musi się dowiedzieć, do czego zmierza Szesnaście Wschód-Księżycy i jak daleko sięgają jej wpływy. Nie znosiła stąpania po niepewnym gruncie, zwłaszcza odkąd nie mogła już w ostateczności prosić o pomoc minister wojny. Być może zanadto się przyzwyczaiła do tego ułatwienia.

Być może nadszedł już czas, by sprawdzić, jaką *yaotlek* stanie się na własną rękę i jak się zapisze w dziejach Floty.

— To jest zadanie dla Ministerstwa Informacji — stwierdziła i usiadła obok Dwadzieścia Cykady, jakby oboje byli jeszcze zupełnie zielonymi kadetami.

ROZDZIAŁ TRZECI

Górny panel, dwie trzecie strony. Kapitan Cameron i ocalona przez niego archiwistka Dziedzictwa Esharakir Lrut ukrywają się w cieniu zniszczonego karawanseraju. Sypie gęsty śnieg. Esharakir wrzuca do ogniska papiery i kodeksy, których strzegła przez dwadzieścia lat. Płomienie wyglądają jak słowa: teixcalaanlijska poezja, dokumenty Dziedzictwa, być może nawet fragment *Zapisków z Początków Lsel* — powszechnie znany, ale nieco zmieniony. Tajna wersja, ukrywana przez Dziedzictwo przed nami wszystkimi. Kobieta niszczy ją, żeby mogli przeżyć śnieżycę.

Dolny panel, jedna trzecia strony: dłoń kapitana Camerona, łapiąca za płonąca kartę *Zapisków z Początków*. Twarz Esharakir. Kobieta jest spokojna.

CAMERON: Przestań. Esharakir, po co to wszystko, jeśli nie zachowasz tego, co znalazłaś? Przestań...

ESHARAKIR LRUT: To tylko śmieci, kapitanie. Są cenne, ale to nie pamięć. Myślałeś, że przybyliśmy tu po dokumenty? Jacy Stacyjni broniliby dokumentów, kiedy mogą zachować linię imagową, która zginęłaby bez nich? Mam wszystko, czego potrzebujesz.

Tekst graficznej powieści *NIEBEZPIECZNA GRANICA!* tom 1, rozprawdzanej przez małe lokalne wydawnictwo PRZYGODY/SMUTKI na Poziomie Dziewiątym, Stacja Lsel

* * *

[...] posiłki, suplementy dla hydroponiki (substytuty mięsa, substytuty tauryny) — dwanaście kontenerów; posiłki, suplementy dla hydroponiki (suszone

owoce) — jeden kontener; pociski (do broni ręcznej) — trzy kontenery; (pociski (do dział naziemnych) — cztery działa [...]

środki przeznaczone dla Floty. Sektor Łuku Zachodniego (strona dziewiąta z pięćdziesięciu dwóch)

Prośba przybyła we wczesnych godzinach rannych. Dlatego to trzeci podsekretarz Ministerstwa Informacji, która spała albo nie spała (znowu nie spała) w swym gabinecie, otrzymała ją pierwsza. Trzy Trawa-Morska zobaczyła wiadomość przemykającą przez wewnętrzną sieć Ministerstwa Informacji, jasny, szaro-złoto-czerwony impuls w górnym lewym kwadrancie obrazu łącza chmurowego, *priorytet dziewiętnaście* w kolorach Ministerstwa Wojny. Coś takiego nie pokazałoby się w informacjach zwyczajnej *asekrety*. Przed trzema miesiącami nie miałyby szans zobaczyć tej wiadomości.

(Trzy miesiące temu, nawet gdyby jakimś cudem udało się jej osiągnąć wysoką pozycję w ministerstwie i otrzymać maleńki pokój z maleńkim okienkiem, tylko piętro niżej niż gabinet samej minister, Trzy Trawa-Morska spałaby we własnym domu i wiadomość umknęłaby jej uwagi. Tutaj jednak usprawiedliwiała patologiczną bezsenność, nazywając ją chwalebnią aktywnością, która pozwoli jej uporać się z problemem, nim ktokolwiek inny zdąży się obudzić; do tego czasu z pewnością wykona już połowę dziennej normy).

Wiadomość pojawiła się znowu, mrugając. Nikt inny jej nie odbierał. Wiadomości o priorytecie dziewiętnaście wyświetlały się cztery razy, po czym przenosiły się do prywatnego łącza chmurowego pierwszego podsekretarza, zgodnie z zasadą, że na pilną wiadomość od kogoś zajmującego wysoką pozycję w innym ministerstwie ktoś powinien szybko odpowiedzieć, bo w przeciwnym razie będzie blokowała przepływ informacji docierających do wiceszefa. Jeśli wiadomość pojawi się jeszcze raz, Trzy Trawa-Morska będzie mogła bezpiecznie o niej zapomnieć, do chwili, gdy sprawa, o którą chodziło,

opadnie na Ministerstwo niczym mgła pyłku, drażniąc błony śluzowe wszystkich...

Nawet twoje aluzje są teraz okropne. Mgła pyłku? Z tego nie da się zrobić porządnego wiersza...

Dwa i pół miesiąca temu napisała porządny wiersz, lament po swym najbliższym przyjacielu, który zginął w głupi i niepotrzebny sposób. A później... no cóż, pierdolona mgła pyłku i luksusowe więzienie, jakim był ten gabinet.

Uniosła wzrok minimalnie w lewo i w górę, uznając wiadomość za swoją.

Po dwudziestu minutach, gdy do jej pomieszczenia zaczęło napływać światło świtu, opadając ekstrawaganckimi, utrudniającymi widzenie snopami na obraz jej łączka chmurowego, Trzy Trawa-Morska zakończyła pracę nad czymś, co było jej drugim najgłupszym pomysłem w ciągu całej kariery w Ministerstwie Informacji. Towarzyszył jej pełen determinacji i radości głos Siedem Monografu, śpiewającego najnowszą wersję „Pieśni o odzyskaniu numer 5” (ten sam utwór od trzech pierdolonych tygodni, ale przynajmniej Trzy Monograf świetnie sobie radził z prozodią i naśladownictwem, nawet jeśli piosenki często zapisywały mu się w głowie na długo i dzielił się wtedy nimi z całym biurem... ale nikt nie powinien śpiewać dwóch linii melodycznych jednocześnie bez sztucznej pomocy, a niektórzy nie powinni nawet próbować), jak co rano dobiegający z korytarza. Trzeci podsekretarz (a właściwie każdy z sześciu podsekretarzy) miał prawo zlecać pracownikom ministerstwa wykonanie próśb o priorytecie dziewiętnaście, a to była naprawdę niezwykła prośba. *Yaotlek* Dziewiętnaście Hibiskus, przebywająca na granicach przestrzeni teixcalaanlijskiej, chciała, żeby przydzielono jej specjalistę od pierwszego kontaktu, mającego dyplomatyczne doświadczenie. I to na wczoraj. Miał on spróbować nawiązać rozmowę z niezrozumiałymi obcymi, tymi samymi, których Mahit Dzmare wykorzystywała do powstrzymania wojny domowej, podczas gdy Trzy Trawa-Morska gapiała się na to, uwięziona w niezwykłym przyciąganiu swej barbarzyńskiej ambasadorki.

W jej łączu chmurowym zapulsowało bladozłote światło. Dostała wiadomość.

Patrycjuszka pierwszej klasy Trzy Trawa-Morska, asekreta, trzeci podsekretarz minister informacji Cztery Aloes została przeniesiona na tymczasową pozycję emisariuszki oddelegowanej do Dziesiątego Legionu, na okręcie klasy „Wieczny” „Ciężarek u Koła”, pod dowództwem yaotlek Dziewięć Hibiskus. Proszę zameldować się na przydzielonym środku transportu w kosmoporcie centralnym o zachodzie słońca dnia 187.1.1–19A (DZISIAJ). Pensja: pozostaje bez zmian; uprawnienia: pozostają bez zmian; czas trwania przydziału: trzy miesiące, z możliwością nieograniczonego przedłużenia. Przydzielający funkcjonariusz: Trzy Trawa-Morska, trzeci podsekretarz minister informacji Cztery Aloes. Jeśli masz pytania dotyczące przydziału, skontaktuj się z funkcjonariuszem przydzielającym. Żeby zaakceptować przydział, odpowiedz na tę wiadomość...

Ostatnia szansa — pomyślała Trzy Trawa-Morska. Ostatnia szansa, żeby się cofnąć. Ostatnia szansa, żeby uniknąć bardzo nudnej rozmowy dyscyplinarnej po powrocie.

Mrugnęła odpowiedzi potwierdzającą, nim zdążyła się powstrzymać. Poczwała dziwne uniesienie, jakby już opuściła planetę i była nieważka, lecz jednocześnie przerażała ją myśl, że to się dzieje naprawdę. Pomyślała o Jedenaście Tokarce, jej poetyckim wzorze, jej bohaterze, który pisał *Listy z nieodgadnionej granicy*, wśród swoich obcych, Ebrekti. Czy mogła sobie poradzić gorzej od niego? Z pewnością, ale być może nie spektakularnie gorzej. *Kurwa, patrz teraz na mnie* — pomyślała z goryczą pomieszaną z radością uciszonym na wieki głosem Dwanaście Azalii. To właśnie była pierwsza najgłupsza myśl w całej jej dotychczasowej karierze: niezachwiane przekonanie, że Ministerstwo, któremu służyła razem z Dwanaście Azalią, ochroni ich przed bezsensownością, nawet w obliczu zagrażającej wojny domowej. To przekonanie doprowadziło do bardzo głupiej decyzji. I to nie ona zginęła z jej powodu.

Nie ona i nie Mahit Dzmare. Mahit, która raz pocałowała Trzy Trawę-Morską, w fazie szybkiej asymilacji, szybszej niż u jakiegokolwiek barbarzyńcy spotkanego dotąd przez *asekretę*. Tęskniła za nią. Być może powinna coś w tej sprawie zrobić, skoro już postanowiła dla dobra Imperium wysadzić w powietrze swą dopiero się zaczynającą karierę polityczną.

Kiedy Mahit ostatnio zamieszała się w dworską politykę — czyż radcy rządzący Lsel nie byłiby wściekli, gdyby porównano ich do teixcalaanlijskiego dworu cesarskiego z jego nieustannymi zdradami i intrygami, tak często oczernianego we wszystkich lekko antyimperialnych holodramatach — nie była świadoma znaczenia upływającego czasu. Teraz, gdy miała na nogach buty o miękkich podeszwach i krążyła bezgłośnie po korytarzach Stacji po z pozoru przypadkowej trasie mającej ją zaprowadzić do centralnego hangaru, niemalże słyszała odliczanie upływających sekund. Miała w maksymalnie sześć dni, nim radczyni Amnardbat wezwie ją do neurologicznego gabinetu, sześć dni (w najlepszym przypadku), nim wszyscy na Lsel dowiedzą się, że nosi w umyśle nie jedną, lecz dwie imagowe wersje Yskandra Aghavna.

<A w najgorszym przypadku?>

Umrzemy na stole operacyjnym. Otworzą czaszkę, a skalpel neurochirurga z Dziedzictwa omsknie się i przypadkowo (z pewnością przypadkowo) przetnie rdzeń kręgowy. Nadal czuła ból w bliźnie pozostałej po wszczepieniu przez Pięć Portyk maszyny imagowej zmarłego Yskandra. Zapuściła włosy, żeby ją zakryć. Od lat nie były takie długie.

<Potrafię sobie wyobrazić gorsze rzeczy> stwierdził Yskandr z nadmierną dawką nerwowej wesołości.

Nie ró b tego.

Zegar istniał również w Mieście. Uruchomiła go w chwili, gdy zajęła się badaniem przyczyn śmierci swego poprzednika. A może zrobił to Yskandr o wiele wcześniej, gdy zaproponował wybitnemu, umierającemu cesarzowi maszynę imagową i wieczne życie. To było tak, jakby nastawił detonator ładunku wybuchowego. Mahit nie zauważyła jednak, że czas przyśpiesza, a liczba stojących przed nią opcji się zmniejsza, nim spędziła w Teixcalaanie kilka dobrych dni. Teraz przynajmniej widziała przed sobą potężny mur nieprzekraczalnego terminu. Nie powinna czuć się zaskoczona.

<Radczyni Onchu nie prowadzi biura> wyszeptał do niej Yskandr, gdy otworzył się przed nimi hangar Stacji, ruchliwa jaskinia pełna statków. <A przynajmniej nie robiła tego, kiedy ją znałem. Lubi przebywać wśród swoich ludzi. Tu nie będzie jakiegoś określonego miejsca, do którego musisz się udać...>

Nie chodzi mi o umówione spotkanie, Yskandr. Chcę z nią porozmawiać. Idziemy do baru.

Nadal czuła jego śmiech, jak elektryczne mrowienie spływające wzdłuż jej nerwów, tak samo jak zawsze, tyle że teraz po dotarciu do palców u dłoni zlewał się z neuropatycznym bólem w nerwach łokciowych. Właściwie już się do tego przyzwyczaiła, w takim stopniu, w jakim to było możliwe. Dopóki wrażenie nie będzie się rozszerzało ani przechodziło w odrętwienie, nic jej nie grozi. To niczego nie zdradzało. Bardzo niewiele osób wiedziało, co spotkało ją i Yskandra w Teixcalaanie, a wszyscy oni... no cóż, byli nią i Yskandrem, połączoną osobowością, którą czasami udawało się im stać, albo przebywali w Klejnocie Świata.

Tym razem wybrała inny bar niż poprzednio. W latach młodości, a także podczas studiów, nie miała w zwyczaju odwiedzać barów dla pilotów. Wyniki testów predyspozycji z dziedziny geometrii przestrzennej bardzo wcześnie wykluczyły ją z listy kandydatów do wszczęcia imago pilota i nigdy nie

opuściło jej wrażenie, że wszyscy oni wiedzą, że nie jest wystarczająco dobra, by do nich dołączyć.

Teraz jednak owo wrażenie wydawało się jej pozostałością po innej, niedojrzałej Mahit, pełnej dziecinnych pragnień i obaw. Mahit, którą była obecnie, chciała się napić, a konkretnie chciała się napić z Dekakel Onchu, radczynią, która lubiła się spotykać ze swymi ludźmi. A to był jej ulubiony lokal. W wielu serwisach informacyjnych Lsel można było zobaczyć, jak stąd wychodzi.

Nietrudno było ją znaleźć. Serwisy informacyjne nie kłamały. Siedziała przy barze. Jego matowy, chromowany blat pokrywały rysy pozostawione przez szklanki, graffiti i resztki pierwotnego wzoru, przedstawiającego diament, z którego wyłaniają się wachlarzowe kształty. *Co to za kwiat?* — pomyślała Mahit po teixcalaanlijsku i Yskandr skarcił ją wspomnieniem tego, jak bardzo popularny był ów wzór wśród pilotów na Lsel w czasach, gdy sam był nastolatkiem i przygotowywał się do testów predyspozycji. Zatrzymała się tuż na lewo od wejścia, pozwalając, by drzwi zamknęły się za nią, i skryła się w cieniu, gdy po chwili do środka weszła grupka prawdziwych pilotów. Onchu nie była ubrana jak radczyni, lecz jak jedna z nich. Włosy przystrzyżone do krótkiej szczeciny, jaskrawa szminka na ustach i na brzegu szklaneczki, a wokół oczu bruzdy wyraziste jak promienie słońca. Nie rozmawiała z nikim, po prostu piła sobie w towarzystwie mężczyzny siedzącego na prawo od niej. Oboje milczeli, a po jej drugiej stronie był wolny stółek.

<Jak chcesz to rozegrać?>

Myślę — odpowiedziała Mahit wewnątrz swego umysłu, tego dziwnego, pełnego ech miejsca, w którym czasami była sobą, a w innych chwilach sobą i jednocześnie Yskandrem Aghavnem — *że powinieneś powiedzieć jej „cześć”*.

Nie przejął kontroli nad jej ciałem, jak zrobił to w Teixcalaanie i w kapsule, gdy wyprowadził ją z bezsensownej paniki. Po prostu wsunął się w jej

miejsce, pomagając im przypomnieć sobie sposób chodzenia, którego nigdy nie stosowali, i środek ciężkości inny niż ten, który mieli. Uśmiech szerszy niż uśmiech Mahit i charakterystyczny sposób opierania się na jednym łokciu, gdy podeszła do baru i usiadła obok Dekakel Onchu.

— Radczyni — powiedział Yskandr (powiedziała Mahit, przestrzeń między nimi była zaledwie wąziutką szczeliną między myślą a działaniem) — dawno się nie widzieliśmy. Szesnaście lat, zgadza się?

Onchu zamrugła. A potem zamrugła raz jeszcze, powoli opuszczając i rozchylając powieki, gdy przyglądała się z uwagą nieznanym kobiecie.

— Jest kilka osób, które mogłyby zwrócić się do mnie w ten sposób, ale tylko jedna wystarczająco beczelna, by rzeczywiście to zrobić. Cześć, Mahit Dzmare.

Mahit rozciągnęła usta w uśmiechu Yskandra.

— Cześć, radczyni Onchu. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebym się czegoś napiła?

— To jest bar dla pilotów, ale nie sprawdzamy przy wejściu imago, żeby się upewnić, czy jesteś członkiem. Jaka jest twoja ulubiona trucizna?

<Ahachotiya>.

Nie będziemy pili sfermentowanych owoców. Już nigdy. Poza tym jesteśmy na Lsel i chciałam, żebyś powiedział „cześć”, a nie popisował się udawaniem Teixcalaanlitzlim.

<Zamów coś. Patrzy na nas>.

— Wódka — odpowiedziała Mahit. — Zimna.

Onchu skinęła na barmana, który wyciągnął schłodzoną szklaneczkę i butelkę wódki, tak zimnej, że wydawała się gęsta i lepka.

— Jeśli chodzi o trucizny, mogłabym cię polubić.

— Tylko jeśli chodzi o trucizny?

Onchu uśmiechnęła się, odsłaniając białe zęby, kontrastujące z ciemną szminką na wargach.

— Co do reszty, okaże się. To ciekawe, Dzmare, myślałam, że pokażesz się

znacznie wcześniej. Albo wcale.

Mahit wzruszyła ramionami. Ten gest nadal bardziej kojarzył się z Yskandrem niż z nią.

— Nie chciałam kazać ci czekać, radczyni.

— Nie czekałam.

Rozmowa z Dekakel Onchu przypominała próby wzięcia na cel szybko obracającego się wokół osi statku. Wydawało się, że radczyni jest tuż obok, ale zmieniała się za szybko, pokazując wciąż nowe twarze. *Stań się lustrem* — pomyślała Mahit (zalew wspomnień, ostry jak zapach, smak teixcalaanlijskiej herbaty, światło w dawnych gabinetach Dziewiętnaście Ciesak).

— Wysłałaś do mnie... no cóż, nie do mnie. Wysłałaś kilka wiadomości do ambasadora Lsel. Muszę wyznać z żalem, że dotarły do mnie, nie do mojego poprzednika.

Mina, jaka pojawiła się nagle na twarzy Onchu — wargi się zacisnęły, a jeden kącik ust uniósł się w błyskawicznym, ledwie dostrzegalnym uśmiechu, który zniknął zbyt szybko, by określić, czy wyrażał zadowolenie, czy wręcz przeciwnie — przypomniał Mahit, jak się czuła za każdym razem, gdy świat (to znaczy Imperium, nawet myśląc po stacynemu nie potrafiła uciec przed teixcalaanlijskim połączeniem tych dwóch słów w jedno) przesunął się, zmienił postać. Jakaś nowa informacja, wiedza niosąca ze sobą kolejny ładunek grozy, wsunęła się na właściwe miejsce. Wiedziała, że nagły przyływ sympatii, który poczuła, na nic się jej nie przyda. Niemniej był realny.

Onchu pociągnęła łyk piwa, niezbyt duży, ale i nie za mały. To był zupełnie normalny gest. (Kurwa, jak to możliwe, że jedna rozmowa z radczynią dziedzictwa wprowadziła ją w tryb czujnej obserwacji, który pomagał jej przetrwać w Mieście i którego bardzo pilnie starała się oduczyć, by móc sobie wyobrazić, że wróciła do domu).

— To ciekawe — stwierdziła radczyni. — Sądząc po tym, jak

zachowywałaś się do tej pory, spodziewałam się, że te listy trafiły do biura przesyłek niedoręczonych.

— Czytałam je — zapewniła Mahit. — Hm... i bardzo się wtedy ucieszyłam, że ktoś inny potwierdza coś, co zauważyłam.

— Dopij wódkę — rzekła jej Onchu. — Pójdziemy się przejść.

<Och, zainteresowała się tobą> stwierdził Yskandr.

Świetnie — odpowiedziała, po czym, ponieważ i tak słyszał wszystkie jej myśli i nigdy już nie była sama, dodała: *Sprawdźmy, czy to zainteresowanie jak zwykle oznacza, że uważa, iż lepiej by było, gdybym nie żyła.*

Ciepłe mrowienie śmiechu imago sprawiło, że wódka paliła jej gardło jeszcze silniej niż zwykle.

— Dokąd, radczyni?

— Myślę, że oprowadzę cię po hangarze. Podczas tej zmiany mam odbyć inspekcję. Chodź. Sporo się nauczysz.

Mahit była już nieraz w hangarze Stacji Lsel, ale zawsze jako pasażerka opuszczająca Stację albo na dorocznych ćwiczeniach ewakuacyjnych, obowiązkowych dla wszystkich mieszkańców. Wejście do ogromnej hali — wypełnionej kakofonią rozmów, łoskotem i zgrzytem maszynierii oraz głośnym szumem chłodzących wentylatorów — było jednak doświadczeniem zupełnie innego rodzaju. Nikt nie musiał mówić Dekakel Onchu, dokąd ma iść. Poruszała się między swoimi ludźmi, jakby nigdy nie pragnęła piastować urzędu i zajmować się stanowieniem praw. Mahit szła tuż za nią, czując się nieprzyjemnie czysta i wolna od stwardnień na rękach. Wszędzie widziała części statków kosmicznych, przy których pracowali Stacyjni, rozumiejący je równie dobrze, jak Mahit pojmowała kadencję teixcalaanlijskiej poezji.

— Co sobie pomyślałaś, kiedy przeczytałaś moje listy? — zawołała do niej Onchu, przekrzykując hałas wentylatorów.

— Że musiałaś mieć poważne powody, by wysłać takie ostrzeżenie — odparła Mahit. — Nieautoryzowany komunikat, który, gdyby trafił w ręce

ambasadora Aghavna, oznaczałoby, że oficjalny ambasador Stacji jest dla niego zagrożeniem.

— Wiem, co zrobiłam — zapewniła Onchu. — Nie musisz mi udowadniać, że jesteś kompetentna i potrafisz się tego domyślić.

Posuwały się powoli naprzód, idąc zygzakiem przez hangar. Dokowała w nim połowa krótkozasięgowych transportowców Stacji Lsel. Załadowywano je albo rozładowywano — typowe minerały i czysty molibden oraz mniej typowe (przynajmniej dla oczu Mahit, która zdawała sobie sprawę, że wie na temat towarów eksportowanych przez Stację Lsel znacznie mniej, niżby tego chciała) palety z prasowanymi wodorostami, suszonymi rybami czy ryżem... na większości z nich widniały teixcalaanlijskie stemple importowe. Wyglądało na to, że stacja karmi imperialne okręty, które przelatywały przez Sektor Bardzravand, zmierzając na wojnę, która zaczęła się niemal natychmiast po powrocie Mahit na Stację.

<Na wojnę, którą zaczęliśmy> wyszeptał Yskandr.

Na wojnę, którą zaczął radca Tarats, żeby nas uratować — odpowiedziała w duchu Mahit i nagle przestała myśleć, bo zorientowała się, że Dekakel Onchu przygląda się jej uważnie, obserwuje każdą zmianę w jej języku ciała, wypatrując śladów Yskandra albo nie-Yskandra. (Wypatrując dowodów sabotażu). Jednocześnie nie przestawała poruszać się wśród swoich ludzi, zatrzymując się od czasu do czasu, by skomentować pracę nad jakimś elementem bądź po prostu powiedzieć „cześć” zajętemu nią pilotowi lub inżynierowi.

Niektórzy cesarze władają bardzo ciasnymi przestrzeniami i mogą w całości wypełnić je sobą — pomyślała Mahit.

— Co kazało ci podejrzewać Dziedzictwo? — zapytała tak bezpośrednio, jak to tylko możliwe, gdy przechodziły obok kadłuba, przy którym trwały wyjątkowo hałaśliwe prace remontowe.

Onchu prychnęła pogardliwie.

— To nie był Tarats, a pozostali członkowie Rady nie mieli dostępu ani

motywów. Któż mógłby to zrobić, jeśli nie osoba sprawująca kontrolę nad naszymi wspomnieniami, odpowiadająca za nasze bezpieczeństwo i spistość?

— Kulturowe bezpieczeństwo — dodała Mahit.

— Amnardbat jest patriotką — odpowiedziała Dekakel Onchu, która jako pilotka walczyła w obronie Stacji Lsel. Mahit nie wątpiła też, że radczynie oddałyby życie za swych pilotów, a co za tym idzie za całą stację. Czekala, chcąc się przekonać, czy Onchu ma coś jeszcze do dodania. W ciszy, która między nimi zapadła, brzęk metalu uderzającego o metal wypełniał cały świat. — Wychodzi na to, że ja również nią jestem — podjęła wreszcie Onchu, ledwie dostrzegalnie wzruszając jednym ramieniem. — Dziedzictwo nie powinno podejmować jednostronnych decyzji w dyplomatycznych kwestiach. Jesteśmy Radą składającą się z sześciu osób, a jeśli dojdzie do remisu, rozstrzygający głos mają Górnicy, nie Dziedzictwo.

— Co mi zrobiła radczynie Amnardbat? — zapytała Mahit, czując się dokładnie tak przygnębiona, jak tego chciała. To znaczy bardzo.

— Ach, zatem udało się jej — odrzekła Onchu. Mahit z wysiłkiem powstrzymała chichot, bezradna i przerażona. Radczynie nie była pewna. Tylko się domyślała, że doszło do sabotażu, ale mimo to uznała, że warto ostrzec zmarłego Yskandra.

— Ktoś to zrobił — zdołała wykrztusić, będąc na granicy hysterii. — I to skutecznie. Myślałam, że to moja wina. Neurologiczna wada. Czasami się zdarza, że imago się nie przyjmuje.

— Nie ty jedna — odparła Onchu. — Nie poruszasz się tak, jak Mahit Dzmare, którą znałam.

To prawda. Nie poruszała się. A przedtem demonstrowała to ostentacyjnie i zapewne nadal było to widać. Sama nie była pewna, jak właściwie się porusza. Ani czy w ogóle kiedykolwiek robi to tak, jak osoba, którą była dawniej.

— Część uszkodzeń okazała się odwracalna — odpowiedziała. Właściwie nie było to kłamstwem. Tylko bardzo niewielkim fragmentem prawdy.

— W mniej skomplikowanej sytuacji wysłałabym cię na bardzo dokładne badania, żeby zweryfikować możliwość odzyskania funkcjonalności — oznajmiła Onchu. — Nie znoszę tracić linii imagowych z powodu uszkodzenia neurologicznego, a piloci... no cóż, w głowę można się urazić na wiele różnych sposobów. Dobrze byłoby poznać sposób na odtworzenie linii, która zdołała przetrwać podobny incydent. Ostatnio tracę zbyt wielu ludzi.

— W mniej skomplikowanej sytuacji nie byłoby czego badać — odparła Mahit głosem tak pozbawionym wyrazu, jakby język usechł jej w ustach.

Onchu parsknęła śmiechem, ledwie się przebijającym przez wizg piły do cięcia metalu, i pomachała ręką do obsługującego ją mężczyzny, który wyszczerzył zęby w uśmiechu, wykonał gest znaczący „wszystko w porządku” i wrócił do pracy.

— Komplikacje przygniatają nas wszystkich, Dzmare. Powiedz mi, co spowodowało, że wreszcie ruszyłaś tyłek i przyszedłaś do hangaru.

Za sześć dni będę miała całkowicie przejebane. To jednak byłoby zbyt otwarte wyzwanie. Zabrzmiałoby jak prośba o azyl. Próbowала tego w Teixcalaanie i oto, co jej to dało. Powrót do domu, który nigdy już nie będzie domem.

<Spójrz, co to dało Dziewiętnaście Ciesak. Jej PromiЕННОści>.

Mahit go zignorowała. Yskandr — ona również, ale głównie Yskandr — miał w zwyczaju sypiać z cesarzami. A przynajmniej sypiać obok cesarzy bądź protocesarzy, gdy ci zajmowali się pracą, nie mogąc zasnąć. To był bardzo niepokojący zwyczaj. A nawet jeśli Onchu rzeczywiście martwiła się tym, że traci zbyt wiele linii imagowych, że zbyt wielu pilotów ginie w czarnej pustce, gdzie czają się obcy Taratsa, gdyby tajemnica podwójnego imago Mahit wyszła na jaw, Piloci nie zasługiwaliby na jej zaufanie w większym stopniu niż Dziedzictwo.

Nikt nie może się dowiedzieć.

<Zaczynasz rozumieć, dlaczego nigdy tu nie wróciłem>.

Nie teraz, Yskandr.

— Dziedzictwo ruszyło tyłek i pomyślałam, że muszę zrobić to samo — odpowiedziała. — A czy mogłabyś mi powiedzieć, co chciałaś osiągnąć, ostrzegając przede mną Aghavna?

Onchu zacisnęła mocno usta, aż upodobniły się do ciemnoczerwonej rany ociekającej krwią.

— Patriotyzm — powtórzyła. — Zapytaj swoje imago, jeśli nadal możesz to zrobić, jeśli zachowałaś coś więcej niż pamięć mięśniową, o Darja Taratsa i jego filozofię imperium. Jeśli później będziesz miała więcej pytań... piję w tym barze regularnie co siedem zmian. Wpadnij tu.

Darj Tarats? — zapytała w myślach Mahit.

<O kurwa> padło w odpowiedzi.

Oficjalny posiłek na „Ciężarku u Koła” był starannie zaplanowaną imprezą, tańcem protokolarnym, z góry zdeterminowaną serią wydarzeń zaczynającą się od wejścia oficera dowodzącego, a kończącą rytualną libacją na cześć cesarza. Kilka kropli alkoholu zastępowało krew w tej późnej, schyłkowej epoce, choć Dziewięć Hibiskus raczej nie zaliczała się do kapitanów floty, którzy woleli wlać własną krew do miski w imię tradycji, zamiast poświęcić ostatni łyk torfowego trunku. To był bardzo mały oficjalny posiłek. Tylko cztery krzesła ustawione wokół stołu w sali konferencyjnej, pośpiesznie przystrojonej chorągwiami Dziesiątego Legionu, oraz talerze ozdobione wykonanymi techniką *cloisonné* eksplodującymi gwiazdami czarno-złotej barwy, jak chorągwie. Dziewięć Hibiskus miała na sobie ten sam strój, co w chwili, gdy słuchała obrzydliwych dźwięków wydawanych przez obcych, to znaczy codzienny mundur z symbolami jej nowej rangi na kołnierzu — nie tylko czterema gwiazdami kapitana floty, lecz również patkami w kształcie

łuków włócznie *yaotleków*, wyglądającymi tak, jakby szczyt tronu cesarskiego ucięto i obrócono na bok.

Gości sadzano najpierw. Dlatego, gdy Dziewięć Hibiskus i Dwadzieścia Cykada weszli do sali, Szesnaście Wschód-Księżycy i jej adiutant, pierwszy *ikantlos* Dwanaście Fuzja-Jądrowa siedzieli już nad pustymi talerzami, czekając na ich napełnienie niczym padlinożerne ptaki. *Yaotlek* nigdy dotąd nie spotkała jej osobiście, widziała tylko holografy. Dwudziestego Czwartego Legionu i jej Dziesiątego nigdy przed tą kampanią nie rozmieszczono w tym samym sektorze przestrzeni. Szesnaście Wschód-Księżycy była wysoka, a jej skóra i włosy miały taką samą barwę, jakby odbito ją w mennicy — kolor księżycy, gdyby księżyc był monetą. Błada twarz, proste, jasne włosy, błyszczące jak elektrum. Na to uroczyste spotkanie rozpuściła warkocz, w który zwykle je splotała. Według oficjalnych danych była pół indykcji młodsza niż Dziewięć Hibiskus. Te trzy i pół roku różnicy oznaczały, że nigdy nie spotkały się jako kadetki. Sprawiała wrażenie spokojnej, a jednocześnie głodnej.

— *Yaotlek* Dziewięć Hibiskus, kapitan floty Dziesiątego Legionu Teixcalaanlijskiego — wyszeptał żołnierz pełniący obowiązki stewarda. Szesnaście Wschód-Księżycy i jej prawa ręka pokłonili się nisko, składając przed sobą koniuszki palców.

— Witajcie na pokładzie „Ciężarka u Koła” — rzekła Dziewięć Hibiskus.

— Zaszczyca nas to przywitanie — odparła Szesnaście Wschód-Księżycy, zgodnie z wymogami protokołu. — Twoja gościnność nie ma granic, jak gwiazdy, *yaotlek*, i jest równie świetlista.

Dziewięć Hibiskus usiadła. Stół był tak mały, że siedzące za nim osoby niemalże stykały się łokciami, pomijając tylko Dwadzieścia Cykadę, który był na to za chudy. Żołnierz stojący w drzwiach skinął lekko dłonią i kolejny członek załogi przyniósł prawdziwy chleb. Na każdym okręcie było trochę mąki i drożdży, niezbędnych do szczególnych rytuałów gościnności wymagających takich produktów, a także bardzo jasny trunek produkowany

z pszenicy, tak mocny, że można się było upić tylko od jego wachania — blask gwiazd, napitek cesarzy. Jego również można było znaleźć na każdym okręcie (choć na niektórych więcej niż na innych; Dziewięć Hibiskus dbała o to, by „Ciężarek u Koła” zawsze był dobrze zaopatrzony).

Gdy planowała ten posiłek — strategiczny obiad, klasyczne zagranie typu wiem-że-wiesz-że-wiem, żeby Szesnaście Wschód-Księżycy miała się nad czym zastanawiać, jedząc chleb — zamierzała zacząć od listu żądającego wyjaśnienia, dlaczego tak długo zwleka z zaatakowaniem nieprzyjaciela. Od tego, że wiedziała o liście, nim jeszcze oficjalnie go otrzymała, i w ten sposób przeciąć pęciny małego politycznego manewru Szesnaście Wschód-Księżycy i zostawić go na ziemi, żeby się wykrwawił. Później jednak usłyszała obcych. Ujrzała, jak ich ślina pochłania jej ludzi.

— Kapitanie floty — zaczęła. Szesnaście Wschód-Księżycy pochyliła lekko głowę. — Przed mniej więcej godziną, podczas waszego lotu do nas, nieprzyjacielskie siły zaatakowały nas po raz pierwszy.

Na twarzy Szesnaście Wschód-Księżycy pojawiła się jakaś reakcja, ale trudno ją było zinterpretować. Dwanaście Fuzja- -Jądrowa był bardziej bezpośredni. Odstawił ze stukiem szklaneczkę z blaskiem gwiazd.

— I jesz z nami obiad? — zapytał. — Dlaczego nie jesteś na mostku?

— Dlatego, że jesteście moimi gośćmi, a moi kapitanowie floty, zwłaszcza ci pełni zapału, będą dla mnie najlepszymi narzędziami podczas kampanii, która teraz zacznie się na dobre — odwarknęła Dziewięć Hibiskus. To właśnie był punkt, w którym powiedziała im „wiem, co zrobiliście”. Jeśli będzie działać wystarczająco szybko, może obejdzie się bez pełnej reprimendy. Szesnaście Wschód-Księżycy była kapitanem floty, a Dziewięć Hibiskus będzie potrzebowała pełnego wsparcia Dwudziestego Czwartego Legionu. Mówiąc z brutalną szczerością, przydałyby się jej trzy szóstki legionów, a nie tylko jedna, standardowo przydzielana *yaotlekom*. Nieznana liczba obcych, siły wystarczająco potężne, by uciszyć całe planety, a ona miała tylko jedną szóstkę. Ale radziła już sobie z przewagą liczebną przeciwnika. Na przykład

na Kauraanie, a właśnie tej kampanii zawdzięczała obecny przydział, choć dopiero się okaże, czy powinna się z niego cieszyć. — Poza tym — dodała, odrywając zębami kawałek chleba — nieprzyjaciół, który odważył się nas zaatakować, został całkowicie zneutralizowany. Nie tocymy w tej chwili walki, Dwanaście Fuzjo-Jądrowa. Myślisz, że gdyby tak było, pozwoliłabym, żeby twój kapitan floty i ty narażali życie, lecąc na nasz okręt?

— Nie — odpowiedziała Szesnaście Wschód-Księżycy, uciszając podkomendnego ostrym skinieniem dłoni. — Masz co najmniej o połowę za mało legionów, żeby tracić jeden z nich dla obiadu strategicznego, *yaotlek*. Nie jesteś też głupia.

To było naprawdę niezłe, z ust kobiety, która — formalnie rzecz biorąc — była jej podkomendną.

— Głupota nie jest czymś, o co z reguły mnie oskarżają — zgodziła się Dziewięć Hibiskus, odgryzając kolejny kawałek chleba. Był kwaśny i pyszny, a skórkę miał tak twardą, że raniła jej miękkie podniebienie. Jedząc go, odsłaniała zęby, i zauważyła, że Dwadzieścia Cykada zerka na nią z lekkim wyrzutem. Jednakże dobre maniery z pewnością nie były tym, co chciała w tej chwili zademonstrować. Jej celem było wywołanie wrażenia szybkiego ruchu i głodu. — Holonagranie starcia jest już na waszym wahadłowcu. Będziesz mogła je obejrzeć w drodze powrotnej, kapitanie floty — ciągnęła. — Dwudziesty Czwarty Legion dołączy do nas na czele Floty, na wypadek, gdyby znowu zaatakowały nas te plujące rozpuszczającą statki śliną stwory. Będziemy gotowi, przy waszej biegłej pomocy. Dwadzieścia Cykado, puść nagranie dźwiękowe.

Ostrzegła go, że to zrobi. Nie była okrutna. (Zauważyła też, że nic nie jadł i pociągnął tylko obowiązkowy łyżeczek blasku gwiazd. Miała nadzieję, że sama zdoła zatrzymać w żołądku zjedzony chleb).

— Odebraliście transmisję? — zaczęła Szesnaście Wschód-Księżycy. Nagle znowu rozległy się ohydne dźwięki wydawane przez obcych i Dziewięć Hibiskus z przyjemnością zauważyła, że twarz drugiej kobiety zrobiła się

jeszcze bledsza niż zwykle, a jej usta zamknęły się nagle, by powstrzymać napływ żółci.

— Wysłałam po tłumacza z Ministerstwa Informacji — oznajmiła Dziewięć Hibiskus, gdy nagranie się skończyło.

— Tu nie potrzeba tłumacza, tylko salw z pokładowych dział — stwierdził Dwanaście Fuzja-Jądrowa. — Cokolwiek wyprodukowało ten dźwięk, nie powinno istnieć.

— Przypuszczam, że oni to samo sądzą o nas — stwierdził Dwadzieścia Cykada tonem ostrym jak smak blasku gwiazd. — Być może powinniśmy spróbować z nimi porozmawiać, żeby się przekonać, czego jeszcze mogą od nas chcieć. Chyba że lubisz patrzeć, jak piloci Odprysków rozpuszczają się, poczynając od powłoki statku, pierwszy *ikantlosie*.

Dziewięć Hibiskus nie mogłaby prosić o lepszego zastępcę.

Wiedziała, że Dwadzieścia Cykada wie, iż ona o tym wie, nawet jeśli na nią nie patrzył.

Szesnaście Wschód-Księżyca wsparła na blacie rozpostarte dłonie. Dziewięć Hibiskus zadała sobie pytanie, czy jej drżą, czy raczej chce zagarnąć dla siebie więcej przestrzeni, dotknąć statku rywalki, położyć na nim dłonie.

— *Yaotlek* — zaczęła maksymalnie formalnym tonem — pomijając podzielaną przez cały Dwudziesty Czwarty Legion, który tu reprezentuję, opinię, że próby rozmawiania z czymś, co mówi w ten sposób, są stratą czasu, dlaczego, kurwa, Ministerstwo Informacji?

— Wolisz porozmawiać z nimi sama?

— Wolę do nich strzelać. Bez ingerencji bandy szpiegów i manipulatorów.

Nic w dossier Szesnaście Wschód-Księżyca jako kapitana floty Dwudziestego Czwartego Legionu nie sugerowało, że jest bardziej krwiożercza od przeciętnych teixcalaanlijskich żołnierzy. Dziewięć Hibiskus potrafiła sobie wyobrazić, że byłaby w stanie powiedzieć coś podobnego. *Wolę do nich strzelać*. W gruncie rzeczy w tej chwili miała ochotę wystrzelić do czegokolwiek, co było pod ręką, w tym również do samej Szesnaście

Wschód-Księżycyca. Nikt w Szesnaście Rozpostartych Dłoniach nie przepadał zbytnio za Ministerstwem Informacji. Jego pracownicy byli cywilami. Oczami biurokracji, oczami Miasta poza bramami skokowymi, gdzie wzrok samego Miasta nie sięgał. Oczami, które, gdy znalazły się na okrętach Floty, często potajemnie wysyłały donosy swym mocodawcom — albo ministrowi informacji, który ukrywał się bezpiecznie na planecie niczym pająk (jeśli wierzyć pogłoskom krążącym we Flocie), albo całemu Teixcalaanowi, uosobionemu pod postacią cesarza (jeśli wierzyć propagandzie Informacji). Dziewięć Hibiskus z reguły nie wierzyła w propagandę. Informacja to byli — och, może tym razem posłużyć się w myślach terminem użytym przez Szesnaście Wschód-Księżycyca — szpiedzy i manipulatorzy.

Nie miała jednak w swym legionie nikogo, kto mógłby spróbować rozmowy z obcymi uciszającymi całe ludzkie planety. A Szesnaście Wschód-Księżycyca nie była godną zaufania sojuszniczką. Wysyłając swój list, ewidentnie próbowała podważyć pozycję Dziewięć Hibiskus. A jej niekwestionowana nieufność wobec Informacji kojarzyła się z Trzecią Dłonią, wywiadem Floty, z niechęcią traktującym wszelkie konkurencyjne sieci szpiegowskie. Trzecia Dłoń nigdy nie była jej ulubionym działem Ministerstwa. To byli obstrukcyjniści, upierający się przy korzystaniu wyłącznie z własnych metod i własnych ludzi, gdy tylko działania Floty wychodziły poza granice otwartej walki i logistyki, przechodząc na obszar psychologicznych manipulacji. Dziewięć Hibiskus z reguły wydawała takie rozkazy, jakie i tak by wydała, nie pytając o zgodę najbliższego oficera politycznego.

Rzecz jasna, Szesnaście Wschód-Księżycyca była kapitanem floty, nie oficerem politycznym, ale... będzie musiała sprawdzić jej wczesny przebieg służby. Być może kiedyś nim była. Tak czy inaczej, Dziewięć Hibiskus nie mogła sobie pozwolić na luksus zgodzenia się z nią. Nie w tej chwili. Być może nigdy.

— Informacja zwyczajowo rozmawia z obcymi — zaczęła. — Cały ten syf

z *Listami z nieodgadnionej granicy*, ksenofilską poezją i filozofią? Nic z tego nie może zamieszać w głowach ludziom z Informacji, bo już mają w nich popierniczone. Zaoszczędzimy na czasie, jeśli pozwolimy im zająć się dyplomacją i zdobyciem tylu danych, ile tylko się da, podczas gdy my zajmiemy się manewrowaniem. Chcę, żebyś przeniosła „Kompresję Paraboliczną” w bezpośrednie sąsiedztwo „Ciężarka u Koła”, ze wszystkimi Odpryskami i twoim krążownikiem o obniżonej wykrywalności. Jak on się nazywa, Dwadzieścia Cykado? Ten szybki?

— „Osmalony Fragment Porcelany” — odpowiedział Dwadzieścia Cykada, szybko jak SI przez łącze chmurowe. — To bardzo dobry okręt. Kapitanie floty, powinnaś być dumna, że udało ci się go zdobyć. Od kogo? Od Szósteo Legionu, w zamian za...?

— Z pewnością to wiesz, Roju, nieprawdaż? — odpowiedziała Szesnaście Wschód-Księżycy. Kurwa, nie zamierzała ustąpić ani kroku. Dziewięć Hibiskus wypięła blask gwiazd, zostawiając tylko cesarską część, ostatni łyczek.

— Wie — potwierdziła. — Odzyskamy Peloa-2, nawet jeśli w mroku czeka na nas więcej plujących statków. Ty to zrobisz, z „Osmalonym Fragmentem Porcelany”. Możesz prosić o ekspertów z Dziesiątego, choć jestem pewna, że masz dosyć własnych. Ten sektor należy do Imperium. Przypomnijmy sobie o tym, podczas gdy będziemy czekali na wsparcie z Informacji.

— Rzucasz mi ochłap — stwierdziła Szesnaście Wschód- -Księżycy pozbawionym wyrazu głosem. — Nie jestem głupia, *yaotlek*.

— Kapitanie floty, jesteś wystarczająco bystra, żeby wiedzieć, co próbuję zrobić, i zdajesz sobie sprawę, że kiedy wrócisz do swych współpiskowców z Siedemnastego i Szósteo, będziesz mogła im powiedzieć, że wygrałaś. Chciałaś akcji i otrzymałaś ją. A to jest mój plan działań zakrojonych na szerszą skalę. Masz i jedno, i drugie. Czy weźmiemy się do roboty?

Szesnaście Wschód-Księżycy czekała przez długą, nieprzyjemną chwilę,

zwiększając napięcie między nimi. Wreszcie odwróciła szklaneczkę z blaskiem gwiazd. Ostatni łyk spłynął na blat niczym ślina nieprzyjaciela.

— Dwudziesty Czwarty wykona zadanie zgodnie z twoimi rozkazami, *yaotlek* — oznajmiła. — Służba Imperium to dla nas zaszczyt. Twoja gościnność była bez zarzutu. Bardzo przypominasz mi minister Dziewięć Napęd.

Byłą minister Dziewięć Napęd, jej dawną patronkę. To najwyraźniej było sedno sprawy. Dziewięć Hibiskus nie potrafiła odgadnąć, czego właściwie chce Szesnaście Wschód-Księżycy. Jeszcze nie w tej chwili, gdy uszy nadal wypełniał jej obcy hałas i obserwowała, jak najlepszy alkohol w Imperium ulatnia się po geście formalnego zakończenia zawieszenia broni. Z pewnością jednak chodziło o polityczne rozgrywki w Ministerstwie, docierające aż na kraniec świata. Długi zasięg Rozpostartych Dłoni dotyczył polityki w takim samym stopniu, jak siły ognia. W sumie szkoda. Uśmiechnęła się bez słowa, otwierając szeroko oczy, i odwróciła własną szklaneczkę. W myślach powtórzyła rytualne słowa. *Niech Jego Promiennosc widzi tysiacy gwiazd. Jej Promiennosc* — poprawiła się natychmiast.

— Czwarta zmiana — powiedziała do Dwadzieścia Cykady, odwracając się plecami do gości. Za osiemnaście godzin. — Przygotuj „Ostrze Noża” i „Śniąca Cytadela” jako wsparcie dla ataku kapitan floty na Układ Peloa.



To było nadzwyczajne, jak szybko ludzie w Kosmoporcie Prowincji Wewnętrznej schodzili z drogi Trzy Trawie-Morskiej, gdy włożyła strój specjalnej emisariuszki. *Teixcalaanlitzlim* kochali mundury, dobrze skrojone i jaskrawe, a kremowo-płomienne barwy Informacji nigdy jej nie zawiodły, gdy musiała zrobić dobre wrażenie, ale strój emisariusza z jego echami

munduru Floty, w dodatku cały tej samej pomarańczowej barwy? To budziło szacunek. Była niska, a jej klatka piersiowa nigdy nie stanie się szeroka. Nie dla niej potężne płuca recytatorki, nie budziła podziwu — przynajmniej fizycznie — bez względu na to, ile wierszy deklamowała na cesarskim dworze. Mimo to absolutnie nikt nie zagradzał jej drogi, choć w kosmoporcie jak zwykle panował straszliwy tłok. Kupcy, palety z towarami, żołnierze i tysiąc tysięcy teixcalaanlijskich obywateli ulatujących ku gwiazdom niczym nasiona. Zakręciło się jej w głowie. Czuła się tak, jak gdy w czasach szkolenia urywała się z zajęć. Cudowne, oszałamiające wrażenie, że coś uszło jej na sucho.

W dodatku było to absolutnie, całkowicie, niezaprzeczalnie legalne. Sama podpisała ten dokument.

Co prawda, później zostawiła na swoich drzwiach powtarzającą się wiadomość „Zaraz wracam”, napisaną radosnymi, nieudolnymi znakami, pojechała do mieszkania po bieliznę, środki do pielęgnacji włosów i pięć identycznych mundurów emisariusza, które kazała tam wysłać. Bezczelnie zignorowała wszystkie wiadomości przysyłane przez łącze chmurowe albo jako sztyfty infofiszkowe, ponieważ mogły zawierać rozkazy odwołujące jej decyzję. Nie umyła też naczyń przed wyruszeniem do kosmoportu, a następnie w nieznaną stronę, ale w tym nie było nic nadzwyczajnego. Nie myła ich od tygodnia.

Nagle nawiedziła ją niepokojąca myśl. Niemycie naczyń przez cały tydzień mogło być czymś typowym dla przepracowanych agentów informacji, ale niezrobienie tego przed wyruszeniem w trzymiesięczną podróż do strefy działań wojennych? Dobry śledczy z pewnością zwróciłby na to uwagę. Trzy Trawa-Morska świetnie potrafiła wyobrazić sobie tę rozmowę.

— Nie zamierzałaś wracać, nieprawdaż, *asekreto*? — zapytałby wymaginowany śledczy, a wymaginowana Trzy Trawa-Morska musiałaby wzruszyć ramionami i odpowiedzieć:

— Nie zastanawiałam się nad tym. Chciałam tylko służyć Teixcalaanowi.

Później oboje musieliby ustalić, czy to było kłamstwo.

W tej chwili jednak to nie był jej problem, a poza tym takie myśli były nieprzyjemne. Przedarła się przez grupę pozaplanetarnych turystów wysiadających z pasażerskiego statku, rozpraszając ich na wszystkie strony jak liście, okrążyła ogromną skrzynię pełną kolczastych owoców o intensywnej woni, które wyładowywano na palety, i podeszła prosto do statku, który mógł ją dostarczyć na końcowy punkt pierwszego etapu jej podróży najszybciej ze wszystkich stacjonujących obecnie w Kosmoporcie Prowincji Wewnętrznej. To nie była wojskowa jednostka. „Splot z Kwiatów” przewoził zapasy medyczne, startował z Miasta wypełniony artykułami o wyjątkowo krótkiej trwałości. Na przykład potężne leki roślinne, stworzone w laboratoriach Ministerstwa Nauki, które traciły moc, jeśli przechowywano je zbyt długo. Albo — jak w tym konkretnym przypadku — narządy przeznaczone do przeszczepów. Serca. Niedawno pobrane, zamrożone i pełne antygenów, które — zgodnie z szybkim i nielegalnym wyszukiwaniem, jakie przeprowadziła — były pospolite w Mieście, ale bardzo rzadkie na małej planecie położonej tuż przy pierwszej bramie skokowej, przez którą zamierzała przejść Trzy Trawa-Morska.

Minimalnymi poruszeniami oka wskazała kierunek łączu chmurowemu i wysłała do kapitana „Splotu z Kwiatów” wiadomość mówiącą: „rządowy funkcjonariusz chce zawracać ci głowę”. Nie minęło wiele czasu, nim się zjawił. Drzwi jego hangaru otworzyły się jak błoniasta przesłona. Miał udęconą minę. *Znakomicie.*

— Kapitanie Osiemnaście Grawitacja — przywitała go. — Jestem specjalna emisariuszka Trzy Trawa-Morska i chcę, żebyś mnie zabrał razem ze swoim towarem, kiedy wyruszysz w drogę.

Zamrugła.

— Emisariuszko — zaczął i pokłonił się, składając przed sobą koniuszki palców, co dało mu chwilę na wzięcie się w garść. Wyraźnie widziała, jak to robi. — Ten statek przewozi zapasy medyczne — podjął po wyprostowaniu

się. — Nie mogę nadkładać drogi. Mój towar ma ograniczoną trwałość. Wiem, że przepisy każą mi zabierać emisariuszy wszędzie, gdzie sobie zażyczą, ale...

— Lecisz do Układu Calatl. Ja również, kapitanie. Poza tym twój statek jest najszybszy w całym kosmoporcie.

Czasami Trzy Trawie-Morskiej trudno było powstrzymać się przed odsłanianiem zębów w barbarzyńskim uśmiechu. Zapewne nauczyła się tego od Mahit. Nadal jednak potrafiła zapanować nad tym impulsem.

— Jeśli nie masz nic przeciwko ciasnocie w ładowni, to proszę bardzo. Nie mamy kabiny dla pasażera. Cała załoga to ja, mój zastępca i technik *ixplanatl*.

— Jestem bardzo drobna — odparła z zachwytem Trzy Trawa-Morska. — Daj mi miejsce między skrzyniami zawierającymi serca. Poradzę sobie.

Przez chwilę kapitan zastanawiał się nad odpowiedzią. Wreszcie dał za wygraną.

— Wchodzimy na orbitę za godzinę i czterdzieści siedem... przepraszam, czterdzieści sześć minut. Jeśli wciśniesz się między serca, za godzinę trzydzieści, będziesz mogła polecieć z nami, emisariuszko.

— Znakomicie — ucieszyła się. — Twoja służba Teixcalaanowi przynosi ci zaszczyt! Wkrótce się zobaczymy.

Godzina i trzydzieści minut wystarczy, by zjeść obiad w jednym z licznych barów w kosmoporcie. Trzy Trawa-Morska doszła do wniosku, że to jej się przyda, jeśli nie chce w nieodpowiednim momencie rozważać możliwości zjedzenia carpaccio z medycznie ważnego serca ludzkiego. *Teixcalaan pożera* — pomyślała. *Mahit wcale tego tak nie ujęła* — dodała po chwili. Być może zapyta ją o to, gdy już dotrze na Stację Lsel.

Stacja leżała po drodze na wojnę. Właściwie bardzo niedaleko od niej. Jej barbarzynka z pewnością wiedziała, co się wydarzy, gdy poda Trzy Trawie-Morskiej współrzędne miejsca przebywania nieprzyjaciela jako zapłatę za wolność jej Stacji, i uznała, że warto podjąć to ryzyko. W związku z tym Stacja Lsel była rozsądnym miejscem postoju, zwłaszcza że *asekreta* miała się nauczyć rozmawiać z obcymi. Przydałaby się jej obca, która dobrze sobie

radziła z rozmawianiem z ludźmi. Barbarzyńcy byli prawie obcymi, Mahit była najlepszą ze wszystkich barbarzyńców, jakich Trzy Trawa-Morska w życiu spotkała. Tęskniła za nią.

W barze zamówiła zupę z gęstym makaronem, olejem chili oraz kawałkami wędzonej wołowiny, myśląc, że minie wiele czasu, nim będzie mogła zjeść posiłek, jaki podają w Mieście. Dla zabawy zaczęła rysować swoją trasę na jednym z programów graficznych łącza chmurowego: do najbliższej bramy skokowej na „Splocie z Kwiatów”, później do trzech kolejnych bram na najszybszych statkach, jakie znajdzie na miejscu, skracając dzięki tym skomplikowanym manewrom dwumiesięczny okres podświetlonej podróży, jakiego z reguły wymagało dotarcie do Stacji Lsel. Przybędzie na miejsce przez niewłaściwą bramę i będzie musiała jakoś przekonać pilota, żeby dostarczył ją na Stację. Niewłaściwa brama — zwana przez Mahit Daleką Bramą — leżała znacznie bliżej Lsel niż ta, przez którą docierało się do Stacji z terytoriów kontrolowanych przez Teixcalaan. Daleka Brama znajdowała się poza granicami Imperium i będzie musiała skorzystać z nieteixcalaanlijskich statków, by do niej dotrzeć, zwłaszcza z nieteixcalaanlijskiej strony. Przeciwna strona Bramy Anhamemat usytuowana była na terytorium nominalnie kontrolowanym przez Konfederację Verashk-Talay, mającą absurdalny zwyczaj wybierania przywódców w głosowaniu powszechnym. Chyba gdzieś o tym czytała. Mapy przestrzeni Verashk-Talay nie były zbyt dokładne, a Brama Anhamemat prowadziła też w miejsca, gdzie niepojęci obcy sprawiali najnowszej *yaotlek* Floty trudności tak poważne, że poprosiła o pomoc Informację, zamiast zadowolić się usługami wojskowego wywiadu Trzeciej Dłoni...

— Dobry wieczór, Trzy Trawo-Morska — odezwał się ktoś za jej plecami. Upuściła z brzękiem widelec i odwróciła się.

— Biorąc pod uwagę, dokąd się wybierasz, mogłabyś się nauczyć lepiej panować nad odruchami — stwierdziła Pięć Agat, ongiś ulubiona uczennica i główna asystentka Dziewiętnaście Ciesak, a obecnie jedna z jej

ezuazuacatlim, grupy zaprzysiężonych osobistych sług cesarza. Awans nie zmienił stylu jej stroju. Nadal ubierała się na białą, jak wszyscy ludzie Dziewiętnaście Ciesak, naśladowujący dawny styl swej pani.

— Ekscelencjo — odpowiedziała Trzy Trawa-Morska w najbardziej formalnym stylu, na jaki mogła się zdobyć, mając usta pełne makaronu.

— Przełknij jedzenie — poradziła Pięć Agat tonem roztargnionego rodzica, zapewne takim samym, jakiego używała w rozmowie z synkiem, Dwa Kartografem. Trzy Trawa-Morska spotkała kiedyś tego chłopca, trzy miesiące temu, podczas powstania. Był bardzo zdrowy i bystry, jak na kogoś, komu celowo kazano dojrzewać w macicy. Pogryzła i przełknęła makaron.

— Co mogę dla ciebie zrobić, Ekscelencjo?

— Jej Promiennosc pragnie ci zadać pewne pytanie.

Jej pierwszą reakcją była przerażona myśl: *Jeśli pojedę do Pałacu-Ziemia, ucieknie mi statek*. To był absurd. Cesarz chciała z nią porozmawiać, a ona przejmowała się tym, co się stanie z jej raczej nieautoryzowaną ucieczką od obowiązków, które łaskawie powierzyła jej ta sama cesarz? Sama taka myśl świadczyła, że coś z nią nie jest w porządku. Lepiej się do niej nie przyznawać.

— Oczywiście — odparła i skinęła na najbliższego kelnera. — Zapłać rachunek i...

— Nie ma potrzeby — przerwała jej Pięć Agat. — Mogę je zadać tutaj. Skończ jeść.

— Mów.

— Cesarz chciałaby wiedzieć, co sądzisz o Jedenaście Wawrzynie.

Trzy Trawa-Morska spojrzała na nią ze zdumieniem, przywołując w pamięci listę znanych sobie ludzi o tym imieniu. Czy jej opinia o którymkolwiek z nich mogłaby zainteresować Jej Promiennosc? W pierwszej kolejności odrzuciła kandydata na *asekretę*, który pracował jako asystent biurowy na siódmym piętrze gmachu Informacji, a następnie poetę-recytatora, który zginął, gdy miała trzynaście lat, pozostawiając Miasto

w konwulsjach poetycznej ekstazy trwających wiele miesięcy. Został tylko trzeci podsekretarz w Ministerstwie Wojny. Formalnie rzecz biorąc, była mu równa rangą, choć to wydawało się śmieszne. Jedenaście Wawrzyn był bohaterem wojennym, a ona była... tym, kim była. Jak dotąd.

— Z Trzeciej Dłoni? — zapytała, żeby się upewnić. (Pewnie, że z Trzeciej Dłoni. As wojskowego wywiadu, którego pominięto. *Yaotlek* Dziewięć Hibiskus unikała go z jakiegoś powodu, woląc szukać dyplomatów w Ministerstwie Informacji).

— Gdyby Dziewiętnaście Ciesak chciała usłyszeć twoją opinię na temat literatury, wysłałaby kogoś bardziej odpowiedniego ode mnie — odparła Pięć Agat ze śmiertelną powagą. — Nie znoszę tego poety. Tak, chodzi o podsekretarza. Znasz go?

— Kiedyś go spotkałam — przyznała *asekreta*. — Ale nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą osobiście. Czy chcesz... albo czy Jej Promienność chce, usłyszeć moją profesjonalną opinię o nim? Opinię Ministerstwa Informacji? Jeśli tak, naprawdę nie powinniśmy toczyć tej rozmowy w barze w kosmoporcie.

Pięć Agat potrząsnęła przecząco głową. Zatem nie chodziło o kwestie profesjonalne.

— Czy jesteś gotowa przysiąc na ofiarę ze swej krwi, że mówisz prawdę, emisariuszko? Że nigdy nie rozmawiałaś osobiście z Jedenaście Wawrzynem?

Pytanie o sprawy profesjonalne byłoby mniej niepokojące. To było coś mroczniejszego. *Ezuazuacat* poprosiła ją, by wylała swą krew do miski ofiarnej, jako zapewnienie, że nigdy nie miała żadnych kontaktów z trzecim podsekretarzem Ministerstwa Wojny. Trzy Trawę-Morską dopadły zawroty głowy. Miała wrażenie, że cofnęła się nagle o trzy miesiące, do chwili, gdy Teixcalaanem targał kryzys sukcesji, który omal nie przerodził się w wojnę domową. Śmierć i krew były wszędzie. Widziała transmisję na żywo ze śmierci starego cesarza, jego czerwona krew spłynęła na podłogę świątyni

słońca jak woda wylana ze szklanki. Zjedzony makaron ciążył jej w żołądku niczym ołów.

— Przysięgnę — zgodziła się. — Tutaj albo gdziekolwiek zażyczy sobie Jej Promienność. Nie znam go. Nigdy nie rozmawiałam z nim osobiście. — Wyciągnęła rękę, odwracając dłoń wewnętrzną powierzchnią ku górze. Nie było tam żadnych blizn. Nigdy dotąd nie składała przysięgi tak poważnej, by je zostawiła. Nawet ślad po tej, którą złożyła dwa miesiące temu z Mahit Dzmare i Dziewiętnaście Ciesak, zagoił się bez śladu. Ciało nie obchodziła waga obietnicy, tylko wielkość rany.

— Nie ma potrzeby — uspokoiła ją Pięć Agat. — Wystarczy twoje zapewnienie. Uważaj na siebie na linii frontu, Trzy Trawo-Morska. Jej Promienność jest dobrego zdania o tobie, a wszyscy czujemy się bardzo sfrustrowani, kiedy traci kogoś, kogo lubi.

— Brzmi groźnie — stwierdziła Trzy Trawa-Morska, nim zdążyła się powstrzymać. — Czy powinnam czuć się zaszczycona?

— Biegnij złapać swój statek — odparła Pięć Agat. — „Splot z Kwiatów”, zgadza się? Zostało ci dwadzieścia minut. Na twoim miejscu bym się śpieszyła. Nie przejmuj się rachunkiem. Rząd go pokryje.

Z pewnością obserwowali ją przez cały czas, od chwili, gdy odpowiedziała na prośbę *yaotlek*. Kamery. Oczy Miasta. Ulubione narzędzia Dziewiętnaście Ciesak. Zawsze tak było, a teraz, gdy zasiadła na tronie, miała dostęp do wszystkich algorytmów i maszynierii. Słońcom Imperium, które mijała po drodze do kosmoportu, również przyznano prawo dostępu do tych samych algorytmów, nad którymi Trzy Trawa-Morska wolała nie zastanawiać się zbyt szczegółowo. Wszystkie oczy były takie same i wszystkie otwierały się przed Jej Promiennością. To niemal wydawało się dobroczynne. Niemal. Gdyby tylko Trzy Trawa-Morska potrafiła wyrobić w sobie poczucie, że jest chroniona, a nie śledzona.

Czy ujrawszy jej impulsywną decyzję, cesarz pomyślała, że Jedenaście Wawrzyn skorumpował ją w jakiś sposób? To była skomplikowana kwestia.

Musi zastanowić się nad nią podczas podróży. Będzie miała czas. Może niezbyt wiele czasu, ale powinno wystarczyć. Ministerstwo Wojny było jedną z gałęzi rządu, które nie do końca wróciły do równowagi po kryzysie. Nadal czuło się ślady nagłego, tak bardzo dogodnego przejścia w stan spoczynku minister Dziewięć Napęd. Trzy Trawa-Morska natychmiast wtedy zrozumiała, że Dziewięć Napęd chciała opuścić Miasto z nienaruszoną reputacją, zamiast czekać, aż odwoła ją nowa cesarz, która wiedziała o jej poparciu dla zbuntowanego *yaotleka*...

...a większość podsekretarzy odeszła razem z nią. Zastąpili ich ludzie nowej minister. Został tylko Jedenaście Wawrzyn. Być może kwestia jednak była prosta.

Nic nigdy nie było aż tak proste.

— Dziękuję za ostrzeżenie — rzekła do Pięć Agat. — I za rachunek.

Pobiegła w stronę statku, nie czekając, aż zatrzyma ją ktoś inny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

...Teixcalaan, odkąd znaleźliśmy się w rękach Pierwszego Cesarza i ulecieliśmy w mrok, poznaliśmy po drodze tajniki bram skokowych. Nieśliśmy ze sobą nasiona cywilizacji niczym ofiarną krew płynącą z dłoni tych, którzy pierwsi opuścili planetę, aż wreszcie powstało prawdziwe Imperium, rozciągające się na cały wszechświat przez bramy skokowe. Nasi cesarze byli żołnierzami, i nadal nimi są, ale Imperium trzymające w zębach galaktyczną sieć gwiazd uczy się również tłumaczyć swą poezję na tysiąc języków. Cesarz-żołnierz mógł być żołnierzem również na polu negocjacji i znaleźć się na liście naszych największych *yaotlekim*. W późniejszych stuleciach, bliższych dzisiejszej epoce, Teixcalaan władał dzięki słowom w takim samym stopniu, jak dzięki czynom. Taka była cesarz Dwanaście Rozbłysk-Słoneczny, która zaczęła życie w Mieście, jako drugie ochronkowe dziecko jej protoplastki, ulubionej doradczyni cesarza Jeden Lazuryt, Dwanaście Wschód-Słońca...

Tajna historia cesarzy, wydanie osiemnaste, skrócone na użytek szkół ochronkowych

* * *

[...] rozważywszy najnowszy raport o stanie procedur ewakuacyjnych Stacji, w tym również ocenę umiejętności szybkiego wykorzystania szalup ratunkowych przez jej mieszkańców, linii zaopatrzenia oraz możliwości przyjęcia uchodźców przez placówki górnicze, sugeruję, byśmy przedyskutowali kwestię, którą poprzednio zlekceważyłbym jako panikarstwo: gdybyśmy utracili ten nasz dom, jak moglibyśmy odbudować Stację tych rozmiarów, zanim zabraknie nam zapasów potrzebnych do utrzymania przy

życiu trzydziestu tysięcy uchodźców? I gdzie powinniśmy ją wybudować, jeśli będziemy uciekali przed konfliktem? Załączone memorandum skrótowo przedstawia nasze słabości...

wewnętrzne memorandum przeznaczone dla radcy hydroponiki, napisane przez trzeciego analityka systemów podtrzymywania życia, Ajaktsa Kerakela z zespołem, 67.1.1-1 A (według kalendarza teixcalaanlijskiego)

No dobra — pomyślała Mahit do swego imago. Czego nie wiem o Darju Taratsie i powinnam się tego dowiedzieć?

Zadając to bezpośrednie pytanie, czuła się, jakby zaciskała zęby wewnątrz własnego umysłu.

Opuściła hangar i wycofała się do kapsuły. Było tu spokojnie, ściany były uspokajająco gładkie. W intymnej prywatności miejsca, które imago dzieliło z dziedzicem — czasami wyobrażała sobie, że to pokój, z lustrami w niespodziewanych miejscach — przekonała się z wielkim żalem, że tę rozmowę łatwiej będzie prowadzić po teixcalaanlijsku.

Choć i tak nie było to łatwe. Yskandr był chimeryczny, ciągle się jej wślizgiwał. Imago nie było naprawdę odrębną osobą, ale czasami Mahit czuła się tak, jakby dzieliła swą osobowość ze skrytym obcym, przypominającym opętującego ją ducha. W tej chwili nawet bezpośrednie pytanie nie dało jej zbyt wiele. Nie było odpowiadającego jej głosu Yskandra, nie było poczucia partnerstwa, a tylko rozbłysk wizualnego wspomnienia (*ręce na blacie, szaro-brązowe, wydatne żyły sięgające aż do knykci*), które rozpuszczały się, gdy próbowała przyrzeć się im dokładniej. Pamięć imago nie zawsze była dostępna, w najlepszym przypadku przywoływały ją skojarzenia, nie tak, jak było ze wspomnieniami z jej życia. Nie mogła sięgnąć do pamięci Yskandra i wydobyć stamtąd Darja Taratsa jak holofilmu. Jedyne transferami, które działały w ten sposób, były transfery umiejętności. Język, zasady dobrego wychowania. Potrafiła teraz rozwiązywać

częstkowe równania różniczkowe, ponieważ Yskandr posiadał tę umiejętność. To samo dotyczyło rachunku macierzowego oraz szyfrów opartych na obu.

Jeśli jednak nie chciał jej pomóc... za każdym razem, kiedy milknął, panicznie się bała, że znowu jest sama i uszkodzona; to właśnie był straszliwy robak, który gryzł ją od środka, tak bardzo się obawiała, że to nie był żaden sabotaż, że wina leży w niej, że ma w sobie coś niszczycielskiego dla imago, że po prostu się nie nadaje i nie może być prawowitą dziedziczką niczyjej pamięci...

<Och, przestań> odezwał się Yskandr. Wypuściła z płuc całe powietrze, zginając się wpół.

Ty też mógłbyś przestać mnie straszyć.

<To mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę sytuację, naszą historię i nadal się utrzymującą nieortodoksyjną naturę łączącego nas ogniwa w imagowym łańcuchu. Nie wspominając już o Darju Taratsie>.

Mahit nie zamierzała dać się sprowokować. Nie będzie szukała przyjemności w jego ironicznym, okrutnym poczuciu humoru (*za co właściwie mogli cię zamknąć, Yskandr? Hmm, najprawdopodobniej za działalność wywrotową*). Urywek wspomnienia, jej pierwsza godzina na teixcalaanlijskim gruncie, gdy miała tylko niejasne wyobrażenie o tym, jakich nielegalnych czynów mógł się dopuścić ambasador Lsel), nie w chwili, gdy naprawdę bardzo zależało jej na tym, żeby przestał się wygłupiać i podzielił się z nią posiadanymi informacjami.

Do roboty, Yskandr. Darj Tarats, radca górników, ten, który uratował nas i całą Stację, wysyłając mi współrzędne pozwalające znaleźć niszczących statki obcych, żebym sprzedała je Teixcalaanowi w zamian za naszą wolność. Twój patron, jak twierdzą absolutnie wszyscy, również ty sam. Gadaj. A przynajmniej pozwól mi zobaczyć.

<Wiesz, że to tak nie działa. Że my tak nie działamy>.

Wiem. Pozwól mi zobaczyć.

Pokój z lustrami, jakim był jej umysł, otworzył się niczym kwiat

o niebieskich płatkach kojarzących się z utonięciem, unoszący się w ozdobionym klejnotami zbiorniku wodnym, w Pałacu-Wschód.

To nie był spójny łańcuch wspomnień — bycie Yskandrem, jakiego doświadczyła w urywkach, pod wpływem narkozy i laserowego noża, gdy jej uszkodzone imago zastąpiono innym, zawierającym drugą wersję tej samej osobowości. Nie narracja, tylko punkt widzenia. Spojrzenie na kogoś, kogo znało się przez długie lata. Odległa, antagonistyczna przyjaźń, utrzymywana na międzygwiazdny dystans. Yskandr Aghavn i Darj Tarats przez dwadzieścia lat wymieniali się listami, posługując się tym samym szyfrem, którego użył Tarats, przekazując jej współrzędne. To długi czas na rozmowy w ciemności z kimś, kogo się nie lubiło...

<Lubiłem go. Czasami>.

Yskandr lubił go w chwilach, gdy przychodził nowy list. Lubił czekać na wyzwanie, zaskoczenie, a także zastanawianie się nad tym, jak oddać cios i uchronić przed zdemaskowaniem plany tego, co sam zamierzał zrobić w Teixcalaanie. Lubił też bezczelność planów Darja Taratsa, równie śmiałego jak on rewolucjonisty, którego odkrył podczas tej długotrwałej, nieśpiesznej korespondencji. Podobało mu się również, że jest użyteczny dla swego patrona ze Stacji Lsel w wystarczającym stopniu, by stać się częścią jego marzenia o przyszłości Teixcalaanu, podobnie jak własnego...

Mahit nadal nie mogła dotrzeć do sedna. Pomińcie, biała plama. Niebieska toń budząca przerażenie swą niezrozumiałością. Zapewne chodziło po prostu o to, że Yskandr nie chciał jej pokazać, jak wyglądała przyszłość, którą wyobrażał sobie Darj Tarats, podobnie jak nie chciał przed nią ujawnić, jak bardzo kochał cesarza Sześć Kierunek, któremu oddał umysł, ciało, a na koniec lojalność wobec Lsel. Wszystko, co składało się na bycie Yskandrem. Zwiększyła wewnętrzny nacisk, jakby próbowała przypomnieć sobie kadencję wiersza, kolejność stawiania kresek w teixcalaanlijskim znaku, który widziała tylko raz, teixcalaanlijskie słowo na określenie ibisa, długonogiego ptaka,

który brodził w zbiornikach wodnych w Pałacu-Wschód, potracając lotosy niebieskie jak...

Impuls, który przebiegł przez jej nerwy łokciowe, nie był odrętwieniem ani elektrycznym ogniem, lecz prawdziwym bólem. *To idiopatyczne wrażenie — pomyślała. Idiopatyczne albo psychosomatyczne. Zapewne będzie coraz gorzej za każdym razem, gdy coś między nami pójdzie nie tak. Yskandr...*

Jej dłonie zmieniły się w płonące, pozbawione palców bryły, jakby ból uczynił je niewidzialnymi i niewrażliwymi.

Błękit w szklance. Alkohol o bladoniebieskiej barwie. <Dżin> odpowiedział odległy głos Yskandra. <Kolor bierze się z kwiatów niebieskiego groszku. Dziewiętnaście Ciesak zapoznała mnie z tym napojem>. Blask wczesnego poranka, prawie świtu, odbijający się w szkle i padający na zaszyfrowany list Taratsa. Yskandr w swym (ich) mieszkaniu w Mieście. Poczucie, że ktoś go uderzył, mimo że nie otrzymał fizycznego ciosu. Świat (Imperium) zdestabilizował się nagle. Yskandr wypuścił z ręki szklankę, wszędzie rozlewając niebieski płyn. Błękit, ostre kawałki szkła i przyprawiający o mdłości zapach jałowca unoszący się w powietrzu.

Wiesz, że naciskałem, byś został ambasadorem, dlatego że wiedziałem, iż postarasz się, by Teixcalaan cię potrzebował. A za twoim pośrednictwem również nas — pisał Tarats. Niewykluczone jednak, że nigdy sobie nie uświadomiłeś, dlaczego chciałem, by coś tak ohydneho, jak zainteresowanie Imperium, skupiło się na naszej Stacji albo na jej przedstawicielu. Jaki jednak mógłby być lepszy sposób na to, by doprowadzić do zguby coś tak potwornego, niż wykorzystać przeciwko bestii jej podstawowe funkcje? Teixcalaan jest głodny. Głód jest zasadniczym motywem jego działań. I dzięki temu my dwaj go zniszczymy.

Te słowa były zbyt klarowne, by mogły być zapisane tylko w organicznej pamięci. Yskandr wyrzył je w swym umyśle, czytał je raz po raz, aż wreszcie stały się częścią jego wewnętrznej narracji. Prawie nie miało znaczenia, czy Tarats rzeczywiście je napisał. To była historia, którą Yskandr powtarzał sam

sobie i był przekonany, że jest prawdziwa. Były zakodowane kolorem i zapachem, a teraz stały się również częścią jej wspomnień, równie prawdziwą dla niej, jak dla jej imago, żywą pamięcią wspartą obrazem i wrażeniami zmysłowymi.

Bardzo ostrożnie, jakby dotykała językiem rany, Mahit zadała sobie pytanie, które z tych słów sprawiły, że Yskandr wzdrygnął się trwożnie i wypuścił z ręki szklankę z dżinem. „Doprowadzić do zguby coś tak potwornego” wbiło się w nią niczym cierń. To było zdanie rozszarpujące ciało.

<Właśnie to> zgodził się Yskandr. Jego myśl była tak bliska jej myśli, że miała wrażenie, iż sama była jej źródłem, a nie coś obcego i odrębnego. <A także „Głód jest zasadniczym motywem jego działań”. Wiedziałem, co próbuję osiągnąć z Sześć Kierunkiem, ale usłyszeć to wypowiedziane tak otwarcie...>

Usłyszeć, że w waszej miłości nie ma absolutnie nic czystego.

<Wszyscy udajemy> wyszeptał Yskandr. <Barbarzyńca udaje, że cywilizacja może wyrosnąć między dwojgiem ludzi w późnych godzinach nocy>.

Mahit wyobraziła sobie cywilizację — człowieczeństwo — rozkwitającą niczym maleńkie kwiatki między ustami spotykającymi się w ciemności, ustami, które całowały, rozmawiały i budowały. Po teixcalaanlijsku to była piękna fraza. *Mógłbyś zostać poetką, gdybyś nie zginął...*

<Nie. To ty mogłabyś zostać poetką, gdybym nie był ambasadorem przed tobą>.

To ją zabolalo. Rozmazała łyzy płynące jej z oczu (w której chwili zaczęła płakać?) grzbietem odrętwiałej, bolącej dłoni. To było tak, jakby nosiła rękawiczkę. Jednakże bolało ją mniej niż przedtem. To było jakieś pocieszenie. Starła się oddychać powoli, by zapewnić regularny dopływ tlenu.

Wiedziałeś? — zapytała po chwili. Czy przynajmniej podejrzewałeś, że

radca górników wykorzystuje cię jako przynętę, by wciągnąć Teixcalaan w wojnę, która właśnie się zaczęła? Ciebie i całą Stację?

Nie otrzymała prostej odpowiedzi. Odebrała tylko emocjonalny równoważnik wzdrygnięcia się, próby szukania wykrętów i potrzeby myślenia o czymś innym. Uznała, że wszystko to znaczy „tak”, a także „lepiej by było, gdybym tego nie zrozumiał”. Kapsułę wypełniła cisza, głucha i przygniatająco ponura. Mahit pomogła zacząć tę wojnę, kierowana desperacją i potrzebą chwili zrobiła to, czego Tarats zawsze pragnął od Yskandra i spotykał się z odmową. W jej żołądku wezbrało poczucie winy. Nic dziwnego, że Yskandr nie chciał dzielić się z nią tą informacją. Nic dziwnego, że ręce bolały ją tak bardzo.

Z wielkiej dali dobiegał ją zrezygnowany głos: <Pragnął, zapewne nadal pragnie, żebyśmy byli wolni. My, Stacyjni. To zawsze było dla niego najważniejsze. Jakby Dwanaście Rozbłysk-Słoneczny nigdy nas nie znalazła>.

Spróbowała to sobie wyobrazić: Stacja Lsel, gdyby teixcalaanlijska cesarz Dwanaście Rozbłysk-Słoneczny nie znalazła bramy skokowej, która zaprowadziła ją do tego sektora przestrzeni. Gdyby nigdy nie powstała historyczna epopeja napisana na ten temat przez Pseudo-Trzynaście Rzekę, gdyby Mahit nie dowiedziała się o tej epopei na lekcjach języka i nie zacytowała jej na imperialnym egzaminie, by dowieść swej erudycji. Okazało się to niemożliwe. Po prostu by nie istniała. Nie byłoby konstelacji hormonalnych reakcji i kontynuacji pamięci przypominającej Mahit Dzmare. Wysilek wyobraźni włożony w to przedsięwzięcie przez Taratsa był... nie można tego było określić innym słowem niż „heroiczny”.

Jak coś z teixcalaanlijskiego poematu epickiego. Aż tak heroiczny.

Parsknęła ostrym śmiechem, który po chwili przeszedł w wilgotny, płaczący kaszel. Krztusiła się własnymi śmiesznymi płynami ustrojowymi. Nie była w stanie tego dokonać. Myślała po teixcalaanlijsku, w imperialnym stylu opartym na metaforach i nadokreśloności. Całą tę rozmowę toczyła w ich języku.

Nie jesteśmy wolni — pomyślała, celowo po stacyjnymu.

<Kurwa, nie istnieje nic takiego jak wolność> zgodził się z nią Yskandr w tym samym języku.

Wewnątrz Pałacu-Ziemia można było być widzianym na trzy różne sposoby. Zwyczajny sposób, kiedy Osiem Antidotum przebywał w tym samym miejscu co inni, którzy patrzyli na niego gołym okiem albo przez łącza chmurowe. Dobrze sobie radził z unikaniem tego sposobu, jeśli tego chciał. Pomagał mu fakt, że nigdy nie mieszkał w innym miejscu, a większość ludzi Jej Promienności Dziewiętnaście Ciesak przybyła razem z nią z Pałacu-Wschód, i choć minęły dwa miesiące, nadal często błędzili w korytarzach. Co więcej, był mały, a w jego szafie oprócz wszystkich tych jaskrawoczerwonych i złotych strojów znajdowały się też nieprzyciągające wzroku szare bluzy i spodnie. Unikanie uwagi przychodziło mu z wielką łatwością.

Istniały też jednak dwa inne sposoby widzenia, przed którymi w ogóle nie potrafił się bronić. Były oczy Miasta, jego kamery i śledzenie lokalizacji oraz wspólne łącze Słońc Imperium, wykrywające wszystkie błędy. Dlatego cesarz zawsze wiedziała, kiedy gdzieś sobie poszedł. Osiem Antidotum sprawdził kiedyś swoje ubranie w poszukiwaniu lokalizatorów, ale nic nie znalazł. Czuł się później głupio. Lokalizacja miała charakter algorytmiczny. Dowiedział się tego od jednego ze swych nauczycieli, przysyłanych przez minister Osiem Pętłę ze Sprawiedliwości, jakby ekonomista był prezentem, jakiego mogłoby pragnąć dziecko. Miasto śledziło go na podstawie zarejestrowanych obrazów i lokalizacji jego łącza chmurowego i bardzo dokładnie przewidywało jego położenie. Obliczył to na polecenie tego samego nauczyciela. Przynajmniej

w większej części. Niektóre elementy nadal były dla niego za trudne. Wymagały równań, jakich nigdy nie widział.

Najtrudniejszy był trzeci sposób. Ten, w którym widziano go dzięki zadawanym pytaniom. Który pozwalał komuś — najczęściej dorosłemu — zajrzeć do wnętrza jego głowy. A osobą, której najbardziej niebezpiecznie było zadawać pytania (bo było najbardziej prawdopodobne, że wykorzysta je do tego, by odgadnąć, o czym myśli Osiem Antidotum, nawet w chwilach, gdy nie mówił niczego na głos) była cesarz Dziewiętnaście Ciesak. I oczywiście to właśnie ona była osobą, którą musiał zapytać o kampanię kauraańską. Nikt inny nie powiedziałaby mu prawdy, a w najlepszym razie powiedziała by coś, co by ją przypominało, ale byłoby zniekształcone, jak drzewo wyrastające ze ściany budynku, gdzie nie było dla niego miejsca. Drzewo, które sprawiało wrażenie, że możesz zawiesić na jego gałęzi cały swój ciężar, żeby się pohuścić, ale gdybyś spróbował to zrobić, cała ściana zwałaby się na ciebie.

Nigdy nie nauczy się lepiej ukrywać myśli, jeśli nie będzie próbował. To z pewnością była prawda, ale to raczej go nie pocieszało. Prawda rzadko była pocieszająca. Niemniej pomogło mu to zastanowić się nad całą sprawą. Nawet jeśli cesarz domyśli się, dlaczego zadaje te pytania, dowie się, co go zdradziło, i następnym razem spisz się lepiej. Musi się uczyć. Miał już jedenaście lat, a niektórzy kadeci w Ministerstwie Wojny mieli tylko czternaście i przydzielano im prawdziwe obowiązki. Do tego czasu zostały mu tylko trzy lata, a w dodatku nie był kadetem, tylko dziedzicem Imperium. Mógł nie mieć aż tyle czasu, żeby się przygotować.

Cesarz przebywała w Wielkiej Sali, jak zwykle wczesnym popołudniem. Udzielała publicznych audiencji i przyjmowała petycje, jak Sześć Kierunek przed nią. Czasami wydawała też oświadczenia. Raz albo dwa razy na tydzień Osiem Antidotum siadał na jej prośbę przy tronie słonecznych włócznie i słuchał. *Przyglądaj się* — powiedziała mu wtedy. *Obserwuj, kto przychodzi, by prosić o pomoc, a kto nie.* To jednak nie był jeden z jego wyznaczonych

dni. Zakradł się cicho do Wielkiej Sali, w szarym stroju i miękkich butach. Tylko on tutaj nie błyszczał, tylko on nie nosił żadnych ozdób. Cesarz miała na sobie biało-złoty strój, którego wyłogi powtarzały wzór włóczni z tronu. Rozmawiała z jakimiś *ixplanatlim*, odzianymi w stroje makowej barwy, noszone przez lekarzy i specjalistów od nauk medycznych. *Czerwień to krew i ulga w bólu* — mówiła dziecinna piosenka wyliczająca rodzaje pałacowych sług. Osiem Antidotum wolałby, żeby jej melodia mniej zapadała w pamięć i nie była taka radosna. Zastanawiał się, o czym cesarz chciała rozmawiać z medykami i co jej powiedzieli.

Była młoda, w przeciwieństwie do jego przodka cesarza, który był umierający i ciągle rozmawiał z medycznymi *ixplanatlim*. Nie potrzebowała ich. Minie wiele lat, zanim to się zmieni.

Podkradł się bliżej. Oczy Miasta go zauważyły, ale w tej chwili nie próbował ich oszukać. Po prostu nie chciał przyciągać uwagi. Oparł się plecami o ścianę i przesuwiał się w bok, między żebrami sklepienia wachlarzowego, stykającymi się z podłogą. Wreszcie usiadł ze skrzyżowanymi nogami, szary jak otaczające go cienie, ciemniejsza plama na kafelkach, jakby w ogóle go tu nie było. Tylko słuchał.

— ...dowiedzcie się — mówiła Dziewiętnaście Ciesak. — Nie interesują mnie wasze przypuszczenia, że ta kobieta zginęła w pożarze sklepu w Aglomeracji Dzwonów Dwa, bo miała bombę zapalającą, która przedwcześnie eksplodowała. Macie się upewnić. Chcę też dowiedzieć się, kim była. Czy ta bomba należała do niej, czy przenosiła ją dla kogoś innego. A może nie było żadnej bomby i po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Ixplanatlim nie wyglądali na zadowolonych. Popatrzyli na siebie nawzajem, jakby nikt z nich nie chciał być osobą, która powie Jej PromiЕННОści coś, czego ta nie chciała usłyszeć. Wreszcie jedna z nich — kobieta o popielatobrazowych włosach związanych w potrójny warkocz opadający na

jej plecy, matowy na tle jaskrawej czerwieni jej munduru — postąpiła krok naprzód.

— Nie przyszlibyśmy tu, nie przeprowadziwszy śledztwa, gdyby do tego, co zostało z twarzy zabitej kobiety, nie przyklejono jednego z tych antyimperialnych plakatów, które widziało się wszędzie przed ostatnimi, hm, trudnościami, Wasza Promienność.

Osiem Antidotum potrafił poznać, kiedy Dziewiętnaście Ciesak słucha kogoś, bo chce, a nie dlatego, że musi. To było tak, jakby w całej ogromnej sali zapadła cisza, macona tylko bębnieniem jej palców o poręcz tronu — raz, dwa, trzy, cztery, pięć, a potem znowu spokój.

— Tego ze sprofanowaną banderą wojenną?

Ixplanatl oderwała spojrzenie od dłoni Dziewiętnaście Ciesak, przenosząc je na jej oblicze. Skinęła głową.

— Przyklejono go do twarzy ofiary tym samym klejem, którego używano do rozlepiania tych plakatów.

— Po śmierci.

— Tak, Wasza Promienność. Ktoś przylepił plakat na trupie. Nim zjawili się śledczy.

— I nie zarejestrowano żadnego obrazu tajemniczego profanatora zwłok.

— Pożar zniszczył najbliższe oko Miasta i...

Machnęła ręką, przerywając kobiecie.

— Idźcie z tym do Sprawiedliwości. Zabierzcie też trupa. Dokładniejszą autopsję powinno się przeprowadzić u nich — dodała. — Kiedy stąd wyjdziecie, będziecie już umówieni z minister sprawiedliwości. Powiedzcie Osiem Pętli to samo, co powiedzieliście mnie. Teixcalaan jest wam wdzięczny za wasz wysiłek i wiedzę.

Kiedy *ixplanatlim* oddalali się od tronu słonecznych włóczni, można było zauważyć, że poruszają się z wyraźnym wysiłkiem, jak statki kosmiczne opuszczające planetę. Chłopiec nigdy nie czuł tego przyciągania, być może dlatego, że on był tu na swoim miejscu, a oni nie.

— Możesz już wyjść z cieni, Osiem Antidotum — odezwała się Jej Promiennność. Chłopiec westchnął.

Byłoby bardzo miło, gdyby Dziewiętnaście Ciesak była mniej spostrzegawcza. To jednak czyniłoby ją gorszym cesarzem. Zgodnie ze wszystkimi poematami, które znał, cesarze widzieli cały Teixcalaan jednocześnie, czemu więc nie miałyby zauważyć ukrytego pod ścianą chłopca? Wstał i podszedł do tronu. *Czy ja też będę widział takie rzeczy, kiedy zostanę cesarzem?* — zadał sobie pytanie. Doszedł jednak do wniosku, że na razie nie będzie się tym przejmował. To nie było pytanie, które chciał zadać.

„Czy kogoś zamordowano?” — również nim nie było, ale właśnie te słowa jako pierwsze wyrwały mu się z ust.

— Tak się, niestety, składa, że ciągle się kogoś morduje — odpowiedziała Dziewiętnaście Ciesak. To zabrzmiało protekcjonalnie. Osiem Antidotum wiedział, że tak jest. Nie był małym dzieckiem.

— Ale po większości morderstw do cesarza nie przychodzi troje medycznych specjalistów.

— To prawda — zgodziła się, uśmiech zajaśniał w jej oczach. Osiem Antidotum właściwie jej nie ufał, właściwie jej nie znał, ale jego przodek cesarz ją kochał i postarał się, żeby to ona zasiadła na tronie słonecznych włóczni. Powinien o tym pamiętać w chwili, gdy uśmiechnęła się do niego, i miał wrażenie, że widzi go tak, jak chciał być widziany.

— Chodź, mały szpiegu. I tak już słuchałeś.

Poklepała dłońmi szerokie poręcze.

„Mały szpieg” nie brzmiał nawet w połowie tak sympatycznie jak „Lek”, ale był bardziej szczery. Osiem Antidotum przycupnął na poręczy tronu niczym pałacowy koliber — z pewnością były wystarczająco szerokie dla chłopca w jego wieku — w każdej chwili gotowy zerwać się do lotu. Spojrzał na Jej Promiennność i czekał, ze wszystkich sił starając się, by jego twarz nic nie wyrażała.

— ...z wyglądu przypominasz go tak bardzo, że to niemal mnie uspokaja,

iż ciągle kryjesz się w cieniach — stwierdziła Jej Promiennosc. Chłopiec poczuł przypływ satysfakcji. Sprawil, ze na niego zareagowala. Wiedzial, ze jest podobny do Sześć Kierunku i zdawal tez sobie sprawe, ze z uplywem lat bedzie coraz bardziej upodabnial sie do swego przodka. A gdyby przechylin glowe nieco w prawo, uniosl podbródek i brwi...

Dziewiętnaście Ciesak odsunela sie od niego o pare centymetrow, nim sie zorientowala, co robi. *Interesujace.*

— Mojemu przodkowi cesarzowi trudno by bylo pozostac niezauwazonym — odparl. — Tobie rowniez. To jest bardzo duzy tron.

— To jest bardzo duze Imperium, maly szpiegu — stwierdzila Dziewiętnaście Ciesak i znowu usadowila sie na tronie. Chlopiec zastanawial sie, czy jest on wygodny, jesli ma sie wystarczajaco dlugie nogi. Z pewnoscia nie byl wygodny dla jedenastolatka. Probowal juz na nim usiac. Ale Dziewiętnaście Ciesak wygladala na nim bardzo dobrze. Groty wloczni za jej plecami, metalicznie szare i zlote, przypominaly korone. Sześć Kierunek rowniez tak wygladal. Jak pilot wbudowany w statek...

— Chcialem cie o cos zapytac — odezwal sie. Wiedzial, ze w ten sposob zdradzi, czego uczy go Jedenaście Wawrzyn w Ministerstwie Wojny. Jesli zada to pytanie, to juz nie bedzie tajne szkolenie. Bedzie... och, jak wszystko inne. Stanie sie czescia jego roli, mieszkania w palacu. Jego zycia.

— Spróbuję ci odpowiedzieć — dobiegl z glębin tronu głos Dziewiętnaście Ciesak.

— Czemu miałybyś mieć z tym trudności?

— Pytaj — odrzekla. — Przekonamy sie.

Osiem Antidotum — nadal przycupniety na poręczy tronu — westchnal, wypuscil powietrze przez nos i zgiat sie wpol, wspierajac lokcie na kolanach, a podbródek na dloniach.

— Dlaczego wybrałś na pozycję *yaotleka* kapitan floty Dziewięć Hibiskus, Wasza Promiennosc?

— Cóż za fascynujace pytanie. Czy myslisz o sluzbie we Flocie?

Może i tak. Nie zastanawiał się nad tym „na głos” wewnątrz głowy, gdzie myśl mogłaby się zmienić w realne pragnienie, coś, o co mógłby prosić i tego nie dostać. Ale... może i tak. Byłby w tym dobry. Potrafił rozwiązywać kartograficzne zagadki, jakie zadawał mu Jedenaście Wawrzyn, nawet te trudne.

— Jestem jeszcze za młody — odpowiedział.

— To najprawdopodobniej się zmieni — zauważyła Dziewiętnaście Ciesak. Najwyraźniej uważała, że to dowcipna uwaga. Osiem Antidotum nie był tego pewien. — Dlaczego zainteresowałeś się Dziewięć Hibiskus?

Mógłby skłamać.

Ale wtedy nie otrzymałby odpowiedzi na swoje pytanie.

— Podsekretarz Jedenaście Wawrzyn powiedział, że wysłałaś ją, żeby zginęła za Teixcalaan. Najszybciej, jak tylko można.

Dziewiętnaście Ciesak cmoknęła językiem w zamyśleniu.

— Szczerze mówiąc, jeśli już musi zginąć, wolałabym, żeby nie stało się to zbyt szybko.

To właściwie nie była odpowiedź. Ponowił próbę.

— Czy wybrałaś ją z powodu Kauraanu?

Kolejna zdradzona tajemnica. Jedenaście Wawrzyn zapewne przestanie go lubić. Nie powie mu już nic ważnego, jeśli uzna, że chłopiec wygada wszystko Jej Promienności.

Dziewiętnaście Ciesak pochyliła się do przodu i położyła dłoń na ramieniu chłopca. Jej ciężar był ciepły. Miała na niej zgrubienia. Znał opowieści o niej, wiedział, że była żołnierką i poznała jego przodka cesarza podczas powierzchniowej kampanii, gdzie walczono na porażacze i broń strzelającą pociskami. Na pokrytej glebą powierzchni planety.

— Tak — potwierdziła. — Ale nie dlatego, że uważałam, iż jest zbyt niebezpieczna, by pozwolić jej żyć, mały szpiegu. Dlatego, że pomyślałam, że jest tak niebezpieczna, że może przeżyć.

Po tym, gdy po raz szósty wprosiła się na pokład statku (sześć różnych jednostek przewiozło ją przez sześć różnych bram skokowych, a żadna z tych podróży nie była zbyt wygodna), Trzy Trawa-Morska zamieniła stroje specjalnego emisariusza na drogi, trudny do noszenia kombinezon z czarnej wełnianej krepy, w którym sprawiała wrażenie, że ma mnóstwo pieniędzy i pochodzi z zupełnie innej kultury niż w rzeczywistości. Kombinezon odsłaniał większą część jej mostka, jeśli nie nosiła stanowiącej część kompletu kurtki, a ta kurtka miała osiem zamków błyskawicznych. Kupiła go na piątym postoju, na Esker-1, planecie w Łuku Zachodnim, na której nigdy dotąd nie była. Mieszkało tam wiele bogatych rodzin zajmujących się handlem międzyplanetarnym, podobnych do tej, z której pochodził Trzydzieści Ostróżka, niedawno zdegradowany do stopnia specjalnego doradcy handlowego z wyzyna próby zagarnięcia tronu. Esker-1 słynął z handlu, lecz również z chóralnego śpiewu. Trzy Trawę-Morską przyprawiał on o niewytłumaczalny zachwyt. Chóralny śpiew, nie handel. Ten łatwo było zrozumieć. Kupiła sobie kombinezon noszony przez członków rodów straszliwie bogatych handlowców i znalazła miejsce na statku lecącym na planetę, na którą nie powinien się wybierać żaden szanujący się funkcjonariusz Ministerstwa Informacji, chyba że miał do wykonania misję.

Esker-1 znajdował się w układzie położonym w mniej więcej jednakowej odległości od trzech bram skokowych. Dwie z nich były bardzo ruchliwe, przelatwały przez nie statki opuszczające przestrzeń teixcalaanlijską bądź przybywające do niej, ale trzecia prowadziła w okolice zacofanego układu planetarnego, który uważano za sporny, gdy któremuś cesarzowi chciało się o niego spierać, ale w innych chwilach pozostawał luźno powiązany z Konfederacją Verashk-Talay... i tylko cztery dni podświetlonej podróży dzieliło go od drugiego końca Bramy Anhamemat. A przynajmniej Trzy

Trawa-Morska była niemal całkowicie pewna, że to drugi koniec tej bramy. Gdy trafiła na to zadupie, poczuła przyprawiające o zawrót głowy wrażenie, że opuściła dobrze zorganizowany, przewidywalny wszechświat.

Być może chodziło o to, przez ile bram skokowych przeszła w ciągu trzech dni. Nigdy dotąd jej się to nie zdarzyło. Ciągle myślała o tych tabloidowych artykułach sprzed pół indykacji, mówiących, że nadmiar podróży przez bramy może spowodować zmiany w genach i prawdopodobnie również raka. Ich tezy obalono, ale...

A może chodziło o to, że choć bywała już poza Miastem i odbyła obowiązkową służbę na odległej placówce, jak każdy kadet w Ministerstwie Informacji pragnący zdobyć przed ukończeniem nauki wszystkie ułatwiające karierę wpisy, nigdy dotąd nie opuściła Teixcalaanu. Nie opuściła świata. Nie dotarła do miejsc, które były inne. W których gwiazdy wschodziły i zachodziły zgodnie z innymi zasadami, nikt nie składał palców przed sobą i nie kłaniał się nisko, by powiedzieć „cześć”, i zbyt wiele osób uśmiechało się jak Mahit, odsłaniając zęby.

Pomagał jej śmieszny kombinezon. Ułatwiał udawanie osoby, która czuła się jak u siebie w domu w obskurnym, ubogim w zasoby kosmoporcie pełnym barbarzyńców i po prostu szukała statku, który by ją stąd zabrał. Nie musiała zapuszczać się głębiej w przestrzeń Verashk-Talay. To byłby skurwysyński niefart, bo zupełnie sobie nie radziła z ich językami. Gdy była kadetem, odbyła obowiązkowy sześciomiesięczny kurs i zaraz po egzaminie wszystko zapomniała. Szkoliła się na specjalistę od polityki, nie od negocjacji z barbarzyńcami, którzy w obecnej chwili nie zachowują się wystarczająco nieprzyjaźnie, by przyciągnąć uwagę rządu. Jej aktualna, żalosna znajomość języków verashk i talay ograniczała się do zapytania, gdzie jest toaleta, oraz słów „proszę jedno duże piwo”. Takie frazy znudzeni kadeci często wykrzykiwali do siebie na korytarzach.

Właśnie przed chwilą zamówiła duże piwo i starała się przekonać mechaniczkę z barki towarowej, żeby zabrała ją razem z towarami, które

transportowała do przestrzeni stacyjnej. Musiały one być nieco podejrzone, bo statek zamierzał skorzystać z mało używanej bramy, a Mahit była przekonana, że jej drugi koniec znajduje się w pobliżu Stacji Lsel. Przez tę samą bramę przybywali obcy, zgodnie z informacjami przekazanymi przez Mahit. Trzy Trawa-Morska zastanawiała się, czy mechaniczka bała się ataków obcych albo tego, że znajdzie się w strefie działań wojennych. Zapewne nie, ale strach przed obcymi mógł być powodem, dla którego znalazła tylko jeden statek zmierzający w tę stronę.

— Nie obchodzi mnie, co jest w waszych skrzyniach — dodała po teixcalaanlijsku. — Chcę polecieć waszym statkiem, to wszystko.

Twarz mechaniczki miała kamienny wyraz. Nie uprzejmie neutralny, jak u Teixcalaanlitzlim, ale agresywnie nieprzenikniony.

— Manifest ładunkowy podaje tylko towar — odpowiedziała, wymawiając sylaby z przesadną starannością. — Nie wspomina o żadnych osobach z Esker-1.

Nie jestem osobą z Esker-1 — pomyślała. Jej umysł wypełniła maleńka kaskada rozpaczy. *Jestem z Ministerstwa Informacji*. To jednak z pewnością jej nie pomoże. Tylko pogorszyłaby sytuację. Jeśli kobieta nie chciała wpuścić na swą barkę członkini bogatego rodu kupieckiego z Łuku Zachodniego, tym bardziej nie przyjmie agentki Ministerstwa Informacji.

— Nieważne, skąd przybywam — spróbowała. — Liczy się miejsce, do którego chcę dotrzeć.

— Są też inne barki. Postaw piwo komuś z ich załogi.

Były inne barki, ale żadna z nich nie leciała tą trasą. Żadna nie próbowała dotrzeć do przestrzeni stacyjnej tylnymi drzwiami. Potrzebowała wielu godzin, by znaleźć tę jedną.

— Twoja jest najszybsza i leci najprostszą drogą do celu. — Trzy Trawa-Morska spróbowała stacyjnego uśmiechu, z odsłonięciem zębów. Mechaniczka pozostała niewzruszona. — Naprawdę nie mam pojęcia, co jest

w waszych skrzyniach. Nie chcę tego wiedzieć. Chcę tylko, żebyś zabrała mnie na drugą stronę Bramy Anhamemat.

— I co wtedy? — zapytała kobieta.

— Wsadzisz mnie na Stacji Lsel, razem ze swoim ładunkiem.

— I co powiesz celnikom? Nie sędzę. To zły pomysł, dla ciebie i dla nas.

Trzy Trawa-Morska wiedziała, jak powinna przeprowadzić taką rozmowę jako agentka Informacji. Wiedziała też, jak powinna ją przeprowadzić na Esker-1, gdzie była po prostu Teixcalaanli z Miasta, kimś tajemniczym i interesującym. W tym pierwszym przypadku wykorzystałaby swoje wpływy, w tym drugim zaś byłby to przekręt. Grałaby kogoś fascynującego i niechwytnego, kogo nie sposób było zignorować. W tym przypadku żaden z tych sposobów nie zadziała. (Zawsze lubiła obcych, ale lubić to nie to samo, co umieć z nimi rozmawiać. Dlatego potrzebowała Mahit).

Została jej tylko jedna opcja, choć ten absurdalny kombinezon utrudni jej zadanie.

Poruszyła lekko zasłoniętym przez łącze chmurowe okiem. Na blacie między nią a mechaniczką pojawił się migotliwy, wijący się holoobraz przedstawiający bardzo wysoką liczbę.

— Myślę, że ten pomysł nie jest taki zły, jak ci się wydaje. Potrzebuję tylko adresu twojej instytucji finansowej, żeby ci pokazać dlaczego... być może masz jakieś długi albo koszty remontowe, od których wolałabyś się uwolnić?

Twarz kobiety po raz pierwszy zmieniła wyraz. Mechaniczka zmarszczyła nos, emisariuszka nie była pewna, czy z niesmaku, czy z zainteresowania. Cisza ciągnęła się bez końca. Trzy Trawa-Morska podejrzewała, że mechaniczka rozmawia przez prywatną subwokalizacyjną linię ze swym kapitanem, by go zapytać, czy ta suma wystarczy. *Asekreta* miała nadzieję, że tak. Po wydaniu takiej sumy będzie zrujnowana, a nawet jeśli napisze do Ministerstwa z prośbą o dalsze fundusze, było bardzo mało prawdopodobne, że je otrzyma. Z pewnością nie wystarczająco szybko. Może na zawsze będzie uwięziona na tej zapomnianej przez wszystkich planecie. Będzie musiała

popracować nad językiem verashk. Albo może talay. Zanurzenie w środowisku rodzimych użytkowników z pewnością jej pomoże...

— Nie ponosimy odpowiedzialności za to, co spotka cię na Stacji — oznajmiła wreszcie kobieta. — I musisz zapłacić przed wejściem na pokład. Właściwie to w tej chwili.

Darj Tarats zajął przed nią najlepsze miejsce przy barze. Gdy Mahit go zobaczyła — w oczach Yskandra był stary i chudy jak szkielet, a w jej własnych wspomnieniach wyglądał podobnie: wypalona skorupa mężczyzny, który przez dziesięciolecia pracował w kopalni na planetoidzie, potem został politykiem, a przez cały ten czas pozostawał filozofem planującym zniszczenie Imperium i cichą rewolucję — poczuła nagłe ukłucie mdłości, które przeszło w lekki niepokój w żołądku. Świadomość zbliżającej się katastrofy.

Zrodziła się w niej myśl, że w takim właśnie stanie funkcjonuje obecnie najlepiej.

Czasami sama dla siebie brzmiała jak Yskandr. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej.

Darj Tarats siedział obok Dekakel Onchu. Przed obojgiem stały co najmniej drugie szklaneczki wódki. Mahit najwyraźniej się spóźniła.

Spóźniła się i była zaskoczona. Spodziewała się, że zastanie tu tylko Onchu. To był ten sam bar dla pilotów, w którym spotkała ją po raz pierwszy. Radczyni zasugerowała spotkanie tutaj, gdy Mahit wysłała jej elektroniczną notatkę mówiącą, że zapytała swoje imago o Darja Taratsa. Darja Taratsa, który pragnął wywołać wojnę, szalejącą teraz wszędzie wokół przestrzeni stacyjnej, ale nie w niej samej, i nie zawahał się użyć Lsel jako przynęty, by

wciągnąć Teixcalaan w konflikt. Darja Taratsa, któremu Yskandr ufał bardziej niż ona, mimo że to Mahit zrobiła to, czego chciał, a Yskandr nie. Postanowiła, że zignoruje wszystkie sygnały, jakie będzie wysyłał jej układ hormonalny podczas tej rozmowy, dobrze wiedząc, że to niepraktyczne i zapewne również niewykonalne.

— Witajcie, radcy — rzekła, zajmując miejsce naprzeciw Onchu. — Jest was dwa razy więcej, niż się spodziewałam.

— Dekakel zawsze pije w tym samym miejscu, Dzmare — odparł Darj Tarats. — Jeśli ktoś chce z nią porozmawiać w okolicznościach mniej oficjalnych niż spotkanie Rady, powinien jej szukać w tym barze. Widzę, że już to zauważyłaś.

To była oczywista demonstracja siły. Tak oczywista, że Mahit poczuła się przez chwilę poirytowana, że jego zdaniem nie zasługiwała na nic lepszego. Wspomniał o Dekakel Onchu po imieniu, podkreślając łączącą ich od wielu lat przyjaźń, a następnie zwrócił się do Mahit po nazwisku, nie używając tytułu, który nadal jej przysługiwał. Nie było żadnego ambasadora w Teixcalaanie oprócz niej. Była linią imagową.

<Tyle wyszło z ignorowania reakcji hormonalnych>.

Zamknij się, dobra? — odwarknęła Mahit i skinęła na barmana.

— To samo, co piją radcy — zamówiła, po czym zwróciła się w stronę Taratsa i uśmiechnęła się, czerpiąc odrobinę okrutnej radości z wiedzy, że odsłonięcie zębów zawsze już będzie się jej kojarzyło z groźbą. Tak radosny uśmiech nawet na Lsel mógł wielu przestraszyć.

— To prawda, radczyni Onchu była tak uprzejma, że zapoznała mnie z najlepszą wódką na Stacji — odpowiedziała. — To dla mnie przyjemność napić się jej również z tobą, radco.

Z jego twarzy nie sposób było nic odczytać. To doprowadzało ją do szaleństwa (nie, to był Yskandr, jego gromadząca się przez dwadzieścia lat frustracja wywołana rywalizacją z tym człowiekiem). Tarats nie odwzajemnił uśmiechu.

— Wróciłaś z Imperium — stwierdził. Rozmawiali, jakby Onchu tu nie było, a ona im na to pozwalała, siedząc spokojnie na swym stołku. — To nietypowe dla twojej linii imagowej...

<Zostałem w Teixcalaanie, żebyś się nie dowiedział...>

Że popełniłeś zdradę, wiem, zamknij się. Muszę z nim porozmawiać, a jeśli mu powiem, co myślisz, oboje będziemy mieli przejebane, tak?

Wzdłuż jej kręgosłupa przebiegły ciarki. Yskandr wycofał się jednak. Mahit na moment poczuła się oszałamiająco samotna. Była tylko sobą, zupełnie naga.

— Nie słyszałeś? — zapytała. — Padłam ofiarą sabotażu. Kto wie, co mogę zrobić? Dziedzictwo z pewnością nie wie.

Dekakel Onchu zaśmiała się i podsunęła Mahit wypełnioną do połowy szklankę. Lód zastukał o ściany i wódka zrobiła się mętna i biaława.

— Wypij resztę. Tarats jest mi winien kolejkę. Założył się, że będziesz przed nami grać Yskandra Aghavna, zarozumiałego i wykrętnego. Mówiłam ci, Darj, ona jest bezpośrednia, jeśli ją do tego zmusić. Miałam też rację w sprawie sabotażu.

Mahit wzięła szklankę w dłoń i wypijała wszystko jednym haustem, razem z kawałkami lodu, tak szybko, że alkohol palił jej gardło i musiała powstrzymywać kaszel. Postawiła pustą szklankę na kontuarze dnem do góry, z ostrym trzaskiem, wystarczająco głośnym, by poczuła się odważna, jakby unosiła się w powietrzu. Jakby pływała.

— Radco — odezwała się, gdy mogła już zaczerpnąć oddechu. — Twoja odpowiedniczka od pilotów poradziła mi, żebym zapytała swoje imago o informacje na twój temat, zanim do niej wrócę. Zrobiłam to i teraz jestem tutaj. Dziedzictwo zapewne wolałoby, żebym tego nie robiła. A przynajmniej chciałoby najpierw zajrzeć do wnętrza mojej czaszki. A ty?

Barman przyniósł wódkę Mahit, która wskazała ręką na Onchu. Zabawa w brzęczące kieliszki, gra o to, kto ma tu władzę. Wiedziała, że ona jej nie ma.

Piła z nimi tylko dlatego, że miała kłopoty z Dziedzictwem i nie wiedziała, jak się wywinąć...

<Och, ale i tak w niej uczestniczymy> wyszeptał Yskandr. Zgadzała się z nim. Onchu przyjęła szklanę bez żadnego komentarza. Tarats wyciągnął szarobrazową dłoń, przechylając ją na boki.

— Zważywszy wszystko razem, ja też chętnie zajrzałym do wnętrza twojej czaszki. Pod warunkiem, że mógłbym zobaczyć nasze raporty o przebiegu twojej integracji imagowej, w przeciwieństwie do raportów Dziedzictwa, oczywiście. To ciekawe, że wróciłaś. Ciekawe, że pomimo domniemanego sabotażu zachowałaś wystarczająco wiele ze swej linii imagowej, by móc ją pytać o informacje. To ciekawe, że po powrocie spędzałaś swój czas, nie robiąc absolutnie nic, zamiast poinformować kogoś o tych intrygujących faktach.

Mahit nie zamierzała się wzdrygnąć. Nie. To nieprawda, że nic nie robiła. Starła się odzyskać równowagę, poczucie siebie, nadać swojemu życiu (ich życiu) kształt, który mógłby uwzględnić zarówno Teixcalaan, jak i Stację Lsel, dwóch Yskandrów, jedną Mahit i to, czym mieli się razem stać. Co prawda większość tych rozważań przeprowadzała, chodząc bez celu po Stacji, ale nie wpadła na żaden lepszy sposób. Ruch pomagał. To była prosta psychoterapeutyczna metoda, którą znało każde dziecko na Lsel.

Nie wzdrygnęła się.

— To Dziedzictwo będzie chciało je zobaczyć.

Oferta. Jeśli wy dwoje nie zrobicie nic, Aknel Amnardbat rozbierze mnie na części i stanę się dla was bezużyteczna.

<To brzmi raczej jak obrona sądowa>.

Raz już udało mi się z prośbą o azyl.

<To nie jest Miasto. A Tarats nie jest Dziewiętnaście Ciesak>.

Rozbłysk splątanych wspomnień. Niebieski dżin, smagłe dłonie Dziewiętnaście Ciesak na jej (jego) policzkach, dotyk jej ust, smak jałowca. Zapach jałowca, gdy Yskandr dowiedział się, że Tarats jest gotowy

wykorzystać Lsel jako przynętę, by wciągnąć Teixcalaan w wojnę z jakąś potęgą jeszcze większą od niego.

— Zastanawiałam się, czy Dziedzictwo może legalnie sabotować linię imagową — odezwała się zamyślonym tonem Onchu. — Biorąc pod uwagę, że jego obowiązkiem jest zachowywanie naszych wspomnień.

Tarats skinął do niej głową.

— I jak wyglądają twoje wnioski, Dekakel? Z pewnością do jakichś doszłaś — rzekł, całkowicie ignorując Mahit. Odrzucił jej propozycję, a ona nawet nie wiedziała dlaczego.

— Dziedzictwo nie może tego zrobić — odparła Dekakel Onchu — ale osoba, która dla niego pracuje, nawet radczyni dziedzictwa, z pewnością może. Darj, ktoś powinien wyrzucić w próżnię całą linię imagową tej kobiety.

W tej sprawie Mahit całkowicie się z nią zgadzała. Może piloci jej pomogą, nawet jeśli górnicy tego nie zrobią. Musiała znaleźć coś, co uczyni ją zbyt użyteczną, by wysłać ją w precyzyjną chirurgiczną paszczę Dziedzictwa. Jego specjaliści natychmiast się zorientują, że wprowadziła całkowicie nieautoryzowane poprawki do swej maszyny imago. Zakładając, że nie zabiją jej od razu, by ukryć sabotaż popełniony przez Annardbat.

— Trudno mi się z tobą nie zgodzić — przyznał Tarats. — Znałem jej poprzednika i on z pewnością nie zrobiłby czegoś takiego. Linia imagowa radców Dziedzictwa ma już sześć pokoleń. Coś się zepsuło. Ten... interes z Dzmare to tylko kolejny przykład.

— Osobiście — odezwała się Mahit głosem tak obojętnym, jak tylko mogła w tej sytuacji, to znaczy niezbyt obojętnym — wolałabym, żeby Dziedzictwo przestało się mną interesować.

— W takim razie trzeba było zostać w Imperium — odpowiedział Darj Tarats, patrząc prosto na nią. Wreszcie, po raz pierwszy, spojrzął prosto na nią.

— Poświęciłeś mnóstwo czasu na przekonanie mojego poprzednika do powrotu do domu. Jestem tutaj.

Jestem tutaj. Kiedyś tego chciałeś.

<Chciał, żebym ja wrócił do domu, by mnie kontrolować> wyszeptał Yskandr. Zabrzmiało to niepokojąco. Mahit ogarniały nasilające się stopniowo mdłości, jakby wypić więcej wódki, niż jej podano. Jeśli miała poczuć efekt alkoholu, dobrze by było najpierw go przełknąć.

— Twoje imago mnie zna — odparł Tarats, jakby słyszał Yskandra równie dobrze jak ona. — Mówisz, że skutki sabotażu były ograniczone i zachowałeś pewną ciągłość, choćby nawet zdezaktualizowaną. Dzięki twoim staraniom dostałem już od niego to, czego chciałem. Gdybyś została w Imperium albo gdybyś po powrocie wróciła do mnie i była gotowa znowu tam wyruszyć, być może mogłabyś mi się na coś przydać.

Chciała to usłyszeć z jego ust. Wypowiedziane głośno, w barze pełnym pilotów, gdzie ktoś mógł go podsłuchać.

— Czego chciałeś od Yskandra?

Mahit nie potrafiła sobie wyobrazić zimniejszego wyrazu, niż ten, który widziała w brązowych oczach Taratsa. Brązowych jak pył, jak rdza w próżni.

— Żeby Teixcalaan ruszył na wojnę — odpowiedział. — Omijając nas. Okręty przelatują obok naszej Stacji i żaden się nie zatrzymuje, by nas anektować.

— To nie potrwa długo — mruknęła Onchu. — Nie powstrzymałeś ich.

— Potrwa — zapewnił Tarats. — Mają teraz większy problem niż my. To miła odmiana.

W umyśle Mahit zrodziła się okrutna, odległa i zimna myśl. Tarats był zbyt zadowolony z siebie, zadowolony z tego, co pomógł jej osiągnąć w Mieście. Stworzył tę wojnę między Imperium a czymś większym i gorszym, co leżało za Daleką Bramą, by móc wywrzeć nacisk polityczny, znaleźć punkt oparcia, który pozwoli wywołać kryzys sukcesji i jednocześnie odwrócić od Stacji groźbę podboju. Zrobił to wszystko po to, by zaspokoić swe pragnienie wciągnięcia Imperium w niszczycielski konflikt. Udało mu się, i ta myśl była dla niego zbyt przyjemna, by mógł wziąć pod uwagę możliwość, że Onchu ma rację, że żadna potęga, czy to teixcalaanlijska, czy obca, nie zostawi na zawsze

w spokoju bogatych w zasoby stacji górniczych. To zniszczyłoby jego poczucie sukcesu.

— Jak się dowiesz, czy zmienili zdanie? — zapytała z czystej, apolitycznej złośliwości, jeśli w obecnej sytuacji cokolwiek, co wyszło z jej ust, można było uznać za apolityczne. Wpływ, jaki wywarło na nią Imperium, nie kończył się na języku.

— Zapewne będę miała jakieś trzydzieści minut, by zwołać pilotów, gdy dalej położone placówki górnicze znajdą się pod ostrzałem — wtrąciła Dekakel Onchu.

— Nim Dzmare do nas wróciła, mogliśmy mieć lepszy widok, nawet z Miasta — odpowiedział Tarats.

W tym właśnie tkwiło sedno. Dlatego nie chciał jej pomóc, dlatego nie obchodziło go, czy Amnardbat zabije ją albo rozbierze na części. Nie miał już swojego okna, pozwalającego mu obserwować cesarza. Yskandr Aghavn nie żył, a Mahit Dzmare wróciła do domu po czymś, co uważał za porażkę, bez względu na możliwy sabotaż. Nie było sensu traktować jej w specjalny sposób, czy podejmować próby jej ratowania.

— Nadal jestem ambasadorką Stacji Lsel w Teixcalaanie.

Była nią. Nie zrezygnowała. Po prostu wzięła sobie długie wakacje. Chciała wrócić do domu.

<Nie ma takiego miejsca jak dom>.

Wiem. Wiem. Ale chciałam...

Tarats wzruszył ramionami w ledwie dostrzegalnym, znużonym geście.

— To prawda, choć wątpię, by ten stan przetrwał badania Dziedzictwa.

— A wtedy nie będziesz miał żadnych oczu, nikogo, kto spotkał i zna nową cesarz...

Sama słyszała desperację we własnym głosie. Tarats jednak patrzył na nią tak, jakby była kawałkiem molibdenowej rudy, czymś, co można oświetlić, by przyjrzeć się temu ze wszystkich stron. Znieruchomiała. Uspokoila się z trudem.

— Nie mylisz się — przyznał wreszcie. — Jesteś podobna do Yskandra. Być może w wystarczającym stopniu. — Kolejna przerwa. Mahit przyłapała się na wstrzymywaniu oddechu. — Oto, co zrobisz, Mahit Dzmare. Pójdiesz na umówione spotkanie z Amnardbat i jej chirurgami. Ale to nie będą jej chirurdzy, tylko moi.

Nie wypuściła powietrza z płuc.

— I co zrobią?

— Wyjmą z ciebie maszynę imago i poszukają śladów sabotażu. Jeśli okaże się, że jest wystarczająco sprawna, wszczepimy ją w mózg nowego ambasadora w Teixcalaanie. Wybiorę go ja, być może przy pomocy Dekakel. To będzie jakaś młoda osoba, tuż po testach predyspozycji. Nie ulega wątpliwości, że jesteś uszkodzona, Dzmare, a poza tym to Dziedzictwo cię wybrało. Lepiej zacząć od nowa.

Przez dziwną, pełną obiektywizmu chwilę Mahit miała wrażenie, że to dobry pomysł. Przyjść na umówioną kontrolę, jakby nie miała nic do stracenia, pozwolić, żeby Tarats zabrał jej maszynę imago razem ze wspomnieniami dwóch Yskandrów i jednej Mahit. Całkowicie uwolnić się od odpowiedzialności, nie reprezentować już Lsel w Teixcalaanie i nie musieć szukać sposobów, by go pokochać, nie przestając być Stacyjną, i nie udusić się z tego powodu. Być wolna.

Kurwa, nie istnieje nic takiego jak wolność. Tym razem to był jej własny głos, nie Yskandra. Ten sam ton. Granice się zacierały.

— A co się stanie ze mną w tym hipotetycznym scenariuszu?

— Zbliżają się tegoroczne testy predyspozycji — odpowiedział Tarats. — Przystąp do nich jeszcze raz. Możesz się ubiegać o nową linię imagową albo o cokolwiek zechcesz. Wróciłaś na Stację, bądź Stacyjną. Wszystko, czego dokonałaś, czego się nauczyłaś i zapamiętałaś, będzie na wieki zapisane w linii imagowej ambasadorów.

Takie propozycje składało się ludziom, którym wszczepiono niekompatybilne imago. Takim, których tożsamość płciowa była silniejsza, niż

im się zdawało, i przekonali się, że nie potrafią zaakceptować wspomnień innej płci, którzy byli zbyt blisko sieci kontaktów społecznych poprzednika i nie byli w stanie poruszać się po niej, nie wywołując szkód emocjonalnych, albo takim, których linia imagowa była tak długa i ciężka, że nie byli w stanie zintegrować jej wystarczająco szybko i załamywali się pod tym brzemieniem. To zdarzyło się jednej z rówieśniczek Mahit. Wszczepiono jej imago linii inżynierów hydroponicznych, długie na trzynaście pokoleń. Miała najwyższe na całej Stacji oceny na testach predyspozycji dotyczących myślenia systemowego i biologii, ale nie potrafiła udźwignąć tego ciężaru. Po dwóch tygodniach wyjęto jej imago i pozwolono ponownie przystąpić do testów w następnym roku.

Mahit nie wiedziała, co się z nią później stało.

To była zła propozycja.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, kim by się stała bez Yskandra. Nie wiedziała, w jakim stopniu byli zintegrowani, ani jak poważne były skutki sabotażu. Nie wiedziała, czy w maszynie imago zostanie cokolwiek z niej, jeśli wyjmą ją z jej czaszki, jak Pięć Portyk wyjęła poprzednią. Nie wspominając już o biednym głupim dziecku, któremu wszczepią hybrydę trzech osobowości — podwójną dozę Yskandra i cokolwiek zostało z samej Mahit — a do tego pierwszą z linii, negocjatorkę Tsagkel Ambak, która istniała głównie jako wrażenie.

<Utonąłbym w nas> odezwał się któryś z Yskandrów. Być może obaj. Młody i stary. Strach przed tym, czym byli razem, a także chęć obrony tego.

A poza tym nie ufała Darjowi Taratsowi. Co będzie, jeśli wejdzie do placówki medycznej Dziedzictwa, położy się na stole i zoperują ją chirurdzy Amnardbat?

Tarats i Onchu gapili się na nią. Zastanawiała się, jaką ma minę. Jej twarz była nieczuła jak drewno.

— Nie wiem, co powiedzieć — rzekła, bo rzeczywiście nie wiedziała.

— Mógłbym ci zaoferować pozycję na stacji górniczej — odpowiedział

Tarats — ale to byłoby marnotrawstwo, chyba że radzisz sobie z analizą operacyjną i finansową zdecydowanie lepiej niż większość ludzi o dyplomatycznych predyspozycjach.

— Amnardbat by mnie odwołała — sprzeciwiła się Mahit, dlatego, że to była prawda, a także dlatego, że nie chciała żyć jako marionetka radcy górników, tolerowana przez niego i kierująca jakąś kopalnią na planetoidzie na całkowitym zadupiu. Jaki jednak miała wybór?

— To prawda — zgodził się Tarats i nic więcej nie dodał.

Wszystko to były niekorzystne propozycje, ale jeśli Mahit je odrzuci, nie zostanie jej zupełnie nic. Skinęła na barmana. Gdyby zamówiła kolejną wódkę, może ułatwiłoby to jej myślenie, pozwoliło jej wpaść na jakiś pomysł, przypomnieć sobie o czymś, co tylko ona wiedziała i co nie zapisze się w linii imagowej.

<Zaproponuj mu mnie> odezwał się Yskandr. <Wspomnienie piętnastu lat, których mu odmówiłem. Powiedz mu, że jest nas dwóch, dwóch Yskandrów, i że zgadzam się mówić>.

Otworzyła usta.

I wszystkie alarmy zbliżeniowe na pokładzie pilotów odezwały się jednocześnie.

INTERLUDIUM

Rozważmy korzyści z mięsa.

Pożywienie: mięso, które eksploduje na językach *My*, smak hemu, tekstura włókien mięśniowych, ukłucie tauryny i bogaty aromat putrescyny. Ciało potrzebuje mięsa, ponieważ ciało jest mięsem. a śpiewające *My* znajduje radość nie tylko w budowie gwiazdolatów i miast, badaniach procesów naturalnych i wariantów pieśni, lecz również w prostych przyjemnościach przyjmowania pożywienia, energii i smaku.

Ponowne wykorzystanie: niektóre ciała w miocie nie są w stanie zostać osobami, a wszystkie starzeją się i w końcu przestają funkcjonować. Ale nic, co powstaje, nie marnuje się w śpiewającym *My*. Wszystkie ciała, które nie są osobami albo przestały nimi być, są recyklingowane, wykorzystywane ponownie, dzielone na części i konsumowane w odpowiedniej chwili.

Umiejętności: wszystkie ciała są mięsem, a mięso, geny i doświadczenie każdego z nich składają się na umiejętności. Rozważanie użycia ciał w ten sposób równa się zaproszeniu do żałoby. Wszystkie ciała się starzeją albo ulegają niemożliwym do naprawienia uszkodzeniom, i wtedy nie są już harmonizującymi głosami. Poznać utratę głosów znaczy poznać żałobę, poznać brak, ucichnięcie śpiewu i lament.

Rozważanie korzyści z tego mięsa jest jednak metodologicznie skomplikowane. Są dwa ciała z tego rodzaju mięsa, wydobyte zgrabnie z ich gwiazdolatów, jak pazur wydobywa mięso z muszli słuchotki. Dwa ciała nie trafiły do *My* jednocześnie, choć pochodzą z tego samego rodzaju gwiazdolatów, przybywających z domu-pustki mięsa budującego po drugiej stronie bramy skokowej najbliższej dalekiego-od-centrum domu-ziemi *My*.

Nie są osobami.

Myślą w języku.

Ale reagują, jakby nimi były. Powtarzają ten sam wzorzec, ale tylko w tym, jak kierują swymi gwiazdolotami, w swym zrozumieniu wektorów i ciągu. Pod wszystkimi innymi względami nie są osobami, nie śpiewają w *My*, są tylko pożywieniem i umiejętnościami. Oprócz tego jednego wzorca. Oprócz pilotażu.

Po pewnym czasie przestają być umiejętnościami i są tylko pożywieniem. Śpiewające *My* zastanawia się, czy ich smak zapisze w jego harmonii. To zdumiewające, że ich smak jest tylko smakiem.

Aknel Amnardbat wie, że spędza w samotności więcej czasu, niżby należało. W końcu jest radczynią dziedzictwa i ma za towarzystwo głosy sześciu poprzednich radców z jej linii imagowej, a poza tym łańcuchem wspomnień jest Dziedzictwem, kulturą, społecznością i ogółem tym, co czyni Stację Lsel tym, czym jest. Pamięta czasy, gdy chodziła na wszystkie śmieszne wydarzenia dotyczące lokalnej kultury, które mogła znaleźć w stacyjnej sieci wewnętrznej. Kiepskie holofilmowe dokumenty, nowe rodzaje muzyki, młodzież wykrzykującą poezję w barach, zespoły pieśni i tańca, taniec w stanie nieważkości. Pewnego roku ogarnęła ją obsesja na punkcie nienoszącego imago restauratora, który wymyślił nowy sposób wykorzystania grzybów, kapsaicyny i aldehydów do przygotowywania potraw, które były prawdziwą eksplozją zmysłów. Nim jeszcze została radczynią, знаła Stację równie dobrze jak własne ciało.

Teraz jednak jest to trudniejsze. Jest Dziedzictwem. Jeśli pojawia się na jakimś kulturalnym wydarzeniu, wyraża w ten sposób oficjalną aprobatę albo ostrzega przed możliwością sankcji. Nie potrafi określić, kiedy to się zaczęło. W której chwili przestali jej ufać, nawet gdy przychodziła obejrzyć coś,

w czym nie było żadnych śladów teixcalaanlijskiej infiltracji kulturowej. Coś, czego z pewnością nie chciałyby ocenzurować...

To nie miało znaczenia. Była Dziedzictwem i nie była sama. Była odpowiedzialna za całą Stację Lsel, za jej historię i mieszkańców. Gdy tylko zaczyna czuć, że urząd, który piastuje, zamknął ją w szklanej klatce, izolując ją od domu, przychodzi do tajnego serca Stacji, magazynu maszyn imago. Cała pamięć linii Stacji imagowych jest bezpiecznie przechowywana w miejscu, do którego teraz przybyła.

Echo, rozbłysk imagowego wspomnienia, szybko stłumione uczucie. *Pozza tymi, które uszkodzasz.*

Aknel Amnardbat rzadko popełnia błędy. A gdy już to robi, przyznaje się do nich przed sobą i bierze na siebie odpowiedzialność.

To, jak potraktowała Mahit Dzmare, nie było błędem. Wycięcie z serca Lsel linii imagowej oczarowanych Imperium ambasadorów było słuszną decyzją. Nikt nie powinien odziedziczyć wspomnień Yskandra Aghavna. Dzmare była możliwym do przyjęcia zabezpieczeniem. Ich predyspozycje były całkowicie zgodne, stałaby się kimś takim jak Aghavn, nawet gdyby nie zaraziła jej jego żywa pamięć. Pozbycie się ich obojga ze Stacji byłoby najlepszym rozwiązaniem.

Dostosowanie — osłabienie — maszyny imago, którą Dzmare nosiła w pniu mózgu, było prawie tak samo dobrym pomysłem. Albo nową ambasadorkę dopadnie spięcie w jakimś miejscu, gdzie nikt nie będzie mógł jej pomóc, albo całkowicie uwolni się od Yskandra Aghavna i będzie musiała jakoś radzić sobie sama.

(*Sabotaż* — wyszeptał jeden z głosów z jej linii imagowej, lecz go zignorowała).

Ale Dzmare wróciła, a jej imago najwyraźniej było prawie nietknięte. Natomiast Teixcalaan znalazł się znacznie bliżej Lsel niż kiedykolwiek dotąd i jego okręty pochłaniały zasoby Stacji, zmierzając przez Sektor Bardzravand na swoją wojnę.

Aknel Amnardbat nie popełnia błędów, do których nie chce się przyznać. Do tego również się przyznaje. Pomyliła się, sądząc, że Aghavn i Dzmare różnią się już od innych Stacyjnych tak bardzo, że nigdy nie zechcą wrócić na Lsel. Nie miała racji. Nie oddalili się jeszcze aż tak bardzo, by nie pragnąć powrotu.

To jednak czyniło Dzmare bardziej niebezpieczną niż wtedy, gdy była daleko, bawiąc się w ambasadorkę. Po powrocie na Lsel jej linia imagowa będzie mogła zarażać skażonymi przez Imperium, już skolonizowanymi ideami inne linie imagowe oraz żywych Stacyjnych, którzy je nosili. To czyni ją wektorem zakażenia, bardziej subtelnym niż zbliżający się do Stacji okręt wojenny, lecz równie niebezpiecznym i toksycznym. Umysły ludzi muszą pozostać wolne. Ciała mogą zginąć, cierpieć albo zostać uwięzione. Pamięć trwa. Czym byłaby Stacja Lsel, gdyby jej pamięć uległa wabikowi teixcalaanlijskiej kultury? I tak już tracili wystarczająco wiele linii — ostatnio głównie pilotów, którzy znikali za Daleką Bramą, zestrzeleni przez tajemniczego nieprzyjaciela, z którym walczy Teixcalaan (albo, myśli z gwałtowną złością Amnardbat, przez sam Teixcalaan, działający pod fałszywą flagą). Nie mogą sobie pozwolić na to, by utracić dalsze przez zakażenie.

Jeśli Dzmare nie stawi się na spotkanie z imagowymi mechanikami, Amnardbat każe ją aresztować. Nawet Darj Tarats nie będzie mógł kwestionować legalności zatrzymania kogoś, kto nie wykonał rozkazu jednej z radców. To prawo jest częścią wszystkich kodeksów Lsel, na stałe wpisało się w stacyjną kulturę. W sytuacji alarmowej Rada może wydawać rozkazy, których wszyscy muszą słuchać.

A gdy Dzmare znajdzie się w areszcie, jej maszyna imago znowu trafi w ręce Amnardbat. Kiedyś Rada Lsel składała się z kapitanów i dowódców, a ich słowo decydowało o życiu i śmierci w mroku między gwiazdami.

Być może te czasy powinny wrócić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Praktyki zwane pogardliwie „kultem homeostatu” zrodziły się w układzie planetarnym, w którym znajdują się dwie zamieszkane planety (Neltoc i Pozon) i jeden zamieszkany satelita (Sepryi), znanym jako Układ Neltoc. Neltoclim nazywają swe tradycyjne praktyki religijne „medytacją homeostatyczną” albo, potocznie, „równoważeniem” i uważają je za artefakt kulturowy (zarejestrowany i w związku z tym zasługujący na prawną ochronę — patrz: punkt 32915-A w Rejestrze Zatwierdzonych Artefaktów Kulturowych Ministerstwa Informacji). Jednakże Układ Neltoc należy do Teixcalaanu już od ośmiu pokoleń i z pewnością nie wszyscy wywodzący się stamtąd Teixcalaanlitzlim praktykują medytację homeostatyczną. Czynnego wyznawcę kultu można poznać po zielonych tatuażach mających postać fraktali, wzorców wzrostu pleśni albo rozgałęzionych wzorów pozostałych po porażeniu piorunem bądź innych inspirowanych przez regularności występujące w naturze...

Fragment z książki *Splątane ze światłem naszych gwiazd: opisanie synkretycznych form religijnych występujących w Teixcalaanie* autorstwa historyka Osiemnaście Dymu

* * *

WIADOMOŚĆ PRIORYTETOWA — DO WSZYSTKICH PILOTÓW — Podczas trwania wzmożonej aktywności teixcalaanlijskiej floty i zawieszenia zakazu przelotu wojskowych transportowców przez sektor stanowczo odradza się loty w kierunku Dalekiej Bramy. Unikajcie kontaktu z teixcalaanlijskimi jednostkami. Unikajcie możliwości wizualnego potwierdzenia liczby, wielkości i uzbrojenia lselskich statków. Ten rozkaz obowiązuje wszystkich poza szczególnymi

pozwoleniami przyznanymi przez radczynię pilotów ściśle określonym jednostkom, lotom albo połączeniom. Zalecamy maksymalną ostrożność — podpisane przez RADCZYNIĘ PILOTÓW (DEKAKEL ONCHU)... wiadomość się powtarza...

Priorytetowa wiadomość nadana na częstotliwościach przeznaczonych tylko dla pilotów w otoczeniu Stacji Lsel oraz na Sieci Wewnętrznej Pilotów, 54.1.1–19A (według kalendarza teixcalaanlijskiego)

Ostatni raz Dziewięć Hibiskus pilotowała Odprysk kilka pokoleń modeli temu. Jej łącze chmurowe potrzebowało absurdalnie wiele czasu na aktualizację oprogramowania, zanim w końcu pozwoliło jej podłączyć się do wspólnego obrazu widzianego przez pilotów. Nie miała też pojęcia, jak działa nowy biofeedback, pozwalający im wszystkim reagować jak jeden wielki organizm. Ta technologia dotarła do Floty z imperialnej policji, z Ministerstwa Nauki do Ministerstwa Wojny, jakieś dziesięć lat temu. Minister Dziewięć Napęd — była minister Dziewięć Napęd, poprawiła się w myślach Dziewięć Hibiskus — była wielką zwolenniczką tego systemu. Widziała, jak dobrze się sprawdził w przypadku Słońc Imperium z Klejnotu Świata.

— Natychmiastowa reakcja i hiperkomunikatywność — powiedziała kiedyś w rozmowie z Dziewięć Hibiskus i grupą innych oficerów, z którymi piła pewnej nocy. Dlatego kazała przystosować ten system do potrzeb Odprysków. Zleciła to zadanie Ministerstwu Nauki. Minister Dziesięć Perła, wielki znawca algorytmów, noszący epitet „ten, który wpisuje wzorce w świat”, napisał na jej prośbę nowy kod i teraz system był wbudowany w interfejs łączący Odpryski z łączami chmurowymi pilotów oraz w zestaw zewnętrznych elektrod i czujników magnetycznych wszytych w ich skafandry kosmiczne, co dało im sztuczne poczucie zbiorowej propriocepcji na równi ze wspólnym wzrokiem. Wzrok, propriocepcja, a także (jeśli wierzyć pogłoskom) wspólnie odczuwany ból oraz odruchowe reakcje na zagrożenie. Od chwili wprowadzenia nowego

systemu liczba strat spadła o dziewięć procent, co bardzo uszczęśliwiło Piątą Dłoń, wydział badań i uzbrojenia. Jednakże nawet gdyby Dziewięć Hibiskus weszła do Odprysku i włożyła skafander, nie wiedziałyby, co zrobić z nową propriocepcją, pomijając niedogodne w tej sytuacji wymioty — najwyraźniej najczęstszy efekt uboczny szkolenia — zapewne więc będzie lepiej, jeśli zadowolą się wspólnym wzrokiem, który łączy chmurowe mogło jej zapewnić bez pomocy Odprysku. Usiadła w kapitańskim fotelu na mostku „Ciężarka u Koła”, obróciła się do pozycji poziomej i zasłoniła oboje oczu szkiełkami łączy chmurowego. Gdy Szesnaście Wschód-Księżycy będzie atakowała Peloa-2, z pewnością zamierzała uważnie ją obserwować.

Wystarczy, że któryś z jej ludzi jej dotknie, a Dziewięć Hibiskus wycofa się z odpryskowego obrazu i będzie natychmiast gotowa przejąć dowodzenie. Na razie jednak jej okręt flagowy wisiał beczynnym w przestrzeni jako obiekt podziwu reszty Floty, skierowała więc swoje zmysły gdzie indziej, powierzając obowiązki dowódcy Dwadzieścia Cykadzie.

Unosiła się w przestrzeni jako niewidzialna obecność, razem z pilotami Odprysków przydzielonymi do jednostki wsparcia „Śniąca Cytadela”, podążając za „Osmalonym Fragmentem Porcelany” Szesnaście Wschód-Księżycy w głąb ciszy, która pochłonęła Peloa-2. Zastanawiała się machinalnie, czy awaria komunikatorów zakłóci wzrok Odprysków. Doszła do wniosku, że dobrze byłoby się tego dowiedzieć.

„Osmalony Fragment Porcelany” był pięknym okrętem. Widziała z ciągle się zmieniających punktów widzenia oczu Odprysków, jak przeszywa pustkę niczym obsydianowy nóż. Jego ciemna powierzchnia lśniła odbitym blaskiem. Krążownik o obniżonej wykrywalności klasy „Tefra”. Nawet jeśli nie był dumą Dwudziestego Czwartego Legionu, powinien nią być. Gdy okrążył gwiazdę karła — słońce Układu Peloa — w okolicach którego trójpierzścieniowy okręt obcych zaatakował „Ostrze Noża”, wyglądał jak nieco ciemniejsza plama na tle pola gwiazd. Prawie niewidzialny. „Śniąca Cytadela” podążała za nim, pozwalając Szesnaście Wschód-Księżycy (rzecz jasna

dowodziła akcją osobiście, Dziewięć Hibiskus na jej miejscu postąpiłaby tak samo) lecieć przodem. Nikt nie widział Peloa-2 od chwili przerwania łączności. *Yaotlek* nie była pewna, co spodziewała się zobaczyć. To mogło być wszystko — od martwej, wypalanej skały, aż po zdrową, jasno oświetloną kolonię otoczoną jakąś blokadą.

Ale to nie była żadna z tych rzeczy. Peloa-2 wyglądała tak samo, jak na holoobrazach — mała planeta, trzy kontynenty, wielka piaszczysta pustynia pośrodku największego z nich. Teixcalaanlijska kolonia na południowym skraju tej pustyni, ledwie widoczne zarysy rafinerii i fabryk szkła do łącz chmurowych, przypominające znak wypalony na powierzchni. Wokół kolonii czysty krzemianowy piasek, lśniący białym blaskiem niczym oprawa nieoszlifowanego industrialnego klejnotu. W miejscu, gdzie znajdowało się osiedle, trwał dzień, i nie sposób było określić, czy kolonia nadal ma moc. Po orbicie krążył typowy zestaw satelitów, ale połowa z nich była zupełnie ciemna, a na powierzchni planety nie widziało się żadnego ruchu. Nie lądowały ani nie startowały małe stateczki. Nie było też żadnych obcych.

Na jednym z kanałów odpryskowych rozległ się głos Szesnaście Wschód-Księżyca.

— Wchodzimy powoli na orbitę. To cmentarz.

Dziewięć Hibiskus nie miała biofeedbacku, który wywołałby drżenie, ale zadrżała nawet bez niego. Podejrzewała, że piloci Odprysków zareagowali tak samo na tę osobliwą, złowrogą ciszę. *To cmentarz*. Szesnaście Wschód-Księżyca miała rację. Zbliżając się do planety, „Śniąca Cytadela”, mijala ciemne satelity. Były jedynie szczątkami, martwymi i roztrzaskanymi. Wyrwano z nich liczne elementy. Dziewięć Hibiskus starała się wykryć jakiś sens w tej grabieży — obcy mogli potrzebować metali, rdzeni reaktorów, tlenu czy czegokolwiek innego — lecz bez powodzenia. Satelity po prostu zniszczono. Wypruto z nich wnętrza. *Chcieli zagrabić to, co w nich naprawdę użyteczne — pomyślała. Siłę życiową. To, co czyniło z nich obiekty posiadające cel, a nie bezużyteczne śmieci. To właśnie splądrowali.*

Zdawała sobie sprawę, że antropomorfizuje zagrożenie, nadaje znaczenie i sens czemuś, co mogło być tylko bezsensownym zniszczeniem. Obcy nie byli ludźmi. Nie byli nawet barbarzyńcami.

— Wejdźcie na orbitę i pozostańcie w kontakcie — odezwał się znowu głos Szesnaście Wschód-Księżycy. — Wysyłam na dół grupę zwiadowczą. Sześć Odprysków ze „Śniącej Cytadeli” i dziesięć z „Porcelany”. Oddzielcie się.

To było spore ryzyko. Dziewięć Hibiskus mogłaby takiego nie podjąć. Jeśli satelity były cmentarzem — nic dziwnego, że utracono kontakt z Pelloa-2, nie pozostały im żadne środki komunikacji — kto wie, do jak wielkich zniszczeń mogło dojść na dole. Wydała jednak rozkaz odzyskania kolonii. Rzuciła wyzwanie Szesnaście Wschód-Księżycy. Otoczenie planety okrętami Floty nie wystarczy. Na dole mogli być teixcalaanlijscy obywatele, zasługujący na to, żeby ich uratować. Przywrócić do świata. *Yaotlek* przeniosła uwagę na wchodzących w atmosferę pilotów Odprysków, pozwalając, by wszystko poza przekazywanym przez nich obrazem wtopiło się w tło jak iskierki w mroku na granicy pola widzenia łącza chmurowego.

Spróbowali połączyć się z kosmoportem — w typowy sposób, prosząc o podanie wektora zejścia oraz zrobienie miejsca między sieciami. Odpryski lądowały na własnych silnikach — nie jak łupinki czy barki, które trzeba było łapać. To powinno być rutynowe lądowanie. Ale tutaj nic nie było rutynowe.

Pelloa-2 nie odpowiedziała na ich sygnały. Drugie zapytanie również nie spotkało się z odpowiedzią, podobnie jak nadany na wszystkich kanałach komunikat nakazujący zrobić miejsce w porcie na polecenie Ministerstwa Wojny. Dziewięć Hibiskus odpuściłaby go sobie. Nadawanie na wszystkich kanałach było zbyt niebezpieczne. Nawet na cmentarzach mogły grasować stworzenia, które wypełniły groby. Odpryski lądowały tam, gdzie było to możliwe, opadając na ziemię w obłokach pomarańczowofioletowej plazmy, drżały pod naciskiem sił towarzyszących wytracaniu prędkości, aż wreszcie dotknęły bezpiecznie powierzchni. Wszyscy ci piloci nieraz już radzili sobie w warunkach znacznie trudniejszych niż tylko cisza radiowa i brak wektorów

lądowania, zmuszających do znajdowania bezpiecznego miejsca tylko za pomocą wzroku.

W kosmoporcie również panowały ciemność i cisza. Na spotkanie szesnastu Odpryskom nie wyszli żadni Teixcalaanlitzlim ani obcy. Słońce prażyło mocno, instrumenty mówiły, że na zewnątrz temperatura zbliża się do pięćdziesięciu stopni — lato na Peloa-2, górna granica ludzkiej wytrzymałości — ale Dziewięć Hibiskus, na swym odległym mostku, poczuła nagły dreszcz na widok całej tej ciszy i pustki. Białe tumany krzemianowego pyłu niesione porywami wiatru przywodziły na myśl śnieżycę.

Yaotlek usłyszała głos Szesnaście Wschód-Księżycy.

— Zbadajcie sytuację. Sprawdźcie, czy ktoś przeżył.

Dziewięć Hibiskus również mogłaby wydać taki rozkaz. Choć w innych sprawach nie zgadzały się ze sobą, dobrze było wiedzieć, że Szesnaście Wschód-Księżycy podobnie jak ona przejmuje się losem obywateli Imperium. To był jakiś punkt wyjścia, mogący umożliwić im współpracę w trakcie tej wojny.

Wzrok Odprysków wyprowadził ją poza statki. Cieszyła się, że piloci mają skafandry umożliwiające regulację temperatury a zaktualizowane interfejsy pozwalają im zachować wspólny wzrok również na powierzchni, bez pomocy pokładowych SI przekazujących sygnały. Czuła się z tego powodu bardzo zadowolona aż do chwili, gdy piloci weszli do portowych budynków i znaleźli pierwsze ciała.

Dziewięć Hibiskus była żołnierką. Zabiła w życiu tylu ludzi, że nie zdołałaby ich zliczyć. Podczas walki w kosmosie właściwie nie istniała taka możliwość, niektórym jednak patrzyła prosto w oczy, czuła smród gówna i narządów wewnętrznych wypływających na zewnątrz, jak ofiara złożona wszystkim, a zarazem nikomu. Zgodnie ze starym rytuałem nosiła na czole krew pierwszego zabitego w walce na powierzchni nieprzyjaciela, aż do chwili, gdy wyschła i wykruszyła się całkowicie. Nigdy w życiu nie czuła się

bardziej teixcalaanlijska niż wtedy. Miała dwadzieścia lat i nosiła czerwoną koronę, brodząc po kolana w błocie na jakiejś na wpół zbuntowanej kolonii.

...ale teraz, gdy zobaczyła zabitych, natychmiast tego pożałowała. Było ich tak wielu. Większość z nich rozpruto. To nie była czysta śmierć od broni energetycznej, choć widziała również i takie ślady — Teixcalaanlitzlim obróceni w częściowo poczerniałe, a częściowo rozpuszczone płaskorzęźby. Więcej jednak było takich, których wypatroszono jak satelity. *Może obcy jedzą wielkie ssaki.* Ta myśl niemal ją pocieszyła. Obcy, którzy uważali ludzi za zwierzynę łowną, byliby problemem, ale Ebrekti też pożerali wielkie ssaki, a jakoś się z nimi porozumieli. Jednakże wyprutych wnętrzności nie pogryziono. Po prostu leżały sobie na ziemi. Wyrzucone śmieci, nie pożywienie.

Jakże łatwo było zacząć myśleć, jak ci nieprzyjaciele. A to z kolei prowadziło do osobistej nienawiści do nich.

Kobieta dowodząca grupą pilotów z „Śniącej Cytadeli”, skinęła do swych towarzyszy i do grupy z „Porcelany”. *Pójdziemy w tę stronę, a wy w tamtą.* Jej odpowiednik skinął głową. Nie rozmawiali na głos, ze względu na bezpieczeństwo. Jeśli obcy nadal gdzieś tu byli, zaalarmowanie ich byłoby śmiertelnie groźne. Dlatego piloci porozumiewali się ze sobą tylko za pomocą wspólnego wzroku. Dziewięć Hibiskus pociągnęła za sobą grupa złożona z jej ludzi. Wiedzieli, że jest z nimi i obserwuje wszystko. Miała nadzieję, że gdy idą przez ruiny Pelloa-2, pociesza ich świadomość, że ich kapitan floty widzi to samo, co oni.

Minęło kilka godzin, nim sobie uświadomiła, co chcieli osiągnąć tu obcy, poza niszczeniem dla samego niszczenia. Kilka godzin, podczas których ciągle znajdowali kolejne grupy zabitych Teixcalaanlitzlim, nieżyjących już od wielu dni. Budynek za budynkiem, a wszystkie pełne trupów. Napastnicy przeprowadzili rzeź bardzo skutecznie. Musiałaby sprawdzić to w dokumentach — albo zapytać Dwadzieścia Cykadę, on będzie to wiedział — ale miała wrażenie, że na Pelloa-2 mieszkało około tysiąca pięciuset

kolonistów. Być może nawet dwa tysiące. To była mała kolonia, właściwie tylko hala produkcyjna, miejsce, gdzie przerabiano piasek pełen rzadkich, krystalicznych domieszek na szkło, dzięki któremu łącza chmurowe były elastyczne i niemal nietłukące. Peloa-2 leżała na skraju teixcalaanlijskiego terytorium. Klimat był tu zbyt gorący, by większość ludzi mogła go znieść dłużej niż krótki okres, za który dostaną od Ministerstwa Wojny dodatek za pracę w niebezpiecznych warunkach. Dziewięć Hibiskus uświadomiła sobie, że wszyscy ci ludzie zginęli tylko dlatego, że obcy rozumieli, co to są linie zaopatrzenia i co należy zrobić z kolonią służącą eksploatacji jednego surowca.

Odciąć ją. I złupić wszystko, co zdążyła wyprodukować.

Główna hala, gdzie stopy tafli używanego w łączach chmurowych szkła czekały na podróż przez bramę skokową do bardziej cywilizowanych części wszechświata, była czysta i zupełnie pusta. Nie zniszczono nic poza maszynami służącymi do produkcji. Zapasy szkła zniknęły, jakby zmieniły się z powrotem w piasek i umknęły z wiatrem.

Ci wrogowie Teixcalaanu byli głodni. Z pewnością pragnęli co najmniej jednego. Zagarnąć zasoby, których potrzebowało Imperium, i uniemożliwić dalsze wydobywanie. Nie mogli wiedzieć, że istnieją też inne planety, na których produkuje się szkło do łącz chmurowych, inne pustynie, gdzie piasek ma odpowiedni skład. Ich postępowanie było zrozumiałe. Peloa-2 była warta skolonizowania z uwagi na dostępne na niej zasoby, piasek o ściśle określonym składzie. Toczyli wojnę z Imperium, a gdy wrogiem był Teixcalaan, należało odciąć mu dostęp do tego zasobu. Do wszystkich zasobów. Ludzie zamieszkujący planetę nie mieli znaczenia w tym rachunku.

Jak do licha mam rozmawiać z tymi stworzeniami, nawet przy pomocy agenta Ministerstwa Informacji? — zadała sobie pytanie Dziewięć Hibiskus. Zamrugła, by wyjść ze wzroku odpryskowego i wrócić do przytulnej normalności „Ciężarka u Koła”, gdzie nikt w tej chwili nie był na wpół wypatroszonym trupem.

— Przerwij akcję — rozkazała na prywatnym kanale łączącym ją z Szesnaście Wschód-Księżycy. — Wycofaj ludzi, otocz planetę orbitalnym kordonem i rozkaż swojemu legionowi przygotować się do rytuału pogrzebowego dla całej pierdolonej planety.

Stacja Lsel była mała. Mała i bardzo ładna — obracający się wokół osi klejnot w kształcie diamentu, widoczny na tle pełnego gwiazd pola, dwie szprychy i gruby torus z pokładami. Trzy Trawa-Morska nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby na niej mieszkać — to by było tak, jakby całe życie spędzała na pokładzie okrętu wojennego, największego, jaki kiedykolwiek wybudowano — ale sama Stacja jej się podobała.

Przynajmniej do chwili, gdy barka, na której spędziła jedenaście godzin w zimnie i niewygodzie, pomimo skandalicznie wysokiej ceny, jaką musiała zapłacić, przycumowała u podstawy jednej ze szprych i zaczęła wydobywać skrzynie pełne czegoś, co w nich przewożono — oznaczono je w piśmie Verashk-Talay, a Trzy Trawa-Morska nie była pewna, czy dobrze pamięta symbole oznaczające słowo „ryba”. Liofilizowane ryby? Mączka rybna? Po co komu tyle mączki rybnej, nawet na tym pozbawionym planety świecie zbudowanym z metalu? Wyładowała się z barki razem ze skrzyniami, nadal ubrana w kombinezon kupiony na Esker-1. Rosły barbarzyńca z bardzo wysokim czołem natychmiast złapał ją i popchnął brutalnie na ścianę, domagając się jakichś informacji w ojczystym języku Mahit, pełnym niewymawialnych sylab. Trzy Trawa-Morska nie miała pojęcia, o jakie informacje mu chodzi, a w dodatku ściana była metalowa i zderzenie z nią okazało się bolesne. Mechaniczka z barki rozejrzała się niepewnie wkoło. Wszystkie jej gesty sugerowały słowa: „A nie mówiłam?”.

Trzeba był włożyć strój specjalnego emisariusza.

— Jestem emisariuszka Trzy Trawa-Morska z Teixcalaanlijskiego Ministerstwa Informacji — oznajmiła głośno w swym ojczystym języku. — Właśnie pogwałciłeś protokół dyplomatyczny. Puść mnie.

Barbarzyńca najwyraźniej rozumiał po teixcalaanlijsku. Puścił ją. Później nacisnął jakiś guzik na płaskim ekranie zastępującym mu łącze chmurowe. Zabrzmiał dość głośny alarm, trzy powtarzające się tony brzmiące jak początek melodii (gdyby tę melodię grano w twarдохаласowym klubie w Aglomeracji Dzwonów Sześć).

— Kim jesteś? — warknęła mechaniczka z barki.

Trzy Trawa-Morska wskazała ręką na uszy. *Nie słyszę cię, ktoś postanowił włączyć alarm. Poza tym to okropne pytanie w tej sytuacji.*

— Co tutaj przywiozłem? — warknął kapitan barki. To było obraźliwe. Trzy Trawa-Morska była osobą, nie „czymś”? Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się po teixcalaanlijsku, otwierając szeroko oczy. Następnie upewniła się, że ma kontrolę nad swoim bagażem.

— Nie ruszaj się — rozkazał barbarzyńca, który ją złapał. Całkiem niezłe mówił po teixcalaanlijsku. Posłuchała go.

(Serce podchodziło jej do gardła. Jeśli alarm wkrótce nie umilknie, mogła naprawdę zacząć się bać. Gdyby aresztowano ją na Stacji Lsel, równałoby się to zaniedbaniu obowiązków emisariuszki, nie wspominając już o fakcie, że nigdy dotąd nie siedziała w więzieniu, chyba żeby liczyć tych kilka strasznych godzin, które spędziła zamknięta w Ministerstwie podczas buntu. Plan nie przewidywał jej przylotu w to miejsce...)

Na drugim końcu hangaru doszło do jakiegoś zamieszania. Najwyraźniej barbarzyńca, który podniósł alarm, przywołał innych barbarzyńców, i to ważnych, sądząc po tym, że wszyscy Stacyjni pracujący przy rozładunku barki i innych niedawno przybyłych statków skierowali na nich uwagę. Trzy Trawa-Morska zauważyła wyczuwalny w hangarze nastrój — mimo że się bała i panował tu okropny hałas, ta umiejętność jej nie opuściła, nawet wśród

obcych, poza granicami Imperium. Jedna z nowo przybyłych osób pomachała ręką i alarm ucichł.

Gdy zapadła cisza, Trzy Trawa-Morska wypuściła powietrze z płuc, zacisnęła powieki na ćwierć sekundy, tak mocno, że aż zobaczyła barwne plamy, i rozprostowała ramiona. *No dobra — pomyślała. Teraz muszę jakoś utorować sobie drogę do Mahit Dzmare, choćby język zapętleł mi się w supły od gadania z tymi Stacyjnymi.*

Otworzyła oczy i nagle ujrzała przed sobą Mahit. Towarzyszyli jej starszy mężczyzna i kobieta w średnim wieku, o ostrych rysach twarzy.

Mahit wyglądała okropnie, lecz jednocześnie sprawiała wrażenie wypoczętej. Była wysoka, jak zawsze, szczupła i blada niczym oliwka. Jej kręcone włosy były teraz dłuższe, sięgały do podstawy szyi i muskały kości policzkowe, przez co te wydawały się jeszcze ostrzejsze, równie ostre jak jej nos. Nie sprawiała już wrażenia, że wystarczy ją porządnie popchnąć, by zwalić z nóg. Nie wyglądała też na niewyspaną i wstrząśniętą, lecz na zaskoczoną, wściekłą i dręczoną lekkimi mdłościami. *Moja barbarzynka — pomyślała Trzy Trawa-Morska. Taka sympatia z pewnością nie była odpowiednia w tej sytuacji.*

— Cześć — powiedziała do Mahit, ponownie starając się uśmiechać jak Stacyjna.

— Co tu robisz? — zapytała Lselka. Przyjemnie było usłyszeć kogoś, kto tak płynnie mówi w jej ojczystym języku. — Trzy Trawo-Morska, miałam wrażenie, że zostałeś podsekretarzem i w związku z tym raczej nie zajmujesz się przemysłem...

— Znasz ją — przerwała jej kobieta o ostrych rysach. To zabrzmiało jak oskarżenie. Oczywiście, Mahit musiała się władować w jakieś polityczne kłopoty. Miała talent do ich przyciągania. Trzy Trawa-Morska wiedziała o tym z własnego doświadczenia.

— To jest *asekreta* Trzy Trawa-Morska — zaczęła Mahit, ku całkowitemu, oszałamiającemu zachwytowi nowo przybyłej. Lselka ją przedstawiała,

barbarzynka i łączniczka kulturowa zamieniły się rolami. Tak właśnie powinno być. czyż nie przebywała teraz na jej rodzinnej planecie? Czy raczej stacji? — Patrycjuszka pierwszej klasy, trzeci podsekretarz teixcalaanlijskiego Ministerstwa Informacji. Moja dawna łączniczka kulturowa.

— To była najbardziej interesująca robota, jaką w życiu miałam — wtrąciła Trzy Trawa-Morska. *Być może poza obecną* — dodała w myślach. Pokłoniła się niezwykłym barbarzyńcom, składając palce przed sobą. — Mahit, czy byłabyś tak uprzejma, by przedstawić mi swoich towarzyszy?

Dyplomacja była wspaniałym azylem. Obowiązywały w niej rytuały, a żaden z nich nie przewidywał aresztowania. Z reguły.

— Spotkał cię prawdziwy zaszczyt, Trzy Trawo-Morska — odpowiedziała Mahit. — To dwoje członków naszej Rady Rządzącej. Darj Tarats, radca górników... — Wskazała na starego, chudego mężczyznę stojącego na prawo od niej. — ...i Dekakel Onchu, radczynie pilotów. Sądzę, że jesteś jej problemem, jako że przebywasz w jej hangarze. Nielegalnie.

— Radcy, czy rozumiecie po teixcalaanlijsku! — zapytała Trzy Trawa-Morska, tonem tak bardzo przeprasającym, jak tylko mogła.

Naprawdę powinna opanować język stacyjny w stopniu wykraczającym poza czysto amatorski poziom, jaki osiągnęła do tej pory, nawet jeśli ojczysta mowa Mahit zawierała dźwięki trudne dla cywilizowanego języka.

Kobieta o twarzy o ostrych rysach, Onchu, skinęła głową, tylko raz. Nie odezwała się dotąd ani słowem. Nie musiała tego robić. Wszystko w jej postawie żądało, by Trzy Trawa-Morska natychmiast się wytłumaczyła, bo w przeciwnym razie czeka ją wyrzucenie przez najbliższą służbę. W zasięgu wzroku znajdowały się dwie.

— Najserdeczniej przepraszam za nieortodoksyjny sposób, w jaki tu przybyłam — podjęła Trzy Trawa-Morska. — Musiałam błyskawicznie dotrzeć na Stację Lsel, a jedynym sposobem na skrócenie czasu podróży było skorzystanie z Bramy Anhamemat zamiast tej, z której zwykle się korzysta. Zdaję sobie sprawę, że mogłam mimo woli pogwałcić traktaty

między naszymi państwami, nie informując was o swych zamiarach, ale zapewniam, że nie przybyłam tu z zamiarem dalszego zaszkodzenia naszym wzajemnym stosunkom.

Brwi radczyni Onchu były równie wyraziste jak reszta jej postaci. Uniosły się aż do miejsca, gdzie byłaby granica jej włosów, gdyby nie goliła czaszki na łyso.

— Po co więc tu przybyłaś? — zapytała. Mówiła po teixcalaanlijsku naprawę dobrze. — Co wymaga takiego pośpiechu? I dlaczego nie poinformowano nas o sytuacji, która skłoniła cię do wyboru tej metody przybycia na nasze terytorium, podsekretarz Trzy Trawo-Morska?

Pod niektórymi względami było jej łatwiej, gdy była *asekretą*. Ludzie spodziewali się, że podsekretarze przybywają w towarzystwie świty, urządzają konferencje prasowe dla serwisów informacyjnych i z góry ogłaszają plany pozaplanetarnych podróży.

— Potrzebuję... — zaczęła Trzy Trawa-Morska, dochodząc do wniosku, że klarowność może jej tylko pomóc. — ...pożyczyć ambasadorkę. — Wskazała na Mahit, której oczy nagle zrobiły się po teixcalaanlijsku nieruchome. — Nadal jest ambasadorką, prawda?



Gdy Osiem Antidotum zamknął za sobą drzwi sypialni, mógł udawać, że zyskał odrobinę prywatności. Wiedział jednak, że to nieprawda. W pokoju obserwowały go dwie kamery, o których wiedział. Trzecia była w łazience, dyskretnie umieszczona nad oknem, a nie nad prysznicem albo toaletą. (Jej zadaniem było wypatrywanie intruzów albo osób, które pragnęłyby uprowadzić dziedzica tronu, a nie podglądanie rzeczzonego dziedzica podczas kąpieli. Przynajmniej miał taką nadzieję. Niemniej zawsze brał prysznic

zwrócony plecami do okna, a genitaliami do kąta kabiny prysznicowej). Ale gdy zamknął drzwi, przynajmniej czuł się sam.

Kazał holoprojektorowi puścić odcinek *Świtu ze zbierającymi się chmurami*. To był serial kostiumowy o nieprawdopodobnie wysokim budżecie. Kręcono go w dekoracjach zbudowanych częściowo z prawdziwego historycznego okrętu wojennego, eksponatu muzealnego pochodzącego sprzed czterystu lat, z tych samych czasów, gdy działa się akcja. Ministerstwo Wojny wydało specjalne pozwolenie na jego wykorzystanie. Odcinek, który teraz oglądał chłopiec, był częścią piątego z sześciu sezonów, zatytułowanego *Wschodzące słońce rozgania kosmyki mgły*. Cesarz Dwa Plama-Słoneczna zakończył już negocjacje z Ebrekti i wrócił przez tę samą bramę skokową, przez którą uciekł, spotkał po jej drugiej stronie siły swej byłej *ezuazuacat*, uzurpatorki Jedenaście Chmury, i zaczął wojnę na wyniszczenie przeciwko jej legionom, mającą potrwać cały rok. To była ulubiona część Osiem Antidotum, przynajmniej przed zeszłorocznym powstaniem i próbą uzurpacji. Teraz trudniej mu było oglądać te odcinki. Ogarniała go nerwowość i ekscytacja, był zainteresowany, ale czuł się zarazem okropnie.

Tak samo jak po rozmowie z Jej Promiennością o Dziewięć Hibiskus na Kauraanie i o nowej wojnie, więc to pasowało.

Jedenaście Chmura, czy raczej grająca ją aktorka, właśnie rozkazała swym kapitanom floty ponowić przysięgę wierności wobec niej oraz aklamację jej jako cesarza. Rzecz jasna oznaczało to, że nie mogła po prostu poddać się Dwa Plamie-Słonecznej, mimo że wychowywali się razem i kochali się nawzajem. To był bardzo dramatyczny epizod, z retrospekcjami, w których Jedenaście Chmura i Dwa Plama-Słoneczna leżeli razem w łóżku w Pałacu-Ziemia, nim wszystko między nimi się popsuło. Sceny erotyczne były bardzo realistyczne. Osiem Antidotum wiedział, że dzieci w jego wieku zapewne nie powinny oglądać tego serialu. Istniała odarta z seksu i zawierająca znacznie mniej krwi wersja historii Dwa Plamy-Słonecznej i Jedenaście Chmury,

zatytułowana *Szklany Klucz*. Uznano ją za odpowiednią dla szkół ochronkowych, ale scenariusz był beznadziejny.

Co więcej, nigdy nie ograniczano mu dostępu do mediów. Bardzo często oglądał w holoprojektorze ludzi uprawiających seks. To wyglądało niezgrabnie i skłaniało ich później do robienia głupstw.

Jednakże *yaotlek* Dziewięć Hibiskus nie była zmuszona do prowadzenia wojny, której nie dało się wygrać, z powodu seksu. Zdaniem Osiem Antidotum chodziło raczej o politykę, a polityka dotyczyła wszystkich, podczas gdy seks uprawiali tylko niektórzy. Myślał o tym, co powiedziała mu cesarz. Że Dziewięć Hibiskus może być wystarczająco niebezpieczna, by przeżyć. To bardzo się różniło od tego, o czym najwyraźniej próbował go przekonać Jedenaście Wawrzyn — że w *yaotlek* i w lojalności jej ludzi było coś tak groźnego, że lepiej by było, gdyby zginęła bohaterską śmiercią.

No cóż, w takim przypadku nie przytrafiłoby się jej nic z tego, co spotkało Jedenaście Chmurę, a wraz z nią cały Teixcalaan. Lojalne legiony nie będą mogły jej przekonać, by ogłosiła się cesarzem, jeśli nie będzie kogo przekonywać.

To jednak wydawało się chłopcu straszliwym marnotrawstwem. Poświęcić kogoś, kto znalazł drogę do zwycięstwa na Kauraanie, z powodu czegoś, co tylko mogło się wydarzyć. Nie wszystko dziś wyglądało tak, jak czterysta lat temu. Dziewiętnaście Ciesak nawet nie znała Dziewięć Hibiskus, nie naprawdę. Nie sądził, by spotkały się więcej niż jeden raz.

Sprawy nie zawsze toczyły się tak, jak w holodramacie, nawet jeśli ten holodramat był wizualną wersją powieści będącej wersją epickiego poematu, który nadal śpiewano na koncertach w pałacu. Niektóre rzeczy były nowe. Niektóre były czymś nieoczekiwanym. Na przykład były *yaotlek* Jeden Błyskawica i wierne mu legiony oraz śmierć przodka Osiem Antidotum, cesarza. Być może to właśnie była część odpowiedzi. Nie pozwolić nikomu, kto miał szansę stać się nowym Jedem Błyskawicą, zbliżyć się na tyle, by go poznać albo polubić, czy nawet utrzymywać z nim znajomość wystarczająco

długo, by mogło mu przyjść do głowy, że może to on powinien być cesarzem zamiast Dziewiętnaście Ciesak.

A także zamiast niego. Wolał o tym nie myśleć.

(Czasami, gdy czuł się naprawdę okropnie, a jednocześnie był czymś zainteresowany, kiedy dręczyły go mdłości i był przygnębiony, włączał zapis przekazu serwisów informacyjnych z dnia buntu i oglądał chwilę śmierci Sześć Kierunku. Zawsze zadawał sobie pytanie, czy on również będzie tak wyglądał, kiedy się zestarzeje i nadejdzie chwila jego śmierci. Czy będzie miał taką samą minę? Zapewne tak. Miał wrażenie, że widzi przyszłość).

Postanowił, że gdy następnym razem spotka się z Jedenaście Wawrzynem, dowie się, jak naprawdę toczy się wojna.



Trzy Trawa-Morska pomyślała, że to nie jest najgorsze miejsce, w jakim siedziały razem z Mahit. Ten tytuł zapewne nadal należał się bunkrowi pod pałacem, w którym oglądały na żywo śmierć Sześć Kierunku. (A może nie, bo tam właśnie się pocałowały. Nawet jeśli cały czas wtedy płakała, i to najprawdopodobniej wszystko zepsuło. To był tylko ten jeden raz. Jeśli Mahit nie wspomni, że to się wydarzyło, ona z pewnością również tego nie zrobi).

Do tej pory Mahit nie mówiła zbyt wiele. Wydostała ją z paskudnej kabały z lselskimi służbami celnymi i umożliwiła wyrwanie się z rąk dwojga przedstawicieli lselskiego rządu po tym, jak Trzy Trawa-Morska bez ogródek oznajmiła, że zabiera Mahit ze sobą. Na razie to ona poszła za Lselką. Opuściły hangar i wyszły na pokład. Tak wielu Stacyjnych. To było fascynujące. Większość z nich ostentacyjnie ją ignorowała. Mahit bezbłędnie prowadziła ją przez labirynt korytarzy, aż wreszcie dotarły do małego pokoiku. Właściwie była to raczej kapsuła, zwisająca z biegnącego na górze

pręta niczym owoc mogący pomieścić dwie osoby. Jedyne rodzaje owoców, jakie mógł wyrosnąć na tym metalowym świecie. Jej ściany były zakrzywione, podobnie jak te znajdujące się wewnątrz kanapy. Gdy Mahit wpisała kod, kapsuła — jedna z wielu identycznych wiszących w szeregu — opuściła się i otworzyła przed nimi. Trzy Trawa-Morska spoglądała jej przez ramię, gdy wpisywała coś do komunikatora (stały blisko siebie, emisariuszka przyzwyczaiła się do tego podczas ich znajomości w Mieście i z łatwością wróciła do tego zwyczaju), i doszła do wniosku, że to była transakcja finansowa.

— Macie na Stacji pokoje do wynajęcia? — zapytała radośnie, gdy już znalazły się w środku. Kanapy, ustawione pod ścianami naprzeciwko siebie, miały jasny, szaroniebieski kolor. Między nimi znajdował się stół. Trzy Trawa-Morska wsparła się łokciami na zimnym, metalowym blacie. Żałowała, że nie ma oficjalnych strojów Ministerstwa Informacji, nadal bezpiecznie schowanych w jej bagażu.

— Są bardzo efektywne — zapewniła Mahit. — I łatwe w użyciu. Poza tym nie mogę cię zabrać z tego pokładu. Oficjalnie cię tu nie ma.

— Naprawdę przyleciałam po ciebie. Pod tym względem tu jestem.

Mahit przyglądała się jej przez chwilę wystarczająco długo, by *asekreta* zapragnęła odwrócić wzrok. Nie zrobiła tego jednak. Otworzyła szerzej oczy, wsparła podbródek na dłoniach i czekała.

— Przyleciałaś tu z własnej woli? — zapytała wreszcie Mahit. — Czy wysłała cię Dziewiętnaście Ciesak?

Jej barbarzynka zawsze umiała zadawać celne pytania.

— Z własnej woli — zapewniła Trzy Trawa-Morska. — Właściwie nie powinno mnie tu być. Niemniej Stacja leży po drodze i przyleciałam po ciebie. Jej Promienność... no cóż, podejrzewam, że dokładnie wie, gdzie można mnie znaleźć, ale to był mój pomysł.

— Wie, gdzie można znaleźć większość ludzi — zauważyła Mahit.

— Jest cesarzem — zgodziła się emisariuszka. — Co więcej, jest

Dziewiętnaście Ciesak. Powinnam wspomnieć, że wysłała Pięć Agat, żeby zawracała mi głowę w barze w kosmoporcie, tuż przed moim odlotem, mimo że nie przekazałam Miastu żadnych planów podróży. Ale i tak mnie znalazła.

— Pięć Agat? Naprawdę? Trudno mi wyobrazić ją sobie w barze w kosmoporcie.

— Chciała, żebym złożyła przysięgę krwi, że nie skorumpował mnie jeden z podsekretarzy w Ministerstwie Wojny. To wcale nie było absurdalne... pasowało do kontekstu...

Mahit wyciągnęła rękę, dotykając prawego ramienia *asekrety* tuż powyżej łokcia. Jej palce były ciepłe

— Trzcino — zaczęła i Trzy Trawa-Morska poczuła, że jej gardło przeszło nagle ukłucie. Nikt już tak do niej nie mówił. Mahit nigdy dotąd tego nie zrobiła, ale... och... och... — Trzcino, czy masz jakieś kłopoty, przed którymi musiałś uciekać?

Gdybyż tylko tak było. Wtedy następna część opowieści mówiłaby o tym, jak agentka Imperium i barbarzynka kradną razem mały myśliwiec i uciekają przez najbliższą bramę skokową w czarną pustkę. Zawsze lubiła takie poematy, mimo ich niezmiennie tragicznych zakończeń.

Zakryła dłoń Mahit własną.

— Nie. Nic mi nie grozi. Nawet nie znam podsekretarza Jedenaście Wawrzynu. Wybieram się na wojnę, to wszystko. Mam rozmawiać z obcymi. Poleć ze mną. Nie znam nikogo, kto potrafi rozmawiać z obcymi lepiej od ciebie.

— To dlatego, że Teixcalaanlitzlim uparcie uważają mnie za obcą — odpowiedziała Mahit, ale jej głos brzmiał bardzo łagodnie. Emisariuszka nie sądziła, by zachowywała się w sposób wymagający łagodnego traktowania, nie od Mahit Dzmare, ale, szczerze mówiąc, nie była pewna. Lselka nie przestawała jej zaskakiwać. Dlatego chciała zabrać ją ze sobą na front.

— Jesteś tylko prawie obca — oznajmiła stanowczo. — Czy nie chciałabyś

spotkać prawdziwych obcych? I spróbować zrozumieć ich szybciej, nim Ministerstwo Wojny zdąży ich zestrzelić?

Mahit nie odpowiedziała na jej pytania. Nie powiedziała „tak” ani nawet „nie”.

— Najpierw wytłumacz mi, dlaczego właśnie ty lecisz na tę wojnę. I to w takim stroju.

Przynajmniej nie zdjęła dłoni z ręki Trzy Trawy-Morskiej.

— To bardzo drogi kombinezon... — zaczęła emisariuszka.

— Czy działasz w ukryciu? — zapytała Lselka.

— Nie w tej chwili!

Mahit naprawdę się roześmiała. Trzy Trawa-Morska uśmiechnęła się do niej lekko. Tego właśnie jej brakowało. Oszalamiającego tempa wydarzeń, śmiesznych i absurdalnych pytań, które mimo to trzeba było zadać. Nigdy nie znalazłaby tego wszystkiego, siedząc za biurkiem w Ministerstwie.

— Po prostu musiałam dotrzeć tu jak najszybciej — wyjaśniła. — Dlatego skorzystałam z niewłaściwej bramy. A w kilku miejscach, w których się zatrzymałam po drodze, łatwiej mi było nie być kimś, kim jestem naprawdę. Przez krótką chwilę. Poczekaj, aż zobaczysz moje mundury emisariusza. Mogłam zamówić taki sam dla ciebie, ale jesteś za wysoka. — Przerwała i uścisnęła dłoń Mahit, świetnie zdając sobie sprawę, że dopuszcza się manipulacji, podsuwając Lselce kuszące propozycje. Naprawdę nie powinna tak traktować kogoś, z kim pragnęła się połączyć nicią wzajemnego zaufania. Niemniej gorąco pragnęła, by Mahit się zgodziła, zwłaszcza że pokonała tak długą drogę. — No wiesz, jeśli zgodzisz się znowu służyć jako ambasadorka. Ambasadorka i specjalna agentka polityczna, przydzielona do Dziesiątego Legionu za pośrednictwem Ministerstwa Informacji.

— Masz kłopoty, prawda? — zapytała Lselka. — Albo Imperium je ma. To paskudna wojna.

— Jakie są lselskie granice pojęcia „ty”?

Nie powiedziała na głos nic więcej, ale pośrednio przyznała: *Tak, to*

paskudna wojna. Nie znamy natury nieprzyjaciela, straciliśmy wiele kolonii będących źródłem surowców i sama nam powiedziałaś, jak groźna stanie się sytuacja, jeśli pozwolilibyśmy, by ci pożerający wszystko obcy wtargnęli na nasze terytorium. Gdyby było inaczej, po co Flota potrzebowałaby dyplomaty, skoro ma okręty?

Mahit wykrzywiła jeden kącik ust w grymasie przypominającym śmiech, ale stłumiony.

— Niewystarczająco szerokie — przyznała, przez chwilę brzmiąc jak... ktoś inny. Mimika jej twarzy była inna, niż pamiętała to *asekreta*. Musi ją zapytać, dlaczego towarzyszyli jej najwyżsi rangą przedstawiciele lselskiego rządu. To była Mahit. O ile Trzy Trawa-Morska ją znała, zapewne wpakowała się po czubek głowy w nieprzyjemne i groźne kłopoty polityczne.

(Spędziły razem w Mieście niewiele ponad tydzień. To za mało, by kogoś poznać. Wydawało się jednak, że trwało to dłużej. Przełomowe chwile zawsze wywoływały takie wrażenie. Przed owym tygodniem Trzy Trawa-Morska była młodą, ambitną agentką informacji, często spędzającą wieczory w salonach poetyckich, miała w Mieście najlepszego przyjaciela, z którym znali się, odkąd zostali kadetami. Po tym tygodniu była trzecim podsekretarzem Ministerstwa Informacji, jej przyjaciel nie żył, a ona od ponad dwóch miesięcy nie napisała żadnego wiersza, nie wspominając już o wyrecytowaniu go na cesarskim dworze).

— Masz kłopoty? — zapytała Lselkę.

— A kiedy ich nie miałam? — odpowiedziała z westchnieniem i osunęła się na kanapę, puszczając dłoń Trzy Trawy-Morskiej. To było tak, jakby odległość między elektrodami powiększyła się nagle, uniemożliwiając przeskoczenie iskry.

— Jak sądzę, byłaś wzorową studentką.

— W porządku — zgodziła się Lselka. — Przez krótki czas nie wpadałam w kłopoty, bo byłam zamknięta w sali egzaminacyjnej.

— A teraz?

— Po pewnym czasie wróciłabym do Miasta — odparła Mahit po

straszliwie długiej przerwie. — Tak sędzę. Kiedy uznałabym, że chwila jest odpowiednia.

Emisariuszka czekała na dalsze słowa. Była przekonana, że jej przyjaciółka podjęła już decyzję, ale lepiej będzie, jeśli powstrzyma się przed naciskami na nią, zanim Lselka postanowi, że może to powiedzieć na głos. I tak już manipulowała nią wystarczająco mocno. Obawiała się, że Mahit może jej tego nie wybaczyć, jeśli wszystko pójdzie źle. Albo — zwłaszcza — jeśli wszystko pójdzie dobrze. Czyż nie uciekła dokładnie w chwili, gdy wyglądało na to, że Miasto i cały Teixcalaan zaniechały prób zabicia jej i doszły do wniosku, że może im się przydać, nawet jeśli jest barbarzynką? Niewykluczone, że znowu zrobi to samo: odniesie sukces, a następnie wypisze się z teixcalaanlijskiej pamięci oraz historii, stanie się duchem, uda się na wygnanie do rodzinnego domu.

Mahit zamknęła oczy, zaciskając mocno powieki. Dotknęła palcami bruzd, które pojawiły się na jej czole, dwóch wąskich linii niepokoju.

— Będziesz musiała to załatwić bardzo oficjalnie — wymamrotała głosem stłumionym przez dłoń. — No wiesz, Ministerstwo Informacji domaga się na rozkaz Jej Promienności Błysk Ostrza Noża natychmiastowego wysłania ambasadorki Mahit Dzmare na „jak tam nazywa się flagowy okręt legionu”.

Irytująco dobrze wiedziała, jaką strukturę gramatyczną mają oficjalne teixcalaanlijskie komunikaty. To niesprawiedliwe, że była barbarzynką. Mogłaby zostać świetną agentką Informacji.

— A skoro już o tym mówimy, proszę, nie łam już więcej praw dotyczących handlu zagranicznego, dobra? — podjęła Mahit. — Wymyśl coś, co pozwoli twierdzić, że od początku byłaś tu oficjalnie. Nie chcę dawać radczyni Onchu dodatkowych powodów, żeby mnie nienawidzić, poza zwyczajowymi.

Trzy Trawa-Morska będzie się musiała dowiedzieć, jakie były te zwyczajowe powody. Doszła jednak do wniosku, że może z tym chwilę poczekać. Miała przed sobą trzy miesiące przydziału i front. To wystarczy, by

poznać każdą osobę i wszystkie jej tajemnice. Nawet jeśli tą osobą była Mahit Dzmare.

— Imperium zapamięta kolonistów z Peloa-2 jako Teixcalaanlitzlim, którzy zginęli w walce — zaczął Dwadzieścia Cykada, przemawiając do żołnierzy, którzy ustawili się w szeregach w największym hangarze „Ciężarka u Koła”, jedynym pomieszczeniu na całym okręcie, w którym mogli się zmieścić wszyscy niebędący akurat na służbie żołnierze. — Zapewni to wasz udział w tej ceremonii. Zachowacie poległych z Peloa-2 w swej pamięci, wypiszecie ich imiona na broni, dzięki której ich pomścicie. Przelanej przez nich krwi nie wypije grunt ich planety, lecz Imperium, które ich wykarmiło i które karmi was wszystkich.

To nie była typowa mowa pogrzebowa. Nie mogła taka być, z wielu powodów. Pogrzeb tak wielu osób jednocześnie można było wyprawić tylko za pomocą obrządków stworzonych przez Teixcalaan dla uczczenia tych, którzy zginęli w kosmosie, albo dla ofiar zarazy. Dziewięć Hibiskus cieszyła się, że Dwadzieścia Cykada zdecydował się na wariant „ci obywatele zginęli w mroku między gwiazdami, a my odzyskujemy ofiarę ich krwi z pustki” zamiast „świat utracił równowagę, a choroba łaskawie wymazuje naszą żalobę, podobnie jak ich życie”. Spierali się ze sobą, którą z tych możliwości wybrać. Jej zastępca wygłosił nieprzyjemnie przekonujące argumenty na rzecz tezy, że wypatroszone ciała są ofiarami zarazy i obcy to choroba, szerząca bezsensowne zniszczenie, jak wirus zabijający żywicieli tak szybko, że sam również ginie.

Dziewięć Hibiskus nie chciała, by takie opinie szerzyły się wśród żołnierzy, nawet jeśli Dwadzieścia Cykada z reguły miał rację, gdy chodziło

o funkcjonowanie systemów, zwłaszcza biologicznych. Gdyby cały legion zmienił się w wystraszonych zarazkofobów, utrudniłoby to bezpośrednie starcia z przeciwnikiem uzbrojonym w broń ręczną, zuwaczkową czy jakie tam okropne odpowiedniki kończyn mogli mieć obcy. Nie chciałyby też, żeby zgraja nadgorliwych kapitanów od razu łapała za miotacze ognia i biochemiczne bomby odkażające. Na następnej odzyskanej planecie mogli przetrwać jacyś ocaleni. Nie była gotowa wykluczyć tej możliwości. Jeszcze nie.

Nie mogła się doczekać chwili przybycia agenta z Ministerstwa Informacji. Jeśli nawiązanie porozumienia z tymi stworzeniami w ogóle było możliwe, musi osiągnąć ten cel jak najszybciej. Dopóki jeszcze ma choć cień ochoty, by to zrobić. Wojna eksterminacyjna przeciwko obcym pociągnęłaby za sobą mnóstwo teixcalaanlijskich ofiar, znacznie więcej, niż byłaby gotowa zaakceptować, nawet jeśli najpierw zniszczono by jakiś inny legion, a nie jej ludzi. To i tak byłiby jej ludzie. Ludzie, którzy podążyli za nią na pępne pogranicze. Zasługiwali na lepszy los niż zmielenie przez maszynę wojenną wroga, w nadziei, że doprowadzi to do zatarcia jej trybów. Dlatego musiała ustalić, czy po drugiej stronie jest ktoś, z kim można by rozmawiać, coś, co mogłoby usprawiedliwić to, co spotkało Peloa-2 i zapewne również inne milczące układy w sektorze.

— Z tej wyjąłowanej gleby wyrosną nowe kwiaty — ciągnął Dwadzieścia Cykada skupionym, marzycielskim głosem, który niósł się po całym hangarze, powtarzany przez łącza chmurowe wszystkich obecnych, przez głośniki zamontowane na górze, a także te w podłodze, których dźwięk przenosił się przez kości słuchaczy, by głos kapitana — albo jego adiutanta, jeśli ten mógł zostać wielkim mówcą, gdyby nie wolał być żołnierzem, a do tego nie wyznawał nieortodoksyjnych wierzeń — wypełniał czaszki wszystkich słuchaczy. By wszyscy czuli go jednocześnie. — Będziemy musieli wiele zapłacić za te kwiaty, ich kruchych płatków będą broniły wasze dłonie, które odpędzą pasożyty. Ogrzeje je słoneczny blask waszej energetycznej broni.

Wzmianka o „pasożytach” z pewnością była odbiciem myśli Dwadzieścia Cykady o zarazie. O homeostazie i równowadze — nawet jeśli dalsza część mowy była typowym, budującym wstępem do zbiorowego rytuału żałobnego — pod koniec godziny wszyscy zgromadzeni żołnierze ukłują się w palce, by wypełnić krwią miskę, której zawartość będzie mogła wylać na podłogę opustoszałej fabryki na Peloa-2 jako obietnicę (będzie musiała zrobić to osobiście, lepiej ona niż Szesnaście Wschód-Księżycy — to *yaotlekim* dowodzili Flotą) — te akurat słowa były odbiciem filozofii i religijnych przekonań Dwadzieścia Cykady.

Dziewięć Hibiskus ufała mu bardziej niż komukolwiek innemu w całej galaktyce. Nie potrafiła pojąć, dlaczego nie został wyznawcą standardowej teixcalaanlijskiej religii. Dlaczego nie spędzał czasu w świątyni słońca i nie przelewał krwi, by uzyskać w nagrodę szczęście, jak wszyscy. Trzymał się religii swej rodzinnej planety — kultu homeostatu, jak brzmiała jego pogardliwa nazwa — mimo że ta planeta już od pokoleń była częścią Imperium. Jej pierwszy *ikantlos* pościł, golił głowę, wypełniał swą prywatną przestrzeń tysiącem żywych, zielonych roślin i zapewniał niezachwianą równowagę logistycznemu funkcjonowaniu całego okrętu (a także legionu, a nawet Floty). Dziewięć Hibiskus zawsze uważała, że religijne przekonania są prywatną sprawą każdego, ale...

Pasożyty.

To zapewne nie miało znaczenia. Większość żołnierzy nawet nie zauważył podtekstów. Nie widzieli Peloa-2. Nie widzieli, jak ślina okrętu pożera jedną z ich pilotów (poza pilotami innych Odprysków, którzy czuli śmierć kobiety, aż do chwili, gdy nadeszły niosące łaskę płomienie; oni wiedzieli). Zastanawiała się, co oni sądzą o mowie Dwadzieścia Cykady. Nowa technologia sprawiła, że piloci Odprysków zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej niż w czasach, gdy sama była jedną z nich. To była bliskość ludzi, dla których perspektywa śmierci w gorejącym ogniu gwiazd była czymś równie oczywistym, jak oddychanie.

Dwadzieścia Cykada już prawie skończył. Dotarł do punktu rytuału, który wszyscy znali, opartego na schemacie zawołania i odpowiedzi panegirycznego wiersza, którym zamykano prawie wszystkie pogrzeby od czasów cesarza Dwanaście Rozbłysk- -Słoneczny. Napisano go dla jej zmarłego *ezuazuacata* imieniem Dwa Szarłat.

— We wnętrzu każdej komórki kryje się kwiat chemicznego ognia — zaczął Dwadzieścia Cykada. Nim jeszcze skończył sylaby pierwszego wersu, połowa żołnierzy powtarzała je razem z nim. Ich chóralny głos wypełnił Dziewięć Hibiskus bolesną świadomością tego, jak bardzo kocha ich wszystkich. Jak bardzo kocha głodną i sprytną bestię, na którą się w sumie składali. Oni byli jej pazurami, płucami i oczami, a ona kierującym nimi mózgiem.

— Wszyscy z Peloa-2 po oddaniu ziemi — ciągnął Dwadzieścia Cykada, zakłócając nieco rytm, by dopasować słowa — rozwiną się w tysiąc kwiatów...

— Tyle, ile oddechów wypełniło ich życie — dołączyła do chóru Dziewięć Hibiskus. Jej usta znały kształt tych słów. Ile już razy je powtarzała? Ilu zabitych upamiętniała w ten sposób?

Wystarczająco wielu, by poczuła się straszliwie stara, gdy stała tu z wpatrzonymi w nią żołnierzami i czuła ciężar ich spojrzeń.

— Będziemy pamiętać ich imiona!

— A także imiona ich przodków! — odpowiedzieli chórem żołnierze.

— A dla uczczenia tych imion wszyscy tu zgromadzeni pozwolą, by krew popłynęła z ich dłoni — zawołał Dwadzieścia Cykada. Żołnierze trzymający w rękach miedziane miski i noże ofiarne ze stali węglowej zaczęli przesuwać się wzdłuż szeregów żałobników — i również oddadzą ten chemiczny ogień ziemi...

Miska i nóż dotarły do Dziewięć Hibiskus z lewej strony. Nacięła poduszkę lewego kciuka, przecinając bliznę pozostałą po poprzednim razie, gdy

oddawała pogrzebową krew, po Kauraanie. Jej rany szybko się goiły. To była dobra cecha u kapitana floty.

A zapewne nawet lepsza u *yaotlek*.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

...problem (jeden z problemów) z ludźmi z Trzeciej Dłoni polega na tym, że nienawidzą Informacji tak bardzo, że są gotowi ukrywać swoje ślady w publicznych sieciach. Podsekretarz Jedenaście Wawrzyn był dobrym żołnierzem, ale kiedy ostatnio walczyłam u jego boku, oboje byliśmy dwadzieścia lat młodszy, a on zamknął się w Ministerstwie Wojny, nim jeszcze przybyłam do Miasta. To czyni go zapisem instytucjonalnej pamięci, zwłaszcza od chwili, gdy przeniosłam Dziewięć Napęd. Znasz podstawowe fakty, Pięć Agat. Przygotuj mi jego dossier, zanim skończy edukować dziedzica Sześć Kierunku i dojdzie do wniosku, że chciałby zostać następnym ministrem wojny, dobrze?

prywatny komunikat Jej Promienności Dziewiętnaście Ciesak, Cesarz Całego Teixcalaanu, adresowany do ezuazuacat Pięć Agat, nieopatrzony datą i zaszyfrowany

* * *

POKAZY HOLOFILMÓW! DZIŚ OD TRZECIEJ DO PIĄTEJ ZMIANY NA POKŁADZIE DRUGIM „KOMPRESJI PARABOLICZNEJ”, SYMULTANICZNY PRZEKAZ DLA WSZYSTKICH, KTÓRZY BĘDĄ W ZASIĘGU, NAJNOWSZE ODCINKI *TONĄCEGO ZŁOCIENIA* (TAK JEST, NAJNOWSZE! SEZON PIĄTY! NIE KŁAMIEMY! NIE PYTAJCIE, SKĄD JE MAMY!)

PODZIĘKUJECIE OKRYTEMU CHWAŁĄ DWUDZIESTEMU CZWARTEMU LEGIONOWI, KTÓRY DOSTARCZA NAM ROZRYWKI, GDY OPIEPRZAMY SIĘ TU, ZAMIAST BRAĆ SIĘ DO ROBOTY

ogłoszenie rozwieszane na wielu pokładach „Kompresji Parabolicznej”

oraz innych okrętów Szóstego, Dwudziestego Czwartego i Czterdziestego Legionu

„Jaśminowe Gardło”, teixcalaanlijski statek zaopatrzeniowy klasy „Sukurs” opuścił przestrzeń imperialną dobre trzy tygodnie wcześniej niż Trzy Trawa-Morska. Zmierzał na wojnę z ładowniami pełnymi suszonego pneumatycznie mięsa, ładowarek do broni energetycznej wszelkich rozmiarów, od ręcznej aż po działa Odprysków, moreli oraz kwiatów dyni, które można było nawodnić, by żuć je podczas długich akcji, a także plazmowej zawiesiny do użytku medycznego. Typowe zapasy mówiące: „nie wiemy, jak będzie wyglądała ta wojna, ale zapewne będziecie musieli jeść, strzelać i zajmować się rannymi”. „Jaśminowe Gardło” przedstawiło plan podróży i otrzymało wizę pozwalającą na wstęp do sektora przestrzeni, w którym znajdowała się Stacja Lsel. Zjawiło się zgodnie z planem, by ominąć Stację po drodze do Bramy Anhamemat i bardziej niebezpiecznych obszarów znajdujących się dalej.

Trzy Trawa-Morska, która z wielką ulgą włożyła mundur specjalnego emisariusza, gdy tylko została na chwilę sama i mogła wyciągnąć go z bagażu oraz schować kombinezon, wysłała wiadomość, gdy tylko statek znalazł się w zasięgu.

Kapitan „Jaśminowego Gardła”, *ixplanatl* Sześć Kapsaicyna, nie był aż tak zaskoczony, jak spodziewała się Trzy Trawa-Morska, gdy odebrał wiadomość od specjalnej emisariuszki Ministerstwa Informacji, proszącej o wysłanie wahadłowca, który zabierze ją z miejscowej, nie w pełni należącej do Imperium i z pewnością uważającej się za niezależną republikę stacji górniczej. Zapewne regularnie zdarzały mu się dziwniejsze rzeczy. W końcu był kapitanem i zdołał osiągnąć rangę *ixplanatla*, a to oznaczało, że musiał napisać jakąś pracę naukową, jako dodatek do kwalifikacji niezbędnych, by dowodzić wojskowym statkiem zaopatrzeniowym. Po prostu sprawdził w łączu chmurowym teixcalaanlijski znak tożsamości Trzy Trawy-Morskiej, upewnił się, że rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje, i przydzielono jej

zadanie na „Ciężarku u Koła”. Następnie *asekreta* wysłała mu dokumenty Mahit. Lselską ambasadorkę w Teixcalaanie, która uprzejmie zgodziła się wesprzeć swymi umiejętnościami wojenny wysiłek Imperium, biorąc pod uwagę bliskość jej ojczystej stacji do frontu, również należało jak najszybciej dostarczyć na miejsce. Trzy Trawa-Morska napisała to wszystko bardzo oficjalnym językiem. Niepotrzebnie się trudziła. Sześć Kapsaicyna wzruszył tylko ramionami i oznajmił:

— Jakie znaczenie ma jeden pasażer więcej w locie trwającym dwadzieścia godzin? Mamy tlen. Z pewnością też nie zje zbyt wiele. Biochemia Stacyjnych jest standardowa.

Poinformował Trzy Trawę-Morską, że wahadłowiec przylatuje za trzy godziny i trzy kwadransy.

Dobrze by było, gdyby Mahit zjawiała się do tej pory.

Osiągnęły porozumienie, czy może podjęły decyzję, w kapsule do wynajęcia. Następnie Mahit oznajmiła, że ma jeszcze kilka osobistych spraw do załatwienia. To była oczywista wymówka. Zamierzała wykorzystać propozycję Trzy Trawy-Morskiej, by wydostać się z politycznych kłopotów, w które się wplątała. Dwoje radców z — emisariuszka znalazła we wbudowanej pamięci swego łącza chmurowego dane dotyczące lselskiego rządu — zaledwie sześciu. W hangarze zjawiała się cała jedna trzecia Rady Stacji, zajęta rozwiązywaniem jakiegoś problemu w towarzystwie Mahit Dzmare.

To zrozumiałe, że Mahit potrzebowała czasu. Niemniej czekanie na nią było okropnie denerwujące.

Trzy Trawa-Morska znalazła się w miejscu, którego nie знаła, i bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła wybrać się na spacer i poznać je lepiej.

Obiecała, że nie opuści pokładu, na którym znajdował się hangar, i miała zamiar dotrzymać słowa, ale, no cóż, miał on pewnie dobre trzy kilometry długości i można było na nim znaleźć mnóstwo atrakcji. Poza tym, kiedy będzie znowu miała okazję odwiedzić dom Mahit? Zapewne nigdy. Gdyby go

nie zwiedziła, byłoby to marnotrawstwem. Zresztą to nawet nie było zwiedzanie, tylko rekonesans, a rekonesans był jej specjalnością. W końcu pracowała dla Ministerstwa Informacji.

Wygramoliła się z kapsuły i arbitralnie zdecydowała, że pójdzie korytarzem w prawo. Jej łącze chmurowe było tu właściwie bezużyteczne. Pozwalało jedynie połączyć się z teixcalaanlijskimi statkami, które mogły znajdować się w tym sektorze. Gdy brama skokowa zaprowadziła ją do sektora, w którym nie było sieci teixcalaanlijskich regeneratorów sygnału, traciła zdolność rozmowy z Miastem i z większością świata. Na drugą stronę bramy skokowej można było się dostać, wyłącznie przechodząc przez nią fizycznie. Miała do dyspozycji tylko wbudowaną pamięć, własne dokumenty oraz zredukowaną, nieaktualizowaną wersję sieci wewnętrznej Ministerstwa. Żadne z tych źródeł nie zawierało planu wnętrza Stacji Lsel. (Gdyby to był prawdziwy rekonesans, włączyłaby na czas spaceru funkcję cyfrowego mapowania łącza, ale nie przybyła tu jego szpieg, i to byłoby okropnie nieuprzejme).

Korytarze na Lsel były wystarczająco szerokie, by cztery osoby mogły chodzić nimi obok siebie. Liczne stopy wytarły metalowe podłogi, aż zrobiły się one przyjemnie matowe. Pierwszym osobliwym faktem, jaki zauważyła, było wszechobecne światło słońca. Zawsze sobie wyobrażała stację kosmiczną jako zamkniętą metalową skrzynię. Wszędzie tylko sztuczne światło i żadnych roślin, nic, co wyrastałoby naturalnie. Jednakże korytarze Lsel — a przynajmniej ta wewnętrzna pętla — miały dobrze zaprojektowane plastistalowe okna, za którymi widziało się piękne pole gwiazd i autentyczne słońce, niewielkie i świecące wesołym, białozłotym blaskiem. Zmieniało położenie bardzo szybko. Okres obrotu Stacji wokół osi z pewnością był znacznie krótszy niż doba, mniej więcej cztery wschody i cztery zachody słońca w okresie ludzkiego cyklu dobowego. Pomyślała, że mogłaby to polubić. Wszystkie te wschody słońca.

Drugim źródłem zaskoczenia byli ludzie. Stacyjni byli naprawdę wysocy i bardzo dobrze potrafili ignorować się nawzajem. A nawet ignorować małą

Teixcalaanlitzlim w jaskrawym, czerwonopomarańczowym mundurze. Rzadko patrzyli sobie w oczy i z wielką wprawą schodzili sobie z drogi nawet w najbardziej zatłoczonych odcinkach korytarzy. Zapewne był to skutek uboczny życia w ciasnocie. Zachowywali się jak mieszkańcy Prowincji Wewnętrznej Miasta, którym tłok nie przeszkadzał, mimo że — jak wiedziała Trzy Trawa-Morska — na całej Stacji było ich zaledwie trzydzieści tysięcy.

To musiało być bardzo dziwne — należeć do ludu składającego się tylko z trzydziestu tysięcy osób. Czułaby się w takiej sytuacji bardzo niepewnie. Tylko te cienkie metalowe ściany dzieliły ich wszystkich od pustki.

Wolała jednak nie myśleć o wąłości tych ścian. To budziło w niej klaustrofobię. Skręciła po raz kolejny, kierując się ku wnętrzu Stacji. Zamiast prawdziwych okien były tu płaskie infoekrany, wyświetlające obraz zewnętrznej przestrzeni. To był fascynujący pomysł. Być może Stacyjni lubili cały czas mieć wrażenie, że są blisko gwiazd. Dotarła do dzielnicy handlowej. Większość sklepów miała postać kiosków. Naprawdę musiała lepiej poznać język Mahit. Przetworzenie robaczków stacyjnego alfabetu na fonemy zajmowało jej stanowczo zbyt wiele czasu, a nawet wtedy nie zawsze była pewna znaczenia słów, nie wspominając już o ich wymowie.

Niemniej na połowie kiosków były też znaki zrozumiałego języka. Miały bardzo artystyczny charakter i służyły raczej dekoracji niż komunikacji, i była też pewna, że kiosku sprzedającego napoje w butelkach nie powinien zdobić teixcalaanlijski napis TU SAŃ WIEPRZOWINY! — chyba że całkowicie błędnie wyobrażała sobie zarówno naturę tych napojów, jak i możliwości hodowli zwierząt na Stacji. W dodatku liczba mnoga była nieprawidłowo utworzona. Zapewne napis miał znaczyć TU SAŃ INTENSYWNE SMAKI UMAMI. Te znaki były wystarczająco podobne do siebie, żeby ktoś mógł je pomylić. Zatem to były niesłodzone napoje.

Podeszła do kiosku i uśmiechnęła się jak Stacyjna, pamiętając o odsłonięciu zębów. Sprzedawca nie odwzajemnił uśmiechu. Być może zrobiła to źle. Rozciągnęła policzki tak mocno, że aż ją zaboląły.

— Nie wiedziałem, że mamy gości z Imperium — odezwał się Stacyjny. Mówił po teixcalaanlijsku całkiem niezłe. — Czy chcesz spróbować naszych napojów?

Trzy Trawa-Morska spojrzała na niego i przestała się uśmiechać.

— Tak — odpowiedziała. — Z wielką chęcią. Mówisz bardzo dobrze!

— Chodziłem na kursy.

Nalał trochę napoju do kubka wyglądającego na całkowicie biodegradowalny. Zapewne to było czterogodzinne naczynie z organicznego plastiku, o procesie rozkładu rozpoczynanym przez kontakt z wodą. Napój się pienił. Interesujące.

— Z czego się go robi? — zapytała emisariuszka i pociągnęła łyk, zanim sprzedawca zdążył jej odpowiedzieć.

Napój miał smak soli. Alkoholizowanej soli i oceanu. Tutaj nie było żadnych oceanów. Fascynujący, lecz zarazem okropny. Nie zamierzała go próbować już nigdy więcej.

Stacyjny wypowiedział słowo w swoim języku, po czym skrzywił się, jakby szukał w mózgu odpowiedniego terminu.

— Z podwodnych falujących roślin? — zapytał.

— Z alg — domyśliła się Trzy Trawa-Morska. — Robicie piwo z alg.

— Myślisz, że mogłoby zdobyć popularność w Imperium? — zapytał Stacyjny. — Myślałem o kontrakcie eksportowym...

Nie — pomyślała emisariuszka. — *Ma smak alg. Na krew i światło gwiazd, nikt nie chciałby tego pić...*

— Być może na niektórych planetach — odparła z optymizmem w głosie. — Imperium jest bardzo duże.

— Czy przyjechałaś tu z delegacją handlową? Jak masz na imię?

Ich rozmowa przyciągnęła uwagę kilku innych sprzedawców. Wszyscy chcieli jej zaprezentować próbki swoich towarów. Czyżby Stacja Lsel była aż tak spragniona handlu z Imperium? Mahit zawsze stanowczo utrzymywała, że Stacja musi zachować niezależność...

— Nazywam się Trzy Trawa-Morska — odpowiedziała — i obawiam się, że nie mam nic wspólnego z misjami handlowymi.

— Zatem jesteś prywatną inwestorką — stwierdziła jedna z grupki Stacyjnych, również po teixcalaanlijsku. Emisariuszka miała nadzieję, że jej... tort? To wyglądało jak tort... nie jest zrobiony z alg.

— Niezupełnie — odpowiedziała. Chciała już odejść, gdy nagle tuż za nią, po prawej, rozległ się inny głos.

— Co tu się dzieje? — zapytał. Wszyscy Stacyjni nagle wyprostowali się na całą swą absurdalną wysokość. To był ktoś ważny. Ktoś, kto... odpowiadał za handel. Spróbowała sobie przypomnieć, który z sześciu członków Rady Lsel zajmuje się tą dziedziną. To byli górnicy, zgadza się? Ale spotkała już w hangarze radcę górników, chudego jak szkielet mężczyznę. Odwróciła się.

To nie był Darj Tarats, lecz niska, szczupła kobieta o siwych, kręconych włosach, wysoko ustawionych kościach policzkowych i ogorzałych policzkach. Trzy Trawa-Morska pokłoniła się jej i czekała, aż kobieta się przedstawi. Tak było najbezpieczniej. Najprościej. Pozwól drugiej osobie mówić, dopóki nie będziesz mogła przejąć kontroli nad rozmową. To była jedna z pierwszych rzeczy, których nauczyła się w szkole dla kadetów. Ćwiczyła to z Dwanaście Azalią. (Nie chciała o nim myśleć).

— Nie wiedziałam, że pozwolono teixcalaanlijskim delegatom przybyć na Stację, a tym bardziej poruszać się swobodnie po publicznym placu targowym — oznajmiła kobieta. — A jednak jesteś tutaj. Kimkolwiek jesteś, chcę cię poinformować, że Dziedzictwo nie pozwala na indywidualne umowy między lselskimi i teixcalaanlijskimi kupcami.

— Nie jest moim zamiarem gwałcenie waszych miejscowych praw — zapewniła Trzy Trawa-Morska. — Jak rozumiem jesteś z Dziedzictwa, tak?

— To jest radczyni Amnardbat — wyjaśnił stojący za nią sprzedawca algowego piwa głosem sugerującym, że boi się, iż każą mu zapłacić naprawdę wysoką grzywnę, a być może również skonfiskują jego algi.

Co Mahit opowiadała jej w Mieście o radczyni dziedzictwa? Nie mogła

sobie przypomnieć nic konkretnego. Z pewnością nie twierdziła, że Dziedzictwo to protekcyjnistyczna frakcja w Iselskim rządzie.

— Radczyni, chciałam tylko spróbować miejscowych produktów. Nie jestem członkiem koncernu handlowego.

— A czego członkiem jesteś?

Trzy Trawa-Morska miała wrażenie, że odpowiedź „Pracuję dla Ministerstwa Informacji” nie została przyjęta lepiej niż „Jestem wędrowną handlarką i szukam czegoś tak osobliwego, że byłoby zaskoczeniem nawet na teixcalaanlijskich rynkach”. Osoba tak bardzo nie lubiąca handlu, którego nie mogła kontrolować, nie polubi też kogoś, kogo z pewnością uzna za szpiega.

— Lecę na wojnę — odpowiedziała nieco górnolotnie Trzy Trawa-Morska.
— Jestem tłumaczką i dyplomatką. Wkrótce opuszczę Stację na pokładzie „Jaśminowego Gardła”.

Wszystko to było prawdą.

Jej słowa nie zrobiły wrażenia na radczyni Amnardbat.

— Ach, zapewne powiadomienie o jego przybyciu umknęło mojej uwagi.

Jej uśmiech wyglądał wyjątkowo nieprzyjemnie, Trzy Trawa-Morska miała szczerą nadzieję, że odleci ze Stacji i znajdzie się bezpiecznie na teixcalaanlijskim okręcie atakowanym przez tajemniczych obcych, nim radczyni skończy szukać powiadomienia, której jej wyjaśni, w jaki sposób emisariuszka trafiła na Stację.

— Zapłaciłaś za ten napój? — zapytała radczyni dziedzictwa.

— Jeszcze nie — odpowiedziała Trzy Trawa-Morska tak beztrosko, jak tylko potrafiła się na to zdobyć, czyli znacznie mniej beztrosko, niż jeszcze przed chwilą.

— To był tylko mały łyeczek za darmo — zapewnił sprzedawca, co było dość odważne z jego strony, zwłaszcza że najwyraźniej nie znał teixcalaanlijskiego słowa „próbka”.

— Jeśli... nasz gość?... chce dostać całą butelkę, wezmę od niej pieniądze.

— Zapłacę za nią — oznajmiła Amnardbat. — Wątpię, by Teixcalaanlitzlim

miała przy sobie miejscową walutę.

Trzy Trawa-Morska miała mnóstwo miejscowej waluty — właściwie już nie takie mnóstwo, nie po tym, jak przekupiła kapitana barki na Esker-1, ale trochę miała. To było dość obraźliwe, lecz również użyteczne. Interesująco użyteczne. Być może uda się jej przekonać radczynię dziedzictwa, że ma u niej dług.

— Jestem ci wdzięczna, radczyni. Jak już wspominałam, jestem tu tylko na chwilę i nie zamierzam kupować niczego, co nie figuruje w już zawartych kontraktach.

Sprzedawca wyciągnął skaner wielkości dłoni. Amnardbat pomachała chipem kredytowym, aż zabrzmiał przyjemny dźwięk dzwonka.

— Gotowe — stwierdziła. — A teraz, Trzy Trawo-Morska, dyplomatko, tłumaczko czy kim tam właściwie jesteś, czy mogę cię odprowadzić do głównego hangaru? Nie chciałabym, żebyś zgubiła drogę i spóźniła się na statek.

Nie chciałabyś, żebym zobaczyła więcej na twojej Stacji. Ani rozmawiała z innymi niczego niepodważającymi tubylcami. Jesteś naprawdę wściekła na Teixcalaan, nieprawdaż, radczyni? Mimo że nawet was nie anektowaliśmy.

— Oczywiście — zgodziła się Trzy Trawa-Morska i znowu się pokłoniła. — To dla mnie zaszczyt, że chcesz poświęcić swój czas na takie proste zadanie.

— Rzadko widzimy Teixcalaanlitzlim na tym pokładzie — odparła Amnardbat, nadal uśmiechając się bardzo nieprzyjemnie. — Nie chciałabym, żeby ominęła mnie taka okazja. No to ruszajmy.



Gdy Osiem Antidotum wyszedł z tuneli i znalazł się w piwnicy Ministerstwa

Wojny, Jedenaście Wawrzyn nie czekał na niego. Tym razem to nie była pora ich umówionego spotkania. Chłopiec nie rozwiązał jeszcze zadań strategicznych, które dał mu podsekretarz po rozmowie o Kauraanie. Przyjrzał się im tylko i zorientował się, że są skomplikowane. Nawet nie otworzył kartografów w łączu chmurowym. Niemniej Kauraan nadal zaprzętał jego myśli. Czuł się winny i zaniepokojony tym, że przyszedł tu, nie rozwiązawszy zadań. Zawsze odrabiał wszystkie lekcje, nawet te nieoficjalne.

Jedenaście Wawrzyn nie spodziewał się go jednak. Osiem Antidotum przyszedł tu po to, by... być może z nim porozmawiać, jeśli go spotka. Ale przede wszystkim obserwować wojnę z obcymi. Zaczął nazywać ją w myślach „wojną Dziewięć Hibiskus”, lecz rzecz jasna nie powiedziała by tego na głos w Ministerstwie Wojny. Nie był głupi.

Chciał zobaczyć prawdziwy pokój dowodzenia, z prawdziwą łącznością, z prawdziwym polem walki, i spróbować zrozumieć go w taki sam sposób, w jaki rozumiał zadania i ćwiczenia. Przekonać się, czy wojna idzie dobrze, źle, czy w nieoczekiwany sposób. A jeśli będzie miał szczęście, być może również porozmawiać z kimś z Sześciu Rozpostartych Dłoni, kto chciałby się popisać przed chłopcem, który może któregoś dnia zostać cesarzem. To zawsze działało na dorosłych, nawet jeśli miał dopiero jedenaście lat. Z czasem będzie działało coraz lepiej, ale musi jeszcze trochę poćwiczyć.

Gdy mijał pierwszy zestaw kamer, o których wiedział — był przekonany, że właśnie przez nie obserwuje go Dziewiętnaście Ciesak — pomachał do nich ręką i uśmiechnął się, otwierając szeroko oczy, po czym ruszył przed siebie, tak radośnie, jak tylko potrafił. To nie było łatwe, bo miał wielką ochotę zerwać się do biegu. Nie po to, żeby uciec, ucieczka była niemożliwa — jakiś urzędnik zapewne wysłał już do Jej Promienności zawiadomienie o tym, gdzie tym razem wybrał się następcą tronu — ale po to, by jak najszybciej znaleźć się w gęściej zaludnionych częściach Ministerstwa. Zejść ze swych zwyczajowych ścieżek i zobaczyć coś nowego.

Ministerstwo Wojny zbudowano na planie sześcioramiennej gwiazdy (jak

mogłoby być inaczej?) i w dawnych czasach każda Dłoń zapewne zajmowała odpowiedni sektor. Obecnie jednak, ponieważ biurokracja zawsze działała skutecznie, jeśli poszczególne grupy urzędników były blisko siebie, bez względu na to, do której gałęzi należały (nauczyciele zawsze mu to powtarzali, co mówiło chłopcu tylko tyle, że są biurokratami i nie lubią przenoszenia biur w inne miejsce), znacznie trudniej było znaleźć drogę w sześciu sektorach gwiazdy, jeśli szukało się kogoś konkretnego. Osiem Antidotum pragnął zobaczyć centralny pokój dowodzenia. Prawdziwy stół strategiczny używany w prawdziwej wojnie. Z pewnością znajdzie go w samym środku gwiazdy.

W miarę jak zbliżał się do centrum gmachu, środki bezpieczeństwa stawały się coraz bardziej widoczne. Znaczyło to, że zmierza we właściwym kierunku. Widział mnóstwo żołnierzy w najrozmaitszych mundurach. Najwięcej było uniformów Ministerstwa — takich, jakie nosił Jedenaście Wawrzyn — lecz zauważył też ludzi z co najmniej siedmiu różnych legionów. Rozpoznał na naszywce jednej kobiety pikującego sokoła Ósmego, u innej zaś deszcz spadających gwiazd Pierwszego, widział też inne godła, których nie znał. Pierwszy człowiek, który go zatrzymał — po czterech korytarzach i jednym punkcie kontrolnym, przez który przepuszczono go bez przeszkód — miał porażacz długi jak połowa wzrostu chłopca i szary jak jego mundur Ministerstwa Wojny. Koniec broni zatrzymał się tuż przed mostkiem intruza.

Zapewne powinien się przestraszyć.

Fajnie było się nie bać.

Pokłonił się, składając palce przed sobą. Porażacz wcisnął się w jego pierś.

— Jestem następca tronu Osiem Antidotum — oznajmił. — Chciałem zobaczyć, jak toczy się nasza wojna.

Porażacz zniknął tak błyskawicznie, jakby go nigdy nie było.

— Wybacz, proszę, moją impertynencję — rzekł żołnierz. Osiem Antidotum machnął ręką. *Wspaniałomyślny* — powiedział sobie. *Bądź wspaniałomyślny.*

— Nie ma sprawy. Twoja dbałość o bezpieczeństwo Ministerstwa zasługuje na uznanie.

Uśmiechnął się, otwierając szeroko oczy, i przypomniał sobie, jak starał się upodobnić do Sześć Kierunku, rozmawiając z Dziewiętnaście Ciesak. Spróbował tego jeszcze raz. *Pamiętasz mnie? Jestem cesarzem, tylko w kształcie dziecka. Zaczekaj, a może pewnego dnia znowu stanę się dorosłym cesarzem.*

Udało się.

— Tędy, Ekscelencjo — odpowiedział żołnierz, otrzymawszy potwierdzenie przez łącze chmurowe. Chłopiec zauważył pod szkłem szybkie błyski przesyłanych wiadomości. — Poszczyli ci się. Minister Trzy Azymut, ta, która rozpala wrogość w najszczerzej zaprzysiężonych sercach, jest w tej chwili w pokoju dowodzenia.

To znaczyło, że odniósł sukces nieco większy, niż na to liczył. Spodziewał się, że zobaczy pokój dowodzenia, być może spotka kilku wysokich rangą oficerów albo innego podsekretarza — nie byłoby źle, gdyby był tam również Jedenaście Wawrzyn, wykazałby się przed nim inicjatywą i kreatywnością — ale sama minister wojny? To było bardzo dużo. Spotkał ją już, ale tylko raz, gdy przybyła do Miasta przed dwoma miesiącami. Nie zwróciła wtedy na niego uwagi, pomijając jedynie obowiązkowe „dzień dobry, Ekscelencjo”. Chciała porozmawiać z Dziewiętnaście Ciesak. Jej poetycki epitet brzmiał naprawdę groźnie, ale od tego były poetyckie epitety.

Żołnierz zaprowadził go do samego środka gwiazdy Ministerstwa. Chłopiec wiedział, że tam właśnie znajdują się pokoje dowodzenia — Jedenaście Wawrzyn wytłumaczył mu to już dawno temu — poza tym, który należał do samego cesarza i był w Pałacu-Ziemia. Wszyscy gapili się na niego, gdy szedł za żołnierzem, starając się zachować pewną minę. Żałował, że nie jest choć trochę wyższy. Zacznie naprawdę rosnać dopiero wtedy, gdy będzie miał co najmniej trzynaście lat. Sześć Kierunek wyglądał na holografach jak mężczyzna dopiero gdzieś od piętnastego roku życia. Osiem Antidotum nieraz

myślał, że wolałby odziedziczyć geny po kimś o bardziej imponującym wyglądzie. Z drugiej strony szybko nabierze mięśni i pozostanie równie zwinny jak teraz...

Drzwi Centralnego Pokoju Dowodzenia Dwa otworzyły się jak przesłona na gest towarzyszącego mu żołnierza. Wewnątrz panował półmrok usiany gwiazdami tak gęsto, że chłopiec przez chwilę pomyślał, iż powietrze zmieniło się w sieć. Zamrugał i zobaczył stół kartograficzny — nie wyobrażał sobie, że mogą być aż tak ogromne — wprawiony w podłogę, a nie uniesiony nad nią. Wyświetlał całe cztery sektory przestrzeni jednocześnie. Analitycy i dowódcy z Ministerstwa przyciemnili światło, by lepiej widzieć trajektorie. Minister wojny Trzy Azymut stała po drugiej stronie stołu i poruszała rękami w ekspansywnych gestach, rozjaśniając jedne gwiazdy, a przyciemniając inne. Zacisnęła pięść, obróciła rękę i wytrząsnęła z koniuszków palców flotę maleńkich kanonierek. Wypuściła ich holoobrazy na pole gwiazd i poprawiała ich położenie maleńkimi ruchami. Wyglądało to jak taniec, którym powoływała pole bitwy do istnienia.

Chcę się nauczyć to robić — pomyślał Osiem Antidotum. Pragnę tego bardziej niż niemal wszystkiego, co jestem w stanie sobie wyobrazić.

Trzy Azymut była niska i bledsza niż większość Teixcalaanlitzlim. Miała krótkie, gładkie włosy, ciemne, gęste i proste jak włosy Osiem Antidotum, a także wąskie, lekko skośne oczy. Zdjęła żakiet i organizowała pole bitwy z gołymi ramionami. Miała wydatne, dobrze zarysowane mięśnie, wyćwiczone przy dźwiganiu ciężarów i opuszczaniu ich z powrotem. Osiem Antidotum z jakiegoś powodu był dotąd przekonany, że jest wyższa. Zanim Dziewiętnaście Ciesak została cesarzem, była gubernatorem wojskowym Układu Nakhar i Nakharczycy nie zbuntowali się, gdy piastowała to stanowisko, mimo że zwykli to robić mniej więcej raz na indykcję, sądząc po tym, czego się nauczył na lekcjach historii politycznej. Chłopiec nadal nie wiedział, dlaczego akurat ona została nowym ministrem wojny ani dlaczego

Dziewięć Napęd przedwcześnie przeszła w stan spoczynku, był jednak przekonany, że Dziewiętnaście Ciesak dokonała trafnego wyboru.

Minęła chwila, nim go zauważyła. Najpierw musiała rozmieścić kolejne okręty i poprawić całą serię wektorów zaopatrzenia. Jej palce szarpały za świetlne linie, jakby były strunami jakiegoś instrumentu.

— Tak wygląda nasza sytuacja, chyba że zwiadowcy znajdą miejsca, w których są ich bazy zaopatrzenia — oznajmiła, gdy poczuła się już usatysfakcjonowana. Złożyła dłonie i cała ogromna symulacja zaczęła się powoli poruszać.

— Jest tu Jego Ekscelencja dziedzic tronu Osiem Antidotum — oznajmił towarzyszący chłopcu żołnierz. — Mówi, że chciał zobaczyć wojnę.

— Przyrowadź go tutaj — rozkazała Trzy Azymut. — Stamtąd ni cholery nie zobaczy.

Osiem Antidotum ruszył w jej stronę. Starał się omijać granice obrazu, ale i tak przechodził przez układy planetarne, gasząc je na krótką chwilę, jakby to on był obcymi, którzy zakłócili teixcalaanlijską komunikację. Ich również przedstawiono na symulacji, jako rozprzestrzeniającą się czarną plamę przypominającą atrament. Kierowało się na niego mnóstwo spojrzeń. Wszyscy doradcy, dowódcy i analitycy, którzy przyszli tu, żeby zobaczyć, jak Trzy Azymut będzie symulowała wojnę, gapili się na chłopca idącego przez pole gwiazd. Starał się zachować minę równie radosną jak wtedy, gdy przechodził obok kamer. Z kamerami było jednak znacznie łatwiej niż z prawdziwymi oczami, należącymi do żywych ludzi. (Przynajmniej nie było wśród nich oczu Jedenaście Wawrzynu. Osiem Antidotum nie miał pojęcia, gdzie on się podział. Czy on również nie powinien tu być?)

Podszedł do Trzy Azymut — była tylko kilkanaście centymetrów wyższa od niego. Czuł się z tego powodu bardzo dziwnie. On był dzieckiem, a ona minister wojny.

— Dziękuję, że pozwoliłaś mi obejrzeć tę symulację, minister Trzy Azymut — rzekł w drugim najwyższym stopniu uprzejmości, jaki znał. (Najwyższego

używało się, mówiąc do samej cesarz, oficjalnie i publicznie. Nie stosowano go zbyt często. Znał go tylko dlatego, że, dorastając, słyszał go regularnie).

— Spodziewałam się, że prędzej czy później tu trafisz — oznajmiła minister. — Często przychodziłeś do Dłoni, a dzieciaki w twoim wieku są ciekawskie. Sama taka byłam. Patrz.

Osiem Antidotum skinął pośpiesznie głową i odwrócił się w stronę symulacji. Trzy Azymut kiwnęła leciutko jednym palcem i wszystko, co przed chwilą zatrzymała, znowu zaczęło się poruszać. Obca ciemność się rozprzestrzeniała, a maleńkie punkciki holoobrazów teixcalaanlijskich okrętów przeszywały powietrze. Trzy Azymut wiedziała o jego wizytach. Pewnie, że wiedziała. A czy dowiedziała się również o tym, że Jedenaście Wawrzyn udziela mu lekcji? I czy uważała, że dobrze sobie radzi?

Strategiczna projekcja nagle wydała mu się testem, najpoważniejszym, jakiemu go dotąd poddano. Przyglądał się bardzo uważnie. Nie widział dotąd pozycji ich Floty. Nie tak szczegółowo. Jedna szóstka legionów z Dziesiątym Legionem Dziewięć Hibiskus na czele, ustawiona w formacji fali, gotowej zalać ciemną plamę układów zajętych przez obcych. Czekają w tej pozycji dość długo, przesuając się od czasu do czasu, niektóre okręty z Dwudziestego Czwartego Legionu wysunęły się naprzód, wysyłając nitki światła do jednej z tych czarnych przestrzeni, aż zrobiła się ciemnoszara. Układ Pelloa wrócił do świata, ale był... uszkodzony? Chłopiec sprawdził datę na projekcji, unoszącą się na granicy jego pola widzenia. Wszystko to już się wydarzyło. Obraz zachwiał się na moment — Trzy Azymut rozpostarła jedną dłoń niczym otwierający się kwiat i nagle wszystkie ciemne plamy zostały zastąpione przez armadę złożonych z trzech wirujących pierścieni okrętów, jakich Osiem Antidotum nigdy w życiu nie widział.

Poruszały się tak, jakby nosiły bramy skokowe ze sobą. Pojawiały się i znikaly. Na jego oczach cały Dwudziesty Czwarty Legion i połowa Dziesiątego — w tym również okręt flagowy Dziewięć Hibiskus, „Ciężarek u Koła” — eksplodowały od ognia z dział energetycznych, wypaliły się

i zgasły bądź też uderzyła w nie jakaś dziwna, płynna broń, unieruchamiając je błyskawicznie. Symulacja zbliżała się do końca. Ocalałe legiony z szóstki wlekły się do bramy skokowej, by wrócić do przestrzeni teixcalaanlijskiej.

Wszyscy ci żołnierze zginęliby. Zginęliby bardzo szybko. Legion składał się z dziesięciu tysięcy ludzi, być może nawet więcej. Gdyby półtora legionu unicestwiono w ciągu kilku dni, oznaczałoby to co najmniej piętnaście tysięcy zabitych i...

Co, jeśli obcy podążą za nimi do domu? — zadał sobie pytanie nagle przerażony Osiem Antidotum. *Będą się posuwali za nimi, sektor po sektorze, aż wreszcie dotrą tu i nas poźrą...*

— Wystarczy — rzekła Trzy Azymut. Symulacja się zatrzymała. — Wróćcie do punktu wyjścia.

Wszystkie okręty pojawiły się znowu, jakby straszliwa rzeź nigdy się nie wydarzyła.

— Czy oni rzeczywiście tak się poruszają? — zapytał Osiem Antidotum, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie, mimo że był głęboko zaniepokojony. — Nasi nieprzyjaciele.

— Mam nadzieję, że nie — odpowiedziała minister wojny. — W przeciwnym razie mamy przesrane. Wybacz mi słownictwo, dziecko.

Chłopiec postanowił, że jej nie odpowie. Słyszał już znacznie gorsze słowa.

— Ale mogą się tak poruszać? Jakby byli... bramami skokowymi.

— Wiemy tylko, że pojawiają się i znikają, jakby korzystali z bram skokowych — odpowiedziała Trzy Azymut. — Puśćcie to jeszcze raz. Drugą opcję, z maskowaniem, ale bez asynchronicznych ruchów.

Symulacja zaczęła się od nowa. Tym razem poszło trochę lepiej. Jakby okręty wroga były po prostu niewidzialne. Jednostki Floty mogły używać triangulacji i w końcu je namierzyć, ale trwało to długo i wiele z nich zginęło, zanim znalazły przeciwnika. Osiem Antidotum obserwował, jak minister wojny każe swym analitykom wysyłać przez bramy skokowe posiłki do sektora, w którym toczyły się walki, przyglądał się, jak linie zaopatrzenia

robią się coraz dłuższe i bardziej wątle. Warunki symulacji zakładały, że Teixcalaan nie wie, skąd płynie zaopatrzenie nieprzyjaciela. Nie zna położenia jego rodzimej planety czy najbliższej bazy centralnej. Obcy mogli też nie mieć żadnego domu i po prostu cały czas żyć w pustce. To był trudny punkt wyjścia. Oznaczał, że Flota musi posuwać się naprzód bardzo powoli, krok za krokiem, i wpadać w zasadzki, zanim odnajdzie niewidocznego przeciwnika.

— To nie wygląda za dobrze — stwierdziła minister wojny po dobrych dziesięciu minutach. Machnęła ręką i symulacja znowu wróciła do punktu wyjścia.

— Niekoniecznie... — zaczął ostrożnie Osiem Antidotum. — Powinien być lepszy sposób, żeby ich znaleźć, niż wpadanie w ich zasadzki.

— Powinien — zgodziła się minister. — Masz jakieś pomysły, czy szef moich szpiegów nadal daje ci do rozwiązania stare zadania?

To rzeczywiście był test. Teraz wszyscy doradcy, dowódcy i analitycy, a także żołnierz, który przyprowadził go tu pod groźbą porażacza, choćby nawet powstrzymaną, a zapewne również Jedenaście Wawrzyn (szef moich szpiegów, powiedziała o nim minister i Osiem Antidotum poczuł w tej chwili lekkie mdłości) obserwowali go, czekając, jak zareaguje.

Okazało się, że jest miejsce, do którego możemy się udać, gdy już się przestraszymy. Duże, zimne i jasne miejsce wewnątrz głowy. Pomyślał, że dobrze o tym wiedzieć.

— Mogę? — zapytał, wskazując na symulację. — Łatwiej mi będzie wam to pokazać, minister Trzy Azymut.

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz, którego Osiem Antidotum nie potrafił zidentyfikować. Nie było to zaskoczenie, podziw ani niezadowolenie, ale coś innego, co łączyło ze sobą te trzy rzeczy. Zamrugła za łączem chmurowym, zmieniając ustawienia symulacji. To było jedno z tych dużych łączy, sięgało od połowy wysokości czoła aż do kości policzkowej i zakrzywiało się, zasłaniając również ucho po tej stronie. Czy raczej miejsce, gdzie powinno być ucho, zauważył chłopiec. Takie nagłe olśnienia najwyraźniej były

nieodłącznym elementem tego zimnego, jasnego miejsca, w którym się znalazł. Trzy Azymut nie miała ucha z tej strony. Tylko bliznę po oparzeniu w miejscu, w którym wiązka z broni energetycznej je zniszczyła.

Prawdziwa walka różniła się od symulacji na stole strategicznym. Musi o tym pamiętać, gdy już zostanie cesarzem.

Zajął miejsce przed frontem stołu i przejął kontrolę nad symulacją. Miała znacznie więcej zmiennych niż problemy, które przedstawiał mu Jedenaście Wawrzyn, ale program był ten sam. Chłopiec umiał przesuwać okręty Floty, a SI symulacji będzie kierowała obcymi, ukrytymi w mroku, gdzie ich nie zobaczy.

Okręty, które rozmieszczał, spływały z jego palców, jak przedtem z palców minister wojny, choć wiedział, że wygląda znacznie mniej elegancko niż ona, gdy powoływała je do życia tańcem palców. Ustawił je w sieć, dzieląc pusty sektor na sześciany, jakby legion służył mu do podziału ogrodu na grządki. Następnie zgromadził mniejszy oddział złożony z okrętów flagowych klasy „Wieczny” oraz szybkich kanonierek. Jeśli sieć wykryje nieprzyjaciela, mobilna grupa uderzeniowa ruszy wesprzeć ją wielką siłą ognia. Ustawienie wszystkiego zajęło mu więcej czasu, niż się spodziewał. Niektóre okręty musiały zostać przy bramie skokowej, a linie zaopatrzeniowe robiły się bardzo długie i musiały uwzględniać opóźnienia spowodowane przez bramy skokowe.

— W porządku. Można uruchomić symulację — odezwał się wreszcie, czując na sobie straszliwy ciężar tych wszystkich spojrzeń.

— Nieźle — stwierdziła Trzy Azymut, ale nie uruchomiła symulacji. — Naprawdę nieźle. Ten pomysł z siecią jest dobry. Ale okręty klasy „Wieczny” nie poruszają się tak szybko i przy tak dużej sieci nie zdążą dotrzeć tam, gdzie będziesz ich potrzebował. Próbowaliśmy tego... och, chyba jeszcze przed twoim narodzeniem. Obejmująca cały sektor sieć niszczy linie zaopatrzenia. Co więcej, użyłeś sześciu legionów jak jednego. To ma swoje zalety, ale

szóstka *yaotleka* to sześć różnych umysłów, a one nie zawsze pracują tak samo.

— Chcesz powiedzieć, że zapomniałem o polityce? — zapytał Osiem Antidotum.

Trzy Azymut parsknęła śmiechem.

— Chcę powiedzieć, że świetnie sobie poradziłeś, jak na kogoś, kto nigdy nie był poza planetą, nie wspominając już o byciu żołnierzem.

— Chciałbym to zobaczyć — odpowiedział Osiem Antidotum, zdając sobie sprawę, że mówi jak dziecko, które prosi o rzeczy, których nie może dostać, ale nie potrafi się przed tym powstrzymać.

— Mówisz o wojnie? — zapytała minister.

Chłopiec miał na myśli symulację, którą przed chwilą zaplanował, ale...

— Tak.

— Nie mogę ci pozwolić tam polecieć. Jesteś tylko jeden i Jej Promiennosc byłaby na mnie bardzo zła.

— A stąd? — zapytał. — Mógłbym zobaczyć bardzo dużo, stojąc obok ciebie.

— Ależ z ciebie sprytna żmijka — odpowiedziała Trzy Azymut i pogłaskała go po włosach. Jej dłoń była ciepła i stwardniała, a dotyk całkowicie nieoczekiwany. — Ile masz lat?

— Jedenaście.

— Na krew i światło gwiazd, w twoim wieku malowałam sobie paznokcie u nóg. W porządku, dziecko. Pokaż się tu jutro rano, a może jeszcze zrobimy z ciebie cesarza.

Osiem Antidotum zalała fala satysfakcji i podniecenia. *Co na to powie Jedenaście Wawrzyn?* — zadał sobie pytanie. *Powinienem był zapytać go najpierw.* Uczepił się tej myśli, żeby nie podskakiwać z radości, jak ktoś, kto był jeszcze tak dziecinny, że malował sobie paznokcie u nóg, zamiast uczyć się prowadzenia wojny.

Mahit zostawiła Trzy Trawę-Morską w wynajętej kapsule, pozwalając, by zajęła się znalezieniem jakiegoś połączenia, które zabierze ich ze Stacji na wojnę.

Zrobiła to dlatego, że musiała pomyśleć, odetchnąć przez chwilę bez konieczności patrzenia na nią, zastanawiania się nad niemożliwością jej obecności na Stacji Lsel. Po kilku zakrętach korytarza oparła się o metalową ścianę i zamknęła oczy, starając się powstrzymać dygotanie.

<Masz szczęście> wyszeptał do niej Yskandr. <Szczęście i dobrych przyjaciół>.

Nie wiem, czy można to nazwać przyjaźnią. Ona mnie potrzebuje. A przynajmniej myśli, że mnie potrzebuje.

<To wystarczy, żeby uwolnić cię z rąk Amnardbat>.

Na krótką chwilę. A jeśli z nią odleczę, już nigdy nie będę mogła wrócić do domu. Nikt tu nie stanie w naszej obronie. Słyszałeś ofertę Taratsa...

<Złóż mu lepszą propozycję. Teraz możesz to zrobić>.

Ruszyła mimo woli przed siebie. Kierowała się wspomnieniami Yskandra, szła trasą, którą zawsze chodził, aż wreszcie znalazła się cztery pokłady wyżej i dotarła do przestronnych, ruchliwych biur Koalicji Górników, będącej silnikiem gospodarki Lsel. Mijała biurka i siedzących za nimi Stacyjnych, aż wreszcie znalazła się u drzwi radcy. Prowadził ją Yskandr, a ona mu na to pozwalała. Robili to wspólnie. Jeśli to właśnie była integracja, na którą tak długo czekała, działo się to w całkowicie niewłaściwy sposób. Nie powinna oddawać tak wiele kontroli imago, kierować się jego osądem i motywacjami, w tak znacznym stopniu wyrzekając się własnej woli. Niemniej czuła głęboką ulgę.

Sekretarka Taratsa, wysoka kobieta — Yskandr nie potrafił sobie

przypomnieć, jak się nazywała (a Mahit nigdy tego nie wiedziała) — zapytała ją o nazwisko i zniknęła w gabinecie radcy. Nie było jej tylko kilka minut.

— Radca cię przyjmie — oznajmiła. — Powiedział, żeby ci powtórzyć, że się ciebie spodziewał.

Mahit skinęła głową, podziękowała i weszła do gabinetu. Sekretarka otworzyła przed nią drzwi. Mahit nawet nie chodziła jak ona. Środek ciężkości Yskandra znajdował się nieco wyżej. Chodząc, wysuwał pierś do przodu, jak to zwykle robią osoby płci męskiej. Powinna natychmiast się zatrzymać. Powinna zawrócić.

<Pozwól, żebym nas stąd wyprowadził> odezwał się Yskandr. <Później przeproszę i będziemy mogli wrócić do pracy nad integracją>.

— Radco Tarats — powiedziała (powiedzieli) na głos i nawet ucisnęła jego szkieletową, wykręconą artretyzmem dłoń, gdy okrążył biurko i wyciągnął ją do niej. Na Lsel nie kłaniano się, składając palce przed sobą. Obowiązywał tu bardziej staroświecki sposób przywitania. Zetknięcie dłoni. Kontakt cielesny.

— Co zrobiłaś z tą teixcalaanlijską agentką? — zapytał Tarats. — Schowałaś ją gdzieś czy wyrzuciłaś przez śluzę?

— Schowałam — odpowiedziała i nagle... ponieważ, choć to straszne, ufała Yskandrowi i wierzyła, że wydostanie ją z tego... uśmiechnęła się. Jego uśmiech był zbyt szeroki dla jej twarzy. Wiedziała też, że w jej oczach pojawił się porozumiewawczy błysk. — Dlaczego miałabym pozbywać się kogoś tak użytecznego, Tarats?

Nie zrobiłabym tego — pomyślała. A czy ty to zrobisz? Nawet jeśli to ja jestem tą użyteczną osobą?

<Kiedy byłem na twoim miejscu, Mahit, nigdy nie odwracał się plecami do okazji. Pozwól, bym przedstawił nas jako okazję dla niego> słyszała głos Yskandra.

— Siadaj, Dzmare — polecił Darj Tarats. — Podyskutujmy o tym, co zamierzasz zrobić z emisariuszką, jeśli nie chcesz wyrzucić jej w próżnię.

— Polecę z nią, oczywiście — odpowiedziała. Yskandr miał w sobie jakąś

niepowstrzymaną beztroskę. Podejrzewała, że nauczył się tego od Dziewiętnaście Ciesak. Nie rzucał się naprzód, jak ona, lecz kierował się wykalkulowaną wiarą w swój nieunikniony sukces. Pożyczyła to teraz od niego. — Sprowokowałeś tę wojnę, by wciągnąć Teixcalaan w pułapkę, radco Tarats. Ty i mój poprzednik, choć on tego nie chciał. A teraz wojna nadeszła. Przetacza się przez nasz sektor, tuż obok Stacji. A ty nie masz oczu na tej wojnie, radco.

— Chciałaś powiedzieć, że jeszcze nie mam oczu.

<Jego nic nie rusza> rozległ się w jej umyśle głos Yskandra. <Zgódź się z nim i mów dalej>.

— To właśnie chciałam powiedzieć — potwierdziła ze spokojem Mahit. Liczyła na to, że Yskandr pomoże zachować spokój, dopilnuje, by jej serce nie biło za szybko i nie ścisnęło jej nagle w gardle. — Polecę z emisariuszką na jej wojnę i będę na niej oczami Lsel, choć nie mogłam nimi być w Mieście.

W dawnych czasach głos Taratsa mógł brzmieć gładko, ale wątek się wytarł, pozostawiając tylko szorstką osnowę.

— Jeśli masz zamiar zrobić to dla mnie, Dzmare, nie pozwolę, byś ukrywała się przede mną, jak robił to Yskandr.

— Ja i mój poprzednik w tej sprawie zgadzamy się ze sobą — odpowiedziała. W tej chwili było to prawdą. Ponownie zademonstrowała uśmiech Yskandra. Szerokie otwieranie ust sprawiało jej coraz mniej trudności. — Kompletny i szczegółowy raport o działaniach teixcalaanlijskiej floty, radco, zgodny z moją wiedzą i analizą. Wszystko, co będę wiedziała.

Pozwól, bym znowu stała się użyteczna i zasłużyła na twoją ochronę.

— To tylko początek obietnicy. — Dłonie radcy poruszały się, dodając interpunkcję do jego słów — niezgrabne z powodu artretyzmu, ale i tak zręczne w swych gestach. — Wszystko, co zobaczą twoje oczy i zdoła zinterpretować twój umysł: dobrze. Ale dlaczego miałyby mi zależeć na obserwowaniu wojny, która, jak sama zauważyłaś, jest pułapką? Nie jestem sadystą, Dzmare. Nie interesują mnie szczegóły porażki Teixcalaanu.

Starła się nie poczuć nagłego przyływu gniewu Yskandra. Starła się nie myśleć o zapachu jałowca, o „doprowadzić do zguby coś tak potwornego”.

— A mimo to zgodziłeś się ze mną spotkać — zauważyła, próbując coś z niego wyciągnąć. Jeśli Taratsa nie obchodziły jej oczy, czego od niej chciał?

— To prawda — zgodził się radca górników. — Co jeszcze mogłabyś dla mnie zrobić, Mahit Dzmare, pośród teixcalaanlijskich okrętów? Zastanawiam się nad tym. Gdy byłaś do tego zmuszona, świetnie sobie poradziłaś z pokierowaniem wydarzeniami politycznymi w Klejnocie Świata w zgodzie z naszymi interesami.

— Co mogłoby być bardziej zgodne z naszymi interesami niż to, co dzieje się teraz, radco? — zapytała z ostrożnością w głosie. Przez twarz Taratsa przemknął nieprzyjemny uśmiech.

— Absolutnie nic. Poleć z tą emisariuszką, Dzmare. Poleć z nią i postaraj się pokierować działaniami Floty tak, by Teixcalaan nie mógł się wyplątać z wojny. Jeśli nadarzy się odpowiednia okazja, oczywiście. Żeby nie mógł wygrać i nie mógł się wycofać.

— Jak... — zaczęła Mahit. Łatwiej było zapytać „jak” niż „po co”. Przyznać na głos, że jeśli chce uciec przed chirurgami Dziedzictwa, musi stać się przynętą, która ma zwabić Teixcalaan ku zniszczeniu i śmierci.

<Albo przynajmniej przekonać Taratsa, że nią zostaniemy> wtrącił jadowitym tonem Yskandr. Jej dłonie wypełnił niewidzialny neuropatyczny ogień. <Ja przez dziesięć lat wmawiałem mu, że nadal jestem jego agentem. Ty również potrafisz to zrobić>.

— Masz pewne doświadczenie z sabotażem, czyż nie? — mówił Tarats. — Myślę, że znajdziesz jakiś sposób.

Mahit zastanawiała się, co by zrobił, gdyby nagle zwymiotowała na jego biurko. Obawiała się, że zaraz może się o tym przekonać.

— Czy ambasadorzy w Teixcalaanie kiedykolwiek nie mieli na uwadze interesów Stacji Lsel? — zdołała wykrztusić. Miała nadzieję, że zabrzmiało to jak zgoda.

— Hmm.

Tarats przerwał, jakby porównywał ją z Yskandrem, próbował ocenić głębokość ich integracji, zastanawiał się, do jakiego stopnia może jej ufać po dwudziestu latach korespondencji z jej imago. Znieruchomiała. Spojrzała mu prosto w oczy i nie opuściła wzroku.

— Rób tak dalej — odpowiedział wreszcie. — Czy nie powinnaś śpieszyć się na wahadłowiec, ambasadorko? — dodał. Mahit poczuła osobliwy, dezorientujący przypływ triumfu kogoś innego, który wypełnił jej układ współczulny, podczas gdy sama była przerażona. Yskandr, usatysfakcjonowany tym, że udało im się wymknąć, gotowy złożyć obietnicę, a następnie ją złamać.

Nie była pewna, czy potrafi to zrobić. Nawet w najmniejszym stopniu.

Aknel Amnardbat odprowadziła Trzy Trawę-Morską aż do hangaru, do którego przedtem przybyła. Nadal było tam pełno nierozładowanych skrzyń, które przyleciały na kolejnych barkach. Spędziła na Stacji Lsel zaledwie pięć godzin. To była krótka wizyta. (Wyobraziła sobie, jak mówi to do Mahit: *Poprzednim razem to była krótka wizyta. Mogłabyś oprowadzić mnie po Stacji jak należy?* Radczyni Amnardbat byłaby oburzona. Wszystkie tajemnice Lsel pokazywane obywatelce Imperium). Rzeczona radczyni cały czas gadała jak najęta o Stacji, powtarzając oklepane, pozbawione znaczenia frazesy typowe dla turystycznych przewodników, starannie omijając wszystkie obiekty, które prawdziwy przewodnik zechciałby pokazać zwiedzającym. Była w tym naprawdę świetna. Trzy Trawa-Morska notowała to wszystko w pamięci, na następny raz, gdy będzie chciała popełnić morderstwo przez zanudzenie na śmierć kogoś autentycznie zainteresowanego tematem.

Nienawidzisz nas naprawdę głęboko — zwróciła się do niej w myśli, posługując się formami używanymi w rozmowie z przedwcześnie rozwiniętymi dziećmi z ochronki albo świeżymi kadetami — starannie wykalkulowana, przyjemna i niedostrzegalna obelga. *Któregoś dnia dowiem się dlaczego.*

(Mahit powiedziała „pożeracie nas”. Ale Stacja Lsel sprawiała wrażenie, że nadal jest w pełni sobą i nic jej nie pożało, nawet jeśli wszyscy rozumieli trochę po teixcalaanlijsku. A radczyni władała tym językiem znakomicie, jakby był on nożem, którym nauczyła się władać bez szkody dla siebie).

Ich przybycie do hangaru było znacznie bardziej nagłe, niż spodziewała się tego Trzy Trawa-Morska. Nie miała ani chwili na przygotowania. Gigantyczne drzwi otworzyły się z brzękiem. Zauważyła swój bagaż (tylko jedną walizkę, zabrała ze sobą w tę podróż bardzo niewiele!) czekający obok Mahit, mającej po lewej stronie własne rzeczy, a po prawej Dekakel Onchu. Twarz jej przyjaciółki pobladła nagle niczym pobielana, gdy tylko Mahit zobaczyła Trzy Trawę-Morską.

Nie. Gdy tylko zobaczyła Aknel Amnardbat.

Radczyni zacisnęła gwałtownie dłoń na łokciu Trzy Trawy-Morskiej. Była zaskakująco silna i z pewnością nie spodziewała się zobaczyć tu Mahit...

Na krew i pierdolone światło gwiazd, Trzy Trawa-Morska nie miała do dyspozycji żadnego adekwatnego dossier na temat aktualnej sytuacji w tym miejscu. Nie znosiła takich momentów. Mahit mogła jej wszystko opowiedzieć. Dała do zrozumienia, że ma kłopoty na tle politycznym, ale nie raczyła wyjaśnić, na czym one polegają. Czy nie powinny być partnerkami?

To była interesująco błędna myśl, nieprawdaż? Interesująco błędne przekonanie. Będzie musiała się nad tym zastanowić. Ona i Mahit nie były już po tej samej stronie, nie od chwili, gdy Lselka opuściła Miasto. Ale teraz Trzy Trawa-Morska szła prosto ku niej, a Amnardbat zaciskała dłoń na jej ramieniu. *Nie uciekaj, Mahit Dzmare* — mogła tylko pomyśleć. *Trzymaj się mnie,*

a wsiądziemy na ten wahadłowiec i odlecimy. Jeśli uciekniesz, będę miała totalnie przejebane.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Poprawka w wymaganych predyspozycjach do dalszego studiowania niestacyjnych języków oraz literatury: wysokie oceny w rozpoznawaniu wzorców oraz pamięci nie wystarczają już do zakwalifikowania do poziomu wyższego niż średniozaawansowany wyższy, oferowany wszystkim lselem obywatelom. By zakwalifikować się na kurs zaawansowany, studenci muszą również wykazać się wysokimi predyspozycjami w zakresie spójności grupowej i integracji społecznej zarówno z rówieśnikami, jak i z dorosłymi, a także ukończyć kurs przygotowawczy (poziom średniozaawansowany wyższy) stacyjnej historii i kultury — najlepiej ten sam, który rekomenduje się kandydatom na członków Komitetu Dziedzictwa.

Szkolnictwo i testy predyspozycji dla Stacyjnych w wieku 13–18 lat, wydanie poprawione, opublikowane przez Komitet Dziedzictwa Stacji Lsel pod przewodnictwem Aknel Amnardbat, radczynie dziedzictwa

* * *

Twoja mowa to chryzantema
Bo wszystkie twoje słowa to płatki!
W sercu języka leży rdzeń
Utrzymujący w równowadze tysiąc sylab.
Dodaj przedrostek, żeby powiedzieć MOJE
Dodaj przyrostek, żeby powiedzieć DLACZEGO
Dodaj wrostek, żeby powiedzieć CO
Tak oto mowa staje się językiem!

Teixcalaanlijski wierszyk o gramatyce przeznaczony dla ochronkowych

**uczniów, napisany przez Siedemnaście Ramkę z Ministerstwa Informacji,
powszechnie używany**

Mahit uwierzyła już, że wydostanie się ze Stacji bez przeszkód, jeśli nawet nie bez szkody (to nigdy nie było możliwe, nauczył ją tego Teixcalaan i Yskandr, a teraz Darj Tarats udowodnił jej to raz jeszcze). Jeśli uda się jej wsiąść na wahadłowiec, który wezwała Trzy Trawa-Morska, bezpośrednie niebezpieczeństwo przejdzie w zaledwie prawdopodobne. Być może nie zginie od pocisków obcych. Niektórym udawało się przeżyć.

Ale teraz, gdy tylko centymetry dzieliły ją od wahadłowca, który przed chwilą wylądował, ujrzała przed sobą samą Aknel Amnardbat, która dzięki pechowi, nadzwyczajnemu sprytowi albo połączeniu obu tych czynników pojmała Trzy Trawę-Morską.

Mahit słyszała bicie własnego serca, wypełniające jej uszy niczym szum wody, zbyt szybkie i za głośne.

Zaraz zemdleje bądź pobiegnie w stronę promu, jedno albo drugie. Trzy Trawa-Morska i Amnardbat zbliżały się do niej jak powolna, straszliwa fala. Ten problem był zbyt wielki, by mogła go prześcignąć. Nawet obecność Dekakel Onchu w niczym jej nie pomoże. Onchu jasno oznajmiła, że Mahit nie jest jej już potrzebna. Jej użyteczność zakończyła się w chwili, gdy Mahit po powrocie na Lsel postanowiła, że nie zawiadomi natychmiast radczyni pilotów, że otrzymała listy, które ta potajemnie wysłała do Yskandra. Onchu odda ją Amnardbat, jeśli radczyni dziedzictwa uprzejmie ją o to poprosi. Potrzebowała Dziedzictwa, by akceptowało nowe linie imagowe pilotów, bo traciła ich bardzo wiele z powodu ataków obcych przy Bramie Anhamemat. Onchu była tu, by się upewnić, że teixcalaanlijski wahadłowiec opuści Stację Lsel i nie wróci tu niespodziewanie. Mahit jej nie obchodziła. W całej tej scenie chodziło wyłącznie o politykę, a Mahit nie była już graczem. Stała się zużyтым zasobem dla wszystkich oprócz Darja Taratsa, który chciał pozwolić jej odejść, ale nie dbał o jej bezpieczeństwo, oraz dla Trzy Trawy-Morskiej...

...która kierowała na nią wyraziste, pełne determinacji i furii spojrzenie, gdy Amnardbat prowadziła ją przez hangar. *Gdybym uciekła, mogliby ją zabić jako podejrzaną o szpiegostwo* — pomyślała Mahit z lodowatą klarownością. *Może rzeczywiście przyleciała tu, żeby szpiegować.* — Ta myśl była jeszcze bardziej lodowata. *Muszę ją wydostać ze Stacji i uciec razem z nią.*

<Ty też zajmujesz się teraz szpiegowaniem> wyszeptał Yskandr. Zignorowała go. Nie była w stanie myśleć o tym, co obiecała Darjowi Taratsowi. Nie w tej chwili. Może kiedy będzie już po wszystkim, zakładając, że w ogóle będzie jakieś „po”, które da jej czas na zastanowienie się nad obietnicami złożonymi w rozpaczliwej sytuacji. Złożonymi, gdy pozwoliła, by jej imago skłoniło ją do decyzji, jakich z pewnością by nie podjęła, nim stała się ogniwem w łańcuchu żywych wspomnień.

— Radczyni — odezwała się, zaskoczona swobodą słyszalną we własnym głosie, niezachwianą pewnością siebie, której w rzeczywistości nie czuła. Tym razem to był całkowicie jej ton, nie Yskandra. Mimo to pobrzmiewał w nim całkowity spokój. — Cóż za niespodzianka. To zaoszczędzi mi zostawiania wiadomości w twoim sekretariacie. Otrzymałam wezwanie, którego muszę posłuchać. Dlatego jestem zmuszona odroczyć nasze spotkanie.

Za chwilę Amnardbat odpowie: „Nie, Mahit, chodź ze mną natychmiast”. Następnie pojawią się ludzie z sił bezpieczeństwa Dziedzictwa, wyłaniając się z cieni, jak funkcjonariusze Mgły teixcalaanlijskiego Ministerstwa Sprawiedliwości, i odprowadzą ją. Zaraz radczyni oznajmi: „Widzicie, Dzmare pracuje dla Teixcalaanu. Wpuściła tę agentkę na naszą Stację”. Niewykluczone, że będzie miała rację. Już za chwilę.

— Gdzie wzywają cię tak pilnie? — zapytała Aknel Amnardbat głosem bezbarwnym i pozbawionym wyrazu jak woda destylowana.

— Radczyni Amnardbat, obawiam się — odezwała się Trzy Trawa-Morska po teixcalaanlijsku — że mam obowiązek zażądać zwrotu ambasadorki Dzmare. Teixcalaan potrzebuje jej usług.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu brzmienie tego języka wydało się

Mahit rażące. Nie pasowało do kontekstu. Trzy Trawa-Morska, w swym płomiennym, pomarańczowym stroju, po teixcalaanlijsku doskonałym, wyglądała jak trujący cięty kwiat umieszczony pośrodku hangaru. Coś pięknego i niebezpiecznego, co nie powinno się tu znajdować. Co wkrótce zginie i zabierze ze sobą wszystko wokół.

Amnardbat przeniosła spojrzenie z Trzy Trawy-Morskiej na Mahit, a następnie na czekający wahadłowiec i jego otwarte drzwi. Uniosła brwi i wydeła usta, jakby jadła cytrusowy proszek prosto z torebki. Na koniec puściła rękę emisariuszki.

Ciekawe, czy będzie miała siniaki — pomyślała Mahit.

<Jeśli nie będziesz wykonywała nagłych ruchów, może będzie miała szansę się przekonać> wyszeptał Yskandr. W jego głosie było coś tak całkowicie odrażającego, że zapragnęła ukryć się przed wnętrzem własnego umysłu. Czy to był jego, czy jej ton? A może obojga? Czy z czasem będzie to coraz trudniej określić?

— Naprawdę, Dzmare? — Amnardbat nie zadała tego pytania po teixcalaanlijsku, choć, jak wiedziała Mahit, znała ten język bardzo dobrze. Radczyni z pewnością się domyśliła, że Trzy Trawa-Morska nie rozumie za dobrze po stacyjnemu. — Wracasz do Imperium, mimo że jesteś winna swemu domowi zapis wspomnień?

Mahit skrzywiła się boleśnie.

— Lecę... lecimy na wojnę, nie do Miasta, radczyni.

Ta liczba mnoga. Będzie musiała na to uważać. Z pewnością miała na myśli siebie i Trzy Trawę-Morską.

<„My” to dobre określenie w naszym przypadku> odezwał się Yskandr. W jego głosie słyszało się echa młodszej, uszkodzonej wersji, mniej lubieżnej, lecz okrutniejszej.

Mahit chciała tylko, by obaj dali jej czas na zastanowienie. Natychmiast jednak pożałowała tej myśli. Kiedy go nie było, tak bardzo pragnęła jego powrotu.

Amnardbat przyjrzała się jej raz jeszcze, po czym przeniosła wzrok na stojącą obok Onchu. W jej spojrzeniu widziało się bezlitosny osąd i całkowite lekceważenie. *Jak sobie życzysz. I tak nie ma z ciebie żadnego pożytku.* Mahit pomyślała, że to projekcja. Niemal na pewno. Doszukiwanie się narracji tam, gdzie jej nie było. Nie potrafiła się przed tym powstrzymać, już od chwili opuszczenia Miasta.

— Są znacznie łatwiejsze sposoby popełnienia samobójstwa, niż polecieć na wojnę kogoś innego, Dzmare — oznajmiła jednak po stacijnemu Amnardbat.

Mahit nie sądziła, aby te słowa były skierowane przeciw niej. To był atak na Onchu i być może na Darja Taratsa za jej pośrednictwem. Marnotrawstwo zasobów Lsel dla teixcalaanlijskich kaprysów.

Gdybyś mi nie groziła, nie musiałabym nigdzie lecieć. Nie chciałam opuszczać Stacji. Przed chwilą wróciłam do domu. Do domu, radczyni.

Myśleć było łatwo.

— Spodziewam się, że wrócę żywa — odparła na głos. — Jest coś jeszcze, radczyni?

Teraz z pewnością zjawią się ludzie z sił bezpieczeństwa albo wtrąci się Onchu, albo Trzy Trawa-Morska przestanie patrzeć na nią, jakby oczekiwała, że nagle nauczy się czytać w myślach i będzie mogła przekazać Mahit, co powinna robić, jeśli zacznie się w nią wpatrywać wystarczająco intensywnie.

— Och, w takim razie leć — oznajmiła od niechcienia Aknel Amnardbat i machnęła dłonią w stronę wahadłowca. — Baw się dobrze, dopóki możesz. — Poklepała Trzy Trawę-Morską po ramieniu. Emisariuszka wzdrygnęła się wyraźnie. — Onchu? Słowo, kiedy Teixcalaanlitzlim i jej... podopieczna... opuszczą już kontrolowaną przez nas przestrzeń?

— Oczywiście — zgodziła się gładko radczyni górników. — Życzę szczęścia, Mahit. I tobie również, emisariuszko.

Onchu przynajmniej raczyła przejść na teixcalaanlijski, gdy zwracała się bezpośrednio do Trzy Trawy-Morskiej. Było ją również stać na to, by oddalić

się natychmiast od niej i zabrać ze sobą Amnardbat. Takie drobiazgi jak Teixcalaanlitzlim i zdruzgotana ambasadorka nie miały znaczenia, gdy dwie lselskie radczynie chciały ze sobą porozmawiać. To było brutalne. Brutalne i zręczne. Mahit potrafiła sobie wyobrazić, że wyrośnie na taką kobietę jak radczynie pilotów, jeśli pożyje wystarczająco długo...

Otwarte drzwi wahadłowca wyglądały niczym mroczne usta. Mahit wzięła w rękę swój bagaż — znacznie lżejszy od tego, z którym wyruszyła do Miasta — i weszła do środka. Trzy Trawa-Morska szła tuż za nią, nieco z lewej. Wróciła na swoje miejsce niczym amputowana kończyna, która nagle odrosła. Jakby nigdy nie przestały być ambasadorką i łączniczką, barbarzynką i otwierającą drzwi. Jakby nic się nie zmieniło.



Gdy Osiem Antidotum się obudził, Jej Promienność stała w oknie jego sypialni, mając za plecami jasny blask księżyca. Lśniła jak zjawą ze snu, jak duch, odziana w biel, jaką nosiła, nim uczyniono ją cesarzem. Chłopiec zastanawiał się, czy cofnął się we śnie o rok, czy cały świat, w którym się znalazł po samobójstwie jego przodka cesarza, rozwiął się niczym dym i zniknął bez śladu. Może znowu miał dziesięć lat. Może dzisiaj czekał go tylko spacer do ogrodu, gdzie będzie oglądał pałacowe kolibry, recytowanie wierszy przed nauczycielem i unikanie drugiego dziecka, które mu dziś przydzielono, by zbliżyć go do rówieśników. Może zapomni...

Dziewiętnaście Ciesak patrzyła na niego. Świat, taki, jaki był naprawdę, nadal nie chciał obrócić się w na wpół zapamiętane urywki. Miał jedenaście lat, był jedynym dziedzicem Imperium, a wczoraj przekonał minister wojny, by nauczyła go, jak być dowódcą.

— Mam coś, co chciałam ci pokazać — oznajmiła Dziewiętnaście Ciesak.

Ciężar jej spojrzenia był przygniatający. Skierowała na chłopca całą swoją uwagę, a on leżał w łóżku bez koszuli. Nagle poczuł się zawstydzony, podciągnął koc do piersi i usiadł.

— Wasza Promienność? — zapytał, starając się nie mówić jak ktoś, kto jeszcze przed minutą spał. Albo jak dziecko.

Odeszła od okna. Jej cień oddzielił się od ściany. Trzymała coś w ręce. Coś ostrego. Metalowego. Osiem Antidotum nie potrafił zrozumieć kształtu tego przedmiotu. Może to był nóż. Może pchnie go nim i na zawsze zagarnie tron słonecznych włóczni dla siebie i swoich dziedziców, kimkolwiek mogli być. Czy miał szansę ją powstrzymać? Jedenaście Wawrzyn nauczył go prostych chwytów, umiał też strzelać z pistoletu energetycznego, ale nie miał żadnej broni. Dziewiętnaście Ciesak ważyła dwa razy więcej od niego, do tego on leżał w łóżku, a ona stała. Wszystkie atuty należały do niej...

To nie był nóż. Nie do końca.

Przedmiot miał kształt grotu strzały; podobne rzeczy Osiem Antidotum widywał w historycznych holofilmach o ludziach z czasów poprzedzających erę kosmiczną i o tym, jak zabijali się nawzajem. Był jednak duży. Duży jak dłoń i zrobiony z ciemnego, przypominającego mosiądz metalu. Lśnił w blasku księżyca. Wyglądał na zardzewiały, ale to nie była rdza, tylko ślady krwi, starej i zakrzepłej. Dziewiętnaście Ciesak podsunęła mu przedmiot.

— Proszę — powiedziała. — Weź go.

Zrobił to. Obiekt był ciężki. Pokrywał go jakiś przezroczysty lakier, który nie pozwalał krwi się złuszczyć. Zatem to pamiątka. Grot włóczni, jak na tronie. Wzdłuż jego centrum biegła uniesiona część, przypominająca kręgosłup. Gdy przesunął po niej kciukiem, poczuł nacięcia. Nacisnął najgłębsze z nich. Cienka metalowa pokrywka odsunęła się. Wewnątrz znajdował się holoobraz. Cały przedmiot był wielkim sztyftem infofiszkowym, a Osiem Antidotum właśnie go otworzył.

To był obraz. Bardzo mały, nieopatrzony żadnymi znakami. Niemniej chłopiec poznał go bez trudu. To był jego przodek cesarz, uwieczniony jako

silny mężczyzna w średnim wieku. Rozpuszczone włosy opadały mu prawie do bioder. Siedział na jakimś czworonożnym zwierzęciu (*to koń — przypomniał sobie Osiem Antidotum. Koń albo wielbłąd, ale chyba raczej koń*). Obok niego, na drugim koniu, siedziała Dziewiętnaście Ciesak w mundurze Trzeciego Legionu. Nie nosiła żadnych dystynkcji. Chłopiec nie radził sobie zbyt dobrze z ocenianiem wieku, ale pomyślał, że mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat.

Oboje się śmiali, jakby połączyła ich ze sobą jakaś tajemnica. Dziewiętnaście Ciesak trzymała w dłoni długi kij z metalowym grotem, z którego skapywała krew. Na czole miała krwawą plamę w kształcie palców cesarza. Jakby zanurzył je we krwi nieprzyjaciela, a następnie odbił w tym miejscu. To był ten sam grot, który chłopiec w tej chwili trzymał w dłoni. Był tego absolutnie pewien.

— Dlaczego mi to pokazujesz? — zapytał.

Nie uśmiechnęła się. Podeszła do łóżka i usiadła na jego brzegu. Jej ciężar niemal nie dał się odczuć. Osiem Antidotum po raz pierwszy pomyślał, że jest chuda. Była niemodnie wysoka i w cesarskich regaliach zawsze wydawała się barczysta i silna, ale okazało się, że jest lekka jak piórko. Jak duch widoczny w blasku księżyca wpadającym przez okno.

— Dlatego, że kochałam twojego przodka. Byłam gotowa zginąć dla niego. W jego służbie. Widzisz nas tutaj? Wtedy nie wiedziałam, co się wydarzy w ciągu następnych lat. Nie miałam pojęcia, co zrobię i co on zrobi. Ale już wtedy wiedziałam, że wierzę w jego Teixcalaan. W Imperium wystarczająco potężne, by żyć w pokoju. Musieliśmy tylko stworzyć tę potęgę. I to się udało. Na długie dziesięciolecia. Zdobyliśmy siłę i utrzymaliśmy ją.

— Ale nie na zawsze — stwierdził Osiem Antidotum. Nie mógł na nią patrzeć, wypowiadając te słowa. Skierował wzrok na maleńkiego holograficznego cesarza, niepokrytego śladami własnej, złożonej w ofierze krwi. Od chwili jej przelania dzieliło go jeszcze trzydzieści lat, a mimo to chłopiec widział dokładnie, jak by wyglądała. Splamiłaby całego konia.

— Nic nie trwa wiecznie — odparła Dziewiętnaście Ciesak. Zabrzmiało to okropnie, zwłaszcza że wypowiedziała te słowa bezbarwnym, zrezygnowanym tonem. To była prawda wywodząca się z krainy dorosłości. Z krainy bycia cesarzem. — Ale nadal wierzę w jego Teixcalaan. Gdy Sześć Kierunek uczynił mnie cesarzem w świątyni słońca, powierzył mi ten Teixcalaan. A po mnie tobie.

— Mam jedenaście lat — przypomniał jej Osiem Antidotum, jakby te słowa mogły ją skłonić do odejścia. Ścisnął metalowy grot tak mocno, że knykcie mu zbieleły. Małeńki holoobraz zamigotał, a potem się ustabilizował.

— Masz jedenaście lat, mały szpiegu — zgodziła się z westchnieniem Dziewiętnaście Ciesak. — Masz jedenaście lat i nie jesteś Sześć Kierunkiem, nawet jeśli twoja twarz wygląda identycznie. Dopilnowałam, byś się nim nie stał. — Skrzywiła się. — Czasami zdumiewa mnie, że Sześć Kierunek powierzył mi Teixcalaan po tym, jak to zrobiłam. Jak upewniłam się, że do tego nie dojdzie. Wiem, że nie jesteś nim, Osiem Antidotum. Wiem to z całą pewnością.

Co takiego zrobiłaś? — pragnął ją zapytać. Dlaczego masz taką minę, gdy o tym opowiadasz? Co by się ze mną stało, gdybyś tego nie zrobiła? Nie mógł jednak wydobyć z siebie głosu.

— Dlatego nie zostaniemy przyjaciółmi, jak ja i twój przodek — ciągnęła. — Co więcej, masz jedenaście lat. Ale już wciągnąłeś się w kwestie rządzenia. Chłopiec, który sam znajduje drogę do Ministerstwa Wojny i wyciąga obietnicę z Trzy Azymut, jest politykiem, nawet jeśli jest jeszcze dzieckiem. Wiesz o tym.

— Wiem — przyznał cicho Osiem Antidotum. — Przepraszam, że tam poszedłem.

— Och, na krew i gwiazdy, nie przepraszaj — odpowiedziała Dziewiętnaście Ciesak. — Wolę mieć sprytnego, irytującego i interesującego następcę niż tępaka albo nudziarza. Jak inaczej zbudujemy Teixcalaan, jakiego pragnął twój przodek?

Użyła zbiorowej liczby mnogiej. Jakby byli równi sobie. Jakby oboje byli dorośli i darzyła go zaufaniem. To zapewne nie była prawda, ale nie wiedział, czemu miałyby to powiedzieć, jeśli chciała go okłamać albo ukryć przed nim coś, czego nie powinien wiedzieć w tym wieku.

— Ale czy nie toczymy wojny, Wasza Promiennosc? — zapytał. — Jak możemy mieć pokojowe Imperium, jakiego pragnął Sześć Kierunek?

— Nie możemy — zgodziła się Dziewiętnaście Ciesak. — Dlatego musimy zwyciężyć albo zmienić parametry konfliktu.

— Z przewidywań Trzy Azymut wynika, że zwycięstwo jest...

— Mało prawdopodobne, tak. Powtórzono mi wszystko. Ze szczegółami. Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił, mały szpiegu. Mały następcu. Zatrzymaj ten grot i spoglądaj na niego, gdy nie będziesz pewien, czego chce od ciebie twoja cesarz. Zapamiętaj, co ci dziś powiedziałam. Idź do Ministerstwa Wojny i dowiedz się dla mnie, co się tam dzieje. Dowiedz się, dlaczego Jedenaście Wawrzyn tak się tobą interesuje. Czy Trzy Azymut chce wygrać tę wojnę, czy wolałaby utrzymać permanentny konflikt? Bądź sobą, takim samym jak przedtem, ale obserwuj wszystko uważnie.

Osiem Antidotum poczuł, że język i palce mu zdrętwiały, Serce tłuło mu szybko. Nie rozumiał, dlaczego Trzy Azymut miałyby nie chcieć zwycięstwa. Czy nie to było zadaniem ministrów wojny? Wygrywanie bitew dla Teixcalaanu? Zdołał jednak skinąć głową — jak mógłby tego nie zrobić? — i przycisnął grot włóczni do piersi.

— W porządku — ucieszyła się cesarz. — A teraz idź spać. Masz tylko jedenaście lat. Jeszcze przez jakiś czas będziesz musiał sypiać.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka chłodnymi palcami. To był lekki, delikatny dotyk. Potem wstała i odeszła. Drzwi jego komnat zamykały się za nią jak przesłony z cichutkimi trzaskami.

Osiem Antidotum nie zasnął. Obserwował wstający świt, prześwitujący przez holograf. Blask rozświetlał od wewnątrz jego zmarłego przodka, upodabniając go do boga.

Po Peloa-2 pogrzebowe mowy wygłaszano co kilka godzin. Zgodnie z tradycją recytacje imion wszystkich zabitych przekazywano na wszystkie okręty, wykorzystując rzadko używaną częstotliwość. Kiedy Dziesiąty Legion nie uczestniczył w walce, wyśpiewywał długą listę ofiar z całego tysiąca lat, przechodząc co półtora tygodnia od ostatniego poległego żołnierza do pierwszego Teixcalaanlitzlim, który zginął, nosząc ten mundur. Dziewięć Hibiskus nie mogła zapomnieć jego imienia ani niskiego tonu, jakim śpiewano je podczas litanii. Dwa Opuncja. To było imię jak włócznia, najeżone kolcami, imię, które dobrze by brzmiało ze słowem „kapitan” albo „ikantlos” przed nim. *Dwa Opuncja zginął przed tysiącleciem. Miał siedemnaście lat i nie zdążył zdobyć żadnych tytułów. Po jego imieniu było bardzo wiele innych.*

Podczas działań wojennych miejsce powtarzającej się bez końca litanii zajmowały prawdziwe mowy pogrzebowe, choćby nawet krótkie i skromne. Urywek pieśni, dźwięk krwi spływającej do miski, a po nim następny.

Ofiar było bardzo wiele. Najwyraźniej coś, co Szesnaście Wschód-Księżycy zrobiła na Peloa-2, zaalarmowało obcych i postawiło ich w stan gotowości. Nie zaatakowali jeszcze floty. Nadal tylko testowali jej granice, składające się głównie z okrętów Dwudziestego Czwartego Legionu dowodzonego przez Szesnaście Wschód-Księżycy, a także nieliczne z Siedemnastego dowodzonego przez Czterdzieści Tlenek. Siedemnasty Legion zajmował pozycję daleko na lewo od reszty floty. Nieprzyjaciel lubił lewą flankę. Dziewięć Hibiskus zaczynała myśleć, że gdzieś w obszarze, z którym utraciono łączność, w mrocznych miejscach między rzadko rozrzuconymi gwiazdami tego sektora, do których jej wzrok nie sięgał, znajdowała się baza, a przynajmniej wielkie skupisko okrętów. Gdzieś na lewo od „Ciężarka u Koła”.

Spodziewała się, że odzyskanie Peloa-2 będzie miało konsekwencje. Jasno

oznajmili: „Jesteśmy tutaj. Ta planeta i ci ludzie należeli do nas i znowu do nas należą. Peloa leży wewnątrz świata. Peloa to Teixcalaan. Spierdalajcie.” Konsekwencji nie sposób było uniknąć. Mimo to nie była przygotowana na to, że nieprzyjaciel — na krwawiące gwiazdy, potrzebowała jakiejś lepszej nazwy niż „nieprzyjaciel” albo „obcy”, oby dyplomata z Ministerstwa Informacji przybył tu jak najszybciej, by powiedzieć jej, jaką nazwę sami sobie nadają — dojdzie do wniosku, że walka na wyniszczenie jest najlepszą strategią.

Po tym, jak zobaczyła zniszczonego, wypalonego trupa Peloa-2, była przekonana, że obcy są niszczącymi zasoby nihilistami, pragnącymi raczej terytorium niż korzyści albo kolonizacji. Jednakże walka na wyniszczenie — atakowanie granic Floty czy kilku okrętów wysłanych przez Szesnaście Wschód-Księżycy na rekonesans — sugerowała coś innego. To było inteligentne zachowanie. Nie pozwalali, by potężna teixcalaanlijska fala znalazła punkt zaczepienia, określone cele.

Ciągle pogrzeby; dziś było ich sześć, dwójka pilotów Odprysków i czteroosobowa załoga jednej ze zwiadowczych kanonierek Czterdzieści Tlenek. Widziała na holoobrazie nagranie zagłady małej jednostki. Tym razem obcy nie zawracali sobie głowy rozpuszczającą statki plwociną. Po prostu się pojawili (wyłączeniu ich urządzeń maskujących jak zwykle towarzyszyło dziwne zniekształcenie obrazu) i rozwalili kanonierkę bronią energetyczną. Pilot i załoga nie mieli czasu zareagować, nim zginęli. To oczywiście znaczyło, że trójpierzścieniowe okręty obcych mogą być wszędzie.

Ofiar było zbyt wiele. Za każdym razem, gdy podłączała się do wzroku Odprysków, widziała, jak gaśnie kolejny Teixcalaanlitzlim, czuła echo zbiorowego wstrząsu, nagłą żałobę i głębszy ogień furii. *Jak możemy ginąć tak łatwo? Jak obcy śmią tak bezczelnie...*

Po chwili nadchodził powidok każdej śmierci. Zastanawiała się, o ile gorsze musi to być dla pilotów Odprysków, których łącza przekazywały nie tylko obraz, lecz również propriocepcję. Niemal na pewno znacznie gorsze.

Wkrótce będzie musiała uderzyć wszystkimi siłami — nadal na oślep —

i zmiażdżyć ich, gdziekolwiek się znajdowali.

Dwadzieścia Cykada stuknął ją w bark. Poderwała się nagle i odwróciła błyskawicznie, wyciągając rękę, gotowa złapać go za gardło i odepchnąć, jakby toczyli walkę sparingową. Nie reagowała w ten sposób od lat. Cofnął się, unosząc dłonie.

— Malwo — rzekł cicho. To był jej przydomek z czasów szkoły kadetów, kiedy nie była jeszcze taka twarda. Nikt inny zapewne o tym nie pamiętał, a już z pewnością nie nazwałby jej tak, żeby ją udobruchać. Wstyd zalał ją powolną falą. Towarzyszyła mu niejasna obawa, że nie panuje nad sobą ani nad Flotą.

— Przepraszam — rzekła. — Nie spodziewałam się ciebie.

Zadrzał, opuszczając minimalnie ramiona, i poprawił kołnierzyk munduru, przywracając go do regulaminowej pozycji. Uśmiechnął się do niej, otwierając szerzej oczy i unosząc kąciki ust.

— Słuchałaś mów pogrzebowych — stwierdził, okazując w ten sposób, że jej wybacza. — Ja też dałbym się zaskoczyć.

— Ciągłe napływają nowe — odparła Dziewięć Hibiskus. — Powinnam je wyłączyć, a przynajmniej ściszyć, i zająć się sensowną pracą.

— Nasze straty są za duże — zgodził się Dwadzieścia Cykada. — Nie możemy czekać zbyt długo. Tracimy najszybsze i najbardziej aktywne jednostki, a to niszczy morale, *yaotlek*. Musimy coś zrobić.

— Mówisz jak Szesnaście Wschód-Księżycy.

Dwadzieścia Cykada skrzywił się boleśnie.

— Wolałbym, żeby tak nie było. Ale mamy do czynienia z obrzydlistwem i nasi ludzie o tym wiedzą. Widzą je, cierpią z tego powodu, ale nie mogą odpowiedzieć ciosem. Trzeba z tym skończyć.

— Nadal nie wiemy, z czym mamy do czynienia — stwierdziła Dziewięć Hibiskus, nienawidząc goryczy pobrzmiewającej w jej głosie. — Mogę wydać rozkaz otwartego ataku, ale jeśli wdamy się w walną bitwę bez zaopatrzenia i wsparcia...

— Pójdą za tobą. Wszyscy na tym okręcie.

— Wiem.

Na tym właśnie polegał problem.

Dwadzieścia Cykada skinął głową na znak potwierdzenia, ale nie przestał mówić.

— Zaufanie nie jest zasobem, który można odnawiać bez końca. Lojalność może utrzymać się dłużej. Zwłaszcza że mamy do czynienia z czymś, co nawet nie wykorzystuje tego, co zabiera...

— Myślę, że to robią. Po prostu jeszcze nie rozumiemy, na czym ten użytek polega.

— Nie chcę zrozumieć, do czego może służyć to, co zrobili Peloa-2 — odparł Dwadzieścia Cykada głosem równie cichym jak wtedy, gdy nazwał ją dawnym przydomkiem. — Obawiam się, że takie zrozumienie skalałoby mnie nieodwracalnie.

Jak mogłaby odpowiedzieć na coś takiego? Wzruszyła ramionami, rozpościerając dłonie.

— Nie będę już czekała długo. Obiecuję.

Do chwili przybycia emisariusza. Miał przylecieć już za dwie zmiany, na „Jaśminowym Gardle”. To tylko cztery pogrzeby od teraz.

Wnętrze „Jaśminowego Gardła” zszokowało ją, jakby po długim pobycie w oczyszczonym powietrzu nagle otoczyła ją parna wilgoć. Co prawda Mahit nie zauważyła żadnej różnicy w samej atmosferze. „Jaśminowe Gardło” było statkiem kosmicznym i temperaturę oraz poziom tlenu regulowano tu równie starannie, jak na wszystkich statkach, a także na samej Stacji Lsel. Rzecz w tym, że to był teixcalaanlijski statek.

Ściany z metalu i plastistali, tak jest — ale pokryte intarsjami barwy złotej, zielonej i intensywnie różowej. Całą formalną strukturę wojskowego transportowca przykryto teixcalaanlijskim symbolizmem. Zieleń, rzeczy, które rosną, jasne gwiazdy. Kwiaty. *Kurwa. Jak mogła zapomnieć o wszechobecnych kwiatach? Białe jaśminowe wzory namalowane na dachu hangaru, Teixcalaanlitzlim ubrani w szaro-złote mundury Floty, łączy chmurowe na oczach wszystkich. Nic dziwnego, że trudno jej było oddychać.*

— Witaj z powrotem — odezwała się Trzy Trawa-Morska, nadal idąca krok za nią, nieco z lewej strony, gdy wyszły z wahadłowca i ruszyły na pokład dla pasażerów. Mahit bardzo dobrze znała tę pozycję. — A może witaj na wojnie?

Przez cały czas lotu na „Jaśminowe Gardło” nie powiedziała Mahit prawie nic. Popatrzyła tylko na nią i wyszeptała „To było interesujące”, po czym się zamknęła — milcząca Teixcalaanli w płomiennopomarańczowym stroju. Mahit podejrzewała, że obie były przekonane, iż spotkanie z Amnardbat zakończy się inaczej. I żadna z nich nie była pewna, dlaczego tak się nie stało. Dlatego czuły się skrępowane. Żadna z nich nie wiedziała, jak rozmawiać o katastrofie, która nie okazała się katastrofą, jeśli nie wytłumaczą przedtem towarzysze, na czym polegało niebezpieczeństwo. A Mahit uważała, że tłumaczenia byłyby zbyt niebezpieczne. Trzy Trawa-Morska zapewne również.

Teraz, gdy już znalazły się na pokładzie „Jaśminowego Gardła” i tylko dwie bramy skokowe oraz powolny podświetlony lot między nimi — jakieś siedem godzin subiektywnego czasu — dzieliły je od Floty, Mahit uświadomiła sobie, że obie będą musiały zacząć od nowa. Wrócić do początku. *Do założymy, że nie próbuję dokonać sabotażu, i założymy, że nie jestem idiotką.*

Musiałyby się cofnąć naprawdę daleko. Zwłaszcza że tym razem (być może nic, absolutnie nic nie było pewne, powtarzała to sobie raz po raz, czy raczej powtarzała Yskandrowi, żeby powstrzymać ukłucia neuropatycznego bólu, przeszywające jej dłonie) to ona była sabotażystką. A Trzy Trawa-Morska z pewnością nie była idiotką.

Kiedy nie myśleli o Darju Taratsie, Yskandr był cichą, brzęczącą, zadowoloną obecnością w jej umyśle. Nigdy nie był na teixcalaanlijskim okręcie, czy to bojowym, czy transportowym. Mahit z pewną ulgą podłączyła się do jego skupionej, zaciekawionej obserwacji. Potrzebowała tego. Potrzebowała wszystkiego, co przypominało jej, że to jest nowe doświadczenie, a nie powrót do domu w jakimkolwiek sensie.

— Jeszcze nie jesteśmy na wojnie — oznajmiła Trzy Trawie-Morskiej. — Zostało nam jeszcze pół doby, zanim się na niej znajdziemy. Powinniśmy się do tego przygotować.

— Kurwa, brakowało mi ciebie — odparła Teixcalaanli z nutą żalu, którego Mahit nie rozumiała. — Kogoś, kto atakuje problemy z marszu...

Lselka poczuła towarzyszącego im ducha, nagle i wyraźnie, jak zawsze, gdy odsłaniają się polityczne lojalności i tajne sojusze. Brakowało tu trzeciej osoby. Dwanaście Azalia nie żył od trzech miesięcy i pochowano go razem z innymi zabitymi funkcjonariuszami Ministerstwa Informacji pod płytą w Mieście, niezmiernie daleko od nich. *Z naszej trójki tylko on był praktyczny* — pomyślała. *Nie* — poprawiła się. *Trzy Trawa-Morska potrzebowała go, żeby zachować rozsądek. Nigdy nie miałam takiego przyjaciela. A tym bardziej go nie straciłam.*

— Powiedz mi, na czym polega problem — zaproponowała. — Pomijając „musimy porozmawiać z obcymi” i „brakowało mi ciebie”.

Mijały licznych teixcalaanlijskich żołnierzy. Wszyscy gapili się bezwstydnie na emisariuszkę z Ministerstwa Informacji i barbarzynekę.

— Te dwie kwestie to właściwie wszystko — odpowiedziała Trzy Trawa-Morska. — Obcy są nieco pilniejsi. Mogłabym też dodać, że podczas krótkiego pobytu na waszej Stacji najwyraźniej narobiłaś sobie wielu wrogów.

— To nie jest bieżący problem — odparła Mahit z takim spokojem, na jaki potrafiła się zdobyć.

<Ach, zatem zostaniemy agentką Taratsa? Zacząłem się już zastanawiać, czy po prostu wszystko jej wyznasz>.

Już ci mówiłam, Yskandr, że potrzeba by czegoś znacznie więcej niż trochę nacisków politycznych, żeby mnie skłonić do oddania nas Teixcalaanowi.

Wcale jednak nie czuła się tak odważna, jak próbowała sugerować. Wiedziała, że Yskandr zdaje sobie z tego sprawę. Siedział w jej systemie wewnątrzwydzielniczym, odbierał niezliczone sygnały jej neuroprzekaźników oraz hormonów. Doskonale wiedział, jak zręcznie Darj Tarats wciągnął ją w pułapkę. Miała zapewnić, że Teixcalaan wpłucze się w niemającą końca wojnę. W przeciwnym razie wyda ją na pastwę planów Dziedzictwa. Jedno albo drugie. Jedyne, co do tej pory zrobiła, to nikomu nie wspomniała o planach Taratsa. Trudno było powiedzieć, że została jego agentką, ale zostawiła wszystkie furtki otwarte. Dochowanie tajemnicy zawsze tak działało.

— Skoro tak mówisz — odparła z przekąsem Trzy Trawa- -Morska i otworzyła drzwi do maleńkiej kabiny tranzytowej — niewiele większej od wynajętego pomieszczenia, z którego skorzystały na Lsel — którą przydzielono im na czas lotu. Nie było w niej okien. Mahit nie była specjalnie zainteresowana obserwacją zniekształcenia przestrzeni wokół bramy skokowej, niemniej poczuła się lekko rozczarowana tym, że nie dano jej takiej szansy. Gdy drzwi się za nimi zamknęły, nie dzieliło jej od przyjaciółki nic poza trzema miesiącami, mundurem emisariuszki oraz głębokimi podejrzeniami.

Emisariuszka postawiła swój bagaż przy drzwiach i uklękła, by w nim pogrzebać. Kiedy wstała, miała w rękach pełno plastikowych sztyftów infofizkowych nieprzyciągającego uwagi koloru przemysłowej szarości, zamkniętych pieczęciami Ministerstwa Informacji o groźnej i radosnej koralowopomarańczowej barwie.

— Z pewnością nie zabrałaś ze sobą wiadomości, na które nie odpowiedziałam — odezwała się niespodziewanie dla siebie Mahit. — Daję słowo, że przed odlotem przekazałam wszystkie na Lsel. Pracowałam nad nimi...

Nagrodził ją radosny śmiech Trzy Trawy-Morskiej, przynoszący nagle, bardzo przyjemne rozproszenie napięć, które z jakiegoś powodu nagromadziły się między nimi przez miesiące rozłąki.

— Nie — zaprzeczyła. — Nie mam dla ciebie żadnych wiadomości. Wszystko to są informacje na temat naszych tajemniczych i bardzo niebezpiecznych obcych zebrane przez *yaotlek* dowodzącą flotą. Jeszcze nie miałam okazji im się przyjrzeć. Chcesz je obejrzyć?

<Tak> odezwał się Yskandr pożądlwym, podekscytowanym szeptem. Mahit czuła się podobnie. Zachłanność i pewna dawka ksenofilii — to dostrzegało się w profilach ich obojga. Przede wszystkim dlatego tak dobrze do siebie pasowali. *Pokaż mi coś nowego.*

— Sprawdźmy, z czym mamy nauczyć się rozmawiać — rzekła do towarzyszki, po czym wyjęła pierwszy sztyft infofizkowy z jej dłoni i złamała w palcach.

To był tylko przekaz audio. To było... *kurwa, to było tak, jakby Mahit wywierciła dziurę między przestrzenią po jednej i po drugiej stronie sztyftu, a po drugiej stronie były tylko zakłócenia i krzyk albo zakłócenia, które były krzykiem, albo...*

Poczuła mdłości. Najwyraźniej nie było żadnego sposobu, by wyłączyć dźwięk. Śniada twarz emisariuszki nabrała szarozielonego odcienia. Wyglądała, jakby miała zaraz umrzeć albo już nie żyła. A może chciała umrzeć.

W nagraniu było też jednak słycać inne przerażające dźwięki: urywany wrzask, który powtórzył się trzy razy, oraz niskie buczenie, od którego Mahit kotłowało się w żołądku. Rozlegało się po każdej przerwie dłuższej niż dziesięć sekund. Nie rozumiała go i brzmiał obrzydliwie, ale to nie był hałas.

Gdy nagranie wreszcie się skończyło, obie z Trzy Trawą-Morską dyszały przeraźliwie, spazmatycznie łapiąc powietrze w płuca, by powstrzymać mdłości. Gapily się na siebie nawzajem.

— ...nie wiem, czy to jest język — zdołała wreszcie wykrztusić Lselka —

ale to z pewnością jest komunikacja. Fonemy albo... nie sądzę, żeby to były słowa, są za mało zróżnicowane, ale może... znaczniki tonów?

Trzy Trawa-Morska skinęła głową. Przełknęła, próbując powstrzymać podchodzącą do gardła ślinę, i skinęła głową jeszcze raz, bardziej stanowczo.

— Potworne, wywołujące wymioty znaczniki tonów. Rozumiem. Chcę zrobić odnośniki do odczytu z okrętu, który zarejestrował tę transmisję. Obcy wchodzili z nim w jakąś interakcję. Może uda się przypisać dźwięki do sytuacji...

— Jeśli któraś z nas się porzyga, to tylko do kosza — stwierdziła Mahit. — Mamy kosz? Czy jeszcze jakieś fiszki są oznaczone jako przekaz audio?

Wskazała na sztyfty trzymane przez emisariuszkę.

— Tylko ta jedna. Reszta powinna zawierać przekaz wizualny i tekst — odparła emisariuszka. — Otwórz je, a ja pójdę poszukać dwóch koszy. To jest statek zaopatrzeniowy. Muszą mieć kosze.

— Przydadzą się też worki na śmieci. Będziemy tego słuchały bardzo często.

— Na krwawiący blask słońca — zaklęła Trzy Trawa-Morska. Uśmiechała się jednak, po stacyjnemu, odsłaniając zęby. Mahit była oczarowana, lecz jednocześnie zaniepokoiło ją to. Poczwała też ulgę na myśl, że obie nadal czują się dobrze razem, gdy tylko mają coś do roboty.

— Worki na śmieci, znakomicie. Siedem godzin to mnóstwo czasu, by sklasyfikować znaczniki tonu na podstawie tego, ile worków na śmieci zużywa ich wysłuchanie...

— Nie chcielibyśmy, żebyś źle wypadła w oczach *yaotlek* — wtrąciła Mahit. — Będzie chciała natychmiast wysłuchać raportu o workach na śmieci. Zapewne całej reszty także.

— Widzisz? — odparła emisariuszka, uśmiechając się niemal po stacyjnemu. — Wiedziałam, że jeśli zabiorę ze sobą barbarzyńską dyplomatkę, która zdołała się nauczyć naszego języka, oszczędzi mi to trudu uczenia się innego...

Wymknęła się z kabiny, nim Mahit zdążyła zadać jej pytanie, które miała na koniuszku języka. *Czy byłabyś zafascynowana tymi obcymi w takim samym stopniu jak mną? W końcu wszyscy jesteśmy barbarzyńcami, nawet jeśli jestem tak samo ludzka jak ty?*

<Lepiej o to nie pytaj> ostrzegł ją Yskandr. <Naprawdę nie chciałabyś usłyszeć odpowiedzi>.

W poezji i eposach, a nawet w podręcznikach sztuki rządzenia o najbardziej suchym i klinicznym charakterze, cesarze nigdy nie spali, a przynajmniej nie powinni tego robić. W związku z tym to samo musiało dotyczyć kapitanów okrętów wojennych. Dziewięć Hibiskus zawsze uważała, że *yaotlekim*, zajmujący pozycję gdzieś między kapitanem a cesarzem, naprawdę powinni opanować sztukę obywatela się bez snu przez dowolnie długi okres, gdy tylko otrzymają patki z łukiem włócznie. Praktyka jednak uporczywie ignorowała wskazówki poezji, eposów, a nawet podręczników sztuki rządzenia. Podobnie jak wszyscy na pokładzie „Ciężarka u Koła” Dziewięć Hibiskus miała w rozkładzie dnia ośmiogodzinną zmianę przeznaczoną na sen.

Ale ostatnio nie radziła sobie z nim sobie zbyt dobrze. To z pewnością coś mówiło o cesarzach i *yaotlekim*. O różnicy między kierowaniem czymś małym, ale potężnym, jak okręt wojenny, a ponoszeniem odpowiedzialności za coś bardzo skomplikowanego, jak cała flota pełna Teixcalaanlitzlim, gotowych w każdej chwili oddać życie za imperium na jej rozkaz.

Dziewięć Hibiskus starała się zasnąć. Zdjęła mundur i położyła się do łóżka, ubrana tylko w koszulkę i szorty. Poleciała łączu chmurowemu niemal całkowicie wygasić światła w kabinie, a nawet wyciszyła wiadomości, poza

absolutnie priorytetowymi. Obudzi się, jeśli obcy zaatakują „Ciężarek u Koła”, ale raczej nie z żadnego innego powodu.

O ile w ogóle uda się jej zasnąć. Próbowwała to zrobić przez jedną trzecią przydzielonych jej ośmiu godzin, ale bez powodzenia. Mogła myśleć tylko o śmierci Odprysków w ogniu i o tym, czy nowa technologia biofeedbacku jest warta posttraumatycznych ech u połowy ludzi we Flocie, gdy tylko ktoś odległy o pół sektora zginie straszliwą śmiercią. Analiza kosztów i korzyści nie ułatwiała zasypiania.

Poczuła ulgę, gdy ktoś fizycznie zapukał do drzwi. Najprawdopodobniej próbowali wysłać niepriorytetową wiadomość i nie doczekali się odpowiedzi, a teraz coś się działo i nie mogła już dłużej udawać, że śpi. Wzmocniła światła i wciągnęła spodnie, by zachować choć odrobinę autorytetu, po czym otworzyła drzwi skinieniem dłoni. Za drzwiami z zawstydzoną miną stała jej główny oficer łącznościowy, Dwa Piana. Na tej zmianie miała służbę. Na mostku starannie przestrzegano porządku zmian i kiedy Dziewięć Hibiskus spała, Dwa Piana z reguły czuwała. Niemniej wyglądała na wyczerpaną, mimo że nie obudziła się przed chwilą.

— *Yaotlek*, wydarzyło się coś ważnego — oznajmiła.

Załoga „Ciężarka u Koła” mówiła na nią „bąbelki”, ponieważ Dwa Piana nigdy nie bywała w szampańskim nastroju. Przewisko przyjęło się powszechnie i nawet Dziewięć Hibiskus musiała uważać, żeby się nim nie posługiwać. Zaprosiła Dwa Pianę do środka skinieniem dłoni, nie zwracając się do niej żadnym imieniem. I pozwoliła, by drzwi zasunęły się za nowo przybyłą. Serce *yaotlek* забиło szybciej. To było lepsze niż sen. Ponoсила odpowiedzialność w kryzysowej sytuacji i to pomagało jej się skupić.

— Tak? Co mogło być aż tak ważne, że po mnie przysłaś?

Dwa Piana czuła się wyraźnie skrupowana, stojąc w kwaterze przełożonej, która pośpiesznie wkładała kolejne elementy munduru. Niemniej śmiało wbiła spojrzenie w sufit i wyjaśniła.

— *Yaotlek*, mamy obcego.

— Słucham? Żywego? Czy przechwyciliśmy ich statek?

Dwa Piana potrząsnęła głową.

— Martwego. Znalazł go Odprysk z Siedemnastego Legionu. Unosił się w próżni po jednym ze... Pilot złapał go na łąso i wciągnął na pokład.

Dziewięć Hibiskus wypełniła ekscytacja. Tylko znacznym wysiłkiem woli powstrzymała drżenie rąk.

— Dajcie temu żołnierzowi pochwałę. Od Czterdzieści Tlenek, jeśli się uda. Powinien ją dostać od swojej kapitan floty. I... gdzie jest ten obcy?

— W sekcji medycznej — odpowiedziała Dwa Piana. — Medycy zrobią mu autopsję, ale pomyślałam sobie, że będziesz chciała go najpierw zobaczyć.

— Kurwa, pewnie, że chcę — odparła Dziewięć Hibiskus i wcisnęła nogi w buty. — Chodźmy.

Sekcja medyczna znajdowała się dwa pokłady wyżej, w tylnej części statku. Normalnie droga trwała piętnaście minut, ale one pokonały ją w dziesięć. Dziewięć Hibiskus poczuła głęboką satysfakcję, gdy zobaczyła, że Bąbelki dotrzymuje jej kroku, trzymając się pół kroku za nią, z lewej strony. Przynajmniej coś we wszechświecie wyglądało jak należy. Będzie potrzebowała tej świadomości, by poradzić sobie z tym, co za chwilę zobaczy. Starła się nie wyobrazić sobie, jak może wyglądać obcy. Wyobrażenia prowadziły do uprzedzeń, a poza tym jedyne, co przychodziło jej do głowy, to mniejsza — wielkości człowieka — wersja ich trójpierścieniowego statku. To był absurd. Obcy z pewnością nie byli gatunkiem drapieżnych statków kosmicznych rozmnażających się przez pączkowanie. Gdyby tak było, pilot Odprysku nie zdołałby wciągnąć go na pokład.

Do tego właśnie prowadziła wyobraźnia. Do nonsensów. Pociuszających nonsensów. Podejrzuwała, że zobaczy coś znacznie gorszego, niż potrafiłaby sobie wyobrazić.

Ale tak się nie stało.

I to było straszne.

Stół, zwykle używany przez medyków do zabiegów operacyjnych,

pozbawiono poduszek i podkładów mających utrzymywać na miejscu ludzkie ciało, zostawiając tylko płaski metal. Leżało na nim coś, co wyglądało jak zwierzę. Nawet nie przerażające. Po prostu nieznanne.

Zdjęli z niego ubranie z ciemnoczerwonej obciążeniowej tkaniny, wyglądające na dobrze wykonane. Później ktoś je zbada, ale sam fakt, że obcy nosił ubranie, miał duże znaczenie. Na razie skupiali się na samym stworzeniu. Dziewięć Hibiskus podeszła bliżej, wystarczająco blisko, by zobaczyć, że w pozycji stojącej istota byłaby wyższa od niej o prawie pół metra. Nagi obcy miał cztery kończyny, jak większość dwunogów. Dwie tylne były grube i krótkie, o potężnych udach. Tułów był długi, a dwie przednie kończyny miały zasięg wyraźnie większy od ludzkich. Dłonie miały cztery palce, zakończone tępyimi pazurami, pokrytymi jaskrawym dekoracyjnym plastikiem poprzesywanym srebrzystymi przewodami. *To może być interfejs pilota* — pomyślała zafascynowana Dziewięć Hibiskus, po czym przeszła do oględzin reszty ciała. Skórę pokrywały plamy. To mogły być skutki urazu albo wystawienia na próżnię, pomyślała jednak, że to zapewne naturalne ubarwienie. Szyja wyglądała dziwnie.

Była za długa, miała połowę długości tułowia. Muskularna, przystosowana do chwytania ofiar, by je rozszarpać. Niemal całą głowę zajmowała paszcza, rozwarta po śmierci. Ciemny język wysuwał się za zęby drapieżnika, potężne i zakrzywione. Oczy kierowały się ku przodowi, jak u człowieka, ale zaszyły teraz mgłą, a lewe eksplodowało w chwili śmierci. Oczy drapieżnika, podobnie jak ludzkie.

Uszy były miseczkami ulokowanymi z tyłu czaszki, porośniętymi krótkim futrem. To właśnie było w nich najgorsze. Przypominały uszy łagodnych, mruczących kotków z Kauraanu, które mnożyły się w przewodach wentylacyjnych, irytując Dwadzieścia Cykadę. A teraz zobaczyła takie same uszy na tym bezwłosym ciele jednego z drapieżników, które zabijały jej flotę.

— Czy to ssak? — zapytała Dziewięć Hibiskus. Wiedziała, jak zabijać

ssaki. Ich organizmy wyglądały podobnie. Na przykład serce miały w klatce piersiowej.

— Z pewnością nie owad ani gad — odparł medyk. — Zapewne ssak. Samiec. — Wskazał palcem. Dziewięć Hibiskus skinęła głową. Już wcześniej zauważyła penisa. — Dowiem się czegoś więcej, kiedy go otworzymy.

— Zróbcie to — odparła. — Sprawdźcie, jak działa, żebyśmy wiedzieli, co zrobić, żeby przestał działać.

INTERLUDIUM

To nie jest pierwszy raz, gdy wydarzyło się coś takiego. Miejsce: głębiny Sektora Bardzravand, tak blisko Bramy Anhamemat, że nieciągłość przestrzeni w jej pobliżu zakłóca wzrok. Ludzkie oczy — a także oczy innych istot, działające na podstawie starej, sprytnej zasady odbicia i załamania, oczy, które skupiają światło na siatkówce, tworząc obraz przekazywany następnie od neuronu do neuronu — nie potrafią zobaczyć tego, co brama skokowa robi z czasoprzestrzenią. Nie są zdolne przetworzyć światła na sensowny obraz. Kolaps znaczenia.

Nieciągłość drży, pulsuje, rozprzestrzenia się. Jej część oddziela się i oddala. Zmarszczka ciśnięta w ciemność, powidok kamienia rzuconego do wody. Ledwie pochwycony obraz ławicy ryb, które zalśniły nagle w blasku słońca padającym na ich łuski, a następnie oddaliły się, poruszając się w grupie, i zniknęły.

To z pewnością nie jest pierwszy raz, gdy to się wydarzyło. Poprzednim razem Dekakel Onchu trzymała za rękę przerażonego, półżywego pilota i wyobrażała sobie, w jaki sposób migotliwa ciemność między gwiazdami może się przerodzić w głodne pierścienie, pełne zębów niczym otwór gębowy minoga, i pożreć całą linię imagową, nie zostawiając żadnych szans na uratowanie pamięci.

Poprzednim razem nie było ciągłego strumienia teixcalaanlijskich okrętów, napływających przez Daleką Bramę. Onchu miała nadzieję, że jeśli Darj Tarats postanowił użyć całej Stacji Lsel jako przynęty dla Teixcalaanu, by zwabić Imperium i cisnąć je w paszczę pierścieniowych statków, będzie to oznaczało, że te statki przestaną pożerać jej pilotów.

A teraz odebrano jej nawet to.

Wiadomość jest nagłym, rozpaczliwym krzykiem napływającym z daleka:

Ukrywają się w bramie skokowej, WYGLĄDAJĄ jak brama skokowa, ścigają mnie, są za szybcy...

Onchu, siedząca w węźle Centrum Dowodzenia Pilotów — które jej zdaniem jest prawdziwym sercem Stacji, bez względu na to, co Dziedzictwo sądziło o swym składzie maszyn imago — musi prosić pilotkę, żeby nie wracała do domu. żeby nie przyprowadziła tu tego głodnego czegoś, co według Taratsa mogło pożreć całe Imperium, do kruchej skorupki, jaką jest Stacja Lsel. To było najgorsze, co w życiu uczyniła. O tym będzie myślała w chwili śmierci. Ta myśl będzie jak odłamek, który wreszcie dotrze do jej serca po wielu latach przebijania się przez ciało. Na dalekozasięgowym kanale mówi: *Przejdź przez bramę skokową. Jeśli rzeczywiście cię ścigają. Dzoh Anjat* — to jest nazwisko pilotki albo może jej poprzedniczki w linii imagowej, w takich sytuacjach często się myli, bo znała bardzo wielu swych ludzi, w wielu różnych wersjach. *Jestem z tobą. Lsel jest z tobą. Przeprowadź ich przez bramę i miej nadzieję, że Imperium czeka po drugiej stronie i cię przechwyci. Będę słuchała...*

Nie otrzymuje żadnej odpowiedzi poza sygnałem położenia. Dzoh Anjat i to, co ją ściga, znikają bez śladu.

Dekakel Onchu jest bardzo dobrą słuchaczką. Siedzi przy swych instrumentach przez wiele godzin, ale nie odbiera żadnego sygnału od Dzoh Anjat.

(Dzoh Anjat, posłuszna i patriotyczna, znajduje śmierć, ale nie taką, jakiej się spodziewała. Po drugiej stronie Bramy Anhamemat rzeczywiście czeka Teixcalaan, ale jego żołnierze widzą trzypięścieniową paszczę jednego z nieprzyjacielskich okrętów i nic ich nie obchodzi los patrolowego stateczku zniszczonego przez ogień ich dział energetycznych. Być może nawet go nie zauważają albo nie przychodzi im na myśl, że może tam być. Ludzie z Siedemnastego Legionu zauważają materializującą się nieciągłość i próbują się ratować przed czymś, co z ich punktu widzenia wygląda na nagłą zasadzkę).

A Dekakel Onchu nie słyszy śpiewu *My*, nawet w najmniejszym stopniu. Nie słyszy tego, że zgaśnięcie głosów na zniszczonym statku nie zmienia głośności pieśni, tylko jej kształt. W końcu myśli w języku.

Myśli w języku i czuje, że z jej oczu płyną łzy, gdy czeka na głosy, które nigdy do niej nie przyjdą, dopóki będzie żyła.

ROZDZIAŁ ÓSMY

...mimo że Jedenaście Tokarka przebywał wśród Ebrekti przez trzy indykcje, nie dostarczył imperialnym uczonym zbyt wielu informacji na temat ich fizjologii. Jego *Listy* zawierają filozoficzne i moralne rozważania. Być może nie jest możliwe, by ta sama osoba stworzyła duchową egzegezę życia wśród obcych oraz dokładny opis ich fizycznych zwyczajów, cyklu życiowego, diety oraz dokuczających im chorób, ale brak w tekście jakichkolwiek informacji o praktycznym znaczeniu jest tak poważny, że czytelnicy dowiadują się znacznie więcej o umyśle Jedenaście Tokarki niż o ciałach Ebrekti, czy o innych ich właściwościach. Wysłaliśmy poetę tam, gdzie potrzebna była ekipa *ixplanatlim*.

Wstęp do naukowego komentarza do *Listów z nieodgadnionej granicy* napisanego na zamówienie *ixplanatla* Dwa Krzywa-Łańcuchowa, dyrektora do spraw etyki medycznej Szpitala Klinicznego imienia Dwanaście Rozbłysk-Słoneczny

* * *

>>WYSZUKIWANIE/aut:ONCHU(PILOCI)/ „ponowne wszczepienie”

>>W bazie danych nie ma sformułowania „ponowne wszczepienie”. Proszę uściślić wyszukiwanie i spróbować raz jeszcze.

>>WYSZUKIWANIE/aut:ONCHU(PILOCI)/ „naprawa maszyny imago”

>>Znaleziono 237 wyników. Wyświetlenie? Uściślenie wyszukiwania?

>>UŚCIŚLENIE/aut:ONCHU/PILOCI/ „chirurgiczna” ALBO „posttraumatyczna”

>>Znaleziono 19 wyników. Wyświetlam w kolejności alfa...

rejestr zapytań wysłanych do bazy danych badań medycznych Stacji Lsel

przez Dekakel Onchu. 92.1.1–19A (według kalendarza teixcalaanlijskiego)

Po drugiej stronie ostatniej bramy skokowej między nimi a wojną była Flota. A przynajmniej sześć jej legionów plus mnóstwo jednostek wsparcia, krążących między większymi, wspaniałymi niszczycielami, okrętami flagowymi oraz kanonierkami. Masa okrętów przesłaniała wszystkie widoczne gwiazdy. Co prawda nie było ich zbyt wiele. Mahit znała ten sektor przestrzeni, choć nigdy przedtem tu nie była. Był ubogi w zasoby i kontrolował go Teixcalaan. Stacja Lsel obserwowała go, ale ograniczała się do tego.

Tu właśnie Darj Tarats po raz pierwszy zauważył obcych, których głosów słuchała przez sześć doprowadzających do mdłości godzin. Odtwarzała nagrania raz po raz, aż wreszcie była pewna, że sekwencja szumów i metalicznego zawodzenia będzie się jej śniła po nocach. To był sektor, w którym tak wielu lselskich pilotów zaginęło bez śladu, że przyciągnęło to uwagę najpierw Taratsa, a następnie Dekakel Onchu. Oboje to zauważyli, zapamiętali i zrobili z tego użytek. Tak czy inaczej, było tu za mało gwiazd. Brak gwiazd oznaczał brak nieba, jakie widziało się w Mieście, czy na każdej innej planecie. Tu jedynym drogowskazem było ogromne skupisko teixcalaanlijskich okrętów.

Niemniej te okręty wyglądały pięknie. Dzieciństwo Mahit było pełne przerażających biografii filmowych, pokazujących, co Flota może zrobić z planetą (nie ze Stacją, nigdy ze Stacją, ale ekstrapolacja nie była zbyt trudna) oraz w równym stopniu zapierających dech w piersiach seriali o życiu na okręcie legionu, pełnym mundurów oraz konkursów poetyckich w czasie wolnym. Kurwa, pochłaniała je jak pastylki cukrowe. Zapewne nadal potrafiłaby streścić fabuły, skomplikowane romanse, polityczne intrygi i zmiany stron z sezonu na sezon. A teraz znalazła się tutaj i nawet po wszystkim, co wydarzyło się w Mieście przed trzema miesiącami, czuła się rozdarta na dwoje. Kręciło się jej w głowie i traciła grunt pod nogami,

podzielona na jaźń, która doświadczała, i jaźń, która oceniała oraz zadawała pytania. *Czy tylko wtedy czuję się realna? Czuję się jak osoba cywilizowana?*

Jaźń, która przypominała Yskandra, pełna posepnej wesołości: *Czy wtedy zapominam, co to znaczy być Stacyjną? A teraz? Teraz? Czy nadal jesteśmy Mahit Dzmare?*

Dotąd tylko wyobrażała sobie Flotę, bała się jej i podziwiała ją. Ujrzenie jej na własne oczy było przerażającą nieciągłością.

Trzy Trawa-Morska nie miała takich problemów. Bez trudu przyciągnęła uczucia — a przynajmniej zainteresowanie — oficera łączności „Jaśminowego Gardła”, a teraz, gdy główny okręt flagowy Floty, „Ciężarek u Koła” dowodzony przez *yaotlek* Dziewięć Hibiskus, znalazł się w zasięgu, pochyliła się nad ramieniem mężczyzny i przejęła kontrolę nad transmisją.

— Mówi specjalna emisariuszka Trzy Trawa-Morska, na pokładzie statku zaopatrzeniowego „Jaśminowe Gardło”. Witam okręt flagowy „Ciężarek u Koła”. Jak rozumiem, prosiliście o kogoś z Ministerstwa Informacji?

Zapadła długa cisza, dłuższa niż czas potrzebny, by sygnały pokonały drogę w obie strony. Mahit spróbowała sobie wyobrazić sytuację na mostku drugiego okrętu. Czy byli zaskoczeni? Poirytowani? Czy w ogóle zawiadomiono ich, że Trzy Trawa-Morska ma się zjawić?

Wreszcie rozległ się lekko drwiący tenor, gładki i pozbawiony wszelkiego akcentu, jakby mówiący uczył się teixcalaanlijskiego z kanałów medialnych albo sam był spikerem.

— Witaj w Dziesiątym Legionie, emisariuszko. Mówi pierwszy *ikantlos* Dwadzieścia Cykada, zastępujący samą *yaotlek*, która, niestety, jest w tej chwili zajęta i nie może przywitać cię jak należy.

— Formalności są dobre na cesarskim dworze — odparła ze spokojem Trzy Trawa-Morska. — To jest pole bitwy. Cieszę się na myśl o spotkaniu z *yaotlek*, gdy tylko znajdzie dla mnie czas. Wkrótce będziemy na pokładzie, adiutancie. Przybędziemy z waszymi zapasami na wahadłowcu „Jaśminowego Gardła”.

— My? — zapytał głos. *Koniec z nadzieją na to, że wszystko pójdzie prosto?* — pomyślała Mahit.

— My! — zgodziła się z entuzjazmem Trzy Trawa-Morska. — Towarzyszy mi konsultantka językowa. To barbarzynka, ale nie miejcie jej tego za złe. Jest bardzo bystra.

Przerwała połączenie z adiutantem. Drugą pod względem znaczenia osobą w całym Dziesiątym Legionie. Mahit nie potrafiła zdecydować, czy jest przerażona, dumna, czy po prostu zachwycająco, przerażająco zaintrygowana. Trzy Trawa-Morska wyprostowała się, otworzyła szeroko oczy, uśmiechając się po teixcalaanlijsku do oficera łączności, a na koniec przeciągnęła się z trzaskiem kręgosłupa, splatając dłonie za plecami. *Przygotowuje się* — pomyślała Mahit. *Powinnam wziąć z niej przykład.*

— Zostałam teraz konsultantką językową, tak? — zapytała.

Trzy Trawa-Morska szybko wzruszyła jednym ramieniem, unosząc dłoń.

— Jeśli wolisz być lselską ambasadorką w Teixcalaanie, przedstawię cię jeszcze raz, kiedy będziemy na miejscu. — Przechodząc obok Mahit, musnęła w przelocie jej nadgarstek ciepłymi koniuszkami palców. Lselka podążyła za nią, myśląc o kwiecie zwracającym się ku słońcu, a także o mniej przyjemnych tropizmach — studniach grawitacyjnych czy owadach przyciąganych przez zgniliznę. — To mi o czymś przypomniało, Mahit. Jeśli chcesz być lselską ambasadorką, to czy masz uprawnienia do negocjowania z naszymi wrzeszczącymi obcymi w imieniu swojej Stacji?

<Nie widzę powodów, żebyś ich nie miała> wyszeptał do niej Yskandr. <Nikt inny tego nie robi, a ty jesteś na miejscu>.

Pierdolić to. czemu nie miałyby znowu zostać ambasadorką i dyplomatką? Przynajmniej byłaby użyteczna, miała uprawnienia i mogłaby je wykorzystać nie tylko dla dobra Teixcalaanu, lecz również Stacji Lsel. Zrobić coś więcej poza ucieczką i byciem niszczycielską agentką Taratsa. Coś zrobić.

Załadunek wahadłowca w hangarze „Jaśminowego Gardła” przebiegał sprawnie. Kolejne skrzynie z szarego metalu przechodziły przez ręce krótkiej

kolejki Teixalaanlitzlim. Trzy Trawa-Morska i Mahit dołączyły do rządka, jakby same były ładunkiem. Lselka wątpiła jednak, by mieli je fizycznie wrzucić do środka.

— Pewnie, że mam uprawnienia — odparła. — Nikt mnie nie pozbawił tytułu ambasadora, bez względu na to, co sugerowała radczyni dziedzictwa.

— Nie sugerowała nic w tym rodzaju — zauważyła Trzy Trawa-Morska z zainteresowaniem w głosie i weszła na pokład wahadłowca.

Kurwa.

— Zważywszy wszystko razem, sytuacja wygląda nadspodziewanie przyjemnie — stwierdziła Mahit, ale nie dodała nic więcej. Nie chciała tego robić. Nie mogła powiedzieć emisariuszce, że przybyła tu jako szpieg Darja Taratsa, żeby uciec przed chirurgami Aknel Amnardbat. A jeśli nadarzy się okazja, miała robić dla radcy górników gorsze rzeczy niż tylko szpiegowanie. Z pewnością nie mogła. Dlatego weszła na pokład, zajęła miejsce pośród skrzyń i przypięła się do wolnej sieci zabezpieczającej. Takie sieci umieszczono na wszystkich ścianach, a także na podłodze i suficie. Wahadłowiec był dobrze zaprojektowany. Na pewno odbywał setkę takich krótkich lotów na miesiąc...

— Zgadza się — zgodziła się Trzy Trawa-Morska, wyraźnie podenerwowana, zainteresowana i ostrożna. W jej głosie słyszało się coś w rodzaju odroczonego zaproszenia. *Jeśli pragniesz gry, Mahit, możemy grać, nawet jeśli teraz tego nie robimy.*

Śluza wahadłowca zamknęła się za nimi z sykiem umykającego w próżnię powietrza. Lselka zamknęła oczy, czekając na przeciążenie.



Lot na „Ciężarek u Koła” trwał za długo. Dłużej, niż spodziewała się tego

Mahit. Rozmiary okrętu flagowego sprawiały, że z mostka „Jaśminowego Gardła” wydawał się bardzo bliski. Teraz — widoczny przez małe okienko — stawał się coraz większy, aż wreszcie stał się horyzontem, niebem i ziemią jednocześnie. Jednolitą ścianą wypełniającą cały widoczny wszechświat. Jednolitą ścianą, w której pojawiła się nieciągłość, paszcza, czarna i szeroka. Wejście do hangaru. Ono również było zbyt wielkie i z każdą chwilą się powiększało, nabierając barw i wymiarów w miarę, jak wahadłowiec docierał coraz bliżej. W hangarze mógł się zmieścić nie tylko ich spory statek, lecz również setki małych, trójkątnych stateczków, które czekały na pilotów, ustawione na półkach, a także kilka większych jednostek, a nadal zostało tam miejsce na co najmniej dziesięć wahadłowców o rozmiarach podobnych do tego, którym leciały. Sufit hangaru był tak wysoki, jak niektóre wieżowce w Mieście.

Wylądowały tylko z leciutkim drzeniem i Mahit po raz pierwszy w życiu znalazła się na pokładzie teixcalaanlijskiego okrętu.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Gdy tylko Mahit i Trzy Trawa-Morska uwolniły się od sieci zabezpieczających, do środka wpadł tłum teixcalaanlijskich żołnierzy w prostych, funkcjonalnych mundurach — szarozłote kombinezony ze wzmocnieniami na kolanach, imionami wypisanymi imperialnymi znakami oraz insygniami Dziesiątego Legionu na lewych ramionach. Wszyscy zignorowali je jednak, skupiając uwagę na skrzyniach. To było tak, jakby nagle znalazły się wewnątrz ogromnej maszyny, która zupełnie się nimi nie interesowała, ponieważ nie przypominały kształtem przedmiotów, jakie lubiła pochłaniać, by później wypluć je po drugiej stronie.

Trzy Trawa-Morska uśmiechnęła się, na króciutki moment otwierając szerzej oczy i odsłaniając wąziutki skrawek białych zębów.

— Gotowa?

— Na ile to możliwe — odparła Lselka i tak samo jak poprzednio wyszła z wahadłowca w teixcalaanlijską przestrzeń, by się przekonać, co tam na nią czeka.

W hangarze panował intensywny ruch. To nie był jedyny wahadłowiec, który rozładowywano. Było tu bardzo wielu żołnierzy. Flota była ogromna. Mahit pomyślała o trzydziestu tysiącach Stacyjnych na Lsel i o tym, że gdy była małym dzieckiem, wydawało się jej, że to bardzo wielu ludzi. Na tym okręcie były zapewne trzy tysiące Teixcalaanlitzlim. Być może więcej. A tylko na tym odcinku było co najmniej dziesięć takich okrętów. Cała Stacja Lsel pokryta teixcalaanlijskimi flagami. A w całej galaktyce, po drugiej stronie niemal każdej bramy skokowej, znajdowało się nieporównanie więcej okrętów. Niektórzy żołnierze ewidentnie byli ranni. Jedna z widocznych w hangarze jednostek była przypalona, niemal czarna, a części kadłuba brakowało. Wychodzący z niej ludzie krwawili, byli poparzeni albo nieśli ich na noszach sprawnie poruszający się medycy.

<Tak właśnie wygląda okręt trafiony działem energetycznym> wyszeptał do niej Yskandr, przerażony i zafascynowany w tym samym stopniu, co ona. <To obcy potrafią zrobić tej flocie. Bez względu na to, ilu żołnierzy ma Teixcalaan, wszystkie okręty płoną tak samo>.

Wszystkie okręty płoną tak samo — powtórzyły echem myśli Mahit. Nagle Trzy Trawa-Morska stuknęła ją lekko w ramię i wskazała podbródkiem na drugi koniec tłumy. Z pewnością ich oczekiwano.

Przydzielono im eskortę i ta eskorta na nich czekała. Mężczyzna i kobieta w galowych mundurach Floty, nie w kombinezonach noszonych przez pracujących w hangarach. Mężczyzna był wysoki i przerażająco chudy. Czaszkę miał całkowicie wygoloną. Mahit nigdy dotąd nie widziała łysego Teixcalaanlitzlim, który nie byłby stary. Kobieta w całości była takiego samego koloru, odcienia elektrum. Skóra i włosy tylko nieznacznie różniły się od reszty jej sylwetki. Nosła na ramieniu słońce kapitana floty i Mahit przez chwilę zastanawiała się, czy to sama *yaotlek*. Ale nie, to nie mogła być Dziewięć Hibiskus, kobieta nosiła inne insygnia, znak symbolizujący Dwudziesty Czwarty Legion, przetworzony w stylizowaną parabolę. Nie była

kapitanem floty tego legionu, ale przebywała na jego okręcie flagowym. A w dodatku przyszła przywitać agentkę Ministerstwa Informacji...

Mahit nie miała czasu zastanawiać się nad rywalizacją między legionami składającymi się na grupę uderzeniową. Szła tylko pół kroku za Trzy Trawą-Morską i czuła się bezbarwna i barbarzyńska w swej kurtce i spodniach na tle płomiennego koralu stroju emisariuszki i perfekcyjnych mundurów Floty wszystkich pozostałych. Superważny dwuosobowy komitet powitalny nie czekał, aż się zbliżą, lecz wyszedł im na spotkanie. Wyglądało na to, że to pomysł kobiety. Maszerowała długimi, pożerającymi przestrzeń krokami dowódcy okrętu. Mężczyzna obrzucił ją spojrzeniem pełnym nieskrywanego niezadowolenia, które pojawiło się i zniknęło tak szybko, że Mahit nie była do końca pewna, czy nie wydawało się jej, że je widzi. Ruszył za kobietą i dogonił ją po czterech krokach.

Spotkali się pod łukiem lśniących, trójkątnych stateczków. Trzy Trawa-Morska ukloniła się przedstawicielom Floty, składając przed sobą koniuszki palców. Mahit wiernie powtórzyła jej gest. Była barbarzynką, ale miała prawo być w tym miejscu, czyż nie? Otoczona przez całą potęgę teixcalaanlijskiej Floty, zbyt ogromnej i skomplikowanej, by można ją było ogarnąć w całości.

<Oddychaj> wyszeptał Yskandr. Mahit posłuchała go i odetchnęła głęboko, prostując się.

— Emisariuszka i lingwistka-dyplomatką — stwierdził mężczyzna tym samym głosem, który słyszały przez komunikator. To z pewnością był adiutant, pierwszy *ikantlos* Dwadzieścia Cykada. Czyż to nie ciekawe, że człowiek o tak nieteixcalaanlijskim wyglądzie (pomijając nieskazitelny mundur), tak niemodnie, niepokojąco chudy i łysy — z bliska Mahit zauważyła, że nie ma nawet brwi, zgolił je, a przecież Teixcalaanlitzlim byli zwykle bardzo dumni ze swoich włosów i nosili je długie i splecione w warkocz albo długie i rozpuszczone — był zastępcą dowódcy na głównym okręcie flagowym imperialnej Floty, i to podczas wojny.

Jaka yaotlek uczyniłaby takiego człowieka swą prawą ręką?

<Interesująca. Przyjrzyj się jego dłoniom, Mahit. Widzisz tatuaże na nadgarstkach? To wyznawca kultu homeostatu>.

Pod rękawami munduru rzeczywiście miał ledwie widoczne tatuaże. Zielone, rozgałęziające się, fraktalne. *Jakiego kultu?*

<Chwileczkę. Przyglądaj się uważnie, Mahit>.

Kobieta się nie ukloniła.

— Widzę, że Ministerstwo Informacji przysłało Dziewięć Hibiskus jedną bardzo młodą kobietę i jedną barbarzynkę — stwierdziła lodowatym tonem. — Rewelacja. Na pewno będziecie bardzo pomocne.

— Kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy z Dwudziestego Czwartego Legionu — wyszeptał Dwadzieścia Cykada całkowicie oficjalnym tonem i wskazał na nią, jakby uczestniczył w pokazie dziwolągów. — Jest dzisiaj naszym czcigodnym gościem.

Szesnaście Wschód-Księżycy celowo i z wyrachowaniem postanowiła nie naśladować uprzejmego tonu Dwadzieścia Cykady.

— W takim razie ruszajmy, adiutancie. Skoro mamy już szpiegówkę i jej faworytę, pokażcie nam to, co wszyscy chcemy zobaczyć. Ciało.

— Ciało? — zapytała Trzy Trawa-Morska, jakby cała ta szermierka słowna nie miała żadnego znaczenia.

— Ciało jednej z istot, z którymi macie rozmawiać — wyjaśniła Szesnaście Wschód-Księżycy. — Jak dobrze radzi sobie Informacja ze wskrzeszaniem umarłych?

— To nie moja specjalność — odparła emisariuszka.

— *Yaotlek* oczekuje nas wszystkich w prosektorium w sekcji medycznej — potwierdził Dwadzieścia Cykada, ignorując insynuacje nekromantycznej mocy. — Mamy ciało, które chcemy ci pokazać, emisariuszko. Nie mówi, ale powinnaś coś z niego wyczytać. Pójdziemy tam?

Struktura chiastyczna — pomyślała Mahit. *Wciąż kręcimy się w kółko. Przybyłam tu dopiero przed chwilą, a już każą mi oglądać ciało. Tym razem przynajmniej nie będzie twoje, Yskandr.*

<Człowiek nie może umierać zbyt często> odparło imago. Mahit włożyła sporo wysiłku w panowanie nad twarzą, by nie roześmiać się z tego makabrycznego żartu. W obecnej sytuacji nie byłoby dla niej użyteczne, gdyby Teixcalaanlitzlim pomyśleli, że barbarzynka rozmawia z niewidzialnymi duchami, które nosi w głowie. Niewidzialnymi duchami lubiącymi czarny humor. To nie pomogłoby jej nawet w najmniejszym stopniu.

Tym razem nie było windy, która zwiozła ją do piwnic gmachu Sprawiedliwości, nie było grupki *ixplanatlim* w czerwonych strojach otaczających ciało, ani zakrywającej je płachty. Gdy Mahit weszła do prosektorium, technik medyczny właśnie wyjmował wielkie płuca z otwartej, beczkowatej klatki piersiowej obcego. Zabrał je celem zważenia i zmierzenia, sprawdzenia saturacji krwi, ustalenia przyczyny zgonu, czy co tam jeszcze Teixcalaanlitzlim zwykli sprawdzać w narządach martwych obcych. Opróżniona z płuc klatka piersiowa wyglądała jak nagie skrzydła rozpostarte po obu stronach długiej szyi. Po drugiej stronie stołu stała *yaotlek*, gapiąca się na pustą jamę, jakby mogła wyczytać z niej przyszłość. Mahit poznała ją po epoletach ze słonecznymi włócznieami. Co więcej, kobieta wyglądała dokładnie tak, jak powinni wyglądać *yaotlekim* (pomijając pechowego Jeden Błyskawicę, który przed trzema miesiącami dopuścił się nieudanej uzurpacji).

Dziewięć Hibiskus była wysoka i elegancka. Pod dość grubą warstwą tłuszczu kryły się silne mięśnie. Jej biodra i brzuch miały krągłe zarysy, ramiona i klatkę piersiową miała szerokie, a uda przypominały stalowe przypory używane na Stacji do budowy pokładów. Sprawiała wrażenie absolutnie niewzruszonej. Przed powstaniem teixcalaanlijskiego holofilmu o tej wojnie, poszukiwania odpowiedniej aktorki do zagrania jej roli będą wymagały wielu miesięcy.

— Dźwięki w nagraniu nie mogły pochodzić z tego gardła, *yaotlek*. — To było pierwsze, co przyszło Lselce do głowy na widok Dziewięć Hibiskus,

jakby bezpośrednio i klarowność mogły ją uchronić przed oskarżeniem o barbarzyństwo.

— Pięć punktów za dojście do oczywistej konkluzji — odparła *yaotlek* niskim, skupionym altem, kojarzącym się Mahit z Dziewiętnaście Ciesak i jej spokojną, przerażającą precyzją. — Jesteś ksenobiolożką?

— Szpiegówka przywiozła ze sobą faworytę — odezwała się druga kapitan floty. Szesnaście Wschód-Księżycy. Spojrzenie, którym obrzuciła ją Dziewięć Hibiskus, wyrażało coś, co zdaniem Lselki było głęboką antypatią, aczkolwiek skrywaną pod licznymi warstwami etykiety oraz autorytetu.

— Nie jestem. — Mahit doszła do wniosku, że nastawienie Szesnaście Wschód-Księżycy do niej raczej nie stanie się bardziej wrogie, jeśli odpowie na pytanie *yaotlek*. — Jestem Mahit Dzmare, ambasadorka Stacji Lsel w Teixcalaanie i jej dyplomatyczna przedstawicielka w tym sektorze.

— Ambasadorka jest lingwistką i tłumaczką — wyjaśniła Trzy Trawa-Morska. — Ja jestem szpiegówką. — Przerwała na chwilę, tylko dla efektu. — Naszym zadaniem jest wam pomóc.

Adiutant, Dwadzieścia Cykada, wydał z siebie naprawdę niezwykły odgłos, jakby utopił śmiech i połknął jego trupa. Trzy Trawa-Morska albo tego nie zauważyła, albo jej to nie obchodziło.

— Bardzo się cieszę, że miałam okazję cię poznać, *yaotlek* — kontynuowała. — Ja i Ministerstwo Informacji jesteśmy wdzięczni za szansę dopomożenia wam w sytuacji pierwszego kontaktu. Ten obcy ma naprawdę fascynujące gardło.

— Ale mimo to — odparła *yaotlek* — twoja lingwistka-tłumaczka-ambasadorka jest całkowicie pewna, że nie mógł wydać z siebie dźwięków, które wszyscy słyszeliśmy podczas transmisji. Czy zechciałabyś to wyjaśnić? Dla mnie i dla kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy, oczywiście. — Spojrzała na kobietę z Dwudziestego Czwartego Legionu, odsłaniając w uśmiechu drobne fragmenty zębów. Mahit poczuła w gardle metaliczną

suchość. To była groźba. Teixcalaanlijska głównodowodząca obnażająca zęby podczas uśmiechu. Czysta energia, czyste niebezpieczeństwo.

<Jest bardzo dobra> wyszeptał Yskandr. Mahit zgadzała się z nim. Dziewięć Hibiskus całkowicie panowała nad sytuacją, nawet gdy ktoś ją zaskoczył, co z całą pewnością udało się Szesnaście Blask-Księżycy. Mahit podejrzewała, że *yaotlek* nawet nie wiedziała, iż kapitan floty jest na jej okręcie, dopóki ta nie zjawiała się w prowizorycznym prosektorium w towarzystwie Mahit i Trzy Trawy-Morskiej...

...która właśnie mówiła, spokojnie i bezpośrednio.

— Po długiej analizie zapisów audio, które przysłaliście Ministerstwu Informacji, doszliśmy do wniosku, że słyszalne w nim dźwięki to znaczniki tonowe, a nie mowa jako taka. Ci obcy nie mogliby ich wyprodukować samodzielnie, chyba że ich struny głosowe wykorzystują takie narzędzia, jak syntezatory albo theremin.

— Moglibyście to sprawdzić dzięki sekcji — dodała Mahit. — Żeby się upewnić, że nie mogą produkować dźwięków przez oscylację pól magnetycznych.

— Resztę ciała już pokroiliście — stwierdziła Szesnaście Wschód-Księżycy. — Równie dobrze możecie sprawdzić też szyję. Skoro już tu jestem, przyjrzę się temu. W końcu to moi żołnierze najczęściej giną w walce z tymi stworami.

— Gdybym nie dowiedział się, że przebywasz na pokładzie „Ciężarka u Koła” dopiero dwie minuty przed spotkaniem cię w hangarze, postarałbym się, żebyś dostała zaproszenie na sekcję — oznajmił gładkim głosem Dwadzieścia Cykada.

Mahit nie mogła się odwrócić, żeby zobaczyć reakcję Szesnaście Wschód-Księżycy. Czuła się dziwnie odsłonięta, wiedząc, że kapitan floty Dwudziestego Czwartego Legionu stoi za jej plecami. Po jej skórze przebiegały ciarki. Czuła, że jest obserwowana, mimo że obserwatorka wcale nie skupiała się na niej. Chciała to zobaczyć. Starcie kapitanów floty miało

duże znaczenie. Musiała zrozumieć, o co tu chodzi, jeśli ona i Trzy Trawa-Morska mają okazać się użyteczne i przeżyć wojnę.

<Nadal myślisz tak, jakbyśmy próbowali uciec przed radczynią Amnardbat> wyszeptał do niej Yskandr. <Musicie być użyteczne, żeby przeżyć tę wojnę? Nie jest aż tak źle. Jak dotąd>.

Jak dotąd — powtórzyła w myślach Mahit. *Ale to jest polityka i muszę zrozumieć...*

<Jej kształt. Kto tutaj chce obecności Informacji, a kto nie>.

Yskandr zniknął nagle, jak zgaszony ogień tuż poza jej zasięgiem albo srebrzysta ryba, umykająca w mrok zbiornika hydroponicznego.

— Roju — odezwała się Szesnaście Wschód-Księżycy, której twarzy Mahit nie widziała — zawsze byłam o tobie lepszego zdania. „Osmalony Fragment Porcelany” przybył przed czterema godzinami. Czekałam tak długi czas, a adiutant naszej *yaotlek* nic o tym nie wiedział?

Dwadzieścia Cykada. Rój. Mahit przypomniała sobie, co jej mówił Yskandr, kiedy zauważyła tatuaże adiutanta. *Wyznawca kultu homeostatu*. Jego imię to nazwa owada. Wszechobecnego owada. *Teixcalaanlitzlim* nie powinni nosić imion pochodzących od zwierząt. Czy owady uważano za zwierzęta? Zawsze była przekonana, że tak.

Dziewięć Hibiskus obserwowała sprzeczkę z groźną obojętnością, która najwyraźniej była jej nieodłączną cechą, aż nagle wsparła dłonie na metalowym stole sekcyjnym, po obu stronach głowy obcego, jakby mogła ją skruszyć między nimi. Jej gwałtowny ruch uciszył dyskusję.

— Zostań, Szesnaście Wschód-Księżycy. Medyk opowie ci o wszystkim, co umknie twojej uwagi. A jeśli chodzi o ciebie... — Wskazała podbródkiem na Trzy Trawę-Morską. — Chcę się dowiedzieć, czy ty albo twoja barbarzyńska lingwistka potraficie coś wyjaśnić dzięki tym znacznikom tonu, które podobno zidentyfikowałyście. Po to tu jesteście. Dowiedzcie się, jak rozmawiać z tymi stworzeniami, zanim dojdę do wniosku, że nie warto tego robić.

— Jak wygląda wasz system nadawania? — zapytała emisariuszka radośnie

podeksycytowanym tonem, jakby to zadanie nie miało im sprawić żadnych kłopotów. Mahit wiedziała lepiej. Dopiero uczyły się interpretować dźwięki z transmisji, a przez połowę czasu pracy mdłości nie pozwalały im myśleć i oddychały z trudem, porażone obcością tego, co słyszały. Być może uda im się przekazać coś obcym, ale to z pewnością nie będzie to, o co chodzi. Coś błędnego i nieukształtowanego, wypaczonego przez ludzkie języki oraz umysły.

<Ale to może ich przyciągnąć> wyszeptał Yskandr. *Przynęta* — pomyślała.

W podobnym celu Darj Tarats wykorzystał Stację Lsel.

Mahit również była teraz przynętą. Dla Trzy Trawy-Morskiej i dla Floty. Jeśli zostanie sabotażystką Darja Taratsa. Nie wiedziała, jak mogłaby to zrobić. Nie wiedziała...

<Nie chcesz tego robić>.

Nie chcę celowo źle wykonywać swojej pracy — pomyślała Mahit. To było nieprzyjemne sformułowanie. Poczula pytanie, jakim odpowiedział jej Yskandr — *Tak, a odkąd to twoją pracą są protokoły pierwszego kontaktu?* — jako przeszywający ból docierający od łokci do małych palców u rąk i usłyszała je jako własny głos wewnątrz czaszki. Byli teraz bardzo blisko siebie, ale miejsca, w których do siebie nie pasowali, nadal były źródłem cierpień.

— Możemy wysłać transmisję na częstotliwości, której używają — zapewniła Dziewięć Hibiskus. — Gdy tylko ją przygotujecie. Najpierw przynieście ją do mnie. Dwadzieścia Cykada wskaże wam drogę do waszych kabin i do pracowni łączności.

To był rozkaz odejścia. Potwierdzały to jej następne gesty, gdy skinęła na technika medycznego w czerwonym kombinezonie i wezwała gestem do siebie Szesnaście Wschód-Księżycy, żeby lepiej wszystko widziała. Mahit pokłoniła się nisko, składając przed sobą koniuszki palców. Po raz kolejny poczuła się skrępowana myślą, że wiedziała, jaki gest będzie w tej sytuacji odpowiedni. Z wielką łatwością uwolniła się od wpływów Stacji, wracając do

polityki, przyjemności i trucizn Teixcalaanu. Bardzo pragnęła czuć się użyteczna, a jednocześnie nienawidziła tego pragnienia.

Gardło obcego rozstało się pod naciskiem noża jej technika medycznego niczym dojrzały owoc. Wewnątrz Dziewięć Hibiskus ujrziała zwyczajnie wyglądające mięśnie. Nadal ospale sączyła się z nich czerwona krew. Natleniona krew. Obcy zginął niedawno. To było niepokojące, jeśli zastanowić się nad tym głębiej. Niespełna pół doby wcześniej to stworzenie żyło, czuło głód i kierowała nim jego niepojęta inteligencja. Gdyby nie otworzono jego ciała, można by pomyśleć, że udaje, czai się, jest gotowe zaatakować...

Stojąca u jej lewego boku Szesnaście Wschód-Księżycy pochyliła się śmiało, przyglądając się, jak skalpel przecina mięśnie i odsłania żebrowany, gumowaty twór, prawdopodobnie tchawicę.

— Gardło wygląda normalnie — stwierdziła. *Yaotlek* zadała sobie pytanie, ile sekcji przeprowadziła osobiście kapitan floty.

— Otwórz to. Na szczycie, gdzie powinna być krtani — rozkazała Dziewięć Hibiskus. Technik medyczny wykonał polecenie.

Tak jest, to była jama krtani. Duża, ale — sądząc z tego, co zapamiętała z lekcji anatomii, wieki temu, na pierwszym roku w akademii Floty — standardowo zbudowana. Warstwy obcych mięśni przy wejściu do tchawicy również wyglądały typowo dla ssaków. Zamykały się, by pokarm nie dostał się do układu oddechowego, i mogły wibrować, by produkować dźwięk, kiedy przechodziło między nimi powietrze. Nie sprawiały wrażenia zdolnych do emitowania mechanicznych dźwięków z przechwyconych transmisji.

— Przejdź niżej — odezwała się Szesnaście Wschód-Księżycy. — Do

miejsca, gdzie tchawica się rozgałęzia, przechodząc do płuc. On ma płuca, prawda?

Leżały w metalowych misach na drugim końcu pokoju zabiegowego przerobionego na prosektorium. Dziewięć Hibiskus wskazała na nie.

— Miał płuca. Lewe i prawe.

Bez względu na to, co próbowała osiągnąć Szesnaście Wschód-Księżycyca przez niespodziewane pojawienie się na jej okręcie flagowym i wtargnięcie do medycznych laboratoriów, traciło to znaczenie, jeśli rzeczywiście udało się jej wpaść na dobry pomysł. Dziewięć Hibiskus zadała sobie pytanie, czy kapitan floty myślała o medycznej karierze, zanim rozpoczęła naukę w akademii, czy raczej miała chorobliwe upodobania i lubiła oglądać sekcje dla rozrywki.

— Przejdź niżej — powtórzyła Szesnaście Wschód-Księżycyca i otworzyła szeroko oczy w pełnym samozadowolenia uśmiechu.

Dziewięć Hibiskus skinęła głową do technika medycznego, który zrobił to, co sugerowała kapitan floty, rozcinając tchawicę tak głęboko, że zmieniła się w niemal płaskie, sztywne pasmo. W miejscu, gdzie zaczynała się rozdzielać, znajdowała się jakaś kostna struktura, jakby druga krtań, otoczona czymś, co przypominało przekłuty balon, owinięty w całą serię mięśni. Dziewięć Hibiskus z pewnością nie uczyła się o czymś takim na anatomii.

— Krtań tylna — oznajmiła Szesnaście Wschód-Księżycyca z głęboką satysfakcją. — Ptaki mają coś takiego. Twoja szpiegówka i jej faworyta mylą się, *yaotlek*. Obcy mogą wydawać najokropniejsze dźwięki dzięki temu narządowi.

Ten balon to na pewno część wibrująca — pomyślała Dziewięć Hibiskus. Mięśnie nadawały mu wystarczające napięcie. Z lekkim, zachwycającym obrzydzeniem dotknęła szyi obcego i rozciągnęła błonę między koniuszkami palców. Była gruba i mocna. Palce *yaotlek* zrobiły się czerwone.

Gdyby to ona zabiła obcego, posmarowałyby krwią czoło na znak zwycięstwa. Ale jeszcze na to nie zasłużyła.

— Wytnij to — rozkazała technikowi. — Zachowaj tyle mięśni, ile tylko się

da. Zakonserwuj wszystko. Podejrzewam, że moja szpiegówka i jej faworyta... — te słowa wypowiedziała na znak uznania dla drugiej kapitan floty, która przewidziała wyniki sekcji — ...mogą chcieć to wykorzystać, żeby produkować takie same dźwięki.

— Zatem ufasz agentce Informacji — stwierdziła Szesnaście Wschód-Księżycy. Oddaliły się od stołu, by pozwolić technikowi zająć się jego pracą. *Yaotlek* nie umyła rąk. Było coś satysfakcjonującego w świadomości, że dotknęła obcego i nie padła trupem ani się nie rozpuściła. Choć niewielka część ich tajemnicy utraciła moc. Byli śmiertelni. Umierali, wykrwawiali się i stygli. Jako zestaw narządów byli osobliwi, ale całkowicie zrozumieli. Po prostu mięso, jak inne martwe stworzenia.

— Dlaczego nie miałabym jej ufać? — zapytała. — Jeśli mi powiesz, że dlatego, iż to szpiegówka, będę zmuszona obniżyć ocenę twojej inteligencji, a byłoby szkoda. Szczegóły, kapitanie floty.

Szesnaście Wschód-Księżycy nie dała się sprowokować. To wzbudziło szacunek *yaotlek*.

— Nie masz pojęcia, wobec kogo jest lojalna, pomijając być może Teixcalaan. Nie jest z Floty. To... — wskazała ręką na obcego, pokój zabiegowy i całą sytuację — ...jest sprawa Floty. Nie wyobrażałam sobie, że bohaterka z Kauraanu sprowadzi ludzi z zewnątrz, żeby pomogli jej w prowadzeniu wojny. Z całym szacunkiem, *yaotlek*.

— Nie jestem bohaterką — odparła Dziewięć Hibiskus. — Jestem żołnierką. A zwycięstwo na Kauraanie było zasługą żołnierzy używających najlepszych informacji, jakie byłam w stanie dla nich zdobyć. Nie odmawiam moim ludziom dostępu do zasobów, kapitanie floty. Zapewniam im go. Agentka Informacji da nam to, czego potrzebujemy, bez narażania moich ludzi, a także twoich, ludzi Czterdzieści Tlenek czy kogokolwiek innego.

— Flota ma własny wywiad — zauważyła Szesnaście Wschód-Księżycy, nie dodając nic więcej. Te słowa zawisły między nimi niczym wyzwanie. *Dlaczego nie zwróciłaś się do Trzeciej Dłoni, o yaotlek, jeśli tak bardzo ci*

zależy na zdobyciu odpowiednich zasobów? Nie musiała mówić tego na głos. Dziewięć Hibiskus słyszała te słowa w ciszy, która zapanowała w pomieszczeniu, przerywanej tylko czasami przez ciche chlupotanie płynów ustrojowych obcego.

— Nie zajmujemy się pierwszym kontaktem — odrzekła, jakby to była wystarczająca odpowiedź. — To zadanie Informacji. — A poza tym to tylko jedna szpiegówka, Szesnaście Wschód-Księżycy. Znacznie łatwiej ją kontrolować niż cały szwadron ludzi z Trzeciej Dłoni.

W jasnych oczach kapitan floty pojawił się cień jakiejś emocji. Dziewięć Hibiskus zadała sobie pytanie, czy powiedziała jej za wiele o swej niechęci do wywiadu Floty. To byłoby prawdziwym problemem tylko wtedy, gdyby kapitan floty Dwudziestego Czwartego Legionu była członkiem Trzeciej Dłoni, czy może była nim w przeszłości, zanim została oficerem. Będzie musiała sprawdzić jej publicznie dostępne dossier. Albo może każe Rojowi to zrobić. Oboje byli dotąd bardzo zajęci.

— Jedna szpiegówka i jedna barbarzynka — odezwała się po chwili Szesnaście Wschód-Księżycy. — Tę pierwszą potrafiłabym zrozumieć. Ale powiązania z cudzoziemcami, którzy przyczynili się do wybuchu tej wojny? To mnie niepokoi, *yaotlek*. Ta cudzoziemka pochodzi ze Stacji Lsel, małego, niezależnego tworu politycznego, który zawiadomił nas o istnieniu tych obcych...

— I przyczynił się do upadku Jeden Błyskawicy — przerwała jej Dziewięć Hibiskus.

— Jeden Błyskawicy, a wraz z nim minister Dziewięć Napęd.

Minister Dziewięć Napęd, patronki i mentorki Dziewięć Hibiskus, jej politycznej protektorki. Szesnaście Wschód-Księżycy sugerowała, że Dziewięć Napęd wcale nie przeszła w stan spoczynku, lecz była zamieszana w próbę puczu i w związku z tym ją odwołano.

— Jestem pewna, że była minister cieszy się, że może wreszcie odpocząć — odparła *yaotlek*. Trudno jej było sobie wyobrazić, by Dziewięć Napęd

mogła mieć coś wspólnego z próbą uzurpacji. Zawsze była ostrożna i uważnie obserwowała wszystkie wydarzenia w Mieście. Dziewięć Hibiskus całkowicie ufała jej spokojowi, pewna, że może podejmować niezbędne ryzyko, licząc na jej oparcie.

— Ciekawie to ujęłaś — zauważyła Szesnaście Wschód- -Księżycyca. — Zwolniono połowę pracowników ministerstwa, *yaotlek*. To nie było przejście w stan spoczynku.

Próbowała ją sprowokować. Chciała doprowadzić do tego, że Dziewięć Hibiskus poskarży się na nową cesarz i nową minister wojny, Trzy Azymut. Osoby, które powierzyły jej dowództwo...

(Które rozkazały jej pokonać niewiarygodnie potężnego przeciwnika i dały jej do dyspozycji tylko jedną szóstkę legionów. W dodatku połowa ich dowódców podpisała list Szesnaście Wschód-Księżycyca, będący wyrazem niesubordynacji. To w nieprzyjemny sposób sugerowało, że jej rozmówczyni ma rację i Dziewięć Hibiskus ukarano za to, że była protegowaną Dziewięć Napęd, a ta rzeczywiście była zamieszana w próbę puczu...)

Gdyby jednak powiedziała to na głos, spełniłaby życzenie Szesnaście Wschód-Księżycyca, która przywiozła ze sobą swe polityczne gierki z ministerstwa. Przyznałaby, że nie jest lojalna wobec Imperium, czy nawet Ministerstwa Wojny. Nie da się wciągnąć w tę pułapkę.

— Nowa cesarz ma inne militarne priorytety. A Trzy Azymut zasługiwała na awans. Mówiąc szczerze, kapitan floty, mam nadzieję, że sprawię się równie dobrze jak Dziewięć Napęd, gdy dni mojej służby na linii frontu dobiegną końca.

Niech Szesnaście Wschód-Księżycyca pomyśli, że nie zauważyła jej insynuacji, sugestii, że Dziewięć Napęd była nielojalna. Niech ma ją za głupszą niż w rzeczywistości.

— Biorąc pod uwagę przebieg twojej służby, trudno byłoby się spodziewać po tobie innej odpowiedzi — zauważyła kapitan floty Dwudziestego Czwartego Legionu. To były słowa pełne pogardy. Dziewięć Hibiskus

mogłaby ją znienawidzić. Mogłaby ją znienawidzić bardzo mocno, gdyby nie potrzebowała jej i jej legionu, żeby wygrać wojnę.

— Pięknie to ujęłaś — odpowiedziała tylko i uśmiechnęła się, odsłaniając lekko zęby.

Szesnaście Wschód-Księżycy odpowiedziała jej w taki sam sposób, ukazując skrawki bieli w akcie groźby.

— *Yaotlek*, pomijając wszystkich ministrów, chciałam powiedzieć, że nie ufam niczemu, co pochodzi ze Stacji Lsel. A fakt, że jest w to zamieszana szpiegówka z Informacji, dodatkowo pogarsza sytuację.

Coś się w tym kryło, coś głębszego i bardziej nieprzyjemnego niż rywalizacja między kapitanami floty. Szesnaście Wschód-Księżycy chciała, by Trzecia Dłoń brała udział w tej wojnie. Chciała tego naprawdę bardzo gorąco. A to oznaczało, że ktoś w Ministerstwie albo w jakiejś innej części pałacu pragnął, by oficer polityczny śledził wszelkie poczynania Dziewięć Hibiskus.

— Jestem ci wdzięczna za tę szczerą opinię, kapitanie floty — odparła *yaotlek*. — Możesz być pewna, że będę obserwowała agentkę Informacji tak dokładnie, jak to będzie konieczne. Zobaczymy, czego potrafi dla nas dokonać. Na razie wstrzymuję się z osądem.

— Jak sobie życzysz — odpowiedziała Szesnaście Wschód- -Księżycy. — Mam wrażenie, że twój technik usunął już krtań tylną, *yaotlek*. Wypełnij ją powietrzem i sprawdź, czy krzyczy, zanim przekażesz ją szpiegówce.

Zasalutowała, odwróciła się na pięcie i zostawiła Dziewięć Hibiskus sam na sam z wypatroszonym ciałem wroga, zaczynającym już śmierdzieć od postępującego rozkładu.



Adiutant Dwadzieścia Cykada nie odprowadził Trzy Trawy-Morskiej i Mahit

do kwatery, którą dla nich przygotowywano. Rzucił od niechcienia, świetnie znanym emisariuszce tonem osoby, która co najmniej cztery razy na dobę musi sobie radzić z rozwiązaniami logistycznymi znacznie bardziej skomplikowanymi niż problem bieżący, że ponieważ ich kabinę trzeba przystosować do wstawienia dwóch łóżek zamiast jednego, mogą od razu przystąpić do pracy.

— Emisariuszko — zaczął, gdy szły za nim ruchliwymi, dobrze utrzymanymi korytarzami „Ciężarka u Koła”, w których ludzie z Floty gapili się na nie z nieskrywaną ciekawością — powinnaś mieć już w swoim łączu chmurowym mapę okrętu. Będziecie z ambasador Dzmare miały pracownię łącznościową dla siebie do godziny dwudziestej drugiej. O tej porze *yaotlek* będzie już chciała zobaczyć jakieś rezultaty.

Obejrzał się przez ramię i uśmiechnął się nagle, poruszając lekko oczami i kącikami ust. Wyglądało to dziwnie u kogoś, kto nie miał włosów ani brwi. Trzy Trawa-Morska nigdy dotąd nie spotkała nikogo, kto traktowałby praktyki homeostazy tak poważnie. Większość osób o niekonwencjonalnych przekonaniach religijnych wolała nie przyciągać uwagi innych. Doszła do wniosku, że to interesujące, że ten człowiek zdołał osiągnąć tak wysoką pozycję pomimo niezbyt cywilizowanego wyglądu. Pomyślała jednak, że Dwadzieścia Cykada może nie mieć brwi, ale dobrze zna swoją przełożoną i wiedział, co mówi. *Yaotlek* będzie chciała otrzymać raport pod koniec wieczornej zmiany, bez względu na to, jak późno to będzie i jak to będzie się zgadzało z jej harmonogramem snu.

— Dostanie je — zapewniła Trzy Trawa-Morska i pokłoniła się bardzo nisko. Dwadzieścia Cykada uznał jej obietnicę za wystarczającą gwarancję, skinął głową do nich obu i oddalił się, by zająć się własnymi sprawami. Z pewnością nie był chłopcem na posyłki. Z reguły nie zajmował się oprowadzaniem po okręcie zabłąkanych agentów Informacji. Co prawda, raczej nie należało to do obowiązków adiutanta...

Tak jest, miała plan „Ciężarka u Koła”. Rozbłysnął w jej łączu chmurowym

światlistym maswerkiem. Cztery pokłady wyżej, w stronę dziobu. Trafiają bez trudu.

— Idź za mną — rzuciła do Mahit, która zachowywała się bardzo cicho. Niezwykle cicho, zwłaszcza po nagłym rozbłysku otwartości w sekcji medycznej. Czyżby przestraszyła się kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy? Trzy Trawa-Morska nie przypominała sobie, by Mahit kiedykolwiek była strachliwa. Tak czy inaczej, Lselka podążyła za nią. Trzymała się blisko lewego boku emisariuszki, odwracając ich zwyczajową pozycję. Plan statku, nakładający się na prawą stronę pola widzenia agentki Informacji, był łatwy do odczytania. Ktoś — zapewne Dwadzieścia Cykada — oznaczył miejsce, do którego zmierzały, małą, świecącą gwiazdką. Trzy poziomy ogromnego okrętu flagowego pokonały bez żadnych incydentów, ale na czwartym... ach, na czwartym... to był przykład panującej we Flocie obsesji na punkcie bezpieczeństwa, o której Trzy Trawa-Morska uczyła się na kursach w Ministerstwie Informacji.

Obsesja przybrała postać spokojnego, potężnie zbudowanego żołnierza. Włosy miał starannie związane w warkocz, a pistolet energetyczny — no dobra, pistolety energetyczne, dwie sztuki — w eleganckich kaburach u obu bioder. Z pewnością wyglądały groźnie. Zagroził przed nimi drzwi, przez które według planu musiały przejść, by dostać się do pracowni łączności. Żołnierz wyciągnął rękę, unosząc otwartą dłoń we władczym geście. Trzy Trawa-Morska zatrzymała się nagle, podobnie jak podążająca tuż za nią Mahit.

— Obie nie nosicie munduru — poinformował je żołnierz. — Zwłaszcza ona — dodał, wskazując podbródkiem na Mahit. — Co robicie na tym pokładzie?

— Jestem emisariuszką Trzy Trawa-Morska, skierowaną tu przez Ministerstwo Informacji — odparła z irytacją. Czy jej kombinezon emisariuszki nie był mundurem? Ale może żołnierz nigdy takiego nie widział.

— A to jest ambasadorka. Sprawdź swoją listę. Idziemy do pracowni łączności, na rozkaz *yaotlek*.

Żołnierz zamrugnął, uruchamiając funkcję przeszukiwania swego łącza chmurowego. Znalazł to, czego szukał, ale i tak kazał im obu czekać.

Czuła nerwową energię wypełniającą Lselkę, jakby miała obok siebie włączony generator energii. Mimo to barbarzynka nadal nic nie mówiła. Po ciągnących się bez końca piętnastu sekundach żołnierz złożył koniuszki palców w wyjątkowo niedbałym geście potwierdzenia, po czym przepuścił je skinieniem dłoni.

— W lewo, emisariuszko i ambasadorko — rzekł, jakby nie było absolutnie żadnego powodu, by je zatrzymywać.

Sytuacja powtórzyła się jakieś sześćdziesiąt metrów dalej, gdy tylko przeszły z zasięgu wzroku pierwszego wartownika w zasięg następnego. To nieprzyjemnie przypominało Trzy Trawie-Morskiej zachowanie Słońc Imperium z czasów jej dzieciństwa, przed reformą algorytmu, gdy zadawały te same pytania na każdej granicy jurysdykcji, bez względu na to, ile takich granic pokonała już pytana osoba. Ta żołnierka była niższa, bardziej energiczna i wyraźnie przerażona niestosownością stroju Mahit. Jej skardze na to, że obie nie noszą mundurów, towarzyszył zamaszty gest, wskazujący na Lselkę od ramion aż po stopy — jakby chciała zapytać, „co sympatyczna emisariuszka, taka jak ty, robi w towarzystwie tego dziwoląga w kombinezonie?”.

Trzy Trawa-Morska spodziewała się, że w tej chwili Mahit przejmie inicjatywę i wyjaśni, kim są, z pewnością siebie, jaką wykazała, przedstawiając się *yaotlek* w sekcji medycznej. Nie zrobiła tego jednak. Spojrzała tylko na emisariuszkę, unosząc brwi, co zmusiło ją do powtórzenia tego, co mówiła poprzedniemu wartownikowi. Potem musiała czekać, aż żołnierka sprawdzi to w łączu chmurowym i przepuści je skinieniem dłoni.

Trzeci raz, pod samymi drzwiami pracowni, był po prostu obelgą. Poprzednia wartowniczką nadal była widoczna, ale nie raczyła poinformować

następnej, że obie kobiety mają legalny i uzasadniony powód, by być za drzwiami, których tak pilnie strzegła.

— Nie nosicie... — zaczęła żołnierka.

— Munduru, tak — warknęła wreszcie Mahit, z płynną, pełną złości intonacją. Trzy Trawa-Morska nie przypominała sobie, by Lselka mówiła tak w pałacu. Coś w jej tonie sugerowało głębokie znudzenie poruszonym problemem oraz pogardę dla niego.

Ciekawe, jak brzmiał Yskandr Aghavn, kiedy był poirytowany — przemknęło jej przez głowę. Nie spodobała się jej ta myśl.

— Może sprawdź swoje listy — zasugerowała Trzy Trawa-Morska, zanim Mahit zdołała dodać coś więcej.

— Nie ma potrzeby się denerwować, emisariuszko — odparła żołnierka. To nie poprawiło sytuacji. Jeśli wiedziała, kim są, to dlaczego, na wszystkie krwawiące gwiazdy, nie chciała ich wpuścić do środka?

— Rozkazano nam udać się do tej pracowni — kontynuowała Lselka z tą samą gładką złośliwością, mówiąc po teixcalaanlijsku z perfekcyjnym akcentem. — Rozkaz wydała wasza *yaotlek*. Dla bezpieczeństwa Floty i prawidłowego oraz sprawnego prowadzenia wojny.

Trzy Trawa-Morska uświadomiła sobie, że ambasadorka zacytowała fragment jednej z „Pieśni o odzyskaniu” — Pieśni numer 16, jednej z mniej znanych, ponieważ była bardzo długa i trudno jej było nauczyć się na pamięć. *Prawidłowe oraz sprawne prowadzenie wojny*. Po teixcalaanlijsku piętnaście perfekcyjnych sylab ze średniówką pośrodku. Kurwa, nadal nie mogła przeboleć, że Mahit Dzmare urodziła się barbarzynką...

Ale czy w innym przypadku lubiłaby ją aż tak bardzo?

Żołnierka pilnująca drzwi nie śpieszyła się ze sprawdzaniem danych. Trzy Trawa-Morska zauważyła jednak rumieniec na jej ciemnych policzkach. Czuła się skrępowana, być może nawet zawstydzona tym, że barbarzynka tak łatwo ją usadziła. Mahit powinna być z siebie dumna.

Chciała już to powiedzieć, gdy wreszcie znalazły się w środku i ujrzały

wspaniały zestaw sprzętu audiowizualnego i holograficznego, rozłożony przed nimi niczym bukiet kwiatów, a drzwi zamknęły się za nimi stanowczo, zostawiając wartowniczkę po drugiej stronie, ale Lselka ruszyła prosto do odtwarzacza audio, trzymając w rękach sztyft infofiszkowy z zapisem dźwięków wydawanych przez obcych. Trzy Trawa-Morska nie zdążyła jej powiedzieć, że urządzenie wygląda na nastawione na maksymalną głośność, nim Lselka otworzyła sztyft i pomieszczenie zalały ohydne dźwięki dobiegające ze wszystkich stron. Odtwarzacz był wielokanałowy i głośniki wbudowano we wszystkie ściany. Straszliwe hałasy brzmiące jak skrzyżowanie pieśni z zakłóceniami uderzały ją ze wszystkich stron, nie tylko z jednej...

Pomyślała, że dźwięki wnikają w jej kości i niemal natychmiast zwymiotowała. Wnikały w jej kości i będą w nich śpiewały bez końca, aż wreszcie wymioty ją zabiją.

Głośniki ucichły. Trzy Trawa-Morska zwymiotowała raz jeszcze, niezdolna się powstrzymać (rewelacja, pierwsze, co zrobiła jako emisariuszka, to narzygała na podłogę okrętu flagowego; znakomicie się spisała). Czekwała, aż fale nudności miną.

— Przepraszam — rzekła słabym głosem Mahit. Emisariuszka uniosła wzrok. Ach, przynajmniej nie tylko ona pobrudziła podłogę. Na szczęście Mahit znalazła wyłącznik. Gdyby słuchały tego przez całe dwie i pół minuty, byłyby nie tylko zawstydzone, lecz również niezdolne do pracy.

— Zapomniałyśmy o workach na śmieci — zdołała wykrztusić. Mina Mahit sugerowała, że chętnie parsknęłaby śmiechem, gdyby jej wnętrzości uznały to za wskazane.

Lselka otarła usta grzbietem dłoni i skrzywiła się.

— Było gorzej niż wtedy, gdy słuchałyśmy tego na wahadłowcu. Znacznie gorzej.

— Odtwarzacz jest połączony ze wzmacniaczem. Sygnał przekazuje się do wszystkich głośników wmontowanych w ścianę.

Mahit zastanowiła się nad tą informacją. Znieruchomiła całkowicie, jakby chciała poczuć jej smak. A może po prostu czuła smak kwasu, wypełniającego jej usta podobnie jak usta Trzy Trawy-Morskiej.

— Potrzebujemy żywego obcego. Nie trupa — stwierdziła wreszcie.

— Zgadzam się, ale dlaczego wspominasz o tym akurat teraz?

— Myślę, że jeśli zbierają się w licznej grupie i ustawiają w kręgu, jak głośniki, hałas się nasila. Samowzmacniające się fale dźwiękowe. Infradźwięki, nie tylko to, co słyszymy. Niewykluczone, że właśnie przez nie robi nam się niedobrze.

— Podejrzewam, że masz rację — zgodziła się Trzy Trawa-Morska, ze spokojem tak wielkim, na jaki potrafiła się zdobyć. Rozejrzała się wkoło w poszukiwaniu jakiejś szmaty, którą mogłaby wytrzeć wymiociny dwóch osób albo przynajmniej je przykryć. — Spotykali nas żywych znacznie częściej niż my ich. Na przykład wszystkich mieszkańców Peloa-2.

— Tym bardziej potrzebujemy żywego — stwierdziła Mahit. — Ten, którego widziałyśmy, był ssakiem. Nawet jeśli to padlinożerne ssaki, czy sami w dawnych czasach tacy nie byliśmy? Z pewnością używają w rozmowie jakiegoś innego kanału poza tym hałasem...

— Czegoś, czego nie słyszymy. Języka znaków, feromonów albo...

W pomieszczeniu było mnóstwo szafek, ale w żadnej nie było niczego, co można by wykorzystać do wycierania. Tylko sprzęt elektroniczny.

— Albo regulowanych zmian koloru skóry. Nie mam pojęcia. To może być cokolwiek. Zapewne nie feromony, u ssaków one raczej byłyby znacznikami tonów. Tak mi się zdaje. Zoologia porównawcza to nie moja specjalność.

— W porządku. Potrzebujemy żywego. Może uda nam się przygotować dobrą wiadomość, nawet jeśli to będzie tylko wrzeszczenie w próżnię, i przyślą kogoś, kogo będziemy mogły zobaczyć. — Trzy Trawa-Morska otworzyła kolejną szafkę i zatrzasnęła ją sfrustrowana. — Daj mi swój żakiet.

— Po co?

Emisariuszka westchnęła. Mahit była bardzo bystra i zgodnie z jej

nadziejami już zaczęła rozwiązywać całą zagadkę, ale nie potrafiła się domyślić, po co jej przyjaciółka mogła potrzebować czegoś zrobionego z tkaniny.

— Żeby posprzątać. Chyba że masz ochotę pracować otoczona przez leżącą luzem na podłodze treść żołądkową?

— Dlaczego mój? — nie ustępowała Mahit.

— Dlatego, że mój to element munduru, a przynajmniej część tej cholerniej Floty jest skłonna go za taką uznać. Natomiast twój uszyto z bardzo chłonnej tkaniny. Właściwie to powinniśmy zorganizować ci jakiś mundur. Jestem pewna, że mają coś bez dystynkcji albo spróbuję dopasować na ciebie jedno z moich ubrań, jeśli wolisz wyglądać jak agentka Informacji. To zaoszczędzi nam czasu w korytarzach...

Umilkła, widząc minę Mahit, zranioną na wiele różnych sposobów, jakby Trzy Trawa-Morska nagle uderzyła ją w twarz.

— Nie służę we Flocie — oznajmiała Mahit zbyt spokojnym i ostrym tonem. — Nie jestem też specjalną emisariuszką Ministerstwa Informacji.

— Jeśli obawiasz się, że mogą cię oskarżyć o niesubordynację za noszenie teixcalaanlijskiego munduru, mogę wziąć odpowiedzialność na siebie — zasugerowała emisariuszka, zdziwiona gwałtownością reakcji przyjaciółki. No dobra, z tym żakietem nie postąpiła zbyt ładnie. Sama nie byłaby zadowolona, gdyby ktoś chciał wykorzystać element jej stroju jako szmatę...

— Pewnie, że możesz — odezwała się Lselka. — Na tym zawsze polegała twoja praca ze mną, tak? Otwierałaś drzwi, brałaś na siebie odpowiedzialność i byłaś prawnie tożsama ze swoją barbarzyńką. Od samego początku.

— Nie o to mi chodziło — sprzeciwiła się wstrząśnięta Trzy Trawa-Morska. Rzeczywiście nie o to. To była tylko głupia, rzucona od niechcenia sugestia, a nie przyjęcie założenia, że jej przyjaciółka nie może sama decydować za siebie. — Gwiazdy, Mahit, weźmiemy mój żakiet. Zapomnij o tym.

Wysunęła jedną rękę z rękawa i była w połowie wysuwania drugiej, przeprasząc odwrócona od Lselki, gdy ta rzekła:

— Nie o to ci chodziło, ale powiedziałaś to, Trzcino.

Trzy Trawa-Morska nigdy nie słyszała z jej ust tak zimnego i odległego głosu. Jej przydomek stał się ostrym narzędziem i zadał jej bolesną ranę, kiedy padł z ust, które nigdy go nie wypowiedziały, gdy Dwanaście Azalia jeszcze żył.

— Wydaje ci się, że to powiedziałam, bo jeśli ktoś z nas się do ciebie odzywa, zawsze słyszysz tylko słowa „nie jesteś Teixcalaanlitzlim” — warknęła i natychmiast tego pożałowała, choć jednocześnie poczuła też okrutną radość, jaka zawsze ją wypełniała, gdy udało się jej dotrzeć do sedna problemu i zatopić w nim kły.

— Naprawdę nie powiedziałaś? — zapytała nadal bardzo spokojna Mahit. Emisariuszka pomyślała o pająkach, węzach i wszystkich stworzeniach, które mogły ukąsić, gdy coś im zagrażało. — Cały czas mi przypominasz, że jestem barbarzynką. Teraz i przedtem, w Mieście. I nie tylko ty, Trzy Trawo-Morska. Żołnierze w korytarzach również. Ale oni przynajmniej mają tyle przyzwoitości, że nie udają, iż jestem kimś innym, niż sądzi Teixcalaan. Ale ty? Chcesz mi dać mundur, uczynić mnie użyteczną, przerobić na bystrą, prawie ludzką barbarzynkę, z którą będziesz mogła się prowadzić. Postanowiłaś, że chcesz mnie mieć ze sobą, i jestem tutaj. Doszłaś do wniosku, że byłoby użyteczne, gdyby twoja barbarzynka powoływała się na autorytet dyplomatki, i robię to, wpadło ci na myśl, że przydałby mi się mundur, żeby nie zatrzymywali mnie na korytarzach, i nie zastanawiasz się nad tym, jak wyglądałabym jako lalka przebrana za Teixcalaanlitzlim.

— Tylko pytałam — odpowiedziała Trzy Trawa-Morska. Za każdym razem pytała, prawda? Była prawie pewna, że tak było. Ani razu nie wydała Mahit rozkazu. Nigdy by tego nie zrobiła, sama myśl była absurdalna. Ale Lselka ją ignorowała i pędziła przed siebie, jakby słowa były zakażeniem, które próbowała wycisnąć z rany.

— Ucieszyłabyś się, gdybym została z tobą w pałacu, prawda? Byłabym

z tobą przez cały czas i dostarczałabym ci rozrywki, zamiast lecieć teraz na wojnę.

— I czy to byłoby takie straszne? — zapytała Trzy Trawa-Morska, zanim zdążyła się powstrzymać. — Gdybyś ze mną została? — Przez jej głowę przemknęła myśl, że będzie naprawdę okropnie, jeśli się rozpłacze. Nigdy nie płakała podczas kłótni od czasu, gdy opuściła ochronkę. Mahit wpływała na nią na zupełnie nieoczekiwane sposoby, budziła w niej nowe, skomplikowane uczucia, do których najwyraźniej zaliczały się ból i przygnębienie. Ona tylko zasugerowała, że mundur ułatwiłby im życie, a teraz musiały się kłócić. To było straszne, i nie miała pojęcia, jak temu zaradzić. Wyglądało na to, że Lselka gromadziła w sobie złość, czekając na nieuniknioną chwilę, gdy nie będzie już mogła znieść Trzy Trawy-Morskiej i zrobi to, co było między nimi, to, co przed chwilą zrobiła.

— Nie — odpowiedziała ambasadorka. — To wcale nie byłoby straszne. Dlatego tego nie zrobiłam.

— To nie ma sensu. — Mahit usiadła za stołem konferencyjnym ustawionym pośrodku pomieszczenia i skryła twarz w dłoniach, zasłaniając oczy przed emisariuszką. Kiedy ostatnio siedziały za takim stołem, powstrzymały uzurpację za pomocą poezji. A teraz nie mogłyby nawet napisać razem wiadomości, bo wdały się w najokropniejszą, najbardziej bezsensowną i niezrozumiałą kłótnię, jaka przytrafiła się Trzy Trawie-Morskiej od chwili, gdy jej ówczesna dziewczyna Dziewięć Sklepienie-Łukowe zerwała z nią podczas sesji egzaminacyjnej na drugim roku szkoły dla *asekretów*. — To nie ma sensu — powtórzyła Trzy Trawa-Morska, tym razem głośniej. — Po prostu nie ma. Przepraszam za te mundury i kurtkę. Więcej o tym nie wspomnę. Ale to po prostu nie jest...

— Wy tłumaczalne? Zrozumiałe? Cywilizowane?

— Kurwa — warknęła emisariuszka, słysząc, że jej głos przybiera wysoką tonację i wyrywa się spod kontroli. — Jeśli nie chciałaś tu ze mną lecieć, nie musiałaś tego robić.

Mahit opuściła dłonie i spojrzała emisariuszce prosto w oczy. To było tak, jakby jej spojrzenie miało ciężar, ciężar i ostrze, jakby było czymś, o co można się zranić. Trzy Trawa-Morska po raz kolejny zadała sobie pytanie, jak wielka część tej osoby jest Mahit Dzmare, a jak wielka Yskandrem Aghavnem. A także, czy wszystkie niszczycielskie nieporozumienia między nimi wywodziły się z technologii imago, czy po prostu nigdy jej nie rozumiała. Nie naprawdę. Tylko udawała, że ją rozumie.

(Tylko udawała, podobnie jak teraz udawały, że są w stanie choćby w niewielkim stopniu zrozumieć tych obcych z ich niepojętym językiem, którego słuchanie sprawiało ludziom ból).

Trzy Trawa-Morska pierwsza opuściła wzrok.

— Trzcino — rzekła cicho Mahit i emisariuszka znowu na nią spojrzała, jak kwiat przymuszony przez heliotropizm.

— Słucham?

— Kiedy zrozumiesz, dlaczego musiałam z tobą polecieć, będziemy mogły znowu porozmawiać.

— Porozmawiać? W ogóle?

Było coś przerażającego w myśli, że popełniła błąd tak wielki, iż nie otrzyma nawet szansy naprawienia go, że we wszystkim, co było dla niej niewidzialne, kryła się jakaś głęboka skaza. (Nie miała pojęcia, dlaczego Mahit nie mogła zostać na Lsel. Oczywiście, chodziło o politykę, ale istniały inne sposoby, by się od niej uwolnić, niż ta szalona wyprawa na front trwającej wojny. Mahit nic jej na ten temat nie powiedziała. I wiedziała, że tego nie zrobiła, świadomie unikała tego tematu. A teraz Trzy Trawa-Morska miała się wszystkiego domyślić...)

— Mamy robotę do wykonania — stwierdziła Lselka. To nie była żadna odpowiedź. — Musimy przekonać jedno z tych stworzeń, że warto rozmawiać z Flotą.

Faktycznie miały robotę. I zostało im niespełna sześć godzin, nim *yaotlek* będzie chciała zobaczyć jakieś rezultaty. Mimo to Trzy Trawa-Morska nie była

w stanie myśleć, miała ochotę się rozplakać albo złapać Mahit za ramię i potrząsać nią, aż wszystko jej wyjaśni. Aż przestanie być...

Powiedz to, Trzcino. Choćby sobie samej, jeśli nie nikomu innemu.

Niecywilizowana. Nieskłonna do współpracy, jak zwierzę albo dziecko.

Bezsensowna cisza ciągnęła się bez końca, jakby grawitacja wypadła z orbit, potężne silniki „Ciężarka u Koła” utraciły kontakt z rzeczywistością, a cały wszechświat zboczył na nieoczekiwany tor. Pomieszczenie wypełniał kwaśny smród wymiocin. Trzy Trawa-Morska nie wiedziała, co powiedzieć. Wszystko, co mówiła do tej pory, tylko pogarszało sytuację.

Usiadła za stołem, w odległości dwóch krzeseł od Mahit. To było lepsze niż druga opcja — wyjść i trzasnąć drzwiami. Potrzebowała Lselki. Musiała wykonać zadanie, do którego sama się zgłosiła, gdy do Ministerstwa Informacji dotarła prośba o przysłanie specjalnego emisariusza. Nie powinni byli jej tu puścić. Niemal wszystko w całej tej sprawie było nieautoryzowane. Niemniej była naprawdę bardzo dobra w tym, co robiła, i skłoniła najinteligentniejszą osobę, jaką знаła, żeby pomogła jej z lingwistyką i szokiem kulturowym wywołanym pierwszym kontaktem. Formalnie rzecz biorąc, miała też odpowiednią rangę w Ministerstwie. Ale jeśli jej się nie uda...

To będzie oznaczało koniec jej kariery. Co więcej, zapewne wielu Teixcalaanlitzlim zginie, zabitych przez najeźdźców, biorąc pod uwagę, co się stało na Peloa-2. W dodatku *yaotlek* wyraźnie miała kłopoty polityczne z jedną ze swych kapitanów floty. A było ich tylko pięcioro, zdecydowanie zbyt mało, by powstrzymać grupę szturmową obcych przed przedostaniem się na drugą stronę bramy skokowej i wtargnięciem na właściwe terytorium Teixcalaanu. Jeśli Trzy Trawa-Morska nie nauczy się rozmawiać z obcymi, zginie bardzo wielu ludzi. To było ważniejsze niż jej kariera, choć nie tak bezpośrednio niepokojące.

Mahit czekała na nią. Czekala na coś. Przepaść milczenia wydawała się nieprzebyta.

Ale Trzy Trawa-Morska ją przekroczyła.

— Zaczynij od trzeciego dźwięku — zaproponowała. — Tego, który produkują, gdy za bardzo się do nich zbliżymy. Połącz go z... hmm... z ostatnim, tym, który wydali z siebie, gdy ścigali „Ostrze Noża”.

— *Nadchodzi-zagrozenie* plus *hura-wygrywamy* — odparła Lselka całkowicie pozbawionym wyrazu głosem. — Mogłoby być gorzej. Mam nadzieję, że nie pomyliłyśmy się co do znaczenia tego drugiego, bo w przeciwnym razie możemy powiedzieć *nadchodzi-zagrozenie* plus *będziemy-was-ścigać* albo coś w tym rodzaju.

— Masz lepszy pomysł? — zapytała Trzy Trawa-Morska. Ucieszyła się ponad wszelkie swe oczekiwania, gdy Mahit skinęła głową i wreszcie zabrały się do pracy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Polubiłbyś go. Byłbyś z niego dumny. Za każdym razem, gdy widzę jego twarz, myślę o twojej twarzy i o twoim głosie. O tym, kogo mogłam mieć za przewodnika. A za każdym razem, gdy myślę o twoim głosie, myślę o monstualnym stworzeniu, które mogło szeptać do mnie tym głosem. Gdybym miała to stworzenie, miałabym twojego ducha i słuchałabym go. Dlatego, zważywszy wszystko razem, sądzę, że postąpiłam słusznie i moje pragnienia należą tylko do mnie. Ale tak to wygląda, gdy jest się Świetlistą Wysokością, czyż nie?

z prywatnych zapisków Jej Promienności Dziewiętnaście Ciesak, nieopatrzone datą, trzymane w zamknięciu i zaszyfrowane

* * *

To bardzo zły pomysł. Każde zwierzę po powrocie z długiego polowania jest spragnione ochłapów. Ale ty nie pragniesz słuchać pięknej teixcalaanlijskiej retoryki, nieprawdaż? Wolisz coś bezpośredniego? Co powiesz na to? Każdy oficer Floty, którego spotkałem, z chęcią zabawiłby się w podbój Stacji, gdyby tylko był wystarczająco znudzony i miałby szansę zbliżyć się do niej legalnie. Przestań pierdolić głupoty i daj mi jeszcze rok. Dostaniesz swoją upragnioną izolację.

z listu napisanego przez ambasadora Yskandra Aghavna do Darja Taratsa, radcy górników, odebranego na Stacji Lsel 101.2.11-6D (według kalendarza teixcalaanlijskiego)

Osiem Antidotum wszedł do Ministerstwa Wojny drzwiami frontowymi, jakby

miał prawo tu przebywać. Jakby zdobył je dla siebie. Podejrzywał, że tak właśnie było. Trzy Azymut powiedziała mu, żeby tu przyszedł, a Jej Promienność... no cóż, w samym środku nocy dała mu dziwny grot, a wraz z nim rozkaz: „Dowiedz się, czy Trzy Azymut chce wygrać tę wojnę”. Wciąż wracał do tej myśli, jakby była pustym miejscem po mlecznym zębie, który wypadł, a stały jeszcze go nie zastąpił. Cokolwiek mogło to znaczyć, dwie osoby udzieliły mu pozwolenia na wejście przez główne drzwi, zamiast tunelami. (Grot schował w szufladzie, w której trzymał koszule, ciężki, błyszczący sekret ukryty wśród szarych, złotych i czerwonych tkanin).

Jedenaście Wawrzyn czekał na niego tuż za drzwiami. Osiem Antidotum przypomniał sobie nagle, że nawet nie ruszył problemu, który tamten dał mu do rozwiązania. Zadał sobie pytanie, czy mógłby jeszcze zawrócić i udać, że trafił tu przypadkowo. Było już jednak za późno, a poza tym, uciekając, zachowałby się jak dziecko. To był wystarczający powód, żeby tego nie robić.

— Cześć, podsekretarzu — rzekł i pokłonił się, składając przed sobą koniuszki palców, niezbyt głęboko, jak równemu sobie. To było ekscytujące, nieodpowiednie i cudowne. Uznał, że trzeci podsekretarz w Ministerstwie Wojny, jego nauczyciel, starszy od niego o co najmniej pięćdziesiąt lat, był kimś, komu nie musiał się kłaniać zbyt nisko.

— Witaj, Leku — odparł ciepłym głosem Jedenaście Wawrzyn, wyraźnie z niego zadowolony. Gdy chłopiec się wyprostował, na jego twarzy pojawił się rumieniec. Nie znosił być zbyt łatwy do przejrzenia. Nie powinien do tego dopuścić.

— Myślę, że będziesz dziś zadowolony — ciągnął podsekretarz. — Otrzymaliśmy informacje z Dwudziestego Czwartego Legionu. Minister wojny myśli, że powinieneś wysłuchać ich analizy, mój młody przyjacielu.

— To byłoby świetnie — odpowiedział Osiem Antidotum, starając się przypomnieć sobie, kto dowodzi Dwudziestym Czwartym Legionem. Nie *yaotlek* Dziewięć Hibiskus, na Kauraanie był Dziesiąty Legion. Ten, który był niebezpiecznie lojalny. To była inna kobieta. Rzecznikowa część jej

imienia miała astronomiczny aspekt. Dawno temu wykonał jedno ćwiczenie uwzględniające Dwudziesty Czwarty Legion, jako część zagadki. Jedenaście Wawrzyn dopiero zaczynał go wtedy uczyć. Chłopiec wiedział jednak, że Dwudziesty Czwarty Legion jest jednym z szóstki *yaotlek*, grupy legionów, którą dowodziła.

— Nie z Dziesiątego? — zapytał, podążając za Jedenaście Wawrzynem przez labirynt korytarzy Ministerstwa Wojny. — To ciekawe.

— Celne spostrzeżenie, Leku — pochwalił go Jedenaście Wawrzyn. — Nasze informacje pochodzą prosto od kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy. Szybki kurier dostarczył je przez bramy skokowe. Kapitan floty gorąco pragnęła, by te wiadomości jak najszybciej dotarły do Ministerstwa. Bardzo mnie ciekawi, co chciała nam przekazać.

Szesnaście Wschód-Księżycy. Osiem Antidotum musi tym razem zapamiętać to imię. Dobrze chociaż, że wiedział, iż ma coś wspólnego z astronomią. Teraz jednak znacznie łatwiej mu będzie zapisać je w pamięci. Nie była już tylko zbiorem holografów na stole strategicznym, lecz kapitan floty, która pominęła swą *yaotlek* i przekazała informacje prosto do Ministerstwa Wojny.

Osiem Antidotum po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy Dziewięć Hibiskus wie, że w Ministerstwie Wojny są ludzie, którzy wysłali ją na wojnę, licząc na to, że na niej zginie. Doszedł do wniosku, że musi wiedzieć. Nie była głupia. Głupi dowódca nie mógłby zdobyć lojalności żołnierzy. Chłopiec był tego pewien. Może jednak była osobą, która uważała, że lojalność zapewnia jej bezpieczeństwo, że skoro żołnierze ją kochają, a ona kocha Imperium (z pewnością je kochała, inaczej Dziewiętnaście Ciesak nie zrobiłaby jej *yaotlek*), Ministerstwo Wojny również będzie ją kochało i ochraniało.

Taki właśnie błąd mógł popełnić ktoś, kto polegał na lojalności. Osiem Antidotum musi to sobie zapamiętać, by nie wpaść w tę samą pułapkę, kiedy zostanie cesarzem. Lojalność nie przechodziła łatwo w górę i w dół łańcucha dowodzenia. Można ją było zatrzymać albo skierować w inne miejsce,

zwłaszcza jeśli ktoś potężny kierował przekazem informacji, jak w tej chwili kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżyca.

Tym razem Jedenaście Wawrzyn nie zaprowadził go do jednego z pokojów strategicznych. Pojechali windą do samego centrum Dłoni i przeszli przez wiele posterunków, obsadzonych przez czujnych żołnierzy Floty, docierając wreszcie w miejsce, które musiało być gabinetem samej minister Trzy Azymut. Na ścianach wisiały tu piękne mapy gwiazdne, artystyczne przedstawienia przestrzeni teixcalaanlijskiej. Najpiękniejsza była jednak mozaika ulokowana za biurkiem Trzy Azymut. Składała się z ciemnych odłamków kryształów oraz złotych punkcików gwiazd zrobionych z kawałków szkła mniejszych niż paznokcie Osiem Antidotum. To było sławne dzieło, zwane *Światem, a czasami po prostu Teixcalaanem*. Mozaika, dzieło Osiemnaście Koral, pochodziła sprzed dwustu lat i przedstawiała wszystkie obszary dotknięte wówczas przez Imperium. Chłopiec widział ją na holo i w infofiszce, ale nigdy dotąd na własne oczy.

Znajdowała się za biurkiem ministra wojny. Pewnie, że nigdy jej nie widział.

Wszędzie tu było pełno map. Na wielkim stole ustawionym przed biurkiem — zarówno holograficzne, jak i papierowe — sterty na samym biurku, a także przypięte na ścianach, sąsiadujące ze sławnymi artystycznymi wersjami albo wręcz zachodzące na nie.

Trzy Azymut siedziała pośród tej całej kartografii niczym ptak w dobrze wyścielonym gnieździe. Na szczątki jej ucha padał srebrnobiały blask łącza chmurowego, a jej włosy wyglądały jak gładka, ciemna czapka. Osiem Antidotum przełknął ślinę, czując nagle ucisk w gardle. Szybko odwrócił od niej wzrok, spoglądając na innych pracowników Ministerstwa siedzących po obu jej bokach. Był tam podsekretarz Siedem Aster z Drugiej Dłoni, specjalista od łańcuchów logistycznych, oraz członkowie jego sztabu. Łatwo ich było rozpoznać po tym, że palce dłoni na ich naramiennikach wskazywały w lewą stronę. Obok niego siedziała Dwadzieścia-Dwa Nić z Piątej Dłoni,

odpowiedzialna za uzbrojenie. Dwa lata temu odwiedziła przodka Osiem Antidotum cesarza, by zademonstrować mu nowy typ silnika statków kosmicznych. Chłopiec zasnął podczas jej wystąpienia. Ale wtedy był jeszcze małym dzieckiem. Teraz już nie zrobiłby czegoś takiego.

Ludzie ze sztabu Jedenaście Wawrzynu czekali na niego po drugiej stronie stołu; dwie kobiety, których Osiem Antidotum nie znał, obie noszące na ramionach, obok epoletów, patki ze skierowanymi w dół palcami Trzeciej Dłoni. Obok nich dwa puste krzesła. Jedno przeznaczone dla Jedenaście Wawrzynu, a drugie dla niego. Usiadł na nim. Jakby był tu na swoim miejscu. Jakby nie miał jedenastu lat.

Na drugim końcu stołu, naprzeciwko Trzy Azymut, pozostawiono puste miejsce, na którym zasiadałaby cesarz, gdyby ją zaproszono. Zapewne zrobiono by to, gdyby to, o czym mieli tu dzisiaj rozmawiać, było wystarczająco ważne. (Zapewne. Chyba że Ministerstwo Wojny ukrywało coś przed Dziewiętnaście Ciesak. Ale tego właśnie miał dziś wypatrywać, prawda? Musi być ostrożny i słuchać uważnie. O to właśnie prosiła go w środku nocy).

— Jedenaście Wawrzynie — rzekła minister, kiwając głową. Następnie spojrzała prosto na chłopca. — I ty, Wasza Ekscelencjo Osiem Antidotum. Cieszę się, że tu przyszliście. Odtworzę teraz przekaz, jaki odebraliśmy od kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżyca. Kilka godzin temu szybki kurier dostarczył go pocztą priorytetową.

Chłopiec bardzo się ucieszył, że z chwilą rozpoczęcia przekazu przygaszono światła. Dzięki temu nikt nie zauważył rumieńca na jego twarzy. Gorąco wypełniło mu policzki, gdy tylko Trzy Azymut zwróciła się do niego oficjalnym tytułem. To było żenujące i śmieszne. Wielu ludzi nazywało go „Ekscelencją” i wcale się wtedy nie rumienił.

Na holoprzekazie kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżyca z Dwudziestego Czwartego Legionu wyglądała jak posąg ustawiony na placu, widoczna tylko od talii w górę, w pełnym, obejmującym trzysta sześćdziesiąt

stopni obrazie. Unosiła się nad stołem. Ukłoniła się, składając przed sobą palce dłoni. Od chwili, gdy to zrobiła, minęło już jednak sześć godzin. Czy raczej sześć i pół. Potrzeba było przynajmniej tyle czasu, by przekaz mógł dotrzeć do Miasta przez wszystkie bramy skokowe dzielące je od miejsca, gdzie trwały działania wojenne, nawet jeśli był najpilniejszy i na odcinkach dzielących od siebie bramy przekazywały go najpotężniejsze wzmacniacze. W chwili nagrywania przekazu przebywała w jakimś zamkniętym pomieszczeniu o metalowych ścianach. Na pokładzie jakiegoś okrętu. Była sama.

— Wiadomość dla minister Trzy Azymut — oznajmiła. — Priorytetowa. Kod bezpieczeństwa Hiacynt.

Mówiła cicho, wystarczająco głośno, by urządzenie zarejestrowało wszystkie sylaby, ale nie na tyle, by ktoś mógł ją podsłuchać. Osiem Antidotum nigdy dotąd nie słyszał o kodzie bezpieczeństwa Hiacynt. Zerknął na twarze siedzących przy stole dorosłych. Nie okazywali zaskoczenia ani konsternacji. Tylko skupienie.

— Flota zdobyła ciało jednego z naszych wrogów i przeprowadziła jego sekcję. Oficjalny raport sporządzony przez medycznych ekspertów *yaotlek* Dziewięć Hibiskus z pewnością dotrze do was we właściwym czasie. Nie wątpię też, że będzie dokładny, ale krótki. Osobiście obserwowałam końcową część sekcji. Obcy są ssakami, zapewne przynajmniej częściowo żywiącymi się padliną. Sądząc po ich uzębieniu mogą być wszystko- lub mięsożerni. Co jednak ważniejsze, *yaotlek* zaprosiła na sekcję specjalną emisariuszkę z Ministerstwa Informacji. Emisariuszka sprowadziła ze sobą cudzoziemkę ze Stacji Lsel. Dołączyłam jej wizualne przedstawienie. Jestem przekonana, że Stacja Lsel może próbować wywrzeć dyplomatyczny wpływ na decyzje *yaotlek* Dziewięć Hibiskus za pośrednictwem emisariuszki z Ministerstwa Informacji, której Dziewięć Hibiskus rozkazała rozpocząć procedury pierwszego kontaktu. Dłonie powinny się dowiedzieć, że niektórzy ludzie pracujący dla Informacji mogą być zwerbowani przez zewnętrzne siły i że

Stacyjni mogą zagrażać suwerenności Teixcalaanu. Wysyłając tę wiadomość, wykonałam swój obowiązek zaprzysiężonego oficera Floty. Oby Teixcalaan i cesarz przetrwali tysiąc tysięcy lat. Koniec kodu bezpieczeństwa Hiacynt.

Przekaz się skończył i Szesnaście Wschód-Księżycyca zniknęła, jakby nigdy nie istniała. Znowu zapalono światła. Minister Trzy Azymut siedziała na krześle, splatając palce przed klatką piersiową. Nie wyglądała jak ktoś, komu przed chwilą oznajmiono, że cudzoziemska dyplomatka i współpracująca z nią zdradziecka agentka Informacji próbują sabotować wysiłki Floty, która toczy wojnę jak dotąd wyglądającą na niemożliwą do wygrania. Osiem Antidotum bardzo pragnęłyby się kiedyś nauczyć, jak okazywać taką pewność siebie. Choć była drobna, niewiele wyższa od niego, sprawiała wrażenie, że w pełni panuje nad wszystkimi Sześcioma Dłońmi, składającymi się razem na cały militarny umysł Imperium. Zamrugła za łączem chmurowym i nad stołem, gdzie przed chwilą unosiło się holo Szesnaście Wschód-Księżycyca, pojawił się dwuwymiarowy obraz dość wysokiej kobiety w żakiecie i spodniach o cudzoziemskim kroju. Miała wysoko ustawione kości policzkowe i kręcone włosy. Osiem Antidotum pomyślał, że to obraz zapisany przez kamerę bezpieczeństwa. Znał jednak tę twarz. Wkrótce po śmierci cesarza Sześć Kierunku pokazywano ją na wszystkich kanałach medialnych. Widział ją też z bliska, w jednym z ogrodów w Pałacu-Ziemia, ogrodzie *huitzahuilim*, gdzie chodził, by patrzeć, jak kolibry spijają nektar i latają tylko tak wysoko, jak im pozwalała niewidzialna sieć. Wtedy z nim rozmawiała.

— Co sądzimy na temat byłej ambasadorki Stacji Lsel, Mahit Dzmare? — zapytała Trzy Azymut. — Być może sobie przypominacie, że to właśnie ona wygłosiła wzruszający apel, który nadano tuż przed śmiercią cesarza Sześć Kierunku. To ona wskazała nam drogę ku obecnej wojnie. I to właśnie ta znana nam osobistość pojawiła się teraz na pokładzie „Ciężarka u Koła”.

W ogrodzie, otoczona przez brzęk czerwono-złoty skrzydełek najmniejszych ptaszków w Teixcalaanie, Mahit Dzmare złożyła mu dziwną propozycję. Powiedziała: „Jesteś bardzo potężną młodą osobą, a jeśli nadal

będziesz tego pragnął, Stacja Lsel poczuje się zaszczycona, mogąc cię gościć”. Wiedział wówczas, i teraz również, że nie powinien się na to godzić. Zgubiła drogę, była pijana i smutna, ale i tak próbowała znaleźć coś, co pozwoliłoby jej wyrzucić na niego wpływ. Pokazał jej, jak nauczyć *huitzahuitlim* pić nektar z jej dłoni, po czym ją odesłał.

Zadał sobie pytanie, czego się dowiedziała tamtej nocy. I co skłoniło ją najpierw do opuszczenia Teixcalaanu, a następnie do udania się na pole walki.

Osiem Antidotum usiadł prosto i wyteżył słuch. Tę rozmowę będzie musiał powtórzyć Jej Promienności Dziewiętnaście Ciesak. *Nawet mali szpiedzy mają swoje tajemnice* — pomyślał i zdziwił się, że to sformułowanie sprawiło mu tak wiele zadowolenia.

Okazało się, że ludzie z Ministerstwa Wojny nie lubią Mahit Dzmare. A przynajmniej niektórzy z nich. Nie dało się ukryć, że jest barbarzyńką. Drugi podsekretarz Siedem Aster (który był nowy, podobnie jak minister Trzy Azymut) najwyraźniej nie lubił jej właśnie z tego powodu, a także dlatego, że znalazła się na polu walki bez niczyjego nadzoru, a w dodatku mogła mieć uprawnienia dyplomatyczne. Nie była w stanie zaradzić temu, że była barbarzyńką, ani temu, że imperialna emisariuszka przywiozła ją ze sobą. Chyba że w jakiś sposób namówiła ją do tego?

Poprzedni ambasador ze Stacji Lsel, Yskandr Aghavn, sprawiał wrażenie człowieka, który skłaniał innych do robienia rzeczy, jakich nigdy się po sobie nie spodziewali. Osiem Antidotum nigdy go nie poznał, pamiętał jednak jego twarz i wiedział, że poprzedni cesarz lubił jego towarzystwo. Aghavn albo nie przepadał za dziećmi, albo nie miał czasu na to, by z nimi rozmawiać. Cały czas przebywał w pałacu i przyjaźnił się ze wszystkimi. Aż wreszcie umarł.

Może wszyscy ambasadorzy Lsel tacy byli.

Osiem Antidotum nadal zastanawiał się nad tym, czy umiejętność skłaniania ludzi do robienia rzeczy, których nie zwykli robić, jest czymś przydatnym na polu bitwy, czy raczej nie, gdy nagle usłyszał głos Jedenaście Wawrzynu:

— Ministrze, Dzmare niepokoi mnie głównie z powodów niemających nic wspólnego z jej barbarzyńskim pochodzeniem. Chodzi o jej wpływ na otaczającą ją sytuację. Jej destabilizujące działanie.

— Mów dalej — rzekła minister Trzy Azymut. — Jak ciągle mi przypominasz, podsekretarzu, byłeś tutaj w czasie, gdy Dzmare zamieszła się w niefortunne wydarzenia towarzyszące wstąpieniu Dziewiętnaście Ciesak na tron, podczas gdy ja nie byłam tu obecna. Czy coś w poczynaniach ambasadorki wydało ci się szczególnie podejrzane?

— Byłaś bardzo zajęta na Nakhar i jestem pewien, że nie miałaś czasu poświęcać uwagi szczegółom — odparł Jedenaście Wawrzyn. Osiem Antidotum pomyślał, że te niewinne słowa z pewnością nie zasługiwały na pełne niezadowolenia spojrzenie Trzy Azymut. Rzeczywiście, była na Nakhar, a wojskowi gubernatorzy z samej natury byli ciągle zajęci, prawie w takim samym stopniu, jak cesarze.

— Dzmare, podobnie jak siły, z którymi się sprzymierzyła albo które uważają ją za użyteczną, ignoruje wszystkie protokoły. Ignoruje całą historię, podobnie jak Aghavn przed nią beztrąsko robi to, co uzna za konieczne, a jeśli instytucje Imperium tracą znaczenie, a nasze zasady giną lub popadają w zapomnienie, cóż to dla niej znaczy?

Twarz Trzy Azymut całkowicie znieruchomiała.

— Mój drogi podsekretarzu — zaczęła. — Zakładam, że masz na myśli przedwczesne przeniesienie w stan spoczynku mojej poprzedniczki, Dziewięć Napęd.

Osiem Antidotum nagle sobie uświadomił, że Jedenaście Wawrzyn jest znacznie starszy niż Trzy Azymut. Zadał sobie pytanie, pod iloma ministrami wojny służył i czy ich liczba była wystarczająco duża, by nie musiał się przejmować obecną minister... i czy to sugerowało, że nie jest wobec niej lojalny? Co tu właściwie powiedziano? Miał wrażenie, że jest świadkiem rozmowy, która zaczęła się na długo przed tym spotkaniem i toczono ją już od bardzo dawna.

Jedenaście Wawrzyn westchnął z rezygnacją.

— Ministrze, nie chodzi mi o Dziewięć Napęd. Mam oczywiście nadzieję, że na emeryturze żyje się jej przyjemnie, ale nie jest już ministrem, prawda? Chodzi o to, czy cesarz ufa nam podczas tej wojny, skoro Dziewięć Napęd odeszła ze stanowiska, a *yaotleka* Jeden Błyskawicę odprawiono w niesławie. I do jakiego stopnia ufa indywidualności takim jak Dzmare albo emisariuszom Informacji i wszystkim poza ludźmi z jej Floty, w sprawach, które powinny obchodzić wyłącznie Flotę. To wszystko, ministrze.

— To nigdy nie jest wszystko — zaprzeczyła Trzy Azymut. Osiem Antidotum spróbował przemyśleć to, co przed chwilą powiedział Jedenaście Wawrzyn. Czy Dziewięćnaście Ciesak rzeczywiście nie ufała Ministerstwu Wojny? W chwili, gdy Ministerstwo broniło całego Teixcalaanu przed niewiarygodnie niebezpiecznymi obcymi? Starał się, by jego twarz nic nie wyrażała, jak u dorosłego, żeby była spokojna, jak u kogoś, kto nie próbuje zrozumieć wyjątkowo skomplikowanej sytuacji.

Cesarz przysłała go tu, żeby szpiegował Ministerstwo Wojny, zgadza się? Może to znaczyło, że Jedenaście Wawrzyn ma rację? Nie miał pojęcia, co na ten temat sądzić, wiedział jednak, że się boi.



Wiadomość, którą w końcu skleciły, trwała jedenaście sekund i składała się z czterech dźwięków wyciętych z przechwyconej transmisji, powtórzonych dwa razy. O ile Mahit potrafiła to zrozumieć, zakładając, że w ogóle była w stanie porozumiewać się za pomocą dźwięków przyprawiających ją o wymioty, sygnał znaczył w przybliżeniu: *nadchodzi-zagrozenie-kontakt-zainicjowany-hura-wygrywamy*. Następnie, wykorzystując niedawno zdobytą przez nie nieprzyjemną wiedzę, że moc produkowanych przez obcych

dźwięków się zwiększa, gdy nakładają się one na siebie, zagrała *kontakt-zainicjowany* z dwóch przeciwstawnych kierunków jednocześnie i nałożyła na to *hura-wygrywamy*. Wreszcie powtórzyła to wszystko od początku. Nie była pewna, czy to, co powiedziały z Trzy Trawą-Morską, rzeczywiście znaczy *przybądźcie porozmawiać z nami osobiście, uda się świetnie*, ale nie miała też pewności, że tak nie jest. To było najlepsze, na co było je stać przy tak ograniczonych danych. Być może uzyskają w odpowiedzi więcej hałasów, które będą mogły przeanalizować, nawet jeśli żywy negocjator się nie zjawi.

Gdy tylko skończyły pracę, kruchy pokój między nimi rozprysnął się jak szklanka upuszczona na podłogę. Trzy Trawa-Morska była naburmuszona, nie odzywała się ani słowem i nic nie rozumiała, a Mahit czuła się bardzo zmęczona. Nie chciała tej kłótni...

<Nieprawda> sprzeciwił się Yskandr wewnątrz jej umysłu. Jego głos prawie w ogóle nie różnił się od jej głosu. To było tak, jakby jej myślami kierowała jakaś obca siła, przejmująca kontrolę w nieoczekiwanym momencie. <Czekałaś na okazję do niej już od chwili tego konkursu recytacji na bankiecie u Sześć Kierunku, kiedy zobaczyłaś, z jaką łatwością przychodzi jej bycie Teixcalaanli. Konkursy poezji, wszyscy jej eleganccy znajomi oraz to, że lubi obcych. Chciałaś się z nią pokłócić. Po prostu miałaś nadzieję, że nie będziesz musiała>.

Nie znosiła go, gdy sprawiał wrażenie, że wszystko wie, jakby dwadzieścia lat doświadczenia więcej plus fakt, że sypiał zarówno z poprzednią, jak i z obecną wersją cesarza Teixcalaanu, czynił go ekspertem od jej uczuć. Ale z drugiej strony siedział w jej układzie wewnątrzwydzielniczym i wiedział, co czuła, ponieważ sam czuł to samo. W dodatku z każdą chwilą stawali się coraz bliżsi sobie. Bardziej zintegrowani.

Czuła ból w rękach, ten sam iskrzący się ból płynący z nerwów łokciowych. Głowa również ją bolała, jakby już od dłuższego czasu starała się powstrzymać płacz.

Chcę, żeby widziała, że przez nią cierpię — powiedziała sobie wewnątrz

własnego umysłu, podczas gdy Trzy Trawa-Morska zamknęła wiadomość w nowym sztyfcie infofiszkowym i zapieczętowała go woskiem ze swojego pojemniczka, płomiennopomarańczowym, takiego samego koloru, jak jej irytująco perfekcyjny mundur. *Chcę, żeby widziała, kiedy sprawia mi ból. Żeby nie potrzebowała jej tego mówić.*

<Jest Teixcalaanlitzlim, Mahit. Oni nie zauważają takich rzeczy. Trzeba im to powtarzać raz po raz, a nawet wtedy...>

Nagły powrót wspomnienia, dziwny lustrzany pokój umysłu, który dzielili ze sobą, odbijający się w jego ścianach odprysk czasu: zarys łopatek Dziewiętnaście Ciesak, widoczny w bladym blasku świtu w Pałacu-Wschód. Przerazająco słodka czułość, jaka wypełniała Yskandra owego poranka, na krótko przed tym, nim — w pełni świadomie i z aprobatą — pozwoliła go zamordować. Pozwoliła, by się udusił, czujnie obserwowany przez ministra nauki, Dziesięć Perłę. Mimo to wspomnienie przetrwało śmierć i niefachowe wszczepienie maszyny imago. Mahit spojrzała na Trzy Trawę-Morską i poczuła echo tej czułości, echo tej zdrady.

Nie zabije mnie, żeby uratować swego cesarza przed zepsuciem — pomyślała z satysfakcją.

<Na twoim miejscu bym jej nie lekceważył> wyszeptał Yskandr.

Jesteś na moim miejscu.

<Ona lubi Mahit Dzmare, nie Yskandra Aghavna. O ile w ogóle lubi jakąkolwiek część nas po tym, co jej powiedzieliśmy>.

— Zaprezentuję to *yaotlek* — oznajmiła Trzy Trawa-Morska lekkim, lecz chłodnym tonem i wsunęła sztyft do wewnętrznej kieszeni mundurowego żakietu. — Nie zapomnę wspomnieć, że to więcej niż w połowie twoja zasługa. Dziękuję.

Jakby były tylko chwilowymi koleżankami, pracującymi nad trudnym zadaniem. Mahit czuła się tak, jakby zniszczyła cały świat. Nienawidziła siebie za tę reakcję. Trzy Trawa-Morska, *asekreta*, patrycjuszka pierwszej klasy, trzeci podsekretarz w Ministerstwie Informacji, specjalna emisariuszka

do Floty... nie była całym światem. Na Lsel Mahit świetnie radziła sobie bez niej. Tęskniła za nią tylko w takim stopniu, jak za Teixcalaanem, to znaczy straszliwie i z bolesną frustracją.

<Świat. Imperium> wyszeptał Yskandr. Po teixcalaanlijsku to było to samo słowo.

Właściwy porządek rzeczy — wyszeptała w odpowiedzi Mahit. To była tylko drobna różnica w wymowie. To właśnie zostało uszkodzone. Jej wizja tego, jak powinien wyglądać świat.

— Zakładam, że jeśli się uda i odpowiedzą nam, zawiadomisz mnie o tym — odezwała się niespodziewanie.

Trzy Trawa-Morska obrzuciła ją przygnębionym spojrzeniem i znowu odwróciła wzrok.

— Oczywiście — potwierdziła zbyt szybko. — I kiedy odpowiedzą, chcę, żebyś to usłyszała.

To zabrzmiało prawie jak: *chcę, żebyś mi pomogła*. Lselka pomyślała, że byłoby lepiej, gdyby emisariuszka to właśnie powiedziała. Ale właściwie nie zostawiła jej na to miejsca. Rzekła jej: *kiedy zrozumiesz, dlaczego musiałam z tobą polecieć, będziemy mogły znowu porozmawiać*. Nie chciała przez to powiedzieć: *kiedy zorientujesz się w sytuacji politycznej tylko...*

Kiedy zrozumiesz, że gdy Imperium rozkazuje, nie mogę odmówić. Kiedy zrozumiesz, że nie mogłam wyrazić świadomej zgody, nawet gdybym chciała. Kiedy zrozumiesz, że nie istnieje nic takiego jak wolność.

Wolność powiedzenia „tak” albo powiedzenia „nie”.

— W porządku — powiedziała tylko na głos. — No to na razie.

Emisariuszka nie odpowiedziała. Wyszła z pracowni, jakby chciała ją opuścić jak najszybciej, porzucając Mahit, by ta sama spróbowała posprzątać wymioty i trafić do kabin, które miały ze sobą dzielić. Od tego niepewnego azylu dzieliły ją te same korytarze, które musiały pokonać, żeby tu dotrzeć. A teraz nie miała umundurowanej teixcalaanlijskiej łączniczki, która otwierałaby przed nią drzwi i radziła sobie z wartownikami. Sama siebie

okaleczyła, a w dodatku przebywała obecnie na flagowym okręcie Floty, dalej od czegokolwiek, co mogłaby zwać domem, niż kiedykolwiek w życiu. I w jakim celu? Po to, by Trzy Trawa-Morska zrozumiała coś, czego — przynajmniej według tej części jej osobowości, która była Yskandrem, a granicę między nimi coraz trudniej było określić — zapewne w ogóle nie była w stanie pojąć.

Czemu to wszystko służyło?

Mahit myślała dotąd, że to wie, ale teraz nie była już tego taka pewna.

Trzy Trawa-Morska przekonała się, że Dwadzieścia Cykada, adiutant i pierwszy *ikantlos*, jest wszechobecny. Nim zdążyła zapuścić się głębiej w niezliczone korytarze „Ciężarka u Koła”, oddalając się od pracowni i kierując się w stronę mostka na podstawie wskazań planu z łącza chmurowego w nadziei, że spotka *yaotlek* albo kogoś, kto będzie wiedział, gdzie ją znaleźć, Dwadzieścia Cykada pojawił się nagle w miejscu zetknięcia trzech korytarzy, jakby zmaterializował go tu sam okręt.

Nigdy nie było pokładowej SI, która przybierałaby ludzką postać — powiedziała sobie stanowczo emisariuszka. To tylko motyw z holodramatów. Poza tym widziałam, jak dotykał fizycznych przedmiotów. Z pewnością jest rzeczywistą osobą. Mimo to czuła się wystarczająco... och, wiele różnych rzeczy, ale przede wszystkim wystarczająco umęczona, nieszczęśliwa i podminowana, by niespodziewane spotkanie z Dwadzieścia Cykadą nią wstrząsnęło. Nagle sobie przypomniała, że kapitan Szesnaście Wschód-Księżyca nazwała go „Rojem”, co było fascynująco nieprzyjemnym przydomkiem na określenie kogoś, kto nosił tak fascynująco nieodpowiednie imię. Owad jako element rzeczownikowy! Ale z drugiej strony „Rój”...

— Jesteś we wszystkich miejscach jednocześnie — zauważyła.

Światło w korytarzach „Ciężarka u Koła” padało ze wszystkich kierunków. Wygolona głowa adiutanta lśniła w nim złotym, oleistym blaskiem, jak patyna na starych monetach. Zastanawiał się przez chwilę nad jej słowami, przechylając leciutko głowę, jakby obliczał wektor ataku. Będzie musiała go sprawdzić, gdy już odzyska dostęp do sieci Ministerstwa Informacji. Chciała się dowiedzieć wszystkiego o przebiegu jego służby. Czy pilotował Odpryski? Uczestniczył w walce na powierzchni planety? Czy może zawsze był oficerem operacyjnym, zajmującym się logistyką, kierował ruchami okrętów i dbał o podtrzymanie linii zaopatrzenia przebiegających przez wiele bram skokowych, kierując się osobliwymi duchowymi wskazówkami swej mającej obsesję na punkcie równowagi religii?

— Jestem tam, gdzie powinienem być — odparł.

— Przygotowałyśmy wiadomość do nadania przez *yaotlek* — oznajmiła Trzy Trawa-Morska, starając się nie skrzywić w chwili, gdy użyła liczby mnogiej. W tej chwili nie powinna myśleć o Mahit. Szło jej tak dobrze! Nie myśl o niej. Nie robi tego w tej chwili. Musi skupić uwagę na tym, co dzieje się wokół niej. — Czy jest na mostku?

Dwadzieścia Cykada skinął dłonią. Ten gest mógł znaczyć: *z pewnością albo tak sądzę*. Odślonił przy tym krawędź tatuażu homeostatu, jasnozielone fraktalne kształty wystające spod mankietu. Irytująco trudno było go przejrzeć. Był jednocześnie zbyt obcy i za bardzo przypominał stereotypowego teixcalaanlijskiego żołnierza.

— Chodź ze mną — rzekł, zamiast jej odpowiedzieć, i Trzy Trawa-Morska postanowiła, że go posłucha.

Nie ruszyli w kierunku mostka. Emisariuszka wyłączyła mrugnięciem nawigacyjną funkcję łącza chmurowego. Ciągłe wyświetlała jej w kącie oka maleńkie ostrzeżenia, że powinna była skręcić w lewo, a teraz urządzenie musi na nowo wyznaczyć jej trasę. Nie potrzebowała takiego irytującego wścibstwa. Poleciała łączu śledzić jej trasę i stworzyć nowy plan. Na Stacji

Lsel tego nie robiła. O czym świadczył fakt, że była skłonna potajemnie tworzyć mapy jednego z imperialnych okrętów flagowych, ale nie obcego, suwerennego państwa?

O tym, że zbyt mocno zaufałaś Mahit Dzmare — pomyślała ze złością, jakby naciskała na bolący siniak.

Dwadzieścia Cykada zaprowadził ją dwa piętra niżej. Nie był zbyt rozmowny. Zadawał pytania, ale nie tak, jak śledczy czy *asekreta*. Nie potrafiła określić jego celów. Wymykały się jej.

— Widziałaś, co ci obcy robią ludziom? — zapytał. — Jestem przekonany, że Dziewięć Hibiskus przesłała wam holonagrania tego, co znaleźliśmy na Peloa-2.

Zrobiła to. Trzy Trawa-Morska obejrzała je pobieżnie i nic nie poczuła. *Och, spójrz, kolejna wojna*. Okrucieństwa, które dotknęły kogoś innego, gdzieś na granicach znanego wszechświata. Ale teraz znalazła się blisko tych granic.

— Lubią patroszyć — odpowiedziała. — To dziwny sposób popełniania masowych mordów. Niechlujny.

— Marnotrawny — poprawił ją.

— Dlatego, że usunięcie wnętrzości każdej ofierze wymaga zbyt wiele wysiłku? Widziałeś pazury tego martwego. Z pewnością nadają się do tego zadania.

— Zabite stworzenie żywiło się padliną — odpowiedział Dwadzieścia Cykada. — A przynajmniej żywili się nią jego przodkowie. Ta paszcza i oczy z przodu czaszki. A mimo to zostawiły te wszystkie wnętrzości, pozwalając im zgnieć. To marnotrawstwo.

Dotarli do drzwi zamkniętych hermetycznie z taką starannością, że zastanawiała się przez chwilę, czy po prostu nie wyrzucą jej bezceremonialnie przez służbę. Dwadzieścia Cykada podszedł bliżej i pozwolił, by drzwi odczytały jego łącze chmurowe. Przezroczyste szkiełko nad jego okiem wypełniło się maleńkimi, szarozłotymi znakami, przypominającymi burzę

zbierającą się nad Miastem. Drzwi się otworzyły. Za nimi był żar, ciepłe, wilgotne powietrze, wonie gleby, wzrostu i kwiatów. Pokład hydroponiczny. Gdy Trzy Trawa-Morska weszła za adiutantem do środka, ogarnęła ją niespodziewana radość. Jej skóra chłonęła wilgoć, spragniona nieprzetworzonego powietrza. Emisariuszka była zachwycona. Jedyne miejsce na pokładzie okrętu przypominające... Teixcalaan. Klejnot Świata. Serce ogrodu. Oddychała głęboko, zachwycona wilgocią wypełniającą jej płuca.

Podejrzewała, że Dwadzieścia Cykada czuje to samo co ona. Radosna ulga usunęła z jego twarzy zawsze widoczne tam napięcie. Kochał to miejsce. To oczywiste — jak mógłby go nie kochać? To rzecz jasna oznaczało, że wybrał je celowo, przyprowadził ją tutaj, by stało się ilustracją dla jego słów. Miejsce wystarczająco potężne, że warto było nadłożyć drogi, by je odwiedzić, zamiast zaprowadzić Trzy Trawę-Morską z wynikami jej pracy prosto do *yaotlek*, na której polecenie ją wykonała. To, co chciał jej przekazać, musiało być dla niego bardzo ważne.

Wysłucha go. Lepiej niech zastępca dowódcy okrętu flagowego Floty próbuje nią manipulować za pomocą wilgoci i zdumiewających zapachów ryżu, szczawiu oraz lotosów rosnących w zbiornikach hydroponicznych, niż gdyby miała myśleć o Mahit Dzmare.

— Ilu ludzi możecie wykarmić? — zapytała, idąc za Dwadzieścia Cykadą ku jednemu ze stawów na tarasowanych polach. To było tak, jakby stali na balkonie. Opierali się o metalowe poręcze pomostu, spoglądając z góry na zieleni.

— Górna granica to pięć tysięcy — odpowiedział Dwadzieścia Cykada. — Przy ścisłym racjonowaniu, przez trzy miesiące. Przy zwykłej liczebności załogi „Ciężarka u Koła” jesteśmy całkowicie samowystarczalni na poziomie wyższym niż minimalny.

— A kwiatów wystarczy dla wszystkich pokładów — dodała emisariuszka. — Tyle lotosów...

— Powiedziałem, że na poziomie wyższym niż minimalny.

Zatem piękno wchodziło w skład definicji samowystarczalności. Trzy Trawa-Morska myślała dotąd, że wyznawcy homeostatu nie powinni lubić niczego, co jest zanadto piękne albo nazbyt brzydkie, ale pokład hydroponiczny był cudowny. Podobnie jak lotosy. Wszystkich możliwych kolorów: niebieskie i jasnosrebrne, białe i różowe jak jutrzienka.

— Ilu ludzi straciliśmy? — zapytała po chwili celowego milczenia, gdy oboje napawali się wonnym powietrzem niczym nektarem. — Pomijając Peloa-2. Naszych ludzi.

— Nie wiesz tego?

Uniósł miejsce, w którym powinna znajdować się brew, zasłonięte przez łącze chmurowe, jakby chciał wskazać na jej strój agentki Informacji.

— Jesteśmy Ministerstwem Informacji, ale to jeszcze nie czyni nas wszechwiedzącymi, pierwszy *ikantlosie*. A nawet gdybyśmy tacy byli, co innego przeczytać o czymś w raportach, a co innego usłyszeć o tym z ust żołnierza uczestniczącego w walkach.

Dwadzieścia Cykada cmoknął z namysłem, dotykając językiem tylnej powierzchni zębów.

— Zgadzam się, że brak wszechobecności nieco zmniejsza wartość wszechwiedzy. Jeśli zaś chodzi o straty, to są za wysokie. Za wysokie dla Floty, która nie może zdecydować, co robić dalej, która nie znalazła jeszcze źródła, z którego napływają nieprzyjaciele, mimo że prowadzimy intensywny zwiad w całym sektorze.

Nie wiemy, gdzie wyrastają — pomyślała Trzy Trawa-Morska. *Nie mamy pojęcia, jak wyglądałoby serce ogrodu ich świata, pomijając tylko, że nie przypominałoby tego pokładu, który Dwadzieścia Cykada ceni tak wysoko.*

— Wolałbyś działać — stwierdziła.

— Moje preferencje nie mają większego znaczenia, emisariuszko. Po prostu nie lubię marnotrawstwa. I marnotrawców.

Uważasz, że ci obcy są odrażający. To właśnie znaczy dla ciebie słowo „marnotrawstwo”.

Trzy Trawa-Morska owinęła palce wokół poręczy, czując pod nimi śliski, wilgotny metal.

— O co byś ich zapytał? Gdyby odpowiedzieli na naszą wiadomość i przybyli z nami porozmawiać?

Tym razem odgłos, który z siebie wydobył, był bardziej jednoznaczny.

— Dlaczego uważasz, że będą chcieli rozmawiać? Ty i lselska ambasadorka możecie bardzo sprytnie dzielić i łączyć dźwięki, ale... o nie, jeden z nich znowu wlaź do ryżu.

— Jeden z czego? — zapytała emisariuszka, ale Dwadzieścia Cykada przeskoczył już przez barierkę i wpadł z pluskiem do sięgającej mu powyżej kolan wody, mocząc spodnie od munduru. Brodził przed siebie, wyraźnie poirytowany, aż wreszcie zatrzymał się, znieruchomiał niczym ibis gotowy przeszyć rybę dziobem, pochylił się i wydobył spośród łodyg ryżu jakieś małe, ciemne stworzenie.

Pisnęło. Trzymał je za kark, wyciągając rękę przed siebie, jakby było czymś bardzo nieprzyjemnym.

— Potrzyj go — rzucił i przepchnął trofeum między prętami barierki, by wręczyć je Trzy Trawie-Morskiej.

— To kot — zdziwiła się. Rzeczywiście. Czarny kotek, młody, sądząc po rozmiarach. Miał wielkie, żółte oczy i — jak wszystkie koty — ostre pazurki, które wbiły się teraz w rękaw żakietu emisariuszki oraz ukrytą pod nim skórę. Stworzenie było wilgotne i ociekało wodą, ale w przeciwieństwie do wszystkich innych kotów, o jakich słyszała, najwyraźniej w ogóle mu to nie przeszkadzało.

Adiutant wspiął się na barierkę i przeszedł na suchą stronę balkonu.

— To był kot — poprawił ją złowrogim tonem. — Kilka tysięcy lat temu, nim ewolucja zmieniła go w nadrzewnego szkodnika bytującego w lasach namorzynowych na Kauraanie. Te nadrzewne szkodniki przedostały się do przewodów wentylacyjnych mojego okrętu, ponieważ ktoś z ekipy, która lądowała na planecie, uznał, że są miłe, i przyniósł tu ciężarną samicę.

Stworzenie wdrapało się na ramię Trzy Trawy-Morskiej. Miało bardzo ostre pazurki i trzymało się jej ubrania znacznie lepiej niż koty, które znała. Ostatni raz spotkała się z kotem z bliska w poetyckim salonie jakiegoś patrycjusza w mieście. Zwierzę było białe, puchate i nie wykazywało zainteresowania siedzeniem na jej ramieniu. Ten kot miał bardzo długie kości palców, prawie jak ludzkie, i kciuk, który był niemal przeciwny.

— Są w przewodach wentylacyjnych — powtórzyła, oszołomiona i zachwycona.

— Są wszędzie, tak samo jak ja — odparł Dwadzieścia Cykada i westchnął, by powstrzymać śmiech. — Ale tutaj nie powinno ich być. Nie są elementem ekosystemu pokładu hydroponicznego, a ich wydaliny zawierają za dużo amoniaku. Możesz go sobie zabrać.

— Co mam z nim zrobić? — zapytała emisariuszka. — Muszę przedstawić raport *yaotlek* Dziewięć Hibiskus. Nie mogę pójść do niej z kotkiem.

— Nie zostanie z tobą długo. Zabierz go stąd i zostaw na jakimś innym pokładzie. Nie przejmuj się Dziewięć Hibiskus. Zaniosę jej twoją wiadomość.

— Naprawdę? — zapytała Trzy Trawa-Morska, wiedząc, że jej słowa znaczą raczej: *dlaczego miałabym ci zaufać, zwłaszcza że zademonstrowałeś mi, iż twoim zdaniem z tymi wrogami w ogóle nie warto rozmawiać?*

— Dziewięć Hibiskus o to prosiła — odparł adiutant, jakby ten fakt czynił cały wszechświat prostym. — Dlatego jej ją zaniosę. Zawsze wiem, gdzie ona jest.



Mógłby po opuszczeniu Ministerstwa Wojny udać się prosto do Dziewiętnaście Ciesak. Nie było powodu, by tego nie robić. To nie wzbudziłoby podejrzeń. Osiem Antidotum mieszkał w Pałacu-Ziemia, tak

samo jak cesarz, i widywał się z nią bardzo często. I miał jej do przekazania być może nie dane o kluczowym znaczeniu, jak mówiono w szpiegowskich holodramatach, ale z pewnością użyteczne informacje, o jakie prosiła go Jej Promienność. Mógłby pójść do niej natychmiast.

Ale to wydawało się niewłaściwe. Jakby był skarżypytą, nie szpiegiem. Uszami kogoś innego, a nie samodzielną osobą, podejmującą niezależne decyzje. Oczywiście, opowie Dziewiętnaście Ciesak o ambasadorce Mahit Dzmare i kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy. A być może również o tym, że Jedenaście Wawrzyn obawia się, iż Jej Promienność nie ufa Ministerstwu Wojny. Zrobi to jeszcze dzisiaj. Ale najpierw, no cóż. Najpierw chciał naprawdę zrozumieć, dla siebie, czego się dzisiaj dowiedział.

Dlatego Osiem Antidotum wszedł do holu Ministerstwa Informacji, przedstawił się, wymieniając wszystkie swe tytuły, i poprosił sympatyczną kandydatkę na *asekretę* siedzącą w recepcji, żeby znalazła kogoś, kto będzie mógł poświęcić pół godziny na wytłumaczenie przyszłemu Cesarzowi Całego Teixcalaanu zasad szybkiej komunikacji przez bramy skokowe.

— To dla mojego wykształcenia — wyjaśnił skrajnie radosnym tonem. Dziewczyna zakryła usta dłonią, maskując konspiratorski chichot. *Tak* — pomyślał. *Pomagasz dziedzicowi tronu odrobić lekcje. Nadal tak myśl.*

Musiał czekać tylko krótką chwilę. Dla zabicia czasu rozglądał się po gmachu Ministerstwa Informacji, które prezentowało się w zupełnie inny sposób niż Sześć Rozpostartych Dłoni — czyste i jasne, poważne ściany z białego marmuru połączone ze wszechobecnymi koralowymi akcentami, wtapiającymi się w architekturę, podobnie jak rękawy *asekretim*. Koralowe intarsje wbudowane w karneolową mozaikę na podłodze, przedstawiającą ogromną chryzantemę otoczoną mniejszymi lotosami. *Wieczność* — przypomniał sobie chłopiec. Słyszał to dawno temu na jakiejś lekcji. Był wtedy jeszcze małym dzieckiem. Wszyscy najpierw uczyli się o kwiatach. *Chryzantemy to wieczność, a lotosy to pamięć i ponowne narodziny. Dlatego w godle Ministerstwa Informacji umieszczono oba te rodzaje kwiatów. Lubią*

sobie wyobrażać, że wiedzą wszystko, zawsze wszystko wiedzieli i zawsze będą wszystko wiedzieli. Tak przynajmniej powiedziały Jedenaście Wawrzyn.

Osiem Antidotum nie był pewien, co sam by powiedział. Jeszcze nie.

Pracownik Ministerstwa, który przyszedł z nim porozmawiać, był pękatym mężczyzną o szerokich barach i szczerzej twarzy, która wydawała się przyjazna, nawet jeśli wcale taka nie była. Idealna twarz dla funkcjonariusza Informacji.

— Ekscelencjo — rzekł. — Słyszałem, że chciałbyś porozmawiać o komunikacji międzygwiazdnej.

Osiem Antidotum zrobił minę upodabniającą go do jego przodka cesarza, nadał swoim ustom i oczom ten sam głęboki, poważny i zainteresowany wyraz. Nieraz widział, jak Dziewiętnaście Ciesak wzdrygała się z zaskoczeniem, widząc go u niego. To był wyraz twarzy dorosłego, i gdy ludzie widzieli go u dziecka, robili się nerwowi na sposób, jaki mógł wykorzystać.

— Bardzo bym chciał — potwierdził. — O ile nie będzie to marnotrawstwem twojego cennego czasu, *asekreto*. Przepraszam, ale nie usłyszałem. jak masz na imię?

— Jeden Cyklamen, Ekscelencjo — odparł *asekreta*. — Mam zaszczyt być drugim podsekretarzem z Wydziału Epistolografii Ministerstwa Informacji. To znaczy, że poświęcam bardzo wiele czasu szczególnie korespondencji prowadzonej przez bramy skokowe. Ta praktyka, Ekscelencjo, jest w wielkim stopniu zautomatyzowana i przebiega mechanicznie, spokojnie więc mogę poświęcić trochę czasu na zapoznanie cię z jej tajnikami. Czy zechciałbyś przejść do sali konferencyjnej?

Jeden Cyklamen był zdumiewająco uniżony, ale w taki sposób, że raczej schlebiało to Osiem Antidotum, niż go irytowało. Chłopiec chciałby się nauczyć tej sztuki.

— Tak, proszę — odparł. Zastanawiał się, jak zareagują kamery Miasta, gdy zobaczą, jak podąża za agentem Informacji do biało-beżowej sali

konferencyjnej. Nie było w niej holograficznych stołów strategicznych ani map przedstawiających cały znany wszechświat. Tylko holoprojektor ustawiony na końcu zwyczajnego stołu, ze światłem dyskretnie przygaszonym do minimum. Krzesła były za duże dla Osiem Antidotum. Jego stopy nie sięgały do podłogi, podwinął je więc pod siebie i usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Lepsze to, niż majtać nimi w powietrzu. Tak czuł się pewniej.

— Jak to możliwe, że wiadomość z miejsca odległego o tysiące lat świetlnych dociera do Klejnotu Świata w kilka godzin, drugi podsekretarzu? — zapytał, posługując się maksymalnie uprzejmymi formami, jakby rozmawiał z jednym ze swoich nauczycieli. — I czy można przyśpieszyć jej podróż? Albo opóźnić?

— Z technicznego punktu widzenia wiadomości przesyłanej przez bramę skokową nie można przyśpieszyć ani opóźnić. Ekscelencjo — odparł Jeden Cyklamen. — Bramy są punktem stałym. Wybacz, ale czy znasz zasady ich działania?

— Jeśli czegoś nie zrozumie, powiem ci — odparł chłopiec i splótł dłonie, by wesprzeć na nich podbródek. Wlepił spojrzenie w Jeden Cyklamen. Wszyscy znali zasady działania bram skokowych. Były jak wąskie wąwozy w górach. Na drogą stronę można się było przedostać wyłącznie przez otwór. Tyle że nie chodziło o dwa regiony oddzielone łańcuchem górskim. Po jednej stronie był jakiś sektor przestrzeni, a po drugiej zupełnie inny sektor, który mógł się znajdować gdziekolwiek. Nie istniało między nimi żadne inne połączenie poza bramami i, jeśli chodzi o niektóre sektory przestrzeni teixcalaanlijskiej... no cóż, nikt nie znał ich położenia w stosunku do Klejnotu Świata. Niemniej można było dotrzeć do nich równie łatwo, jak na Dziewiąty Plac Centralny dzięki metru, jeśli wiedziało się, przez którą bramę skokową trzeba przejść.

Ten, kto tego nie wiedział, musiał się wlec przez całą galaktykę z prędkością podświetlną, licząc na to, że dotrze na miejsce, zanim umrze. Bez bram skokowych Imperium nie mogłoby funkcjonować.

Jeden Cyklamen mówił już od kilkunastu sekund, a Osiem Antidotum nadal nie potrafił zdecydować, czy to dobrze, czy źle, że najwyraźniej nauczył się wyglądać, jakby słuchał uważnie, podczas gdy w rzeczywistości wcale tak nie było.

— ...elektroniczne wiadomości można przekazywać z prędkością nadświetlną, w praktyce natychmiastowo, za pośrednictwem naszych stacji sygnalizacyjnych w obrębie sektora. Umiemy to robić już od stuleci. Jednakże przez bramę skokową można wysyłać tylko fizyczne obiekty, a imperialna służba sygnalizacyjna przekazuje wyłącznie cyfrowe wiadomości. Rozumiesz, na czym polega problem?

— Ktoś musi przenieść wiadomość na sztyfcie infofizkowym przez wszystkie bramy między początkiem trasy a miejscem przeznaczenia.

— Zgadza się! Tak się składa, że właśnie dzięki temu mam pracę, Ekscelencjo. Czy raczej dzięki temu moja praca w ogóle istnieje. Wydział Epistolografii prowadzi usługi pocztowe przy stacjach skokowych. Jesteśmy jedynymi pracownikami Informacji, którzy podróżują statkami międzygwiazdowymi, choć są to krótkie podróże. Przewozimy tylko listy przez bramę w jedną i w drugą stronę. W dzisiejszych czasach większość tych listów jest zautomatyzowana.

Osiem Antidotum skinął głową.

— Statki bez pilotów.

— To bardzo prosty algorytm. — Jeden Cyklamen wzruszył ramionami. — Nie potrzeba żywego pilota, chyba że zadanie jest bardzo pilne albo brama skokowa jest wyjątkowo trudna bądź ruchliwa.

Bardzo pilne zadanie, jak w przypadku Szesnaście Wschód- -Księżycyca. Czy Informacja przekazała wiadomość tak bardzo sprzeczną z jej interesami? Czy jej funkcjonariusze czytali fizyczne wiadomości, czy po prostu przewozili mnóstwo infofiszek i zwalali je na stertę niczym nieprzeczytaną pocztę w pałacu? Chłopiec wyobraził sobie worek wypełniony infofizkami albo

nawet cały szereg skrzyń. Myśl o tak wielu wiadomościach naraz lekko go wystraszyła.

Nie zapytał, jak się zleca wykonanie pilnego zadania. To byłoby zbyt łatwe do przejrzania. A dzisiaj był szpiegiem. (Niewykluczone, że gdy ktoś raz zaczął być szpiegiem, zostawał nim na zawsze. Będzie musiał się później nad tym zastanowić). Zdecydował się na inne pytanie:

— Czy Informacja zajmuje się wszystkimi wiadomościami w całym Imperium?

Jeden Cyklamen na moment znieruchomiał. Między jego brwiami pojawiła się zmarszczka znamionująca niepokój, jakby nagle sobie przypomniał, że rozmawia z dziedzicem tronu, a nie z jakimś dzieciakiem z ochronki, zajęтым pozaprogramowym projektem.

— Właściwie nie zajmujemy się wiadomościami — odpowiedział. — My tylko je przekazujemy. Chyba że Jej Promienność cesarz wyda inny rozkaz, oczywiście. Jestem jednak pewien, że nie o to ci chodziło, Ekscelencjo. Chyba że chcesz się dowiedzieć, czy są też inne sposoby przenoszenia poczty?

— A są? — zapytał Osiem Antidotum i czekał. To była kolejna sztuczka dorosłych. Nauczył się jej od Dziewiętnaście Ciesak. Robiła to cały czas. Kazała mu odpowiadać na różne pytania, gdy nie wiedział, dlaczego je zadała. W ten sposób dowiadywała się, co myślał na dany temat, nawet jeśli tego nie chciał.

— Pomijając Flotę, która przewozi swe rozkazy na własnych okrętach, oficjalnie nie ma... — zaczął Jeden Cyklamen. — Niemniej każdy statek przechodzący przez bramę oczywiście może przenieść wiadomość. Są też sektorowe usługi pocztowe, bardzo wiele takich usług, niektóre rządowe, a inne prywatne. Chciałbyś otrzymać listę? Mogę ją sporządzić i wysłać do twojego łącza chmurowego.

Chłopiec nie zamierzał odmówić przyjęcia informacji, nawet jeśli nie był pewien, czy będzie mu się mogła do czegoś przydać. Pamiętał jednak o słowach Jednego Cyklamenu „pomijając Flotę, która przewozi swe rozkazy na

własnych okrętach”. Czy wiadomość Szesnaście Wschód-Księżyca przekazano w ten sposób?

— Bardzo chętnie — odparł. — Dziękuję. — Znieruchomiał, jakby nagle przypomniał sobie kolejne pytanie. Następnie pochylił się, wsparty na łokciach, i szeroko otworzył oczy w uśmiechu. *Mam jedenaście lat. Jestem dzieckiem. Jestem nieszkodliwy. Odrabiam pracę domową. Zadał kolejne pytanie: — Czy zdarzyło się kiedyś, żeby ktoś opóźnił przekazanie poczty przez bramę skokową? Albo przechwycił ją, zmienił jej treść bądź wysłał przez inną bramę, niż planowano?*

Jeden Cyklamen roześmiał się w głos. Osiem Antidotum pomyślał, że taki śmiech często maskuje skrępowanie.

— Myślisz o piratach, Ekscelencjo? Piratach pocztowych?

Osiem Antidotum wzruszył ramionami. *Być może. Mów dalej. Powiedz mi, jak ten proces można zakłócić, przyśpieszyć albo zatrzymać.*

— Historia zna oczywiście kilka takich przypadków, ale bardzo się staramy im zapobiegać. Rzecz jasna najważniejsze wiadomości przewożą okręty Floty. Jej wewnętrzne rozkazy, komunikaty dyplomatyczne, cesarskie orędzia.

Tak jest.

— Dlatego że okręty Floty mają prawo przejścia przez bramy skokowe.

— Zgadza się, Ekscelencjo. Jeśli coś trzeba przekazać możliwie jak najszybciej, zrobi to okręt floty. Możesz jednak być pewien, że Ministerstwo Informacji nie gubi twoich listów.

— Nigdy bym tak nawet nie pomyślał — zapewnił radośnie chłopiec. Zmarszczka na czole Jednego Cyklamenu pogłębiła się jeszcze. — Dziękuję, że poświęciłeś mi czas i odpowiedziałeś na wszystkie pytania!

— Nie ma sprawy. Zadaniem Ministerstwa Informacji jest jej przekazywanie.

Tak — pomyślał Osiem Antidotum. To właśnie jest waszym zadaniem. Zastanawiam się, ile waszych placówek pocztowych ominęła Szesnaście Wschód-Księżyca, przekazując wiadomość minister wojny. Założę się, że

większość z nich. A Jedenaście Wawrzyn nie ma nic przeciwko takim praktykom. Nie wtedy, gdy ich ofiarą pada Ministerstwo Informacji.

Gdy Mahit minęła ostatni zakręt i wreszcie dotarła do zamkniętych drzwi kabin, które miały dzielić z Trzy Trawą-Morską, pomyślała z przygnębieniem, że jeśli zostanie dłużej na tym okręcie, będzie musiała znaleźć jakiś sposób, żeby zdobyć dla siebie łącze chmurowe. Choćby tylko do celów nawigacji. „Ciężarek u Koła” był dziesięć razy mniejszy od Stacji Lsel i wiele tysięcy razy mniejszy od Klejnotu Świata, ale tutaj ani ona, ani Yskandr nie znali topografii w stopniu wystarczającym, by uniknąć upokarzającego pytania o drogę. Musiała to robić kilka razy. Przynajmniej jednak oddalała się od zamkniętych pokładów, zamiast zmierzać w stronę serca okrętu, i nikt jej nie pytał, co robi barbarzynka tak daleko od barbarzyńskich terytoriów.

<Albo to, albo pokładowa SI się uaktualniła i wie, że jesteś legalną pasażerką> odezwał się Yskandr. Sprawiał wrażenie równie sfrustrowanego i wkurzonego jak ona. Miała ochotę czymś rzucić. Coś potłuc. Stłuc coś pięknego, jakąś wspaniałą teixcalaanlijską dekorację, którą mogłaby odłupać od stołu i rozbić na drobne kawałeczki. Być może w środku znajdzie coś takiego. (Na razie nie zastanawiała się nad tym, jak będzie mogła dzielić kwaterę z Trzy Trawą-Morską po tym, co zrobiły sobie nawzajem. To nie był najpilniejszy problem).

Na płycie dotykowej zamykającej drzwi przylepiono kawałek klejącej plastifolii z napisem „Twoje hasło to PUSTKA”. Teixcalaanlijski znak był wielkim, pustym okręgiem. Przez chwilę Mahit nie była pewna, co miałaby zrobić, gdyby się okazało, że kod utracił ważność, ale szybko sobie uświadomiła, że jest stały. Ten znak łatwo było narysować, a otworzenie drzwi

umożliwiało zmianę kodu. Oderwała folię i narysowała PUSTKĘ na płytce. Drzwi otworzyły się z sykiem.

Na tle światła jedynej lampy w pokoju rysowała się wysoka, szczupła sylwetka. Zrobiła krok w stronę Mahit...

Ta osunęła się na kolana, zanim jeszcze zrozumiała dlaczego, oślepiona rozbłyskiem paniki, po czym przetoczyła się w stronę postaci, podniosła się i rzuciła do przodu. Zderzyły się ze sobą. Bark Lselki przeszył spazmatyczny ból, jakby uderzył ją młot — albo kolano. Nieznajoma osoba przewróciła się na nią z głośnym stęknieniem. Jej otwarte dłonie uderzyły o podłogę. *Gdzie jest igła?* — pomyślała Mahit. *Muszę uciec przed igłą. To trucizna...*

Intruz stoczył się z niej, zrobił salto i stanął na nogi. Leżąca na podłodze Mahit odsuwała się w panice, czekając na ukłucie i koniec wszystkiego...

<Przestań> odezwał się Yskandr. Jego słowa zabrzmiały w jej umyśle tak donośnie, jakby stał obok i krzyczał. <Nie umierasz, nie jesteś w Mieście i to nie jest Jedenaście Iglak. Przestań>.

Nie umierasz. Ile razy mu to mówiła, w środku nocy, gdy budził ich oboje ze snu o duszeniu?

— Nie lubisz niespodzianek — odezwał się nieznajomy głos. Mahit odgarnęła włosy z oczu i udało się jej skupić wzrok.

Przed chwilą zaatakowała Szesnaście Wschód-Księżycy i nie skończyło się to dla niej zbyt dobrze. Kapitan floty nie ucierpiała w ogóle. Ani jeden włos nie był w nieodpowiednim miejscu. Lselka poczuła, że rumieni się ze wstydu.

Kiedyś wpadłam w zasadzkę we własnym mieszkaniu, ale to jeszcze nie znaczy, że muszę tak reagować za każdym razem, gdy ktoś mnie zaskoczy w pokoju — pomyślała z przygnębieniem. W odpowiedzi otrzymała od Yskandra tylko pełne smutku współczucie.

— To prawda — zdołała wykrztusić. — Nie lubię. Przepraszam. Nie chciałam cię zaatakować, kapitanie floty.

Pojawiła się przed nią szczupła, złota dłoń, wyciągnięta w pomocnym

geście. Mahit uścisnęła ją i Szesnaście Wschód-Księżycy pomogła jej się podnieść.

— To zrozumiałe — stwierdziła. — Nie wiedziałam, że masz doświadczenie w walce, ambasadoro Dzmare. Powinnam była zostawić kartkę na drzwiach. Ale chciałam porozmawiać z tobą w cztery oczy.

— Nie mam żadnego doświadczenia — zaprzeczyła Mahit. — Nawet nie... kurwa, do zdania testów predyspozycji do walki wręcz zabrakło mi osiemnastu punktów. Nigdy nawet się nie zbliżyłam do prawdziwego starcia.

— Nie potrzeba mieć predyspozycji, żeby znaleźć się w sytuacji, w której może dojść do konfliktu — odparła lekceważąco Szesnaście Wschód-Księżycy. — A poza tym masz dobre odruchy. Usiądziemy?

Lselka czuła w ustach smak adrenaliny, ostry i metaliczny. Dygotała lekko. Pomijając ponowny atak, nie widziała żadnego sposobu, by pozbyć się kapitan floty z kabiny. A pierwsza próba zakończyła się dla niej fatalnie. Rozejrzała się wkoło w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłaby usiąść, i zauważyła małe, składane biurko, które odsunięto już od ściany, oraz dwa taborety ustawione po obu jego stronach. Szesnaście Wschód-Księżycy najwyraźniej czekała tu dość długo. Miała czas się przygotować. Zapewne nie spodziewała się, że Mahit całkowicie zgubi drogę, i nuda skłoniła ją do przyglądania się meblom. Lselka odnosiła wrażenie, że nawet jej prywatne myśli wypełnia histeria. Co prawda, w swym umyśle nie mogła liczyć na wiele prywatności.

Usiadła i wskazała na drugi taboret. *Witaj w moim gabinecie, jeśli można to tak nazwać*. Splotła dłonie na kolanach, pragnąc, by wreszcie przestały drżeć.

— Zapewne zastanawiasz się, dlaczego tu na ciebie czekałam — zaczęła kapitan floty, siadając naprzeciwko niej. Lselka skinęła głową, zgadzając się z nią ze smutną miną. Szesnaście Wschód-Księżycy splotła dłonie — na blacie, gdzie Mahit je widziała. Próbowała ją uspokoić.

Nie zniosę przesłuchania — pomyślała przygnębiona Lselka. *Nie w tej chwili*.

<Kurwa, weź się w garść> rozkazał Yskandr. <Nawet jeśli jest z Trzeciej

Dłoni, albo była szkolona w tym kierunku, a myślę że tak może być, Trzecia Dłoń to wywiad wojskowy, specjaliści od przesłuchań, jest żołnierką i czegoś od ciebie chce. Słuchaj uważnie, Mahit>.

Lselka zaczerpnęła tchu. Usiadła wygodnie i wyprostowała się. Dorównywała wzrostem Szesnaście Wschód-Księżycy, przynajmniej kiedy obie siedziały.

— Sądząc po twojej reakcji na przybycie specjalnej emisariuszki Trzy Trawy-Morskiej i mnie, chyba ostatnim, czego bym się spodziewała, jest myśl, że będziesz na mnie czekała, kapitanie floty. Jak nas nazwałaś? Szpiegówka i jej faworyta?

— Tak powiedziałam — przyznała ze spokojem Szesnaście Wschód-Księżycy. Nie próbowała przeproszać. — Ona jest szpiegówką, a ty jej faworytą. A przynajmniej w takim charakterze cię tu przywiozła. Przypuszczam, że opowiadała ci różne rzeczy na temat tego, że twoja obecność zapewni, że Stacje będą miały dyplomatyczną przedstawicielkę w rokowaniach, jakie ma zamiar prowadzić z naszymi wrogami, tak?

Niezupełnie — pomyślała Mahit. *To by było zbyt oczywiste. Trzy Trawa-Morska nigdy nie jest oczywista. I ja również nie.* Uniosła dłoń z kolan i przechyliła ją w tył, a następnie w przód. Może tak, a może nie. Mów dalej.

— Hmm — mruknęła z namysłem Szesnaście Wschód- -Księżycy. — Dlaczego tu jesteś, ambasadorko Dzmare? Przypuszczałabym, że chciałabyś się znaleźć jak najdalej od Teixcalaanu po tym zamieszanu, w jakie wplątałaś się w stolicy przed trzema miesiącami.

— Lubię wyzwania — odparła Mahit. — Jestem tłumaczką. Kto by nie chciał uczestniczyć w pierwszym kontakcie?

— Nie chciałby tego prawie nikt, kto widział z bliska obcego — sprzeciwiła się kapitan floty. — Nie wierzę ci, ambasadorko Dzmare. Naiwna pogoń za chwałą nie pasuje do kobiety, która wywołała tę wojnę. Swoją drogą, twoje wystąpienie przed śmiercią Sześć Kierunku było znakomite. Przeraziłaś mnie, a to nie jest łatwe.

— Z całym szacunkiem, kapitanie floty, to obcy zaczęli wojnę. Ja tylko zawiadomiłam cesarza o sytuacji. Uważam, że tak powinien postąpić dobry obywatel.

— Jesteś barbarzynką.

— Barbarzyńcy — zaczęła Lselka, cały czas wyobrażając sobie twarz Trzy Trawy-Morskiej — również są ludźmi. Obywatelski obowiązek w obliczu zagrożenia zewnętrznego wykracza poza granice suwerennych państw. Tak przynajmniej uczą nas, barbarzyńców, na mojej Stacji.

To nie była prawda. Mahit nigdy nie uczono niczego w tym rodzaju. Niemniej Szesnaście Wschód-Księżycy szeroko otworzyła oczy koloru elektrum w geście, który nie był uśmiechem ani grymasem. Cios był celny. Kłamstwo okazało się użyteczne.

Kapitan floty wypuściła powietrze przez nos, jakby była poirytowana.

— Ujmę to w ten sposób, ambasadoro. Obserwowałam twoją pracę w kanałach medialnych podczas idiotycznej próby uzurpacji Jeden Błyskawicy. Swoją drogą, Flota naprawdę mogłaby się bez niej obejść. Jesteś zbyt inteligentna i zanadto uzdolniona politycznie, żeby przybyć tu tylko jako faworyta emisariuszki. Zresztą już masz z nią kłopoty, czyż nie? Zauważyłam, że nie ma jej tutaj, a ty nie jesteś na mostku z *yaotlek*. Nie wspominając już o fakcie, że twoje wspańiałe Stacje są położone bardzo blisko tego regionu, w którym roi się od obcych dysponujących śliną rozpuszczającą statki kosmiczne. Dzieli was od nich tylko jedna brama skokowa. To bardzo niewiele.

— Widziałam holografy z Peloa-2 — odparła Mahit. — Czy to takie dziwne, że chcę się przyczynić do powstrzymania tego, co się tu dzieje? I co za tym idzie, uchronienia przed tym mojego domu?

Nie będzie rozmawiała o Trzy Trawie-Morskiej. Wystarczająco niekorzystne było, że Szesnaście Wschód-Księżycy, która z pewnością nie była przyjaciółką żadnej z nich, domyśliła się, iż coś jest między nimi nie

w porządku, i to wyłącznie na podstawie nieobecności emisariuszki. Mahit nie potwierdzi jej domysłów. Ani teraz, ani nigdy.

— Nie ma w tym nic dziwnego — przyznała Szesnaście Wschód-Księżycyca, wzruszając jednym ramieniem. — To po prostu interesujące. Zjawiasz się w najbardziej fascynujących miejscach, ambasadoro. Sprawiasz też wrażenie, że wierzysz w słowa emisariuszki, która zapewnia, iż rozmowy z obcymi przyniosą zakończenie działań wojennych, którego z uzasadnionych powodów pragniesz.

— Jesteś innego zdania?

— Och, powstrzymuję się z osądem, dopóki nie podejmiemy próby — odparła kapitan floty. Mahit zrozumiała, dlaczego powierzono jej dowództwo. Była osobą, która starannie oceniała sytuację, po czym, bez dalszego wahania, podejmowała cały szereg decyzji i wydawała stosowne rozkazy. — Ale w zeszłym tygodniu straciłam dwudziestu siedmiu żołnierzy i zaczynam mieć dość słuchania hymnów pogrzebowych. Mam też wątpliwości, uważam, że całkiem uzasadnione, co do możliwości emisariuszki. A także twoich. Przynajmniej jeśli chodzi o pierwszy kontakt. Być może jesteś bardzo zdolną barbarzynką, Mahit Dzmare, i owinęłaś sobie całe Ministerstwo Informacji wobec palca, by krążyło wokół niego jak uwięziony na orbicie satelita, ale nie jesteś cesarzem Dwa Plama-Słoneczna. A te stworzenia nie są Ebrekti.

Mahit zdołała się roześmiać. To nie był właściwie jej śmiech, lecz coś w rodzaju drwiącej autoironii, pochodzącej przede wszystkim od młodszego, zanikającego już Yskandra, z jego nagle rozbłyskującą arogancją i brawurą.

— Są gorsi niż Ebrekti, przynajmniej sądząc po kakofonii, którą produkują. Czy wiedziałaś, że te odgłosy przeradzają się w samowzmacniające fale dźwiękowe, jeśli odtwarza się je z wielu kierunków jednocześnie, kapitanie floty? Nie? Tak też sądziłam. A ja z całą pewnością nie dorównuję Jej Promienności Dwa Plamie-Słonecznej. Zarówno jako negocjatorka, jak i swoją pozycją, jaką zajmuję na świecie. Nigdy bym nie śmiała porównywać się z Cesarzem Całego Teixcalaanu.

Poczuła się lepiej, wypowiadając te słowa. Była okrutna w swej rozpacz, w pełni odsłoniła ranę swego pragnienia. *Nie zostanę Teixcalaanli. Wiem, że nie jestem w stanie nią zostać. Pozwól, że otworzę przed tobą krwawiące usta tej rany i odsłonię przed tobą ból ukryty wewnątrz.* Mogła powiedzieć „nigdy bym nie śmiała porównywać się z jedną z was”, z pełną świadomością, że będzie to robić i nic jej przed tym nie powstrzyma.

Nagle usłyszała głos Dziewiętnaście Ciesak, odprysk wspomnień, jej albo Yskandra, granice były zbyt zamazane, by mogła to określić. *Szkoda, że nie jesteś Teixcalaanli. To argumentacja typowa dla poetów.* A może to była Trzy Trawa-Morska? Nie była tego pewna. A szkoda. To mogło coś znaczyć. Gdyby pamiętała, czy to spotkało ją, czy Yskandra, i czy to obecna cesarz, czy *asekreta* pragnęła, żeby któreś z nich stało się kimś innym.

— A mimo to podjęłaś próbę sprowadzenia ich do stołu rozmów — stwierdziła Szesnaście Wschód-Księżycy.

— Posługuję się takimi talentami, jakie posiadam — odparła Lselka.

— Podobnie jak twoja Stacja. Rozumiem. Cóż za talenty, cóż za ludzie.

Nawet nie ma pewności, czy jestem szpiegiem — pomyślała Mahit. Przybyła tu dla siebie i dla Stacji, oczywiście, lecz również dla Darja Taratsa, by zapłacić mu za uratowanie jej od skanów i noży Dziedzictwa. Jej oczy należały tylko do niej, dopóki nie złoży mu pierwszego raportu. A gdy już to zrobi... będzie musiała zdecydować, czy zgodzi się zostać nie tylko szpiegiem, lecz również sabotażystką, by tylko ją oszczędzili.

<Kapitan floty...> odezwał się Yskandr. Mahit straciła czucie w palcach, a nawet w całych przedramionach, aż po łokcie. Już myślała, że zaczyna się jej poprawiać, ale od dawna już nie było tak źle, jak w tej chwili. <...nie potrzebuje wiedzieć, by podjąć decyzję. Dla niej wszyscy barbarzyńcy są szpiegami i sabotażystami, jeśli znajdują się w miejscu tak świętym i tajnym, jak teixcalaanlijski okręt flagowy. Kim innym mogliby być?>

— Wolałabyś, żebyśmy przysłali okręty wojenne zamiast ambasadorów? —

zapytała Mahit. — Mamy ich trochę. Oczywiście nawet w przybliżeniu nie tyle, ile Teixcalaan.

Szesnaście Wschód-Księżycy spojrzała na nią bez wyrazu.

— Może nadejść czas, gdy będziemy potrzebowali wszystkich okrętów, które zdołamy znaleźć, ambasadorko. Wtedy przypomnę ci, co mi dziś powiedziałaś. A do tego czasu, no cóż, życzę ci szczęścia. Z emisariuszką, obcymi i *yaotlek*. Stacyjni wierzą w szczęście, jak sądzę?

— Kiedy go potrzebujemy.

— Będiesz go potrzebowała — oznajmiła Szesnaście Wschód-Księżycy i wstała zza biurka, zostawiając Mahit samą. Zniknęła w korytarzu, jakby nigdy tu jej nie było.

Lselka skryła twarz w odrętwiałych dłoniach, wspierając na stole równie odrętwiałe łokcie. Intensywnie pocierała oczy. Ostatnie, czego by w tej chwili chciała, to łzy. Nie miała na nie czasu. Musiała się zastanowić, dlaczego Szesnaście Wschód-Księżycy — kapitan floty pałętająca się po okręcie flagowym, który nie należał do niej — zakradła się do kabiny agentki Informacji i barbarzyńskiej ambasadorki. Dlaczego postanowiła rzucić jej wyzwanie, poznać jej motywacje i ostrzec ją (zakładając, że to było ostrzeżenie, a nie groźba), że Flota nie ma najmniejszej ochoty rozmawiać z obcymi i zdecydowanie wolałaby ich zabijać. Pragnienia agentek Informacji, barbarzyńskich ambasaderek, a nawet *yaotlekim* mogły mieć bardzo niewielkie znaczenie w porównaniu z ciężarem nawyku teixcalaanlijskich legionów, które od stuleci nauczyły się rozwiązywać wszystkie problemy przemocą.

Wypuściła powietrze przez nos, próbując oczyścić płuca, by móc zacząć od nowa. Nagle coś w jej kieszeni zaszeleściło, jakby było w niej pełno papierów.

(podobnie jak w kieszeni stroju, który nosiła w Mieście, pełno było zaszyfrowanych instrukcji mówiących, jak rozpocząć wojnę i uratować Stację Lsel przed pożarciem przez Teixcalaan).

(szelest brzmiał tak samo).

Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni i wyciągnęła stamtąd *Niebezpieczną granicę*, powieść graficzną wielkości politycznej ulotki. Zapomniała, że ją kupiła.

<Zapomniałaś wyjąć ją z kieszeni. To świadczy o jeszcze większym roztargnieniu, niż zapomnieć, że ją kupiłaś>.

Aknel Amnardbat bardzo skutecznie odwracała moją uwagę — odpowiedziała Mahit. *Przynajmniej wtedy*. Przyszło jej na myśl, że potrzebuje czegoś, co odwróci jej uwagę skuteczniej niż łzy albo Aknel Amnardbat. Otworzyła książkę i zaczęła czytać.

Powieści graficzne jako forma literacka nigdy nie interesowały jej zbytnio. Uważała je za niepotrzebną hybrydę, nie do końca holoprojekcję, nie do końca rysunek i nie do końca prozę. W dzieciństwie — no dobra, w wieku dorosłym również — jeśli miała czas, by czytać dla przyjemności, czytała po teixcalaanlijsku. *Niebezpieczną granicę!* napisano po stacyjnemu. Rysowali i pisali ją Stacyjni. Ile lat mógł mieć ten chłopak w kiosku? Najwyżej siedemnaście. W tym wieku Mahit nie była zbyt dobrze przystosowana. Z pewnością nie poradziłaby sobie jako jedna z członków artystycznego kolektywu tworzącego powieści graficzne, nawet gdyby przypadkiem nim została.

Czytając ten pierwszy tom nieukończonego cyklu, mającego się składać z co najmniej dziesięciu części, czuła się trochę jak prowadzący badania antropolog. Na pierwszej stronie główny bohater, kapitan Cameron, członek długiej linii imagowej pilotów, wpakował się w paskudne kłopoty, próbując się przedostać przez wielkie skupisko planetoid. Najwyraźniej zmierzał do opuszczonej kopalni, w której została uwięziona jakaś inna postać. Mahit nie miała pojęcia, czy powinna wiedzieć, co się dzieje, czy był jakiś zerowy tom, który jej umknął. Yskandr nie potrafił jej pomóc. Kiedy on był nastolatkiem, młodzież w ogóle nie interesowała się powieściami graficznymi. Szukała jakichś odniesień albo cytatów, jakich spodziewałaby się w teixcalaanlijskim tekście, choćby nawet niezrozumiałych, ale nie znalazła nic w tym rodzaju.

<Można się było tego spodziewać> oznajmił jej Yskandr. Ten starszy Yskandr, ironiczny, znużony życiem i lekko zaciekawiony. <Jedynie, co mamy do czytania, to stacyjny utwór stworzony przez nastolatków, którzy jeszcze nie przeszli testów predyspozycji. No dobra, odwróć stronę. Chcę zobaczyć, co się wydarzy później>.

Później kapitan Cameron uniknął spotkania z lodową kometą, zbliżył się do planetoidy tak wielkiej, że miała własną atmosferę i była niemalże małą planetą, i zaczął nieustępliwie poszukiwać w tumanach śniegu produkowanego przez tę atmosferę osoby zwanej Esharakir Lrut oraz tajnego archiwum lselskich dokumentów, które najwyraźniej ukryła ona w wyżej wymienionej kopalni. Lrut narysowano jako wychudzoną kobietę, przesadzoną wersję tego, jak mógłby wyglądać ktoś znacznie młodszy niż jego imago, kto w dodatku od miesięcy nie jadł nic poza proteinowymi ciastkami. Rysunek był świetny. Mahit nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby siedzieć tak długo nieruchomo, by narysować to wszystko ręcznie tuszem, a w dodatku sprawić, by wyglądało tak sugestywnie bez użycia kolorów.

Esharakir Lrut ukryła dokumenty, by zachować je w oryginalnej postaci. Cameron chciał uratować ją albo przynajmniej jej informacje. Środkową część opowieści wypełniał przeważnie monolog Lrut zapewniającej, że wróci z dokumentami, ale pod warunkiem, że po powrocie na Stację Cameron potwierdzi, że to jej wersje są prawdziwe, a nie oficjalne, zatwierdzone przez Dziedzictwo. W przeciwnym razie nigdzie się nie wybierała. Zostanie w kopalni na planetoidzie, w śniegu, i zaczeka na kogoś, kto zgodzi się bronić pamięci Lsel.

<To zdumiewająco wywrotowe> stwierdził Yskandr. <Atakuje Dziedzictwo za to, że nie jest wystarczająco wierne swojej misji. I mówisz, że piszą to nastolatki?>

Piszą i rysują — pomyślała Mahit. Być może nieprzypadkowo przypomina rozmiarami polityczną broszurę.

<Być może nie tylko my mamy powody, żeby nie lubić Aknel Amnardbat>.

Spędziłam w domu tylko krótki czas i nie wiem, jakie powody do gniewu mają młodzi artyści...

Nawet gdyby Mahit przebywała tam dłużej, nie zaprzyjaźniłaby się z tymi ludźmi, którzy tworzyli tuszem na papierze utwory mówiące o stacyjnej pamięci, stacyjnej sztuce i stacyjnej polityce. Zawsze spędzała czas z innymi studentami mającymi obsesję na punkcie Teixcalaanu. Piszącymi poezję i marzącymi o Mieście. *Niebezpieczna granica!* była dla niej obca jak... może nie aż tak obca jak istoty wydające przyprawiające o mdłości dźwięki, które próbowały badać z Trzy Trawą-Morską, ale w niewiele mniejszym stopniu. Przynajmniej takie odnosiła wrażenie.

<Dobrze że nie dałaś jej swojego żakietu> dodał Yskandr. <Trudno byłoby to czytać, gdyby kartki posklejały się od rzygowin>.

Mahit skrzywiła się i zamknęła książkę. *Nie chcę rozmawiać o Trzy Trawie-Morskiej.*

<Ani o niej myśleć, ale ciągle to robisz>.

Mimo woli wyobraziła sobie emisariuszkę czytającą *Niebezpieczną granicę!* Wolałaby, żeby imago mniej wiedziało o jej myślach i uczuciach. Ale Yskandr czuł to samo, co ona. Zbliżali się do siebie z każdą chwilą.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

[początek kodu bezpieczeństwa APOSELENIUM] Wieńcu: działają tu inne ręce niż tylko ręce cesarza. Informacje, które przekazałam pod kodem Hiacynt, są tylko połową tego, co podejrzewam. Wypatruj wzorców, jak mnie nauczyłeś. Barbarzyńskie umysły kształtują politykę Teixcalaanu, a my nie wiemy, jakie procesy wprawiły w ruch. Niełatwo jest nam pojąć podobne sprawy. Opowieść wymyka się nam z rąk i przybiera niezrozumiałe kształty. Przygotuj naszą minister do szybkiego i zdecydowanego działania. Będę utrzymywała kontakt. Jak zawsze pozostaję twoim Wzejściem. [koniec kodu bezpieczeństwa APOSELENIUM]

Zaszyfrowana wiadomość od kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy, odebrana przez trzeciego podsekretarza Ministerstwa Wojny, Jedenaście Wawrzyn, 95.1.1–19A

* * *

Chciałabym o coś zapytać, Tarats. Ile jeszcze linii imagowych uszkodziła nasza szacowna koleżanka? Czy jesteśmy przygotowani na plagę kolejnych Dzmare, podczas gdy Teixcalaan toczy wojnę, którą ty wywołałeś i na którą nie mamy żadnego wpływu, a my musimy czekać, czy ta Dzmare, którą już dostaliśmy, do czegokolwiek się przyda? Powiedz mi. A gdybyś był w stanie zapewnić, że mogę zgłosić zapotrzebowanie na nowe linie imagowe, mające zastąpić te, które ciągle tracę, nie obawiając się o ich jakość, no cóż, w takim razie będę ci winna kolejkę.

A to zdarza mi się bardzo rzadko.

Prywatna wiadomość od radczyni pilotów do radcy górników, napisana

ręcznie i przekazana przez posłańca, 95.1.1–19A (według kalendarza teixcalaanlijskiego)

Dziewięć Hibiskus przebywała na mostku, kiedy nieprzyjacielskie statki zbliżyły się na tyle, by można je było zobaczyć. Dobrze i to. Nie trzeba było jej wzywać. Gdy dwa szare, trzypierścieniowe okręty, duży i mały, wyłoniły się nagle z migotliwej nieciągłości na granicy zasięgu instrumentów „Ciężarka u Koła”, była na miejscu, równie wstrząśnięta, jak wszyscy. Nigdy dotąd nie zbliżały się tak bardzo. A to oznaczało, że zawsze mogły to zrobić, tylko nie chciały. Na tę myśl przebiegły ją ciarki. Uniosła rękę.

— Wstrzymać ogień — rozkazała.

Już od siedmiu godzin nadawali wiadomość stworzoną przez emisariuszkę. Fale odbijały się od Peloa-2 i płynęły ku części sektora opanowanej przez obcych. Mimo to odpowiedź obcych zaskoczyła *yaotlek*. Jeśli to była odpowiedź, nie atak, skierowany w samo serce jej floty, nagły jak porażacz przystawiony niespodziewanie do skroni za uchem pośrodku nocy.

Dwa okręty mogły oznaczać cokolwiek. Jednostki zwiadowcze mające zademonstrować, że rzeczywiście mogą się zmaterializować tuż obok teixcalaanlijskiego okrętu klasy „Wieczny” i nikt nie zauważy, że się zbliżają; dyplomatę i jego eskortę; a nawet atak, jeśli mieli jakąś broń jeszcze bardziej niszczycielską niż rozpuszczająca kadłuby półpłynna sieć, która pochłonęła pilota jej Odprysku. Dwa okręty to za mało informacji.

— Kapitanie — odezwał się Pięć Oset. *Yaotlek* — poprawił się pośpiesznie.
— Nadal się zbliżają. Skierowałem na nie nasze działa energetyczne.

Wszyscy jej żołnierze i oficerowie gapili się na nieprzyjacielskie jednostki, jakby sam fakt, że na nie patrzą, mógł uczynić je widzialnymi. Ciężar ludzkiej uwagi skierowanej na pozaludzki problem. Serce Dziewięć Hibiskus забиło szybciej, pobudzone adrenaliną. Jej główny oficer taktyczny pomylił się przed chwilą i zapomniał o jej nowej randze, zwracając się do niej tym samym

tytułem, co w dawnych czasach, gdy ich nieprzyjaciół można było zrozumieć, manipulować nimi i przewidzieć ich działania.

Wszyscy na mostku czekali na jej decyzję. Zaatakować czy wstrzymać ogień? Mieć nadzieję, że agentki Ministerstwa Informacji rzeczywiście są takie bystre, na jakie wyglądają, i że z obcymi, choć są okrutni i niezrozumiali, można się porozumieć? Czy raczej zniszczyć ich, zanim zblizną się za bardzo? Nie mogła przestać myśleć o Odprysku, który musiała zestrzelić. O pilotce błagającej o śmierć, nim zostanie pożarta. I o wszystkich pozostałych pilotach, którzy powtarzali jej błagania, ponieważ ich biofeedback wypełniły szok i przerażenie. Echa tego szoku nadal nie wygasły.

Mimo to poprosiła o przysłanie specjalnego emisariusza. Zwróciła się do Informacji, nie do Trzeciej Dłoni, ponieważ ta druga nigdy nie lubiła jej metod postępowania z ludźmi, nie wspominając już o tym, co mogłaby zrobić z obcymi. Informacja stworzyła wiadomość, a po jej wysłaniu coś się zmieniło.

— Wstrzymać ogień — powtórzyła. — Dwa Piano, czy prowadzisz zapis na wszystkich otwartych kanałach?

— Tak — potwierdziła Dwa Piana. — Na razie nie ma nic poza niezaszyfrowanymi rozmowami Floty i naszą wiadomością, którą ciągle nadajemy. Wyciszyłam ją w naszych odbiornikach, żeby nie dręczyć naszych uszu, ale na zewnątrz jest tak samo głośna, jak przedtem.

— Zawiadom mnie natychmiast, jeśli coś się zmieni — rozkazała Dziewięć Hibiskus. — Pięć Oset, trzymaj się wektora i czekaj na mnie.

Pierścieniowe statki były coraz bliżej. *Yaotlek* zauważyła, że oddycha bardzo płytko, wciągając powietrze przez nos, a wypuszczając przez usta. Tego uspokajającego ćwiczenia nauczyła się w Akademii Floty, na pierwszym roku. Wtedy nie pomagało jej zbyt, a i teraz nie było lepiej. Mniejszy okręt obcych wysunął się przed większy. Ich pierścienie obracały się w przeciwnych kierunkach niczym powłoki elektronowe wokół jąder atomów, tworząc probabilistyczną chmurę trudną do zobaczenia. Mniejszy okręt był

ciemniejszy. Jego szary kadłub przybrał czerwonawy odcień. Niewytarta porządnie krew na pokładzie. Plama.

Mało zabrakło, by opuściła rękę i rozkazała Pięć Ostowi otworzyć ogień. Ale tego nie zrobiła.

— Coś mam — odezwała się Dwa Piana. — Wysyłają do nas naszą wiadomość, *yaotlek*. *Minęło trochę czasu, zanim to zrozumiałam. To jest ta sama wiadomość, którą do nich wysłaliśmy, ale głośniejsza, jak samowzmacniająca się fala. Potężniejsza.*

Na krwawiące gwiazdy, mam nadzieję, że emisariuszka wiedziała, co mówi, kiedy to wysyłała — pomyślała Dziewięć Hibiskus. *Bo oni mówią to samo. Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.*

— Połączcie się z „Pryzmatem Odbijającym” — rozkazała, pewna, że jej głos brzmi całkowicie spokojnie. „Pryzmat Odbijający” był najbliższym z okrętów Dziesiątego Legionu. Potrzebowała kogoś, kto byłby w zasięgu interferencji sygnałów z pierścieniowych okrętów. — Powiedzcie kapitanowi Dwanaście Średniówce albo jego oficerowi łączności, żeby również zaczęli nadawać wiadomość. Niech wycelują ją w nieprzyjaciela, żeby się dowiedział, że go słyszymy. I, kurwa, jeśli ktoś wystrzeli, każę go wyrzucić przez śluzę.

— Zrozumiałam, *yaotlek*.

Dłonie Dwa Piany zaczęły się poruszać w powietrzu, jej oczy śledziły już mikroruchy, tak szybko, że wyglądała, jakby miała atak padaczki, a nie manipulowała wszechświatem łączności Floty, wyświetlanym w jej łączy chmurowym. To było tak, jakby cały mostek stał się nagle przedłużeniem woli Dziewięć Hibiskus. Ludzie *yaotlek* obserwowali ją z głębokim skupieniem, słuchali każdego jej słowa i czekali, aż wskaże im drogę wyjścia z niewiarygodnej sytuacji, w jakiej się znaleźli, podobnie jak robiła to wiele razy przedtem.

W tej chwili myślała, że może się jej to udać. Może. Jeśli słoneczny ogień i przestrzeń pozwolą. Jeśli cały czas będzie pozostawała w ruchu. To znaczyło, że musi skłonić obcych, by mówili dalej.

— Niech ktoś natychmiast sprowadzi tu ludzi z Informacji — dodała, czując, że jej usta rozciągają się w parodii barbarzyńskiego uśmiechu. — Pośpieszcie się. Prędzej czy później będziemy musieli powiedzieć coś innego niż to, co od nich otrzymaliśmy, a ja nie potrafię wydawać z siebie takich odgłosów. Ruszajcie się.

Kauraański kotek nie lubił być noszony. Przynajmniej na żaden sposób, jaki potrafiła wymyślić Trzy Trawa-Morska. Trzymanie go za kark wydawało się brutalne, zwłaszcza że nie była pewna, w której chwili będzie mogła go postawić, a jeśli próbowała go trzymać jak ludzkie niemowlę, drapał ją bardzo licznymi pazurami.

W końcu dała sobie spokój z próbami noszenia i pozwoliła mu siedzieć na ramieniu. To mu się spodobało. Nadal cierpiała trochę z powodu pazurów, ale najwyraźniej chodziło raczej o zachowanie stabilności niż o agresję. Nie miała pojęcia, co zrobić ze stworzeniem. Z pewnością nie mogła go przynieść do kabiny, którą miała dzielić z Mahit. Zresztą nie chciała tam iść. Może na okrętach Floty były bary, w których można było spotkać nieznajomych. (Z pewnością byli tu nieznajomi. Może znajdzie takiego, który będzie chciał otrzymać w prezencie kauraańskiego kotka. Zawsze mogła mieć nadzieję!). Zapytała łącze chmurowe o drogę do najbliższego służącego rozrywce miejsca, które nie było siłownią ani klubem fitness (gwiazdy, nie przychodziło jej do głowy nic, na co miałyby mniejszą ochotę niż ćwiczenia), i podążyła we wskazanym kierunku.

To nie był bar. Nie do końca.

Lokal zapewne byłby barem, gdyby nie znajdował się na okręcie Floty. Były w nim stoliki i grała muzyka (coś z mnóstwem syntezatorów, Trzy

Trawa-Morska przypominała sobie niejasno, że było popularne ostatniej zimy), światła były przygaszone w porównaniu z korytarzami, było tu mnóstwo nieznanomych i nawet trochę jedzenia pasującego do barów — smażony makaron, kukurydza marynowana w occie z przyprawami, chipsy z manioku. Nie było natomiast alkoholu.

Najwyraźniej nie można się tu było upić w czasie wolnym. Przynajmniej jeśli ktoś płacił chipem kredytowym Floty.

Nikt nie był pijany, co sprawiło, że wszyscy zwrócili głowy w jej stronę, gdy tylko weszła do środka. To trochę ją pocieszyło. Emisariuszka Informacji w koralowopomarańczowym mundurze, najjaskrawszym w morzu szarozłoty uniformów Floty, w dodatku z kotkiem na ramieniu. Absurdalny obraz. Być może niebezpiecznie absurdalny.

— Cześć — odezwała się radośnie. — Co macie najlepszego do jedzenia? Dla mnie, a także dla... tego stworzenia.

Zapadła głucha cisza. Trzy Trawa-Morska czekała, aż się rozprysnie. Zawsze tak się działo. Ciekawość i zainteresowanie wygrywały za każdym razem, jeśli tylko okaże wystarczającą cierpliwość i brawurę.

Niemniej dziesięć sekund oczekiwania było trudną próbą. Wreszcie odezwała się kobieta siedząca samotnie w niebędącym barem lokalu — miała epolety *cuecuelihui*, wyspecjalizowanego oficera jakiegoś rodzaju.

— Zapiekany makaron na gorąco. Dlaczego chodzisz z kotkiem, emisariuszko?

Wszyscy wyraźnie się odprężyli.

— Podarował mi go adiutant *yaotlek* — wyjaśniła Trzy Trawa-Morska i usiadła na wolnym krześle obok *cuecuelihui*. — Chcesz go dostać? Wydaje się bardzo miły, nawet jeśli ma ostre pazurki.

— Nie — zaprzeczyła kobieta. — Z pewnością nie chcę kauraańskiego kotka.

Wyciągnęła jednak do niego ręce.

Trzy Trawa-Morska uświadomiła sobie nagle, że *cuecuelihui* świetnie wie,

jak przejąć kontrolę nad rozmową, połączyć zaskoczenie i dezorientację ze wspaiałomyślnością, by szybko zdobyć zaufanie. Świetnie! Ktoś, kogo uczono podstaw przesłuchiwania! To tak, jakby znalazła na okręcie Floty drugą *asekretę*. Skłoniła stworzenie do zejścia z jej ramienia i posadziła je na kolanie kobiety, gdzie natychmiast przekształciło się w wibrującą z zadowolenia jajowatą bryłę złożoną z czarnego futra i pazurów.

— Jestem Trzy Trawa-Morska — oznajmiła, uwolniwszy się od krępującego jej ruchy zwierzaka. — Z tym makaronem mówiłaś poważnie, czy może próbujesz skompromitować szpiegówkę z Informacji, powodując u niej zatrucie kapsaicyną?

— Mówiłam poważnie. Zatrucie groziłoby ci tylko wtedy, gdybyś była wyjątkowo wrażliwa na kapsaicynę, emisariuszko. — *Cuecuelihui* wykonała gest naśladujący pokłon ze złożonymi przed sobą palcami, nie zrzucając kota. — Jestem Czternaście Kolec ze zwiadowczej kanonierki „Dziewiąte Kwitnienie Ostrza Noża” Dziesiąty Legion. Nie trujemy szpiegów, chyba że to absolutnie konieczne.

„Dziewiąte Kwitnienie Ostrza Noża” było statkiem, który przywiózł nagrania ohydnych dźwięków produkowanych przez obcych. Być może Trzy Trawa-Morska wybrała jednak dobre miejsce, nawet jeśli nie podawano tu alkoholu.

— Dziękuję — powiedziała tonem o dwa poziomy bardziej formalnym od tego, którym posługiwała się przedtem. Niech Czternaście Kolec się zastanawia, za co jej podziękowano. Nie trwało to długo. Z pewnością była szkoloną negocjatorką. A nawet szpiegiem! Szpiegowała dla Floty, ale to nie miało większego znaczenia.

— Korzystacie z naszego nagrania — stwierdziła Czternaście Kolec. — Tego, które zrobiło „Ostrze Noża”, kiedy zmusili nas do ucieczki. Kurwa, życzę szczęścia, emisariuszko. Znam pięć języków, ale to nie jest język.

Trzy Trawa-Morska skinęła głową.

— Zauważyłam. Ale Informacja przywykła do rozmów z tymi, z którymi

nie da się rozmawiać. Musimy spróbować, czyż nie?

— Lepiej wy niż my.

— Pięć języków. Na co ci się przydają na zwiadowczej kanonierce?

W tej grze istniały pewne zasady. To tak, jakby grała w *amalitzli* przeciwko nowej rywalce i musiała ocenić jej umiejętności oraz szybkość, tyle że wszystko robiło się za pomocą słów. Tego właśnie uczyła się Trzy Trawa-Morska. Z pewnością lepsze to niż myślenie o Mahit Dzmare.

Czternaście Kolec wzruszyła lekko ramionami z wyraźnym rozbawieniem.

— Rozmowy. Czasami się nimi zajmujemy. Nawet we Flocie. To nie jest zarezerwowane dla szpiegów.

Zaczęła głaskać kauraańskiego kotka, który mruczał, jakby chciał zostać silnikiem statku kosmicznego, kiedy dorośnie.

— Słyszałam, że Trzecia Dłoń Floty bardzo dobrze potrafi rozmawiać — odpowiedziała Trzy Trawa-Morska, dokładnie imitując gest drugiej kobiety. Z radosnym zaskoczeniem zauważyła, że twarz Czternaście Kolec znieruchomiała, przybierając zimny wyraz.

— Nie tylko Trzecia Dłoń — odpowiedziała *cuecuelihui*.

— Wybacz mi ignorancję — rzekła Trzy Trawa-Morska, dając rozmówczyni szansę skorygowania jej pomyłki. Podejrzewała, że Czternaście Kolec nie oprze się pokusie. Emisariuszka dotknęła wrażliwego punktu, czegoś, co było dla *cuecuelihui* powodem do dumy. Będzie tego broniła i dzięki temu *asekreta* dowie się czegoś nowego.

— Jesteśmy z Dziesiątego Legionu, nie z Trzeciej Dłoni — wyjaśniła Czternaście Kolec. — Nie potrzebujemy oficerów politycznych, by wykonać naszą misję. Rozumiesz, emisariuszko?

Niewypowiedziane, ale oczywiste: *Informacji również nie potrzebujemy*. Co ważniejsze, Dziesiąty Legion pod dowództwem Dziewięć Hibiskus naprawdę bardzo nie chciał, żeby rozkazywała mu Trzecia Dłoń Ministerstwa Wojny.

Którą kierował Jedenaście Wawrzyn, ten sam, o którego pytała ją Pięć Agat

podczas rozmowy w kosmoporcie. Ten, który wzbudzał niepokój Jej Promienności. *Fascynujące*.

— Myślę, że rozumiem — zapewniła Trzy Trawa-Morska. — Wybacz mi tę insynuację. Oczywiście, jesteśmy tylko Ministerstwem Informacji i nie możemy wiedzieć wszystkiego. — Uśmiechnęła się, szeroko otwierając oczy. — Chyba spróbuję tego makaronu. Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby opowiedzieć mi trochę o waszych misjach? Jeśli to nie jest tajne, oczywiście.

Jeśli dobrze to rozegra, może spędzić tu całą noc i dowiedzieć się czegoś użytecznego. Wtedy nie musiałyby rozmawiać z Mahit aż do rana. Ta myśl wzbudziła w niej poczucie winy i lekki niesmak — naprawdę nie miała w zwyczaju unikać problemów, ale w tej chwili siedzenie w niebędącym barem lokalu z użytecznym kontaktem z Floty będzie dla niej łatwiejsze niż cokolwiek innego.



Mahit leżała na plecach w ciemności, starając się usłyszeć otaczający ją statek, szum maszynierii i potężnego silnika. Jej twarz dzieliło od sufitu tylko trzydzieści centymetrów. Kiedy skończyła czytać *Niebezpieczną granicę!*, nie zostało jej właściwie nic poza położeniem się spać. Wybrała górną koję zarówno z szacunku dla Trzy Trawy-Morskiej (zakładając, że wróci do przydzielonej im kabiny, bo wszyscy wiedzieli, że wdrapywanie się po ciemku na górną koję nie jest przyjemne), jak i dlatego, że chciała poszukać pocieszenia w zamkniętej przestrzeni. Jeśli zignoruje niebezpieczeństwo upadku na dość odległą podłogę po prawej stronie, będzie się czuła bezpieczna, jak w swej kapsule na Lsel.

Co prawda wcale nie była tam bezpieczna, ale nawyki pamięci często

tworzą fałszywe azyle. Ciasne, zamknięte przestrzenie otoczone skomplikowaną metalową konstrukcją, jaką była Stacja — albo okręt, choćby nawet teixcalaanlijski — były w porządku. Czuła się w nich dobrze. Uniosła rękę, musnęła sufit koniuszkami palców i przekonała się, że nadal są znieczulone. Kiedy dotknęły powierzchni, poczuła w nich lekkie mrowienie.

Neuropatia. To zdarzało się jej coraz częściej. Czy raczej coraz częściej ją zaskakiwało, bo objawy pojawiały się nagle, nawet jeśli nie próbowała pracować z imago. Będzie się musiała nauczyć z tym żyć. To stało się jej nieodłączną częścią.

Wrażenie smutku, bardzo odległe, nawet nie myśl, tylko emocjonalne echo. Sama miała ochotę się rozpłakać i wołałaby, żeby jej przeszło, ale czuła też, że Yskandrowi... było przykro i żałował, że nie mogą mieć innego życia, w którym takie rzeczy by się nie zdarzały...

<To projekcja, Mahit. I uzalanie się nad sobą>.

Jest już bardzo późna noc, jestem na teixcalaanlijskim okręcie wojennym i pokłóciłam się z przyjaciółką tak bardzo, że teraz nie chce wrócić do kabiny, w której przebywam. W dodatku jestem podwójnie wygnana, z domu i z Teixcalaanu, który nigdy nie mógłby się stać moim domem. I bolą mnie dłonie. Mam prawo uzalać się nad sobą.

<Nie jesteś wygnana> zaprzeczył Yskandr z zimną stanowczością, która skłoniła Mahit do naciskania na niego, jakby obmacywała bolący siniak.

Niby dlaczego?

<Tym, co obiecałaś Taratsowi, kupiłaś nam Lsel. A jeśli pogodzisz się z przyjaciółką, będziesz miała Teixcalaan. Dowolnie wybrane miejsce w Imperium>.

Dowolnie wybrane miejsce na całym świecie. Tak to brzmiało w języku, w którym zwykli rozmawiać w prywatności swego wspólnego umysłu. To nie był ojczysty język żadnego z nich, był jednak językiem Imperium. Obojgu najlepiej się w nim myślało.

Niczego nam nie kupiłam. Zostałam szpiegiem, to wszystko. Jestem jego

oczami. Spogląda przeze mnie Darj Tarats. Nie obiecał mi żadnej nagrody. A jeśli opowiem mu o konflikcie między yaotlek a kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy, zażąda ode mnie czegoś gorszego niż szpiegowanie. To będzie jego sabotaż. Kaze mi zwrócić je przeciwko sobie, sparaliżować tę flotę i zmusić Dziewiętnaście Ciesak do przysłania kolejnych legionów, które nie będą tak skłócone ze sobą. To nie byłoby trudne. Szesnaście Wschód-Księżycy szuka jakiegoś narzędzia, a ja świetnie się nadam. Poprzestała na tym. Nie chciała mówić o Trzy Trawie-Morskie z Yskandrem, podobnie jak nie chciała rozmawiać o niej z Szesnaście Wschód-Księżycy. Zapewne oznaczało to, że w ogóle nie chciała o niej myśleć, jako że Yskandr cały czas siedział w jej głowie.

<Słyszę cię> poinformował ją odległym głosem, w którym pobrzmiwała ironia. <Nie jesteś niczymi oczami, dopóki nie złożysz raportu. Niczymi oczami ani niczyją sabotażystką>.

Tak usprawiedliwiłaś przed sobą odmowę powrotu na Lsel? Dopóki nie złożyłaś raportu, zachowywałaś niezależność? To bardzo słabe wytłumaczenie, Yskandr. A przed chwilą powiedziałaś, że nie jesteśmy wygnańcami.

<Wygnanie to nie jest coś, na co sami się skazujemy>.

Pod tym względem się mylił. Wygnanie pojawiało się w sercu i w umyśle na długo przed tym, nim dotknęło ciała, które przemieszczało się w przestrzeni i przekraczało granice. Na tę myśl jej dłonie przeszły ukłucie neuropatycznego bólu, docierające przez nerwy aż do łokci. Pomyślała, że to kara, ale ból dotknął również jego. Dotknął ich oboje, ponieważ byli jedną osobą. Neurologiczne uszkodzenia wywołane przez sabotaż Aknel Amnardbat nie były ich winą. Nawet jeśli objawy pojawiły się w chwili, gdy znalazła jedno z bolesnych pęknięć w ich integracji.

I tak nie mam pojęcia, jak mogłabym wysłać Taratsowi wiadomość z samego serca teixcalaanlijskiego okrętu flagowego — pomyślała. To było coś w rodzaju przeprosin. Oferta: czy możemy na razie o tym zapomnieć i skupić się na sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy?

W odpowiedzi wypełniła ją fala ciepła. Poczuła, że być może uda się jej zasnąć. To było łagodne zmęczenie, dar układu wewnątrzwydzielniczego. Zamknęła oczy. Zwinęła się na boku, zwrócona twarzą do ściany. Splotła dłonie na piersiach i wypuściła powietrze z płuc.

Wtem obudziło ją łomotanie do drzwi. Nagły wypływ adrenaliny przywrócił jej pełną świadomość.

W pierwszej chwili pomyślała, że Trzy Trawa-Morska jednak wróciła. Niemniej zostawiła plastifolię z hasłem na miejscu i nie zmieniła hasła. Emisariuszka mogłaby sama wejść do środka. To był ktoś inny. Zsunęła nogi w dół, znalazła stopami dolną koję i zeszła ostrożnie na podłogę. Nie była odpowiednio ubrana na coś takiego. Luźne kuloty i góra od pizamy w żaden sposób nie mogły uchodzić za oficjalny strój. Ani teixcalaanlijski.

<Włóż żakiet. Nadal wisi na oparciu krzesła> poradził jej Yskandr. Była mu bardzo wdzięczna. Żakiet jej pomógł. Pozwolił jakoś uporządkować sytuację. Czuła ciężar *Niebezpiecznej granicy!* uciskający jej żebra.

Łomotanie rozległo się znowu. Usłyszała krzyki, stłumione przez hermetyczne, metalowe drzwi, które brzmiały jak: *Emisariuszko! Ambasadorko!*

Nie miało sensu udawać, że jej tu nie ma. Jeśli otworzy drzwi, nie stanie się przez to mniej bezpieczna. To nie był Klejnot Świata, Stacja Lsel ani żadne inne znane jej miejsce. To był teixcalaanlijski okręt wojenny, na zewnątrz nie było nic poza próżnią, znacznie bliższą niż na Stacji. Statki kosmiczne były mniejsze. Ich załogi nie były ludami, choć mogły tworzyć społeczności. Nawet jeśli składały się z pięciu tysięcy ludzi, nie można tu było zniknąć. (Zwłaszcza na teixcalaanlijskim okręcie. Mahit nie znalazła jeszcze kamer obserwacyjnych, ale wiedziała, że ją śledzą, nawet jeśli nie było tu Słońce Imperium, analizujących zebrane przez nie dane).

Otworzyła drzwi. Stał za nimi żołnierz, mężczyzna średniego wzrostu, ostrzyżony na sposób modny w teixcalaanlijskiej Flocie. Niska granica włosów podkreślała fakt, że zaczesał je do tyłu i splótł w ciasny warkocz kłos.

— Ambasadorko — odezwał się. — *Yaotlek* chce, żebyście obie z emisariuszką natychmiast przybyły na mostek. Kazała mi powtórzyć wam, że wiadomość spotkała się z odpowiedzią i bezzwłocznie potrzebuje następnej.

Przebiegł ją dreszcz ekscytacji — od ud, poprzez nerw błędny, aż do gardła. To był smak zwycięstwa, bardziej ostry i słodki niż wszystko, co pamiętała. Udało się, rozgryzły to, obcy im odpowiedzieli. Mahit uśmiechnęła się po stacyjnemu, odsłaniając zęby. Żołnierz wzdrygnął się lekko, ale nie przejmowała się tym. Miała powody do radości. Obie z Trzy Trawą-Morską nawiązały pierwszy kontakt. Cała reszta — ich kłótnia, Szesnaście Wschód-Księżyca, Darj Tarats, a nawet sama wojna — traciła znaczenie w porównaniu z tym. Przynajmniej w tej chwili.

— To fantastycznie — stwierdziła. — Prawdziwa rewelacja.

To może być największe osiągnięcie w jej życiu. Lista osób, którym udało się nawiązać kontakt z nieznanym dotąd gatunkiem obcych zdolnych do podróży w kosmosie składała się w tej chwili z cesarz Dwa Plamy-Słonecznej (i tych, którzy jej pomagali, oczywiście), Trzy Trawy-Morskiej i Mahit Dzmare. To było przerażające. Zdumiewające. Była bliska hysterii czy może radosnego śmiechu, łez albo... nigdy nawet o tym nie marzyła, nawet nie przystępowała do testów predyspozycji do astrobiologii, a językoznawstwo zawsze dotyczyło ludzkich języków, ale... och, udało się!

— Gdzie jest emisariuszka? — zapytał żołnierz, przerywając ekstazę Mahit i strącając ją z powrotem w szarą, przygnębiającą rzeczywistość, w której z własnej winy straciła jedyną przyjaciółkę (o ile w ogóle można było wpasować Teixcalaanlitzlim do takiej kategorii jak „przyjaciele”, to właśnie było przerażające sedno sprawy, nieprawdaż?).

Wzruszyła ramionami.

— Czy nie przydzielono jej do tej kabiny? — kontynuował żołnierz, sprawdzając coś w łączy chmurowym.

— Tak, ale w tej chwili jest nieobecna.

— Jest druga w nocy — stwierdził ze zdziwieniem żołnierz, po czym uniósł jeden bark i zaraz go opuścił, jakby chciał w ten sposób wyrazić, że agenci Informacji najwyraźniej śpią w dziwnych godzinach. To byłaby tylko jedna z wielu ich osobliwych cech. — Hmm. Wiesz, kiedy wróci? *Yaotlek* chce zobaczyć na mostku was obie. Bezzwłocznie.

— Nie wątpię w to — odparła Mahit. — Ale jestem tu tylko ja. Sugeruję, żebyś zrobił użytek z waszych kamer i algorytmu wyszukiwania łącza chmurowego, żeby ją znaleźć. Spróbuj szukać w barach albo w parkach, bądź terenach rekreacyjnych, gdzie są kwiaty, jeśli macie na okęcie coś takiego. Ona lubi takie miejsca. Tymczasem włożę na siebie coś, w czym będę mogła pokazać się na mostku. Proszę chwilkę poczekać.

Cofnęła się o krok i drzwi, niepowstrzymywane już jej bliskością, zasunęły się przed nosem żołnierza.

<Bary i tereny rekreacyjne, gdzie są kwiaty?> zapytał Yskandr z lekkim niedowierzaniem.

Mahit celowo przypomniawszy sobie — to była umiejętność, której sens w pełni zrozumiała dopiero po otrzymaniu imago, mimo że jej podstaw uczono wszystkie dzieci na Lsel, ponieważ mogła im się w przyszłości przydać — ściśle określoną chwilę z przeszłości, tworzącą kontekst dla podejmowanej czynności albo uczucia, które właśnie się pojawiło. To ćwiczenie demonstrowało twój sposób myślenia, wzorce twojego umysłu, by twoje imago mogło się ich nauczyć, wzorować się na nich i utrwalić je we własnych regularnościach. Ścieżka do wspólnej neuroplastyczności. Przywołała ogrody na Czwartym Placu Centralnym, smak zielonych lodów i woń trawy zgniecionej przez złożone ramiona śpiącej Trzy Trawy-Morskiej. Przywołała też wspomnienie Dwanaście Azalii mówiącego jej, że w takie właśnie kłopoty zawsze pakowała się jego przyjaciółka, gdy razem studiowali w akademii. Wałęsała się po ogrodach i jadła lody na śniadanie po przerażających, niebezpiecznych przeżyciach.

<Już za nią tęsknisz?> zauważył Yskandr.

Miał rację. Tęskniła za nią okropnie, choć nie była z tego zadowolona.

<Ten żołnierz nie będzie czekał bez końca> ciągnęło jej imago, wchłaniając w siebie tęsknotę Mahit za przyjaciółką, cokolwiek mogła znaczyć dla niego czy dla nich obojga, by umieścić tę informację obok ważniejszych problemów. Podobnie potraktował przedtem kwestię wygnania. Bardzo dobrze radzili sobie z kompartmentalizacją. <Znajdzie ją. Mają kamery w każdym zakamarku. Ubierz się. Włóż coś efektownego. Wyrazistego. O ostrych liniach. Wiem, że masz takie stroje>.

Mam wyjściowy strój, który pasuje do tego opisu. Przywiozła ze sobą tylko jeden — długi i czarny, o architektonicznej konstrukcji, ostre kąty bez fałdów, odsłaniający obojczyki i z rękawami aż do nadgarstków. Zabrała go ze sobą również do Miasta, ale nie włożyła go ani razu. W ogóle nigdy go nie nosiła.

<Nie ten. Coś bardziej praktycznego>.

Yskandr, czy w ogóle wiesz, jakie są rodzaje ubrań dla ludzi o kobiecej budowie ciała?

<Ty to wiesz, więc ja również. Wiem wszystko to, co ty, a poza tym mam też pewną wiedzę o nieco zdezaktualizowanej modzie w Mieście>.

To znaczyło, że oboje czują się pewniej w teixcalaanlijskim stylu. Na Lsel Mahit nosiła to samo co wszyscy, spodnie, żakiety i rozmaite podkoszulki lub bluzki, przeważnie szare, czarne bądź białe.

<Białe> zasugerował Yskandr. <Całkowicie białe, jeśli to możliwe>.

Jak Dziewiętnaście Ciesak.

No cóż, mogłaby wybrać gorzej.

<Znacznie gorzej>.

Gdy otworzyła drzwi, miała na sobie białe spodnie, asymetrycznie udrapowaną koszulę i kusy żakiet w lselskim stylu (*Niebezpieczną granicę!* musiała zostawić w poprzednim, pod tym by się nie zmieściła). Żołnierz nadal na nią czekał, dokładnie w takiej samej pozycji, jak przedtem. Gapił się na nią przez dłuższą chwilę. Zastanawiała się, czy pomyślał o Dziewiętnaście Ciesak, *ezuazuacat* Dziewiętnaście Ciesak w jej nieskalanie białych strojach, nim

jeszcze skapała się we krwi i stała się odpowiednią kandydatką do tronu słonecznych włóczni.

— Znalazłeś emisariuszkę? — zapytała od niechcienia.

— Nie osobiście — odparł. — Okręt ją znalazł. Jesteś gotowa, ambasadoro, czy potrzebujesz zrobić coś jeszcze?

Nawet jeśli pomyślał o Dziewiętnaście Ciesak, nie przeszkadzało mu to drwić z barbarzynki i okazywać jej zniecierpliwienie.

— Zaprowadź mnie tam — odparła Lselka. — Szybko. Podejrzewam, że obcy nie będą czekali długo, nim dojdą do wniosku, że nie umiemy powiedzieć nic więcej niż „cześć”.

Gdy Trzy Trawa-Morska weszła na mostek, dopadła ją dezorientacja i zawroty głowy. Obok *yaotlek*, tuż przy stanowisku oficera łącznościowego stała wysoka kobieta o krótkich ciemnych włosach, odziana całkowicie w biel i bez reszty panująca nad sobą. Emisariuszka była w pełni świadoma swych procesów myślowych, analizujących to, co widziała. To z pewnością nie była *ezuazuacat* Dziewiętnaście Ciesak, która kiedyś mogła zostać jej patronką, a teraz niewątpliwie była cesarzem. To było niemożliwe z trzech powodów. Jej Promienność nie mogłaby dotrzeć tu z Miasta tak szybko (Trzy Trawa-Morska świetnie poznała najszybszą możliwą drogę, a do tego pojawienie się cesarskiego statku w niektórych z tych portów mogłoby wywołać mnóstwo kłopotów); nikt nie okazywał tej kobiecie szacunku należnego cesarzowi; a wreszcie, no cóż, to była Mahit Dzmare, nie Dziewiętnaście Ciesak.

Jej loki muskały kołnierz białego żakietu. To niewątpliwie była Mahit.

Mimo to Trzy Trawa-Morska czuła się, jakby zadano jej cios w splot

słoneczny. Nie mogła oddychać, a nałożenie się obrazów zbiło ją z nóg. Nie miała pojęcia, w co gra Mahit, ale stawki musiały być wysokie.

Dlaczego, na wszystkie słońca i krwawiące gwiazdy, wdała się z nią w tę głupią kłótnię? A potem nie wróciła do kabiny? Chciała być w to wtajemniczona. Powinna być. Ale zamiast tego spóźniła się na coś, co mogłoby być najważniejszym aktem komunikacji w jej życiu i do tego miała na sobie wczorajszy mundur, cały pokryty włosami kauraańskiego kotka i z jednym rękawem zupełnie mokrym. Przez całą senną zmianę rozmawiała z ludźmi z Dziesiątego Legionu i nie jadła nic poza zapiekany makaronem, aż wreszcie znalazł ją żołnierz na czynnej zmianie i pośpiesznie zaprowadził na mostek.

Gdzie znalazła swoją ambasadorkę, już zajęta pracą i ubraną w pięknie zaprojektowany biały strój. Poczowała ucisk w klatce piersiowej. To było niedogodne. W najlepszym razie.

— *Yaotlek!* — zawołała do odległej jeszcze Dziewięć Hibiskus, modulując głos tak, żeby niósł się daleko, a jednocześnie okazywał możliwie wiele szacunku. — Przepraszam za spóźnienie. Zatrzymał mnie epizod z kotkiem. Widzę jednak, że znalazłaś się już w biegłych rękach ambasadorki.

Tak jest. To był jakiś początek. Niewykluczone nawet, że Mahit jej wybaczy, choć w niewielkim stopniu, jeśli będzie ją traktowała jak całkowicie równą sobie. To najwyraźniej było sedno całej tej nieszczęsnej sprawy.

Dziewięć Hibiskus zwróciła się w jej stronę, ale Mahit tego nie zrobiła. Pochyliła głowę ku oficerowi łącznościowemu. (Trzy Trawa-Morska skonsultowała się z łączem chmurowym. Kobieta nazywała się Dwa Piana i była *ikantlosem* pierwszej klasy. Do tej informacji dołączono długi przebieg służby, którego emisariuszka w tej chwili nie potrzebowała. Interfejs Ministerstwa Wojny służący do sprawdzania danych osobowych był bardzo nieprzyjazny w porównaniu ze stosowanym przez Informację. Przynajmniej jednak udało się jej uzyskać dostęp do sieci pokładowej). Mahit wykonała

szybki gest w powietrzu, jakby chciała nakreślić orbitę koniuszkami palców. Dwa Piana skinęła głową.

— Spójrz na swoje dzieło — rzekła *yaotlek*. Trzy Trawa-Morska przestała gapić się bez sensu na Mahit i spojrzała na żywego nieprzyjaciela, którego ujrzała po raz pierwszy.

A przynajmniej spostrzegła jego okręty. W ich wnętrzu zapewne kryli się żywi obcy. Pierścienie ich jednostek obracały się powoli na granicy pola widzenia „Ciężarka u Koła”. Duży statek i mały. Emisariuszka pomyślała, że są dziwnie piękne, podobnie jak okrągłe paszcze jaskiniowych ryb. To było nieludzkie, niepokojące piękno, ale przynajmniej ich symetria wyglądała atrakcyjnie. Jeśli lubili symetrię, byli ssakami i postanowili im odpowiedzieć, no cóż, z tym potrafi sobie poradzić, prawda? Pewnie, że potrafi.

— Co przekazaliśmy im w odpowiedzi? — zapytała, zbliżając się do Dziewięć Hibiskus. Ominęła ją, Dwa Pianę i Mahit, zatrzymując się przed wypukłymi oknami. Tylko cztery warstwy plastistali dzieliły ją od próżni, a tylko próżnia od obcych.

— Że odebraliśmy naszą wiadomość odtworzoną przez nich, po czym, ponieważ przez dobre dwadzieścia minut nie mieliśmy do dyspozycji ciebie ani ambasadorki, przełączyliśmy się z Dwa Pianą na przekaz wizualny. Jeśli nas odbierają i chcą rozmawiać, z pewnością zobaczą obrazy, które prześlemy na tych samych kanałach.

Dziewięć Hibiskus podeszła bliżej i stanęła obok niej jak potężny, niewzruszony posąg, jak gwiazda, wokół której orbitują satelity. Trzy Trawa-Morska gorzko żałowała, że straciła tyle czasu na próby pozbycia się kotka i uzalanie się nad sobą. Wolałaby nawet skrócić nieco rozmowę z Czternaście Kolec o tym, jak wspaniała jest *yaotlek*, i wcześniej przyjść na mostek, nawet jeśli Dwadzieścia Cykada uwolnił ją od bezpośredniej odpowiedzialności w tej sprawie. Czternaście Kolec miała rację. *Yaotlek* była wspaniała. Potrafiła spowodować, że inni chcieli zrobić to, o co ich poprosi, nim jeszcze usłyszą, co to ma być.

— Z moim skrajnie ograniczonym słownictwem, w dodatku zależnym od pomocy maszyn, obrazy są łatwiejsze niż próby mówienia w ich języku — przyznała Trzy Trawa-Morska. — Co więcej, obcy mają oczy działające na takich samych zasadach, jak nasze, sądząc po tym, czego dowiedzieliśmy się podczas autopsji. Jak wygląda ten przekaz?

— Dwa Piana właśnie go rysuje — odpowiedziała Dziewięć Hibiskus. — Twoja ambasadorka jej pomaga. Dobrze rozumie mechanikę orbitalną. To interesujące.

— Wychowała się na stacji kosmicznej.

Yaotlek uniosła jeden bark w geście sugerującym, że nawet jeśli ktoś mieszka w kosmosie, to jeszcze nie gwarantuje, że rozumie rządzące nim prawa. Trzy Trawa-Morska pomyślała, że jest w tym trochę racji.

— Emisariuszko — odezwała się *yaotlek* — nim wyślemy tę wiadomość, chciałabym zapytać, czy ty i ambasadorka jesteście gotowe spotkać się z tymi stworzeniami. Oczywiście zapewnimy wam odpowiednią eskortę.

— Chcesz je zaprosić na pokład? — zapytała Trzy Trawa-Morska pozbawionym wyrazu głosem, wspominając jednocześnie, z przyprawiającą o mdłości jaskrawością, wszystkie te holoobrazy okrutnie pomordowanych mieszkańców *Peloa-2*.

— Z pewnością nie — zaprzeczyła *yaotlek*.

— Bez lepszego porozumienia — ciągnęła ostrożnie emisariuszka — wolałabym nie negocjować na ich okręcie, bez względu na to, czy będzie mi towarzyszyła ambasadorka, wojskowa eskorta czy nawet ty. To byłaby poniekąd demonstracja słabości.

Co więcej, nie ufała tym pięknym paszczom ryb jaskiniowych, wirującym w przestrzeni. Naoglądała się już wystarczająco wiele fizycznych skutków aktywności obcych i nasłuchiwała się produkowanych przez nich dźwięków. To wystarczyło jej na całe życie, i to bez wzmacniającego działania, jakie mógł wywierać materiał, z którego zbudowano ich okręty.

— To dziwne — zauważyła Dziewięć Hibiskus. — Ambasadorka

odpowiedziała tak samo, prawie słowo w słowo. Emisariuszko, nie sądź, że nic nie wiemy o sztuce negocjacji, tylko dlatego, że jesteśmy Flotą. Wysyłamy was na Peloa-2. Zapewne obcy również przyślą tam swoich przedstawicieli. To przynajmniej próbuje narysować Dwa Piana.

W otchłani, wśród wypatroszonych. *Cudownie.*

— Pokażcie mi to — zażądała Trzy Trawa-Morska i wzięła się w garść, by podejść bliżej do Mahit i musnąć przepraszająco jeden z jej nieskazitelnie białych rękawów.

Lselka nie powiedziała jej „cześć”, ale przesunęła się nieco, żeby zrobić jej miejsce przy holoekranie, przy którym pracowała Dwa Piana. Oficer łącznościowy z pewnością potrafiła rysować. Nakreśliła dwóch maleńkich ludzi oraz dwóch równie małych obcych, bardzo podobnych do martwego stworzenia leżącego w laboratorium medycznym. Poniżej sylwetek znajdował się płaski, statyczny obraz Peloa-2, skopiowany z holoobrazu. Trzy Trawa-Morska przyglądała się, jak obcy i ludzie opadają po równoległych łukach na powierzchnię planety (Mahit nakreśliła ich orbity jednym ruchem ręki) i stają naprzeciwko siebie. Skala była całkowicie błędna. Ani ludzie, ani skłonni do wypruwania wnętrza obcy nie mieli kilku kilometrów wzrostu, nawet jeśli prowadzili negocjacje o kluczowym znaczeniu.

— Musisz pokazać też statki — odezwała się emisariuszka. — Nasze i ich. Żeby było oczywiste, że chcemy rozmawiać z tymi, którzy tu są.

Pierścienie obu statków wirowały. Wirowały, ale jeszcze nie ruszały się z miejsca. Cały czas przekazywały samowzmacniające się odtworzenie wiadomości skomponowanej przez Trzy Trawę-Morską i Mahit. *Chodźcie porozmawiać. Chodźcie porozmawiać. Dla obopólnego dobra.*

Lselka skinęła głową.

— Ma rację. Oba okręty. A kiedy dotrą do Peloa-2... kiedy dotrą do Peloa-2... znasz symbol objętości? Rosnącej objętości?

Dwa Piana popatrzyła na Lselkę, jakby ta powiedziała coś w swoim

nierozumiałym języku, zamiast użyć w pełni odpowiedniego teixcalaanlijskiego zdania.

— Masz na myśli znak crescendo? — zapytała. — Jeśli chcesz, mogę go narysować...

Na twarzy Mahit pojawiła się wyrażająca dziwną wesołość mina. Trzy Trawa-Morska nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała ją u niej w Mieście. Po raz kolejny zadała sobie pytanie, czy właśnie ujrzała tę drugą osobę, poprzedniego ambasadora Stacji Lsel, Yskandra Aghavna, który umarł i narodził się ponownie jako maszyna. (Co gorsza, z uwagi na nieodpowiednią chwilę, w której nadeszła ta myśl, nagle zapłonęła w niej nadzieja, że wcale nie pokłóciła się z Mahit, tylko z Yskandrem, i wszystko będzie mogło wrócić do poprzedniego stanu. To by było piękne. Ale w rzeczywistości piękne rzeczy zdarzały się rzadko, więc może powinna szybko o tym zapomnieć).

— Ten znak składa się z jedenastu pociągnięć i nawet nie przypomina fali dźwiękowej, *ikantlos* — odparła ambasadorka. — Z pewnością nie chodzi mi o crescendo. Pokażę ci.

Zamiast rysować orbitę w powietrzu, wykonała gest złożoną w garść dłonią, kreśląc nią najpierw małą krzywą, później większą, a wreszcie jeszcze większą. Jak stożek dźwięku.

— Aha — odrzekła Dwa Piana. — Objętość. Oczywiście.

Trzy Trawa-Morska naprawdę powinna załatwić dla Mahit łącze chmurowe, które umożliwi jej manipulowanie holoobrazami, ale, na krwawiące gwiazdy, właściwie go nie potrzebowała. Dwa Piana narysowała dokładnie to, czego od niej chciała, trzy łukowate krzywe przypominające złożoną dłoń — najpierw małą, później większą, a wreszcie największą, wysyłane przez obcych i ludzi, gdy ich sylwetki stanęły na powierzchni Peloa-2. Jakby ze sobą rozmawiały.

— Świetnie — odezwała się emisariuszka. — To mi się podoba. Coś jeszcze, Mahit, czy nadajemy to?

Nadajemy i przygotowujemy się do lotu. Nie będziemy miały czasu się pogodzić. Może tak będzie łatwiej.

— Czekają już wystarczająco długo — stwierdziła Mahit. — Wyślijcie to. Sprawdźmy też, jak wiele sprzętu nagrywającego uda się przewieźć na powierzchnię. I czy Flota ma jakieś naprawdę skuteczne środki przeciwwymiotne?

— Musisz zapytać medyków — odparła Dwa Piana.

— Niech ktoś inny to zrobi — stwierdziła Mahit. — Ja nie mogę z nikim rozmawiać. Nie jestem obywatelką.

Odsłoniła zęby w przerażającym i stanowczo zbyt pięknym uśmiechu, wskazując na swe oczy, na których nie było łącza chmurowego.



— Rozczarowałeś mnie, Leku — oznajmił Jedenaście Wawrzyn. Osiem Antidotum skulił się tak gwałtownie, że omal nie zleciał z ławki, na której siedział, wpadając do lśniącego stawu w ogrodzie pod Pałacem-Ziemia. *Plusk, jeden mokry chłopiec i mnóstwo zniszczonych lilii wodnych z połamanymi różowymi płatkami.*

— Nie lubię, gdy ktoś zakrada się do mnie niespodziewanie — oznajmił zgodnie z prawdą, choć nie powinno się mówić czegoś takiego nauczycielowi, który był rozczarowany. Niemniej Osiem Antidotum był przekonany, że jest sam.

— Musisz być uważniejszy — stwierdził Jedenaście Wawrzyn. — Łatwo cię zauważyć na otwartej przestrzeni i nie rozglądasz się wystarczająco. Czy w Pałacu-Ziemia nie nauczyli cię niczego na temat dbania o własne bezpieczeństwo?

— Mam jedenaście lat — bronił się Osiem Antidotum. — Umiem kopnąć osobę o męskiej budowie między nogami albo wykręcić komuś rękę, aż krzyknie z bólu, ale mam niską masę i wzrost, a poza tym obserwuje mnie całe

Miasto. Nie widziałeś kamer? Jeśli ktoś mnie porwie, Słońca Imperium zaraz mnie uwolnią.

— Mam taką nadzieję — odparł Jedenaście Wawrzyn. Podszedł bliżej i usiadł obok Osiem Antidotum. Jego bardzo długie kończyny złożyły się spektakularnie. Ławka była za wysoka dla chłopca, ale za niska dla niego. Jego kolana sterczały ku górze. — To byłoby bardzo niedobre dla Teixcalaanu, gdyby Słońca Imperium nie zareagowały na porwanie następcy tronu.

Osiem Antidotum zadał sobie pytanie, czy to miała być groźba. Odnosił wrażenie, że może tak być, ale nie rozumiał, na czym miałyby ona polegać ani dlaczego podsekretarz postanowił mu zagrozić akurat w tej chwili. Może chciał zasugerować, że Słońca Imperium nie są godne zaufania albo mogą w przyszłości takie się stać, jeśli Osiem Antidotum nie przestanie go rozczarowywać. Obie możliwości były złe. Przeróżające.

— Czym cię rozczarowałem? — zapytał.

Jedenaście Wawrzyn westchnął przeciągle.

— Jeśli kogoś, młodego czy starego, doświadczonego czy nie, zaprasza się na spotkanie, na jakim byłeś obecny, Leku, spotkanie, na którym ludzie z jednego Ministerstwa dają wyraz podejrzliwości w stosunku do drugiego, a następnie ten ktoś udaje się prosto do tego drugiego Ministerstwa, jawnie i bezwstydnie... no cóż, w takim przypadku ten ktoś musi być bardzo młody, bardzo głupi albo zupełnie niegodny zaufania. Albo wszystkie te trzy rzeczy naraz. Mam nadzieję, że w twoim przypadku prawdą nie jest to ostatnie.

— Kazałeś mnie śledzić.

— Jak już wspominałem, nie jesteś wystarczająco czujny. Umiesz się skradać, Ekscelencjo, ale kiedy w biały dzień wchodzisz do któregoś z ministerstw frontowymi drzwiami, dowiaduje się o tym cały Pałac. Zwłaszcza jeśli chodzi o Ministerstwo Informacji.

Osiem Antidotum wolał, jeśli nazywano go „Lekiem” niż „Ekscelencją”, ale być może nie zasługiwał w tej chwili na poufale imię. Najwyraźniej

popęłnił głupi błąd. Najgorszy rodzaj błędu. Taki, o którym nie wiemy, że jest błędem, i dlatego nie jesteśmy w stanie go uniknąć.

— Pewnie nie byłbyś bardziej zadowolony, gdybym zakradł się tam przez przewody wentylacyjne — odparł.

Jedenaście Wawrzyn odchrząknął, jakby próbował stłumić śmiech.

— Nie byłbym — przyznał. — Byłbym znacznie bardziej niezadowolony. Wtedy wiedziałbym, że chciałeś się tam dostać potajemnie. Twoja otwartość pozwoliła mi wstrzymać się z osądem. A teraz powiedz mi, co opowiedziałeś Informacji o tym, czego dowiedziałeś się w Ministerstwie Wojny.

— Nic — odpowiedział Osiem Antidotum, starając się, by w jego głosie zabrzmiało oburzenie i nie było w nim piskliwego, dziecinnego tonu. — Skonsultowałem się z podsekretarzem, by dowiedzieć się więcej o zasadach międzygwiazdnej komunikacji i w ten sposób lepiej zrozumieć to, co usłyszałem w Ministerstwie Wojny.

— To brzmi wiarygodnie — przyznał Jedenaście Wawrzyn, ale nie dodał nic więcej.

Chłopiec znał tę sztuczkę. Poznał ją dzięki Dziewiętnaście Ciesak i swoim nauczycielom, sam zaledwie przed godziną użył jej w rozmowie z Jeden Cyklamenem. Miała go skłonić, by sam wpakował się w kłopoty, mówiąc dalej i tłumacząc się coraz bardziej, by przerwać krępujące milczenie. Nie da się na to nabrać. Nie tym razem. (Poczuł się naprawdę niezadowolony, że Jedenaście Wawrzyn próbuje manipulować nim w ten sposób, jakby Osiem Antidotum był tylko narzędziem, nie żywą osobą. Nie powinien się jednak czuć zaskoczony. Ludzie tacy jak trzeci podsekretarz nie mieli przyjaciół, nawet dorosłych. Nie będzie płakał. Nawet nie pociągnie nosem, co by zasugerowało, że płacz był możliwy).

— Czy rozczarowałem cię jeszcze w jakiś inny sposób? — zapytał.

Jedenaście Wawrzyn poklepał go po ramieniu w krótkim, niemal ojcowskim geście.

— Jak dotąd nie. Postaraj się być bardziej uważny, zgoda? Dobrze by było,

gdybyś dożył chwili, gdy zostaniesz cesarzem.

Wstał, otrzepał spodnie z kurzu, poprawił w ogóle tego niewymagające mankiety i oddalił się. Osiem Antidotum miał ochotę zawołać za nim: „To nie jest droga do wyjścia”, powstrzymał się jednak. Albo Jedenaście Wawrzyn miał ochotę pospacerować w labiryncie lilii, albo nie. Osiem Antidotum nie miał obowiązku mu pomagać. Wstał i kopnął bryłę darni, wrzucając ją do stawu. Wiedział, że takie zachowanie świadczy o braku panowania nad sobą i jest ekologicznie nieodpowiedzialne, ale nic go to nie obchodziło. Ruszył prosto na opóźnione spotkanie z Jej Promiennością cesarzem. Jeśli ktoś, kto z pozoru go lubił, oskarżał go o szpiegowanie, mógł przynajmniej trochę poszpiegować. Dziewiętnaście Ciesak z pewnością będzie chciała się dowiedzieć, że lselska ambasadorka pojawiła się niespodziewanie na polu walki.

I być może również o tym, że Jedenaście Wawrzyn sugerował minister Trzy Azymut, iż cesarz nie ufa Ministerstwu Wojny. Opowie jej o tym. Jedenaście Wawrzyn dostanie za swoje.

INTERLUDIUM

Dekakel Onchu nie jest osobą, która przejmuje się protokołem albo zawraca sobie głowę kanałami komunikacji, gdy może osiągnąć cel, po prostu wykorzystując własny autorytet. Jest radczynią pilotów, jej linia imagowa jest najstarsza ze wszystkich na Stacji Lsel. Czasami, gdy zmęczenie dokucza jej naprawdę mocno, jej sny sięgają czternaście pokoleń wstecz do skomplikowanych obliczeń, które umożliwiły doprowadzenie wędrownego świata do punktu, w którym będzie wreszcie mógł się zatrzymać i stać się prawdziwym domem dla wszystkich zamieszkujących go podróżników. Kiedy się budzi, nigdy nie pamięta liczb, przypomina sobie jednak, że była kimś, kto potrafił je odnaleźć.

To daje jej wystarczający autorytet, by mogła po prostu wejść do gabinetu Aknel Amnardbat, bez zapowiedzenia czy umawiania się. Ma zamiar zadać jej kilka pytań i chce natychmiast usłyszeć odpowiedzi. Koniec z wykrętami w sprawie sabotażu. Radczyni Amnardbat nie będzie miała szans wymknąć się ukradkiem i odmówić rozmowy z drugą członkinią Rady, jak zrobiła to w hangarze, gdy bezceremonialnie pozwoliła teixcalaanlijskiej emisariuszce niemalże uprowadzić Mahit Dzmare.

Amnardbat siedzi za biurkiem. Nie okazuje zaskoczenia, gdy do środka wchodzi Dekakel. Być może sekretarz zdołał ją ostrzec. Dekakel nie siada na krześle, nawet gdy Amnardbat je wskazuje. Gdyby tak zrobiła, uznałaby, że są równymi partnerkami, a już w to nie wierzy.

— W czym mogę ci pomóc, radczyni? — pyta Amnardbat.

— Możesz mi wyjaśnić, dlaczego pozwoliłaś Mahit Dzmare wsiąść do tego wahadłowca, choć przedtem przekonałaś ją, że chcesz ją tu zatrzymać, tak skutecznie, że przyszła do mnie, prosząc o pomoc? Możemy zacząć od tego, radczyni.

Twarz Aknel Amnardbat łatwo przybiera wyraz opanowanego, przepojonego pewnością siebie niesmaku. Jej loki i atrakcyjne, wysoko osadzone kości policzkowe wspierają wyraz, który demonstruje teraz radczyni pilotów.

— Nie obchodzi mnie, co się z nią stanie, pod warunkiem, że nie będzie jej na tej Stacji. Jest mi to całkowicie obojętne. Chcę, żeby ta linia imagowa zniknęła ze Stacji i przestała wypaczać wszystko, czego dotknie. Jeśli ta Teixcalaanlitzlim chce ją sobie zabrać, to proszę bardzo.

Dekakel nie pozwala sobie na szok. *Ta linia imagowa. Aghavn i Dzmare. Wypaczać wszystko, czego dotknie.* Nic dziwnego, że Amnardbat dopuściła się sabotażu. Chciała zabić całą linię imagową, a ta linia składała się tylko z jednego imago, jeśli nie liczyć Tsagkel Ambak, a Dekakel jej nie liczyła. Ambak nie była ambasadorką, tylko negocjatorką, a w dodatku nie żyła już od dawna. Niechęć Yskandra do powrotu na Lsel zdecydowała o jej losie. Sabotaż — i niech Imperium robi, co chce, z tym, co zostanie. To prawdopodobnie zabiłoby jej osobowość.

— A gdyby postanowiła zostać na Stacji? Co wtedy byś z nią zrobiła?

— Czemu pilotów miałyby obchodzić, co robi Dziedzictwo z linią imagową? To nie twoja jurysdykcja, radczyni Onchu.

— Pilotów zawsze obchodzi, co robi Dziedzictwo — warczy w odpowiedzi Dekakel. — Dlatego, że Dziedzictwo zajmuje się również naszymi liniami. Powiedz mi, Aknel, że nigdy nie podejmujesz jednostronnych decyzji dotyczących tego, które linie należy podtrzymywać, a które są skażone, powiedz mi, że tak jest naprawdę, a pójdę sobie stąd i zostawię cię w spokoju.

— Jestem radczynią dziedzictwa — odpowiada Aknel Amnardbat. — Moim mandatem jest obrona Stacji Lsel. Kwestionujesz ten mandat, czy sposób, w jaki go spełniam?

— Nie zaprzeczyłaś temu.

Amnardbat patrzy na nią i powoli, wyzywająco wzrusza ramionami.

— Czasami, radczyni, trzeba podejmować decyzje, które ratują nie tylko

nasze życie i suwerenność, lecz również poczucie tego, kim jesteśmy. To właśnie jest zadaniem Dziedzictwa. Tym się zajmuję.

— A jeśli Dzmare wróci?

Dekakel nie jest pewna, dlaczego zadała to pytanie. Jest przekonana, że Mahit Dzmare zginie na wojnie, razem z bardzo wieloma Teixcalaanlitzlim.

— Wtedy wyrwę tę maszynę z jej głowy i wyrzucę w przestrzeń, Dekakel, a jeśli się ocknie, zobaczę, czy zostało z niej coś, co warto zatrzymać na Stacji. Biedna kobieta. To częściowo moja wina. Gdybym dała jej inne imago niż Aghavna, może ksenofilska obsesja nie rozwinęłaby się u niej aż tak bardzo.

— W takim razie dlaczego tego nie zrobiłaś?

Amnardbat wzdycha ze znużeniem.

— Trzeba było złożyć kogoś w ofierze Imperium, a wyniki jej testów predyspozycji do imago Aghavna były absurdalnie zielone. To równie dobrze mogła być ona. W ten sposób pozbyliśmy się ze Stacji ich obojga, radczyni.

Dekakel przeszył zimny dreszcz. Zadała jeszcze jedno, ostatnie pytanie:

— Czy potraktowałaś w ten sposób również jakąś inną linię?

— A czy jest jakaś linia, którą rekomendujesz?

Dekakel będzie bardzo długo pamiętała swobodę, z jaką odpowiedziała jej Aknel Amnardbat. Swobodę, a także chwilę, gdy nagle sobie uświadomiła, że nie może zakładać, iż jakakolwiek linia imagowa, której dotknęła ta kobieta, pozostała niezmieniona. Z całą jasnością zrozumiała, kim jest Amnardbat: osobą, która kochała Stację Lsel tak bardzo, że zastąpiła wszelką etyczną odpowiedzialność gorejącym płomieniem tej miłości i nie dba o to, co będzie musiała spalić, by uratować ukochaną Stację.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Możliwości zatrudnienia w przemyśle — KWARC-2318A — konieczność tymczasowej zmiany miejsca zamieszkania — premia za pracę w trudnych warunkach — rotacja co cztery miesiące. Szansa dla hutników szkła, robotników z doświadczeniem w pełnieniu funkcji kierowniczych oraz specjalistów od eksploatacji zasobów naturalnych (zwłaszcza Teixcalaanlitzlim mających doświadczenie w pracy przy wydobywaniu surowców w klimacie pustynnym). Oferta dotyczy obywateli Imperium skłonnych przenieść się do Układu Peloa na co najmniej cztery miesiące. Premia za pracę w trudnych warunkach przysługuje z uwagi na ekstremalne temperatury na planecie, ale na Peloa-2 nie ma miejscowych drapieżników ani znanych czynników zakaźnych. Przeciwwskazania: astma, nadreaktywność oskrzeli, nadwrażliwość na ciepło, przebyte porażenie słoneczne...

ogłoszenie umieszczone na teixcalaanlijskim rządowym portalu z ofertami pracy, ponawiane co miesiąc

* * *

A jeśli umrzeć przyjdzie / I moje ciało szejnie / A pamięć z niego wyjdzie /
inny ją umysł weźmie.

Piloci wiodą nas / przez próżni mroczne szlaki /prowdzi ich umarłych blask /
w którym pamięć trwa na wieki!

Gdy ciało strawi żar / ach, cóż się ze mną stanie? / Pamięci wieczny dar / to
będzie me zadanie.

Stacja obudzi mnie / gdy ciała już nie będzie / bym następcy chwałę dał /
wśród gwiazd świecących wszędzie!

Piosenka na ludową nutę, napisana w miejscowym dialekcie Lsel, pochodzenie nieznane, zapewne powstała przed założeniem Stacji

Pierwszy raz w życiu była na pustyni. Ta myśl przyprawiłaby ją o zawrót głowy nawet bez perspektywy podjęcia próby negocjacji z krwiożerczymi, niezrozumiałymi obcymi. Otaczała ich ze wszystkich stron. Wokół lądowiska rozpościerały się bezkresne połacie białego piasku, pozbawione wszelkich śladów wody i roślinności, poza gajem niewielkich drzew o szerokich koronach i szarzielonych liściach, rosnącym w pobliżu budynków, w których mieszkali teixcalaanlijscy robotnicy, zanim zginęli. Te budynki również były białe. Wyblakłe od słońca. Nawet niebo utraciło kolor, stając się niebieskawą, przesłoniętą mgiełką kopułą.

Mahit nigdy dotąd nie była na planecie tak upalnej, jak Pelloa-2. Nigdy nawet sobie takiej nie wyobrażała, a już z pewnością nie pomyślałaby, że ludzie naprawdę mogą żyć w takim miejscu. Tak wysokie temperatury sięgały granicy ludzkiej tolerancji. Gdyby na Stacji Lsel mieli anomalie cieplną na taką skalę, połowa Stacyjnych przygotowywałaby się do szybkiej ewakuacji z powodu katastrofalnej awarii systemu podtrzymywania życia. Żołnierze z „Ciężarka u Koła” ostrzegali ją i Trzy Trawę-Morską, nim wsiadły do wahadłowca: weźcie wielkie zapasy wody. Pijcie, nawet jeśli nie czujecie pragnienia. A jeśli będziecie na dworze przez dłużej niż osiem godzin, łykajcie tabletki solne. Starajcie się nie wychodzić na słońce.

Mahit z początku myślała, że dramatyzują, żartują sobie z agentki Informacji i barbarzynki. Jedna urodziła się w Mieście, a druga zawsze pozostanie cudzoziemką. Z pewnością nie miały pojęcia, jak sobie radzić w nieprzychylnym środowisku. Ale to nie były żarty. Powietrze na Pelloa-2 było tak suche, że wystarczył jeden oddech, by wysać całą wilgoć z jej języka. Światło wydawało się ciężkie, a jednocześnie nieważkie. Czuła nacisk światła słonecznego na skórę, a jednocześnie temperaturę samego powietrza, sprawiającą, że oddychała głębiej, a serce biło jej wolniej, jakby przyciąganie

na planecie było dwa razy większe niż w rzeczywistości. Jednocześnie czuła się jak pijana. Lekka jak piórko. Jakby mogła przemierzyć całą skąpaną w blasku słońca pustynię Peloa-2 i wrócić bez szkody.

Wiatr zmienił kierunek, przynosząc zapach śmierci do Mahit, Trzy Trawy-Morskiej oraz oddziału eskortujących je żołnierzy. Zabici koloniści gnili w fabrycznych budynkach, porzuceni tam przez istoty — dopóki rokowania się nie skończą, będzie o nich myślała jak o rozumnych istotach — z którymi wkrótce mieli się spotkać.

To była również jej pierwsza wizyta na planecie, dla której pogrzeb urządził cały Teixcalaan. Podejrzewała, że to samo dotyczy Trzy Trawy-Morskiej i grupki eskortujących ich specjalistów od walki na powierzchni, wyposażonych w broń energetyczną o czarnych wylotach luf.

Nie miała czasu porozmawiać z emisariuszką w cztery oczy, ledwie zdążyła zrobić cokolwiek poza krótką sekwencją nagrań tego, co uważały za język obcych. Parę powtórzeń *cześć-jesteśmy-tu i hura!*, a do tego coś, co mogło znaczyć *spierdalajcie-stąd*. Przechwycili transmisję z chwili, gdy obcy zauważyli „Ostrze Noża”, ale jeszcze nie zaczęli go ścigać. Zdążyły też znaleźć przenośny, choć wyjątkowo duży, holoprojektor przystosowany do wyświetlania graficznych przedstawień, ponieważ słownictwo składające się w przybliżeniu z sześciu wyrazów raczej nie zaprowadzi ich zbyt daleko, zwłaszcza że to były nie tyle wyrazy, ile znaczniki tonów, wyrażające uczucie.

Z rozstrzygnięciem sprawy tego, co wydarzyło się między nią a Trzy Trawą-Morską, będą musiały poczekać do zakończenia rozmów.

— Rysujesz lepiej ode mnie — odezwała się emisariuszka. Jej głos był jak smużka dymu w upalnym powietrzu, słaba i odległa. Lselka zadała sobie pytanie, czy żar zniekształca dźwięki, czy po prostu ma lekkie omamy słuchowe. — Jeśli będą chcieli rozmawiać za pomocą obrazów, dam ci łącze chmurowe, żebyś mogła je produkować.

— W porządku — zgodziła się Mahit. — Czy wszystkie pustynie są takie? — zapytała nagle, ponieważ nie chciała rozpoczynać tej rozmowy bez

żadnego przygotowania, nie mając niczego, co pozwalałoby jej zachować kontakt z Trzy Trawą-Morską, poza zadaniem do wykonania, a także dlatego, że bezkresna, migocząca w blasku słońca płaszczyzna była piękna i przerażająca zarazem.

Emisariuszka potrząsnęła głową.

— Nigdy nie byłam w podobnym miejscu — odpowiedziała. — Pustynie, które znam, to czerwone skały, płaskowyże, wyrzeźbione przez erozję góry i kwiaty. Południowy kontynent w domu. To jest pustynia piaszczysta...

— Kiedy się jej przyglądam, mam ochotę na nią odejść — wyznała Mahit. To była prosta propozycja. *Spróbuję ci zaufać, przynajmniej w drobnych sprawach, jeśli odwdzięczysz mi się tym samym.*

— Wiem — odparła Trzy Trawa-Morska tonem sugerującym, że rzeczywiście wie. Jakby żar pustyni ją również wabił w ten sposób. — Wiesz co, Mahit? Możemy się kawałek przejść. Miejsce spotkania jest piętnaście minut drogi stąd.

Wybrały płaskowyż, miejsce mniej zasypane wydmami, w którym żołnierze mogli ustawić baldachim, zapewniający choć odrobinę cienia. Sądząc po tym, co rozpakowali poruszający się ze zrodzoną z wprawy szybkością żołnierze, Lselka spodziewała się, że zobaczy brezentową płachtę o wysokim albedo i trochę namiotowych tyczek, ale gdy baldachim już ustawiono i obie kobiety z całym swym napędzanym bateriami sprzętem audiowizualnym skryły się pod jego osłoną, zobaczyła, iż jego wewnętrzną powierzchnię pokrywają lotosy i lilie wodne barwy srebrnej, różowej oraz błękitnej, poprzesywanej złotymi nitkami. Tkaninę, na której je namalowano, przyszyto do odbijającego światło plastiku. Kawałek Miasta, który nosili ze sobą niczym podróżny pałac.

<Teixcalaan nigdy nie zaniedbuje symbolizmu> wyszeptał do niej Yskandr. <Nawet na pustyni>.

Mahit uświadomiła sobie, że tego nie zauważyła, czy może Yskandr tego nie zauważył. Nie miało znaczenia, które z nich. Symboliczne znaczenia zakodowane we wszystkich najdrobniejszych czynnościach były czymś

znajomym i pocieszającym, nawet jeśli wolałaby, żeby było inaczej i zdawała sobie sprawę, że pocieszenie, które czuje, jest kolejnym dowodem na to, że Teixcalaan przebudował jej umysł i poczucie estetyki.

— Sprowadziłaś to z Miasta? — zapytała Trzy Trawę-Morską, wskazując na tkaninę.

— Chciałabym, żeby tak było — odparła emisariuszka. — Jest naprawdę piękne. Dostałam to od Dwadzieścia Cykady.

Mahit zadała sobie pytanie, kiedy to się stało. W którym punkcie długiej nocy, którą spędziły z dala od siebie, nie śpiąc ani chwili — czy była skazana na brak snu za każdym razem, gdy spędzi więcej niż dobę wśród Teixcalaanlitzlim — emisariuszka otrzymała kawałek teixcalaanlijskiej propagandy zakodowany w pięknym gobelinie? *Tutaj jest woda, nawet na pustyni. Jesteśmy tymi, którzy przynoszą kwiaty.*

<Powinnaś była zostać poetką> stwierdził Yskandr. <Poeci śpią więcej niż polityczni funkcjonariusze>.

Nie w Teixcalaanie — pomyślała Mahit i otrzymała w odpowiedzi elektryczny śmiech, przebiegający wzdłuż jej nerwów łokciowych.

— To dobrze — rzekła do Trzy Trawy-Morskiej. — Bez względu na to, czyj to pomysł, powinien okazać się skuteczny, o ile pochodzą z układów, w których jest roślinność...

Jej głos umilkł stopniowo. Z przeciwnej strony płaskowyżu coś się zbliżało.

Stworzenia posuwały się naprzód długimi susami, jakby polowały. Zbliżyły się szybko, mimo że sypki piasek nie zapewniał pewnego oparcia. Ich potężne, muskularne barki przesuwały się naprzód przy każdym kroku. Zjawily się tylko dwie istoty. Nie przyprowadziły ze sobą eskorty. Na pierwszy rzut oka uwagę Mahit przyciągnęły czarne keratynowe pazury na rękach i bardzo długie, giętkie szyje oraz tępo zakończone głowy o uszach pokrytych delikatnym futrem. Były jakieś sześćdziesiąt centymetrów wyższe od ludzi, a około dziewięćdziesięciu od najniższych Teixcalaanlitzlim, takich jak Trzy

Trawa-Morska. Miały na sobie jasnoszare mundury polowe, przystosowane do warunków pustynnych.

Nie przypominali niczego, co do tej pory widziała. Wyglądali jak inteligentne istoty. Sprawiali wrażenie, że nie potrzebują żadnej broni poza swymi pazurami.

Wszystkie słowa rozpoczęcia, które przychodziły na myśl Mahit, zaschły w jej ustach, jakby upał pozbawił ją nie tylko śliny, lecz również zdolności mówienia.

Stojąca obok niej Trzy Trawa-Morska rozprostowała ramiona i zacisnęła szczęki, jakby miała wygłosić mowę przed obliczem cesarza. Lselka знаła tę pozę. Oznaczała ona, że emisariuszka jest gotowa do występu. Zadała sobie pytanie, jak to możliwe, że wie o swej towarzyszce akurat to, ale niewiele więcej. Że wie stanowczo za mało.

— Zagraj odgłos „cześć”, Mahit — poleciła Trzy Trawa-Morska. — Będiesz wiedziała kiedy.

Później, jakby spotkała funkcjonariuszy z innego Ministerstwa, a nie tajemniczą istotę, wyższą od niej o więcej niż głowę i wyposażoną w pełną zębów paszczę, podeszła do granicy rzucanego przez baldachim cienia, zatrzymała się w odległości zaledwie półtora metra od obcych i pokłoniła się, składając przed sobą koniuszki palców. Mahit sięgnęła do sterownika ich projektora dźwięku. Miała nadzieję, że urządzenie zadziała, że nie usmażyło się w przerażającym upale ani nie zapchał go wszechobecny piasek. Musnęła palcami powierzchnię sterownika, przywołując odpowiednie dźwięki. Nie naciskała mocno. To było tak, jakby dotknęła spustu broni energetycznej. Wystarczał najdrobniejszy ruch...

— Jestem emisariuszka Trzy Trawa-Morska z Imperium Teixcalaanlijskiego — przedstawiła się obcym jej towarzyszka, mocno dotykając jedną ręką klatki piersiowej — *jestem* — a potem unosząc rękę i wskazując zamaszystym gestem baldachim ozdobiony wyszytymi kwiatami. *A to jest to, co reprezentuję.* — Negocjuję w imieniu Jej Promienności Cesarza

Dziewiętnaście Ciesak, Błysk Ostrza Noża, której panowanie rozprasza wszelką ciemność.

Nic z tego, co mówiła, nie mogło być zrozumiałe dla obcych. To zadanie należało obecnie do Mahit. Lselka dotknęła palcami sterownika i zagrała sygnał „cześć”, z całą jego przyprawiającą o mdłości głośnością.

Obcy całkowicie znieruchomieli. Jeden z nich zerknął na Trzy Trawę-Morską, po czym wskazał podbródkiem na urządzenie. Drugi również spojrzał w tamtą stronę. Mahit chciałaby cokolwiek rozumieć z języka ich ciała. Nie przesunęli się w przód ani w tył. Czy byli zdziwieni, zaintrygowani czy źli? To było trudniejsze niż próby zrozumienia niedopowiedzianych niuansów teixcalaanlijskiej mimiki. Nieporównanie trudniejsze. Wiedziała, że próbują się z nią porozumieć, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób. Nie dźwiękami. Być może używali do tego celu zapachów albo ustawienia uszu, czy może czegoś innego, czego nawet nie potrafiła sobie wyobrazić. Była w najlepszym razie językoznawczynią (choć raczej dyplomatką i poetką z pretensjami. Nigdy nie studiowała ksenolingwistyki, ponieważ miała do dyspozycji całe bogactwo języka teixcalaanlijskiego i nie wyobrażała sobie wtedy, że może potrzebować czegoś więcej) i jeśli obcy nie używali słów, które mogłaby odcyfrować...

Drugie stworzenie otworzyło usta i wydało z siebie dźwięk „cześć”, niewzmocniony i nieprzetworzony przez głośniki. Pierwszy obcy, ten, który wskazał na sprzęt audio, przyłączył się do niego. Ten sam dźwięk, niosący się echem. Na „Ciężarku u Koła”, Mahit, Trzy Trawę-Morską oraz towarzyszących im żołnierzy napakowano środkami przeciwwymiotnymi, najlepszymi, jakie można było znaleźć na pokładzie. Mimo to Mahit czuła wyraźne mdłości. Wibracje. Ich rytm wnikający w jej kości. To naprawdę były infradźwięki, ze wszystkimi przerażającymi cechami, które się z nimi wiązały. Ale w porządku, w porządku, usłyszeli „cześć” i odpowiedzieli „cześć”, szeroko otwierając dwie użębione paszcze. Na językach mieli takie same cętki jak na skórze.

Mahit zerknęła na towarzyszkę i wrzuciła ramionami, jakby chciała zapytać: *I co teraz?*

Emisariuszka spojrzała jej w oczy. Nie odwracała wzroku. W jej oczach malowała się niezwykła intensywność, bliska hysterii pasja. Lselka przypomniała sobie, jak wyglądała *asekreta*, gdy ktoś po raz pierwszy próbował zabić Mahit na jej oczach, w ambasadorskim mieszkaniu w Pałacu-Wschód, tak bardzo daleko stąd. *Spójrz na mnie. Ruszamy.*

Trzy Trawa-Morska zaczerpnęła głęboko tchu. Jej wąska klatka piersiowa i brzuch poszerzyły się nagle. To było przygotowanie nie tylko do wygłoszenia mowy, lecz do czegoś jeszcze głośniejszego.

— We wnętrzu każdej komórki kryje się kwiat chemicznego ognia — zaśpiewała czystym jak dzwon altem, głosem wzywającym do powrotu do domu. — Po oddaniu ziemi wszyscy rozwiniemy się w tysiąc kwiatów. Tyle, ile oddechów wypełniło nasze życie. Będziemy pamiętać nasze imiona! A także imiona naszych przodków. A dla uczczenia tych imion pozwolimy, by krew popłynęła z naszych dłoni...

To był teixcalaanlijski poemat pogrzebowy. Mahit słyszała, jak wykonywano go na sto różnych sposobów, recytowano albo śpiewano. Po raz pierwszy spotkała się z nim w podręczniku w szkole na Stacji, zdumiewając się „chemicznym ogniem” oraz myślą o kwiatkach stworzonych z krwi. Nigdy jednak nie słyszała, by wykonywano go w ten sposób. W ustach Trzy Trawy-Morskiej zabrzmiał jak pieśń wojenna. *Zapowiedź. Przelaliście naszą krew i powstaniemy.*

Było to też cholernie sprytne. Ludzki odpowiednik samowzmacniających się wibracji obcych.

<Pokazała im, że my również potrafimy mówić i mamy język> wyszeptał Yskandr. <Jest więcej niż sprytne. To było mistrzowskie posunięcie. Teraz rozumiem, dlaczego tak się nią przejmujesz>.

Trzy Trawa-Morska skinęła dłonią, zapraszając Mahit do przesunięcia się naprzód. Ruszyła przed siebie, jak pociągnięta. Nadal kręciło się jej w głowie

od upału. Zastanawiała się, czy obcy go czują, czy w ogóle ich to obchodzi i jaki klimat panuje na ich planecie. Zajęła pozycję, która nadal wydawała się jej najbardziej odpowiednia — z emisariuszką po jej lewej stronie. Obie wspólnie stawiały czoło nierozwiązywalnemu problemowi politycznemu. (One dwie i duch Dwanaście Azalii niczym echo, imago, które nigdy nie powstanie. Ta myśl była jak haczyk wędkarski wbity w jej wargę, nagły, przyciągający uwagę ból).

— Znasz tę pieśń — wyszeptała emisariuszka. Mahit skinęła głową. Znała ją wystarczająco dobrze. — Świetnie — ucieszyła się Trzy Trawa-Morska. — Sprawdźmy, czy potrafimy przyprawić ich o wymioty, gdy wywołamy rezonans fal dźwiękowych.

Mahit od lat nie śpiewała w duecie. Poezja to było co innego. Mogła recytować czy deklamować, ale śpiew nie był czymś, czym się regularnie zajmowała albo do czego czuła pociąg. Wiązała się z nim dziwna intymność, której się nie spodziewała. Musiały razem oddychać. Musiały zharmonizować głosy. Obcy przez cały czas gapili się na nie. Z ich spojrzeń nie sposób było nic wyczytać, a ich zabójcze pazury zwisały luźno u boków. Nie wymiotowali. Mahit cieszyła się z tego, nie chciała, żeby płyny ustrojowe obcych dotknęły jej skóry. Mogły okazać się toksyczne, a stała bardzo blisko nich. Pachniały jak... zwierzęta, ale również jak coś jeszcze. To była sucha, ziołowa woń, jakiej nigdy dotąd nie czuła.

Pieśń pogrzebowa nie była długa. Kiedy się skończyła, Lselka dyszała ciężko. Upał żył teraz we wnętrzu jej płuc. Gardło ją bolało. Spróbowała przełknąć ślinę, ale nie było w jej ustach ani śladu wilgoci.

Obcy stojący po lewej stronie wydał z siebie cichy jękliwy odgłos. Mahit nigdy dotąd nie słyszała czegoś takiego. Dźwięk był metaliczny, cechował się mechaniczną płynnością, jakby płynął z syntezy. Z pewnością jednak miał organiczne pochodzenie. Poczwała ból za mostkiem, jakby jej serce próbowało się wyrwać na swobodę. Drugi obcy zbliżył się o dwa susy. Tym razem jej serce naprawdę załomotało pod wpływem instynktownego strachu. Zaraz

zemdleje albo zacznie krzyżeć. Trzy Trawa-Morska dotknęła barkiem jej barku. Obie drżały.

<Przestań. Uspokój się. Jeśli masz zginąć, to tylko z tego powodu, że ten stwór wyrwie z ciebie narządy wewnętrzne>.

Yskandr był balsamem, czystym, bezpiecznym miejscem w jej umyśle, czymś, co należało do niej — podobnie jak nagły przypływ rozedrganego ciepła, który przeszył jej ciało. Imago znowu bawiło się jej układem wewnątrzwydzielniczym, ale w tej chwili cieszyła się z każdego uczucia, którego źródło nie znajdowało się na zewnątrz.

Obcy dotknął swej piersi jednym pazurem, powtarzając gest Trzy Trawy-Morskiej. Następnie wskazał za siebie, mimo że nie było tam nic — ani baldachimu, ani żołnierzy. Na koniec wydał z siebie dźwięki. Brzmiały całkiem rozsądnie. Mahit pomyślała, że niemal przypominają słowa. Warkliwe, przesadnie nasycone spółgłoskami, tonalne sylaby. Niemniej była przekonana, że potrafiłaby je imitować, nawet gdyby musiała w tym celu śpiewać.

Powinnam się nauczyć utrzymywać tonację — pomyślała i spróbowała, jak za pierwszym razem, na lekcji teixcalaanlijskiego, wypowiedzieć nieznane dźwięki, które przed chwilą usłyszała.



Dziewięć Hibiskus nigdy nie radziła sobie dobrze z oczekiwaniem. Dlatego właśnie na początku służby we Flocie została pilotką Odprysku. Odpryski wypadały z okrętów wojennych niczym ostre jak noże fragmenty połyskliwego szkła, nie znały wahania i z reguły dopiero na moment przed akcją dowiadywały się, gdzie zostaną wykorzystane. Nie było żadnych opóźnień, nie musiały się zmuszać do oczekiwania w bezruchu, aż nadejdzie

odpowiedni moment do ataku. Tej umiejętności musiała się nauczyć. Udało się jej to tak dobrze, że została kapitanem floty, a teraz *yaotlekiem*, ale to jeszcze nie znaczy, że to polubiła.

Na Peloa-2 czwórkę jej ludzi — oraz agentkę Informacji i barbarzyńską dyplomatkę, ale przede wszystkim czwórkę jej ludzi — rozszarpywali na strzępy obcy (w najgorszym wypadku) albo dręczył grożący porażeniem słonecznym upał, gdy czekali na rozpoczęcie negocjacji (w najlepszym). A ona nie mogła zrobić nic poza czekaniem. Podobnie jak czekała, aż jej jednostki zwiadowcze znajdą bazę obcych. Musiała ona leżeć gdzieś po lewej stronie, gdzie pilotów Czterdzieści Tlenek wykańczano jednego po drugim. Śmierć po śmierci, pogrzeb za pogrzebem. Jak kadet po ukończeniu akademii, czekający, aż pocztą nadejdzie zawiadomienie o pierwszym przydziale. Czekać i obserwować, jak pierścienie większego okrętu obracają się groźnie, na samej granicy jej pola widzenia. Mniejsza jednostka poleciała do układu Peloa, podobnie jak jej wahadłowiec. Eksperymentowali z parytetem, jakby to były negocjacje między dwiema grupami ludzi, a nie próba porozumienia się z gatunkiem, którym najwyraźniej kierowała wyłącznie żądza pożerania albo plądrowania. Innej opcji nie znali... lecz mimo to dysponowali technologią równie dobrą albo i lepszą niż teixcalaanlijska Flota.

Dziewięć Hibiskus nie znosiła czekania w podobnych sytuacjach. Dlatego robiła dokładnie to samo, co zawsze, od czasów, gdy była kadetką. Upewniła się, że nic na mostku się nie pali — dosłownie i w przenośni — i ten stan zapewne utrzyma się przez dwie najbliższe godziny, po czym poszła wtargnąć do prywatnej przestrzeni Roju, by czekać razem.

Na „Ciężarku u Koła” jego prywatną przestrzeń były kabiny adiutanta położone dokładnie na przeciwległym końcu okrętu. Chodziło o to, by, gdyby nieprzyjaciel zniszczył kapitańską kwaterę, adiutant miał szansę przeżyć i zastąpić dowódcę. Dziewięć Hibiskus doskonale знаła drogę do jego kabin. Co więcej, znała kody do drzwi, chyba że Dwadzieścia Cykada znowu je zmienił.

Nie zrobił tego. Jego drzwi otworzyły się przed nią, jakby oboje byli tą samą osobą. Dziewięć Hibiskus uderzyła woń zieleni. Bardzo szczególny zapach bujnej roślinności, niełączący się z kwiatami. Pnącza, sukulenty i wszystko, co Dwadzieścia Cykada był w stanie zmusić do rośnięcia przy bardzo ograniczonym dostępie do wody. Podlewał ogród własnym przydziałem. To również robił, odkąd razem byli kadetami. Bez marnotrawstwa i rozrzutności. Taki był jej Rój.

Tak nakazywała jego religia, ale Dziewięć Hibiskus podejrzewała, że i tak by to robił, nawet bez wskazań homeostazy. Na tym polegała trudność w kontaktach z Dwadzieścia Cykadą. Nie sposób było określić, gdzie się kończyła jego wierność zasadom bardzo rzadko spotykanej religii, a zaczynała się jego osobowość. O ile między tymi dwoma pojęciami w ogóle była jakakolwiek różnica.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami pośrodku podłogi, a wokół jego głowy krążyła aureola holograficznych analiz, wystarczająco przezroczystych, by przez obrazy prześwitywała pokrywająca ściany zieleni. Większość tych obrazów przedstawiała znane Dziewięć Hibiskus systemy okrętu, rozpoznawała je, nawet patrząc na nie z przeciwnej strony: odczyt zużycia energii przez systemy podtrzymywania życia na całym „Ciężarku u Koła” jak zwykle wisiał nieruchomo trzydzieści centymetrów nad czołem mężczyzny, by wszystko, na co chciał spojrzeć, mogło wirować wokół tego punktu. Nieruchomy punkt centralny, przypominający koronę.

Na jego kolanach, niczym kałuża bezgwiazdnej przestrzeni, leżało jedno z kauraańskich zwierzątek, najwyraźniej śpiące. Dwadzieścia Cykada je głaskał.

— Myślałam, że ich nie znosisz — stwierdziła cierpko *yaotlek*. — Czyżby wszystkie te skargi na to, że zakłócają ekosystem, były tylko na pokaz?

Dwadzieścia Cykada spojrział na nią i odesłał większość holoobrazów skinieniem tej dłoni, którą nie głaskał małej pustki na swych kolanach.

— Rzeczywiście ich nie znoszę — przyznał z uśmiechem. — Ale on mnie

lubi, a poza tym co mam z nimi zrobić? Wyrzucić je przez śluzę? To nie ich wina, że istnieją.

Usiadła obok niego, dotykając kolanem jego kolana. Zawsze odnosiła wrażenie, że w zamienionych w ogrody pokojach Dwadzieścia Cykady jest więcej tlenu. (To wrażenie było uzasadnione. Produkowały go rośliny. Kiedyś sprawdziła odczyty. Różnica była bardzo niewielka, ale realna). Kauraańskie zwierzątko uniosło głowę i otworzyło żółte oczy. Wydało z siebie głos brzmiący jak szarpnięcie za struny źle nastrojonego instrumentu, wstało i zatoczyło ciasny krąg na kolanach Dwadzieścia Cykady, po czym położyło się znowu.

— Nie mówię, że masz je wyrzucić przez śluzę, Roju — odparła. — Ale to już jest rozpieszczanie.

— Drze się, jeśli tego nie robię — odparł adiutant z niewzruszoną powagą. Dziewięć Hibiskus parsknęła śmiechem. Przez chwilę poczuła się bardzo młodo, jakby cofnęła się w czasie o ponad dziesięć lat i znalazła się na jakimś statku, na którym oboje z Rojem byli użyteczni i nigdy nie myślała o tym, by nie spać nocami dla dobra Floty.

— W takim razie pewnie będziesz chciał je sobie zatrzymać — skwitowała i sama pogłaskała stworzenie. Miało bardzo miękkie futerko.

— Nie ma jeszcze żadnych wiadomości z Peloa-2? — zapytał Dwadzieścia Cykada tonem równie neutralnym, jak wtedy, gdy wyjaśniał, dlaczego nagle polubił kauraańskiego kotka.

— Gdyby były, nie przyszedłbym tutaj, tak?

— Wiem o tym — zapewnił i zbył insynuację machnięciem ręki. — Mam dla ciebie lepsze pytanie, *yaotlek*. Ile godzin minie, nim polecimy tam po ich trupy i z pewnością zniszczone szczątki mojego ulubionego gobelinu?

Dziewięć Hibiskus spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Po co emisariuszka i Stacyjna zabrały ze sobą gobelin, w dodatku twój ulubiony?

Obiekt, o którym mówili, był pięknym dziełem sztuki, w najlepszym stylu

Miasta. Przedstawiał różowe i złoto-niebieskie lotosy. Z reguły wisiał w sypialni Dwadzieścia Cykady, co oznaczało, że Dziewięć Hibiskus nie widziała go, odkąd adiutant go kupił i jej pokazał. Inne, zapewne mniej ulubione, wisiały w pozostałych pomieszczeniach, wszędzie tam, gdzie nie było roślin. Dwadzieścia Cykada prawie nic nie jadł i uwolnił się od wszystkiego, poza najbardziej podstawowymi symbolami swego zawodu i autorytetu — tylko mundur, bez włosów i pigmentów w skórze, destylowana esencja oficera Floty Teixcalaanlijskiej — a mimo to otaczał się mnóstwem barw i estetycznego luksusu. Kiedyś jej to tłumaczył. To był jeden z przykładów równowagi, jaką mogli praktykować czciciele homeostazy. Przesada i ascetyzm w jednym.

— Pomyślałem sobie, że emisariuszka będzie potrzebowała czegoś luksusowego, gdy znajdzie się na tej pustyni. Zakładając, że obcy nie wyprują jej flaków, zanim zdążą zauważyć symbolizm.

— Zakładając, że w ogóle są w stanie go zauważyć.

Dwadzieścia Cykada wzruszył ramionami.

— Jestem pewien, że znają coś w tym rodzaju. Wątpię jednak, by obchodziły ich nasze symbole.

— W takim razie po co dałeś emisariuszce gobelin z kwiatami? Jeśli spodziewasz się, że za trzy godziny będziemy musieli polecieć na planetę, by zabrać szczątki emisariuszek i gobelinów?

— Trzy godziny to dłużej, niż ja bym czekał, ale decyzja należy do ciebie, *yaotlek*.

W jego minie i w brzmieniu tego zdania było coś, co sprawiało, że Dziewięć Hibiskus miała ochotę skrzywić się boleśnie. Tak, to ona podejmowała decyzje i nie była zbyt zadowolona, gdy jej adiutant się z nimi nie zgadzał, zwłaszcza jeśli i tak jej ustępował. Gdy pokładał w niej tak wielkie zaufanie.

— Mamy na pokładzie inne luksusowe przedmioty, które mogliśmy dać emisariuszce zamiast twojego ulubionego gobelinu, Roju. Jeśli chciałeś, żeby

posłużyła się czymś o symbolicznym znaczeniu, mogła zademonstrować obcym, co to jest kwiat.

Podrapał kauraańskie zwierzątko za uchem. Zamruczało jak bardzo mały silnik statku międzygwiazdowego.

— Mógłbym tak zrobić — przyznał — ale czemu miałbym wysłać kogoś na zleconą przez ciebie misję, Malwo, nie dając mu najostrzejszych noży i najpiękniejszych dzieł naszej kultury, jakie mam pod ręką? Jeśli postanowiliśmy podjąć próbę rozmowy z tymi stworzeniami, powinniśmy naprawdę się postarać.

To właśnie tak na nią wpłynęło. Dwadzieścia Cykada nie chciał rozmawiać z obcymi, nie chciał nawet próbować, ale to ona wytyczyła kurs, a on wspierał ją ze wszystkich sił, gotowy na wszelkie poświęcenia. Miała ochotę go przeprosić, choć nigdy tego nie robiła. To podminowałoby jej autorytet i zaufanie do niej. Skinęła tylko głową.

— Jeśli polecimy tam po naszych ludzi i nie znajdziemy nic poza kawałkami podartego gobelinu oraz wyprutymi wnętrznościami, przyznam ci absurdalnie wysoką premię, kiedy następnym razem pójdziemy na przepustkę w Łuku Zachodnim, żebyś mógł sobie kupić nowy gobelin, większy i gęściej utkany.

— Jeśli oboje dożyjemy chwili, gdy będziemy mogli pójść na taką przepustkę, będę ci bardzo wdzięczny, *yaotlek*.

— Zachwyca mnie twój optymizm.

Dwadzieścia Cykada wzniosł oczy ku sufitowi, niemal całkowicie skolonizowanemu przez sieć zieleni, usianą maleńkimi, białymi kwiatkami.

— Widziałaś, jaką mają siłę ognia — odparł. — A oboje znamy naszą. To będzie wyjątkowo paskudna i bardzo długa wojna, a choć ta perspektywa z pewnością mi się nie uśmiecha, nie sądzę, byśmy mieli być ostatnim duetem *yaotlek*-adiutant, który będzie nią kierował.

— Jeszcze nie zginęliśmy — zauważyła. — Pomimo intensywnych wysiłków wielu ludzi.

— Tak jest, ludzi — przyznał Dwadzieścia Cykada, podkreślając ostatnie słowo. — Gdyby w tych plujących rozpuszczalnikiem okrętach siedzieli ludzie, negocjowałbym z tobą wyłącznie kwestię, jak wysoka będzie moja premia. Ale oni nie są ludźmi. Być może emisariuszka potrafi zmienić ich w ludzi, ale jest tylko agentką Informacji, w dodatku bardzo młodą. Podobnie jak jej stacyjna towarzyszka. Wiesz, kim ona jest, prawda?

— Mahit Dzmare. Ta, o której mówiły wszystkie kanały medialne, gdy Jeden Błyskawica dokonał tej niewiarygodnie głupiej próby puczu pod koniec panowania poprzedniego cesarza. Wiem.

— To świetnie — ucieszył się Dwadzieścia Cykada. — Bo kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy z całą pewnością wie, kim ona jest, i jeśli dobrze ją rozgryżłem, a prawie zawsze mi się to udaje, znajdzie sposób, by wykorzystać Mahit Dzmare albo to, co ona reprezentuje, przeciwko tobie.

Dziewięć Hibiskus zanuciła cicho przez zaciśnięte zęby.

— Myślisz, że Szesnaście Wschód-Księżycy aż tak agresywnie pragnie pozbawić mnie dowództwa?

Dwadzieścia Cykada potrząsnął głową i zamrugął, by przywołać na łączu chmurowym holoobraz „Ciężarka u Koła” pod postacią dwuwymiarowego schematycznego planu. Nitka barwy elektrum przebiegała przez bardzo wiele pokładów.

— Kręciła się wszędzie — oznajmił. — Prześledziłem jej ruchy. Nie sądzę, by chodziło o to, że kapitan floty Dwudziestego Czwartego Legionu jest wrogo do ciebie nastawiona, Dziewięć Hibiskus. Sądzę, że twoim wrogiem jest ktoś w ministerstwie. A ona jest bardzo skuteczną agentką tej osoby. Na przykład wie o obcych tyle samo co my. Nikt poza emisariuszką i Mahit Dzmare nie wie o nich więcej. A gdyby nie próbowała dowiedzieć się czegoś więcej, wróciłaby na „Kompresję Paraboliczną” już pół doby temu.

— To znaczy, że jest szpiegiem?

— Jest. Powinna kierować spojrzenie na zewnątrz, ale czyjaś dłoń zwróciła je do wewnątrz — odpowiedział Dwadzieścia Cykada. Zabrzmiało to

enigmatycznie, nawet jak na niego. Dziewięć Hibiskus domyślała się jednak, co próbuje jej powiedzieć. Szesnaście Wschód-Księżycy spędziła pięć pierwszych lat swej kariery we Flocie jako oficer polityczny na tej samej „Kompresji Parabolicznej”, którą obecnie dowodziła. A oficerów politycznych mianował podsekretarz do spraw Trzeciej Dłoni, wewnętrznej służby wywiadowczej Ministerstwa Wojny.

— Myślisz, że nadal służy Trzeciej Dłoni? Że dochowuje jej wierności?

Dwadzieścia Cykada uśmiechnął się, wyginając jeden kącik ust.

— Myślę, że Trzecia z Sześciu Rozpostartych Dłoni chciałaby ściągnąć cię z powrotem na orbitę, na której łatwiej by było cię kontrolować, niż obecnie, a kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy świetnie się nadaje na haczyk, na który można by cię złapać.

— Roju, ona nie jest w moim typie.

Zachnął się.

— Nie, ty wolisz bardziej muskularne i bardziej męskie osoby. Wiem o tym. Nie miałem na myśli haczyka tego rodzaju. Chodziło mi o haczyk, który odwróci twoją uwagę od prawdziwego wroga i spowoduje, że zaczniesz popełniać błędy. A my nie możemy sobie na nie pozwolić. Nie na tej wojnie. Nie, jeśli nie chcemy zaśpiewać hymnów pogrzebowych dla znacznie większej liczby planet niż tylko Peloa-2.

— Dziękuję za ostrzeżenie — odrzekła Dziewięć Hibiskus. — I przegoń ją z mojego statku, dobra?

— Mogę spróbować... — zaczął Dwadzieścia Cykada. Wtem z łącz chmurowych ich obojga popłynął ostry sygnał: wiadomość priorytetowa. Coś jednak dotarło do nich z Peloa-2.

Oczywiście, musiał czekać. Cesarze ciągle byli zajęci, taka była natura ich urzędu. Jego przodek był taki sam. Osiem Antidotum widywał go wyłącznie na uroczystościach i późnymi wieczorami. W jego pamięci zapisał się tylko jeden przypadek, gdy Sześć Kierunek przyszedł o świcie do jego sypialni, wziął go za rękę i poszli razem do ogrodów, jakby byli rodzicem i dzieckiem, a nie przodkiem i dziewięćdziesięcioprocentowym klonem. Był wtedy bardzo mały. Jego przodek zerwał czerwoną nasturcję i wplótł mu ją we włosy, a gdy chłopiec powiedział, że to mu się podoba, dodał jeszcze pomarańczową i żółtą. Osiem Antidotum nosił je we włosach, aż zwiędły i trzeba go było umyć.

To wydarzyło się bardzo dawno temu, nawet dla kogoś, kto miał dopiero jedenaście lat.

Była już niemal północ, nim Dziewiętnaście Ciesak wreszcie mogła go przyjąć. O tej porze chciała się z nim spotkać w swoim apartamencie. Wysłała mu sztyft infofizkowy, by go o tym zawiadomić, jeden z tych całkowicie białych, jakich nie używał nikt poza nią. Czekał na niego w szczelinie pocztowej pod jego sypialnią, jakby Osiem Antidotum był dorosłą osobą, która otrzymuje pocztę. Złamał pieczęć i na zewnątrz wysypały się proste holoznaki. *Przyjdź do mnie, jeśli jeszcze nie śpisz* — zachęcały. Pod spodem znajdowała się sygnatura, ta sama, co na pieczęci. Żadnych tytułów.

No cóż, byli w pewnym sensie rodziną. Co więcej, odwiedziła już kiedyś jego sypialnię, nawet nie pytając o zgodę, więc nie było aż takie dziwne, że podpisała się „Dziewiętnaście Ciesak”. (To jednak było dziwne. Takie właśnie drobiazgi kazały Osiem Antidotum zadawać sobie pytanie, kiedy dana osoba całkowicie przestaje być dzieckiem i staje się kimś innym). Schował otwarty sztyft w szufladzie biurka, by przyjrzeć mu się później, jeśli poczuje taką potrzebę. Jeśli będzie chciał się zastanowić nad tym, jak bardzo prosta, klarowna i przyjazna była ta wiadomość.

Apartament cesarza był miejscem, gdzie mieszkał jego przodek, a także cesarz, który panował przed nim, i wielu dawniejszych cesarzy. To jednak

wcale nie znaczyło, że apartament wyglądał tak samo, jak przed sześcioma miesiącami. Jego przodek cesarz lubił mieć wokół siebie mnóstwo małych, pięknych przedmiotów. Podobały mu się też jaskrawe kolory — błękitny, morski i czerwony. Na podłodze w salonie leżał gruby, tkany dywanik, ozdobiony wyszywanymi ręcznie lotosami, dar od rodzin z Łuku Zachodniego. Dziewiętnaście Ciesak była inna. Lubiła książki. Kodeksy, nie tylko infofiszki. Książki, a także kamienie, przekroje skał tak cienkie, że przeświecało przez nie światło. Wypełniła ściany półkami, żeby je pomieścić. Dywanik wyszywany w lotosy przeniósł się z podłogi na ścianę, odsłaniając nagie marmurowe płyty, pokryte wzorami przypominającymi zrodzone z wyobraźni Miasta. Ta posadzka była tu od początku istnienia Pałacu-Ziemia.

Jej Promienność Cesarz Dziewiętnaście Ciesak, której łaskawa obecność rozświetla salę niczym błysk ostrza noża, siedziała na kanapie i czytała książkę. Uniosła wzrok, gdy Osiem Antidotum wszedł do środka, i poklepała dłonią poręcz kanapy ustawionej pod kątem do tej, na której siedziała.

— Usiądź — odezwała się. — Przepraszam, że kazałam ci czekać tak długo, ale to jedyna pora, kiedy możemy porozmawiać swobodnie, bo szansa, że przerwie nam jakaś pilna sprawa, jest raczej niewielka.

Osiem Antidotum usiadł. Kanapy obito aksamitem barwy złamanej bieli z dziobiastymi oparciami i wcięciami wypełnionymi szaro-złotymi dyskami. Chłopiec zawsze się bał, że coś na nie rozleje.

— Nic nie szkodzi, Wasza Promienność — odpowiedział. — Wiem, że cesarze nie śpiąją. Powinienem się w tym ćwiczyć, dopóki mogę.

Nie uśmiechnęła się. Wolałby, żeby to zrobiła. Odłożyła książkę na niski stolik o szklanym blacie — napisał ją ktoś o imieniu Jedenaście Tokarka, Osiem Antidotum jej nie znał — i przyjrzała mu się uważnie, nadal mrużąc powieki. Jej oczy zachowywały neutralny wyraz. Między brwiami uwidoczniła się mała zmarszczka, która nie zawsze tam była.

— O czym chciałbyś mi opowiedzieć? — zapytała. Nie takiego pytania się spodziewała. To znaczyło, że musi wybierać.

Mógłby zacząć od Jedenaście Wawrzynu w ogrodzie. Wtedy powiedziała Jej Promiенności, że Ministerstwo Wojny i Ministerstwo Informatji — a przynajmniej pewne grupy w obu tych ministerstwach — nie lubią się wzajemnie. Ale Dziewiętnaście Ciesak zapewne o tym wiedziała, a co więcej, musiałby jej powiedzieć, co poczuł, gdy Jedenaście Wawrzyn groził mu w ogrodzie, a nie chciał od tego zaczynać. Nie w rozmowie z Jej Promiенnością. To by zabrzmiało, jakby się skarżył, prosił ją, żeby coś w tej sprawie zrobiła, a nie chciał, by Dziewiętnaście Ciesak rozwiązywała jego problemy.

Otworzył usta i popłynęły z nich słowa:

— Ambasadorka Mahit Dzmare przebywa na okręcie flagowym *yaotlek* Dziewięć Hibiskus.

Dziewiętnaście Ciesak cmoknęła, dotykając językiem zębów.

— Jak się o tym dowiedziałeś? — zapytała.

— Przywiozła ją tam ze sobą specjalna emisariuszka z Ministerstwa Informatji.

To właściwie nie była odpowiedź. Okazało się, że być szpiegiem jest bardzo trudno, gdy nadchodzi chwila, w której trzeba się podzielić poznanymi tajemnicami. Przekonał się, że naprawdę bardzo pragnie zachować je dla siebie. Miał jednak wrażenie, że powinien przekazać Jej Promiенności przynajmniej fakt, że ambasadorkę przywiozła ze sobą agentka Informatji.

— Oczywiście — odparła Dziewiętnaście Ciesak. Osiem Antidotum nie potrafił nic wyczytać z jej twarzy. Cokolwiek się na niej malowało, z pewnością nie było to zaskoczenie. — Czego jeszcze dowiedziałeś się o emisariuszce?

Na zebraniu w Ministerstwie Wojny nikt nie lubił emisariuszki, ale chłopiec nie był pewien, w których przypadkach antypatia była szczera, a w których chodziło tylko o rywalizację między ministerstwami. W Ministerstwie Wojny również było sporo konfliktów, zwłaszcza między ludźmi, którzy pozostali po ekipie Dziewięć Napęd (jak Jedenaście Wawrzyn i podsekretarz kierujący

Piątą Dłonią, odpowiedzialną za uzbrojenie i badania), a ludźmi, którzy przybyli razem z Trzy Azymut, a przynajmniej w tym samym czasie, co ona, dopiero zapoznawali się ze swoją pracą i jeszcze nie zdecydowali, po czyjej stronie się opowiadają. Właściwie nic nie wiedział o emisariuszce. Poza...

— Kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy jej nie ufa — oznajmił. — Być może z powodu Mahit Dzmare, a może po prostu nie ufa.

— Szesnaście Wschód-Księżycy z Dwudziestego Czwartego Legionu. Mały szpiegu, czy wiedziałeś, że ona również była uczennicą Jedenaście Wawrzynu?

Osiem Antidotum potrząsnął głową. (Oczywiście, Jedenaście Wawrzyn musiał mieć uczniów przed nim. Nie miał powodu być zazdrosny o jakąś odległą, dorosłą kapitan floty. Ale był okropnie zazdrosny, i trochę się tego wstydził. Czy Jego Promienność uważała go teraz za ucznia Jedenaście Wawrzynu? Czy chciał, żeby go za takiego uważała? Nawet jeśli podsekretarz mu groził, zmusił go do zadania sobie pytania, czy Słońca Imperium będą go broniły, i czy Dziewiętnaście Ciesak nie ufa swej minister wojny?)

— Była nią — potwierdziła Dziewiętnaście Ciesak. — I to dobrą. Nie wątpię, że Trzecia Dłoń żałuje, iż ją utraciła. Hmm. Opowiedz mi, w jaki sposób wykryłeś niechęć, o której wspominałeś. Potem chyba odeślę cię do łóżka. Zbliży się już zachód księżyca. Czy wysyłałeś wiadomości do Floty i odpowiadali ci?

— Nie jestem aż tak przedsiębiorczy — odpowiedział Osiem Antidotum i ucieszył się, gdy zobaczył, że jego słowa przywołały zmarszczki w kącikach oczu Dziewiętnaście Ciesak, jakby śmiała się w duchu z uznaniem.

— Jeszcze nie jesteś. Mów dalej.

Musiał sobie powtórzyć, że to cesarz wysłała go do Ministerstwa Wojny, że już wie, co tam robił, i że nie zdradza niczyich tajemnic — pomijając być może Szesnaście Wschód-Księżycy — a już z pewnością nie własnych. Mimo to trudno mu było zacząć. Tak trudno, że Jej Promienność musiała zastukać palcami w poręcz kanapy. Ten cichy stukot niecierpliwości sprawił, że

chłopiec miał ochotę przeproszać za wszystko, a potem ogarnęła go wściekłość na nią za to, że tak na niego działała. To było niesprawiedliwe, że miał emocje i system wewnętrznydzielniczy dziecka, a dzieci reagują w bardzo przewidywalny sposób na tych, którzy mają władzę. Uczył się o tym na lekcjach. To było całkowicie nieuczciwe.

— Wysłała priorytetową wiadomość — odpowiedział wreszcie. — Pilną, taką, która może ominąć protokoły przekazywania poczty przez bramy skokowe. Skierowała ją do minister Trzy Azymut. W tej wiadomości — minister odtworzyła ją przed wszystkimi sekretarzami Dłoni i ich ludźmi, a także przede mną — kapitan floty zasugerowała, że, hmm, to, co się wydarzyło dwa miesiące temu... (Nie rozmawiali o tym. Nie chciał o tym mówić, nie naprawdę, łatwiej będzie powiedzieć „to, co się wydarzyło” i na tym poprzestać, zamiast powiedzieć „kiedy mój przodek uczynił cię cesarzem i umarł dla Teixcalaanu, a jego śmierć pokazywano na żywo na wszystkich kanałach sieciowych”), ...że Mahit Dzmare była w to zamieszana, a teraz znalazła się na polu walki, a to prawdopodobnie bardzo niedobrze, zwłaszcza że jest z tym powiązana Informacja.

— Och, mały szpiegu — odrzekła Dziewiętnaście Ciesak — jesteś naprawdę dobry w tym, o co cię poprosiłam, czyż nie?

Nie był pewien, czy to miał być komplement.

— Myślisz, że ma rację? — zapytał. — Kapitan floty? Spotkałem ambasadorkę tylko raz, więc trudno mi to ocenić.

Dziewiętnaście Ciesak zawahała się. Chłopiec pomyślał, że pierwszy raz widzi, by okazywała niepewność spontanicznie, a nie tylko dla efektu.

— Mówiąc całkowicie szczerze, jeszcze nie zdecydowałam — odpowiedziała. — Podejrzewam też, że moja opinia ma mniejsze znaczenie niż to, co sądzi Trzy Azymut. Jeśli będziesz miał okazję, możesz spróbować poznać jej zdanie.

Musi jej powiedzieć. Teraz. Albo... zapytać ją, jeśli nie chciał mówić o tym, co Jedenaście Wawrzyn powiedział w ogrodzie. Musi przynajmniej

zapytać. (Pytanie było sposobem na niezdradzanie tajemnicy. Dobrze było się tego dowiedzieć).

— Wasza Promiennosc — zaczął bardzo ostrożnie, starając się odpowiednio sformułować pytanie. — Czy uważasz, że minister Trzy Azymut nie zgodziłaby się z tobą?

Wlepiła w niego spojrzenie na krótki moment, wystarczający na powolne mrugnięcie. Przełknął ślinę. Poczłł suchosc w ustach.

— W kwestii Mahit Dzmare czy w ogóle? — zapytała.

Rozmawiała z nim tak, jakby jego pytania miały znaczenie. Staral się nie czuć nerwowosci ani wdzieczności, ale nie obronil się przed żadnym z tych uczuć. Odetchnal głębeno i postanowil, że opowie jej o tym, co insynuowal Jedenaście Wawrzyn. Nie o tym, że mu grozil. Tylko że grozil minister Trzy Azymut, która zapewne potrafiła sama się obronic.

— W ogóle — odpowiedzial. — Dlatego że... na tym spotkaniu, gdy juz wysluchalismy nagrania, Jedenaście Wawrzyn ciagle mowil o poprzedniej minister wojny, Dziewiec Napęd. O jej przejściu w stan spoczynku. I o tym, że nowej minister również mozesz nie ufac.

— Naprawdę? — zapytała Dziewiętnaście Ciesak.

Osiem Antidotum poczul w zoladku nieprzyjemny ucisk poczucia winy. Jedenaście Wawrzyn byl jego nauczycielem, a on zrobil mu cos takiego. Skinal jednak glowa. Nie mogl oklamac Jej Promiennosci. Zwlaszcza że i tak juz powiedzial jej prawde.

— W starannie pielęgowanym ogrodzie Ministerstwa Wojny wyrastaja najrozniejsze kwiaty, malý szpiegu — odpowiedziala cesarz. — Ale najwiecej jest trujacych. Tym wlasnie jest broń, Osiem Antidotum. Trujacym kwiatem. Czy jest niebezpieczna, zalezy od tego, kto ja trzyma.

— Nie rozumiem — przyznal chlopiec. Nadal czul się winny, a obecnie również zawstydzony, poniewaz nie potrafil rozgryzc aluzji. — Nie wiem, kto ma być tym trujacym kwiatem.

Dziewiętnaście Ciesak parsknela śmiechem i poczul się jeszcze gorzej.

— Wszyscy oni nimi są — wyjaśniła. — Ale ogrody potrzebują czasem zewnętrznych szczepów, żeby zachowały zdrowie. Zapytaj o to swoich nauczycieli biologii, jeśli znajdziesz czas, kiedy będziesz się dowiadywał, co Trzy Azymut myśli o Mahit Dzmare.

Zewnętrznym szczepem z pewnością była Trzy Azymut. To mogło znaczyć, że Dziewiętnaście Ciesak jednak jej ufa. Albo po prostu uznała ją za odpowiednią na to stanowisko, a to wcale nie było to samo...

Skinął głową.

— Spróbuję — zapewnił. Doszedł do wniosku, że szpieg cesarza to najważniejsza z jego tożsamości, pomijając tylko następcę cesarza. Resztę przemyśli później. Nie był głupi. Przeczytał mnóstwo poematów. Znajdzie ten, w który wspomina o trujących kwiatach, i wtedy wszystko zrozumie.

Gdy Mahit całkowicie straciła głos — już wcześniej zamieniony w charkot przez upał, próby śpiewania i dławiące, pozbawione wilgoci powietrze — wspólnie z Trzy Trawą-Morską i obcym, którego nazwali Drugim (w przeciwieństwie do nieco wyższego i znacznie bardziej cichego Pierwszego), stworzyli już wspólny słownik składający się z około dwudziestu wyrazów. Większość z nich stanowiła rzeczowniki, a przynajmniej coś w rodzaju rzeczowników. Rzeczowniki były łatwe. Wskazywało się na przedmiot i wypowiadało jego nazwę, a obcy odpowiadał swoją nazwą. W ten sposób zdobyły takie słowa, jak „pistolet energetyczny” (a może po prostu „broń”), „but”, „woda”, „piasek” i coś, co mogło znaczyć „kwiat”, „obraz” albo „cień”, zależnie od tego czy i do jakiego stopnia Drugi rozumiał pojęcie znaków reprezentujących.

Miały też trochę czasowników, ale żaden z nich nie był zbyt sensowny.

Miały „pić” — Mahit miała taką nadzieję, ale równie dobrze mogło to znaczyć „konsumować”, „wchłaniać”, a nawet „wykonywać czynność na rozkaz” — Drugi wydawał z siebie ten sam warkliwy dźwięk, kiedy chciał, żeby ona albo Trzy Trawa-Morska powtórzyły to, co mówił. Być może odnosił się on zarówno do wody, jak i do pojęć. „Przyjąć w siebie”. Inne czasowniki obcych nie były wiele jaśniejsze. Jeden z wyrazów mógł znaczyć „lecieć”, „lądować” albo „pilotować statek kosmiczny”, coś innego zaś znaczyło zapewne „stop”. Tyle że ten dźwięk mógł wcale nie być czasownikiem. Równie dobrze mógł znaczyć „nie”, „zero” albo „nie to”. Bądź też groźbę: „przestań to robić albo spotka cię coś złego”. Drugi dwukrotnie zagroził im pazurami. Za pierwszym razem, gdy Trzy Trawa-Morska podeszła bliżej i wyciągnęła otwartą dłoń. Mahit pomyślała wtedy o truciźnie, kontaktowej truciźnie, o wszystkich sposobach, na które Teixcalaan mógł przeniknąć przez skórę — i napotkać odsłonięte zęby, ten odgłos i uniesione ku jej gardłu pazury, przed którymi cofnęła się pośpiesznie, blada niczym duch. I za drugim razem, gdy jeden z eskortujących je żołnierzy wyszedł z cienia, by przynieść im wody. Pierwszy i Drugi jednocześnie wydali z siebie dźwięk zaprzeczenia, a następnie niosący się rezonansem odgłos. Żołnierz zwymiotował i wypuścił z rąk cenną wodę, rozlewając ją na ziemię.

Widząc, jak ciemna kałuża wsiąka w kwarcowy piasek Peloa-2, Mahit pożałowała, że nie jest w stanie przekazać im pojęcia „marnotrawstwo”. Nie potrafiła nawet się do niego zbliżyć. Obcy również widzieli, jak woda znika, ale nie zareagowali na to w żaden sposób, który byłaby w stanie zrozumieć, odnieść się jakoś do niego, emocjonalnie albo językowo. Czy całą ich planetę pokrywały pustynie? Czy byli przyzwyczajeni do utraty? Czy w ogóle znali takie pojęcie?

Drugi problem polegał na tym, że o ile Mahit i Trzy Trawa-Morska były w stanie to określić, nie uczyły się języka. To nie był język, tylko pidżyn. Żadne ze słów, które poznały, nie zmieniało formy, tonacji ani głośności, gdy używano go w różnych kontekstach. Żaden z czasowników nie był powiązany

z jakimkolwiek obiektem. Nie miały też gramatycznego czasu, nie odnosiły się do przyszłości ani przeszłości, nie odróżniały czynności ukończonych od nieukończonych. Były punktami, pozbawionymi powiązań ze wszystkim, co je otaczało. O jeszcze większą frustrację przyprawiał je fakt, że nie były w stanie przekazać obcym koncepcji imion. Koncepcji jaźni. Nie było zaimków, sygnalizatorów imienia, nic w tym rodzaju. Nie było pojęcia „ja”.

Jakie są teixcalaanlijskie granice pojęcia „ty”? — pomyślała z ironią i znużeniem Mahit. W Mieście bardzo często zadawała Trzy Trawie-Morskiej to pytanie. Tutaj nie byłaby w stanie tego zrobić. Jeśli obcy w ogóle znali jakąś formę tego pojęcia, była ona dla niej zupełnie nieprzejrzysta.

Najgorsze jednak było to, że Pierwszy i Drugi w oczywisty sposób porozumiewali się ze sobą, choć nie wydawali żadnych dźwięków. Ani rezonansowych wibracji, ani sylab pidżynu. Perfekcyjna, bezgłośna komunikacja. Język, którego się uczyły, nie był tym, w którym rozmawiali obcy.

Tak czy inaczej, Mahit nie mogła już ciągnąć tego dłużej. Nie była w stanie mówić nawet po teixcalaanlijsku, nie wspominając nawet o śpiewaniu. Przyszło jej na myśl, że zemdlałaby, gdyby spróbowała to zrobić jeszcze raz, nawet gdyby jednocześnie lano jej wodę prosto do gardła.

<Zatrzymaj się> wyszeptał do niej Yskandr. To nagłe polecenie było jak kamień w jej ustach. Mogła go ssać, nawet jeśli nie było w nim wilgoci. Przywróciło jej przytomność umysłu i pozwoliło odwrócić się od Drugiego. Nie zwrócić się do niego plecami, nigdy w życiu, sama myśl o tym wypełniała ją atawistycznym przerażeniem, ale spojrzeć w bok i dotknąć dłonią barku emisariuszki.

— Musimy wracać. Jest za gorąco. Nie jestem w stanie myśleć. Tym bardziej nie jestem w stanie myśleć wystarczająco szybko, żeby nie pozwolić im dojść do wniosku, że można by nas wywnętrznościować. Wiem, że nie ma takiego słowa...

Trzy Trawa-Morska skinęła głową. Twarz miała jednocześnie zarumienioną

i szarą. Nie pociła się tyle, ile powinna. Mahit spróbowała sobie przypomnieć objawy zagrażającego porażenia cieplnego i doszła do wniosku, że fakt, iż nie jest w stanie tego zrobić, sam w sobie jest objawem.

— Oni też nie wyglądają wspaniale — stwierdziła ledwie słyszalnym głosem, ochryplym jak głos Mahit, to się pojawiającym, to milknącym, jakby radio ciągle gubiło falę. — Na tej planecie tylko piasek może czuć się dobrze.

— Jeszcze nie skończyliśmy — sprzeciwiła się Mahit. — Właściwie niczego się nie dowiedziałyśmy.

— Spotkanie nie jest negocjacjami, jeśli jest jedno — oznajmiła w odpowiedzi Trzy Trawa-Morska. Z pewnością był to cytat z jakiegoś teixcalaanlijskiego tekstu, którego Lselka nie czytała. Piętnastogłoskowa linijka ze średniówką w połowie długości. Zapewne był to jakiś wiersz polityczny.

— Tak — zgodziła się. — Ale musimy ich o tym przekonać.

Emisariuszka rozprostowała nieustępliwie ramiona na znak potwierdzenia i ponownie zwróciła się w stronę Drugiego. On również wyglądał na zmęczonego. Być może. Trudno to było określić. Jego biała skóra w szare łąty nie była zaczerwieniona ani nie spływał po niej pot. Nie widziało się nic charakterystycznego. Mahit odnosiła jednak wrażenie, że istota pochyla długą szyję, opuszczając nisko głowę, była też pewna, że lekko owłosione uszy skuliły się i przywarły do czaszki, co z pewnością świadczyło o złym samopoczuciu.

Lata publicznych występów dawały Trzy Trawie-Morskiej przewagę nad Lselką, jeśli chodzi o zachowanie głośności i trzymanie tonacji, nawet gdy jej głos był już u kresu wytrzymałości. Zaśpiewała *lecieć/pilot-statek/lądować* i wskazała na siebie, Mahit oraz towarzyszącą im eskortę. Następnie wykonała gest naśladujący zbieranie ich wszystkich do złożonej dłoni i wskazała w górę. Zaśpiewała *nie/stop*. Mahit miała nadzieję, że to rzeczywiście znaczy *nie/stop*, a nie cofnijcie się, kurwa: w przeciwnym razie to, co przed chwilą powiedzieli, znaczyłoby: *nigdy stąd nie odlecimy i wy też nie*.

Drugi gapił się na nią przez długą chwilę, całkowicie nieruchomy. Mahit przyszło na myśl, że niektóre zwierzęta przyglądają się ofierze bardzo uważnie, zanim zaatakują. Żyjące w Mieście jaszczurki, ogromne i roślinożerne, pochylały spojrzenie tak samo, jak Drugi gapiący się teraz na emisariuszkę, nim na nią skoczyły. (Mahit nigdy nie widziała takiej jaszczurki, tylko holonagrania. Nie dopuszczano ich na tereny pałacowe, a ona nie miała czasu na zwiedzanie. Na nic właściwie nie miała czasu. Sama myśl o bogatym w wilgoć powietrzu Klejnotu Świata wydawała się teraz czymś niewiarygodnym. Miejsce, gdzie jaszczurki mogły wyrastać do takich rozmiarów, żywiąc się tylko roślinami...)

<Odpływasz, Mahit> ostrzegł ją Yskandr. <Nie zemdlej. Nie sądzę, bym zdołał cię przed tym powstrzymać, a jestem absolutnie pewien, że uznano by to za *faux pas*>.

Ugryzła się mocno w język. Pomogło. Drugi jednak nie zaatakował Trzy Trawy-Morskiej i nie zjadł jej. Cofał się. Pierwszy również. Poruszali się razem, połączeni perfekcyjną i przerażającą bezgłośną więzią.

— Szybko — wychrypiała emisariuszka. — Holoprojektor. Odtwórz fragment, w którym odlatujemy i wracamy.

Mahit znowu złapała za sterownik. Jej dłonie wydawały się bardzo odległe od reszty ciała. Wolałaby neuropatię. Lepsza ona niż rozkojarzenie...

<Nie jest lepsza. Kurwa, odtwórz to nagranie...>

Przywołała obraz. Dwie maleńkie sylwetki obcych i dwie równie małe sylwetki ludzi opuściły Peloa-2, wracając na swoje okręty. Po chwili przerwy, gdy planeta wykonała ćwierć obrotu (ruch wirowy Peloa był powolny, kiedy tu wróca, zabójcze słońce nadal będzie prażyło), ci sami obcy i ci sami ludzie wrócili na niedawno porzucone miejsce.

Kiedy nagranie się odtwarzało, Mahit dodała do niego niosący się echem wrzask *hura-wygrywamy!* Jeśli to zrobicie, wszyscy na tym skorzystamy. Gdy słuchała tego dźwięku, znowu dopadły ją mdłości. Środki przeciwwymiotne

przestawały działać. Albo po prostu nie czuła się dobrze. Albo i jedno, i drugie.

<I jedno, i drugie. Przyglądaj się uważnie>.

Obcy, którego nazywali Drugim, otworzył paszczę i wydał z siebie taki sam dźwięk. Cały świat zamienił się w komorę pogłosową. Lselka ze wszystkich sił starała się powstrzymać wymioty. Do chwili, gdy obcy sobie pójdą...

Odchodząc, nie odwrócili się do nich tyłem. Skakali do tyłu równie swobodnie, jak do przodu. Mahit zastanawiała się, jak są zbudowane ich stawy biodrowe. Zadała sobie pytanie, czy potrafią również biec w bok albo się ślizgać. Wyobraziła sobie, jak niepokojąco szybko mogliby się w ten sposób poruszać. Poczwała zawroty głowy, gdy przypomniała sobie ich okręty, które pojawiały się i znikwały pośród pustki, w jednej chwili tu były, a w następnej ich nie było, wkładały i zdejmowały maskę.

Obcy zniknęli za szczytem wydmy. Nie było jasne, czy wrócą, czy nie i czy Mahit z emisariuszką dokonały czegośkolwiek, poza nauczeniem się kilku słów pidżynu, pozbawionego czasów gramatycznych.

Trzy Trawa-Morska zwymiotowała pierwsza, nim ambasadorka zdążyła wyłączyć holoprojektor. Następnie osunęła się na kolana, targana suchymi mdłościami. Mahit wypuściła z ręki sterownik i — kierowana wyłącznie instynktem, który całkowicie pozbawił znaczenia wszelkie spory i konflikty między nimi — przykucnęła opiekuńczo obok emisariuszki. Jej dłoń spoczęła na plecach Trzy Trawy-Morskiej, podtrzymując ją delikatnie, aż wreszcie mdłości ustały.

— Mogło pójść znacznie gorzej — stwierdziła agentka Informacji, gdy odzyskała zdolność mówienia. Wyprostowała się i otarła usta grzbietem dłoni. Nie próbowała się odsunąć od dłoni Lselki.

— Posłuchaj, Mahit, nikt nie zginął, nawet w najmniejszym stopniu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Minister Trzy Azymut, pozwoliłem sobie wykorzystać okazję i dokładnie sprawdzić, w jaki sposób udało ci się spacyfikować układ Nakhar. Zaczynam rozumieć, dlaczego ludzie, którzy uciekają się do tanich paszkwili, nadali ci niefortunny przydomek „rzeźniczki nakharskich umysłów”. Twoje dokonania są imponujące zarówno z uwagi na ich skuteczność, jak i precyzyjnie zastosowane okrucieństwo. Zachowałem fragmenty nagrań dla celów przyszłej konsultacji, gdyby okazała się konieczna.

Prywatna wiadomość od podsekretarza Jedenaście Wawrzynu do minister wojny Trzy Azymut, 35.1.1–19A

* * *

Powiedz mi, moja droga, jak zdołałaś oddychać, kiedy z nim podróżowałaś, kiedy byłaś młoda i dokonałaś wszystkich tych wielkich czynów, walcząc na powierzchniach planet, tak blisko niego? Jak udało ci się pozostać sobą? Udziel rady oczarowanemu barbarzyńcy. Wiesz, że bardzo się z tego ucieszę. Postawię ci kilka kolejek.

Notatka napisana ręcznie przez ambasadora Lsel, Yskandra Aghavna, przeznaczona dla *ezuazuacat* Dziewiętnaście Ciesak, przechowywana wśród prywatnych zapisków Jej Promienności Cesarz Dziewiętnaście Ciesak, nieopatrzone datą

Jej Promiennosc cesarz Dziewiętnaście Ciesak powiedziała mu, że jeśli będzie miał okazję, może spróbować się dowiedzieć, co minister Trzy Azymut myśli o ambasador Mahit Dzmare. Nie, co o niej myśli kapitan floty Szesnaście

Wschód-Księżycyca, sama cesarz albo co jego zmarły przodek cesarz sądził o niej i o jej poprzedniku na stanowisku lselskiego ambasadora, człowieka, którego Osiem Antidotum zapamiętał dzięki temu, że był bardzo częstym gościem w pałacu i z wielką łatwością sprawił, że jego codzienną obecność uznano za coś normalnego. Pytała o to, co minister wojny sądzi w tej chwili o ambasadorce Lsel.

Następnie oznajmiła, że sam musi zdecydować, czy cesarz powinna się zgodzić z opinią minister wojny. Zatruty kwiat w dłoni kogoś innego.

Miał wrażenie, że to zadanie znacznie wykracza poza jego możliwości. (Mógł źle ją zrozumieć. Co by się w takim przypadku stało? Nie wiedział tego, i ta niewiedza również go przerażała).

To jednak nie był jego główny problem. Najgorszy był fakt, że nie miał pojęcia, jak się zbliżyć do minister wojny. Z pewnością nie dowie się, co myśli Trzy Azymut, dzięki lekturze oficjalnych dokumentów na temat stosunków teixcalaanlijsko-stacyjnych ani dzięki zapoznaniu się z prawami regulującymi prawny status teixcalaanlijskich okrętów wojennych przechodzących przez przestrzeń stacyjną. Tego spróbował na początku. Co więcej, wgłębianie się w różnice między „transportem zapasów”, „transportem siły żywej” i „transportem pełnego uzbrojenia” na rozmaitych rodzajach statków przystosowanych do przewodu różnych towarów w najniezwyklejszych, mniej lub bardziej hipotetycznych sytuacjach nie pomogło mu zbytnio, a za to przyprawiło go o ból głowy i skłoniło go do postanowienia, że gdy już zostanie cesarzem, mianuje ministrem sprawiedliwości kogoś, kto lubi czytać takie rzeczy, żeby robił to za niego.

Był przekonany, że relacje między Teixcalaanem a Stacją Lsel są, jak nazwaliby to jego nauczyciele „znormalizowane, ale niepewne”. Teixcalaanlijskie okręty miały prawo przejścia przez przestrzeń stacyjną i Imperium kupowało mnóstwo wydobywanych tam metali, ale jeśli Stacyjni chcieli zamieszkać w Imperium, musieli uzyskać całe mnóstwo pozwoleń

(Osiem Antidotum nawet sobie nie wyobrażał, że może ich istnieć aż tak wiele), a żaden Teixcalaanlitzlim nie mógł zamieszkać na Stacji. Nie, i już.

Spojrzał na mapy gwiazdne. Niemal wszystkie okręty zmierzające na front musiały przejść przez przestrzeń stacyjną, zmierzając od bramy skokowej, którą Stacyjni dzielili z Teixcalaanem, do tej, której z nim nie dzielili. Do tej, po której drugiej stronie toczyła się wojna.

Nic z tego mu nie pomoże, jeśli nie wpadnie na pomysł, jak spotkać się z Trzy Azymut sam na sam. I przekonać ją, by powiedziała mu, co naprawdę myśli.

Naprawdę bardzo by chciał mieć więcej lat. Wtedy mógłby... no cóż, zaciągnąć się do Floty albo coś w tym rodzaju. Zostać kadetem-asystentem minister wojny. Zapewne jednak Flota miała mnóstwo kadetów, którzy nadawali się do tej funkcji lepiej od niego i ich wybór byłby mniej politycznie kontrowersyjny. To nie miałyby szans, nawet gdyby miał już czternaście lat i rzeczywiście mógł się zaciągnąć. On jednak dopiero przed miesiącem skończył jedenaście. Co więcej, bardzo łatwo byłoby to przejrzeć. Po co Osiem Antidotum miałby zostawać asystentem Trzy Azymut, gdyby czegoś od niej nie chciał?

Musiał istnieć jakiś inny sposób. Nieoficjalny. Coś, co pozwoli mu znaleźć się w odpowiednim miejscu, gdzie nie zobaczą go oczy kamer, a algorytmy Miasta i Słońca Imperium będą przekonane, że tak właśnie powinien wyglądać świat, gdy Osiem Antidotum znajdzie się w tym samym miejscu, w którym przebywała Trzy Azymut. To znaczyło, że musi ustalić, gdzie lubi spędzać czas minister wojny, i to w taki sposób, by się nie dowiedziała, że jest tym zainteresowany.

Trudno było być szpiegiem. Osiem Antidotum wstał z westchnieniem zza biurka z jego bardzo licznymi przezroczytymi infofizykami, wypełnionymi prawniczymi tekstami. Siedzenie bez ruchu bardzo go zmęczyło. Za oknami było już późne popołudnie, a on nie zajmował się dzisiaj niczym poza pracami domowymi i zbieraniem informacji o Stacji Lsel. Przyszło mu na myśl, że

jeśli będzie musiał przestudiować jeszcze jakieś dokumenty, może rzucić czymś o ścianę. (Przyszło mu na myśl, że gdyby naprawdę był dzieckiem, a nie tym, kim był, mógłby wyjść na dwór, żeby się pobawić. Albo coś w tym rodzaju. Nie był pewien, na czym właściwie polega zabawa na dworze, jeśli nie gra się w *amalitzli*, a do tego trzeba było mieć całą drużynę). Zamiast próbować odnaleźć wymagowaną drużynę *amalitzli*, uniósł ręce nad głowę tak wysoko, jak mógł sięgnąć, i pochylił się do przodu, zginając się w pasie. Położył dłonie na podłodze i przesunął stopy do tyłu, robiąc deskę przez całą minutę, aż mięśnie ramion wypełnił mu ogień. Gimnastyka również zaliczała się do prac domowych, ale przynajmniej sprawiała mu przyjemność.

Gdy próbował zrobić pompkę na jednej ręce, co nigdy dotąd mu się nie udało (dojrzałość i związany z nią przyrost masy mięśniowej nie mogły jego zdaniem przyjść za szybko), nagle nasunął mu się pomysł. To było tak, jakby coś w jego umyśle zaskoczyło, jak wtedy, gdy rozwiązywał zagadki strategiczne Jedenaście Wawrzynu.

Osoba tak sprawna fizycznie, jak Trzy Azymut, z pewnością dużo ćwiczyła, żeby nie stracić nic z tej sprawności, zwłaszcza jeśli była ministrem wojny.

Ministerstwo Wojny miało salę gimnastyczną wyposażoną znacznie lepiej niż ta w Pałacu-Ziemia. Była tam również strzelnica, a Osiem Antidotum naprawdę miał ochotę poćwiczyć strzelanie, jak mu poradził Jedenaście Wawrzyn. Trochę to ostatnio zaniedbał, bo bardzo dużo myślał o strategii. Mógłby się założyć, że bardzo łatwo będzie trafić tam na Trzy Azymut.

Był tak z siebie zadowolony, że nie zmartwił się zbytnio, gdy próba zrobienia pompki zakończyła się całkowitym niepowodzeniem i walnął twarzą o podłogę.

Trzy Trawa-Morska nigdy dotąd nie składała raportu oficerowi teixcalaanlijskiej Floty, a tym bardziej *yaotlek*. To było dla niej całkowicie nowe doświadczenie. Było też znacznie mniej przerażające niż składanie raportu *ezuazuacat*, która za niespełna sześć godzin miała zostać cesarzem. Niemal wszyscy bledli w porównaniu z Dziewiętnaście Ciesak, nawet jeśli ta *yaotlek* wyglądała, jakby wyszła z przesłuchania kandydatów do zagrania ról *yaotlekim* w holodramacie.

Prawie wszyscy. Obcy przerażali ją absolutnie. Gdyby uznać ich za ludzi, trzeba by przyznać, że radzą sobie z zastraszaniem znacznie lepiej niż Jej Promienność Dziewiętnaście Ciesak.

Zapamięta te pazury na bardzo długi czas. Pazury, zęby i to, jak bardzo zbliżyły się do jej skóry. Cała reszta wspomnień z Peloa-2 zmieniała się już w mgiełkę zmęczenia upałem i przeciążenia umysłu. Ale rozmawiały z obcymi. Ona i Mahit. Udało się im. Nawet jeśli to nie przyczyni się do powstrzymania wojny, czy choćby jej opóźnienia, zrobiły to i zamierzała cieszyć się tą świadomością tak długo, jak będzie mogła. Czuła się cudownie. Była bliska ekstazy, zachwycona tym, że stoi przed Dziewięć Hibiskus w towarzystwie Mahit, i tłumaczy *yaotlek*, czego i w jaki sposób dokonały.

Pomogło jej kilka dużych szklanek wody, które dostała. Pamiętała, by pić małymi łykami, żeby wszystkiego nie wymiotować. Przypomniała też o tym Mahit. Stacyjnych dyplomatów nie uczono, jak się zachowywać na pustyniach. To jej nie zaskoczyło. (Zaskoczeniem była natomiast dłoń Lselki na jej plecach, w blasku pustynnego słońca, radość z tego dotyku i z tego, że ambasadorka znowu ją zauważała, z otwierającej się przed nią możliwości, że być może nie spieprzyła nieodwołalnie wszystkiego między nimi! Być może. Ale nawet ta niepewna szansa była dla niej czymś świetlistym, cudownym i zdumiewającym. Podobnie jak wszystko w tej chwili).

Wyprawiono je z wahadłowca w wielkim pośpiechu i niemalże w tajemnicy. Ujrzała przelotnie w ogromnym hangarze Dwadzieścia Cykadę. Spodziewała się, że pojawi się na rozmowie z *yaotlek*, choćby po to, by

odzyskać gobelin — złożyła go bardzo starannie, po otrzepaniu z piasku — ale tego nie zrobił. Była tam tylko *yaotlek* i oficer łącznościowy, Dwa Piana. Nie było adiutanta ani oskarżycielskiej, wzdorliwej i zbędnej kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżyca. To ciekawe. Gdy nieco się nawodni i otrząśnie z ekscytacji, będzie mogła poświęcić sytuacji politycznej na „Ciężarku u Koła” uwagę, na jaką z pewnością zasługiwała. Później! Ani odwodnienie, ani ekscytacja nie sprzyjały zdolnościom analizy. Ministerstwo Informacji uczyło swoich kadetów całej listy odmiennych stanów świadomości, w których nie powinno się oceniać sytuacji, a Trzy Trawa- -Morska starała się pamiętać wszystko, czego ją nauczono.

Wypita woda pozwoliła jej mówić, a nawet zaśpiewać jedno z pełnych spółgłosek słów o absurdalnej tonacji, choć Mahit radziła sobie z tymi dźwiękami znacznie lepiej od niej i emisariuszka zaczęła rozważać możliwość nauczania jej podstaw panowania nad oddechem i tonacją, a także tego, jak wykorzystywać przeponę w trakcie występu. Wszystkiego tego nauczyła się już w ochronce. Niemniej nawet największa ilość wody nie pozwoli jej i Mahit uporać się z podstawowym, strukturalnym problemem łączącym się z ich wspaniałym sukcesem. Nauczyły się dwudziestu słów, ale żadne z nich nie pozwoli im powiedzieć: *Proszę, wydajcie nam zbrodniarzy wojennych, którzy zamordowali naszych kolonistów, i nie rozważajcie możliwości ataku na nasze kolejne kolonie, położone bliżej serca Imperium. W zamian będziemy się bardzo starać nie kierować naszej potężnej broni energetycznej na wasze okręty.*

Będą potrzebowały jeszcze wielu spotkań, by dojść do tego punktu. O ile to w ogóle było możliwe. Trzy Trawa-Morska wiedziała o językach znacznie mniej od Mahit, ale nawet ona zorientowała się, że to, w czym mówiły, czy raczej śpiewały, jest jedynie szkicem prawdziwego języka. W mniejszym stopniu niż wibracyjne znaczniki tonu, ale nadal szkicem.

— Nie ma zaimków? — zapytała Dwa Piana, oficer łącznościowy, która z pewnością również wiedziała o językach więcej od agentki Informacji.

Rozmawiały z Mahit na ten temat przez całe pięć minut. Emisariuszka cieszyła się, że jej przyjaciółka z taką swobodą posługuje się specjalistycznym teixcalaanlijskim słownictwem i jasno wszystko tłumaczy rozmówczyni. Przyjemność sprawiała jej również możliwość wymieniania z samą *yaotlek* spojrzeń mówiących *na krew i światło gwiazd, co za uczone, potrafisz w to uwierzyć?* Chciała, żeby Dziewięć Hibiskus nadal je lubiła, o ile to możliwe — nie miała czasu zastanowić się nad tym, jaki związek miała jej obecność z konfliktem między *yaotlek* a Szesnaście Wschód-Księżycy — bo inaczej trudno im będzie kontynuować rozmowy z obcymi. Albo podjąć decyzję o przerwaniu rozmów z właściwych powodów.

Gwiazdy, potrzebowała sojuszników we Flocie. Wszystkich, jakich zdoła znaleźć. Trzy Trawa-Morska lubiła znajdować się w obcym otoczeniu — jak wszyscy wyszkoleni agenci Informacji — ale świetnie zdawała sobie sprawę z tego, że nie zna panujących tu zasad, nie wie, jak wyglądają stosunki między okrętami, ich dowódcami i załogami. Żaden cywil nie mógłby tego wiedzieć. (Ale to i tak było łatwiejsze niż rozmawianie z obcymi).

— Większą trudność sprawia fakt, że w języku, który poznajemy, nie ma czasu — kontynuowała Mahit. — Ani czasów gramatycznych, ani pojęcia przyczynowości. Nie jestem pewna, czy można w nim zadawać pytania, a tym bardziej sugerować różne opcje bądź przedstawiać konsekwencje. Można by pomyśleć, że mówią do nas, jakbyśmy wszyscy byli bardzo młodzi.

— Może rzeczywiście tak myślą — zasugerowała Dziewięć Hibiskus. — O nas wszystkich albo tylko o was dwóch. Może wysyłają swoją młodzież na rozmowy z niebezpiecznymi obcymi?

— Dlatego, że uważają, iż młodych łatwiej można poświęcić? — zapytała Trzy Trawa-Morska. To była bardzo interesująca myśl. Tyle że nie zgadzała się z wyglądem Pierwszego i Drugiego. — W takim przypadku dorosłe osobniki musiałyby być bardzo duże. Te dwa na pustyni, były co najmniej tej samej wielkości jak ten, którego sekcję zrobiliście, *yaotlek*.

— Zatem albo wszyscy ich żołnierze są niedawno narodzeni... — zaczęła

Dwa Piana z zastanowieniem w głosie.

— ...albo mają też inny język, którego nie słyszymy — dokończyła za nią Mahit. — Nieprzepuszczalny język.

Emisariuszka nie sądziła, by jej przyjaciółka wiedziała, że właśnie zacytowała *Asymptotę/Fragmentację Jedenaście Tokarki*. O ile wiedziała, Lselka nigdy nie czytała dzieł jej ulubionego poety-dyplomaty, który przeżył sześć lat wśród Ebrekti, a gdy wrócił, nadal był człowiekiem, choć jego język stał się dziwny i chaotyczny, a jego poezję wypełniały obrazy, których Trzy Trawa-Morska nie potrafiła do końca zrozumieć. *Ruch gonu jest nieprzepuszczalnym językiem* — napisał, próbując przedstawić w słowach wiecznie zmienną hierarchię stad, w których poruszali się polujący Ebrekti, fizyczną formę ich społecznego zachowania. To bardzo dziwne, że Mahit użyła tych samych słów, nieświadoma — emisariuszka była tego prawie pewna — powiązanych z nimi znaczeń. Ich historii kontaktów Teixcalaanu z tym, czego nie sposób zrozumieć, co było zbyt obce, by można było zostać na dłużej w jego towarzystwie. Jedenaście Tokarka wrócił w końcu do domu po długim wygnaniu. A później opisał wszystko w języku wartym zapamiętania.

— Jeśli ich język jest nieprzepuszczalny, musicie znaleźć drogę obejścia — rozkazała Dziewięć Hibiskus ze spokojem płynącym z jej autorytetu.

Mahit otworzyła usta, zapewne chcąc wymienić wszystkie liczne przyczyny sprawiające, że to polecenie jest niemal niewykonalne. Miałaby rację, ale nie to należało w tej chwili powiedzieć. Trzy Trawa-Morska wiedziała, że ten rozkaz równa się w praktyce pozwoleniu na dalsze rozmowy z obcymi. Dlatego ubiegła przyjaciółkę:

— Oczywiście, *yaotlek*. Za dziewięć godzin wrócimy na Peloa-2, by odbyć kolejne spotkanie.

Złożyła palce przed sobą i pokłoniła się tak nisko, że jej warkocz dotknął podłogi.

— Zróbcie tak — poleciła *yaotlek*. — Ale najpierw się prześpijcie, o ile

dacie radę. Jeśli obie umrzecie z powodu porażenia słonecznego albo z wyczerpania, Dwadzieścia Cykada napisze najbardziej gniewny raport, na jaki go stać, a honor każe mi przeczytać go w całości.

Machnęła szeroką, umięśnioną dłonią, nakazując im odejść. Trzy Trawa-Morska powstrzymała się przed uśmiechem w stacyjnym stylu, nie chcąc straszyć Dwa Piany. Dostały następne spotkanie. I będą miały trochę czasu — o ile znowu nie wdadzą się w jakąś kretyńską, bezsensowną kłótnię — by zastanowić się nad politycznymi implikacjami tego, co zamierzały zrobić.

A także nad tym, czy zgadzają się one z politycznym zadaniem, które zleciła Mahit jej Stacja...

Jeśli jednak Trzy Trawa-Morska poruszy ten temat, następna kłótnia będzie nieunikniona. Albo nowa wersja tej samej kłótni. Nie. Lepiej pomyśleć o tym, jak Mahit Dzmare cytowała Jedenaście Tokarkę, jakby jego słowa były na miejscu w jej elokwentnych ustach.

Nie chodziło o to, że nie zdawała sobie sprawy, iż unika jakichkolwiek prób zdobycia informacji o planach swej towarzyszki i o tym, wobec kogo jest ona lojalna, mimo że takie informacje mogłyby przynieść jej spokój serca. Naprawdę nie o to. Trzy Trawa-Morska świetnie o tym wiedziała. Być może jednak to wystarczy. Jeśli brakowało jej informacji, mogła wziąć na to poprawkę w swoich rozważaniach. Do tej pory zawsze się jej to udawało. Musiała sobie wyobrazić wpływ wywierany przez Stację Lsel na Mahit jako przestrzeń negatywną, która nadal zachowała własną grawitację. Dyplomatyczną ciemną materię.

Z każdą godziną spędzoną przez nią na okręcie Floty, jej metafory stawały się coraz bardziej pozaplanetarne. To mogło dobrze rokować dla jej poezji albo wręcz przeciwnie. Banaly jej nie pomogą, nawet jeśli pasowały do sytuacji.

Gdy już odesłała emisariuszkę i jej politycznie kłopotliwą towarzyszkę, a nim jeszcze miała czas porządnie się zastanowić nad tym, co jej przyniosły (zaczyn negocjacji i mnóstwo pytań bez odpowiedzi, właściwie nic konkretnego, na czym można by się oprzeć). Dziewięć Hibiskus poddała ocenie stan mostka „Ciężarka u Koła” i całej reszty Floty. Nie podobała się jej pozycja, w której się znalazła.

Sześć legionów. Szóstka *yaotleka*, stanowczo za mało, żeby toczyć wojnę pozbawioną wszelkich celów poza wyczerpaniem przeciwnika i obroną bram skokowych. Nie znali żadnych nieprzyjacielskich twierdz, które mogliby zdobyć. Dwa z tych legionów — Siedemnasty dowodzony przez Czterdzieści Tlenek i Dwudziesty Czwarty pod dowództwem Szesnaście Wschód-Księżycy — już poniosły straty z powodu wojny szarpanej — jednostki znajdujące się na brzegach formacji, zniszczone przez nagłe ataki trzypierścieniowych okrętów. Trzy z tych legionów (dwa wyżej wymienione oraz Szósty pod dowództwem Dwa Kanał) okazywały niezadowolenie z tego, że pozycja *yaotleka* przypadła Dziewięć Hibiskus. Kierowały nimi motywy polityczne zrodzone gdzieś w Ministerstwie Wojny. Nie potrafiła ich zidentyfikować z tak wielkiej odległości. Jedna agentka Informacji, która była skuteczna, lecz jej lojalność pozostawała wątpliwa, i jedna lingwistka-ambasadorka, która z pewnością była barbarzynką i jej cele były barbarzyńskie, nawet jeśli w tej chwili zgadzały się z celami Floty.

Linie zaopatrzenia rozciągnięte przez zbyt wiele bram skokowych.

Pogrzeb całej planety.

Nieprzyjaciel, który mógł chcieć negocjacji bądź nie. Który mógł nawet nie rozumieć pojęcia negocjacji.

I kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy, ta sama, której żołnierze zbyt często ginęli w akcji i która otwarcie podważała autorytet Dziewięć Hibiskus, a krążyła po jej okręcie niczym SI, która wyrwała się spod kontroli w systemie łączności.

Wszystko to bynajmniej się jej nie podobało. Ale przynajmniej ludzie na

mostku nadal należeli do niej i wykonywali zadania dokładnie tak, jak powinni.

Osiemnaście Dłuto, oficer nawigacyjny, wstał i podszedł do niej. Był niemal równie szeroki w barach jak ona, jego klatka piersiowa przypominała beczkę, a wydatny brzuch wydawał się miękki, lecz wcale taki nie był. Reprezentował typ żołnierza zaprojektowany z myślą o wytrzymałości, ale z jakiegoś powodu po piętnastu latach służby w powierzchniowej piechocie okazał się najbardziej kompetentnym specjalistą od mechaniki nieba, jakiego kiedykolwiek miała. (Powiedział jej kiedyś, gdy pili razem w mesie dla oficerów, że zdał egzamin umiejętności nawigatora ze znakomitym wynikiem, ale chciał najpierw poznać prawdziwe życie żołnierza, nim zacznie poświęcać cały czas na gapienie się w gwiazdy). Zwróciła się nieco w jego stronę w geście znaczącym „mów”.

— *Yaotlek* — wyszeptał. Bardzo cicho. Zatem jego słowa nie były przeznaczone dla wszystkich. Chciał jej coś powiedzieć dyskretnie, by miała czas zareagować. Podjął decyzję, jak powinna wyglądać ta reakcja. Skinęła głową, kładąc mu mówić dalej.

— Jedna z naszych jednostek zwiadowczych, „Róża Grawitacji” pod dowództwem kapitan Osiemdziesiąt-Cztery Zmierzch zawiadomiła nas na tajnym kanale, że znalazła coś, co wygląda na bazę istot, z którymi walczymy.

Serce Dziewięć Hibiskus zatłukło o jej żebra z siłą ostrzału artyleryjskiego.

— Planeta, stacja, czy po prostu bardzo duży statek? — zapytała również cicho. — I gdzie?

— Planeta — odpowiedział Osiemnaście Dłuto. — Planeta i jeden satelita, oba ciała zamieszkane. Bardzo dużo cywilnego ruchu, jak w każdym szanującym się układzie planetarnym. Osiemdziesiąt-Cztery Zmierzch nie podała mi zbyt wiele szczegółów, poza tym, że statki zbudowano w podobnym stylu, ale nie są okrętami wojennymi. A przynajmniej na nie nie wyglądają. Ten układ jest daleko stąd. Za miejscem, w którym kapitan floty Czterdzieści Tlenek ulokowała Siedemnasty Legion. Dlatego wektor ich ataków prowadzi

od tamtej strony. — Uśmiechał się nerwowo i groźnie. — Chyba ich mamy, *yaotlek*. Jeśli Pięć Oset zdoła wprowadzić nas tam z ładowniami wypełnionymi jądrowymi bombami rozpryskowymi, myślę, że będziemy mogli ich załatwić na dobre, przynajmniej w tym jednym układzie. Wyślij wiadomość.

— Zakładając, że dostaniemy się tam niepostrzeżenie — zauważyła Dziewięć Hibiskus. Bomby rozpryskowe zrobiłyby dokładnie to, co wyobrażał sobie Osiemnaście Dłuto. Załatwiłyby wszystkich na całej planecie, a w dodatku skazyłyby ją na długo. Używano ich tylko w ostateczności i prawie nigdy nie przeciwko zamieszkanym miejscom, ponieważ później przestawały się nadawać do życia. Sama użyła takiej bomby tylko raz, i to w walce z innym okrętem, w bezpiecznej, czarnej próżni. Myśl o zaatakowaniu nimi obcych...

Prawda wyglądała tak, że ta myśl zanadto przypadła jej do gustu. Dziewięć Hibiskus polubiła ją za szybko i nazbyt mocno. Takie proste rozwiązanie. Ta kwestia mogła się okazać znacznie łatwiejsza niż reszta stojących przed nią problemów.

— Powiedz Osiemdziesiąt-Cztery Zmierzch, żeby zabrała stamtąd „Różę Grawitacji” — rozkazała. — Szybko i po cichu. Uprzedź ją, że nie chcemy, by nieprzyjaciel się zorientował, że wiemy, gdzie jest jego baza. Chcemy wyciągnąć z tego maksymalne korzyści, Osiemnaście Dłuto. Plan jest dobry. Na razie zachowaj go w tajemnicy.

Skinął głową i wrócił do swojej konsoli. Zadowolony. Niecierpliwy. (I czy ona nie czuła tego samego? Niecierpliwości? Zapału?)

Znowu pomyślała o Szesnaście Wschód-Księżyca ukrywającej się gdzieś w trzewiach jej okrętu, wędrującej i obserwującej uważnie dla siebie znanych celów. Doszła do wniosku, że są sprawy... są sprawy, o których nawet inni kapitanowie floty nie muszą wiedzieć, dopóki *yaotlek* nie postanowi ich o nich poinformować. Chciała się pozbyć kapitan floty Dwudziestego Czwartego

Legionu z „Ciężarka u Koła”. Natychmiast. Wtedy będzie miała czas coś zaplanować.

Minister wojny świetnie umiała robić pompki. Podobnie jak stać na rękach, robić wypady, okładać pięściami worek z piaskiem, a także biegać bardzo szybko i nie dostać przy tym zadyszki. Osiem Antidotum widział, jak zrobiła to wszystko trzy razy pod rząd. Siedział na swoim miejscu na balkonie sali ćwiczeń Rozpostartych Dłoni i myśl o jego własnej kondycji fizycznej wprawiała go w rozpacz.

Minister znowu wyłoniła się zza zakrętu trasy. Oddalała się od niego szybkimi, miarowymi krokami. Policzki i bliznę po uchu miała zaczerwienione. Osiem Antidotum westchnął i ruszył w jej stronę. Nie biegł, rzecz jasna. Nawet gdyby był w stanie dotrzymać jej kroku — nie chodzi o to, że był za słaby, geny zapewniały mu zadowalającą sprawność, po prostu nigdy nie biegł — nie chciał rozmawiać z nią, dysząc. To pozbawiłoby go godności. Zawstydzilo. A naprawdę wolałby nie okryć się wstydem w rozmowie z Trzy Azymut. To uczucie było zaskakująco silne. Ruszył ku matom, na których wykonywała ćwiczenia gimnastyczne, i zaczął śmiało, a nawet z lekką ekscytacją, ćwiczyć stanie na rękach.

Poniekąd potrafił to zrobić. Jeśli skoczył przed siebie, upadł na wyciągnięte ręce i uniósł nogi w górę, napinając jednocześnie mięśnie, żeby nie przechylić się za daleko. Ale nigdy nie udało mu się wykonać tego jak trzeba — zacząć od pozycji klęczącej, wesprzeć rozpostarte dłonie na materacu i unieść ciało w górę. To było znacznie trudniejsze. Był pewien, że jakiś szczegół umyka jego uwagi. Unosił ciało w górę, a potem upadał z powrotem albo przechylał

się w drugą stronę. Z pewnością czegoś nie wiedział. Dowie się tego od Trzy Azymut.

— Dziecko — odezwała się. Bardzo się starał nie okazać zaskoczenia i w rezultacie tylko runął na plecy z łoskotem. Minister wojny spojrzała na niego z góry. Po skończonym przed chwilą biegu oddychała szybko, ale regularnie. Na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiego rozbawienia. Osiem Antidotum nie okazywał wstydu. Chciał, żeby się nim zainteresowała. Wesołość również była formą zainteresowania. I to rzeczywiście było śmieszne, że ciągle upadał. (Ale i tak się zaczerwienił. Głupio z jego strony).

— Dzień dobry, minister — odpowiedział, leżąc. — Stawanie na rękach nie wychodzi mi za dobrze.

Usiadła przy nim, krzyżując nogi wdzięcznym ruchem. Jej brwi uniosły się do połowy wysokości czoła.

— Szczerze mówiąc, wychodzi ci fatalnie — stwierdziła. — Czemu próbujesz zaczynać od pozycji klęczącej, kiedy masz za mało lat, by choć rozpocząć system ćwiczeń Floty?

— Widziałem, jak ty to robisz — odparł Osiem Antidotum i usiadł. Leżenie na macie było zbyt krępujące. Nie mógł dalej mówić w takiej pozycji. — Umiem stanąć na rękach w normalny sposób, więc...

Roześmiała się. Pomyślał, że ten śmiech wyrażał sympatię. Miał nadzieję, że tak było. (To było okropnie niedogodne, że lubił minister wojny i pragnął, by ona również go polubiła).

— Więc pomyślałeś sobie, że spróbujesz to zrobić na swoich krótkich rączkach. Jesteś niebezpiecznie ambitnym dzieckiem, Ekscelencjo. Ale z pewnością już o tym wiesz.

Osiem Antidotum spróbował nadać swojej twarzy maksymalnie obojętny wyraz.

— Mówiono mi to, ale nigdy dotąd tak bezpośrednio.

— Gwiazdy — mruknęła Trzy Azymut. — Nie wiem, jak wychowuje się

dzieci w pałacu, ale ktoś nieźle cię urządził. W porządku. O co chodzi z tym stanem na rękach, pomijając fakt, że próbujesz zrobić coś, czego nie umiesz?

— Chcę się nauczyć czegoś, czego nie umiem — odpowiedział chłopiec. — Ty to umiesz. Jesteś ministrem wojny. Zatem to z pewnością jest użyteczne.

Trzy Azymut parsknęła śmiechem, radosnym i niekontrolowanym. (Może to znaczyło, że udało mu się coś osiągnąć?)

— Nie wszystko, co robię, musi być użyteczne, dziecko. Urząd nie nadaje użyteczności mojej porannej rutynie ćwiczeń.

— A co ją nadaje?

Umilkła na chwilę i zastanowiła się nad tym pytaniem. (Pozwoliła mu zobaczyć, że się nad nim zastanawia).

— One pozwalają mi zachować siłę i zręczność, mimo że cały dzień siedzę za biurkiem. Znam je na tyle dobrze, że mogę je wykonywać prawie bez zastanowienia, a to znaczy, że nie sprawia mi to trudności. Dlatego są dla mnie użyteczne. Chodź, pokażę ci jeden drobiazg, który robisz źle. Zaczynaj od nowa, z rękami na macie.

Zrobił to. Rozpostarł wsparte na macie dłonie, podciągnął nogi pod siebie i stanął na palcach. Trzy Azymut mruknęła z zastanowieniem. Następnie położyła dłonie na dłoniach chłopca i odsunęła jego palce od siebie. Poczł suchość w ustach.

— Zmień swoje dłonie w gwiazdy — poradziła mu. — Niech ich końce wskazują we wszystkich kierunkach. Gwiazdy mają potężne przyciąganie, tak? Ich grawitacja wciąga twoje dłonie w matę. Naciśnij. A następnie zegnij łokcie, właśnie tak, pochyl się do przodu i oprzyj kolana na łokciach.

Co takiego? — pomyślał zdezorientowany chłopiec, ale i tak spróbował to zrobić. Podskoczył i uniósł tyłek w górę, próbując trafić kolanami w zgięte łokcie.

Chybił. Przetoczył się do przodu, niesiony impetem, i usiadł. Przynajmniej nie przewrócił się na bok.

— Przepraszam.

Minister wojny potrząsnęła głową.

— To było śmieszne, ale całkiem niezłe, jak na pierwszą próbę. Następnym razem spróbuj najpierw jednym kolaniem, a następnie drugim. I utrzymaj równowagę w tej pozycji, zanim spróbujesz stanąć na rękach. Rozumiesz?

Skinął głową. Nie rozumiał, ale zapewne jakoś to rozgryzie...

— A teraz, dziecko, powiedz mi, czego jeszcze chcesz poza darmowymi lekcjami gimnastyki. Odkąd zaczęłam ćwiczyć, cały czas siedziałeś na balkonie.

Naprawdę musi się nauczyć, jak się nie czerwienić. To jednak było bardzo trudne, jeśli go przyłapano. Zwłaszcza kiedy zrobiła to Trzy Azymut. Naprawdę myślał, że był bardzo cichy i ostrożny, więc nikt go nie zauważy. Mimo to...

— Chciałem z tobą porozmawiać o ambasadorce Lsel — wygarnął nagle, nie wiedząc, co innego mógłby powiedzieć. W ogóle nie potrafił rozmawiać z tą kobietą. — Hmm, spotkałem ją tylko jeden raz. I... chciałem się dowiedzieć, co o niej sądzisz, bo nie jestem pewien, a na tym spot... dziękuję, że pozwoliłaś mi na nim być, chciałem powiedzieć...

Znieruchomiała, jak drapieżny ptak wypatrujący na ziemi ofiary, gotowa uderzyć. Osiem Antidotum zamknął usta i spróbował przełknąć ślinę, ale miał w nich zupełnie sucho.

Minister wojny przesunęła dłonią po włosach, odgarniając z czoła wilgotne od potu kosmyki.

— Czy Jedenaście Wawrzyn kazał ci mnie o to zapytać?

— Nie — zaprzeczył chłopiec. *Nie Jedenaście Wawrzyn. To była jej Promiennność, której łaskawa obecność rozświetla salę niczym błysk ostrza noża.*

— Czy próbujesz mnie okłamać, Ekscelencjo?

Potrząsnął głową, szybko i ostro.

— Pamiętaj, żebyś tego nie robił. Przyłapię cię, Ekscelencjo, prędzej czy później cię przyłapię. — Jej głos był nieśpieszny, poważny i przepojony

determinacją. Osiem Antidotum czuł się jak zahipnotyzowany. Był przerażony. — Powiedz mi, czy to Jedenaście Wawrzyn podpowiedział ci ten sprytny plan?

— Przysięgam, że tego nie zrobił — odpowiedział Osiem Antidotum. Nie był pewien, jak zareaguje, jeśli Trzy Azymut go zapyta, kto w takim razie to zrobił. Nie był też pewien, czy by mu uwierzyła, gdyby spróbował ją okłamać, ani czy gdyby powiedział jej prawdę, nie stałoby się to początkiem katastrofy, podobnej do tej, która spotkała poprzednią minister Dziewięć Napęd podczas... powstania, które położyło kres rządów jego przodka cesarza. Dziewięć Napęd nie była już ministrem, prawdopodobnie — chłopiec nie miał pewności, wszystko, co wydarzyło się trzy miesiące temu, było bardzo niejasne, a on miał wtedy tylko dziesięć lat, nie jedenaście, i wielu rzeczy mu nie mówiono — dlatego, że poparła próbę uzurpacji *yaotleka Jeden Błyskawicy*. Zapewne właśnie z tego powodu nowa cesarz postanowiła sprowadzić kogoś z daleka, jak Trzy Azymut. Jej zewnętrzny szczep. Ale Osiem Antidotum szpiegował minister dla Jej Promienności. Gdyby Trzy Azymut się dowiedziała, że przysłała go Dziewiętnaście Ciesak, to czy spowodowałoby to nową wojnę domową? Potrafił sobie wyobrazić taką możliwość. Sytuację, w której stół strategiczny, jakim były Miasto i pałac, zmieniłby się nagle, przybierając tę odrażającą postać. Jeśli Trzy Azymut sprowadzono tu po to, by była lojalna, a teraz doszła do wniosku, że cesarz jej nie ufa... mogłaby wtedy zrobić absolutnie wszystko.

Ale nie zapytała go: „kto cię przysłał”? Chciała tylko wiedzieć, czy to był Jedenaście Wawrzyn. Który w zasadzie był jej podkomendnym. Chciała się dowiedzieć, czy podsekretarz wykorzystuje Osiem Antidotum, by wyciągnąć od niej pewne informacje...

Nagle zadał sobie pytanie, czy Jedenaście Wawrzyn już dowiedział się o niej czegoś, co chciała przed nim ukryć. Nazwała go „szefem swoich szpiegów”. Szpiegzy nie tylko zbierają informacje, lecz czasem również

wykorzystują je przeciwko innym, by zmusić ich, by robili to, czego od nich chcą.

Trzy Azymut najwyraźniej doszła do wniosku, że chłopiec nie kłamie.

— W porządku — odezwała się. — Myślę, że ambasador Dzmare jest jedną z tych osób, które destabilizują każdą sytuację, w której się znajdują, Osiem Antidotum. To moja profesjonalna opinia. Przekazuję ci ją po to, byś zaczął się uczyć, jak ich rozpoznać. W jaki sposób się zachowują. Słuchasz mnie?

Skinął głową, nie odzywając się ani słowem.

— Kiedy dorośniesz, będziesz ich spotykał w całym Teixcalaanie — kontynuowała. — Tutaj w pałacu, w Mieście i na każdym okręcie, na którym będziesz służył, jeśli zaciągniesz się do Floty. Na każdej planecie i w sercu każdej katastrofy zawsze będzie co najmniej jeden. Tacy ludzie mogą mieć najlepsze albo najgorsze intencje. Mogą być inteligentni albo wyjątkowo głupi, mogą być barbarzyńcami albo obywatelami... ale zawsze, zawsze, ekscelencjo, stawiają siebie i swoje pragnienia przed interesami Teixcalaanu. Nie mają żadnego poczucia lojalności. W każdej chwili mogą zmienić zdanie.

— I Dzmare jest jedną z nich? — zdołał zapytać chłopiec.

— Zastanów się nad tym. Zjawia się, zakłóca kruchy niczym kryształ cukru pokój między ministerstwami, pojawia się w kanałach medialnych, pisze parę wierszy i dzięki niej jej patronka zostaje cesarzem. Nie twierdzę, że Jej Promienność była nieodpowiednią kandydatką. Była znakomitą kandydatką, i mogę to przysiąc w świątyni słońca, gdy krew będzie płynęła z obu moich nadgarstków jednocześnie. Ale potem wróciła do siebie, a teraz pojawiła się na polu walki i nagle jedna kapitan floty zaczęła pisać doniesienia o możliwej nielojalności drugiej? I to takiej, która jest jej *yaotlekiem*? Ta cała Dzmare jest osobą, która powoduje zaburzenia. Czy tego chce, czy nie.

— Jak się nauczyłaś rozpoznawać takie osoby? — zapytał nagle Osiem Antidotum, nie do końca wiedząc dlaczego. — Takie jak ona. Spotkałem ją w ogrodzie, kiedy tu była. Podobały się jej pałacowe kolibry. Chyba była pijana. I smutna.

Trzy Azymut skinęła głową.

— Mogła taka być. Zarówno pijana, jak i smutna. Była barbarzynką na dworze. Nie sprawia wrażenia kogoś, kto źle życzy Teixcalaanowi. Przynajmniej nie bezpośrednio. Spokojnie, dziecko, możesz o niej nie myśleć w ten sposób. Ja to robię tylko dlatego, że już od dłuższego czasu jest moim zadaniem zauważanie takich ludzi i stwarzanych przez nich sytuacji.

— Czy to właśnie jest zadaniem ministra wojny?

— Gwiazdy, nie. Zadaniem ministra wojny jest pilnować, by militarna supremacja Teixcalaanu trwała bez końca i bez chwili przerwy. Wyszukiwaniem osób powodujących zaburzenia zajmowałam się, gdy byłam gubernatorem wojskowym Układu Nakhar.

Osiem Antidotum wiedział, że w Układzie Nakhar nie doszło do żadnego buntu, odkąd Trzy Azymut została jego gubernatorem. Przedtem rebelie zdarzały się tam regularnie, mniej więcej co siedem lat.

Ale potem Trzy Azymut wykryła ludzi powodujących zaburzenia i zadbała o to, by przestali je powodować.



Mahit przypominała sobie to wrażenie — jakby od chwili do chwili niosła ją świetlista fala zmęczenia, brawury i szoku kulturowego. Tak właśnie się czuła za każdym razem, gdy zanurzyła się całkowicie w Teixcalaanie. Na okręcie Floty był on równie wszechobecny jak w cesarskim pałacu, jakby w teixcalaanlijskim powietrzu znajdowała się jakaś domieszka, wnikająca wszędzie i zakłócająca działanie umysłu, podobnie jak upał na Peloa-2. Miała wrażenie, że lata. Że zerwała się z uwięzi. Przed chwilą negocjowała z niepojętymi istotami, o ile to, w czym uczestniczyła, można było nazwać negocjacjami, biorąc pod uwagę ograniczenia stwarzane przez język.

<Masz na myśli obcych czy *yaotlek*?> wyszeptał Yskandr. On również latał, zanosząc się perlistym śmiechem. Duch zniszczonego przez sabotaż imago już od wielu dni nie uwidaczniał się w ich unii równie wyraźnie, jak w tej chwili.

— I ich, i ją — odpowiedziała Mahit, gdy drzwi kabin, które dzieliła z Trzy Trawą-Morską, zamknęły się za nimi z sykiem. Nadal wypełniało ją drżenie, zrodzone z triumfu mieszającego się z przerażeniem. Gdy została sam na sam ze swą dawną łączniczką kulturową i obecną partnerką w negocjacjach, która w ogóle jej nie rozumiała, a zarazem rozumiała ją doskonale, poczuła, że zbliża się punkt, w którym nie będzie już musiała niczego robić, a cisza i bezruch wyczerpania opadną na nią niczym nagły atak grawitacji.

— Dziękuję — odezwała się Trzy Trawa-Morska. Jej głos zabrzmiał donośnie w cichym pomieszczeniu, w którym było słycać tylko szum systemu oczyszczania powietrza.

Mahit z pewnością się tego nie spodziewała.

— Za co? — zapytała, zwracając się w stronę towarzyszki. Emisariuszka nadal miała poszarzałe policzki i zapadnięte oczy, wypełniały ją napięcie i z trudem powstrzymywana histeria. Dotknęło ją porażenie słoneczne i była niemal pijana z powodu sukcesu.

— Za to, że zaśpiewałaś do nich ich dźwięki — wyjaśniła Trzy Trawa-Morska. — Mnie by to nie przyszło do głowy. Nie w ten sposób. Nie tak szybko. I spójrz, czego dokonaliśmy. Zastanów się nad tym, Mahit. Do dzisiaj żaden człowiek nigdy nie mówił w tym języku. Jesteśmy pierwsze.

Zatem jestem człowiekiem? — pomyślała z goryczą Mahit, ale odepchnęła od siebie to niechciane pytanie. Czy nie mogła się cieszyć, jak emisariuszka? Radować się triumfem?

<Tylko ten jeden raz> wtrącił Yskandr. A może sama to pomyślała. Nie była tego pewna. Trudno było to określić, gdy tak bardzo pragnęła zanurzyć się w perfekcyjnym tańcu sukcesu, odsunąć na chwilę nieuniknioną katastrofę.

— Nadal sądzę, że to tylko coś w rodzaju pidżynu. Rozmawiają ze sobą,

a my tego nie słyszymy...

Nawet nie wiedziała, dlaczego nie zgadza się z towarzyszką. Dlaczego musi umniejszać ich osiągnięcia. Nie rozmawiały z *yaotlek*, nie musiała tłumaczyć, dlaczego konieczna jest kolejna runda rokowań, ani otwarcie zdawać relacji z ich niepowodzeń bądź...

— Mahit — odezwała się Trzy Trawa-Morska z dużym naciskiem.

— Słucham?

— *Psst.*

Podeszła bliżej, tak blisko, że Lselka zauważyła nagle kształty jej ciała, zajmowaną przez nie przestrzeń i woń jej zaschniętego potu. Jej dłonie zanurzyły się nagle we włosach Mahit. Pociąg-nęła w dół jej głowę, by pocałować ją w usta.

Ambasadorka miała wrażenie, że wydała z siebie jakiś stłumiony, nie do końca uformowany dźwięk, ale usta Trzy Trawy-Morskiej były ciepłe i rozchylone. Całowała z pełnym zaangażowaniem. To nie była propozycja ani pytanie. Sięgała po to, do czego miała prawo. Czyste pożądanie, zrodzone nie ze zmęczenia i żaloby spotkanie, jakim był ich pierwszy i do tej pory jedyny pocałunek, w podziemiach Miasta, gdy czekały, aż Sześć Kierunek umrze w świątyni słońca, uświęcony na oczach całego Teixcalaanu. To było...

<Właśnie takie. Takie było dla mnie. Tak>.

Jej dłonie odnalazły łopatki Trzy Trawy-Morskiej, krzywiznę jej talii, krawędź kości biodrowej, doskonale pasującą do dłoni Mahit. Dokładnie w ten sam sposób, jak większa kość Dziewiętnaście Ciesak pasowała do większej dłoni Yskandra. To zdwojenie wrażeń przywołało silny, niemal gwałtowny przypływ pożądania, niczym nagły impuls albo cios wymierzony między uda. Z roztargnieniem zadała sobie pytanie, czy seks będzie teraz inny, bo miała imago ze wspomnieniami męskiego ciała. Doszła jednak do wniosku, że to nie ma znaczenia. Będzie dobrze. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że właśnie wyraziła zgodę na to, co miało się stać, że ona również nie proponuje ani nie pyta, tylko mówi „tak”. (Podobnie jak Yskandr powiedział

„tak” najpierw cesarzowi, a później Dziewiętnaście Ciesak. I popatrz, do czego go to doprowadziło. Ale co tam. Nie miało też znaczenia, że nie rozmawiały o swojej kłótni. Nawet najmniejszego. Nie chciała już nigdy więcej myśleć o niczym poza pożądaniem, triumfem i byciem pożądaną...)

Odległy głos, równie przepojony żądzą jak ona sama:

<Dlatego upadamy. Bo inni nas pragną>.

Yskandr zapewne miał rację, ale Mahit o to nie dbała.

Trzy Trawa-Morska przerwała pocałunek, ssąc i gryząc dolną wargę Lselki. Mahit wstrzymała oddech. Z jej ust wyrwał się mimowolny jęk.

— Chciałam zapytać, czy naprawdę pociągają cię osoby mojej płci biologicznej i kulturowej — oznajmiła zdyszana emisariuszka. — Ale pomyślałam sobie, że nie muszę tego robić.

Mahit potrząsnęła głową. Miała w ustach tak samo sucho, jak na Pelloa. Czuła między nogami gorący rytm uderzeń własnego serca.

— Cudownie — dodała Trzy Trawa-Morska i pocałowała ją znowu. Objęła ją mocno, jej małe piersi wciskały się w piersi Mahit, a udo wsuwało się między jej uda. Lselka zakołysała się i przesunęła, dotykając krawędzią biodra szwu na spodniach emisariuszki. Trzy Trawa-Morska wciągnęła gwałtownie powietrze i ugryzła ją w obojczyk. Mahit czuła przez ubranie gorąco jej ciała. Wypełniła ją lubieżna, zachwycająca pewność, że gdy wsunie dłoń między uda emisariuszki, poczuje, że jest ona zupełnie wilgotna.

— Czy zawsze robisz się taka, kiedy coś ci się uda? — zapytała. Trzy Trawa-Morska ugryzła ją raz jeszcze i roześmiała się, ocierając się rytmicznie o jej biodro.

— Tylko, kiedy uda mi się na spólkę z kimś takim jak ty — odpowiedziała.

Mahit omal nie zapytała: *Zatem interesują cię tylko barbarzyńskie partnerki? Wystarczająco obce?* Nie zrobiła tego jednak.

Omala tego nie zrobiła, ale lepiej — łatwiej — było pocałować ją znowu i poczuć nagły powrót oszalamiającego wspomnienia Yskandra, całującego kogoś niższego niż on w takim samym stopniu, w jakim emisariuszka była

niższa od niej — cesarza, którego usta rozwarły się pod pocałunkiem ambasadora, tak samo jak usta emisariuszki otwierały się teraz przed jej ustami. Czuła to nakładanie się i świadomie na nie pozwalała. (Sześć Kierunek miał dłuższe, srebrnosiwe włosy, ale gdy Mahit oplotła palce warkoczem drugiej kobiety i rozluźniła go, zorientowała się, że w dotyku są takie same).

— Chodź — powiedziała, gdy była zmuszona zakończyć pocałunek z powodu braku tlenu. — Chodź. Nie będę się z tobą pieprzyła na stojąco.

— Łóżko jest małe. — Jedną z dłoni Trzy Trawy-Morskiej wsunęła się pod koszulę Mahit, objęła jej pierś i zaczęła drażnić sutek, biegle i ekscytująco. — Podłoga świetnie się nada...

— Nie jestem aż tak barbarzyńska — sprzeciwiła się Mahit i również wybuchnęła śmiechem. Odsunęła się na tyle, by móc zrzucić żakiet i ściągnąć koszulę przez głowę. Gdy powietrze dotknęło jej nagiej skóry, na ramionach i na żebrach pojawiła się gęsia skórka. Powietrze i wzrok emisariuszki.

— Ty możesz nie być — odparła Trzy Trawa-Morska z powagą i skupieniem. — Ale ja jestem.

Osunęła się na kolana przed Lselką, płynnym i swobodnym ruchem, i dotknęła otwartymi ustami miejsca między jej nogami. Ciepła wilgoć przez tkaninę, jej język już był aktywny i szukał... *Krew i światło gwiazd* — pomyślała.

— Kurwa, tak, proszę.

Nie przeszkadzało jej, że przeklina po teixcalaanlijsku, że myśli tylko w tym języku, że ona i Yskandr są rozpaczliwie, przerażająco zagubieni. Zanurzyła palce we włosach Trzy Trawy-Morskiej i przyciągnęła ją mocno do siebie.

INTERLUDIUM

Na całym wielkim obszarze Imperium uważa się za zaszczyt, jeśli młodą osobę zaprzysiężoną Sześciu Rozpostartym Dłoniom wybiera się na medycznego kadeta Floty — Piąta Dłoń, zajmująca się medycyną oraz badaniami i rozwojem. To drugi najtrudniejszy przydział, jaki można otrzymać w Ministerstwie Wojny. Jeszcze większym zaszczytem jest służyć na polu walki przed ukończeniem lat obowiązkowego szkolenia, a być może największym otrzymanie pozwolenia na wykonanie zadania usunięcia szczątków po sekcji obcego bez żadnego nadzoru poza czujnym spojrzeniem kamer bezpieczeństwa „Ciężarka u Koła” oraz algorytmu wykrywania zagrożenia biologicznego.

Sześć Opad-Deszczu ma dopiero dwie i pół indykacji i jest wystarczająco młody, by mieć na skroniach trądzik, który co rano pilnie smaruje maścią. Według własnych zapewnień, a także według zwierzchników, którzy co kwartał poddają ocenie jego pracę, dobrze sobie radzi z obowiązkami. Jest jednym z kandydatów na żołnierzy, którzy w przyszłości mogą dowodzić sekcją medyczną, jeśli da mu się wystarczająco wiele czasu. *Osoba przejmująca inicjatywę zarówno w kwestiach naukowych, jak i związanych z ochroną zdrowia* — napisał w ostatniej opinii jego zwierzchnik. To był jeden z powodów, dla których przeniesiono go z jednej z mniejszych jednostek Dziesiątego Legionu na okręt flagowy.

W tej chwili połączył łącze chmurowe ze wszczepami audiofonicznymi i słucha ulubionego nowego albumu. Z miejsc, gdzie wszczepy łączą się z kośćmi jego czaszki, płynie głośna muzyka. Sprząta pomieszczenie, starannie wkładając rozmaite części ciała obcego do kriokontenera. Jest trzy miesiące do tyłu, gdy chodzi o scenę multiharmonicznej muzyki. Takie są skutki, gdy ktoś zaciąga się na dwa lata na okręt Floty, bez żadnej przepustki

na powierzchnię planety. Niemniej udało mu się kupić ten album od sprzedawcy materiałów rozrywkowych na ostatniej dużej bramie skokowej, którą mijali po drodze z Kauraanu na to ogarnięte wojną zadupie. To najnowsze dzieło Uniwersalnego Kolapsu, który jest, zdaniem Sześć Opadu-Deszczu, najbardziej multi ze wszystkich multiharmonicznych zespołów. Kiedy następnym razem dostanie przepustkę, postara się, żeby to było na planecie, na której będą akurat odbywali tournée. Trzy różne harmonie rozbrzmiewają wewnątrz jego czaszki, a on nuci razem z nimi, wkładając fragmenty ciała obcego do odpowiednio oznaczonych pojemników i znosi je do kriokontenera. Oczywiście, ma na rękach lateksowe rękawiczki. I maskę z filtrem. To jest wymagane przy usuwaniu pozostałości po każdej sekcji, a sekcja obcego z pewnością wymagała najściślejszego przestrzegania zasad.

Sześć Opad-Deszczu zawsze przestrzega zasad, pomijając tendencję do słuchania muzyki przy pracy.

Obcy wygląda niepokojąco. Jego otwarta klatka piersiowa przypomina bardzo nieprzyjemne, zakrwawione skrzydła. Głowa jest niemal całkowicie odcięta od przesadnie długiej szyi, a wszystkie narządy głosowe otworzono i rozcięto. Sześć Opad-Deszczu nigdy dotąd nie widział martwego obcego. Żywego też nie. Przygląda mu się uważnie, w połowie dla atawistycznej fascynacji nieprzyjemnym widokiem, a częściowo z autentycznego zainteresowania. Przechyliła masywną czaszkę, żeby dokładniej się przyjrzeć zębom i wywalonemu ciemnoniebieskiemu językowi pokrytemu różowymi plamami oraz przypominającym zarodniki strukturom w jamie ustnej. Białym, przywodzącym na myśl grzybnię, nitkom zwisającym z podniebienia miękkiego...

O tych strukturach w jamie ustnej z całą pewnością nie wspomiano w raporcie z sekcji. Sześć Opad-Deszczu przeczytał go bardzo uważnie przed przyjściem tutaj, zwracając uwagę na wszystkie szczegóły.

Jego uszy wypełnia kaskada multiharmonicznej muzyki, działającej na

niego tak samo, jak zawsze. Czuje się od niej genialny, nieustraszony i pełen beztrioskiej ciekawości.

To, co robi później, nie musi być złym pomysłem. Jest nim tylko dlatego, że ma niewzruszoną pewność, iż to dobry pomysł, a w dodatku robi to bardzo szybko. Oczywiście, musi wziąć próbkę tych zarodników, musi potwierdzić, że to rzeczywiście strzępki grzyba, a następnie bezzwłocznie zameldować o tym przełożonemu, który przekaze informację w górę hierarchii dowodzenia, aż dotrze ona do tych, którzy muszą się dowiedzieć, że ich obcy wrogowie wcale nie są ssakami, ale — tu wyobraźnia Sześć Opadu-Deszczu tworzy zaskakująco trafny obraz, choć on sam nigdy się o tym nie dowie — naczyniami dla jakiegoś rodzaju grzybowej inteligencji.

Jego dłoń, chroniona adekwatną rękawiczką, wsuwa się do paszczy wroga. Jego palce znajdują nitki zarodników i odłamują je. Są kruche. Łatwo zmieniają się w pył. Strzępki grzybów zawsze takie są. A te szczególnie, choć Sześć Opad-Deszczu o tym nie wie. Rzadko się zdarza, by musiały się zestalić w takim stopniu, jak teraz, żeby wysunąć się na zewnątrz i rozpaczliwie poszukiwać czegoś nowego, w czym mogłyby zamieszkać, by położyć kres milczeniu i gniciu, uciec z ruin domu. Kadet wyciąga łup z paszczy obcego, myśląc z przyprawiającą o mdłości ekscytacją i niepokojem, że bardzo się cieszy, iż ma maskę ochronną, bo skoro urwał kawałek grzybni, w powietrzu z pewnością unosi się mnóstwo zarodników. Będzie musiał izolować i odkazić całe laboratorium. Ale najpierw obejrzy zdobycz pod mikroskopem...

Kiedy wyjmuje zarodniki z paszczy, nie zauważa, że ostra krawędź zęba drapieźnika czy padlinożercy, przebija rękawiczkę i wbija się w ciało u podstawy kciuka. Nie czuje bólu. Ząb jest na to zbyt ostry. Małeńka ranka całkowicie umyka uwagi Sześć Opadu-Deszczu. Musi zbadać obiekt pod mikroskopem.

To rzeczywiście jest grzyb. Gatunek nieznanany Sześć Opadowi-Deszczu, ale on w końcu nie jest mykologiem. Mykolodzy to z reguły *ixplanatlim*, a żołnierze Floty raczej nie mają czasu na tak długie szkolenie. Trzeba napisać

pracę dyplomową, a on zdecydowanie woli opatrywać rannych żołnierzy. Sądzi jednak, że to grzyb. Z pewnością nie jest to nic innego, a to znaczy, że warto zawiadomić o tym przełożonych. Szybko robi holozdjęcia łączem chmurowym podłączonym do mikroskopowego skanera, po czym pisze pośpiesznie wiadomość, taką, która nawet nie potrzebuje szyftu infofizycznego. Tekst brzmi: PRIORYTET MEDYCZNY: Z TRUPA OBCEGO WYRASTAJĄ STRZĘPKI NIEZNANEGO GRZYBA, ZOBACZ ZAŁĄCZONE. Kieruje wiadomość do wszystkich osób na pokładzie „Ciężarka u Koła”, których zadania wiążą się z medycyną, a także do Dwadzieścia Cykady, którego nazywa po prostu „adiutantem”. Dwadzieścia Cykada dopisał się do wszystkich list odbiorców priorytetowych wiadomości na okręcie flagowym. Sześć Opad-Deszczu o tym nie wie, a gdyby wiedział, pomyślałby, że to musi być strasznie irytujące. *Gwiazdy, tyle wiadomości napływających przez cały czas. Nie ma czasu na nic innego.*

Ponieważ Dwadzieścia Cykada jest na wszystkich listach, prawie udaje mu się dotrzeć do laboratorium na czas i zmienić bieg wydarzeń. Prawie. Ale nie do końca.

Sześć Opad-Deszczu pochyla się nad mikroskopem, żeby lepiej widzieć, i obraca holoobraz, by sprawdzić, czy może uzyskać lepszy i bardziej skomplikowany obraz wzrostu zarodników. Wygląda on jak fraktal, jak sieć neuronowa. Kadet jest bardzo zaintrygowany. Unosi rękę, by obrócić holoobraz w powietrzu, i czuje, że po nadgarstku spływa mu strumyk ciepłej cieczy.

Jest czerwony. To krew. Jego krew.

Gapi się na nią. *Nie pamiętam, żebym się skaleczył* — myśli.

Boli go kciuk, nadgarstek i palce. To jest jak ogień. Jakby fakt, że zauważył krew, spowodował ból.

Zdejmuje rękawiczkę. Jest pełna krwi. Jego dłoń pokrywa gruba czerwona warstwa. Wygląda to dziwnie. Jego krew wygląda dziwnie. Krew nie powinna być taka gęsta, jakby wszystkie czynniki krzepnięcia nagle wpadły w szal.

Ogarnia go przerażenie. Z pewnością jest w szoku. Jego oddech przechodzi w świst. Trudno mu zaczerpnąć powietrza.

Obraca dłonie. Rana jest poniżej kciuka. Otwiera się szeroko, jej brzegi pokrywają struktury białego grzyba, takie same jak te, które oglądał pod mikroskopem. Wyrastają z niego.

Rosną. Coraz więcej form wysuwa się z rany, tak szybko, że widzi ich wzrost. Jego skóra pęka w sąsiedztwie skaleczenia, by zrobić dla nich miejsce. To również go boli, mniejszy ból wewnątrz większego. Dziwny, słaby ogień. Nie może oddychać. Unosi drugą rękę, by spróbować oderwać strzępki, uwolnić się od nich.

Łamią się łatwo, ale nie przestają rosnąć. Jest ich coraz więcej. Wnikają głębiej. Są w jego żyłach i tętnicach, zatykają je bielą, mieszającą się z czerwienią. *To tłumaczy problem z krzepliwością* — myśli kadet. Wciąga spazmatycznie powietrze. Zastanawia się, czy są już w jego płucach, czy to tylko reakcja anafilaktyczna. Pada na podłogę, a później...

(chór, jak odległe krzyki, jakby muzyka wciąż grająca w jego audioimplantach niosła się dziwnym, zniekształcającym ją echem, pełnym głosów, jakimi nigdy nie śpiewał żaden multiharmonista, głosów, które docierają do niego, śpiewając *My...*)

...później nie ma już nic.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jeśli podróżny będzie miał okazję zatrzymać się w Układzie Neltoc i zapoznać się z kuchnią Neltoclim, ten przewodnik rekomenduje ją z wielkim entuzjazmem. Choć niektóre jej smaki mogą być łagodniejsze niż w innych okrytych kulinarną sławą układach albo w najlepszych restauracjach w Klejnocie Świata, ta łagodność jest zwodnicza. Daje nam szansę odkrycia głębokiej sztuki równoważenia słodkiego ze słonym, gorzkim i ziemistym, stwarzaną przez szczególny neltocański styl tworzenia posiłków, w którym każdy kęs jest maleńkim, odrębnym daniem. Poświęćcie na pobyt w restauracji co najmniej trzy godziny i pomyślcie (jak zrobiła to wasza autorka!), że może kultury homeostatu mają trochę racji w kwestii równowagi...

Smakowe rozkosze zewnętrznych układów sektora Launai; kolejny przewodnik dla turystów szukających nadzwyczajnych wrażeń, Dwadzieścia-Cztery Róża — dostępny głównie w układach planetarnych Łuku Zachodniego

* * *

Proszę, potwierdź, że transport kotletów rybnych rzeczywiście zawierał kotlety rybne i żadnych innych nieautoryzowanych towarów z importu, poza jedną Teixcaalanlitzlim. I odbierz kapitanowi licencję handlową pod pretekstem przywożenia na Stację skażonych towarów. To będzie adekwatna kara.

list od radczyni dziedzictwa Aknel Amnardbat, pozostawiony na biurku jej sekretarza razem z resztą poczty przychodzącej

Było możliwe — choć bardzo trudne — by kobiecie o rozmiarach Dziewięć

Hibiskus, w dodatku noszącej bardzo charakterystyczne insygnia, udało się zaskoczyć któregoś z członków załogi nagłą obecnością głównodowodzącego. Tajemnica tej sztuki kryła się w oprogramowaniu Odprysków, którego nowa *yaotlek* uparcie nie chciała usunąć ze swego łącza chmurowego. Jeśli była ostrożna, mogła się niepostrzeżenie wśliznąć do kolektywnego wzroku wszystkich pilotów Odprysków przebywających na pokładzie i za pomocą trzystu par oczu namierzyć poszukiwaną osobę. Zakładając, że tak wielu pilotów jednocześnie korzystało ze swego oprogramowania, a ona wytrzyma obserwację z licznych punktów widzenia przez wystarczająco długi czas, by zrobić z niej użytek. To było tak, jakby stała na mostku i patrzyła kolejno przez oczy wszystkich kamer obserwacyjnych. Tylko szybciej. Bardziej mobilnie.

Rzecz jasna, jej piloci o tym wiedzieli. Nie pożyczaliby ich oczu, nie poprosiwszy przedtem o pozwolenie i nie otrzymawszy go. Wyłączała też program, jeśli któryś z nich nie chciał, by przypadkowo zobaczyła coś osobistego albo ukrywanego w tajemnicy. Korzystny był też fakt, że nie miała dostępu do ich wspólnej propriocepcji. Jej łącze chmurowe nie obsługiwało nowej technologii i wymagało aktualizacji. Poza tym zapewne musiałyby sama podłączyć się do Odprysku, by zdobyć wymaganą moc obliczeniową. Podejrzewała jednak, że brak cielesnego dostępu pomógł jej uzyskać zgodę na korzystanie z ich oczu. Większość pilotów pozwalała jej obserwować statek razem z nimi, gdy tego potrzebowała. To był jeden ze sposobów, na które okazywali jej zaufanie. Między innymi dlatego owo zaufanie wydawało się jej czymś w rodzaju gwałtownego wybuchu szrapneli w jej klatce piersiowej, gdy zastanawiała się nad tym zbyt głęboko.

A teraz wykorzystywała ich, przechodząc między kolejnymi punktami widzenia ulokowanymi na skrzyżowaniach korytarzy, by znaleźć się przed Szesnaście Wschód-Księżycy w miejscu, do którego ta zmierzała.

Dziewięć Hibiskus chciała, żeby kapitan floty wzdrygnęła się na jej widok. Miała też nadzieję bardzo uprzejmie wykopać ją ze swego okrętu i zmusić do

powrotu na „Kompresję Paraboliczną”, gdzie było jej miejsce. Gdy już się tam znajdzie, trudniej jej będzie pobłażać swym szpiegowskim nawykom z Trzeciej Dłoni. Nie będzie miała bezpośredniego dostępu do planów Dziewięć Hibiskus dotyczących świata obcych niedawno odkrytego przez „Różę Grawitacji”, jakkolwiek będą one w końcu wyglądały. Ważniejsza jednak była możliwość zachowywania tajemnic, gdy tego potrzebowała. *Yaotlek* nie mogła się doczekać chwili, gdy ujrzy twarz nieprzyjemnie zaskoczonej Szesnaście Wschód-Księżycy. Ta myśl spodobała się jej tak bardzo, że chyba odsłoniła zęby w uśmiechu, pędząc przez korytarze i w razie potrzeby korzystając z wind. Pokład dowodzenia, hydroponika, mesa dla załogi i...

...chaos bezładnych schodów, panika, gorycz żółci i metaliczny smak adrenaliny podchodzący do gardła, jej pole widzenia przesłonił nagle ogromny łuk pierścieniowego statku obcych, gładki metal i przebiegające przez pole widzenia zmarszczki, *za blisko, za blisko, za blisko*, a potem znowu gwiazdy. Ten Odprysk — gdziekolwiek się znajdował — nie zamierzała wycofywać się ze zbioru pilotów przebywających bezpiecznie na „Ciężarku u Koła” — zdołał zmienić kurs tak gwałtownie, że oddalił się od pierścieni pod kątem prostym.

Dziewięć Hibiskus czuła bicie serca wypełniające jej nadgarstki, gardło i przeponę. To mogło być jej serce albo serce pilota, mimo że nie miała uaktualnionego oprogramowania propriocepcyjnego ani nie była podłączona do Odprysku. Miała tylko przekaz wizualny. Nic dziwnego, że niektórzy piloci nazywali nowe oprogramowanie sztuczką odpryskową.

Szybko zmieniające się obrazy: Kolejni piloci przebywający na pokładzie — w mesie, na pokładzie hydroponicznym, w klubie fitness, utrzymujące się echa napięcia — z pewnością psychosomatycznego — gdy pilot w siłowni unosił ciężką sztangę nad swą klatką piersiową. Serce nadal tłukło jej jak szalone.

Koło gwiazd, za szybkie.

Czy wszyscy oni tak się czuli? Przez cały czas?

Koło gwiazd i ogień — rozbłysk gorąca, przyprawiająca o słodkie mdłości panika (*silnik szlag trafił, och...*), pole widzenia całkowicie przesłania czerwień, która przechodzi w biel i...

Znika. Zostaje tylko czerń. Dziewięć Hibiskus przełknęła ślinę. Trzymała się ściany, gdzieś w korytarzu między Pokładem Szóstym a Piątym. Była w pełni sobą. Pilot uciekł przed nieprzyjacielskim statkiem, uniknął kolizji, po czym zestrzelono go od tyłu, gdy oddalał się po trajektorii ucieczki. Nagły błysk ognia, a po nim już nic.

Czy wszyscy piloci Odprysków zawsze czuli śmierć towarzyszy, jeśli tylko obserwowali uważnie?

Z wielką ostrożnością ponownie nawiązała kontakt. Wróciła do wysiłków sztangisty. Jeśli zauważył śmierć pilota, nie okazał tego w żaden sposób dostrzegalny w jego polu widzenia. Przełączyła się na pilota w mesie Piątego Pokładu. Siedział u końca długiego stołu. Miejsce na przeciwległym końcu zajęła Szesnaście Wschód-Księżycy. Zdjęła kurtkę od munduru i powiesiła ją swobodnie na oparciu krzesła. Rozmawiała sobie radośnie z żołnierzami Dziewięć Hibiskus.

Yaotlek załapała obezwładniająca furia, jakby postrzelono ją z porażacza w splot słoneczny. To było gorsze niż obserwowanie śmierci pilota. Bardziej dezorientujące. Nawet nie wiedziała, jak się nazywał zabity pilot. Ani ilu ich jeszcze dziś straci. A teraz ta spiskująca przeciwko niej kobieta, która nawet nie służyła w jej legionie, nie była jedną z jej ludzi, a mimo to odważyła się infiltrować ludzi Dziewięć Hibiskus, jej Flotę, zająć jej miejsce, jakby żołnierze z Dwudziestego Czwartego Legionu prawnie należeli do niej. Powinna jeść z ludźmi z Dziesiątego. Tego rodzaju gniew czynił Dziewięć Hibiskus głupią i nieostrożną. Dopuszczała do tego. Pozwoliła, by ją wypełnił, a następnie wyobraziła sobie, że jest on rdzeniem silnika statku kosmicznego, zamkniętego w jej klatce piersiowej, dającą życie siłą, tajną i niebezpieczną, ale dobrze osłoniętą i pozostającą pod ścisłą kontrolą.

Nadal jednak pragnęła, by Szesnaście Wschód-Księżycy spierdalała z jej

okrętu flagowego. Na to przynajmniej miała jakiś wpływ.

Gdy weszła do mesy na Pokładzie Piątym, wypełniła ją gwałtowna radość na widok tego, że wszyscy jej ludzie wstali, by ją przywitać, gdy tylko zauważyli jej przybycie. Uśmiechnęła się do nich, otwierając szeroko oczy z udawanym niedowierzaniem. *Wszystko to dla mnie? Dajcie spokój, lepiej coś zjedzmy.* Skinęła dłonią, nakazując im siadać. Posłuchali jej. Rozmowa trwała dalej, toczona tym samym spokojnym tonem. Jej żołnierze nadal należeli do niej. Jak dotąd.

Szesnaście Wschód-Księżyca sprytnie wybrała krzesło. Wokół niej w ogóle nie było wolnego miejsca. Dziewięć Hibiskus usiadła w połowie długości stołu i spojrzała prosto w oczy pilotowi Odprysku, dzieląc z nim długą chwilę wspólnego widzenia. Poczwała, że wyłączył oprogramowanie. To było korzystne dla nich obojga, ponieważ znajdowali się w tym samym miejscu. Podwójny obraz zniknął, ale utrzymywało się jeszcze echo, wrażenie, że przed chwilą oddychała razem z pilotem, a teraz już nie. Łagodniejsza wersja dzielenia z towarzyszem jego śmierci w płomieniach. Pochyliła lekko głowę ku niemu. Żałowała, że nie może go zapytać o skutki uboczne oprogramowania.

A potem nie odzywała się już ani jednym jebanym przez gwiazdy słowem. Pozwoliła mówić Szesnaście Wschód-Księżyca, jakby w tym, co tu robiła, nie było nic złego. Ze wspólnej miski ustawionej pośrodku stołu nabrała sobie makaronu ryżowego z soją i olejem chili. Żołnierskie jedzenie. Ciepłe, żeby mogło przegnać próżnię z kości, a przynajmniej wywołać takie wrażenie.

Pogryzła i przełknęła kilka kęsów, czując, że uwaga siedzących za stołem przesuwana się ku niej. Oblizwała wargi, ścigając resztki przyprawiającego o odrętwienie żaru oleju.

— Kapitanie floty — zaczęła swobodnym tonem — ludzie z twojej załogi z pewnością czują się zaszczytzeni, gdy spożywasz z nimi posiłek. Robisz to na „Kompresji Parabolicznej”, nieprawdaż? A może przyszedł tu tylko dlatego, że jesteś naszym gościem?

Szesnaście Wschód-Księżycyca uniosła i opuściła powieki oczu barwy elektrum. Poruszały się powoli, jak u gada.

— Jeśli załoga mnie zaprosi — odpowiedziała. To była złośliwa odpowiedź, właściwie insynuacja. Zaproszono ją zarówno tutaj, jak i na jej okręcie, natomiast Dziewięć Hibiskus po prostu weszła sobie do mesy i zajęła miejsce bez pytania, odbierając swoim ludziom prawo do prywatności, wolnej od spojrzeń zwierzchnika.

— Zatem to dla ciebie wielka przyjemność — odgryzła się Dziewięć Hibiskus. *Jeśli muszą ją specjalnie zapraszać, z pewnością zdarza się to bardzo rzadko.*

— Gościnność Dziesiątego Legionu jest dla mnie zaszczytem, *yaotlek*.

— I my jesteśmy bardzo gościnni — zapewniła Dziewięć Hibiskus. Żołnierka siedząca na lewo od niej roześmiała się w głos — dobrze — ale zaraz stłumiła śmiech — nie tak dobrze. Dziewięć Hibiskus bardzo by się chciała dowiedzieć, o czym Szesnaście Wschód-Księżycyca rozmawiała z jej ludźmi, że aż bali się swobodnie wyrażać uczucia.

— Przekonałam się, że rzeczywiście tak jest. Choć powszechna opinia o was sugeruje co innego.

Dziewięć Hibiskus uniosła jedną brew. Na blask krwawiących gwiazd, bardzo chciała pozbyć się tej kobiety z pokładu.

— Jacy zatem są ludzie z Dwudziestego Czwartego Legionu w opinii Dziesiątego?

Szesnaście Wschód-Księżycyca wzruszyła jednym ramieniem. Udający niewinność grymas jej ust był okrutny, a zarazem odporny na wszelkie zarzuty.

— Nieprzystępni — odpowiedziała. — Oddani.

Dziewięć Hibiskus wiedziała, że gdyby zapytała, komu są oddani jej ludzie, odpowiedź brzmiałaby „tobie, *yaotlek*”. Wreszcie poznała źródło niechęci Szesnaście Wschód-Księżycyca do niej. A przynajmniej niechęci tych, którzy wydawali jej rozkazy. Niechęci Trzeciej Dłoni. Znała to źródło i nie musiała

już pytać. Nie chodziło o to, że wahała się nad rozpoczęciem wojny z obcymi na apokaliptyczną skalę. To był ochłap rzucony ambicji kapitanów floty Szóstego i Czternastego Legionu, mający skłonić ich do podpisania się pod wyrażającym niepokój czy raczej wzywającym do buntu listem Szesnaście Wschód-Księżycy. Nie chodziło nawet o to, że zwróciła się do Ministerstwa Informacji, by wykonało zadanie, które powinno należeć do Floty, choć Dziewięć Hibiskus podejrzewała, że ta decyzja jej nie pomogła. Szesnaście Wschód-Księżycy albo Trzecia Dłoń, czy wręcz całe Ministerstwo Wojny — wyjątkowo niepokojąca myśl, od której zbierało się jej na mdłości — uważają, że to ona jest zagrożeniem dla Imperium. Że są nim jej ludzie — ich zaufanie, ich wiara w nią i gotowość oddania życia za nią. Za nią, a nie za Teixcalaan.

Albo mogą uznać, że to ona jest Teixcalaanem. Coś w tym rodzaju mogło się przytrafić Jeden Błyskawicy. I do czego to doprowadziło? Do nieudanej uzurpacji i chaotycznego przekazania władzy. Dziewięć Hibiskus nigdy by nie zrobiła czegoś takiego, ale jeśli minister Dziewięć Napęd była zamieszana w próbę przewrotu, Trzecia Dłoń mogła być przekonana, że jej protegowana może się zachować podobnie.

— Trudno nas nazwać nieprzystępnymi, kapitanie floty — odparła. — W końcu jemy z tobą posiłek. I robimy to już od... hmm... ile czasu minęło, odkąd tu przybyłaś? Kilka dni?

— Mój adiutant, Dwanaście Fuzja-Jądrowa, jest dobrym dowódcą i wierzę, że poradzi sobie z „Kompresją Paraboliczną” przez czas mojej nieobecności — odpowiedziała Szesnaście Wschód-Księżycy. W jej głosie pojawiła się nuta nerwowości. *Dobrze.*

— Oczywiście — zgodziła się Dziewięć Hibiskus i wzięła sobie kolejny kęs makaronu. Jej język zrobił się zupełnie odrętwiały od ognia przypraw. — Czy wolno mi ośmielić się zapytać — najuprzejmiejsza ze wszystkich form, tak uprzejma, że aż obraźliwa — co spowodowało, że uznałaś za konieczne zaszczyścić mesę na Piątym Pokładzie swoją obecnością? Jestem

zafascynowana. Czy na „Kompresji Parabolicznej” nie ma makaronu ryżowego?

Tym razem jej żołnierze zaśmiali się swobodniej. Łącząca ją z nimi więź była bardzo silna. *I co z tego, że jesteśmy sobą? To my jesteśmy ciężarkiem, który obraca to koło.*

— Lubię mieszankę przypraw w waszym oleju — odparła Szesnaście Wschód-Księżycy pozbawionym wyrazu głosem. — Być może poproszę cię, żebyś wypożyczyła mi głównego kucharza z tego pokładu mniej więcej na dobę.

Wpięła się w „Ciężarek u Koła” niczym rzep. Nie chciała opuścić pokładu i była gotowa powiedzieć *yaotlek*, co myśli, co oznaczało — jebać Trzecią Dłoń — że była przekonana, iż ta wiedza w niczym nie pomoże Dziewięć Hibiskus.

Zastanawiam się, czy mam tu zginąć — pomyślała yaotlek. — Zastanawiam się, czy Szesnaście Wschód-Księżycy również ma stracić życie w paszczach naszych wrogów. Ci, którzy nią kierują, są gotowi spisać ją na straty, o ile dzięki temu zdołają zniszczyć mnie...

(A kto wygra tę wojnę, jeśli wszyscy kapitanowie floty zginą, jak teraz giną moi piloci Odprysków?)

— Kiedy będziemy mogli zwolnić choć na chwilę osobistość tak ważną, jak kucharz z Piątego Pokładu... — zaczęła. Nagle jej łącze chmurowe wypełnił czerwono-biały rozbłysk pilnej wiadomości.

Na „Ciężarku u Koła” była tylko jedna osoba mająca uprawnienia pozwalające wyświetlić komunikat przed oczami *yaotlek*, nie pytając o jej pozwolenie.

Malwo — pisał Dwadzieścia Cykada. *Sekcję medyczną wyizolowano z powodu skażenia. Jestem w środku. Z ciała nieprzyjaciela wyrosły masy grzybów. Technik medyczny nie żyje. Pożarły go. Proszę o potwierdzenie odbioru.*

Zerwała się na nogi, unosząc rękę, by powstrzymać pytania. Poruszała

oczami tak szybko, jak tylko mogła, przywołując system wysyłania wiadomości. Potem zaczęła subwokalizować do niego: *Roju, dlaczego jesteś w środku?*

Przerwa trwała dziesięć długich sekund. *Popełniłem błąd. Chodź to zobaczyć. Na razie chyba nie umieram.*

Mam tu Szesnaście Wschód-Księżycy — odpowiedziała, po czym czekała długo. Była w stanie zawieszenia. Panika jeszcze nie nadeszła. Strach ukrywał się głęboko w jej klatce piersiowej. Czuła, że przez nią przepływa, ale istniała niezależnie od niego.

I nagle: *Na światło gwiazd, Malwo, przyprowadź ją ze sobą. Czemu by nie?*



Osiem Antidotum śniły się osoby powodujące zaburzenia. Kiedy się obudził, obrazy ze snu nadal trzymały się go niczym lepkie miazmaty. Poranek był mglisty, więc promienie słoneczne nie mogły ich przegnać do końca. Czuł nieokreślone podenerwowanie, był całkowicie pewien, że zrobił coś bardzo złego, a zarazem równie mocno przekonany, że tego nie zrobił. Że to był tylko sen, który już zanikał. Nie zanikł jednak do końca. Pozostawił po sobie fragmenty.

Spędził w Ministerstwie Wojny dwa dni, wracając do Pałacu-Ziemia tylko na sen. Cały czas chodził za minister Trzy Azymut. Być może każdego przyprawiłoby to o koszmary.

Z sali gimnastycznej udał się za nią na strzelnicę i pozwolił, by pokazała mu, jak powinno się celować, podobnie jak przedtem pokazywała mu, jak układać ręce na materacu w sali gimnastycznej. Następnie znów podążył za nią i w prosty, łatwy, magiczny sposób nie poszedł sobie. Gdyby kazała mu odejść, posłuchałby jej. Ale ona uparcie tego nie robiła.

Pozwoliła mu słuchać rozmów z przedstawicielami innych dłoni — Szóstej, inżynieria i budowy okrętów; Drugiej, logistyka — a nawet z Jedenaście Wawrzynem, spoglądającym na chłopca, który siedział na ławeczce w oknie wykuszowym, splatając palce na kolanach i uważnie obserwując. Minę podsekretarza trudno było zinterpretować. Nie wyrażała ani satysfakcji, ani niezadowolenia. Z takim samym wyrazem twarzy spojrział na Trzy Azymut i znacząco przerwał na chwilę. Minister wojny nie wypełniła ciszy. Od tej chwili ignorował Osiem Antidotum, jakby był on poduszką rzuconą dla ozdoby na ławeczkę. Chłopiec starał się nie czuć urazy.

Później tego pierwszego dnia, gdy zbliżał się koniec popołudnia, Osiem Antidotum przyniósł minister wojny kawę. Roześmiała się i pogłaskała go po głowie, po czym powiedziała mu, że nie pije kawy, a on nie jest pomocą biurową.

Sam wypił kawę i przez resztę wieczoru czuł się roztrzęsiony i pełen napięcia, a także okropnie przerażony, a zarazem podekscytowany. Do minister Trzy Azymut zaczęły napływać raporty o tym, że agentka Informacji i Mahit Dzmare — ta, która powoduje zaburzenia — poleciały na martwą planetę Peloa-2 i nawiązały pierwszy kontakt z obcym nieprzyjacielem. Żadnego z raportów nie opatrzone kodem Hiacynt. Musiało to znaczyć, że wszystkie są jawne. Normalne raporty przesyłane drogą służbową. Dostarczały je tu okręty Floty, za pomocą systemu pocztowego bram skokowych, standardowy przekaz, sześć godzin od chwili nadania do chwili odebrania. W niczym nie przypominało to tego, co zrobiła kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżyca, gdy przysłała wiadomość o pojawieniu się agentki Informacji. Nie było w tym żadnej tajemnicy.

Potem zrobiło się dziwniej. Siedział tam i słuchał naprawdę niezwykłych rozmów. Kolejnymi gośćmi Trzy Azymut byli wyłącznie ludzie z Ministerstwa Nauki specjalizujący się w ksenobiologii albo żołnierze Floty spokojnie dyskutujący o sprawach takich, jak dopuszczalne straty w sytuacji kryzysowej. Trwało to do późnej nocy, bez przerw na jedzenie, picie

i odpoczynek. Dlaczego go nie odesłała? Po co tu siedział? Czyżby chciała, żeby coś zobaczył?

Na krótko przed północą zjawił się ekspert od Ebrekti, który wdał się w uprzejmą kłótnię z kobietą od dopuszczalnych strat. Poszło o to, jak długo mogą trwać próby nawiązania pierwszego kontaktu, nim ktoś będzie musiał coś zrobić, żeby nikt nie zginął. Trzy Azymut słuchała wszystkiego uważnie, robiąc notatki. Osiem Antidotum gapił się na dziurę wypaloną w miejscu, gdzie kiedyś miała ucho. Zastanawiał się, w jakich okolicznościach została tak ciężko ranna. Zadawał też sobie pytanie, którzy goście zaliczają się do ludzi powodujących zaburzenia i jak mógłby ich rozpoznać.

Gdy wreszcie wrócił do domu, była już zimna i ciemna noc. Szedł przez ogrody, drząc z chłodu w cienkiej kurtce. Dotarł do siebie, zwałił się na łóżko i zasnął. Wiedział, że coś mu się śniło, ale nie pamiętał co. Mimo to tuż po świcie ruszył po mokrej od rosy trawie z powrotem do Ministerstwa Wojny. Raz jeszcze usiadł na ławeczce w oknie wykuszowym i jakiś kadet z Floty przyniósł mu na śniadanie grejpfruta i sok z liczi. Chłopiec słuchał uważnie, gdy Trzy Azymut otrzymała wiadomość szybkim kurierem od *yaotlek* Dziewięć Hibiskus. Poza nią w gabinecie byli tylko Osiem Antidotum, Jedenaście Wawrzyn oraz dwójka bliskich współpracowników minister. (Nie powinno go tu być. Ale nie odszedł). Nigdy dotąd nie słyszał głosu Dziewięć Hibiskus, tylko widział ją na holo. Dziwnie było się dowiedzieć, że brzmi jak kobieta, nie jak groźba albo problem do rozwiązania. Mówiła swobodnie i z dużą pewnością siebie, a za rezerwą, z którą przekazywała nowe informacje, ukrywał się niepokój. Zameldowała, że jej zwiadowcy odkryli planetę obcych, dom — zapewne jeden z wielu, ale zawsze dom — nieprzyjaciela, który pożerał jej okręty.

Słuchał uważnie, gdy Trzy Azymut i Jedenaście Wawrzyn ze spokojem dyskutowali o historycznych precedensach zmasowanych ataków na planety. Chłopiec znał niektóre z nich. Wszystkie wydarzyły się osiemset lat temu albo

jeszcze dawniej, gdy Teixcalaan tłumił wszelkie bunty z okrutną bezkompromisowością.

— Są dobre powody, dla których Flota przestawiła się na tryb negocjacji i podporządkowania — rzucił od niechcienia Jedenaście Wawrzyn. — Z pewnością dobrze je znasz, biorąc pod uwagę Nakhar...

— Zmasowane ataki na planety zamieszkane przez ludzi stanowią marnotrawstwo surowców, budzą niechęć wszystkich, a w dodatku wywołują wieczną wrogość mieszkańców nowo zintegrowanego układu do Teixcalaanu. Jak już wspominałam, podsekretarzu, Nakhar to znakomity przykład sukcesu strategii negocjacji i podporządkowania. Czy masz jakieś powody, by sądzić, że zmieniałabym swe metody tak radykalnie, odkąd zostałam ministrem? Jej Świetlista Wysokość nie bez powodu mianowała mnie na to stanowisko.

To zabrzmiało jak ostrzeżenie.

— To prawda! — zgodził się Jedenaście Wawrzyn. — Rzeczywiście, miała powody. Dobrze wiem, czego dokonałaś na Nakharze. Jak cię tam nazwano? Rzeźniczką nakharskich umysłów? To ciekawe, że jest coś, co budzi skrupuły moralne nawet u osoby obdarzonej tak subtelnym epitetem.

Osiem Antidotum był pewien, że nie powinien tego słyszeć. Równie dobrze jednak wiedział, że mężczyzna chciał, żeby to usłyszał, pragnął go przekonać, że w całym Ministerstwie Wojny tylko on, trzeci podsekretarz Jedenaście Wawrzyn, zasługuje na zaufanie. Że Trzy Azymut jako gubernatorka Nakharu uczyniła coś tak złego, że można ją było poddać naciskom (zasantażować?) samym wspomnieniem o tym. Że Osiem Antidotum powinien znowu zostać uczniem Jedenaście Wawrzynu i nikogo innego. (Jak kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy przed nim?)

Osoby powodujące zaburzenia — pomyślał raz jeszcze. *Co je spotyka później, gdy już Trzy Azymut dowie się, kim są?* Na pewno nic dobrego. Lepiej się nad tym nie zastanawiać.

Jednocześnie jednak na moment ogarnęło go głupie, płynące z porywu serca

pragnienie przyjścia jej z pomocą. Czy jej metody — choćby nawet rzeźniczkie — nie były skuteczne?

I czy chciałby, żeby okazały się skuteczne, gdyby to oznaczało, że Trzy Azymut znowu zrobi to samo, tym razem całej planecie?

Minister wojny wydała z siebie delikatne, pełne irytacji westchnienie.

— Podsekretarzu, pytanie brzmi, czy ci nieprzyjaciele są istotami, co do których obowiązują moralne skrupuły.

— Tylko agentka Informacji może nam na nie odpowiedzieć — stwierdził Jedenaście Wawrzyn z eleganckim niesmakiem.

— Ona i barbarzyńska dyplomatką. Uwierz mi, ja też nie jestem zachwycona tą sytuacją.

Osiem Antidotum poczuł, że musi coś powiedzieć. Nie mógł zachować milczenia, gdy rozmawiali o zniszczeniu całej planety. Nie miał pojęcia, co pragnie powiedzieć. Chciał im tylko przypomnieć, że jest tu i słucha ich rozmowy.

— Dlaczego my... to znaczy, dlaczego Flota nie prowadzi negocjacji? — Uświadomił sobie, że popełnił błąd, gdy tylko wymknęło mu się słowo „my”. Zbyt długo już siedział w tym gabinecie. To było okropne — wiedzieć to wszystko, a jednocześnie zdawać sobie sprawę, że to była użyteczna pomyłka, że dzięki niej oznajmił, iż jest po ich stronie. Teraz czegoś się dowie. Tęsknił za czasami, gdy błędy były dla niego tylko błędami. Odkąd został szpiegiem, żałował tego, co zrobił dobrze, w takim samym stopniu jak błędów.

— Dzieciak ma trochę racji — przyznała Trzy Azymut. — Gdybyśmy użyli sztuczki odpryskowej, mogłoby się nam udać wprowadzić do negocjacji jednego z twoich ludzi, podsekretarzu...

Sztuczki odpryskowej? — pomyślał zbity z tropu Osiem Antidotum. W tej samej chwili Jedenaście Wawrzyn potrząsnął głową w geście stanowczego zaprzeczenia. Jego twarz, którą chłopiec uważał kiedyś za przyjazną, przybrała srogi, gwałtowny wyraz.

— Nie sądzę, by ta dyskusja toczyła się przed odpowiednimi słuchaczami

— oznajmił.

To znaczyło... to znaczyło, że Osiem Antidotum przed chwilą usłyszał coś, czego z całą pewnością nie powinien usłyszeć, w jeszcze większym stopniu niż o rzeźnicze nakharskich umysłów. O czymś gorszym. Czymś dziwniejszym. *Sztuczka odpryskowa*. Coś szybszego od szybkich kurierów? Czekał, aż Trzy Azymut każe Jedenaście Wawrzynowi się zamknąć. W końcu była jego przełożoną, bez względu na szantaż, a sprawiała wrażenie bardzo zainteresowanej pomysłem uczestniczenia w negocjacjach...

Ale ona tylko wzruszyła lekko jednym ramieniem i skinęła głową. Nie mówiono już więcej o Odpryskach ani o negocjacjach. Rozmowa wróciła do niekończących się zebrań z ekspertami z Logistyki i Uzbrojenia. O liniach zaopatrzeniowych. O tym, jak transportować broń przez bramy skokowe, nie łamiąc przy tym zbyt wielu traktatów.

Wyglądało na to, że minister wojny nie chce się sprzeciwić Jedenaście Wawrzynowi. Jakby to on był tym, który potrafi identyfikować osoby powodujące zaburzenia, i doszedł do wniosku, że sama minister, a być może również Osiem Antidotum, również się do nich zaliczają.

Wieczorem chłopiec zakradł się z powrotem do swego pokoju w Pałacu-Ziemia i natychmiast położył się spać, mimo że do północy zostało jeszcze parę godzin. Później tego żałował. Krótszy sen oznaczałby mniej czasu na sny.

Gdy Dziewięć Hibiskus zbliżała się do sekcji medycznej, wszystkie podprogramy protokolarne pokładowej SI „Ciężarka u Koła” wysyłały alarmy do jej łącza chmurowego: STOP—NIE WCHODZIĆ—NIEBEZPIECZEŃSTWO—ZAGROŻENIE BIOLOGICZNE. Powtarzały je raz po raz, jakby recytowały pobawiony rymów wiersz. To było znacznie

bardziej irytujące niż normalne ostrzeżenia. Tamte przynajmniej miały prozodię. To... miało tylko wywoływać szok, niepokój i przerażenie. Odstraszać. Pozbawiać poczucia normalności za pomocą monosylab. Podeszła do hermetycznie zamkniętych drzwi, nie zważając na ostrzeżenia. Szesnaście Wschód-Księżycy podążała za nią, chciwa jak sęp. Wypełniał ją ciężar wiedzy, że obcy nieprzyjaciele mają dom, do którego mogła dotrzeć, by go zaatakować, jeśli tylko będzie gotowa zaryzykować utratę okrętów i ludzi.

Powidok, zbyt szybki, by zrobić coś więcej niż nieznaczne przyśpieszenie akcji jej serca — śmierć Odprysku w płomieniach i odrażająca ulga ginącego pilota, którą poczuła. To jednak z pewnością była projekcja. Uczucia nie wędrowały przez wzrok odpryskowy. Przynajmniej do tej pory to się nie zdarzało.

Zajrzała do środka przez okno z grubego szkła, umieszczone pośrodku drzwi sekcji medycznej. Tylko w ten sposób mogła zobaczyć, co, do chuja, działa się z Rojem.

Odciał się od reszty okrętu, zamknął wszystko, jakby w sekcji medycznej wykryto przypadek gorączki krwotocznej. Zapewne jednak obce grzyby, które zabiły co najmniej jednego z jej żołnierzy, były w przybliżeniu jej odpowiednikiem. Jeśli szerzyły się równie szybko, Dwadzieścia Cykada był już trupem, nawet jeśli proces umierania jeszcze się nie zakończył.

— Jesteśmy — zawołała na głos, nie przejmując się tym, że Szesnaście Wschód-Księżycy ją słyszy. — Co się dzieje w środku?

— W tej chwili czuję się dobrze — odpowiedział jej adiutant, korzystając z interkomu sekcji medycznej. Jeśli włączył przesyłanie głosu w obie strony, znaczyło to, że śmierć nie jest jeszcze blisko. Ten system stworzono z myślą o takich właśnie sytuacjach — choroba zakaźna za tymi drzwiami i zdrowy okręt na zewnątrz. — Nie ma tu nikogo innego poza jednym martwym obcym i jednym martwym kadetem medycznym. To chyba Sześć Opad-Deszczu. Grzyby wyrastają z rany w jego dłoni.

— Włączyłeś oczyszczacze, zgadza się? Powietrze ze środka nie wydostaje

się na zewnątrz?

— *Yaotlek*, moja droga Malwo, znasz mnie. Oczywiście, oczyszczacze są nastawione na cykl wewnętrzny. Wystarczą trzy dni, żeby nasza hydroponika nadrobiła stratę tlenu.

„Moja droga” była jeszcze gorsza od „Malwy”. Te słowa świadczyły, że Dwadzieścia Cykada poważnie obawiał się o swoje życie. Kurwa, nie chciała go stracić. A już szczególnie w chwili, gdy Szesnaście Wschód-Księżycyca będzie mogła zobaczyć jej żalobę.

— W to akurat nigdy nie wątpiłam — zapewniła, żalując, że nie może go zobaczyć. — Opowiedz mi o kadecie.

— Natrafił na grzyb, nim ten go zabił, i rozesłał wszystkim na liście medycznej holoobrazy obserwacji mikroskopowych. W ten sposób się dowiedziałem. Jestem na tej liście. To znaczy, że proces jest powolny. Przynajmniej sądząc z tego, czego udało mi się dowiedzieć, a uwierz mi, nie mam zamiaru zrobić tego, co ten biedny chłopak, i wsadzić ręki do paszczy obcego. Centralny ośrodek grzyba znajduje się w jego mózgu. To znaczy obcego, nie Sześć Opadu-Deszczu.

— Strzępki grzybni przebiły się przez kość sitową? Do jamy ustnej? — zapytała Szesnaście Wschód-Księżycyca.

— W rzeczy samej, kapitanie floty — zgodził się Dwadzieścia Cykada. Interkom nadawał jego głosowi lekko grobowe brzmienie. — Czy ukończyłeś szkolenie biologiczne?

— Nigdy nie miałam zaszczytu służyć w oddziałach medycznych — odpowiedziała Szesnaście Wschód-Księżycyca. To nie znaczyło „nie”. Dziewięć Hibiskus nienawidziła jej za to, że jest użyteczna, w równym stopniu jak za to, że jest sobą. — Jeśli grzyb żył w mózgu, w ten sposób mógł wydostać się na zewnątrz, żeby rozsiać zarodniki. Nacisk skierowany w dół, najpierw przez kość sitową, a następnie przez podniebienie miękkie. Pamiętam, że obcy je mają.

— W jaki sposób zginął kadet? — przerwała jej *yaotlek*.

— Skaleczył się — wyjaśnił adiutant. — Grzyb dostał się do rany. Myślę jednak, że przyczyną śmierci był wstrząs anafilaktyczny. Nie sam grzyb. Kadet był siny.

Jeszcze jedno pytanie. To, którego naprawdę nie chciała zadać.

— A ty?

— Nie skaleczyłem się i wstrząs mi nie grozi — zapewnił Dwadzieścia Cykada zwięźle i energicznie. — Za parę chwil będę miał więcej danych i będę mógł określić, czy ten grzyb roznosi się drogą kropelkową. Okręt robi mi badanie mikrobiologiczne. Nie jest zbyt dokładne, ale coś mi powie. Grzyb nie jest zbyt zadowolony.

— Zadowolony — powtórzyła Szesnaście Wschód-Księżyca beznamiętnie.

— Pozbawiono go żywiciela — wyjaśnił Dwadzieścia Cykada. — A życie w Sześć Opadzie-Deszczu za bardzo mu się nie podoba. Przynajmniej w jego krwi. Więdnie na moich oczach.

— Być może wolałby jego mózg.

Dziewięć Hibiskus zwróciła się w stronę kapitan floty i zrobiła krok naprzód, naruszając jej przestrzeń prywatną. Wykorzystała swój większy wzrost i ciężar, żeby wyglądać groźnie.

— Nie otworzymy czaszki jednego z naszych poległych, żeby robić eksperymenty — oznajmiła. — Nawet eksperymenty z obcymi grzybami.

— Nie sugerowałam niczego w tym rodzaju, *yaotlek*.

Szesnaście Wschód-Księżyca zdołała nadać swojemu głosowi ton urazy.

— Zatem co sugerujesz?

— Że ten grzyb lubi tkankę mózgową i jest w niej stabilny. Że nasi wrogowie mogli nam podrzucić to ciało jako pułapkę. Albo bombę. Złożyć je w ofierze. Że powinnaś sprawdzić swoją szpiegówkę i jej faworytę, by się upewnić, czy nie mają objawów anafilaksji. Albo wtętów grzyba w mózgu. I twojego adiutanta również, *yaotlek*. Nie próbuję podważyć twojego autorytetu na twoim okręcie. Boję się tego, co to wszystko może oznaczać. Potraktuj to poważnie, w interesie Imperium, nawet jeśli nie we własnym.

Potrafiła nadawać swojemu głosowi bardzo szczere brzmienie. Szczere i zimne. Co gorsza, było całkiem prawdopodobne, że miała rację, i nie sposób było zlekceważyć jej słów ani odesłać jej na jej okręt.

— Jak może zauważyłaś, mój adiutant pozostaje zamknięty w izolacji — odpowiedziała. — Nie mogłabym potraktować tego poważniej.

Szesnaście Wschód-Księżycy skinęła głową, ale mówiła dalej.

— A co z funkcjonariuszką Informacji? I żołnierzami, których przydzieliłaś jej jako eskortę? Wszyscy mogą już nie żyć. Albo roznosić grzyba poza strefą poddaną izolacji.

Dziewięć Hibiskus pomyślała, że kapitan floty jest jednym z tych dowódców, którzy zawsze opierają się na zawołanych groźbach. Na pokładzie „Kompresji Parabolicznej” wszystko z pewnością chodziło jak w zegarku. Nakręconym do granicy pęknięcia sprężyny.

Z interkomu popłynął głos Dwadzieścia Cykady:

— Wątpię w to, kapitanie floty. Mam wyniki badań mikrobiologicznych powietrza. Nie stwierdzono obecności zarodników w wykrywalnych ilościach. To nie jest skuteczny sposób rozprzestrzeniania się tego grzyba. Nie ma powodów do obaw.

Dziewięć Hibiskus nie potrafiłaby mówić tak uspokajająco. Nie, gdyby przebywała po drugiej stronie tych drzwi.

— Roju, czy mógłbyś potwierdzić, że jest mało prawdopodobne, byś umarł z powodu infekcji grzybowej?

Jego nagły śmiech zabrzmiał dziwnie.

— Mało prawdopodobne? Tak. Ale nie wyjdę stąd, dopóki nie minie sześć godzin i nie będę miał pewności. Poza tym kapitan floty ma rację, moja droga. *Asekreta* powinna się dowiedzieć o tej sytuacji.

— O ile już o niej nie wie — dodała złowrogim tonem Szesnaście Wschód-Księżycy. Dziewięć Hibiskus wyobraziła sobie leżące w pomieszczeniu, które im przydzieliła, ciała *asekrety* Trzy Trawy-Morskiej oraz barbarzyńskiej ambasadorki i ksenolingwistki, pokryte pleśnią i martwe od wielu godzin.

A co gorsze, również ciała swoich żołnierzy, rozrzucone losowo po całym „Ciężarku u Koła”. Każde z nich byłoby źródłem infekcji. O ile rzeczywiście się szerzyła. Ale Dwadzieścia Cykada się nie zaraził. Jak dotąd.

— Pora to sprawdzić. Każę je przyprowadzić do sekcji medycznej. Przekonamy się.

Cała reszta będzie musiała poczekać.

Gdy Mahit się obudziła, poczuła ciepło. Ciepło ciała, dzielonej przestrzeni, głęboką pierwotną radość płynącą z tulenia się do drugiej osoby w ciasnym miejscu. Nie było chwili dezorientacji, myśli *poleżę tak jeszcze chwilę, zanim się zastanowię, jak się tu znalazłam*. Gdy tylko otworzyła oczy, wiedziała, gdzie jest. Leżała przytulona do Trzy Trawy-Morskiej na dolnej koi w ich kabinie na pokładzie teixcalaanlijskiego okrętu flagowego „Ciężarek u Koła”. Jej kolana dotykały od tyłu kolan kochanki, a nagie biodra jej nagich bioder. Wciskała twarz w ciemną gęstwę rozpuszczonych włosów i obejmowała ręką jej klatkę piersiową, przyciągając ją do siebie. Między nogami czuła słodki ból.

Och, Mahit doskonale wiedziała, gdzie jest, co zrobiły i jak wielką przyjemność jej to sprawiło. W chwili orgazmu, gdy połowa dłoni Trzy Trawy-Morskiej zagłębiła się w niej prawie po knykcie, ujrzała w eksplozji złotego blasku zamazane twarze Dziewiętnaście Ciesak i cesarza Sześć Kierunku, i przypomniała sobie zupełnie inne doświadczenie spełnienia. Nie miała nic przeciwko temu. Szybko przysła do siebie i wcisnęła partnerkę w materac, by sprawdzić, czy Yskandr znał jakieś oralne sztuczki, na jakie sama dotąd nie wpadła.

<Wyłącznie dzięki temu, że mam dwadzieścia lat doświadczenia więcej,

Mahit> wyszeptał do niej. <Nie sędzę, by ktokolwiek miał się skarżyć na twoje metody>.

To zdumiewające, jak bardzo lubieżny potrafił się stać, gdy przemawiał do niej w jej umyśle. Poczowała, że na twarz wystąpił jej gorący rumieniec, ciesząc się, że Trzy Trawa-Morska albo naprawdę spała, albo udawała, że śpi, tak samo jak ona. Dzięki temu nie musiała niczego wyjaśniać.

Najlepiej by było, gdyby mogły tu tak zostać. I nie musiały niczego wyjaśniać. Ani myśleć o tym, że to był bardzo zły pomysł.

Trzcino — pomyślała, wyraźnie, jakby kierowała tę myśl do Yskandra. *Gdybyś już przedtem nie była spalona w oczach tych żołnierzy, to z pewnością załatwiłoby sprawę.*

<Ty też jesteś spalona, Mahit> wyszeptało w odpowiedzi jej imago. <Jak zamierzasz to wytłumaczyć Darjowi Taratsowi?>

Wszelkie ślady pożądania nagle zniknęły. Poczowała chłód, jej myśli się wyklarowały i dopadły ją lekkie mdłości, jakby wrzucono ją do lodowatej wody, a potem uwolniono. Przez blisko dwadzieścia cztery godziny udawało się jej nie myśleć o tym, co obiecała radcy górników. Pochłonęły ją szok kulturowy, zrodzona z rozczarowania furia, protokoły pierwszego kontaktu, zmęczenie wywołane upałem oraz naprawdę dobry seks — w takiej kolejności. Bardzo miło było nie myśleć o Darju Taratsie. I o tym, że jej oczy były teraz jego oczami. Była szpiegiem, wbiła się w ten okręt niczym szrapnel, zmierzający powoli w stronę serca. I nie tylko szpiegiem. Rozkazano jej również, by stała się sabotażystką, nawet jeśli nie wiedziała jeszcze, co miałyby sabotować...

<Wszystko> wyszeptał Yskandr. <W tym właśnie problem. Tarats pragnie... zobaczyć Teixcalaan, poznać go tak dobrze, by móc go poprowadzić ku zagładzie...>

To by mu się spodobało — pomyślała z goryczą Mahit. *Spójrz, jak głęboko zaufał mi Teixcalaan. Co prawda, ona nie jest cesarzem, więc nadal jesteś trochę do przodu.*

Poczuła, że to sprawiło mu ból. Jej klatkę piersiową wypełnił żal równie dotkliwy jak łzy. Starła się nie czuć smutku, ale bez powodzenia. Nie wiedziała, czy smuci się tym, że sprawiła mu ból, czy raczej tym, że sama go poczuła. Kolejny problem, przed którym terapeuci integracyjni nikogo nie ostrzegali: złamane serca dwóch osób mogły prowadzić do nieuzasadnionego samooskarżania.

<Zawiodłem Taratsa, kiedy sprzedałem naszą technologię imago Sześć Kierunkowi w zamian za pokój> odezwał się po chwili Yskandr. <I w końcu zawiodłem też Sześć Kierunek. Mahit, spraw się lepiej ode mnie. Nasza linia powinna osiągnąć coś wartościowego>.

Nigdy dotąd nie słyszała, by tak dokładnie opisał przyczyny swej rozpacz i nienawiści do siebie samego. To było tak, jakby spojrzała w lustro odbijające się w sobie bez końca, dziurę w świecie, która nagle stała się realna. Zadała mu następne pytanie w zamkniętej krypcie ich umysłu. Gdy je wypowiadała, wypełnił ją strach. *Darj Tarats chciałby, żeby Teixcalaan startł się z tym obcymi i by obie strony zniszczyły się nawzajem. Mogłabym powiedzieć mu o Szesnaście Wschód-Księżycy, a następnie sabotować negocjacje na Peloa-2. Mogłabym spowodować, że wszyscy zginiemy. Czy powinnam to zrobić?*

<Och, Mahit> odparł Yskandr. <Skąd, kurwa, mam to wiedzieć?>

Ponieważ to powiedział, z jej oczu płynęły łzy, gdy Trzy Trawa-Morska odwróciła się w jej objęciach i dotknęła chłodnymi palcami jej policzka, przesuając je wzdłuż wilgotnej strużki.

— Z pewnością nie żałujesz aż tak bardzo, że to zrobiłaś?

W jej głosie brzmiała rozpacz. Mahit z pewnością tego nie chciała. Nie była pewna, czego właściwie pragnie, ale z pewnością nie tego. Trzy Trawa-Morska wyglądała, jakby Lselka ją uderzyła. A chodziło tylko o łzy.

— Nie — zapewniła ochryplym, stłumionym głosem. — Nie chodzi o ciebie, Trzcino, w ogóle nie chodzi o ciebie. To...

Słowa wymagały zbyt wiele czasu, a w dodatku wszystkie były teixcalaanlijskie.

To był dobry pocałunek. Trzy Trawa-Morska świetnie potrafiła całować (przynajmniej wtedy, gdy nie dopadł jej kryzys egzystencjalny, wywołany tym, że widziała rytualne samobójstwo swego cesarza, transmitowane holowizyjnie na cały Teixcalaan). Gdy odsunęły się od siebie, emisariuszka opierała się swobodnie o jej bark, jakby było im przeznaczone być razem.

— Zatem — zaczęła tonem dziarskim, a zarazem łagodnym, przywodzącym Mahit na myśl Dziewiętnaście Ciesak (Yskandrowi również się z nią kojarzył, co zapewne było bliższe prawdy) — jeśli nie tego żałujesz, w czym problem, Mahit? Wczoraj poszło nam świetnie.

— Masz rację — zgodziła się Mahit. — Rzeczywiście świetnie. Ale zostało nam jeszcze bardzo wiele do zrobienia i...

— Nie mów mi, że nie wierzysz w swe możliwości. Domyśliłaś się, jak do nich śpiewać. Nie sądzisz, że powinniśmy nadać im jakąś nazwę, inną niż „nieprzyjaciele”?

— Zapewne powinniśmy. I nie, nie zwątpiłam w swe możliwości. To...

Umilkła. Jej język zrobił się ciężki jak ołów. Neuropatyczny ból w dłoniach wrócił z całą siłą, nieustanny, iskrzący się ogień, jakby kłuły ją odłamki szkła. Nie wiedziała, co robić, Yskandr również nie wiedział, a Trzy Trawa-Morska będzie jej sprawiała ból, tak samo jak wczoraj, myślała o niej jako o swej sprytniej barbarzyńce, a nie Mahit Dzmare, bez względu na to, ile razy się pocałują. Nie istniało nic takiego jak bezpieczeństwo czy powrót do domu.

— Mahit? — zapytała emisariuszka, obejmując jej policzek szczupłą dłonią. — Nie lubię wykorzystywać metod przesłuchania, których mnie nauczono, w rozmowie z pięknymi osobami, z którymi przed chwilą spałam, ale martwię się o ciebie, a ty nie chcesz mi nic powiedzieć. Prędzej czy później szkolenie wysuwa się na pierwszy plan.

To niemal na pewno był okropny, zachwycający i typowy przykład humoru Ministerstwa Informacji. Był zabawny, ale jednocześnie wskazywał na wszystko, co było nie w porządku z ich związkiem. Mahit czuła się zmęczona. Zmęczona tym...

<Prędzej czy później wszyscy przegrywamy> wyszeptał słabo Yskandr. <To właściwie nie boli>.

Tylko nagły stop na końcu drogi?

Elektryczny śmiech. Jej klatkę piersiową ponownie wypełniła odrażająca, zrodzona z żalu pustka. Dłonie bolały ją paskudnie.

— Gdybym była... — zaczęła, zamykając oczy i odwracając głowę od kochanki, żeby nie pozostało nic poza delikatnym dotykiem i ciepłą ciemnością pod jej powiekami — ...taką agentką Lsel, jaką powinnam być, biorąc pod uwagę, w jaki sposób załatwiłam, by pozwolono ci mnie ukraść, powinnam ze wszystkich sił starać się nie spisać się dobrze w negocjacjach z obcymi.

Trzy Trawa-Morska cmoknęła głośno.

— Stacja Lsel wołałaby, żeby wojna trwała bez końca?

— Nie — zaprzeczyła z westchnieniem Mahit. — Darj Tarats chciałby, żeby Teixcalaan utracił wszystkie siły w wojnie z... kim tam właściwie są ci obcy. Odpowiedź na pytanie, czego chce Stacja Lsel jako całość, wymagałaby znacznie bardziej skomplikowanej analizy politycznej, ale z pewnością nie jesteśmy zadowoleni z widoku tych wszystkich pięknych okrętów, które przepływają nad naszymi głowami niekończącym się strumieniem. Ale to dla Darja Taratsa powinnam pracować, kiedy nie pracuję dla ciebie.

Szczerłość była czymś okropnym, lecz jednocześnie całe jej ciało zalała głęboka ulga. Napięcie odpłynęło. *Tym razem oboje jesteśmy spaleni na zawsze.*

<Jesteś na skraju znanego świata> wyszeptał Yskandr. <Może to właśnie jest odpowiednie miejsce na coś takiego>.

Trzy Trawa-Morska pocałowała ją w policzek — nagle, szybkie muśnięcie warg.

— Jesteś fascynująca, Mahit. Chciałabym któregoś dnia usłyszeć, dlaczego postanowiłaś mi to powiedzieć. Jestem dobra w łóżku, ale nie aż tak.

Mahit parsknęła śmiechem, choć wszystkie instynkty ją przed tym

ostrzegaly.

— Zrobiłam to, ponieważ nie sędę, bym miała czynić to, czego chce ode mnie Darj Tarats, Trzy Trawo-Morska. I... ktoś powinien usłyszeć, że sama wpadłam na tę myśl.

— To nie ma dla mnie zbyt wiele sensu, ale zastanowię się nad tym — obiecała emisariuszka, po czym odsunęła się i usiadła. — Chodź. Zjemy śniadanie i przygotujemy się do powrotu na Peloa-2. Jak rozumiem, postanowiłaś, że nie dokonasz sabotażu?

— Najwyraźniej postanowiłam — zgodziła się Lselka i sięgnęła po biustonosz, który zaplątał się w sprężyny górnej koi podczas wczorajszej chwili namiętności.

— Znakomicie — stwierdziła Trzy Trawa-Morska. — Aha, jeszcze jedno. Świetnie wyglądasz nago. Chciałam ci to powiedzieć, zanim znowu włożysz bieliznę.

Mahit skierowała na nią spojrzenie. Emisariuszka odsłoniła zęby w całkiem niezłym lselskim uśmiechu, po czym wstała, przeciągnęła ręce nad głową i wygięła plecy do tyłu, prezentując ambasadorce mięśnie ramion, łuk kręgosłupa oraz kaskadę rozpuszczonych włosów. Lselka nie przestawała się gapić, gdy Trzy Trawa-Morska wzięła w rękę cienką książeczkę z tą samą pożądlivą ciekawością, z jaką zdejmowała ubranie z Mahit. To była *Niebezpieczna granica!* Ambasadorka zostawiła ją na rozkładanym biurku, ubierając się pośpiesznie przed pierwszym lotem na Peloa-2.

— To lselska literatura — wyjaśniła Mahit, wściekając się na siebie z powodu zażenowania słyszalnego w jej głosie.

Nadal naga Trzy Trawa-Morska usiadła na biurku i otworzyła książeczkę.

— Kto to rysował? — zapytała.

— Nie mam pojęcia. — Lselka okryła się narzutą i oplotła ręce wokół kolan. Czuła się, jakby zaraz miała oberwać, i nie miała pojęcia dlaczego. To nie ona była rysownikiem. — Jakiś nastolatek. — Kupiłam to w kiosku na jednym z naszych pokładów mieszkalnych.

— Macie mnóstwo kiosków — zauważyła z roztargnieniem w głosie Trzy Trawa-Morska, przewracając strony. Szybko czytała. — W jednym z nich próbowali sprzedać mi piwo z alg. Było okropne.

Rzeczywiście takie było.

— Niektórzy je lubią — odparła Mahit. Kiedy jej kochanka zdążyła spotkać sprzedawcę piwa z alg? Zanim wpadła na Aknel Amnardbat czy później?

— Hmm. To mi się podoba. Rysunki są naprawdę świetne, a ta Esharakir...

— Tak?

— Chyba trochę przypomina mi ciebie. Muszę przeczytać do końca, żeby zdecydować.

— Mamy czas — odparła Mahit. — Książka jest krótka. Jeśli chcesz ją czytać, to może wróc tutaj? W łóżku jest wygodniej niż na krześle.



Sny zaczęły się od widoku spalonego, zniszczonego ucha Trzy Azymut. Ale to nie była minister wojny, to była Mahit Dzmare w ogrodach i spłonęła cała jej twarz. Cała twarz była sączącą się raną. Pałacowe kolibry zanurzały w niej małe dziobki i piły. Ambasadorka wyglądała jak ofiara jądrowej bomby rozpryskowej. Rozpuszczała się, zmieniając się w truciznę. Zatrzuwała wszystko, czego dotknęła.

We śnie przemówiła do Osiem Antidotum, powtarzając jego słowa. Pamiętał tę chwilę. Powiedziała „Nie muszą nawet cię dotknąć, żeby to zrobić” i cała była pokryta ptakami, poparzona i ociekająca chłonką. To wcale nie była Mahit Dzmare, tylko jeden z obcych, jeden z ich wrogów — długa szyja, dziwna, łaciata skóra i zęby drapieżnika. Nie był też poparzony. Nawet w najmniejszym stopniu.

Nie był poparzony i bardzo ostrożnie trzymał w długopalcej dłoni

pałacowego kolibra. Dłoń sprawiała wrażenie delikatnej, poza pazurami. Osiem Antidotum pamiętał, że pomyślał we śnie, iż stwór z pewnością zje ptaszka. Zawładnął nim zabójczy strach, panika. Chciał poprosić istotę, żeby tego nie robiła. Koliber stroszył maleńkie piórka, siedząc na poprzeshywanym krystalicznymi liniami pazurze palca wskazującego.

Później wydarzyły się gorsze rzeczy, ale nie pamiętał ich zbyt dobrze. Przypominał sobie tylko poczucie, że zrobił coś naprawdę strasznego.

Wstał. Wziął prysznic — jak zwykle odwrócony plecami do kamer — i ubrał się. Włożył całkowicie szary strój, jeden z tych, których używał do szpiegowskiej roboty. Wyglądał prawie jak zwyczajny chłopiec. Prawie. Być może zwyczajne dzieci nosiły kolorowe stroje. Nie wiedział tego. Odgarnął włosy do tyłu, uczesał je i związał rzemieniem ze srebrnymi wstawkami. Jeśli nie mógł wyglądać jak zwyczajny chłopiec, być może powinien wyglądać jak szpieg. Miał długi, szary żakiet z otwartymi kłapami. To był ubiór dorosłej osoby. Nada się w sam raz.

Dokądś się wybierał. Uświadomił to sobie w chwili, gdy wkładał żakiet. Zdecydował, że usiądzie i zastanowi się, dokąd chce pójść, zanim wyruszy w drogę. To nie będzie Ministerstwo Wojny. Chyba zaczęłyby krzyczeć, gdyby znowu się tam znalazł, a to byłoby dziecinne i w niczym by mu nie pomogło.

Wiedział trochę o Mahit Dzmare. Niezbyt wiele. Ale trochę. Oglądał też jej wystąpienie na kanałach medialnych, nadane wkrótce przed śmiercią jego przodka cesarza. To, które dało początek wojnie. Oglądał je wiele razy. I jeszcze... ach, w jego czasce grzechotała osoba powodująca zaburzenia. Czuł się od tego dziwnie i miał lekkie mdłości. (Czy on również był taką osobą? Czy ktoś, kto nią nie był, mógł zostać cesarzem?)

Jednakże podczas pobytu w Mieście Mahit Dzmare nie była sama. Nie była sama również teraz, gdy przebywała na okręcie Floty, próbując nawiązać pierwszy kontakt z obcymi. W obu miejscach towarzyszyła jej ta sama osoba. Trzeci podsekretarz Ministerstwa Informacji Trzy Trawa-Morska. Albo specjalna emisariuszka Trzy Trawa-Morska. Ta sama osoba. A o niej Osiem

Antidotum wiedział bardzo niewiele. W dodatku znacznie łatwiej było mu myśleć o niej niż o zmasowanym ataku na planetę.

Pogłoski mówiły, że to ona napisała pieśń śpiewaną podczas próby uzurpacji przez demonstrantów, którzy dochowali wierności cesarzowi Sześć Kierunkowi. *Po uwolnieniu staniemy się włóczyniami w rękach słońca.* Te słowa na zawsze zapisały się w głowie Osiem Antidotum. I zapewne w głowach mnóstwa innych osób.

Trzy Trawa-Morska była poetką. Była nią, zanim jeszcze stała się... kimkolwiek była teraz.

Uruchomił publiczną wyszukiwarkę w łączu chmurowym, by odnaleźć jej dzieła. Było ich mnóstwo. Ale od dwóch i pół miesiąca nie napisała nic — a przynajmniej nic nie opublikowała — a on naprawdę nie miał ochoty siedzieć przez cały ranek w pokoju, czytając poezję. Później zapewne doszedłby do wniosku, że powinien napisać esej o jej wierszach i pokazać go jednemu ze swoich nauczycieli. I nadal nie dowiedziałby się o niej zbyt wiele. Wszystkie te utwory pochodziły z wcześniejszego okresu.

Mógł przeprowadzić inne wyszukiwania. W końcu był Osiem Antidotum, Jego Ekscelencją, współdziedzicem teixcalaanlijskiego tronu słonecznych włóczyni. Nosił te wszystkie tytuły, mimo że miał dopiero jedenaście lat, i jego łącze chmurowe dawało mu dostęp do wielu różnych miejsc. Zapewne były wśród nich takie, które uważał za niedostępne, takie, z których nigdy nie chciałby skorzystać, a nawet takie, o których istnieniu nigdy nie słyszał.

Sprawił Centralne Biuro Zapisów w poszukiwaniu wszelkich przejawów publicznej aktywności Trzy Trawy-Morskiej w ostatnim miesiącu. Biuro miało bardzo irytujący interfejs. Najwyraźniej było częścią Ministerstwa Sprawiedliwości, a przynajmniej znak tego ministerstwa wirował w powietrzu, gdy SI Biura zastanawiała się, czy Osiem Antidotum ma prawo zobaczyć, czym się zajmowała Trzy Trawa-Morska w czasie wolnym. Zastanawiał się, czy Słońca Imperium używają podobnego interfejsu. Zapewne nie. Miały własne sposoby obserwacji.

Okazało się, że Trzy Trawa-Morska nie robiła zbyt wiele. Nie w ostatnim miesiącu. Wydawała pieniądze w restauracjach. Oddawała mundury do pralni chemicznej. Wszyscy robili takie rzeczy. Nie kupiła nic dziwnego, drogiego albo mającego związek z obcymi, nie wysłała żadnych wiadomości poza planetę. (Przynajmniej osobistych wiadomości, Centralne Biuro Zapisów nie śledziło działalności korespondencji prowadzonej przez Ministerstwo Informacji. Zapewne tak było lepiej. Zapewne. Nawet jeśli Osiem Antidotum bardzo chciałby zajrzeć do archiwów Informacji, by sprawdzić, z kim rozmawiała). Wszystko, co zrobiła, wydarzyło się w krótkim, osiemnastogodzinnym okresie przed opuszczeniem przez nią Miasta. Przesunięto ją na stanowisko specjalnej emisariuszki, wycofała większość oszczędności ze swojego konta, przenosząc je na rachunek, który z pewnością należał do Ministerstwa Informacji, zamówiła mnóstwo nowych mundurów i odleciała z Kosmoportu Prowincji Wewnętrznej, jako dodatkowy ładunek na pokładzie medycznego transportowca „Splot z Kwiatów”.

A następnie zniknęła. Znalazła się dopiero po drugiej stronie wszystkich bram skokowych dzielących Miasto od obcych, z którymi postanowiła porozmawiać.

Chłopiec wiedział, dokąd się teraz uda. „Splot z Kwiatów” wykonał pętlę między blisko położonymi bramami skokowymi — jego kapitan dziwnie skrupulatnie zapisywał wszystkie — i wrócił do Klejnotu Świata. W tej chwili znowu stał w Kosmoporcie Prowincji Wewnętrznej.

Kapitan medycznego transportowca nie powinien być zainteresowany pałacowymi intrygami ani rywalizacją między ministerstwami. Z pewnością nie będzie nic wiedział o obcych ani o osobach powodujących zaburzenia. Po prostu powie Osiem Antidotum, jakie wrażenie zrobiła na nim emisariuszka. Tego właśnie potrzebował chłopiec. Musiał zdecydować, czy uważa, że to dobry pomysł, żeby emisariuszka i Mahit Dzmare rozmawiały z obcymi. Trzy Azymut wysłała całą szóstkę legionów *yaotleka*, żeby ich zabić.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

PROCEDURY KWARANTANNY W PRZYPADKU CHORÓB ZAKAŹNYCH: CO POWINIENES WIEDZIEĆ. Jest bardzo ważne, by podczas kwarantanny Stacyjni słuchali poleceń personelu radcy systemów podtrzymywania życia i ufali raczej ich osądowi niż swemu własnemu. Ostatni raz kwarantannę na Stacji Lsel wprowadzono przed pięcioma pokoleniami. Niemniej linie imagowe medyków, którzy zapewnili wówczas bezpieczeństwo niemal wszystkim mieszkańcom Stacji, starannie zachowano i wszystkie żyją teraz wśród nas. Nie obawiajcie się! Drobne infekcje jak przeziębienie albo lekkie zakażenia grzybicze, bądź grzybica skóry, choć są zakaźne, nie wymagają kwarantanny i mogą przydarzyć się wszystkim... nawet personelowi Systemów Podtrzymywania Życia. Gdyby pojawiły się poważniejsze choroby, otrzymacie szczegółowe instrukcje. Dodajemy próbkę...

ulotka rozpowszechniana przez radę Bezpieczeństwa Medycznego i Zdrowia Stacji Lsel, pod patronatem radcy systemów podtrzymywania życia

* * *

INFORMACJA DLA PODRÓŻNYCH: W obecnej chwili nie możemy zaoferować żadnych informacji Teixcalaanlitzlim podróżującym po Imperium. Prosimy liczyć się z drobnymi opóźnieniami, ponieważ transporty wojskowe mają pierwszeństwo przy bramach skokowych.

Ogłoszenie odtwarzane cyklicznie na projektorze w Kosmoporcie Prowincji Wewnętrznej

Kiedy Osiem Antidotum był małym chłopcem, miał opiekunów, którzy pilnowali, by nie wpadł do wodnego ogrodu albo nie zjadł sztyftu infofizkowego bądź nie zrobił jakiegoś innego głupstwa, jakie ciągle zdarzają się małym dzieciom. Ale od jakiegoś czasu już mu ich nie przydzielano. Rzecz jasna, miał nauczycieli, ale od chwili śmierci jego przodka cesarza sam do nich chodził, kiedy miał na to ochotę, i nie miał codziennie lekcji o wyznaczonej porze. Obserwowały go też oczy wszystkich kamer w mieście.

Kamery nie mogły go jednak powstrzymać, gdy postanowił, że wsiądzie do metra i pojedzie do kosmoportu. Śledziły tylko jego ruchy, a od chwili, gdy ruszył w drogę, przekonał się, że to go uspokaja. W Klejnocie Świata mieszkało mnóstwo ludzi. W metrze chłopiec zauważył, że wszyscy najwyraźniej wiedzą, dokąd jadą, i nic z tego, co widzieli, nie zachwycało ich ani nie przyciągało ich uwagi. To wydawało mu się absurdalne. Wszystko go zachwycało i przyciągało jego uwagę. Wszystkiego było tak dużo. Znał kompleks pałacowy równie dobrze jak kształt własnych kolan i zrobił mapę trajektorii okrętów Floty aż do odległości sześciu bram skokowych, lecz Miasto wydawało mu się bardzo głośne i bardzo... hmm... Po prostu bardzo.

Tak czy inaczej, jechał do kosmoportu. A oczy Miasta będą go śledziły. Po raz pierwszy od dawna czuł się zadowolony z tego powodu.

W metrze były znaki, a Osiem Antidotum znał plan Miasta. Któż mógłby go nie znać? Zresztą nawet gdyby tak było, znało go jego łącze chmurowe. Doszedł do wniosku, że metro ma sens. Było hałaśliwe, za szybkie i niewygodne, ale miało sens. Jeśli zaczeka na tym albo na tamtym peronie, rozkład jazdy pokaże mu, kiedy przybędzie najbliższy pociąg i dokąd pojedzie. Te informacje zawsze okazywały się prawdziwe. Algorytm metra działał. Dwukrotnie przesiadał się na inną linię. Za pierwszym razem był przerażony, a za drugim świetnie się bawił. Potrafił to zrobić. Pewnie, że potrafił. To było znacznie łatwiejsze niż siedzenie w gabinecie. Nie przeszkadzało mu nawet, gdy ludzie wpadali na niego, omal go nie przewracając, ponieważ był za mały, by mogli go zauważyć.

Wreszcie znalazł się w Kosmoporcie Prowincji Wewnętrznej i nie był już taki pewien, czy sobie poradzi. Kosmoport był znacznie trudniejszy od metra. Było tu jeszcze więcej ludzi, którzy kręcili się w kółko, spoglądając na holograficzne tablice przylotów i odlotów, ściskali w rękach walizki albo pchali przed sobą wózki bagażowe wyższe niż Osiem Antidotum. Odgłosy rozmów odbijały się od kopulastego sklepienia sali, zmieniając się w falujące morze hałasu, mieszającego się z radosnymi dźwiękami holodzingli z kiosków spożywczych, zachęcających go, by kupił CIASTECZKA: SMAK LICZI! Albo PASECZKI Z KAŁAMARNIC: ŚWIEŻO IMPORTOWANE! Poczł mdłości. Lubił paseczki z kałamarnic, ale w tej chwili miał ochotę krzycheć albo się rozplakać. Było tu okropnie głośno. Nigdy już nie będzie miał ochoty niczego zjeść, wliczając w to paseczki z kałamarnic. Jak miał znaleźć w tym wszystkim „Splot z Kwiatów”?

Skręcił w spokojniejszy boczny korytarz, w którym ludzie posuwali się naprzód w określonym kierunku, zamiast kręcić się bezradnie w kółko. Usiadł na ławce. Miał ochotę podciągnąć kolana do piersi i ukryć się za nimi. Tak jednak mogłoby postąpić naprawdę małe dziecko. Spróbował się zastanowić. Był dziewięćdziesięcioprocentowym klonem Sześć Kierunku, uważanego za jednego z najinteligentniejszych cesarzy, którzy rozpoczęli karierę jako żołnierze. Powinien być w stanie coś wymyślić.

Gdy już się zastanowił, rozwiązanie wydało mu się tak oczywiste, że poczuł się jeszcze głupszy i bardziej dziecinny niż przedtem. Włączył funkcję nawigacji łącza chmurowego i wpisał numer miejsca postoju, które entuzjasta biurokracji będący kapitanem „Splotu z Kwiatów” wpisał po przybyciu do portu. Łącze zadzwoniło — tak cicho, że tylko on to usłyszał — i wyświetliło mu trasę prowadzącą z punktu, gdzie się znajdował (najwyraźniej był to korytarz pomocniczy B w Terminalu Tulipan), do miejsca, w którym zatrzymał się „Splot z Kwiatów”, jak twierdziło łącze, w Terminalu Nasturcja. Trasa uspokajającego białego koloru rysowała się na tle koloru nieba tuż przed świtem w pochmurny dzień. Osiem Antidotum ruszył przed siebie, starając się

robić wrażenie spokojnego i pewnego siebie, jak ktoś, kto ma zadanie do wykonania.

Terminal Nasturcja najwyraźniej był przeznaczony dla statków opuszczających układ planetarny przez bramy skokowe. Wyglądał zupełnie inaczej niż Terminal Tulipan, w którym roiło się od Teixcalaanlitzlim udających się w różne miejsca, w krótsze i dłuższe podróże — do jakichś miejsc na powierzchni planety, na jednego z satelitów albo na wycieczkę po układzie planetarnym Klejnotu Świata. Byli tu oczywiście turyści, ale widziało się też wiele dorosłych osób spoglądających z powagą na swe manifesty podrózne oraz wizy pozwalające na opuszczenie przestrzeni Teixcalaanu, handlowców ze skrzyniami towarów, a także kilka kolumn żołnierzy Floty w nieskazitelnych mundurach — nowi kadeci, którzy dostali pierwszy przydział. Na ich widok Osiem Antidotum wyprostował plecy i naprężył ramiona. Wyświetlona przez łącze chmurowe trasa poprowadziła go obok kiosku pocztowego Ministerstwa Informacji. Siedziała w nim dwójka *asekretim*, wyglądających na niewiele starszych od kadetów. Sortowanie poczty przechodzącej przez międzygwiazdne bramy skokowe z pewnością było zadaniem zlecanym ludziom, którzy jeszcze za mało umieli, żeby mogli się przydać gdzie indziej.

Zatrzymał się na chwilę, by obserwować ich pracę. Nie wydawała się zbyt trudna. Przynoszono im sztyfty infofizyczne w koszach wielkości kosza na śmieci w jego łazience, a oni je sortowali (zapewne na podstawie adresów albo przynajmniej bram skokowych, przez które musiały przejść wcześniej), wrzucając je do kolejnych koszy, które następnie przekazywali innym funkcjonariuszom Informacji, którzy nosili mundury pilotów, tyle że w kremowo-pomarańczowych barwach swego Ministerstwa. Nudne. Osiem Antidotum bardzo by nie chciał wykonywać takiej pracy. Ciekawie zrobiło się tylko w chwili, gdy jakaś kobieta niepracująca dla Informacji, nosząca zwyczajny strój, pomijając tylko szarą opaskę Sprawiedliwości na ramieniu, podeszła do małego okienka i wręczyła *asekretim* coś, co wyglądało na bardzo

oficjalny sztyft infofiszkowy. Ten nie trafił do kosza. Jeden z *asekretim* opuścił kiosk, trzymając w ręku specjalny sztyft, i oddalił się, by przekazać go zapewne bardzo szybkiemu kurierowi. Drugi *asekreta* wypisał kwit.

Osiem Antidotum zastanawiał się, czy zapomnieć na chwilę o „Splocie z Kwiatów”, by zapytać *asekretę* o to, kto ma uprawnienia do wysyłania szybkich wiadomości ze strony bram skokowych, po której znajdował się Klejnot Świata. Nagle cały kosmoport wypełnił hałas — nie rozmawiający i krzyczący do siebie Teixcalaanlitzlim, lecz przenikliwe, nieustanne wycie syreny alarmowej.



W niektórych ze starszych podręczników etyki, nad którymi musiała ślęczeć Trzy Trawa-Morska przez cały nieprzyjemny semestr, wyczuwało się utrzymującą się obawę, że silny emocjonalny — albo, gwiazdy brońcie, fizyczny — kontakt z ludźmi niebędącymi Teixcalaanlitzlim może doprowadzić do nieodwracalnego skażenia osoby, która go nawiązała. Gdy się rejestrowała, zapisanie się na fakultatywny kurs o nazwie „Historyczne zmiany w filozoficznej koncepcji teixcalaanlijskiego ksenokontaktu” wydawało się dobrym pomysłem. Pewne znaczenie miał też fakt, że zapisując się na ten semestr, była pijana, była czwarta rano i w dodatku zrobiła to w kiosku Informacji na kontynencie południowym, gdzie ćwiczyła zanurzenie w kulturze, jeśli można tak nazwać udaną infiltrację środowiska muzyków, których twórczości nawet nie lubiła.

Przypominała sobie, że czuła się skonsternowana niektórymi z tych podręczników, zalecającymi profilaktyczne dawki antybiotyków, służenie w świątyni słońca oraz izolację społeczną, gdyby przypadkowo doszło do takiego kontaktu. Jako bardzo sfrustrowana i całkowicie trzeźwa kadetka Trzy

Trawa-Morska doszła do wniosku, że autorzy tych podręczników byli absurdalnie staromodni. Jak obywatel Imperium mógłby ulec skażeniu żalonym wpływem kultury nieimperialnej cywilizacji? A każdy, kto pieprzył się z kimś chorym na wstydlivą chorobę, miał większe problemy niż nieodwracalne skażenie. Seks z kimś, kto pochodził z planety pozbawionej adekwatnego systemu ochrony zdrowia, mógł mieć nieprzyjemne konsekwencje.

W tej chwili, gdy stała nieprzyjemnie naga obok Mahit Dzmare pod prysznicem odkażającym w sekcji medycznej „Ciężarka u Koła”, zaczęła się zastanawiać, czy ludzie z Floty mogą nadal traktować poważnie te stare podręczniki. Może nie czytali niczego, co napisano na ten temat przez ostatnie pięćset lat. Zadawała też sobie pytanie, czy w ich kabinie umieszczono oczy kamer w miejscach mogących zainteresować podglądaczy.

— Nie to chciałam robić rano, Mahit — oznajmiła, drżąc z zimna w chlorowanej wodzie. Bardzo się ucieszyła, gdy Lselka roześmiała się w odpowiedzi, nawet jeśli ten śmiech był wymuszony i gniewny.

— Na Stacji nie potrzebujemy brać sobie nowych kochanków, żeby umyć się tak porządnie.

— Na waszej Stacji, zanim ich sobie weźmiecie, nie poświęćcie wielu godzin na rozmowy z obcymi, którzy najwyraźniej są nosicielami infekcji. Chyba że mam całkowicie błędne wyobrażenie o waszej kulturze.

Mahit potrząsnęła głową. Ociekające wodą włosy opadały jej niemal do ramion. Ciągle musiała je odgarniać z oczu.

— Nie jest błędne. Przynajmniej nie w tej sprawie. Ale jeśli jest w nas pełno obcego grzyba, nie sędę, by odkażający prysznic zbytnio nam pomógł.

Trzy Trawa-Morska również raczej w to wątpiła. Skończyła czytać *Niebezpieczną granicę!*, dowiedziała się, że jest jeszcze dziewięć kolejnych tomów, i wydusiła z Mahit obietnicę, że sprowadzi je dla niej, jeśli tylko znajdzie jakiś sposób, po czym obie ubrały się i wyszły z kabiny, planując

natychmiast wyruszyć na zaplanowane drugie spotkanie z obcymi w straszliwym upale Peloa-2.

Emisariuszka z pewnością nie spodziewała się, że żołnierze Floty, odziani w pełne kombinezony ochronne, złapią ją i zaciągną do sekcji medycznej, gdzie obie z Mahit zostaną bezceremonialnie rozebrane i poddane odkażeniu, usłyszawszy tylko kilka słów na temat tego, dlaczego jest to konieczne. Najwyraźniej z martwego obcego wyrosły pasożytnicze grzyby, które zinfiltrowały jego ciało. W każdej chwili je też mógł spotkać taki sam los.

Trzy Trawa-Morska nie była o tym przekonana. Nie czuła się zinfiltrowana w większym stopniu niż przedtem. Przynajmniej nie przez grzyby. (Kiedy jej uwagi nie odwracały zimne strumienie pełnej chemicznych odkażaczy wody spływające po jej ciele, świetnie sobie przypominała, że zinfiltrowały ją zręczne palce Mahit oraz niezwykła struktura narracyjna jej graficznej powieści. Odkażający prysznic nie miał jednak w sobie nic seksownego. W całym życiu Trzy Trawy-Morskiej to była najmniej atrakcyjna chwila, w której była naga w towarzystwie kogoś, z kim przedtem uprawiała seks).

Poza tym bardziej niepokoiła ją myśl, że w każdej chwili mogą się spóźnić na spotkanie na Peloa-2. Jeśli coś mogło być gorsze niż epidemia pasożytniczych grzybów szalejąca na okrętach Floty, to z pewnością znieważenie nieprzyjaciela przez spóźnienie się na negocjacje. Wtedy pasożytnicze grzyby nie miałyby czasu się rozprzestrzenić, ponieważ większość Floty pochłonęłaby rozpuszczająca statki broń obcych.

Wreszcie woda przestała płynąć i hermetycznie zamknięte drzwi się otworzyły. Trzy Trawa-Morska wypuściła powietrze z płuc. Była bardzo mokra, zmarznięta i czysta. Powinna już być na wahadłowcu. Po drugiej stronie drzwi czekał pierwszy *ikantlos* Dwadzieścia Cykada. Nie miał na sobie kombinezonu ochronnego, miał za to ubranie, co dawało mu znaczącą przewagę nad nimi dwiema.

— Adiutancie — przywitała go ze spokojem Mahit. Nie starała się ukrywać, że jest naga, choćby dłońmi czy ustawieniem bioder. Emisariuszka

zadała sobie pytanie, jak wyglądają zakazy dotyczące nagości w lselskiej kulturze, doszła jednak do wniosku, że to nie jest moment na zastanawianie się nad takimi sprawami. Lselka wskazała na niego, by podkreślić, że nie włożył maski ani kombinezonu ochronnego. — Czy już nie obawiasz się, że emitujemy... co to miało być... zarodniki, tak? — zapytała.

— Uważam, że jest bardzo mało prawdopodobne, byście emitowały cokolwiek, ambasadorko i emisariuszko — odparł. — Tak czy inaczej, już się zetknąłem z tym niebezpieczeństwem. To ja znalazłem ciało technika medycznego. Jeśli istniało realne zagrożenie, już jest za późno.

— Dlaczego nagle niepokoisz nas możliwość zakażenia grzybami? — zapytała Lselka. — Obcy, z którymi rozmawialiśmy, czy może próbowaliśmy rozmawiać, wyglądali na całkowicie zdrowych. Nie było żadnych widocznych grzybów.

— Nie widocznych — poprawił ją Dwadzieścia Cykada. — Wewnętrznych. Jeśli rzeczywiście jakieś mieli. Zaczynam podejrzewać, że mogli je mieć, ale siedziały ukryte wewnątrz czaszek. W tkance mózgowej.

Sprawa wrażeń gotowego mówić na ten temat bardzo długo. Coś sugerowało, że przez pewien czas był sam i dręczył go strach, a teraz miał ochotę mówić o czymkolwiek, jeśli tylko mu się na to pozwoli. Trzy Trawa-Morska przypomniała sobie, że w hydroponicznych ogrodach w sercu statku czuł się jak u siebie w domu. *Protokoły izolacji z pewnością go przerażają* — pomyślała. *Myśl, że mógłby utracić kontakt z tym wszystkim, stać się rozsadnikiem infekcji, sprawia, że sok wypływa z niego jak z łodygi uciętego kwiatu.*

Może wcale nie przestałam być poetką — pomyślała po chwili.

Przerwała mu, nim zdążył wygłosić przed Mahit dalszą część z góry przygotowanego wykładu o grzybach, które najwyraźniej spoczywały ukryte i bezpieczne w ciałach nieprzyjaciół do chwili ich śmierci.

— Pierwszy *ikantlosie*, musimy lecieć na Peloa-2 — oznajmiła. —

Obiecaliśmy, że tam będziemy. Naprawdę nie wiem, co sobie pomyślą obcy, kiedy obiecamy jedno, a zrobimy drugie. Albo co zrobią.

— Wiem o tym — odparł Dwadzieścia Cykada. — Polecę z wami. Będę pilotował wahadłowiec.

— Twoja *yaotlek* nie chce narażać nikogo, kto jeszcze nie zetknął się z zagrożeniem — stwierdziła z chłodnym spokojem Mahit. To było tak, jakby wyciągnęła do niego rękę. *Przykro mi z powodu tego, co robisz ci towarzysze.*

— To prawda — zgodził się Dwadzieścia Cykada. — Ale sam się tego domagałem. Chcę zadać im pewne pytania, ambasadoro. Chcę im to pokazać i zapytać, do czego służy.

Uniósł w dłoni szczelnie zamknięty, przezroczysty sześcian. W jego wnętrzu znajdowała się rozgałęziająca się biała struktura. Jej wygląd kojarzył się Trzy Trawie-Morskiej z bladozielonymi tatuażami kultu homeostatu na jego nadgarstkach. Gdy potrząsnął sześcianem, obiekt zagrzechotał.



Alarm trwał bez końca. Wysokiego, donośnego wycia syreny nie sposób było zignorować. Nie chciało umilknąć. Wszyscy oprócz Osiem Antidotum wiedzieli, jak powinno się postępować w takiej sytuacji. Cały Terminal Nasturcja wypełniła rzeka gnających ku wyjściom ludzi. Alarm rozbrzmiewał w całym kosmoporcie. *Dzieje się coś złego. Dzieje się coś złego i grozi ci niebezpieczeństwo.* Zapewne był to sygnał do ewakuacji. On również powinien się ewakuować, ale nogi przyrosły mu do podłogi. Był niewielką skałą, opływana przez rzekę Teixcalaanlitzlim. Co, jeśli alarm podniesiono dlatego, że Osiem Antidotum uciekł do Miasta, a teraz ludzie spóźnią się na statki, pociągi i tak dalej, ponieważ Miasto go szukało? Co, jeśli to wszystko jego wina?

A co, jeśli tak nie było i to był autentyczny alarm, wywołany prawdziwym problemem? Jeśli nikt nie wiedział, gdzie jest Osiem Antidotum i czy coś mu nie grozi? Tak byłoby gorzej. Postąpił samolubnie i wszyscy poruszali się bardzo szybko. Nie był już skałą, tylko małym kamykiem, niesionym przez ludzki nurt, popychanym i potrącanym przez tych, którzy próbowali dotrzeć do wyjścia. Uciec od hałasu. Ktoś potrącił go plecakiem i chłopiec się przewrócił. Ktoś inny nadepnął mu na brzuch. To zabolalo. Zwinął się w kłębek, jak nauczył go Jedenaście Wawrzyn, i osłonił kark dłońmi. Nie był w stanie krzyczeć. Powietrze z płuc wycisnął mu ktoś, kto przebiegł po nim, jakby chłopiec był częścią podłogi. Kolejna osoba potknęła się o niego i upadła, ale zaraz znowu się poderwała.

Jeśli tu zostanie, stratuja go.

Spróbował sobie przypomnieć to zimne, klarowne miejsce, które odnalazł, gdy był w pokoju dowodzenia w Ministerstwie Wojny. Miejsce, które zostaje po odejściu strachu. Nie wiedział, gdzie go szukać. W tej chwili to miejsce nie istniało.

Czyjaś ręka złapała go za ramię i pociągnęła na nogi.

— Pierdolone dzieciaki. Zginiesz, jak będziesz tu tak leżał...

Osiem Antidotum popędził naprzód, niesiony przez rzekę ludzi. Nie był już przeszkodą, lecz jedną z tysięcy części nurtu. Nie miał pojęcia, kto pomógł mu wstać. Wszyscy byli tak samo zdezorientowani jak on.

Tłum wylał się niczym potop z Terminalu Nasturcja, wracając do Terminalu Tulipan. Osiem Antidotum zauważył, że wszystkie wyjścia do metra zablokowała ochrona lotniska, wspierana przez wciąż rosnącą liczbę Słońc Imperium, o twarzach zasłoniętych złotymi maskami. Wyglądały groźnie, a zarazem uspokajająco. W Terminalu Tulipan z wyciem syreny mieszały się słowa: *Proszę przechodzić do miejsc znajdujących się na zewnątrz. W tej chwili nie ma bezpośredniego zagrożenia dla życia i własności. Proszę na razie nie podejmować prób wejścia do metra.*

Z jednego z wejść do metra wydobywały się smużki białego dymu. Czy

w tunelach podłożono bombę? — zadał sobie pytanie poobijany, przerażony chłopiec, gdy opuścił budynek, podążając z nurtem tłumu, i wyszedł w ciepłe, słoneczne popołudnie Miasta. Nie wiedział, co sądzić o tej możliwości. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać. Metrem kierował perfekcyjny algorytm. Z pewnością zauważyłby bombę, gdyby rzeczywiście tam była, prawda?

Strumień uciekających ludzi zaniósł go poza kordon, którym Słońca Imperium zaczęły otaczać kosmoport, po czym przestał być rzeką i ponownie zmienił się w chaos. Teixcalaanlitzlim stali nieruchomo, niektórzy odłączyli się od tłumu, próbując zatrzymać pojazdy do wynajęcia albo oddalając się szybkim krokiem. Chłopiec usiadł na niskim murku otaczającym ogródek pełen tulipanów. *Terminal Tulipan* — pomyślał. *No jasne*. Bolał go brzuch, ramię oraz połowa twarzy. Dotknął policzka i wzdrygnął się z bólu. Nie zdziwił się, kiedy zobaczył, że ma na palcach krew.

Chciał wrócić do domu.

Ale nie wiedział, jak się tam dostać, jeśli nie może skorzystać z metra. Od Pałacu-Centrum dzieliło go wiele kilometrów. Nie wiedział też, przez jakie dzielnice będzie musiał przejść, jeśli zdecyduje się iść na piechotę. Łącze chmurowe wskazałoby mu drogę, ale to było naprawdę bardzo daleko, a on nigdy dotąd nie próbował wędrować po Mieście jak dorosła osoba. A jeżeli nie potrafi sobie z tym poradzić, jak może myśleć o zostaniu cesarzem? Albo nawet żołnierzem Floty? Był pewien, że żołnierze Floty nie wpadają w panikę, kiedy nie mogą pojechać metrem. Ani nie pragną rozpaczliwie wrócić do miejsca, w którym wszystkie zasady są dla nich zrozumiałe.

Obiecał sobie, że nie będzie płakał, na moment przed tym, nim z jego oczu popłynęły łzy. To oznaczało, że płakał, a zarazem wstydził się tego.

Gdy wreszcie zdołał otworzyć oczy, wytrzeć nos rękawem (zachowywał się jak dzieciak) i rozejrzeć się wkoło, zobaczył przykucniętą przed nim osobę, całą ubraną w biel.

— Cześć, Ekscelencjo — odezwała się Pięć Agat, *ezuazuacat* Jej Promienności. — Jak leci?

Gdyby miał dwa lata mniej — być może nawet dwa tygodnie — padłby jej w ramiona i przytulił się mocno. To jednak byłoby żenujące. Zawstydzające.

— Wszystko w porządku — odparł przez zasmarkany nos.

— To bardzo dobrze — stwierdziła Pięć Agat i usiadła na murku obok niego. — Może odpoczniemy tu minutkę, żeby Słońca Imperium skończyły ustawiać kordon? Później zabiorę cię do Pałacu-Wschód.

To brzmiało niewiarygodnie dobrze. To byłoby łatwe. Osiem Antidotum nie ufał tej propozycji. W tej chwili w ogóle nie był zdolny do zaufania. Czuł się z tym okropnie. Pragnął ufać zaprzysiężonej prawej ręce Jej PromiЕННОści. Do tej pory zawsze jej ufał.

— Co się wydarzyło? — zapytał.

— Bardzo wiele — odpowiedziała Pięć Agat. — O czym chciałbyś usłyszeć?

Przełknął ślinę.

— Czy to moja wina? — zapytał żałośnie.

Pięć Agat klepnęła go w plecy, tylko raz.

— Nie — zapewniła. — Nic z tego nie jest twoją winą, pomijając fakt, że Dziewiętnaście Ciesak kazała mi pojechać po ciebie osobiście, a byłem wtedy raczej zajęta. Dobrze, że zadbałeś o to, by łatwo cię było znaleźć. Trzymałeś się w zasięgu oczu kamer i nie przemieszczałeś się bez potrzeby. Straciłam cię z oczu tylko na kilka minut.

To znaczyło, że nigdy naprawdę nie był sam. Później może się poczuć źle z tego powodu. Ale nie w tej chwili. Miasto go zobaczyło i przysłało mu Pięć Agat. A może zrobiła to Dziewiętnaście Ciesak? Być może to nie miało znaczenia. Czasami trudno było określić, gdzie się kończy cesarz i zaczyna Miasto.

— Przepraszam, że musiałaś po mnie jechać — odezwał się chłopiec.

— Przyjmuję twoje przeprosiny — odparła *ezuazuacat*.

— Hmm. A co jeszcze się stało? Widziałem dym płynący z metra. Czy...

Nie chciał zapytać, czy podłożono bombę. Podobne pytanie uczyniłoby to

realnym.

— Pociąg się wykoleił — wyjaśnia Pięć Agat. — To bardzo skomplikowany problem. Nie mieliśmy takiego wypadku od czasów przed twoim narodzeniem.

— Odkąd wprowadzono nowe algorytmy — domyślił się chłopiec.

— Zgadza się.

Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej, że o nich wiedział. Że sam wyciągnął właściwe wnioski. Przypomniawszy sobie, że *ezuazuacat* ma dziecko. Małego chłopca, ale może to był bystry mały chłopiec i nauczyła się ufać dzieciom, kiedy miały rację. Był w tym sens. (W tej chwili Osiem Antidotum gorąco pragnął, żeby wszystko miało sens).

— Czy były ofiary w ludziach? — zapytał.

— Na razie nie — odpowiedziała, szybko przeglądając dane w łączy chmurowym. — Trochę ludzi zabrano do szpitala, ale nikt jeszcze nie umarł.

— To dobrze. — Odetchnął głęboko. — Czy coś sugerowało, że pojedę pociągiem, który się wykoleił?

Mruknęła z zastanowieniem.

— Być może. Pomogłoby nam, gdybyśmy wiedzieli, w jaki sposób doszło do wypadku. A także co planowałeś zrobić, wybierając się tutaj.

Chciałem być szpiegiem — pomyślał chłopiec. *Odkrywać fakty na własną rękę.* Jednakże jej straszliwe „być może” ścisnęło mu gardło, aż się zakrztusił. Dlatego powiedział prawdę.

— Chciałem zapytać o emisariuszkę Trzy Trawę-Morską kogoś, kto nie pracuje dla Ministerstwa Informacji albo Wojny.

— I pomyślałeś, że znajdziesz kogoś takiego w kosmoporcie?

— Odleciała na „Splocie z Kwiatów”.

— Och. Bystre — przyznała Pięć Agat. Osiem Antidotum spodziewał się, że poczuje się dobrze, usłyszawszy pochwałę, będzie dumny, jak wtedy, gdy Jedenaście Wawrzyn albo Trzy Azymut mówili mu, że zrobił coś jak należy. Ale on czuł się tylko zmęczony. Nastąpiła długa, pełna zamyślenia przerwa.

Wreszcie pociągnął nosem. Głowa bolała go od płaczu. Tego również się wstydził.

W końcu Pięć Agat wstała. Jej białe spodnie pobrudziły się ziemią z ogrodu, ale to najwyraźniej jej nie przeszkadzało.

— Wracajmy do domu, Ekscelencjo — powiedziała. — Ministerstwo Sprawiedliwości i Słońca Imperium mają już wszystko pod kontrolą. Nie ma sensu czekać tu, żeby się przekonać, czy to był problem z sygnałem, czy bomba zapalająca.

Taka jak ta, o której przed wieloma dniami opowiadał jeden z *ixplanatlim* w sali tronowej. Bomba. W metrze. To by było okropne. Gorsze niż wykolejenie się pociągu. Zwłaszcza jeśli to była wina Osiem Antidotum.

— Myślisz, że to była bomba? — zapytał, starając się nadać swemu głosowi spokojne brzmienie.

— Myślę, że będzie lepiej, jeśli oboje zaczekamy na raport Ministerstwa Sprawiedliwości — odparła *ezuazuacat*. — Zaczekaj na prawdziwy problem, Ekscelencjo. Nie przywołuj kłopotów, które nie przychodzą do ciebie same. — Przerwała na chwilę i uśmiechnęła się przelotnie. — Poza tym myślę, że mogę załatwić dla ciebie coś lepszego niż spotkanie z kapitanem „Splotu z Kwiatów”. Co powiesz na rozmowę z samą emisariuszką?

Wahadłowiec odleciał na Peloa-2 z Rojem na pokładzie. Dziewięć Hibiskus obserwowała z mostka, jak silniki statku zapłonęły jasnym płomieniem. Po chwili wahadłowiec zniknął w atmosferze planety. Szesnaście Wschód-Księżycy stała obok *yaotlek*, w miejscu, gdzie powinien być jej adiutant — najgorsze zastępstwo dla Roja, jakie potrafiłaby sobie wyobrazić. Rój, emisariuszka i ambasadorka odlecieli w towarzystwie tych samych czterech

żołnierzy, co poprzednim razem. Pomimo świeżych mundurów wszyscy mocno cuchnęli chlorem i środkami odkażającymi. Wyruszyli na spotkanie z wrogiem. Sekcja medyczna nadal była zamknięta dla każdego poza personelem ratunkowym. Szesnaście Wschód-Księżycza zapewniała, że jej żądania zostały spełnione w wystarczającym stopniu i udało się powstrzymać bezpośrednie zagrożenie epidemią wywołującą anafilaktyczną reakcję grzyba, niemniej kapitanowie floty (a tym bardziej *yaotlek*) nie powinni podejmować zbędnego ryzyka. Oczywiście też Szesnaście Wschód-Księżycza odmawiała powrotu na „Kompresję Paraboliczną”, dopóki istniało niebezpieczeństwo, że sama może roznosić zakażenie. Cóż za szlachetność. Jakże to dla niej korzystne. Z wielką łatwością będzie mogła się dowiedzieć o układzie planetarnym nieprzyjaciela, nim Dziewięć Hibiskus poczuje się gotowa, by jej o nim powiedzieć.

Yaotlek miała ochotę w coś uderzyć. Do czegoś wystrzelić. Znaleźć cel dla dział energetycznych „Ciężarka u Koła”, jakieś miejsce, na które mogłaby spuścić płomienną zagładę. Nic już nie miało sensu. Na Kauraanie wszystko rozumiała. Wiedziała, jak zdobyć zaufanie nieprzyjaciół i wzmocnić lojalność żołnierzy. To ostatnie zawsze potrafiła. A tutaj czekała jak sparaliżowana, a w chłodni martwy kadet leżał obok martwego obcego. Pomimo mocy Floty i stojącej za nią potęgi Teixcalaanu, a także wszystkich jej umiejętności oraz cierpliwości, której wyrobienie w sobie kosztowało ją tak wiele, Rój odleciał na tym przeklętym przez gwiazdy wahadłowcu na upalną pustynię, by zadawać pytania obcym. Początkowo to był jej pomysł, ale teraz żałowała, że na niego wpadła. Gdyby tak się nie stało, miałyby coś do roboty. Mogłaby zlecić swoim ludziom jakieś zadania, rozkazać im robić coś innego, niż tylko czekać i ginąć w rozbłyskach ognia, gdy zaskoczą ich nieprzyjacielskie okręty, wyłaniające się niespodziewanie z czarnej pustki kosmosu.

Mogłaby im dać układ planetarny. W każdej chwili mogłaby wydać taki rozkaz i zmarnować pół legionu na samo dotarcie do celu, a następnie zniszczyć całą planetę pełną żywych, rozumnych istot. Wtedy wojna trwałaby

bez końca. Ale ta wojna miałaby określone cele. Dziewięć Hibiskus mogłaby zapłonąć na niej jasnym blaskiem, stać się pieśnią i opowieścią.

Zadała sobie pytanie, czy uszłoby jej na sucho, gdyby zastrzeliła Szesnaście Wschód-Księżycy, czystym przypadkiem, oczywiście. Zapewne nie. Potrzebowałaby jakiegoś usprawiedliwienia.

— Ile czasu zamierzasz im dać? — zapytała kapitan floty. Dziewięć Hibiskus z żalem doszła do wniosku, że to pytanie nie jest wystarczającym pretekstem do natychmiastowego sądu wojennego i egzekucji. Pragnęli je zadać wszyscy na mostku — Bąbelki, zatopiona w holoprojeckjach sieci łączności Floty, wyświetlanych przez jej łącze chmurowe, a także Osiemnaście Dłuto, który poruszał dłońmi w powietrzu, kierując w ten sposób napędem i nawigacją, a jego twarz była spragniona wszystkiego, co mogłaby mu powiedzieć *yaotlek*.

— Dwie godziny — odpowiedziała. — Więcej, jeśli Rój wyśle komunikat, że wszystko w porządku, co z pewnością zrobi.

— Jesteś z nim blisko związana — zauważyła Szesnaście Wschód-Księżycy. Dziewięć Hibiskus poczuła, że w ogóle już jej nie obchodzi, iż druga kobieta ciągle próbuje wyciągnąć z niej informacje, znaleźć jakiś sposób, by podważyć i zniszczyć jej autorytet. To już naprawdę nie miało znaczenia.

— Służyliśmy razem od samego początku — wyjaśniła. — Pewnie, że jestem z nim związana. Ty byś nie była?

Była całkowicie pewna, że nigdy nie zapomni brzmienia jego głosu, zniekształconego przez interkom w sali sekcyjnej. Staranności, z jaką dobierał słowa. Mówił do niej „Malwo” i „moja droga”, ponieważ był prawie pewien, że umrze, a w takiej sytuacji pewne szczegóły protokołu nie mają znaczenia, nawet jeśli ktoś poświęcił całe życie na to, by stać się perfekcyjnym Teixcalaanlitzlim i perfekcyjnym żołnierzem Floty, mimo że pod wieloma względami nie był nikim w tym rodzaju.

— Byłabym — przyznała zaskakująco Szesnaście Wschód- -Księżycy. To

był cichy dźwięk, zaledwie westchnienie, łód na wewnętrznej powierzchni rozbitej szyby kabiny pilota Odprysku, z której uciekło powietrze. — Jest niezwykle odważny. „Z jego żył wypłynąłby blask gwiazd, płonący niczym świetliki w misie ofiarnej”.

To była „Pieśń o odzyskaniu numer 1”. Najstarsza z nich, stworzona, gdy Teixcalaan był jeszcze tylko jedną planetą. Albo niewiele później. Pierwsze pokolenie w kosmosie, pod rządami Pierwszego Cesarza. Pieśń, której nikt nigdy nie przypisał autora, bo po co ktoś miałby to robić? To była pieśń o tym, co to znaczy być Teixcalaanli. Dziewięć Hibiskus wiedziała, że kapitan floty nią manipuluje, ale nie przejmowała się tym.

— To prawda — zgodziła się. — Dlatego pozwoliłam mu polecieć z emisariuszką. Zasłużył na szansę zapytania tych stworzeń, z jakiego powodu i w imię czego omal go nie zabiły. I czy zrobiły to celowo.

Dźwięk, który wyrwał się z ust Szesnaście Wschód-Księżycy, nie był słowem.

— On, a nie moi polegli? Nie nasi polegli? I nie wszyscy ludzie z Pelloa-2?

— On ma szansę.

Dziewięć Hibiskus nie była do końca pewna, czy to szczęście, czy pech.

— Pragnę w ciebie wierzyć, moja *yaotlek*. Naprawdę. Ale w tej grze uczestniczą moce potężniejsze niż ty i ja.

— Co to za moce, kapitanie floty? — zapytała Dziewięć Hibiskus. Paranoi się spodziewała. Tacy byli wszyscy ludzie z Trzeciej Dłoni, nawet ci, którzy porzucili służbę w niej, przechodząc do kadry dowódczej. Paranoi, ale nie tego rodzaju szczerości. Prośby, żeby pozwoliła sobie pomóc.

Tym razem odgłos, który wydała z siebie Szesnaście Wschód- -Księżycy, był westchnieniem. Wyrażał rezygnację kogoś, kto pogodził się z myślą o powiedzeniu prawdy. Kurwa, ona rzeczywiście była z Trzeciej Dłoni. Dziewięć Hibiskus nie mogła jej zaufać. Nawet, gdyby okazało się, że kapitan floty ma rację, gdyby przedstawiła swą analizę w języku, który *yaotlek* mogłaby uznać za odpowiedni w rozmowie podwładnego z przełożonym,

języku będącym obietnicą wzajemnej ochrony, wyrażaną słowami: *Jestem gotowa zginąć dla ciebie i Nigdy nie wydam ci takiego rozkazu, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne.*

— Te, które przekonały Informację, żeby sprowadziła przedstawicielkę obcego rządu na negocjacje w sprawie pierwszego kontaktu i przerwania ognia. Te, które popchnęły Jej Promiennosc do naklonienia minister Dziewięć Napęd do przedwczesnego przejścia w stan spoczynku. Wszystkie moce, które chciałyby, żebyśmy wplątali się w przeciągającą się wojnę, zamiast odnieść szybkie zwycięstwo.

Dziewięć Hibiskus zwróciła się w jej stronę. Podjęła już jakąś decyzję, choć jeszcze nie wiedziała, jaką.

— Czy chcesz, żebyśmy odbyły tę rozmowę w cztery oczy, kapitan floty?

Starła się, by jej głos zachował łagodne brzmienie, jakby pytała jednego ze swych żołnierzy (jak zapytała Osiemnaście Dłuto, gdy przyniósł jej informację, że znają położenie układu planetarnego obcych). To była oferta: *Czy chcesz, żebym ci zaufała? Żebym zapewniła ci ochronę?*

A Szesnaście Wschód-Księżycy ją odrzuciła.

— Nie, *yaotlek* — odpowiedziała z pełną rezygnacją kurtuazją. — Mogę wszystko powiedzieć tutaj, na twoim mostku. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że w Ministerstwie istnieją frakcje, które wolałyby, żebyś straciła siły w konflikcie na wyczerpanie, zamiast rozpocząć wojnę, którą możemy wygrać. Popierają je również ci, którzy pragną, by Ministerstwo odzyskało władzę i prestiż, jakimi się cieszyliśmy przed niefortunnym incydentem z Jeden Błyskawicą. Czy wiesz, gdzie służyła minister Trzy Azymut, zanim mianowano ją na obecne stanowisko?

— Na Nakharze — odpowiedziała Dziewięć Hibiskus, nie dodając nic więcej. Pewnie, że o tym wiedziała. Trzy Azymut podporządkowała sobie planetę dzięki rozważnemu użyciu niszczycielskiej przemocy przeciwko wszystkim stronnictwom buntowników i wprowadziła do tych stronnictw

swoich ludzi, których sabotaż uczynił je bezużytecznymi. Sama uczyniła coś podobnego na Kauraanie...

Nagle przyszło jej na myśl, że być może nowa minister wojny nie lubi Szesnaście Wschód-Księżycy i Trzeciej Dłoni w równym stopniu jak ona. Mogła też jednak darzyć Dziewięć Hibiskus podobną antypatią z powodu tego, kim była jej patronka. A także za to, że posługiwała się takimi samymi metodami, ale nie zasłużyła sobie na epitet taki jak ta, która roznieca wrogość w najwierniejszych sercach, który włókł się za Trzy Azymut niczym kula na łańcuchu.

— Na Nakharze — zgodziła się Szesnaście Wschód-Księżycy. — Jej Promienność cesarz Dziewiętnaście Ciesak, oby władała tysiąc tysięcy lat, mianowała rzeźniczkę nakharskich umysłów ministrem wojny, twoją patronkę minister Dziewięć Napęd odesłała do domu, na Zorai, a ciebie i mnie wysłała tutaj. Żebyśmy poradziły sobie z tym.

Wskazała na odległy statek z jego trzema wciąż wirującymi pierścieniami i na lśniącą odbitym światłem Peloa-2. Dziewięć Hibiskus spotykała się z epitetem „rzeźniczka nakharskich umysłów” wyłącznie w najbardziej podejrzanych barach Floty, gdzie poezja często bywała niegustowna i recytowano ją tak szybko, że potrafiła zadać druzgocący cios, nim ofiara zdążyła się zorientować, co powiedziano.

— Jestem ci wdzięczna za szczerość, kapitanie floty — oznajmiła. — Co chciałbyś ode mnie usłyszeć? Że podejrzewam, iż wszyscy zginiemy tu jako ofiary pierwszej fali tej wojny? Że jestem przekonana, iż nasza świetlista, pobłogosławiona przez gwiazdy cesarz rozpoczęła wojnę, której wcale nie zamierza wygrać, tylko po to, by oczyścić Flotę z ludzi, którzy mogli być stronnikami Jeden Błyskawicy? Mam ci to powiedzieć, nawet jeśli to nieprawda, abyś przekazała te informacje swojemu podsekretnarzowi?

Szesnaście Wschód-Księżycy wyraźnie się wzdrygnęła. Ten widok ucieszył Dziewięć Hibiskus. Najpewniej nie wiedziała, że *yaotlek* domyśliła się, że nadal służy Trzeciej Dłoni. To był drobiazg, ale zawsze coś.

— Nie — zaprzeczyła kapitan floty. — Z pewnością nie tego chcę. Chcę, żebyśmy naprawdę zaczęli tę wojnę. Żebyśmy zwyciężyli.

Niewykluczone, że nawet nie kłamała. Dziewięć Hibiskus nie miała czasu tego rozstrzygnąć. Dwa Piana nagle wstała zza swej konsoli.

— *Yaotlek* — odezwała się. — Wybacz, że przerywam, ale mamy priorytetową wiadomość od samej cesarz. Jej Promienność pragnie porozmawiać z emisariuszką. I z ambasadorką Mahit Dzmare. Chce, żebyśmy odesłali odpowiedź tak szybko, jak to tylko możliwe. Kurier już czeka.

Z emisariuszką i Mahit Dzmare. Które przebywały na Peloa-2 i dyskutowały z obcymi. Albo umierały z powodu zakażenia grzybami. Bądź też porażenia słonecznego.

— No cóż, w takim razie musimy je tutaj sprowadzić — odparła Dziewięć Hibiskus. Jej Promienność pragnęła porozmawiać z emisariuszką, a ona spełni jej życzenie, bez względu na całą podejrzliwość, którą tak usilnie starała się w niej wzbudzić Szesnaście Wschód-Księżycyca.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

WYSZUKIWANIE W SPISIE INCYDENTÓW — ATAKI PRZY UŻYCIU JĄDROWYCH BOMB ROZPRYSKOWYCH (NA POWIERZCHNI PLANET) (LICZBA?) (musi-zawierać FLOTA)

Od czasu wynalezienia bomb rozpryskowych istnieją trzy znane przypadki użycia tej broni przez okręt Floty wewnątrz układu planetarnego. Żaden z nich nie wydarzył się w ostatnich czterystu latach, choć przed dwoma indykcjami przeprowadzono publiczną debatę na temat tego, czy groźba jej użycia w Układzie Nakhar okazała się skuteczna. Debatę wywołała powszechną niechęć wobec tego pomysłu...

dostęp//INFORMACJA, wyszukiwanie w bazie danych o ograniczonym dostępie wykonane 96.1.1-19A przez kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy, z prywatnego łącza chmurowego przez bezpieczne połączenie na „Kompresji Parabolicznej”

* * *

...WSZYSTKIE USŁUGI METRA W PROWINCJI WEWNĘTRZNEJ ZAWIESZONO DO CZASU ZAKOŃCZENIA DOCHODZENIA PROWADZONEGO PRZEZ MINISTERSTWO NAUKI. WIADOMOŚĆ SIĘ POWTARZA. SPODZIEWAJCIE SIĘ OPÓŹNIEŃ, WYBIERAJCIE ALTERNATYWNE FORMY TRANSPORTU. WSZYSTKIE USŁUGI METRA W PROWINCJI WEWNĘTRZNEJ ZAWIESZONO...

obwieszczenie publiczne, powszechnie wyświetlane w Klejnocie Świata, 96.1.1-19A

Znowu otoczyły ją piasek i upał. Peloa-2 zamknęła się wokół niej niczym dławiący płaszcz. Choć minęło osiemnaście godzin, żar nie osłabł. Peloa-2 powoli obracała się wokół osi. Upływ czasu z pewnością jednak nasilił smród padliny. Mahit spodziewała się tego, ale i tak się krztusiła. Ciało zapomina o bólu. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakich nauczyła się od lselskich terapeutów zajmujących się integracją imago. Ciało zapomina o bólu, ale zapisuje w sobie wzorce: odpowiedzi hormonalne i chemiczne wyzwalacze. Biologiczne sprzężenie zwrotne. To właśnie jest pamięć: ciągłość plus odpowiedź hormonalna.

Znowu trupi smród i paraliżujący upał. Powtarzające się doświadczenie. Mahit zbierało się na wymioty.

Yskandr, byłeś kiedyś na polu bitwy? — pomyślała.

<Nie. Nie zanim byłem z tobą>.

Zatem dodała do ich linii imagowej coś nowego. Nie była pewna, co sądzić na ten temat.

Drugie wejście na płaskowyż wyglądało zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Nadal bała się obcych, z którymi rozmawiały. Była przerażona, mogła to przyznać we własnych myślach, nawet jeśli nie na głos. Ale raz już do nich zaśpiewała i mogła zrobić to znowu. Niemniej skład ich małej ekspedycji się zmienił. Czterech tych samych żołnierzy z porażaczami, ten sam baldachim z najbardziej teixcalaanlijskiej płachty, jaką mogliby ze sobą przynieść, ale na dodatek również Dwadzieścia Cykada, niosący ze sobą groźbę pod postacią pudełeczka ze śmiercionośnym grzybem oraz pytań, które chciał zadać. Obowiązkiem Mahit stało się teraz umożliwienie mu sformułowania ich w języku, który nie był językiem, na powierzchni planety tak gorącej, że Lselka w każdej chwili mogła zemdleć.

Po drodze Trzy Trawa-Morska ciągle się o nią ocierała. Mahit z początku pomyślała, że to coś w rodzaju znaczenia terytorium. *Moje dłonie były w tobie i teraz należysz do mnie.* Wzdrygnęła się przed tą myślą tak gwałtownie, że wywołała bolesne współczucie wspomnień Yskandra o Sześć Kierunku i jego

łóżku. Później jednak uświadomiła sobie, że emisariuszka niemal na pewno robi to nieświadomie. Po prostu szła bliżej niej. Jakaś ściana przestała istnieć. Swobodna intymność. Tak samo było ze wszystkimi dotąd kochankami Mahit. Bez żadnej różnicy. Ciągłość hormonalnej odpowiedzi działała tak samo u wszystkich, Stacyjnych, Teixcalaanlitzlim czy innych. Hormonalna odpowiedź oznajmiała w brutalnym języku ciała: *Dłonie tej osoby były w tobie i cieszyłaś się z tego. Zróbmy to znowu. Tu masz fajne środki chemiczne, które ci pomogą.*

Na szczycie płaskowyżu czekali na nich obcy. Nie ci sami, co za pierwszym razem.

Pierwszy i Drugi ustąpili miejsca dwóm nowym stworzeniom, które Mahit natychmiast nazwała Trzecim i Czwartym. Należały do tego samego gatunku, ale ewidentnie były innymi osobnikami. Oba były tego samego wzrostu — prawie pół metra wyższe od Mahit, nie licząc uszu. Jeden miał liczne łaty, ciemne i jasne, drugi zaś niemal całkowicie szary, z tylko jedną czarną plamą, pokrywającą połowę twarzy. Najwyraźniej czekali już od pewnego czasu. Mahit zadała sobie pytanie, czy cała ich ekipa nie zostanie zjedzona za spóźnienie, nim zdążą powiedzieć choć „cześć”.

Doszła jednak do wniosku, że nie będzie się tym przejmować. Albo obcy ich zjedzą, albo nie. (Czy ten spokojny fatalizm był produktem koktajlu endorfin i oksytocyny w jej krwi, czy po prostu stawali się Yskandrem w większym stopniu niż dotąd? Ta brawura. Łatwość podejmowania decyzji...) Podeszła do Trzeciego i Czwartego, zatrzymując się na samej granicy zasięgu ich pazurów. Żar słońca był jak ciężar przygniatający jej czaszkę. Otworzyła usta, zaczerpnęła pustynnego powietrza, i zaśpiewała cześć, tak głośno i klarownie, jak tylko mogła.

Głos nadal miała ochrypły po poprzedniej próbie. Tym razem będzie trudniej. Ale... Trzy Trawa-Morska podeszła do niej i zaśpiewała razem z nią. Nawet Dwadzieścia Cykada spróbował im pomóc. Śpiewał wysokim tenorem,

nieszczerólnie dźwięcznym. Ale śpiewał. Trzeci i Czwarty po niepokojąco długiej przerwie odpowiedzieli im tym samym dźwiękiem. *Cześć*.

Zabrali się do roboty.

Eskorta ustawiła baldachim i audioprojektor, a także ich nową zabawkę — łącze chmurowe przystosowane do pracy biurowej, z tych, które rozpościerają wokół użytkownika koronę plików oraz kanałów informacyjnych. Mógł nimi jednak manipulować każdy, kto znajdował się w zasięgu rąk. Trzy Trawa-Morska nazywała to trybem planowania strategicznego, ale Dwadzieścia Cykada mówił po prostu „stół strategiczny”. Na takim czymś Flota planowała swoje wojny.

Nie miały czasu na naukę języka, ani nawet na próbę zdecydowania, czy to, czego próbują się nauczyć, rzeczywiście jest językiem.

Fakt: obcy wysyłali sygnały dźwiękowe i rozumieli je.

Fakt: porozumiewali się nie tylko za pomocą dźwięków.

Fakt: sprawiali wrażenie w pełni gotowych pożerać żywcem całe planety dla nędznych łupów. I pozostawiać resztki, by gniły w blasku słońca. Wszystkie te martwe ciała. Wszyscy ci martwi ludzie...

Biorąc pod uwagę to wszystko, nadszedł czas na rysowanie prostych rebusów w holo.

Najbardziej niepokojące nie było to, jak szybko Trzeci i Czwarty zorientowali się, co robią Mahit oraz Trzy Trawa-Morska, i zaczęli rysować pazurami świetliste linie w migocącym od upału powietrzu pustyni, lecz to, że najwyraźniej wiedzieli wszystko, co zrobili poprzedniego dnia Pierwszy i Drugi, a także poruszali się jednocześnie, w ten sam przerażający sposób, jak ich poprzednicy. Trzeci kończył gest rozpoczęty przez Czwartego. Rysował drugą połowę tej samej sylwetki. W dodatku obaj umieli rysować równie dobrze. Równie dobrze i w identycznym stylu.

To było tak, jakby byli dwoma ogniskami w łańcuchu imagowym, tyle że żyjącymi jednocześnie w odrębnych ciałach. Mahit robiło się niedobrze na tę myśl. (Czy jednak ona sama nie była czymś odrażającym według wszelkich

standardów, jakich nauczyła się na Stacji Lsel, gdzie obowiązywały ścisłe zasady dotyczące tego, jak powinny wyglądać długie łańcuchy żywych wspomnień?)

Porozumiewanie się za pomocą rebusów i urywków piosenek było powolne i uciążliwe, zwłaszcza z uwagi na upał. Krążyli wokół pojęcia... właściwie to nie było nic tak konkretnego jak zawieszenie broni. Być może raczej kontrolowany odwrót. Gdyby tylko Mahit potrafiła odgadnąć, dlaczego te stworzenia zrobiły to, co zrobiły, zbliżyłaby się do możliwości poproszenia ich, żeby robiły to w jakimś innym miejscu. Gdzieś daleko od Stacji Lsel (...i od Teixcalaanu, i, och, Darj Tarats zapewne da Aknel Amnardbat jej głowę na talerzu). Nie była jednak ich w stanie zapytać, dlaczego. Nie miała żadnych abstrakcyjnych pojęć poza...

Gdy nadeszła jej kolej, by zacząć następne — zdanie? frazę? fragment komunikacji? — Mahit narysowała sylwetkę człowieka. Jego zarys, z wnętrznościami wylewającymi się na zewnątrz. A na górze sylwetkę obcego — długa szyja i zęby drapieżnika.

— Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł, Mahit! — zaprotestowała pośpiesznie Trzy Trawa-Morska, ale Lselka otworzyła już usta i kształt pieśni-hałas na jej języku był wyrazem z pidżynu znaczącym „Stop”. „Nie”, „nie rób tego”, „nie zbliżaj się”.

Nie zabijajcie nas.

Zapadła cisza. W upalnym powietrzu nie unosiły się żadne dźwięki.

Trzeci uniósł pazurzasty palec. Jego dłonie były bardzo delikatne i Mahit podejrzewała, że pazury się chowają, by umożliwić precyzyjne czynności. Nie rozszarpał Mahit na strzępy. I nie zaśpiewał też nic do niej w odpowiedzi. Narysował obok sylwetki z wyprutymi wnętrznościami drugą. A po niej trzecią. I czwartą. I piątą. Jakby chciał powiedzieć: *Możecie zrobić więcej.*

Jak bardzo mogą się poszerzyć granice pojęcia „ty”?

Czy mogą się stać szerokie jak gatunek?

Stojący po jej drugiej stronie Dwadzieścia Cykada westchnął cicho. Jego

łysa głowa przybrała w blasku słońca kolor gniewnego rózu, a policzki pożółkły i poszarzały.

— W porządku — odezwał się. — Wystarczy już tego.

— Słucham? — zdziwiła się Mahit. On jednak wydobyl już swój pojemnik z grzybami, które mogły być trucizną, i pokazał je Trzeciemu oraz Czwartemu, unosząc je przed sobą niczym łup albo wyzwanie.

Wskazał na pudełko. Spojrzenia obcych skierowały się na nie, jakby przyciągała je grawitacja czarnej dziury. Następnie wskazał na to, co narysowała Mahit. Na ciało zmasakrowanego człowieka. Potrzęsął sześcianem. Biały grzyb w środku, suchy już jak kość, zagrzechotał. Dźwięk był za głośny. (Czy na Pelloa-2 nie było owadów? Czy nie było tu nic poza słońcem i kwarcowym piaskiem?). Między Trzecim a Czwartym doszło do bezgłośnej dyskusji. Znowu ten nieosiągalny język. Otworzyli usta i zaśpiewali razem. Ich głos wnikał aż do kości. Lselce zbierało się na wymioty. Poznawała elementy sygnału dźwiękowego, który wspólnie z Trzy Trawą-Morską zidentyfikowały jako *zwycięstwo*. Coś jednak w nim zmieniono. Przeobrażono. Czula się całkowicie zagubiona. Nie była w stanie rozmawiać z tymi stworzeniami — tymi istotami. To były rozumne istoty. Nie mogła o tym zapominać, nawet w chwili, gdy ze wszystkich sił powstrzymywała się przed zwymiotowaniem całej zawartości żołądka — jeśli nie miała języka. Gdyby była poetką...

(powinnaś się urodzić Teixcalaanli. Cóż za poetką mogłabyś się stać)

...jak Trzy Trawa-Morska, ale w takim razie cała potęga Teixcalaanu przysłała tu niewłaściwy rodzaj opowiadaczy historii. Na cóż mogła im się zdać poezja?

Jeden z żołnierzy mówił coś po teixcalaanlijsku, do Trzy Trawy-Morskiej, szybkim, cichym głosem. Przez przerażającą chwilę Mahit nie była w stanie rozpoznać języka. Wszystkie sylaby były dla niej tylko niezrozumiałymi dźwiękami.

<Oddychaj> rzekł jej Yskandr, tak samo jak poprzednio. Tym razem jednak

mówił po stacynemu, w języku, który przyswoiła sobie z pierwszym zaczerpniętym w płuca haustem tlenu. Znaczenia powróciły. Dźwięki miały sens. Słowa były symbolami. Znowu mogła myśleć w języku.

Emisariuszka dotknęła palcami wewnętrznej powierzchni jej nadgarstka.

— Musimy stąd odlecieć — oznajmiła. Lselka potrzebowała sporo wysiłku, by zrozumieć to zdanie. Teixcalaanlijskie słowa, które nie były tylko narracją i implikacją. *Musimy stać się nieobecne, musimy się stąd usunąć.*

— Słucham? — wykrztusiła z siebie bezużyteczne pytanie.

— Jej Promienność, cesarz Dziewiętnaście Ciesak chce, żebyśmy wysłały jej wiadomość. Obie. Natychmiast. Na pokładzie „Ciężarka u Koła”. Kurier czeka.

— Nie możemy — sprzeciwiła się Mahit. — Jesteśmy... on nie...

Za jej plecami Trzeci i Czwarty podeszli do Dwadzieścia Cykady. Otoczyli go. Zamarł w całkowitym bezruchu, unosząc w rękach pojemnik ze śmiercionośnym grzybem. Absolutnie spokojny. Mahit zadała sobie pytanie, czy to właśnie znaczy być wyznawcą kultu homeostatu. Nie przejmować się tym, że zaraz rozszarpia cię potężni, drapieżni wrogowie.

Pazur uderzył w pudełko. Keratyna stuknęła o plastik.

<Dziewiętnaście Ciesak nie prosiłaby o nas, gdyby nas nie potrzebowała> odezwał się Yskandr wewnątrz jej umysłu. W jego głosie pobrzmiwało przekonanie, że obecna cesarz była warta wszystkich absurdalnych, bolesnych, a w końcu śmiercionośnych kłopotów, w które go wpakowała, gdy jeszcze żył. Pewność, że ją kochał pomimo tego wszystkiego, i w ostatecznym rozrachunku żadne jej uczynki nie mogły tego zmienić.

— Lećcie — odezwał się Dwadzieścia Cykada odległym, dziwnie brzmiącym głosem. — Zabierzcie wahadłowiec i żołnierzy. Myślę, że poradzę sobie sam.

— Co zamierzasz? — zapytała Mahit.

— Przyniosę im kawałek martwego towarzysza — odparł Dwadzieścia

Cykada, nadal całkowicie nieruchomy. — Przekonam się, czy potrafią zrozumieć, dlaczego to zrobiłem. Lećcie.

Trzeci znowu rysował światłem. Fraktalny kształt przypominający grzyb pokrywał wykonany przez Mahit rysunek ludzkiego ciała o wyprutych wnętrznościach.

— Nie wiem, jak powinniśmy postąpić — odezwała się Trzy Trawa-Morska. — Ale Dziewiętnaście Ciesak przysłała mnie tutaj, a przynajmniej mnie nie powstrzymała, i to ona jest cesarzem.

<Ona jest cesarzem> powtórzył echem Yskandr. <Adiutant poradzi sobie sam. Nawet jeśli nie umie śpiewać>.

— Nie... umrzyj tu — odezwała się bez sensu Mahit. Nawet nie lubiła Dwadzieścia Cykady.

— Każdy kiedyś umrze — odpowiedział adiutant. Paszczę Czwartego dzieliło od jego twarzy zaledwie kilkadziesiąt centymetrów.

Każdy kiedyś umrze, ale pamięć żyje dalej — pomyślała Mahit. Odwróciła się i ruszyła za Trzy Trawą-Morską z powrotem do wahadłowca. Czekają na nią Flota i Teixcalaan.



Zostawiły Dwadzieścia Cykadę na pustyni, sam na sam z wrogiem. Ta decyzja przyprawiała Dziewięć Hibiskus o furję, ale właściwie nie mogła się z nią spierać. Zwłaszcza że emisariuszka i Dzmare (szpiegówka i jej faworyta, *ech*, czasami naprawdę miała ochotę wymazać z pamięci wszystkie powiedzenia Szesnaście Wschód-Księżycy) zapewniały, iż Rój sam upierał się, że chce zostać.

Wierzyła im. To było bardzo do niego podobne. Świadomie zaryzykował złożenie siebie w ofierze, podobnie jak za zamkniętymi hermetycznie

drzwiami pomieszczenia w sekcji medycznej, gdzie czekał, żeby się przekonać, czy umrze od wdychania zarodników.

Ale i tak była wściekła. Wolałaby, żeby jej adiutant — jej najlepszy, najdawniejszy przyjaciel — był mniej zainteresowany utrzymaniem całego świata — całego Imperium, całego wszechświata — w stanie równowagi, a bardziej samolubnym ratowaniem własnej skóry. Dla niej, jeśli nawet nie dla nikogo innego.

Gdy emisariuszka i Dzmare poszły w towarzystwie Dwa Piany odpowiedzieć na pilny cesarski komunikat, *yaotlek* wzięła sobie godzinę wolnego i opuściła mostek. (Należało się jej dziewięć, ale kto potrzebuje dziewięciu godzin snu?). Nie poszła do swojej kabiny, lecz udała się prosto do kwatery Dwadzieścia Cykady. Oczywiście, nadal nie zmienił kodu. Drzwi ją wpuściły.

Nad terminalem roboczym, który zwykle stał wepchnięty w kąt, wirowała holograficzna wiadomość. Perfekcyjnie napisane znaki, tak typowe dla adiutanta, mówiły: *Malwo, jeśli mnie tu nie ma, podlej rośliny i nakarm przeklętego przez gwiazdy kauraańskiego kotka.*

Nie będzie płakała. To była wiadomość na wszelki wypadek, nie pożegnanie.

Podlała rośliny. Przy tej okazji odkryła przeklętego przez gwiazdy kauraańskiego kotka. Leżał zwinięty w jednej z doniczek niczym jakieś niezwykle, absolutnie czarne warzywo korzeniowe — które prychnęło na nią ze złością, gdy przypadkowo wylała na nie wodę. Kotka również nakarmiła. Dwadzieścia Cykada zostawił dla niego trochę hodowanego w kadzi mięsa. Najwyraźniej mu smakowało.

Nadal go karmiła — usiadł jej na kolanach, mrucał i jadł mięso z jej palców, co wyglądało niesprawiedliwie ujmująco — gdy nagle łącze chmurowe zawiadomiło ją, że ma priorytetową wiadomość, na paśmie zarezerwowanym dla dowództwa. Odtworzyła ją, nie zastanawiając się ani

chwili. Wszystkich wiadomości przesyłanych na tym paśmie należało wysłuchać.

Jedną połowę pola widzenia Dziewięć Hibiskus zajął obraz Szesnaście Wschód-Księżycy. Druga pozostała pusta. Kapitan floty nie przebywała już na pokładzie „Ciężarka u Koła”. Była na własnym mostku, na „Kompresji Parabolicznej”. *Yaotlek* wiedziała, że powinna poczuć ulgę, ale nie czuła nawet najmniejszej. Pogłaskała kauraańskiego kotka, żeby przestał domagać się głośno mięsa (co okazało się tylko częściowo skuteczne), i zaczęła słuchać.

— *Yaotlek* — zaczęła Szesnaście Wschód-Księżycy, mówiąca ze swego odległego okrętu flagowego. — Ponieważ jesteś moją przełożoną, bez względu na to, jak często się ze sobą nie zgadzamy, a także dlatego, że zdajesz sobie sprawę ze straszliwych możliwości naszych wrogów — zarówno ich okrętów, jak i ciał — uznałam, że mam obowiązek poinformować cię, iż dowiedziałam się o tym, o czym już z pewnością wiesz, a mianowicie że wasz zwiadowca odkrył jeden z układów planetarnych należących do nieprzyjaciela. Nie miej pretensji do swoich oficerów. Wszyscy zachowali całkowitą dyskrecję. Niemniej Dwudziesty Czwarty Legion jest równie sprytny, jak Dziesiąty, i gdy „Róża Grawitacji” zmieniła trajektorię poszukiwań i nagle wróciła do domu, przelatując przez obszary, w których stacjonuje mój legion, stało się całkowicie oczywiste, że znalazła to, czego wszyscy szukamy. Moi zwiadowcy potwierdzili następnie ten fakt.

Przygotowuję grupę szturmową. Jestem gotowa ją poprowadzić, jeśli ofiarujesz mi dowództwo. „Kompresja Paraboliczna” u boku „Ciężarka u Koła” przebije się przez formacje nieprzyjaciela, byśmy mogli zbliżyć się do celu i zniszczyć go całkowicie. Wysterylizować to, co może nas zakazić. Co jest gotowe nas pożreć.

Rozumiem, że być może wolisz zaczekać, aż twoje negocjatorki wrócą z rokowań. Ja również zaczekam. Przez pewien czas.

Moja *yaotlek*, wolę zginąć i zakończyć tę wojnę, nim pozbawi Teixcalaan witalności przez długą walkę na wyczerpanie. Myślę, że zgodzisz się ze mną

w tej sprawie. Co więcej, jesteś bohaterką z Kauraanu i być może uda się nam przeżyć.

Wiadomość się skończyła. Połowę pola widzenia Dziewięć Hibiskus znowu wypełnił ogród Dwadzieścia Cykady.

— Pierdolone krwawiące gwiazdy — warknęła. Kauraański kotek spojrział na nią z urazą i zeskoczył z jej kolan.

Gdy *ezuazuacat* cesarza wysłała wiadomość przez szybkiego kuriera, przechodzi ona przez bramy skokowe jeszcze szybciej niż wiadomości Floty. Pięć Agat powiedziała, że wystarczy pięć i pół godziny, żeby lista pytań Osiem Antidotum dotarła do „Ciężarka u Koła”. Później czas potrzebny, by nagrać odpowiedź, i pięć i pół godziny drogi powrotnej. Kiedy czekali na odpowiedź, kazała chłopcu położyć się spać. Miał jej to za złe, ale doszedł do wniosku, że słusznie mu się to należało. Oddalił się do Miasta i trzeba go było ratować, a do tego prześladowały go myśli o „problemie z sygnałem” i „bombie zapalającej”. Zapytał Pięć Agat, czy ma już jakieś informacje z Ministerstwa Sprawiedliwości, ale wtedy kazała mu położyć się spać jeszcze bardziej stanowczo, zamiast mu odpowiedzieć. To znaczyło, że jeszcze nie otrzymała wiadomości, albo że była to zła wiadomość. Bomba zapalająca.

Osiem Antidotum poszedł spać. Na szczęście nic mu się nie śniło. Z pewnością mogłyby to być tylko wykolejenia pociągów.

Odpowiedź emisariuszki powinna dotrzeć do Pałacu-Ziemia w południe następnego dnia. Tak się jednak nie stało. W porze kolacji również jej nie było. Osiem Antidotum skubał ospale wątróbki z serem na ostro, owinięte w kwiaty lili, mimo że z reguły uwielbiał smażone kwiaty. Był zbyt podenerwowany, żeby jeść. Miał wrażenie, że wszystko dzieje się odrobinę za

szybko. Nie był w stanie za tym nadążyć. Nikt mu nic nie powiedział o tym, co wydarzyło się w metrze, a on nie potrafił wyszukać w łączy chmurowym informacji bardziej użytecznych niż to, co wszyscy mogli znaleźć na kanałach medialnych.

Po pewnym czasie był zmuszony przestać je oglądać. Na widok dymu buchającego z kanału metra robiło mu się niedobrze.

Dopiero tuż po zachodzie słońca Pięć Agat przysłała mu wewnętrzną pocztą pałacową sztyft infofizkowy, chcąc, aby przyszedł do niej i zobaczył odpowiedzi, o które prosił. Najwyraźniej udzieliła mu ich nie tylko specjalna emisariuszka Trzy Trawa-Morska, lecz również Mahit Dzmare. Chłopiec zastanawiał się, czy oznacza to, że kapitan floty miała rację, ostrzegając, iż Informację zinfiltrowała ambasadorka Stacji Lsel. Mahit Dzmare samą swoją obecnością zakłócała protokół i prawidłowe funkcjonowanie świata, czy tego chciała, czy nie.

Gdy dotarł do cesarskiego apartamentu, Pięć Agat czekała na niego, siedząc na jednej z obitych białym aksamitem kanap. Nie była sama. Klapnęła na kanapę, wskazując mu miejsce obok siebie. Oznaczało to, że Osiem Antidotum będzie oglądał przekaz, mając po lewej stronie samą Jej Promienność, a po prawej Pięć Agat. Był tu też synek *ezuazuacat* Dwa Kartograf, który z dumą oznajmił Osiem Antidotum, że ma już siedem lat, całą indykcję, i nie pójdzie spać, dopóki nie będzie chciał. Studiował podręcznik matematyki, leżąc na brzuchu na posadzce apartamentu cesarza. Osiem Antidotum nie sądził, by kiedykolwiek zrobił coś w tym rodzaju w czasach, gdy mieszkał tu jego przodek cesarz. Nie sądził, by kiedykolwiek mógł się dobrze czuć, zachowując się w ten sposób.

— Czy wysłuchamy, co ma do powiedzenia Trzy Trawa-Morska? — zapytała go Pięć Agat. A może zapytała Jej Promienność, trudno było to określić. Nie czekając na odpowiedź, włączyła urządzenie.

To nie była tylko emisariuszka Trzy Trawa-Morska. Towarzyszyła jej Mahit Dzmare.

W holoprzekazie obie wyglądały na bardzo zmęczone. Były spocone i wyraźnie niezadowolone. Znajdowały się w małym pomieszczeniu o metalowych ścianach. Było tam też okno. Przekaz nie zarejestrował wyraźnego obrazu pola gwiazd, które powinno się znajdować za tym oknem, ale Osiem Antidotum potrafił sobie wyobrazić jego wygląd. Nie widział, czy w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze, kto słucha, jak nagrywają wiadomość, ale Dzmare ciągle zerkała w lewą stronę, a Trzy Trawa-Morska bardzo starannie tego unikała, więc zapewne ktoś tam był. Ktoś, kogo obecność niepokoiła przynajmniej ambasadorkę.

Pytania, które zawarł w swej wiadomości do Floty, były proste: *Emisariuszko Trzy Trawo-Morska, dlaczego uważasz, że negocjacje z naszymi wrogami zakończą się sukcesem? I dlaczego postanowiłaś polecieć sama, zamiast wysłać kogoś innego z Informacji?* Tylko te dwa. Chciał usłyszeć, jak się usprawiedliwia, i przekonać się, czy potrafi uwierzyć w to, co próbowała zrobić.

Dźwięczny alt Trzy Trawy-Morskiej brzmiał ochryple, jak u kogoś, kto był na bardzo głośnym koncercie i śpiewał razem z zespołem albo wczoraj wieczorem z wielkim entuzjazmem grał w *amaltzli*. Skierowała wzrok na łącze chmurowe rejestrujące nagranie, tak że Osiem Antidotum miał wrażenie, iż patrzy jej prosto w oczy. Bezpośredni kontakt wzrokowy. Miał ochotę odwrócić spojrzenie, mimo że emisariuszka nawet nie była tu obecna.

— Ekscelencjo — zaczęła w bardzo formalnym trybie. — *Ezuazuacat*, Wasza Promienność. Przesyłam pełne szacunku pozdrowienia z pokładu „Ciężarka u Koła” wam, którzy przebywacie na Klejnocie Świata. Przepraszam za zwięzłość tej odpowiedzi, ale z pewnością zdajecie sobie sprawę, że jesteśmy bardzo zajęte.

Nastąpiła chwila przerwy. Na holoobrazie twarzy Dzmare pojawiło się coś, co Osiem Antidotum uznał za stłumiony śmiech. Tak często reagowali dorośli, gdy byli przerażeni i nie chcieli, żeby dzieci to zauważyły.

— Zadajesz bardzo skomplikowane pytania w małych i prostych pakietach,

Ekscelencjo — ciągnęła Trzy Trawa-Morska. — Z uwagi na brak czasu i inne czynniki nie będziemy z ambasadorką Dzmare w stanie udzielić ci odpowiedzi, na jaką zasługujesz. Niemniej Mahit... — wskazała na ambasadorkę — ...uważa, iż z pewnością powinniśmy odpowiedzieć na twoje pytania, zwłaszcza gdy zadajesz je z tak wielkiej odległości.

— To zrozumiałe, że tak uważa — wyszeptała siedząca obok Dziewiętnaście Ciesak.

— A ty jesteś innego zdania? — zapytała Pięć Agat, jakby chłopiec nie był obecny i nie rozmawiały o nim.

— Och, w sprawie Osiem Antidotum zawsze zdecydowanie zgadzałam się z ambasadorką — odparła Jej Promienność. Chłopiec przypomniał sobie z wielką wyrazistością, co powiedziała, dając mu grot włóczni. *Nie jesteś Sześć Kierunkiem, nawet jeśli twoja twarz wygląda identycznie. Dopilnowałam, byś się nim nie stał.* Po raz kolejny zadał sobie pytanie, co właściwie zrobiła — dla niego, czy może jemu — ale emisariuszka znowu zaczęła mówić. Holoprzekaz odtwarzał się dalej, nie okazując szacunku rozmowie prowadzonej pięć i pół godziny w przyszłości.

— Chcesz się dowiedzieć, dlaczego przyjąłam to zadanie, zamiast wysłać kogoś innego z Informacji. Odpowiedź jest bardzo prosta, Ekscelencjo. Chciałam tego. Nadeszła prośba, a ja bardzo gorąco pragnęłam zrobić coś innego niż siedzieć za biurkiem, niedosypiać i bezskutecznie próbować pisać poezję.

— Trzcino... — wyszeptała z sympatią towarzysząca jej Dzmare. To z pewnością było prywatne imię emisariuszki. To dziwne, że ambasadorka je знаła. A jeszcze dziwniejsze, że się nim posługiwała. Trzy Trawa-Morska machnęła ręką w geście, który zdawał się znaczyć *później*.

— Zapytaj Jej Promienność, co to znaczy chcieć coś zrobić, jeśli tego nie rozumiesz. Jestem pewna, że ogląda tę wiadomość razem z tobą. A jeśli uznasz, że nie rozumiesz, dlaczego to jestem ja, a nie ktoś inny z Informacji,

zapytaj ją, dlaczego mnie nie powstrzymała albo nie wysłała ze mną kogoś jeszcze.

Dziewiętnaście Ciesak roześmiała się w głos, usłyszawszy te słowa. Następnie skinęła głową. Osiem Antidotum był przekonany, że nim manipulują — z odległości więcej niż sześciu bram skokowych i pięciu i pół godzin czasu — ale manipulacja za pomocą mówienia prawdy była czymś niezwykle odświeżającym. Musi się tego nauczyć.

Emisariuszka westchnęła.

— Twoje drugie pytanie jest trudniejsze. Właśnie dlatego jestem tutaj z ambasadorką Dzmare. Ona zna się na językach lepiej ode mnie, nawet jeśli jestem znacznie lepszą dyplomatką. To nie jej wina, jest... — Trzy Trawa-Morska umilkła nagle, jakby połknęła słowo, które zamierzała wypowiedzieć, zastępując je innym. — ...niedoświadczona. Dlaczego sądzę, że negocjacje z naszymi wrogami mogą się udać? Dlatego, że oni mówią, Ekscelencjo. Dlatego, że gdy zorientowałyśmy się, jak produkować dźwięki zrozumiałe dla nich, odpowiedzieli nam. Dlatego... och, dlatego, że wychowałam się na książce Jedenaście Tokarki. Poproś Pięć Agat, żeby dała ci *Listy z nieodgadnionej granicy*. Jesteś dziewięćdziesięcioprocentowym klonem Jego Promienności Sześć Kierunku i jesteś już wystarczająco duży, żeby zrozumieć tę książkę.

Dzmare przerwała jej ostrożnie, jak pływak, który skacze do wody, nie wywołując plusku.

— Dlatego, Ekscelencjo, że emisariuszka lubi obcych. A przynajmniej ludzkich obcych. Tak mi powiedziała, kiedy się poznałyśmy. Ponieważ, w przeciwieństwie do niektórych Teixcalaanlitzlim, uważa, że ludzie, którzy nie są obywatelami Imperium, również mogą zasługiwać na miano ludzi. Z tego punktu nietrudno już dojść do przekonania, że obcy także mogą być... osobami. Nawet, jeśli nie są ludzkimi osobami.

— Mahit — odezwała się Trzy Trawa-Morska tonem bliskim szoku.

Ale ambasadorka mówiła dalej:

— Nie wiem, w jaki sposób się porozumiewają, ale jestem pewna, że mają również inne języki niż ten, którego słowa poznaliśmy, i co najmniej jeden z tych języków jest niesłyszalny dla ludzi. Wiem, że nie przejmują się śmiercią w takim stopniu jak my, ale rozumieją, czym ona jest. Wiem, że wrócili do rokowań po pierwszym spotkaniu. I że nie zaprzestali ataków na Flotę, nawet podczas negocjacji. Wiem to wszystko, ale niewiele więcej. Myślę jednak, że w pewnym sensie mogą być osobami. A jeśli nimi są...

— Jeśli nimi są, Ekscelencjo — przerwała jej stanowczym tonem Trzy Trawa-Morska — mamy szansę wynegocjować z nimi pokój, zanim Flota straci zbyt wiele okrętów. To wszystko.

Z tła dobiegł jakiś szept. Ktokolwiek z nimi był, powiedział coś, za cicho, by chłopiec mógł to zrozumieć. Dzmare sprawiała wrażenie, że się przestraszyła, zrobiło się jej niedobrze albo po prostu jest poirytowana. Wyraz twarzy Stacyjnych często się zmieniał i trudno było zrozumieć znaczenie ich min. Emisariuszka była całkowicie spokojna.

— To wszystko. Koniec nagrania.

Holoobraz zniknął, pozostawiając tylko wnętrze apartamentu cesarza. Leżący na podłodze Dwa Kartograf oderwał spojrzenie od podręcznika.

— Mamo, czy Osiem Antidotum zna algebrę macierzy? Ja znam. Rozwiązałem wszystkie zadania, kiedy oglądaliście ten przekaz.

Osiem Antidotum pomyślał, że dobrze było mieć siedem lat. Wtedy było znacznie łatwiej niż w wieku jedenastu.

Wstał z kanapy. Pragnął zastanowić się nad tym, co przed chwilą widział, nie rozmawiając o tym z Jej Promiennością, Pięć Agat czy z kimkolwiek innym.

— Wiem coś o algebrze macierzy — odpowiedział i usiadł obok Dwa Kartografu. — Mógłbyś mi to pokazać?

Gdy wychodziły z pokoju nagrań, Dwa Piana, oficer łącznościowy „Ciężarka u Koła”, nadal kierowała na nie czujne, oceniające spojrzenie. Trzy Trawa-Morska ignorowała ją z wielką determinacją przez cały czas nagrywania przekazu. To przyszło jej łatwiej niż poradzenie sobie z obserwującymi ją podejrzliwie ludźmi z Floty — przynajmniej nie nosili już kombinezonów ochronnych — oraz wezwaniem na okręt flagowy nie z powodu wezwania samej cesarz, ale po to, by odpowiedzieć na ewaluacyjne pytania następcy tronu. To wyglądało jak rozmowa kwalifikacyjna z jedenastolatkiem, przeprowadzona pod hasłem „czy będziecie kulturowo dopasowane do mojej ekipy”. W dodatku ten jedenastolatek wyglądał identycznie, jak Jego Promienność Sześć Kierunek, kiedy był w tym wieku.

Trzy Trawa-Morska miała ochotę wyjść, wsiąść do wahadłowca, wrócić na Peloa-2 i kazać dzieciakowi poczekać jeszcze kilka godzin z zaspokojeniem ciekawości. Co więcej, jej odpowiedzi byłyby bardziej kompletne, gdyby spędziła więcej czasu na negocjacjach, próbując wytłumaczyć obcym, że ludzie naprawdę nie lubią strat, nawet w najmniejszym stopniu. Ale Mahit potrząsnęła głową, mówiąc: *Jeśli ktokolwiek zasługuje na odpowiedź na pytanie, dlaczego Teixcalaan robi to, co robi, to właśnie to dziecko.*

Emisariuszka przypomniała sobie z wielką wyrazistością i lekkim zawstydzeniem, że Osiem Antidotum urodził się po to, by zostać Sześć Kierunkiem. Miano mu włożyć do głowy lselską maszynę imago, żeby Sześć Kierunek mógł być cesarzem aż po kres wieków. Przypuszczała, że Mahit czuje się z tego powodu winna. (A jeśli rzeczywiście była w większym stopniu Yskandrem Aghavnem niż przed sześcioma miesiącami, zapewne czuła się też pokonana. Sfrustrowana. A także winna).

(Z którym z tych dwojga pieprzyła się ostatniej nocy? Które z nich wzięło tu ze sobą tę niezwykłą, piękną powieść graficzną, w której padały słowa takie jak: „to jest cenne, ale to nie pamięć” i „czy jestem wszystkim, czego potrzebujesz?”)

(Czy rzeczywiście chciała to wiedzieć? Zapewne nie).

Gdy zaczęły udzielać odpowiedzi — gdy usiadła przed holonagrywarką, z Mahit po prawej stronie, gdzie było jej miejsce, a podejrzliwą oficer Floty wciśniętą w kąt — Trzy Trawa-Morska zdecydowała, że powie dzieciakowi tyle prawdy, ile tylko zna, i zobaczy, co się stanie. Warto było... no cóż, jeśli już miała coś zrobić, chciała zrobić to jak należy. Zawsze taka była. Jak już się czegoś podjęła, wykonywała to do końca.

Na mostku czekała na nie Dziewięć Hibiskus.

Trzy Trawa-Morska pokłoniła się jej nisko, składając przed sobą palce. Mahit postąpiła tak samo. Emisariuszka zauważyła kącikiem oka wahadłowiec szybkiego cesarskiego kuriera, który oddalał się ku bramie skokowej, niosąc ich wiadomość. Po chwili zniknął. Zostały sam na sam z wojną.

— Czy są jakieś wiadomości od pierwszego *ikantlosa* Dwadzieścia Cykady? — zapytała Trzy Trawa-Morska. Ciągle o nim myślała. Został na planecie ze swym pojemnikiem z grzybem oraz Trzecim i Czwartym. Musiał sam stawiać czoło upałowi, jak one stawiały czoło wojnie.

— Jeszcze nie — odpowiedziała *yaotlek*. — Od chwili waszego przybycia nie dostaliśmy nic. Ma jeszcze... hmm, pół godziny, zanim wyślę was obie, byście sprowadziły go z powrotem. O ile jeszcze tam będzie.

Trzy Trawa-Morska podejrzewała, że jeśli nie otrzymają sygnału radiowego, będzie to oznaczało, że z Dwadzieścia Cykady nie zostało zbyt wiele. Żałowałyby go. Naprawdę bardzo żałowała. To byłoby marnotrawstwo, w tym sensie, w jakim wytłumaczył jej to na pokładzie hydroponicznym. Skaza w tym, jak powinien funkcjonować wszechświat. Wynaturzenie. Wykorzystanie zasobów w sposób, który nie jest najlepszy ani nawet dobry.

Może ona również przyłączy się do kultu homeostatu, jeśli wróci z tej wojny. Albo przynajmniej trochę o nim poczyta.

— I tak powinniśmy tam wrócić — zauważyła Mahit. — Jeszcze nie skończyliśmy.

— Sytuacja się zmieniała — stwierdziła *yaotlek*. Emisariuszkę przeszyło ukłucie niepokoju. Niedobrze było usłyszeć coś takiego podczas negocjacji.

Tak przynajmniej twierdziły wszystkie znane jej poematy, podręczniki i analizy przypadków.

— Pod jakim względem? — zapytała.

Z twarzy Dziewięć Hibiskus nie sposób było nic wyczytać. Wszystko w niej sugerowało zamknięcie, ochronę, gniew. Było coś, czego nie chciała powiedzieć emisariuszce, ale i tak to robi — zapewne dlatego, że nie chciała, by Ministerstwo Informacji — albo Stacja Lsel — pokrzyżowały jakieś jej świeżo stworzone plany. To będzie skrajnie nieprzyjemne. Trzy Trawa-Morska spróbowała wziąć się w garść. Czuła się bardzo zmęczona.

— Okręt zwiadowczy „Róża Grawitacji” odnalazł jeden z zamieszkanym układów nieprzyjaciela — oznajmiła Dziewięć Hibiskus. — Planetę i jej satelitę.

— I? — zapytała Mahit.

— I czekam, aż Rój wróci i powie mi coś więcej niż „obcy nadal chcą rozmawiać” albo „wszyscy są wypełnieni grzybami i musimy bardzo uważać na ich ciała”. A jeśli nie wróci... no cóż. — Dziewięć Hibiskus na moment upodobniła się do wyidealizowanego obrazu *yaotlek* — niewzruszonej i panującej nad gwiazdami. Trzy Trawa-Morska nigdy dotąd nie widziała u niej podobnej miny. — No cóż, wtedy Flota dowie się, gdzie leży ich serce. Jestem gotowa złapać je w ręce i wyrwać. Jeśli będę musiała.

INTERLUDIUM

Te ciała, ciała na suchą pogodę, ciała z genami wzmacniającymi wytrzymałość, jedno ciało demonstrujące upór i determinację już jako młode, nim uczyniono je osobą; jedno ciało demonstrujące spryt i inteligencję, podstępne ciało, ciało wywołujące śmiech w *My*, którzy byliśmy blisko, gdy kręciło się pod naszymi stopami, bełkocząc w języku młodych, bez przerwy wykrzykujące swe żądania: te ciała, śpiewające w *My*: śpiewające *upał, piasek i niepewność-zainteresowanie* w zamkniętych, lecz nieustępliwych umysłach nieprzyjaciół, przypominających poprzednich. Śpiewały teraz również zaskoczenie, nagle eksplozje fascynacji/przerażenia, dysharmonijne dźwięki. Jedno z ciał milczącego wroga przyniosło nitki twórcy osób. Nie spożyło ich, lecz zamknęło w plastikowym pudełku, jakby były trucizną.

Jakby *My* było trucizną.

Ciała otoczone piaskiem i upałem próbują znaleźć w tym jakiś sens. Nie myśleć w języku ani w ekwiwalencie narracji (dlaczego mielibyśmy to robić?), lecz połączyć ze sobą pojęcia, które dotąd nie mogły występować razem: myśleć *nie są osobami, a jednocześnie wiedzą, jak być osobami i nie chcą zostać osobami; nie chcą śpiewać, fraktalne odbicia powtarzające się w domu-próżni. Odsyłacz: te ciała śpiewały tylko w iteracji pilotażu, a poza tym milczały*. W *My* niesie się echo strachu, mającego postać milczącego nieprzyjaciela: myśl, że można chcieć tylko częściowego śpiewania.

Milczące ciało nieprzyjaciela mówi w bezsensownym języku ust. Gdy sprytne/podstępne ciało wyrywa twórcę osób z jego pozbawionych pazurów rąk, krzyczy krótko, a potem milknie. Zamiera w bezruchu, obserwując czujnie. Uparte/zdeterminowane ciało śpiewa *osoba*, ale sprytne/podstępne ciało śpiewa *nie osoba/nie śpiewa*. Te wątki melodii niosą się w *My* niekończącym się echem.

W tej samej chwili wypełniona zimną jak lód determinacją kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy — niekiedy zwana Wzejściem przez człowieka, który był jej ukochanym nauczycielem; pragnęłaby zaufać mu bez zastrzeżeń, ale dlaczego wysłał ją na tę daleką wojnę, na której zapewne ją zabiją? — wysłała rozkazy swemu legionowi. Dwudziesty Czwarty odpowiada jej, jakby był przedłużeniem jej dłoni i oddechu. Okręty zbierają się, tworzą ofensywną formację i ruszają naprzód, nadal ostrożnie.

Szesnaście Wschód-Księżycy mocno trzyma je na uwięzi. Zaczeka jeszcze trochę, by zastanowić się, dlaczego Jedenaście Wawrzyn wysłał ją tutaj, dopóki *yaotlek* nie dojdzie do niechybnego wniosku, że jeśli chcą uniknąć ciągnącej się bez końca wojny, muszą zacząć od niewyobrażalnego okrucieństwa: Pelloa-2 razy tysiąc.

Wsuwamy się do czarnego domu-pustki i wychodzimy z niego, podobnie jak przechodzimy przez bramy skokowe. Wszystkie miejsca są w pewnym sensie tym samym. Tam, gdzie rozbrzmiewa iteratywna pieśń, czy to w domu-ziemi, czy w domu-statku w mroku między gwiazdami. Myślimy: *zaszła zmiana. Znając zdziwienie ciał przebywających w piasku i upale, myślimy: milczący nieprzyjaciele odwrócili się od twórcy osób i ruszyli w kierunku naszego najbliższego domu-krwi. Myślimy, śpiewamy, krzyczymy ach, ach, ach, tam jest milion ciał, tysiąc milionów, zbyt wiele, by stracić je naraz, tyle ciszy do odbudowania...*

Podobnie jak wszystko na pierwotnym domu-ziemi *My*, gdy postanawiają się ruszyć, ich trzypierścieniowe okręty migoczą na tle gwiazd i wszyscy

rozpoczynają ruch jednocześnie, jedna chmara zmierzająca w różnych kierunkach. Tym razem chcą zająć nieprzyjaciela z flank i odepchnąć go, zanim zdąży się zbliżyć do bezcennego celu. Jeden rój atakujących, śpiewających okrętów ożywa nagle w sercu Siedemnastego Legionu, który próbuje się rozpierzchnąć, ale na próżno, wszystkie jego Odpryski starają się odepchnąć *My*...

...druga chmara zmierza do bramy skokowej, przez którą przybyli milczący nieprzyjaciele, w swych ogromnych, przypominających grotty włócznie okrętach, tylko przez ten jeden punkt dotarli do części domu-pustki, które należą do *My*. Już jakiś czas temu pojawili się ze swymi wydobywającymi zasoby koloniami, a całkiem niedawno z siłą ognia, groźbą i odwieczną, dociekliwą celowością, mogącą należeć wyłącznie do rozumnych osób. Ta chmara dociera w ukryciu do bramy skokowej i zaczyna przechodzić na drugą stronę, jeden okręt i drugi, i trzeci, i czwarty...



Dekakel Onchu budzi się, słysząc alarmy. Ten koszmar nawiedzał ją ostatnio tak często, że trudno jej uwierzyć, iż tym razem to prawda. Obcy rzeczywiście przechodzą przez Bramę Anhamemat. Przewodnictwo przejmują instynkt i szkolenie. Głos linii imagowej daje jej miejsce, by oddychać, ale nie pozwala na hiperwentylację ani panikę. Jest radczynią pilotów. Jej przodkowie doprowadzili Stację Lsel w to bezpieczne miejsce. Jeśli będzie musiała, zaprowadzi wszystkich obywateli Stacji do nowego domu, nawet pierdoloną Aknel Amnardbat. Nadal nie zdecydowała, co z nią zrobić. Musi wymyślić coś, co spowoduje, iż radczyni przestanie być radczynią, i przekona Darja Taratsa, żeby jej w tym pomógł...

Nie chce jednak być zmuszona szukać nowej Stacji, przywoływać tych

wszystkich niepewnych liczb, jak pierwszy pilot w jej linii imagowej, budować świata na nowo. Dlatego ściąga wszystkie wojenne jednostki, jakimi dysponuje Stacja Lsel, i wszystkie inne mniejsze Stacje, w Sektorze Bardzravand, gotowa stawić czoło zagrożeniu.

Gdy jest w hangarze, gdzie jej piloci wsiadają do statków, widzi wysoką, chudą jak szkielet sylwetkę. To może być tylko Darj Tarats. Zatrzymuje go. Żąda wyjaśnień. Po wszystkim, co uczynił i na co naraził Stację, teraz chce wsiąść do statku i uciec? Sam? Ilu radców zdradzi dziś Stację Lsel, porzucając swe obowiązki? Najpierw Amnardbat — kwestia tego, jak Dekakel sobie z nią poradzi, będzie musiała poczekać na czas po tym pożarze. O ile zostanie ktoś, kto będzie się mógł nad tym zastanawiać. A teraz Tarats postanowił opuścić Stację?

— Nie uciekam — zapewnił radca górników. — Lecę do Mahit Dzmare. Musimy zmienić kierunek tej wojny.

Onchu nie jest pewna, dlaczego pozwala mu odlecieć. Nigdy nie zrozumie tego do końca. Być może myśli, że Tarats zginie, próbując dotrzeć do Dalekiej Bramy. Wtedy nic z tego nie miałoby już znaczenia. A może sądzi, że uda mu się osiągnąć to, co zamierza? W takim przypadku będzie miała mniej krwi do uprzątnięcia.



Stół kartograficzny w gabinecie Jedenaście Wawrzynu jest mały. Mieści się na stoliku długości połowy jego biurka. Podsekretarz nigdy go nie wyłącza. Jest jak grająca w tle muzyka. Tysiąc rozwiązanych strategicznych zagadek odtwarza się nieustannie na oczach zajętego pracą mężczyzny. Lubi sobie wyobrażać, że to pomaga mu pamiętać historię. Jego historię, historię jego ministerstwa i jego Imperium. Jedenaście Wawrzyn jest starym żołnierzem

i minęły dziesięciolecia, odkąd musiał rozwiązywać problemy strategiczne na polu bitwy. Starzy żołnierze muszą uważać, by zęby im nie stępiały, a Jedenaście Wawrzyn nieustannie ostrzy swoje na twardym mięsie całych stuleci teixcalaanlijskich kampanii, odtwarzanych przez świetlne punkciki.

W tej chwili odtwarzała się jakaś bitwa sprzed dwóch stuleci, toczona w układzie podwójnej gwiazdy. Jedenaście Wawrzyn właściwie na nią nie patrzył, pomijając tylko chwile, gdy światła przesuwwały się po jego dłoniach.

Historia Ministerstwa Wojny. Historia jego sukcesów. Okazały się one jednak bardzo kruche w obliczu ambicji *yaotleka*, który zapragnął zostać cesarzem, oraz reakcji tej, która zasiadła na tronie po krachu jego spisku. Jedenaście Wawrzyn jest starym żołnierzem. Myśli o Odpryskach, połączonych przez nową technologię stworzoną przez Ministerstwo Nauki, osobliwą, niezwykłą i nie w pełni godną zaufania. W swych najgorszych chwilach, które niezaprzeczalnie pod względem taktycznym są najlepszymi, piloci Odprysków przypominają raczej Słońca Imperium niż jego żołnierzy. Myśli o powoli działającej truciźnie i o zaufaniu.

O tym, za co rozkazał zginąć swej ulubionej uczennicy, nieświadomej tego faktu. O uratowaniu historii i sukcesów Ministerstwa. Odcięciu tego, co mogło paść ofiarą zgnilizny, czy choćby było o to podejrzane. Warto było złożyć w ofierze Szesnaście Wschód-Księżycy, jeśli zabierze ze sobą Dziewięć Hibiskus i da Ministerstwu Wojny zwycięstwo, które pozwoli mu zachować znaczenie w oczach nowej cesarz na cały czas trwania konfliktu.



W Siedemnastym Legionie wszystkie Odpryski połączyły się ze sobą przez wzrok odpryskowy, biofeedback i tę inną rzecz, którą zwą sztuczką odpryskową, gdy w pobliżu nie ma zwierzchników ani ludzi niebędących

pilotami. Sztuczka odpryskowa, która czasami nie jest tylko propriocepcją i bólem dzielonymi między wszystkimi pilotami, lecz również instynktem — szybkością reakcji — a w chwilach grozy bądź piękna także myślą.

To właściwie nie są słowa. Niemniej to forma komunikacji. Ci, którzy to lubią — a tylko niewielki procent pilotów lubi sztuczkę odpryskową — poszerzali granice jej możliwości, recytując do siebie poezję bez otwierania ust.

Recytowali ją z drugiego końca bramy skokowej i słyszeli. Jako zniekształcone echo, wibrację w kościach. Coś z sektora przestrzeni połączonego z tym, w którym się znajdowali, wyłącznie jednym ściegiem bramy i ogromnym tchnieniem zmysłu odpryskowego.

Wszyscy piloci Odprysków w Siedemnastym Legionie — czy lubią sztuczkę, czy nie — giną od rozpuszczającej statki śliny trójpierścieniowych okrętów nieprzyjaciela albo rozbłysków broni energetycznej. Cierpią i giną, a jest ich bardzo wielu.



Daleko stąd, w sektorze teixcalaanlijskiej przestrzeni, w której znajduje się Klejnot Świata, a także krążownik Trzeciego Legionu „Grynszpanowy Płaskowyż”, czterech pilotów Odprysków odbywających właśnie lot ćwiczebny wraca do hangaru, krzycząc i płacząc. Pomagają sobie nawzajem wysiąść ze stateczków i obejmują się mocno, jakby nie mogli znieść myśli, że zostaną sami.

Jeden z nich — naprawdę nie ma znaczenia który — odnajduje nić rozsądku pośród wspólnego łkania i mówi:

— Musimy porozmawiać z minister wojny. Kod Hiacynt. Natychmiast.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dwa Alternator wsunęła mały jak kciuk paralizator do lewego rękawa, a garotę do prawego, po czym uśmiechnęła się, odsłaniając białe, kwadratowe zęby niczym barbarzynka.

— I jak wyglądam? — zapytała. — Czy mogę udawać rodowitą Lselkę?

— Przez jakieś dwadzieścia sekund — odparła Dziewięć Naparstnica, zapinając obcisły kombinezon. — Wyglądasz niedorzecznie. Ale to wystarczy, by oszukać stacyjnych urzędników na dwadzieścia sekund potrzebnych, żebyśmy dostali się z Pięć Żarnikiem do ich przewodów wentylacyjnych.

Dwa Alternator zmarszczyła nos.

— To ty powinnaś próbować ich przekonać. Jesteś była funkcjonariuszką Informacji — stwierdziła. — Zwłaszcza że teraz mi mówisz, iż nie robię tego jak trzeba!

— Zrobiłabym to, ale trochę za dobrze znają moją twarz — odpowiedziała Dziewięć Naparstnica.

— Kiedy godziłam się wykonać tę robotę, nie wspominałaś, że jesteś tu spalona — zauważyła z podejrzliwością w głosie Dwa Alternator.

— Ona ma bardzo charakterystyczną twarz — wyjaśnił Pięć Żarnik, chowając nóż do buta. — Nigdy jeszcze nie ukradłem niczego ze stacji kosmicznej. To będzie świetna zabawa.

fragment z *Punktu podparcia*, pierwszej z serii popularnych teixcalaanlijskich powieści napisanych przez Pięć Włóczęgę, autora urodzonego w Łuku Zachodnim

* * *

Górne panele, trzy na stronę. Pierwszy panel: statek kapitana Camerona zbliża się do dolnej powierzchni teixcalaanlijskiego okrętu wojennego, który widzieliśmy na pierwszej stronie. Okręt jest tak ogromny, że wydaje się nierzeczywisty. Drugi panel: zbliżenie dłoni Camerona zaciśniętych na sterach, widać odbicie pomagającej mu Chadry Mav; widoczny za oknem okręt zmienił się w metalowe tło, przesadnie dekoracyjne, pełne stanowczo zbyt licznych ozdób oraz dział energetycznych przypominających czarne oczy. Trzeci panel: Cameron oraz Chadra Mav przemknęli obok okrętu i znikają niezauważeni w czarnej pustce.

CAMERON (w dymku na trzecim panelu): Tutaj są lepsze gwiazdy. Imperium ich nie widzi, a Stacja nawet nie wpadła na to, żeby ich poszukać.

Tekst graficznej powieści *NIEBEZPIECZNA GRANICA!* tom 10, rozprawdzanej przez małe lokalne wydawnictwo PRZYGODY/SMUTKI na Poziomie Dziewiątym, Stacja Lsel

Osiem Antidotum nic się nie śniło. Bardzo się z tego cieszył. Nie pamiętał, kiedy zasnął, tylko chwilę, gdy się obudził. Słońce jeszcze nie wzeszło. Zasnął w ubraniu, za biurkiem, wspierając twarz na dłoniach, i obudził się po jakiejś godzinie. Kiedy zasypiał, głęboko pogrążył się w zamyśleniu. Powiedział przedtem „dobranoc” Pięć Agat i samej Jej Promienności, po czym udał się do swoich pokojów. Próbował oglądać holofilmy, ale nie mógł się skupić na żadnym z nich. Wypełniały go pomysły i koncepcje, a także groza. Czuł się jak przesycony roztwór, który za chwilę się skryształizuje i wreszcie zrozumie. Prawie mu się udało. Ciągłe wracał do słów Mahit Dzmare: „Nietrudno dojść do przekonania, że obcy także mogą być... osobami. Wiem, że nie przejmują się śmiercią w takim stopniu, jak my, ale rozumieją, czym ona jest”.

A Trzy Trawa-Morska powiedziała: „oni mówią”.

To od początku było oczywiste. Obcy mówili. Mieli statki kosmiczne, broń

i społeczeństwo. Musieli mówić. Być może ważna była nie tyle ta zdolność, ale fakt, że odpowiadali.

Być może uważali, że ludzie również mogą być osobami.

Zapewne nad tym właśnie się zastanawiał, kiedy zasnął. A teraz zrobiło się zupełnie ciemno, w ogóle nie chciało mu się spać, a jedynym, co świeciło w jego pokoju, były lśniące w blasku księżyca oczy kamer. Miasto go obserwowało. Śledziło jego kroki. Tak samo jak Słońca Imperium. Całe Miasto wiedziało, gdzie jest, nawet jeśli był (w pobliżu okropnej katastrofy w metrze, która nie powinna być możliwa) (to mogła być jego wina, może chodziło o niego, może ktoś chciał zrobić mu krzywdę) we własnym pokoju w Pałacu-Ziemia.

Myśl wypełniła go całkowicie, jakby zrodziła się we śnie, choć nie przypominał sobie, żeby śnił. Tak samo jak wtedy, gdy się obudził, rozumiejąc, w jaki sposób kapitan floty Dziewięć Hibiskus wygrała bitwę o Kauraan.

Myśl brzmiała: *obcy mogą być osobami*. A Osiem Antidotum rozumiał, jakiego rodzaju osobami mogą być.

Zaczął od Słońc Imperium, które widziały za pośrednictwem wszystkich kamer miasta. Razem tworzyły skomplikowaną osobę. Były Teixcalaanlitzlim, z pewnością były, ludźmi w takim samym stopniu, jak Osiem Antidotum, ale poruszały się razem, reagowały razem, wszystkie patrzyły przez te same oczy, nie ludzkie, lecz maszynowe. Dzięki temu mogły poruszać się i reagować razem. Wykorzystywały te same algorytmy, co metro, ale były ludźmi, nie kierującą ruchem pociągów SI. Stały się w tym bardzo dobre, odkąd minister nauki Dziesięć Perła wprowadził w Teixcalaanie nowe algorytmy. Wszyscy wiedzieli, że Słońca Imperium patrzą przez oczy kamer, jak jeden umysł złożony z tysiąca obserwujących fragmentów.

A jeśli istniały ludzkie osoby, które potrafiły zrobić coś takiego, mogły mieć wiele oczu i swobodnie poruszać się razem, łatwo można było sobie wyobrazić, że osoby innego rodzaju radzą sobie z tym jeszcze lepiej niż

Słońca Imperium. (Osiem Antidotum omal nie umknął kształt tej myśli, gdy chłopiec z intensywnym zaskoczeniem uświadomił sobie, że nie wie, w jaki sposób zwyczajna osoba może zostać Słońcem Imperium. Stanowczo zabronił sobie myśleć o tym. To nie była odpowiednia chwila). Jeśli ludzkie osoby mogły się nauczyć dzielić myśli i zamiary, inne osoby mogły radzić sobie z tym lepiej, osoby, które nie były ludźmi, które... mogły być w tym znacznie lepsze, jeśli nie przejmowały się zbytnio tym, że któraś z nich umrze. Jak powiedziała Trzy Trawa-Morska „nie przejmują się śmiercią w takim stopniu, jak my, ale rozumieją, czym ona jest”.

Jeśli miał rację — jeśli miał rację choć w takim stopniu, jak w sprawie Kauraanu, prawie całkowitą, poza tylko jednym brakującym elementem — jeśli miał rację, musiał komuś o tym powiedzieć. Nieprzyjaciel poruszał się w określony sposób i w taki sam sposób niszczył linie zaopatrzenia, pojawiał się zdumiewająco szybko w nieoczekiwanych miejscach, co widzieli na wszystkich tych symulacjach na stole strategicznym, dlatego że miał tylko jeden umysł. Jeśli Osiem Antidotum miał rację. A był przekonany, że ją ma.

Osobą, której musiał o tym powiedzieć, była minister wojny. Dlatego, że jeśli wszyscy nieprzyjaciele myśleli razem, jak ogromna, superpotężna grupa Słońce Imperium, to był to powód, dla którego wszyscy stratedzy Floty nie potrafili sobie z nimi poradzić. Musiał natychmiast powiedzieć o tym Trzy Azymut.

Co z tego, że do świtu zostało jeszcze kilka godzin? Świetnie wiedział, jak wygląda w tej chwili Ministerstwo Wojny. Chodził za Trzy Azymut przez całe dwa dni. Jeśli spała, zje lotosy z całego stawu.



Mahit i Trzy Trawa-Morska stały na mostku przed Dziewięć Hibiskus,

zastanawiając się, co teraz powiedzieć. Przynajmniej Mahit się nad tym zastanawiała, kto wie, co myślała emisariuszka, słysząc, jak teixcalaanlijska *yaotlek* wypowiada słowa: „Flota dowie się, gdzie leży ich serce. Jestem gotowa złapać je w ręce i wyrwać”, brzmiące jak żywcem wyjęte z epickiego poematu o podboju, z tak całkowitą swobodą, że przygniatający ciężar teixcalaanlijskich narracji opadł na Lselkę niczym całun, którego nigdy naprawdę z siebie nie zdjęła. Nadal nie dotarły żadne wiadomości od Dwadzieścia Cykady, który został na Peloa-2 ze swym absurdalnym, drogocennym pojemnikiem, i próbował połączyć to, co Mahit i Trzy Trawa-Morska zdołały przekazać obcym — *być może zabijanie nas nie jest w porządku, przynajmniej nie masowe* — z tym, czego pragnął się dowiedzieć na temat tajemniczego grzyba. Mahit rozumiała, dlaczego brak wiadomości wytrąca Dziewięć Hibiskus z równowagi do tego stopnia, że jest gotowa rozważyć zniszczenie całego układu planetarnego.

Czy kiedykolwiek kochaliśmy kogoś do tego stopnia, że chcieliśmy zniszczyć całą planetę w imię zemsty za niego? — pomyślała.

<Może nie całą planetę> odparł Yskandr i Mahit natychmiast pożałowała, że zadała to pytanie. Zresztą co właściwie można było uznać za zniszczenie planety? Czy potrzebny do tego był zabójczy ogień bomb Floty, czy wystarczy, że ogromna i potężna, choć łagodna paszcza Teixcalaanu zamknie się na jej sercu, w którym powinna żyć Stacja Lsel?

— *Yaotlek*, sędzę, że udało się nam poczynić postępy — odezwała się. — Jeszcze kilka godzin albo dni i być może...

— Nie wątpię w to, ambasadoro — odpowiedziała Dziewięć Hibiskus. — Ale nie jesteś jedną z moich żołnierzy, czyż nie? Nie oczekuję od ciebie, byś to zrozumiała. Wszyscy dowódcy docierają kiedyś do punktu, w którym muszą prosić żołnierzy, by im zaufali nie tylko, gdy chodzi o ich życie, lecz również o decyzje, które podejmują. Dziesiąty Legion czekał już bardzo długo.

Mahit miała ochotę powiedzieć jej: *To ty przywlekłaś nas tutaj, żebyśmy*

rozmawiały z dzieckiem z powodu infofiszkowej wiadomości, gdy byliśmy zajęte pracą. Miała te słowa już na końcu języka, mimo że Yskandr ostrzegał ją i próbował je powstrzymać, gdy nagle przerwała im oficer łącznościowy Dwa Piana.

— *Yaotlek*. Wiadomość.

— Dwadzieścia Cykada? — zapytała Dziewięć Hibiskus. Mahit skrzywiła się, słysząc nieskrywaną nadzieję w jej głosie. Zauważyła, że Trzy Trawa-Morska zareagowała tak samo.

— Nie — zaprzeczyła Dwa Piana. — To okręt flagowy Czterdzieści Tlenek, „Mieniące się Sirocco”. Siedemnasty Legion zaatakowano. Myślę, że nieprzyjaciel wie, że poznaliśmy lokalizację jego układu planetarnego. Siedemnasty Legion traci Odpryski. Szybko.



Osiem Antidotum nie zawracał sobie głowy zmianą ubrania. Nie powiedział też nikomu, dokąd się wybiera. Włożył buty — szare, szpiegowskie buty, pasujące do szarych szpiegowskich spodni i szarej, szpiegowskiej bluzy — wyszczotkował włosy i związał je w długi warkocz, a następnie ruszył w drogę tunelami, jakby szedł spotkać się z Jedenaście Wawrzynem, w czasach, nim jeszcze to wszystko zaczęło się na dobre. Choć świetnie znał tunele łączące Pałac-Ziemia z Ministerstwem Wojny i czuł się w nich bezpiecznie, każdy, choćby najcichszy, hałas czy wzbijające się nagle w powietrze obłoczki kurzu sprawiały, że drżał i przyśpieszał nieco kroku. Nigdy nie był tu o tak późnej porze. Spróbował recytować spacerowy wiersz o pałacowej architekturze — *Ile korzeni w ziemi i ile kwiatów pod niebem* — ale poczuł się od tego jak dziecko szukające obrony przed potworami, które mogą ukrywać się pod łóżkiem. Albo w jego ukochanych podziemnych

tunelach. (To było zabawne. Tyle że pod bardzo wieloma względami nie było. Co by się stało, gdyby wybuchła tu bomba zapalająca? Nie chciał nawet o tym myśleć).

Wdrapał się na drabinę, uniósł klapę i wszedł do piwnicy. Nikt tam na niego nie czekał. Chłopiec bardzo się z tego ucieszył. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział, że tu jest, poza tylko samą Trzy Azymut. Pragnął osobiście opowiedzieć jej o swojej teorii. Jej i być może Jedenaście Wawrzynowi, gdyby był obecny — to by dowiodło, jak dobrym uczniem był Osiem Antidotum — ale nikomu innemu. Jeśli jednak chciał dotrzeć do jej gabinetu, nie musząc tłumaczyć się po drodze — nawet o tej godzinie, gdy strażników będzie mniej, ale mogą się okazać bardziej podejrzliwi — musi stać się prawdziwym szpiegiem. Takim, który potrafi się skradać równie dobrze, jak mówić, pamiętać i dochowywać tajemnic.

Oczy kamer go zauważą. To było Miasto. Ale ludzie — pomijając Słońca Imperium — nie byli kamerami. Był mały. Mógł ukrywać się w zakamarkach. Mógł stać się plamą kurzu, światłem odbijającym się w podłodze. Mógł stać się niczym. Albo kimś, kto powinien się tu znajdować. Sprzątaczem albo kadetem na nocnej zmianie, któremu zlecono sprawdzenie korytarzy. Był za młody na każdą z tych ról, ale jeśli wyobrazi sobie, że jest kimś takim... sprzątaczem był łatwiejszy. Ktoś, kto dba o to, by korytarze Ministerstwa Wojny lśniły czystością w promieniach porannego słońca.

Ruszył prosto w kierunku gabinetu Trzy Azymut. Oczy kamer i SI odpowiedzialne za bezpieczeństwo budynku Ministerstwa z pewnością nieraz widziały, jak tędy szedł. Nie będą niczego podejrzewać. Trzymał się wzorca, którego oczekiwał od niego algorytm. A jeśli natknie się na kogoś, kto nie będzie Słońcem Imperium i dojdzie do wniosku, że chłopiec nie powinien tu przebywać, jakoś się wytłumaczy albo ominie go, ze wszystkich sił starając się udawać, że jest sprzątaczem. Myśląc, że nim jest. Wierząc w to. Tak właśnie postępowali szpiegowie w opowieściach.

Ćwiczył wierzenie w to, że jest sprzątaczem, aż wreszcie dotarł do drzwi

gabinetu Trzy Azymut. Nie musiał z nikim rozmawiać. Kiedy zobaczył jakichś pracowników Ministerstwa, chował się w cieniu i czekał, aż przejdą. Teraz jednak, przy wejściu do gabinetu, w samym sercu Sześciu Rozpostartych Dłoni, przekonał się, że miał rację, sądząc, iż minister nie śpi. Zobaczył światło wypływające ze szpary pod drzwiami i usłyszał głosy. Podniesione, nerwowe głosy przenikające do korytarza razem z wąskim snopem światła.

Mógł im przerwać. Musiał powiedzieć Trzy Azymut, czego się spodziewał. Naprawdę musiał.

Znieruchomiał jednak i ograniczył oddychanie do minimum, by żaden dźwięk nie zdradził jego obecności. Wytężył słuch. Okazało się, że gdy ktoś już przyzwyczał się do roli szpiega, bardzo trudno jest mu przestać nim być. A Osiem Antidotum przyzwyczał się do niej bardzo mocno.

(Nie był pewien, czyja to wina. Jego czy jego przodka cesarza, genów czy wychowania, czy może Jej PromiЕННОści, która dała mu ten grot włóczni).

— ...czasu czekać dłużej. Nie mam zamiaru przyglądać się biernie, gdy piloci Odprysków przychodzą do mnie, ledwie mogąc powstrzymać krzyki, by nadać sens swym słowom. Cokolwiek tam się dzieje, zabijają żołnierzy Floty, i jeśli nie uwolnimy ich od propriocepcyjnego łącza, cały wszechświat dowie się o tym z pełną jasnością.

To była Trzy Azymut. Osiem Antidotum nigdy nie słyszał, by mówiła z taką złością i ożywieniem. Wyjaśniała coś, co z pewnością było sztuką odpryskową. Najwyraźniej wszyscy piloci Odprysków byli połączeni ze sobą i słyszeli, gdy któryś z nich ginie. Jakby byli Słońcami Imperium, tylko w jakiś sposób uszkodzonymi. Słońca nie słyszały, gdy któreś z nich ginęło. A przynajmniej Osiem Antidotum nic o tym nie wiedział. Jak to możliwe, że nie doszła do takich samych wniosków jak on? Nie wpadła na to, że obcy, z którymi walczyli, również są ze sobą połączeni? Zrobił krok ku drzwiom, gotowy przerwać im i wyjaśnić swój pomysł.

Ale nagle usłyszał głos Jedenaście Wawrzynu.

— Wysłanie okrętów na tę planetę z pewnością narazi naszych ludzi na szalejącą na niej grzybową infekcję. Naprawdę chcesz to zrobić, Trzy Azymut?

Chłopiec znieruchomiał. Nie otworzył drzwi. (Nic nie wiedział o żadnej grzybowej infekcji. Emisariuszka i ambasadorka Dzmare nie wspomniały o niczym w tym rodzaju).

— Wystarczająca liczba jądrowych bomb rozpryskowych wyeliminuje nawet najbardziej nieustępliwe grzyby — odparła minister wojny. — Nie wydałam rozkazu zwykłego ataku, podsekretarzu. To ma być całkowite unicestwienie. Usuniemy ze wszechświata jedną z ich kolonii i przekonamy się, do jakich negocjacji będą skłonni, kiedy im zademonstrujemy, czego potrafimy dokonać.

Na moment zapadła straszliwa cisza. Osiem Antidotum zastanawiał się nad tym, co stanie się z atmosferą, gdy wypełnią ją radioizotopy. Musiał cofnąć się myślą daleko. Teixcalaan nie robił już takich rzeczy. To było zbyt... Planeta nie wracała już później do normy. Przeczytał na ten temat cały kodeks, dwa lata temu, gdy jeden z jego nauczycieli doszedł do wniosku, że chłopiec jest już wystarczająco duży, by dowiedzieć się o okrucieństwach, które Teixcalaan rozsądnie przestał już popełniać.

Wreszcie Jedenaście Wawrzyn przerwał ciszę:

— Minister Trzy Azymut, jako podsekretarz Trzeciej Dłoni i formalnie rzecz biorąc twój ekspert od spraw wywiadu wojskowego, jestem zmuszony stwierdzić, że negocjacje nie są tym, co otrzymasz, gdy Flota zbombarduje całą planetę, wywołując na niej radioaktywną zimę. Możesz liczyć na... hmm, kapitulację, odwrót... albo obwarowanie się nieprzyjaciela. W tym ostatnim przypadku wojna na tym małym punkciku pośród pustki może potrwać dziesięciolecia.

— Chcesz mi powiedzieć, że to fatalny pomysł, podsekretarzu?

— Nie — zaprzeczył Jedenaście Wawrzyn. Osiem Antidotum potrafił sobie wyobrazić jego uśmiech. Z pewnością wyglądał on tak samo, jak w chwilach,

gdy chłopiec prawidłowo rozwiązywał większą część zagadki strategicznej. Wyrażał zadowolenie, lecz również zarozumiałość. — Myślę, że wcale nie musi być fatalny, minister Trzy Azymut. Po prostu jest mało prawdopodobne, by doprowadził do negocjacji. Ale ty nigdy za nimi nie przepadałaś, czyż nie? Z pewnością nie na Nakharze. Wolisz skuteczność.

— Czy to źle?

— Niekoniecznie.

Osiem Antidotum pomyślał, że powinny go złapać mdłości. Tak się jednak nie stało. Żołądek był zbyt daleko od niego, by miał szansę zareagować. Wszystko wydawało się bardzo odległe i przerażające. Minister wojny mówiła o zamordowaniu całego układu planetarnego, a Jedenaście Wawrzyn zgadzał się z nią. Jeśli tak właśnie miały się sprawy we Flocie, żałował, że kiedyś pragnął w niej służyć. Pragnął kierować tańcem statków w pokoju symulacji. Rozwiązywać wszystkie zagadki związane z dowodzeniem. Było mu przykro, że nie pomyślał o tym, iż piloci Odprysków mogą krzyczeć, gdy giną ich towarzysze.

Jeśli krzyknie, usłyszą go.

Nie zrobił tego.

— Wszystko będzie musiało odbyć się jawnie — mówił Jedenaście Wawrzyn. — Na rozkaz samej cesarz, bez żadnych sztuczek odpryskowych dla przyśpieszenia sprawy.

— Zatem Jej Promienność nadal nie wie o skutkach ubocznych łącza propriocepcyjnego. To właśnie chciałeś mi powiedzieć, nieprawdaż, podsekretarzu?

Odpowiedział jej oschły śmieszek.

— Zapewne tak. Wolałbym zatrzymać jak najwięcej takich informacji w Ministerstwie Wojny, minister Trzy Azymut. Po tym, co próbował uczynić Jeden Błyskawica, nasza pozycja znacznie osłabła. Nie dawajmy Jej Promienności pretekstów do zlecenia Informacji albo Nauce spraw, które powinny należeć do nas.

— Czasami rozumiem — zaczęła Trzy Azymut z cichym westchnieniem, od którego wszystkie włoski na ramionach chłopca stanęły dęba — dlaczego Dziewięć Hibiskus woli Informację od waszej Trzeciej Dłoni. Tak czy inaczej, zrobimy to jawnie, zgodnie z twoją radą. To nie będzie trudne. Wiadomość jest już przygotowana.

— Podziwiam cię, minister Trzy Azymut. Bardzo cię podziwiam. Najlepsza z moich uczniów jest gotowa oddać życie, by zapewnić, że ten plan da nam to, czego potrzebujemy...

— Szesnaście Wschód-Księżyca?

— Tak jest. U boku *yaotlek*. Dwa okręty flagowe powinny wystarczyć, by zrobić w szeregach nieprzyjaciela wyłom potrzebny, żeby bombowce mogły się przedostać. Nie sądzisz?

Osiem Antidotum słyszał już wystarczająco wiele. Wyobraził sobie, ilu bomb potrzeba, by zabić wszystkich na planecie, i ilu mieszkańców mogła mieć. Nie chciał, by to się wydarzyło, nawet jeśli wszyscy dzielili ze sobą jeden umysł, jak przypuszczał. To nie byłaby tylko... śmierć garstki pilotów Odprysków, skłaniająca innych pilotów do płaczu. Jak to jest, gdy ktoś poczuje śmierć całej planety?

Dzmare powiedziała, że obcy rozumieją, czym jest śmierć, nawet jeśli nie przejmują się nią w takim stopniu jak my.

To jednak nie znaczyło, że nie przejmują się nią w ogóle.

Odwrócił się i ruszył z powrotem ku tunelowi. Opowie komuś o swojej teorii. Z pewnością to zrobi. Ale tym kimś będzie cesarz Dziewiętnaście Ciesak. Nie może pozwolić, by wysłała rozkaz, którego chciała Trzy Azymut.



— Czego chce kapitan floty Czterdzieści Tlenek? — zapytała Dziewięć

Hibiskus bardzo spokojnym, opanowanym głosem. Głosem kogoś, kto planuje atak. Mahit nie była pewna, czy rozumie to pytanie (czego poza zwycięstwem mogłaby chcieć kapitan floty dowodząca atakiem?). Ale Dwa Piana najwyraźniej je zrozumiała.

— To nie jest alarm dla wszystkich okrętów, *yaotlek*. To prośba o informację. Czy zrobiliśmy coś, co mogłoby sprowokować intensyfikację ataków nieprzyjaciela, i czy masz dla nich jakieś bardziej szczegółowe rozkazy? Ich oficer łącznościowy Dziewięć Lód-Morski czeka na naszą odpowiedź na otwartym kanale.

Nim Dziewięć Hibiskus zdążyła odpowiedzieć, odezwała się Trzy Trawa-Morska.

— Zanim odpowiesz, *yaotlek* — rzekła głosem cichym, nagłym i równie spokojnym, jak głos głównodowodzącej — sprawdź, czy inne legiony w twojej szóstce również zaatakowano albo czy zmieniły pozycję. Podejrzewam, że to nie jest izolowany incydent.

Dziewięć Hibiskus przeszła ją oceniającym spojrzeniem, tak intensywnym, że Mahit miała ochotę ugiąć się pod jego ciężarem.

Emisariuszka nie wzdrygnęła się jednak.

— Zrób to, Dwa Piana — rozkazała Dziewięć Hibiskus, jakby usatysfakcjonował ją ten brak reakcji. — Skontaktuj się ze wszystkimi kapitanami.

Nie trwało to długo. Najwyraźniej taki rozkaz wydawano często. Dwa Piana uniosła ręce nad głowę i jej dłonie zatańczyły w holograficznym obrazie Floty, przetwarzając nadchodzące informacje we wzorce światła, stylizowane odbicie stanu każdego legionu, jego ruchów oraz liczby zaatakowanych okrętów.

Nawet Mahit widziała, że Dwudziesty Czwarty Legion — ten, którym dowodziła Szesnaście Wschód-Księżycyca — rozpoczął powolny, niepowstrzymany ruch w kierunku układu planetarnego obcych. W tej samej chwili albo wkrótce później nieprzyjaciel zdwoił intensywność ataków na

Siedemnasty Legion, znajdujący się najbliżej układu. Przyczyna i skutek, jasne jak słońce.

— Świetnie rozumieją, co to są środki odwetowe — odezwała się Lselka.
— Z całym szacunkiem, *yaotlek*, zdaję sobie sprawę, że nie jestem Teixcalaanli ani jedną z twoich żołnierzy, i wiem, że twoi ludzie giną, ale jeśli obcy tak reagują na sugestię ataku, zastanów się, co zrobią, kiedy ten atak naprawdę się zacznie.

— Co więcej — dodała Trzy Trawa-Morska z okrutnym spokojem — wątpię, byś wydała Szesnaście Wschód-Księżycy rozkaz zbliżenia się do układu. Mam rację?

Mahit nigdy dotąd nie widziała, by Teixcalaanlitzlim, którzy nie poznali dobrze Stacyjnych, uśmiechali się na ich sposób. Teraz jednak Dziewięć Hibiskus podkuliła wargi, odsłaniając zęby.

<To nie jest uśmiech> poinformował ją Yskandr. <To groźba. Wyraz niezadowolenia. Bardzo teixcalaanlijska mina, chociaż my też uśmiechamy się w ten sposób, kiedy chcemy komuś zademonstrować, z jaką przyjemnością zadamy mu ból>.

Bardzo podobnie — zgodziła się Mahit.

— Masz rację, emisariuszko — odpowiedziała Dziewięć Hibiskus, nadal odsłaniając zęby. — Ale z drugiej strony masz motywy, by wzbudzić we mnie nieufność do mojej kapitan floty, czyż nie? Obie je macie. Szpiegówka i jej faworyta.

— To ty zwróciłaś się z prośbą o pomoc do Ministerstwa Informacji, *yaotlek* — odparła Trzy Trawa-Morska. — Wydajesz mi rozkazy, podobnie jak wydajesz je kapitan floty.

— A skąd mam wiedzieć, emisariuszko, czy powodem ataku na Siedemnasty Legion są manewry kapitan Szesnaście Wschód-Księżycy, a nie coś, co ty albo ambasadorka Dzmare powiedziałyście na Peloa-2?

— Nie możesz tego wiedzieć — odparła Lselka. — My też tego nie wiemy.

Trzy Trawa-Morska obrzuciła ją szybkim jak błyskawica spojrzeniem,

wykrzywiając usta w pełnym ironicznego zdumienia grymasie, takim samym jak wtedy, gdy palce Mahit zgięły się nagle w niej. O, tak. Identyczną minę miała, gdy obserwowwała, jak Lselka udaje barbarzynkę przed ministrem nauki Dziesięć Perłą, na pierwszej imprezie, na której były razem. Taka sama przyjemność, przewrotne zdumienie i radość, coś w rodzaju zaborczego pożądania. Mahit nie chciała w tej chwili myśleć o tym, co czuje na ten widok. Nie miała czasu na nic równie potężnego. To zakłóciłoby jej wizję świata.

— Ambasadorka ma rację — oznajmiła Trzy Trawa-Morska. — Nie obiecałabym ci niczego, czego nie mogłabym zagwarantować. To może być nasza wina. Albo wina Dwudziestego Czwartego Legionu. Albo czegoś innego, czego nawet nie potrafimy sobie wyobrazić. Nasi nieprzyjaciele są bardziej obcy niż jakikolwiek inny gatunek, o którym słyszałam.

— W takim razie po co cię tu sprowadziłam, emisariuszko? — zapytała Dziewięć Hibiskus, krótko i gwałtownie. — Skoro nie potrafisz zrozumieć tych obcych?

— Po to, żebym spróbowała — odpowiedziała Trzy Trawa-Morska.

Wtem odezwała się Dwa Piana, która najwyraźniej miała już dość filozofii, negocjacji i barbarzyńców.

— „Mieniące się Sirocco” nadal czeka na odpowiedź — oznajmiła tak głośno, że Mahit omal się nie wzdrygnęła.

— Zwróćcie się do cesarza — zaproponowała pośpiesznie Lselka. — Jeśli musi dojść do katastrofy, niech rozkaz nadejdzie z samego serca Teixcalaanu.



Osiem Antidotum miał uprawnienia, o których nawet nie wiedział. Nigdy dotąd nie oczekiwał, że z nich skorzysta. Przed dzisiejszym rankiem — bo nadszedł już ranek, choć zapowiadająca deszcz szarość w znacznym stopniu

maskowała wschód słońca — nie spodziewał się, że będzie kiedyś szedł przez Pałac-Ziemia i rozkazywał zamkniętym drzwiom, by otworzyły się przed nim, ponieważ był dziedzicem cesarskiego tronu, a jego łącze chmurowe było drugim najsilniejszym kluczem w całym Imperium.

Chyba że ograniczono jego uprawnienia, ponieważ był dzieckiem. Był pewien, że ta granica gdzieś się znajduje, ale do tej pory do niej nie dotarł. Nie znalazł się w punkcie, w którym coś by go zatrzymało — Miasto, SI odpowiedzialna za bezpieczeństwo pałacu, czy choćby durne drzwi wymagające fizycznego klucza. Chciał, żeby ktoś go zatrzymał, choć to pragnienie było okropnie głupie i niesprawiedliwe. To by znaczyło, że zdjęto odpowiedzialność z jego barków, że ktoś inny, ktoś dorosły, wziął na siebie ciężar powstrzymania planetarnej eksterminacji. Ale z drugiej strony dorośli byli u steru i nie robili w tej sprawie absolutnie nic.

Pałac-Wschód otworzył się przed nim niczym rozchylający płatki kwiat. Osiem Antidotum dotarł do imperialnych komnat, przeszedł obok posterunku Strażnika Cesarskiego Kałamarza, minął korytarz prowadzący do swoich pokojów, a po nim kolejne drzwi, aż wreszcie dotarł do apartamentu cesarza. Przygotował się do otworzenia ostatnich drzwi, przez które nigdy dotąd nie przeszedł — tych, które prowadziły do prywatnej sypialni Dziewiętnaście Ciesak, gdy nagle na jego bark opadła czyjaś dłoń. Chłopiec krzyknął z zaskoczenia, zapominając o wszystkim, czego go uczono o stawianiu oporu porywaczom. Zamarł w bezruchu, zastanawiając się, czy czeka go kara za bezprawne wtargnięcie do apartamentu.

Oczywiście to nie był porywacz, lecz Jej Promiennosc cesarz, cała odziana w biel. Bose stopy pozwalały jej kroczyć bezgłośnie po podłodze.

— Mały szpieg — rzekła. To nie było oskarżenie. Raczej zaproszenie do wyjaśnienia, co go tu sprowadziło.

— Wasza Promiennosc — zaczął i odwrócił się. Jej dłoń nadal spoczywała na jego barku. Starał się nie skulić ani nie odsunąć. — Wybacz, że niepokoję cię o tak wczesnej porze.

— Wcale nie czujesz się winny — odparła Dziewiętnaście Ciesak. — Zostawiłeś ślad we wszystkich systemach bezpieczeństwa pałacu. Bardzo mocno chciałeś mnie zaniepokoić. A teraz powiedz mi dlaczego.

Jej uwaga była jak pole grawitacyjne, przyciągające wszystkich.

— Byłem w Ministerstwie Wojny — zaczął. Chciał opowiedzieć to jak trzeba już za pierwszym razem. Bez wahania i podpowiedzi. — Podśluchałem rozmowę minister wojny z podsekretarzem Jedenaście Wawrzynem. Mówili o zrzuconiu jądrowych bomb rozpryskowych na całą planetę zamieszkaną przez naszych wrogów. Zrobią to. Poproszą cię o aprobatę. Będą chcieli, żebyś zatwierdziła zabicie całej planety i zatrucie jej, by nic już nigdy na niej nie wyrosło.

— I przyszedłeś tutaj... żeby mnie ostrzec?

Jej twarz niczego nie wyrażała. Osiem Antidotum czuł się całkowicie zagubiony. Dlaczego nie reagowała? Dlaczego nie chciała tego powstrzymać?

— Tak — podjął próbę. — Chciałem ci też powiedzieć, że myślę, iż obcy, nasi wrogowie, mogą mieć jeden wspólny umysł, jak Słońca Imperium, i zabójstwo całej planety zamieszkaną przez nich byłoby tak okropne, że nie mogę o tym myśleć, Wasza Promienność.

— To rzeczywiście jest okropne — przyznała Dziewiętnaście Ciesak. — Jadłeś już śniadanie? Usiądź ze mną na minutkę. Mam ciepły chleb z manioku z serem. Twój przodek cesarz go lubił. A ty?

Osiem Antidotum również go lubił. To była jedna z jego ulubionych potraw. Maniokowa powłoka otaczająca lepkie wnętrze z częściowo stopionego sera, jeszcze ciepłe, prosto z pieca. W tej chwili nie mógł jednak nawet myśleć o jedzeniu. Dręczyły go mdłości. Nie rozumiał reakcji Jej Promienności. Usiadł jednak obok niej za stołem przy jednym z ogromnych okien, wziął sobie leżący na półmisku chleb z manioku i zaczął go rozrywać palcami.

— Dlaczego ich nie powstrzymasz? — zapytał wreszcie. Dziewiętnaście Ciesak westchnęła bardzo cicho. Jej barki nieco opadły. Odgryzła kawałek maniokowego chleba i przełknęła go. Chłopiec gapił się na nią.

— Nie będę ich powstrzymywała, ponieważ uważam, że to dobry pomysł — odparła w końcu.

Osiem Antidotum oderwał kolejny kawałek chleba i zgniótł go w palcach.

— Dlaczego? — zapytał, wściekając się na nagle płaczliwy ton swego głosu. — Oni są osobami. Nie są ludźmi, ale są osobami. Naprawdę tak uważam. A przed chwilą powiedziałaś, że zabójstwo całej planety jest okropne. Słyszałem to.

— Tak powiedziałam — przyznała Dziewiętnaście Ciesak. — I rzeczywiście w to wierzę. To okropny uczynek i straszliwa decyzja. Ale od tego właśnie są cesarze, Osiem Antidotum. Od podejmowania straszliwych decyzji. Wolałabym... ech, powiem ci prawdę, mój mały szpiegu. Kiedyś będziesz musiał sam to robić, więc prawda lepiej ci się przysłuży. Wolałabym zwycięstwo osiągnięte nadmiernym kosztem, demonstrację potęgi Teixcalaanu, zniszczenie pięknej planety pełnej żywych osób... tak, obcy zapewne są osobami, ale nie takimi, jakie potrafilibyśmy zrozumieć... aż zostanie na niej tylko pył i śmiercionośny deszcz. Wolę jeden taki straszliwy czyn niż długą wojnę na wyczerpanie, powodującą wciąż nowe ofiary po obu stronach i ciągnącą się bez końca, niczym wiecznie ropiejąca rana na granicy Imperium. — Nie jadła śniadania. Spróbowała przełknąć ślinę, jakby miała tak samo sucho w gardle, jak Osiem Antidotum. — Czasami lepiej jest wypalić ranę — dodała.



Dziewięć Hibiskus syknęła przez zęby. Mahit miała ochotę się wzdrygnąć albo osłonić Trzy Trawę-Morską własnym ciałem, na wypadek, gdyby propozycja zapytania Jej Promienności o pozwolenie rozpoczęcia wojny na pełną skalę była złamaniem etykiety tak głębokim, że *yaotlek* mogłaby...

Lselka nie wiedziała, co właściwie mogłaby zrobić. Kazać rozstrzelać jej kochankę? Oddać ją pod sąd wojenny? Wsadzić do jednego z tych pięknych Odprysków i kazać jej poprowadzić atak?

Bardzo by chciała przestać sobie wyobrażać najgorsze możliwe zakończenia tej historii. Nie dostrzegała jednak zbyt wielu lepszych, a Yskandr stał się tylko milczącym, pulsującym bólem w jej nadgarstkach, oczekiwaniem, które było nie tyle cierpliwością, ile przygotowaniem do jakiejś rozpaczliwej akcji, mającej wszystko uratować w ostatniej chwili.

— Przekaż Czterdzieści Tlenek, że ma odpowiedzieć ogniem na atak, ale nie ścigać nieprzyjaciela — oznajmiła jednak Dziewięć Hibiskus. Dwa Piana skinęła krótko głową na znak potwierdzenia. Mahit starała się oddychać w przerwach między zdaniem wypowiedzianymi przez *yaotlek*. Nie mogła jednak za nią nadążyć.

— Na razie ma go nie ścigać — podjęła Dziewięć Hibiskus. — Ale musi być gotowa na mój rozkaz. Wyślij do Miasta szybkiego kuriera. Chcę, żeby cesarz wsparła mnie swoim głosem. — Obejrzała się na Trzy Trawę-Morską. — Zawsze twierdziłam — ciągnęła głosem tak cichym, że Mahit ledwie ją słyszała — że gdy chodzi o działania kontrwywiadowcze poza Flotę, Informacja jest lepsza od Trzeciej Dłoni, ponieważ agenci Informacji już są zepsuci. Nie ma ryzyka, że nagle zachwycą się barbarzyńcami i zapomną, na czym polegają zadania Floty. Mają już to wszystko za sobą. Nie spodziewałam się jednak, że przywieziesz ze sobą barbarzynkę, która umie się posługiwać teixcalaanlijskim protokołem imperialnym dla udowodnienia prawdziwości swych twierdzeń.

— Ambasadorka Dzmare jest kimś wyjątkowym — odparła Trzy Trawa-Morska. Mahit zadała sobie pytanie, która z nich ją obraziła i czy powinna się tym przejmować. Wygrała, nieprawdaż? Na krótką chwilę. Kupiła im trochę czasu, który pozwoli Dwadzieścia Cykadzie kontynuować negocjacje. Czasu na innego niż typowa dla teixcalaanlijskiej Floty niepowstrzymana żądza

totalnego zniszczenia, pięknego i pozbawionego niuansów. Eliminacji niepewności i niezrozumienia. A wszystko to prowadziło do straty.

<Straty dla kogo?> wyszeptał Yskandr. Mahit nie była pewna albo nie potrafiła mu tego powiedzieć. Być może zresztą już to wiedział. (Straty dla niej. Wyeliminowania przestrzeni językowej, pozwalającej osobie takiej jak ona wyobrazić sobie Teixcalaan, ale pozostać Stacyjną. Świadomości, że gdy ktoś wypowiada słowo „świat”, może mieć na myśli coś innego niż Teixcalaan).

— *Yaotlek* — odezwał się nagle jeden z obecnych na mostku oficerów. — Przez bramę skokową za nami przeszedł jakiś statek...

— Nieprzyjacielski? — zapytała Dziewięć Hibiskus.

Jeśli statek obcych przeszedł przez Bramę Anhamemat, od strony przestrzeni stacyjnej — pomyślała Mahit z nagłą, zimną jak lód klarownością — to znaczy, że nieprzyjaciel już zniszczył Lsel i zabił wszystkich moich rodaków, a ja o tym nie wiedziałam. Byłam tutaj, rozmawiałam z ich zabójcami i o niczym nie wiedziałam.

Jeśli będzie oddychała, nie uniknie hiperwentylacji. Jeśli się poruszy, myśl o zagładzie stanie się prawdą, będzie rzeczywista, a ona będzie musiała dalej oddychać.

— Nie — padła odpowiedź. Lselka wypuściła powietrze z płuc tak gwałtownie, że omal nie umknęło jej to, co powiedział później. Zalała ją nagła, zdwojona przez imago fala ulgi, która jednak zniknęła, gdy tylko się przez nią przetoczyła, zostawiając po sobie jedynie drżenie.

Oficer przełączył sygnał zbliżającego się statku na pełne audio i na mostku „Ciężarka u Koła” zabrzmiał głos Darja Taratsa, lselskiego radcy górników, pierwszego z sześciu. Tarats domagał się, by pozwolono mu wejść na pokład i porozmawiać z Mahit.

Wypalić ranę.

Osiem Antidotum nie wiedział, jak na to odpowiedzieć. Jak ubrać to w słowa. Jak miał wytłumaczyć Jej Promiенności, że się myli? Jak mogła mylić się tak bardzo?

— Nie rozumiem — zdołał wykrztusić. — Mówiłaś mi... mówiłaś mi, że mój przodek cesarz pragnął Teixcalaanu, który mógłby mieć kolejnych osiemdziesiąt lat pokoju, a teraz chcesz zrobić coś takiego? To...

— Mów dalej — odrzekła Dziewiętnaście Ciesak. — Powiedz, co myślisz.

— To zagłada całej planety — podjął gniewnie Osiem Antidotum, nie przelewając ani jednej łzy. Wróciło do niego zimne, klarowne miejsce poza strachem. — Nic mnie nie obchodzi, czy wypalisz w ten sposób ranę. Czy myślisz, że to może się udać? Gdyby ktoś zamordował mój dom, walczyłbym z nim aż po kres życia.

— Myślę, że rzeczywiście mógłbyś tak postąpić — odparła Dziewiętnaście Ciesak. Nie reagowała na jego słowa. Nie potrafił odgadnąć, co musiałby powiedzieć, żeby przebić się przez jej spokój. — Też bym tak zrobiła, gdybym miała jedenaście lat. Być może nawet dwa razy więcej. Ale to było, nim jeszcze poznałam Sześć Kierunek. Musimy wykraczać myślą poza siebie. Poza własne pragnienia. Tego się od niego nauczyłam. Tego się nauczyłam, obserwując, jak sprawował rządy i w jaki sposób je zakończył. To nieprzyjemna decyzja, Osiem Antidotum. Sprawia mi ból. Przykro mi, że musiałeś dowiedzieć się o niej potajemnie. Wolałabym, żebyś był przy niej obecny. Żebym mogła odpowiedzieć na twoje pytania.

— Powiedziałaś. Wtedy, w mojej sypialni... — Próbował przypomnieć sobie jej słowa. Ich dokładne brzmienie. Byłoby mu łatwiej, gdyby Jej Promiенność wyrecytowała wtedy wiersz, ale tego nie zrobiła. Powiedziała tylko... — ...że Teixcalaan Sześć Kierunku był imperium wystarczająco potężnym, by żyć w pokoju. Jak możemy dojść do tego punktu... od zabicia planety?

Dziewiętnaście Ciesak lekko wzruszyła jednym ramieniem.

— Właściwie nie jesteś do niego podobny — odpowiedziała. — A może jesteś podobny do niego z czasów, kiedy był dzieckiem, ale nie znałam go jako dziecka. Tylko mi o tym opowiadał. No wiesz, cieszę się, że jesteś inny. Wtedy, w twojej sypialni, mówiłam szczerze. Wolę mieć sprytnego, irytującego i interesującego następcę niż tępaka. Nawet jeśli przyszedłeś do mojego apartamentu i próbujesz wzbudzić we mnie poczucie winy, bo chcę zabijać naszych wrogów tak brutalnie, by zostawili nas w spokoju. Kiedyś zrobiliśmy to razem z Sześć Kierunkiem. Dałam ci holo z tej kampanii.

— Zabiliście całą planetę?

— Miasto. Ale to w sumie bez różnicy, mały szpiegu. Na jedno wychodzi. Potrafił to sobie wyobrazić. Oboje siedzieli na koniach, ściskając w dłoniach okrwawione włócznie. Zastanawiał się, jak można zabić miasto, nie niszcząc jednocześnie całej planety, i czy dowie się tego, kiedy dorośnie.

— Ciągłe mi powtarzasz, że nie jestem moim przodkiem — zauważył. — Wiem o tym. Jestem klonem. Większość ludzi to klony! Nie ma w tym nic dziwnego.

Jej Promienność położyła dłoń na jego nadgarstku. Jej skóra była ludzka i ciepła w dotyku, tak samo jak skóra Osiem Antidotum.

— Jesteś w pełni sobą — zapewniła. — Ale mogłeś się stać kimś innym. A ja tego nie chciałam.

Był pewien, że Dziewiętnaście Ciesak próbuje odwrócić jego uwagę od straszliwej wiedzy, że wiadomość zamknięta w sztyfcie infofiszkowym zapewne zmierza już do kosmoportu, by najszybszy z szybkich kurierów przeniósł ją przez serię bram skokowych. Tylko pięć i pół godziny drogi od Klejnotu Świata do zagłady planety. Nie potrafił się jednak powstrzymać przed zadaniem pytania. Zadławiłby się nim, gdyby tego nie zrobił.

— Kim mogłem się stać?

Dziewiętnaście Ciesak zamknęła oczy. Powieki miała niepomalowane. Właściwie nigdy się nie malowała. Osiem Antidotum podejrzewał, że białe stroje i tron słonecznych włóczni są dla niej wystarczającą dekoracją.

Nieumalowana i chuda. Wszystkie wiersze, które znał, zapewniały, że cesarze nigdy nie śpią. Być może rzeczywiście tak było. Wreszcie się odezwała, nadal nie otwierając oczu.

— Twój przodek cesarz Sześć Kierunek kochał w swoim czasie wiele osób — zaczęła, jakby wygłaszała wstęp do epickiego poematu. — Mnie, swoją ochronkową siostrę Osiem Pętlę, na której cześć nadano ci imię i która jest teraz twoją prawną opiekunką, a także wiele innych. Jedną z tych osób była ambasadorem Stacji Lsel.

— Mahit Dzmare? — zdziwił się chłopiec.

— Nie — zaprzeczyła Dziewiętnaście Ciesak. — Gwiazdy, nie, spotkał się z nią tylko... chyba trzy razy. Przynajmniej o tylu wiem. Kochał jej poprzednika, mały szpiegu. Yskandra Aghavna. Ja również... Och, Yskandra łatwo było kochać. To było tak, jak wypić za dużo i nie przejmować się tym. Albo jak ruszyć z grupą szturmową na drugą stronę wzgórza, nie wiedząc, czy czeka tam na nas pułapka.

— Ale on umarł — zauważył Osiem Antidotum, zastanawiając się, czy powinien złożyć kondolencje. Dorośli i ich miłości zawsze wydawały mu się bezsensowne. To, o czym opowiadała cesarz, w ogóle nie kojarzyło mu się z miłością.

Dziewiętnaście Ciesak skinęła głową. Oczy nadal miała zamknięte.

— To prawda. Umarł. Szczerze mówiąc, pomogłam go zabić. To było tak, jakbym zabiła miasto albo planetę. Zważywszy wszystko razem, nie ma żadnej różnicy. Chcesz się dowiedzieć, dlaczego to zrobiłam?

— To głupie pytanie, Wasza Promiennosc.

Roześmiała się. Jej śmiech zabrzmiał niepewnie i osobliwie.

— Oczywiście. Specjalnie tak zrobiłam. Ale chcesz to wiedzieć, prawda?

— Tak.

Rzeczywiście, chciał. A właściwie nie chciał, ale obawiał się, że będzie gorzej, jeśli ta wiedza zaskoczy go w jakimś późniejszym momencie.

— Dlatego, że na Stacji Lsel, na której urodzili się Yskandr i Mahit, istnieje

technologia pozwalająca umieścić umysł poprzednika w umyśle następcy. Mahit nazywała to dzieleniem się. Dzięki tej technologii wspomnienia mogą żyć wiecznie. A Yskandr kochał twojego przodka cesarza. Nie jestem pewna, czy barbarzyńca, jakim był, mógł wierzyć w Teixcalaan Sześć Kierunku, ale wierzył w samego cesarza. Twój przodek był już stary i umierał powoli. Dlatego ambasador zaoferował mu jedną z tych maszyn. Nazywają je maszynami imago. Można zapisać w nich swoją osobowość i umieścić ją w nowym ciele niczym ducha. I mieć osiemdziesiąt razy po osiemdziesiąt lat pokoju.

Osiem Antidotum poczuł nagle ciężar w żołądku, mimo że nawet nie zjadł śniadania.

— Ciało powinno być jak najbliższej spokrewnione, prawda? — zapytał głosem słabym jak u małego dziecka. Nie dbał o to w tej chwili. — Najlepszy byłby klon, gdyby mógł go stworzyć.

— Tak — zgodziła się Dziewiętnaście Ciesak. — Klon świetnie by się nadawał. Jesteś bardzo podobny do niego. Pomijając te punkty, w których się od niego różnisz.

Chłopiec poczuł w ustach nagłą suchość. Spróbował przełknąć ślinę i omal się nie zakrztusił.

— I kim bym się wtedy stał?

Jej Promienność przestała obserwować wewnętrzną powierzchnię swych powiek i spojrzała na niego. Miał ochotę odsunąć się jak najdalej.

— Nie wiem. Nie byłbyś sobą. Ale nie stałbyś się też Sześć Kierunkiem. Byłbyś czymś, czego nie potrafiłabym zaakceptować. Ani ja, ani cały Teixcalaan.

Dziewiętnaście Ciesak była w stanie zaakceptować myśl o zabiciu całej planety, jeśli dałoby to jej choć niewielką szansę powstrzymania wojny. Osiem Antidotum nie rozumiał tego. Nie chciał tego zrozumieć. Cieszył się, że nie jest duchem, jakąś istotą złożoną z dwóch części, sobą i swoim przodkiem połączonymi w jedną całość. Był sobą i nie chciał zrozumieć, jak to możliwe,

że Dziewiętnaście Ciesak była gotowa zabić przyjaciela, by uratować dziecko, a jednocześnie zamordować planetę, być może nie osiągając nic poza zamordowaniem planety.

— Nie jestem nim — oznajmił. — Nie jestem Sześć Kierunkiem.

— Nie jesteś — zgodziła się Jej Promiennosc. — Jesteś dziedzicem tronu Osiem Antidotum. Nikim więcej ani nikim mniej.

— Pozwoliłaś, żebym pozostał sobą? — zapytał, chcąc się upewnić.

— Dałam ci szansę, którą chciano ci odebrać.

— Zatem jestem sobą i uważam, że się mylisz, Wasza Promiennosc. Mylisz się, zgadzając się na plan Trzy Azymut. Teixcalaan, który budujesz, nie jest moim Teixcalaanem.

Przekonał się, że jest w stanie wstać, odwrócić się plecami do swojej cesarz i wyjść z pokoju z wysoko uniesioną głową, zostawiając niezjedzone śniadanie.



— Otwórzcie ogień do tego okrętu — rozkazała Dziewięć Hibiskus z nerwową determinacją, zwykle towarzyszącą nierozsądnym decyzjom, które jednak wydają się lepsze niż brak decyzji. Znała ten sposób myślenia. Sądziła, że wyrosła z niego na długo przed tym, zanim została kapitanem floty, a tym bardziej *yaotlekiem*. Takie myślenie niszczyło możliwości, wytrącało z równowagi całe światy. Dwadzieścia Cykada byłby rozczarowany.

Ale Dwadzieścia Cykady tu nie było.

— Nie rób tego — odezwała się Mahit Dzmare z twarzą wykrzywioną w niezrozumiałym grymasie żalu, gniewu czy jakiegoś innego bezsensownego barbarzyńskiego uczucia. — *Yaotlek*, proszę, to jest Darj Tarats, jedna szóstka naszego rządu.

Bardzo prosta prośba. Dziewięć Hibiskus mogła odmówić jej spełnienia. Wszystko, przed czym ostrzegała ją Szesnaście Wschód-Księżycy — infiltracja Ministerstwa Informacji przez Stację Lsel, ingerencja stacyjnych interesów w coś, co powinno pozostać wyłącznie sprawą Floty — najwyraźniej było prawdą. Świadczyła o tym obecność tego barbarzyńcy, który przyleciał tu na małym stateczku i zażądał rozmowy z Mahit Dzmare. A teraz ambasadorka Dzmare błagała o darowanie mu życia, ponieważ był jakimś tam członkiem lselskiego rządu.

— Wstrzymać ogień — rozkazała *yaotlek* Pięć Ostowi, który zdążył już wycelować w stateczek. — Dlaczego nie miałabym wystrzelić, ambasadorko? To nie byłaby pierwsza lselska jednostka zniszczona przez ogień krzyżowy podczas tej wojny.

Ambasadorka zapewne o tym nie wiedziała. Wzdrygnęła się nagle. Jej twarz niczego nie ukrywała, ale Dziewięć Hibiskus nie potrafiła rozpoznać uwidaczniających się na niej uczuć.

— Poprosił o rozmowę ze mną — odpowiedziała Mahit Dzmare. — Honor nakazuje mi go bronić, ratować życie współobywatela...

— Poza tym to nieuprzejme strzelać do kogoś, kto oznajmił, że przybywa w pokoju — dodała Trzy Trawa-Morska całkowicie pozbawionym wyrazu tonem.

Dziewięć Hibiskus gorąco pragnęła, by emisariuszka się myliła. I ambasadorka również. Wolałyby być takim rodzajem dowódcy, który nie przejmuje się podobnymi opiniami.

Ale nim nie była.

— Sprowadźcie go na pokład — rozkazała Pięć Ostowi. — I przyprowadźcie do mnie. W kajdankach. To podejrzane, że zjawił się akurat w tej chwili, emisariuszko i ambasadorko. Bardzo podejrzane.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Teixcalaan zawsze prowadził politykę przyjmowania uchodźców uciekających przed naturalnymi katastrofami w ich ojczystych układach planetarnych i zapewniania im schronienia, bez względu na to, czy te układy były sojusznikami, czy wrogami Imperium. Natomiast ci, którzy uciekają przed katastrofami wywołanymi przez rodaków — wojną albo prześladowaniami — zawsze byli poddani silniejszym rygorom oceny oraz integracji (szczegółowo proceduralne — patrz *Kodeks Postępowania Sądowego 1842.A.9*). Biorąc pod uwagę te zasady, opiszcie odpowiednie postępowanie teixcalaanlijskiego gubernatora planety w Łuku Zachodnim skonfrontowanego ze „statkiem-światem” domagającym się przyznania statusu uchodźców: dwadzieścia tysięcy ludzi w ruchomej stacji kosmicznej orbitującej wokół największej planety w zarządzanym przez niego układzie. Przedstawcie cytaty broniące wybranego kursu akcji.

zadanie na corocznym dla kandydatów do wyboru politycznej ścieżki kariery teście umiejętności po zakończonym kursie w Ministerstwie Sprawiedliwości

* * *

Bez względu na wszystkie korzyści, jakie dają nam maszyny imago — zachowanie umiejętności oraz ciągłość instytucjonalnej wiedzy, konieczną do utrzymania funkcjonalności zamkniętego i pozostającego w stanie równowagi społeczeństwa, jakim jest Stacja Lsel oraz otaczające ją Stacje podrzędne, pomimo bardzo wysokiego poziomu śmiertelności związanego z narażeniem na promieniowanie kosmiczne oraz nieuniknionymi wypadkami związanymi

z życiem w próżni, pamięć imagowa nie zdołała przechować informacji o tym, dlaczego Stacyjni przybyli do Sektora Bardzravand i postanowili tu pozostać. Nie pamiętamy też, skąd przybyliśmy ani dokąd zmierzaliśmy. Po czternastu pokoleniach łańcucha żywej pamięci, nasze najstarsze linie imagowe zachowały tylko sny o liczbach oraz pewność, że jeśli raz nam się udało, możemy dokonać tego znowu. Żywa pamięć nie zachowuje powodów decyzji, tylko umiejętności. Niemniej raz już to zrobiliśmy. Czy moglibyśmy odwrócić tamtą decyzję, odpiąć Lsel od studni grawitacyjnej i wyruszyć w dalszą drogę?

fragment wstępu do książki *Historia przyszłości napisana przez pilota: statki-światy i Stacja Lsel*, autorstwa emerytowanego pilota Takana Mnala, opublikowanej 291.3.11-6D (według kalendarza teixcalaanlijskiego)

Pierwsze słowa wypowiedziane przez radcę Darja Taratsa na mostku „Ciężarka u Koła” — gdzie przyprowadzono go po skuciu mu rąk kajdankami zapewne zwykle zakładanymi postawionym przed sądem wojennym czy innym osobom, które złamały zasady obowiązujące we Flocie — brzmiały:

— Nie po to cię tu przysłałem, Dzmare.

Powiedział to po teixcalaanlijsku, co oznaczało, że chciał, aby wszyscy się dowiedzieli, że Mahit jest jego agentką i nikim innym. Trzy Trawa-Morska pomyślała, że to — pomijając bardzo wiele innych zarzutów — nieuprzejme.

Jego twarz była wychudła jak u trupa i bardzo ekspresyjna. Najwyraźniej uważał, że zakucie w kajdanki przez teixcalaanlijskich żołnierzy jest jedynie drobnym uchybieniem dla jego godności. Nie przejmował się protokołem ani zasadami uprzejmości. Nie kłaniał się nikomu, nie zwracał uwagi na nikogo poza Mahit, która stała obok emisariuszki. Wszelki kolor zniknął z jej policzków niczym woda wsiąkająca w pustynny piasek. Nie odpowiadała, ale to w niczym nie pomagało. Tarats nie przestawał gadać. Trzy Trawa-Morska czuła, że uwaga wszystkich oficerów obecnych na mostku skupia się na

Mahit, a w związku z tym również na niej. Byli jak stado polujących na ryby ptaków, czekających na błysk srebrnych brzuchów.

Za ich plecami, na strategicznej holomapie pokazującej położenie wszystkich jednostek Floty, okręt flagowy Szesnaście Wschód-Księżycy coraz bardziej zbliżał się do planety obcych. Nie zatrzymywał się. Przyśpieszał, zmierzając w wybranym kierunku, a mimo to wszyscy na mostku patrzyli na Mahit Dzmare.

Przerazasz mnie, Mahit — przemknęło przez umysł Trzy Trawy-Morskiej. Ta myśl podziałała na nią elektryzująco. Strach i pożądanie bardzo mocno spląły się ze sobą w jej sercu. Być może zawsze taka była. A może to była wina Lselki. Gorąco pragnęła mieć czas, by się o tym przekonać. Niech to pierdolone gwiazdy, nie było przyjemnie przekonać się, że chciała czegoś więcej niż tylko ująć z życiem z tego zamieszania i przynieść zaszczyt swemu Ministerstwu oraz Imperium...

Mahit nie odpowiedziała na pierwszą obrzydliwą insynuację Taratsa, ale Stacyjny mówił dalej:

— Wysłałem cię tu po to, żebyś trzymała tę wojnę daleko od nas, Dzmare. I co zrobiłaś? Nic. Ani jednej wiadomości. Pierwsze, czego się dowiedziałem, to to, że groza, którą miałaś ściśle połączyć z Teixcalaanem, przelała się przez Daleką Bramę i zmierza w kierunku Stacji. Onchu poświęca życie naszych pilotów, żeby nie pozwolić obcym zbliżyć się do Lsel. A co ty robisz?

— Negocjuję — odpowiedziała słabo Mahit na moment przed tym, nim Pięć Oset przystawił do jej szyi pistolet impulsowy.

Trzy Trawa-Morska przypomniała sobie, co powiedziała jej ambasadorka, kiedy tuliły się do siebie w ciemności. Miała być szpiegiem. A nawet gorzej. Sabotażystką. Rozkazano jej spowodować, by wojna ciągnęła się bez końca i zniszczyła Teixcalaan przez wycieńczenie i marnotrawstwo. Rozkazy wydał ten człowiek, który teraz odwdzięczał się za uratowanie mu życia, narażając jej życie.

Gdy Trzy Trawa-Morska już podjęła decyzję, zawsze szła na całość. Bez

dalszego zwlekania. Kiedy wybrała Informację na teście umiejętności. Gdy postanowiła przyjąć pozycję łączniczki kulturowej ambasadorki Lsel. Gdy zdecydowała, że jej zaufa. Kiedy postanowiła odpowiedzieć na prośbę Dziewięć Hibiskus i przylecieć tutaj. Całkowicie, bez zastrzeżeń i bez sprawdzania, jak głęboka jest woda, do której skacze.

— Och, na pierdalone światło gwiazd — rzekła, stając między Mahit a Taratsem, a także między Mahit i Taratsem a Dziewięć Hibiskus, zajmując pozycję w środku trójkąta.

— Może tak wszyscy zatrzymalibyście się na moment, żebyśmy mogli sprawdzić, czy poza niefortunnymi oskarżeniami ten Stacyjny przyniósł nam również jakieś użyteczne informacje? Poza tym statkiem jest wystarczająco wiele przemocy. Nie musimy dodatkowo zwiększać jej ilości.

Tarats powiedział coś po stacyjnemu. Dla emisariuszki nadal brzmiało to jak szereg niemożliwych do wymówienia spółgłosek. Mahit mu nie odpowiedziała, co było bardzo inteligentną decyzją. Jeszcze inteligentniej postąpiłaby jednak, gdyby nie posługiwała się żadnym językiem poza teixcalaanlijskim, dopóki Trzy Trawa-Morska nie spowoduje, że pistolet cofnie się od jej szyi. Bardzo mocno wciskał się w jej skórę, niczym usta. Zimny i cierpliwy, tuż poniżej krawędzi zuchwy.

Nie miała czasu o tym myśleć. Nie miała czasu na nic! Na nic poza mówieniem. A mówienie było jej specjalnością.

— Emisariuszko, powiedz mi, dlaczego właściwie nie miałabym rozkazać mojemu oficerowi zastrzelić Mahit Dzmare? Jej zwierzchnik właśnie przyznał, że ona jest szpiegiem — stwierdziła Dziewięć Hibiskus cichym, spokojnym tonem. To był niedobry ton. Nie było w nim wahania. Trzy Trawa-Morska musi bardziej zdestabilizować sytuację, nim będzie mogła nad nią zapanować.

— Dlatego, że świadczyłoby to, iż zaufałaś temu człowiekowi... — Machnęła lekceważąco ręką, wskazując na Darja Taratsa. — I to nie upewniwszy się najpierw, jakie są jego cele. Albo cele ambasadorki Dzmare.

A także moje. To byłoby niszczenie możliwości, *yaotlek*, a mam wrażenie, że przed chwilą mówiliśmy o tym, iż dobrze byłoby zostawić sobie jak najwięcej opcji, biorąc pod uwagę obecny stan konfliktu z nieprzyjacielem oraz negocjacje trwające na Peloa-2. Chyba że zmieniłaś zdanie z powodu jednego Stacyjnego, który przyleciał tu małym stateczkiem?

Trzy Trawa-Morska zadawała sobie czasami pytanie, czy umrze bardzo młodo. To właśnie była jedna z takich chwil. Pistolet impulsowy dotykający szyi Mahit mógł już przesunąć się ku jej plecom. Nie zamierzała jednak się odwracać, żeby to sprawdzić.

— Twoje cele — podjęła Dziewięć Hibiskus, nadal przerażająco spokojnym tonem. — Masz jakieś własne cele, emisariuszko? Czym się one różnią od celów Floty?

Tak lepiej. Ale nadal niedobrze. Zapewne jednak ją zastrzelą. Tak samo jak Płatka. Ale by się z niej śmiał, gdyby umarli mogli się śmiać. Niemniej było lepiej. Znacznie korzystniej było, gdy *yaotlek* skupiała uwagę na niej, zamiast rozgrywać Mahit i Taratsa przeciwko sobie. Trzy Trawa-Morska wzruszyła ramionami.

— Jestem Teixcalaanlitzlim i *asekretq*, *yaotlek*. Z pewnością mam cel. Mój cel jest jednak prosty. Flota prosiła o przysłanie negocjatora, a ja podjęłam się tej roli. Mój cel polega na tym, żeby nie przestawać mówić i mieć całkowitą pewność, nim podejmę jakiegokolwiek bardziej drastyczne kroki.

Otworzyła szeroko oczy i zamruwała w skromnym uśmiechu w teixcalaanlijskim stylu.

Dziewięć Hibiskus wlepiała w nią twarde spojrzenie. *Yaotlek* była jak kolumna, jak posąg, stały punkt obdarzony własną grawitacją. Wyglądało to bardzo imponująco.

— Nasi nieprzyjaciele nie mówią, emisariuszko. Nasi nieprzyjaciele działają. Na sposoby, jakich nikt z nas nie przewidział, jeśli Stacyjny mówi prawdę i nie tylko zaatakowali Siedemnasty Legion, lecz również nasilili aktywność w Sektorze Parzrawantlak.

Punkciki światła reprezentujące Odpryski Siedemnastego Legionu na holomapie Dwa Piany skupiły się, zgasły, rozświeciły się na nowo i ponownie się skupiły. Nie zaprzestawały ataków, mimo że liczba ofiar wśród nich z pewnością była ogromna. Cały sektor zamienił się w pole bitwy. Z pewnością świadczyło to o tym, że ich nieprzyjaciele działają. Nawet jeśli Trzy Trawa-Morska sądziła, iż powodem ich aktywności są ofensywne poczynania Szesnaście Wschód-Księżycy, nie można było zaprzeczyć, że to prawda. Niemniej niecała prawda.

— Niewykluczone, że również mówią — zauważyła. — Czemu nie połączysz się ze swoim adiutantem i nie zapytasz go o to, zamiast czekać, aż odezwie się pierwszy? Kiedy zostawiłyśmy go na planecie, z pewnością żył. A nie sprawił na mnie wrażenia człowieka, którego łatwo zabić.

Przez twarz *yaotlek* przemknęły cienie emocji — troski, niepokoju i gniewu. Emisariuszka ucieszyła się na ten widok. Teraz ją miała. Znalazła punkt oparcia, który pozwoli jej poruszyć Dziewięć Hibiskus, zdestabilizować i zreformować trwające negocjacje. Na krwawiące gwiazdy, jeśli to się jej uda, będzie mogła napisać epicki poemat o własnych osiągnięciach, nawet jeśli byłoby to bardzo niegustowne. Jedenaście Tokarka nigdy nie uczestniczył w rokowaniach takich jak te.

— Trzymaj ten pistolet tam, gdzie jest — rozkazała Dziewięć Hibiskus. — I nie zdejmuj kajdanek drugiemu Stacyjnemu. — Podeszła do konsoli Dwa Piany. Oficer łącznościowy usunęła się jej z drogi. *Yaotlek* nie zawracała sobie głowy siadaniem — to najwyraźniej nie miał być ten rodzaj wiadomości. Pochyliła się tylko i sięgnęła przez holoobraz przedstawiający śmierć i odwagę, by wysłać wąską wiązkę na Peloa-2.

— Roju, jeśli możesz, złóż raport.

Trzy Trawę-Morską ciągle zaskakiwało to użycie prywatnego imienia, mimo że wiedziała, iż Dwadzieścia Cykada wybrał jako rzeczownikową część oficjalnego imienia absurdalną w tym kontekście nazwę owada. To musiało mieć coś wspólnego z jego religią. Trochę żałowała, że brakowało jej czasu na

to, by porządnie zastanowić się nad tym człowiekiem, który identyfikował marnotrawstwo z niemoralnością. Był inteligentny, zaskakujący i pełen niespodzianek, ale nadal pozostawał najgorszym możliwym kandydatem na negocjatora z obcymi, którzy beztrąsko zabijali indywidualne jednostki, nie dbając o ich wkład...

Rozległ się głośny szum. Po nim nadeszły słowa.

Osiem Antidotum nie był swym przodkiem cesarzem i nie był też Jej Promiennością Dziewiętnaście Ciesak. Zamknął za sobą drzwi swego apartamentu i przez dłuższą chwilę stał tam bez ruchu, jak dziecko wysłane za karę do własnego pokoju. Był przekonany, że już po wszystkim. Podjął próbę, ale przegrał. Nikt go nie słuchał. Mógł być małym szpiegiem, i uczniem Jedenaście Wawrzynu Lekiem, a nawet ulubionym kontaktem politycznym nowej minister wojny Trzy Azymut, ale nic z tego nie miało znaczenia, ponieważ miał tylko jedenaście lat. Próbował, ale przegrał. Wojna już się zaczęła. W tej chwili wiadomość z rozkazem zniszczenia planety znajdowała się już na jakimś przechodzącym przez bramę wahadłowcu — zapewne na Odprysku, bo one były najszybsze, a okręty Floty zawsze miały pierwszeństwo w bramach skokowych i przenoszone przez nie wiadomości wyprzedzały wszelkie inne rodzaje poczty.

Okręty Floty miały pierwszeństwo.

Odpryski miały pierwszeństwo.

Odpryski mogły — jeśli dobrze zrozumiał to, co mówili Trzy Azymut i Jedenaście Wawrzyn, a był przekonany, że tak jest — wymieniać informacje szybciej niż wszelkie wiadomości przesyłane przez bramy skokowe.

A Jej Promiennosc cesarz nic o tym nie wiedziała. Pomijając pilotów

Odprysków oraz ludzi z Ministerstwa Wojny, wiedział o tym tylko Osiem Antidotum, dziedzic cesarskiego tronu.

Nie był Cesarzem Całego Teixcalaanu. Jeszcze nie. Zapewne nie zostanie nim jeszcze przez długi czas. Ale niewiele go od tego dzieliło. Jego słowa — jego rozkazy — otwierały wszystkie drzwi w Pałacu-Ziemia. Zapewne otworzą je również w całym Mieście.

Pod warunkiem, że nie odwołają ich inne rozkazy. Rozkazy prawdziwej cesarz, najpotężniejsze w całym Imperium.

Potrzebował sztyftu infofizkowego zamkniętego cesarską pieczęcią. A także Odprysku. Albo pilota Odprysku, ale sam Odprysk wystarczy.

Stał pod drzwiami swojego pokoju. Wiedział, że obserwują go oczy kamer Miasta. Jedno w drzwiach, drugie w oknie, a trzecie w oknie łazienki. Miasto nigdy nie spuszczało go z oczu, algorytmy dbały o jego bezpieczeństwo. Starał się zachować niezmienny wyraz twarzy. Niczym nie zdradzić, że drży, ma mdłości ze zmęczenia, a możliwość zrobienia czegoś wypełnia go tak bardzo, że bał się, iż może eksplodować. Musiał być w pełni sobą. Wyglądać normalnie. Mógł być rozczarowany i zły, ale z całą pewnością nie weźmie w rękę pustego sztyftu infofizkowego z kości jakiegoś zwierzęcia, który przysłała mu Dziewiętnaście Ciesak jakiś czas temu, wzywając go na rozmowę. Sztyftu, na którym wryto obraz tronu słonecznych włóczy. Z całą pewnością nie podniesie go z blatu biurka razem z automatyczną woskową pieczęcią, która nie wymagała podgrzewania, nie pójdzie do łazienki, nie zdejmie ubrania i nie stanie pod prysznicem — nie puścił wody; nie był głupi, wiedział, że zmoczenie otwartego sztyftu infofizkowego spowoduje zwarcie — zwrócony twarzą do kąta pomieszczenia, niewidoczny dla kamery, o której wiedział, i zapewne również dla tych, o których nie miał pojęcia.

Nie musiał zniknąć z ich oczu na zawsze. Tylko na wystarczająco długą chwilę.

Ułożenie rozkazu trwało dłużej, niżby tego chciał. Nigdy przedtem tego nie robił. Z początku brzmiało to tak, jakby był postacią ze *Świtu ze zbierającymi*

się *chmurami* — archaiczne formy czasowników, których nikt już nie używał, nawet w cesarskich obwieszczeniach. Druga wersja była prostsza, bliższa jego stylu. Zapewne znaczyło to, że brzmiał jak dziecko, ale lepsze to, niż brzmieć jak podrabiany cesarz z holodramatu.

Jego Ekscelencja Osiem Antidotum, współcesarz, dziedzic tronu słonecznych włóczni — zaczął, rysując świetlne znaki — w imieniu rządu władającego gwiazdami Imperium Teixcalaanlijskiego, do yaotlek kapitan floty Dziewięć Hibiskus z Dziesiątego Legionu: Teixcalaan jest cywilizacją i mamy obowiązek jej strzec. Ten rozkaz zabrania użycia niszczącej cywilizację broni oraz taktyki w starciu z obcymi zagrażającymi obszarom położonym poza Sektorem Parzrawantlak, w tym również ataków jądrowych na zamieszkane przez cywilów układy planetarne, pomijając sytuacje, gdy taka broń albo taktyka będzie jedynym, co stoi między nami a katastrofą zagrażającą całej cywilizacji.

To zapewne zabrzmiało wystarczająco mocno. Zadał sobie pytanie, czy tworzy zasady, które będą obowiązywały przyszłych cesarzy, i doszedł do wniosku, że może to zrobić, jeśli zechce. Był sobą. Dziewiętnaście Ciesak mu to umożliwiła. Wiedział, że jego słowa są prawdziwe, słuszne i teixcalaanlijskie.

Zapieczętował sztyft. Wszystkie jego autopieczętki były opatrzone znakiem symbolizującym jego imię, ale nic nie szkodzi. To wystarczy. Musiał w to wierzyć.

Pozostało tylko wysłanie sztyftu międzygwiazdą pocztą oraz znalezienie pilota Odprysku — albo samego Odprysku — żeby z nim porozmawiać...

To znaczyło, że musi wrócić do Kosmoportu Prowincji Wewnętrznej. Lekki ucisk w żołądku natychmiast przerodził się w gwałtowne poruszenia. Nie chciał tam jechać. Tam właśnie wykoleił się pociąg metra. Alarmy i powszechna panika, wszyscy poza nim wiedzieli, co robić, a do tego świadomość, że nie ma jak wrócić do domu, i myśl o bombach zapalających. Pięć Agat nadal go nie zawiadomiła, czy rzeczywiście była bomba, taka jak ta,

która zabiła kobietę w Aglomeracji Dzwonów, i czy to wszystko było jego winą. Czy ktoś próbował go zabić.

Czuł się przerażony, zanim jeszcze doszło do wypadku.

Przerażony, głupi i samotny. Otaczało go zbyt wielu ludzi. Wstydził się tego wszystkiego tak bardzo, że bał się, iż może umrzeć. Nawet jeśli nikt nie będzie próbował go zabić, mógł umrzeć, jeśli znowu poczuje się tak żałosny.

Musiał jednak tam pojechać. Nikt nie zrobi tego za niego. Nie wiedział, gdzie poza Kosmoportem Prowincji Wewnętrznej mógłby znaleźć pilota Odprysku albo kiosk Ministerstwa Informacji, który pozwoli mu wysłać wiadomość przez bramy skokowe. Żołądek podchodził mu do gardła

— Pierdolić to — powiedział na głos pierwszy raz w życiu, jakby był dorosły. Następnie zwymiotował, odwracając głowę od sztyftu, żeby go nie zabrudzić.



— Żyję, Malwo — zapewnił Dwadzieścia Cykada, głosem ledwie się przebijającym przez szumy i zakłócenia. Trzy Trawa-Morska pochyliła się w stronę konsoli, jakby dzięki temu mogła lepiej słyszeć. Wiedziała jednak, że nic to nie da. — W tej chwili staram się zdecydować, czy szybciej wykończy mnie upał, czy te pazury. Bez obaw, nie ścigają mnie. Jestem... no cóż, zakładnikiem, który mówi, a przynajmniej rysuje. Nie mogę rozmawiać zbyt długo. Właściwie nie są zainteresowani niemuzycznymi dźwiękami płynącymi z naszych ust, a śpiewaczki odwołałaś na „Ciężarek u Koła”.

— Nie rozmawiaj ze mną — odparła Dziewięć Hibiskus. — Rozmawiaj z nimi. I nie daj się zabić. Ta linia pozostanie otwarta i wyślę po ciebie Odpryski...

— Gdyby się okazało, że potrzebuję Odprysków, będę już martwy, zanim

przybędą. Cicho. Chyba rysują fraktale. A może grzybnię...

Znowu szumy. I cisza.

— Widzisz? Nadal mówią — odezwała się Trzy Trawa-Morska, mącąc tę ciszę z najokrutniejszą radością, na jaką potrafiła się zdobyć. — Dlatego uważam, że powinniśmy poczekać na oficjalny rozkaz Jej Promienności, zanim rozpoczniemy atak. Wiesz, że jeśli zaatakujesz, Dwadzieścia Cykada zginie. I w imię czego? Czemu miałoby służyć to poświęcenie, *yaotlek*?

Dziewięć Hibiskus odwróciła się powoli w jej stronę. Wyglądało to groźniej niż błyskawiczny obrót. *Ach* — pomyślała Trzy Trawa-Morska. *Ciężarek. Ciężarek u koła. Teraz rozumiem.* Nie chciałyby, żeby ktoś zauważył, iż jest bliska ataku hysterii. Histeria jest na czas po zakończeniu negocjacji.

— Wysłałam już do Jej Promienności prośbę o potwierdzenie, emisariuszko. Nie musisz powtarzać tego argumentu.

— Oczywiście — odpowiedziała Trzy Trawa-Morska lekko i spokojnie, po czym okręciła się błyskawicznie pośrodku trójkąta, spoglądając na Darja Taratsa. — Powiedz nam, radco — zaczęła, obniżając poziom uprzejmości i nadając swemu głosowi okrutny, znudzony ton poetki przemawiającej do jakiegoś ignoranta na cesarskim dworze (czyż cała ta rozmowa nie była kolejną wersją tego starego jak świat motywu? Dziewięć Hibiskus była odpowiednikiem cesarza, a mostek kapitański lśniących sklepień Pałacu-Ziemia. Po raz pierwszy od dłuższego czasu ogarnęła ją dojmująca tęsknota za Miastem) — dlaczego właściwie uważasz, że ambasadorka Dzmare jest odpowiedzialna za twoją tak zwaną inwazję? Towarzyszę jej od chwili, gdy łaskawie pozwoliłeś mi przerwać jej zasłużone wakacje w domu, i, o ile mi wiadomo, nie zrobiła nic poza wniesieniem znaczącego wkładu we wspólne wysiłki mające na celu zminimalizowanie strat i nadanie jakiegoś znaczenia temu bezsensownemu konfliktowi. Na czym twoim zdaniem polega jej niepowodzenie? Na tym, że nie wysłała ci żadnych wiadomości? Powiedz mi, kiedy mogła znaleźć na to czas?

O ile Trzy Trawa-Morska potrafiła ocenić własne talenty retoryczne, jej

krótka przemowa była prawdziwym arcydziełem. Szczególnie spodobało się jej „nadanie jakiegoś znaczenia temu bezsensownemu konfliktowi”. To była udana parafraza słów Jedenaście Tokarki i ktoś (być może tylko ona, ale zawsze ktoś) z pewnością doceni tę aluzję.

Na Darju Taratsie jej słowa nie wywarły jednak żadnego wrażenia. W ogóle jej nie odpowiedział. Obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem i znowu skierował się ku Mahit, wypowiadając po stacyjnemu jakieś szybkie, pełne spółgłosek zdanie. Trzy Trawa-Morska była pewna, że zrozumiała kilka słów — „Yskandr” oraz stacyjne określenie „imperium”, w niczym nieprzypominające teixcalaanlijskiego słowa. Mahit, w której szyję nadal wznęła się lufa pistoletu, zamknęła oczy, trzepocząc rzęsami. Kiedy je otworzyła, wyglądała inaczej. Nie była w pełni sobą. Jej usta rozciągały się szeroko. Machnęła ręką w niedbałym, leniwym geście. Jakby była opętana. Jakby była... zapewne Yskandrem Aghavnem. (A które z nich dotykało pięknymi dłońmi ciała Trzy Trawy-Morskiej? W obecnej chwili to było naprawdę niefortunne pytanie! Nawet jeśli odpowiedzią było przerażające „oboje”. Chyba nigdy nie polubi myśli o maszynach imago. To jednak nie będzie miało znaczenia, jeśli Mahit teraz zginie).

Nawet jej głos brzmiał w tej chwili inaczej. Najpierw po stacyjnemu — emisariuszka ponownie rozpoznała słowo „imperium” oraz drugie, znaczące „wspólnik”. Znała je, ponieważ często występowało w dokumentach importowo-eksportowych. Po chwili Mahit przeszła na teixcalaanlijski. Trzy Trawa-Morska dziękowała wszystkim bóstwom, którym kiedykolwiek składała krew w ofierze.

— Polecono mi uczynić obcych zrozumiałymi, radco, i wpłynąć na ich postępowanie wobec naszej Stacji. Zawsze tego ode mnie chciałeś, czyż nie?

Och, kryła się za tym wszystkim długa historia. Emisariuszka bardzo pragnęła ją poznać. Chciała wziąć te informacje w usta, wprowadzić je do umysłu, przeżuć i wypluć. Jeśli Darj Tarats zażądał od Mahit, by została sabotażystką, czego domagał się od Yskandra Aghavna, gdy ten stał się

ulubionym barbarzyńcą cesarza Sześć Kierunku? Ile jego rozkazów Aghavn wykonał, a ile zlekceważył?

Pięć Oset wcisnął pistolet jeszcze silniej w szyję ambasadorki. Ta znowu znieruchomiała. I umilkła. Poruszyła tylko żuchwą, próbując przełknąć ślinę.

— Czy to nie jest jawne przyznanie się do szpiegostwa, *yaotlek*? — zapytał.
— Kradła nasze tajemnice i próbowała wpływać na nasze postępowanie.

W praktyce równało się to pytaniu: *czy mam ją teraz zastrzelić?* Trzy Trawa-Morska musiała się dobrze zastanowić, co w tej sytuacji powiedzieć.

Ale ubiegła ją Dziewięć Hibiskus.

— To zrozumiałe, że barbarzynka na pierwszym miejscu stawia swych barbarzyńskich pobratymców, Pięć Oście.

Celna uwaga! (Mahit będzie wściekła! Ale z tym emisariuszka poradzi sobie później).

— Niemniej — odezwała się, pośpiesznie przerywając *yaotlek* — ambasadorka Dzmare zgodziła się polecieć ze mną, gdy ją o to poprosiłam, wesprzeć swymi umiejętnościami naszą próbę nawiązania pierwszego kontaktu. Służyła nie tylko swej Stacji, lecz również całemu Teixcalaanowi. Nic nigdy nie jest proste, *yaotlek*. Nie, jeśli mamy do czynienia z barbarzyńcami. Z Mahit Dzmare, która doprowadziła naszą cesarz do tronu, ostrzegła nas przed nieprzyjacielem, z którym toczymy obecnie wojnę. Mahit Dzmare, która zna nas bardzo dobrze, ale mimo to przyleciała tu ze mną.

Wypowiadając te słowa, uświadomiła sobie, że to przeprosiny. Za tę głupią sprawę z żakietem. Za to, że z nią nie rozmawiała, iż bez zastanowienia założyła, że Mahit zgodzi się z nią polecieć. Pewnie, że się zgodzi, czemu miała by odmówić. Nie zastanowiła się nad tym, że gdy Imperium o coś prosi, nawet w osobie przyjaciółki, być może przyszłej kochanki, barbarzynka nie może odmówić i pozostać osobą w oczach Teixcalaanu.

To była nieprzyjemna świadomość. Będzie musiała porządnie się nad tym zastanowić, gdy tylko ludzie na mostku przestaną mierzyć do siebie z broni

energetycznej. *Później*. (Chciała, żeby było jakieś później. Naprawdę bardzo tego chciała).

— Co ty na to, radco Tarats? — ciągnęła, próbując utorować słowami drogę do tego później. — Co twoim zdaniem powinna zrobić ambasadorka Dzmare? Jeśli nadal będziesz próbował nas przekonać, że jest twoją agentką, ten oficer ją zabije, a to byłaby wielka strata. Uciszenie głosu, który przemawia w twoim języku, a mimo to potrafimy go zrozumieć. — Zmusiła się do śmiechu, lekkiego i pełnego autoironii. — Przynajmniej w pewnym stopniu. Macie stanowczo za dużo spółgłosek, radco.

Nastąpiła krótka chwila przerażającej ciszy. Wszyscy wstrzymali oddechy.

— Puść ambasadorkę, Pięć Oście — odezwała się wreszcie Dziewięć Hibiskus. — Na razie powinniśmy też poprosić naszego gościa, by opowiedział nam, co właściwie dzieje się w Sektorze Parzrawantlak. Ze szczegółami, radco Tarats. I w cywilizowanym języku, jeśli potrafisz sobie z tym poradzić.

Pistolet się odsunął. Trzy Trawa-Morska usłyszała, że jej kochanka zaczerpnęła nagle tchu. Pragnęła ją uściskać. Być może objąć. Z pewnością pocałować. To jednak zniszczyłoby niepewną równowagę, którą udało się jej stworzyć. Dlatego tylko spojrzała w jej oczy i uśmiechnęła się, odsłaniając zęby. Niewykluczone, że wychodziło jej to coraz lepiej.

Cieszył się, że zwymiotował pod prysznicem, bo dzięki temu nie musiał tego robić w metrze ani w pojeździe transportowym kursującym między ostatnim dworcem metra a kosmoportem. Miasto nie zakończyło jeszcze dochodzenia w sprawie wykolejenia pociągu; a może to rzeczywiście była bomba i prace remontowe nadal trwały. Tak czy inaczej metro nie docierało do Kosmoportu

Prowincji Wewnętrznej. To był największy pojazd, jakim chłopiec kiedykolwiek jechał. Nie było tu siedzeń, tylko poręcze, których można się było trzymać, i pełno dorosłych, dzieci oraz bagażu. Nikt nie zwracał na niego uwagi, zapewne wszyscy uważali, że gdzieś tu są jego rodzice. Mnóstwo ludzi wyglądało, jakby zbierało się im na wymioty. Pojazd szarpał gwałtownie, ruszając i zatrzymując się, trudno było utrzymać się poręczy, a bagaż ciągle się przetaczał, zbijając wszystkich z nóg.

Najgorsze jednak było to, że musiał sobie radzić bez łącza chmurowego. Gdy poprzednim razem opuścił pałac, miał przewodnika i czuwało nad nim Miasto. Teraz jednak musiał przemieszczać się szybko i niepostrzeżenie. Nie był pewien, czy Jej Promiennosc pozwoli mu nadal być szpiegiem, pakować się w kłopoty oraz zdobywać informacje, których nie powinien znać. Albo takie, które ktoś chciał przed nim ukryć. Otwarcie nie zgodził się z jej zdaniem. A teraz zamierzał podważyć jej rozkazy. Gdyby pozwolił, by oczy kamer Miasta zlokalizowały jego łącze chmurowe... No cóż, jeśli cesarz chciała go powstrzymać, w ten sposób ułatwiłby jej zadanie.

Dlatego zostawił łącze chmurowe w metrze, na krótko przed tym, nim przesiadł się na inną linię, by dotrzeć do tego okropnego pojazdu. Zdjął je, żeby potrzebować oko, udając, że jest mniejszym dzieckiem niż w rzeczywistości, ośmiolatkiem, który dopiero niedawno otrzymał pierwsze łącze chmurowe i nie był do niego przyzwyczajony. Następnie położył je na siedzeniu obok siebie i zostawił tam, gdy wstał i wysiadł na Pierwszym Placu Centralnym. Dworzec był naprawdę ogromny. Chłopiec cieszył się, że kiedyś szedł tędy z łączem chmurowym, bo inaczej nigdy nie znalazłby drogi na siedmiu poziomach krzyżujących się ze sobą tras. Łącze zapewne nadal jeździło w kółko tą samą linią. Teraz był wolny i otaczał go tłum dorosłych, wystarczająco wysokich, by ukryć go przynajmniej przed niektórymi kamerami Miasta. To mu się nie podobało. Naprawdę bardzo nie podobało.

Sztyft infofizkowy ze sfingowanym rozkazem miał pod koszulą. Nie mógł stamtąd wypaść ani nigdzie się zgubić. Chłopiec czuł twardy prostokątny

przedmiot wciskający mu się w brzuch za każdym razem, gdy jakaś dorosła osoba potrafiła go w zatłoczonym pojeździe. Gdy drzwi wreszcie się otworzyły i wszyscy pasażerowie wylali się do Kosmoportu Prowincji Wewnętrznej, Osiem Antidotum starał się cały czas pozostawać w ruchu, nie zatrzymując się ani na chwilę. Gdyby to zrobił, zapewne by zawrócił. Nie chciał tu być. W kosmoporcie było okropnie głośno, wejścia do metra nadal zamykały sznury, a w dodatku musiał minąć cały oddział Słońc Imperium, unikając patrzenia na nie, by sprawdzić, czy ich pozbawione rysów złote hełmy zwróciły się nagle ku niemu, poznały go i zawiadomiły całe Miasto oraz Jej Promienność o jego planach.

(Albo zawiadomiłyby tego, kto był odpowiedzialny za wykolejenie pociągu. To była przerażająca myśl i wolałyby, żeby mu się nie nasunęła).

Z Terminalu Tulipan do Terminalu Nasturcja. Na szczęście pamiętał drogę. Czuł się jak maleńki statek kosmiczny na strategicznej mapie kartograficznej, poruszający się po trajektorii określonej przez kogoś innego, kto w pałacu mógł być nim, ale był osobą zupełnie inną niż przerażony dzieciak, jakim stał się w tej chwili.

Kiosk Ministerstwa Informacji w Terminalu Nasturcja znajdował się dokładnie w tym samym miejscu, co poprzednio, i nadal siedziało w nim dwoje funkcjonariuszy Ministerstwa ze znudzonymi minami. Osiem Antidotum wyciągnął sztyft infofiszkowy spod koszuli, wytarł go o nogawkę, żeby błyszczał, a następnie — starając się wyglądać jak cesarski goniec, który dotarł tu tak szybko, jak to tylko możliwe, i dyszy z tego powodu, a nie dlatego, że jest śmiertelnie przerażony — podszedł do kiosku.

— Przepraszam, *asekretim* — rzekł. — Mam cesarski rozkaz, który trzeba wysłać przez bramę skokową najszybszym ze wszystkich kurierów.

— Naprawdę? — zapytała jedna z dwójki funkcjonariuszy, unosząc brwi.

Osiem Antidotum obudził w sobie cały gniew dziecka, któremu zlecono ważne zadanie, ale nikt nie chce mu uwierzyć, bo jest dzieckiem. Rozprostował ramiona i ze stukiem położył sztyft na pulpicie.

— Naprawdę — potwierdził. — Z Pałacu-Ziemia. To sztyft samej cesarz, zamknięty cesarską pieczęcią. Możecie to sprawdzić. Nie macie biblioteki pieczęci?

— Mamy — zapewniła *asekreta* tonem sugerującym, że nadal mu nie wierzy. — I z chęcią to zrobię. Wiesz, że oszukańcze użycie cesarskiej pieczęci to bardzo poważne przestępstwo, prawda? Jeśli nie chcesz, nie muszę tego sprawdzać.

Osiem Antidotum omal nie parsknął śmiechem. Myślała, że chce jej zrobić kawał. Najwyraźniej nie miała pojęcia, kim jest. Może nigdy nie przyjrzała się uważnie jego zdjęciu. A może wyglądał teraz doroślej niż na ostatnich fotografiach. Albo do pracy w kiosku kierowano wyjątkowo głupich funkcjonariuszy Ministerstwa. To było zdumiewające i przyprawiało go o frustrację.

— Możesz to sprawdzić, *asekreto* — zgodził się. — To musi być następny kurier. Najwyższy Priorytet. Tak szybko, jak to tylko możliwe.

— Sprawdź to, Trzydzieści-Jeden Zmierzchu, dobra? — *Asekreta*, z którą rozmawiał, wręczyła sztyft współpracownikowi. — Upewnijmy się, o co tu chodzi, i dopilnujmy, żeby wiadomość trafiła we właściwe miejsce.

Gdy Osiem Antidotum zobaczył, że sztyft zniknął wewnątrz kiosku, pierś wypełniła mu kolejna fala mdłości. Miał nadzieję, że znowu nie zwymiotuje. To by wszystko zepsuło...

— Dzieciak mówi prawdę — oznajmił Trzydzieści-Jeden Zmierzch. — To prywatny sztyft Jej Promienności. I jest poprawnie zabezpieczony. Hej, chłopcze, dlaczego dali ci coś takiego?

Osiem Antidotum miał już przygotowaną odpowiedź na to pytanie. Spodziewał się, że może jej potrzebować.

— Dlatego, że jestem najszybszy — odparł, otwierając szeroko oczy w pełnym samozadowolenia uśmiechu w teixcalaanlijskim stylu. — I dlatego, że dziś rano miałem dyżur, a wszyscy w Pałacu-Ziemia są okropnie zajęci

i nikt nie chce tracić połowy dnia na jazdę do kosmoportu, bo metro nadal tu nie dociera i to trwa bardzo długo.

To była dobra odpowiedź. Spodobała się obu *asekretim*. A przynajmniej Trzydzieści-Jeden Zmierzchowi. Kobieta nadal miała wątpliwości.

— Kto jest adresatem? — zapytała.

Na to pytanie również był przygotowany. Adresat był zakodowany w zamkniętej w sztyfcie wiadomości. Gdyby był tylko gońcem, a nie kimś ważnym, nie mógłby wiedzieć, co kryje się pod pieczęcią.

— Nie wiem, *asekreto* — odparł. — Nie mówią mi takich rzeczy. Cesarscy urzędnicy powiedzieli tylko, że trzeba to wysłać najszybszym kurierem do Floty toczącej wojnę. Reszta powinna być w środku.

To najwyraźniej wystarczyło. Być może. *Asekreta* nie oddała mu sztyftu.

— Pięć i pół godziny od punktu startu do miejsca przeznaczenia — oznajmiła. — Powtórzysz to zwierzchnikowi, tak? To najkrótszy możliwy czas.

— Powtórzę — zapewnił Osiem Antidotum, powstrzymując histeryczny chichot. Jego zwierzchnik już o tym wiedział, ponieważ sam był swoim zwierzchnikiem. — Dziękuję. Imperium jest wam wdzięczne!

Doszedł do wniosku, że dobrze sobie poradził. Jego rozkaz dotrze do Floty. Wiedział, że nie może tu zostać, by obserwować, co zrobią ze sztyftem pracownicy Ministerstwa Informacji. To wyglądałoby podejrzanie. Sugerowałoby oszustwo. Zadał sobie pytanie, czy rzeczywiście dopuścił się oszustwa pocztowego. Nie sądził, żeby tak było. Miał prawo wydać taki rozkaz.

Jednakże to, co zamierzał zrobić teraz, było prawie na pewno nielegalne. Nikt poza pilotem nie powinien wchodzić do wnętrza Odprysku.

Radca ze Stacji Lsel nie pasował zbyt do prywatnej sali konferencyjnej Dziewięć Hibiskus, usytuowanej tuż przy mostku. Siedząc przy stoliku, wyglądał jak wykrzywiony metalowy pręt wbity głęboko w żyzną ziemię. Był chudym drągalem, a na wysokie czoło opadały mu rzadniejące na starość włosy. Wsparł na blacie sękate od reumatyzmu dłonie, nadal skute kajdankami. Jego kości policzkowe również sprawiały wrażenie sękatych. Skóra zwisała z nich luźno, podkreślając ostre rysy. Był radcą górników ze Stacji Lsel, zapewne więc kiedyś był wystarczająco zdrowy, by wydobywać rudę na planetoidzie. A może zaczął karierę jako sztygar? Człowiek urodzony, by wydawać rozkazy innym. Na pokładzie „Ciężarka u Koła” wydawał się aberracją. Nieciągłością. Niemniej pozostawał człowiekiem i Dziewięć Hibiskus mogła z nim rozmawiać, zwłaszcza, że mówił w języku, nie tylko po stacyjnymu.

Usiadła naprzeciwko niego. Zasługiwał na tę oznakę szacunku. Był członkiem zagranicznego rządu. *Yaotlek* okaże mu odrobinę uprzejmości podczas przesłuchania. Ta rozmowa odwróci na pewien czas jej uwagę od tego, jak dziwnie brzmiał głos Dwadzieścia Cykady. Od gorejących powidoków zagłady Odprysków, które wciąż płonęły pod jej powiekami, mimo że nie podłączała się do wzroku odpryskowego od z górą doby. Od okrętu Szesnaście Wschód-Księżycy, przyśpieszającego na trajektorii, która coraz wyraźniej stawała się wektorem ataku.

A także od faktu, że wcale nie była pewna, czy chce powstrzymać kapitan floty Dwudziestego Czwartego Legionu, bez względu na to, jaką opinię na ten temat będzie miała cesarz Dziewiętnaście Ciesak.

— Radco Tarats — zaczęła. — Flota wyraża ubolewanie z powodu tego, że przez chwilę błędnie zidentyfikowała twój statek jako jednostkę nieprzyjaciela. Cieszymy się, że z powodu tego nieporozumienia nie stała ci się krzywda. Witaj na pokładzie „Ciężarka u Koła”.

— Przywitaliście mnie uprzejmie i założyliście mi kajdanki. To bardzo typowe dla Teixcalaanlitzlim.

— To bardzo typowe dla barbarzyńców uznać uprzejme powitanie za okazję do okazania niewdzięczności — warknęła Dziewięć Hibiskus, nim zdążyła się powstrzymać. Brakowało jej Dwadzieścia Cykady. Brakowało go jej okropnie. W pojedynkę znacznie trudniej jej było być jednocześnie głosem rozsądku i instrumentem groźby. — Jestem *yaotlek* tej Floty, radco, i dowodzę nią jako wyciągnięta dłoń Jej Świetlistości, piastująca w swej sferze całą przynależną jej władzę. Mogłabym być teraz na mostku tego okrętu i czekać na informacje, które pozwolą mi wydawać rozkazy moim żołnierzom, ale poświęcam swój czas, by dowiedzieć się od ciebie czegoś o ataku naszych nieprzyjaciół na twoją stację. Sugeruję, byś w interesie własnym, swoich rodaków, a także moich żołnierzy podzielił się ze mną swą wiedzą na ten temat.

— Na co przyda się *yaotlek* Floty wiedza, że wszystkie jej okręty i cała broń nie zdołały powstrzymać nieprzyjaciela przed przejściem przez bramę skokową, której powinna strzec? — zapytał radca. Mówił po teixcalaanlijsku z przerwami, jego zdania sprawiały wrażenie złożonych z niedopasowanych części i pełno w nich było archaicznych form czasowników. Niemniej były całkiem poprawne. Dziewięć Hibiskus zadała sobie pytanie, jak często ten radca rozmawiał ze swoimi ambasadorami. I jak głębokie były te rozmowy. A także w jakim języku je toczyli.

— Chcę wiedzieć, ile ich było i jak szybko się tam znalazły, radco. To pomoże mi zdecydować, czy warto tam wysłać legion albo nawet dwa, czy lepiej będzie zająć pozycję przed następną bramą i przekonać się, czy trzydzieści tysięcy waszych mieszkańców zaspokoi apetyt obcych na naszą krew. Taka wiedza przyda się *yaotlek* Floty.

Wykorzystanie jego dziwacznych konstrukcji gramatycznych przeciwko niemu sprawiło jej przyjemność. Wyczytała z jego ruchliwej, dziwacznej, przyprawiającej o dezorientację twarzy barbarzyńcy, że to mu się nie podoba. Być może pomyślał, że *yaotlek* uważa go za głupca.

Jeśli tak, mylił się. Uważała go za żmiję. Zadała sobie pytanie, czy Mahit

Dzmare jest taką samą żmiją, czy tylko osobą ukąszoną przez tego typu gada. Tarats wlepił w nią nieruchome spojrzenie.

— Ile ich było? Wystarczająco wiele, byśmy musieli zebrać wszystkich naszych pilotów, czego nie robiliśmy od siedmiu pokoleń. Jak szybko się tam znalazły? Być może mogłabyś nauczyć biednych Stacyjnych barbarzyńców, jak obserwować to, co niewidzialne. Wtedy byłbym w stanie ci odpowiedzieć.

Potrafiła to sobie wyobrazić. Czarna fala pustki, pochłaniająca statki i ludzi tak szybko, że nie sposób było nadążyć z liczeniem strat. Potrafiła to sobie wyobrazić, ponieważ widziała coś takiego na własne oczy, a także przez oczy jej pilotów Odprysków.

Dlaczego zatem pozwoliła, by emisariuszka powstrzymała ją przed zniszczeniem tych stworzeń, które pożarły już wiele światów i były gotowe pożreć następne? Tych plujących, niszczących okręty monstrów, które ukradły jej adiutanta, zabiły jej pilotów i mogły też położyć kres jej karierze, a przynajmniej jej życiu. Dlaczego miałyby zrobić cokolwiek innego, niż podjąć próbę zmiążdżenia źródła tej fali, jeśli tylko było to możliwe?

— Dziękuję za szczerłość, radco — odparła gładkim, zimnym jak lód głosem, starając się ukryć gorejącą wściekłość, która wypełniała jej gardło i klatkę piersiową. — Za chwilę wyślę po mojego głównego oficera nawigacyjnego, który pomoże ci wskazać na naszych mapach znane punkty wtargnięcia. Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie. Czy wasza Stacja ma szybkie statki? Możemy potrzebować wszelkiej dostępnej pomocy.

— Żeby skoordynować takie wykorzystanie naszych zasobów, musielibyście porozmawiać z radczynią pilotów Onchu, a ona ma powody, by chcieć je zachować dla siebie — odpowiedział radca. Pochylił się do przodu, po raz pierwszy okazując choć odrobinę zainteresowania. — Radczyni Onchu nie aprobuje nawet mojej niewinnej próby rozmawiania z wami, ponieważ wasza wielka moc, o Teixcalaanie, powinna wystarczyć, by powstrzymać te potwory przed zaatakowaniem naszego domu. W tej chwili radczyni jest raczej zajęta.

Dziewięć Hibiskus miała ochotę warknąć na niego, oznajmić, że obrażanie całego Teixcalaanu z pewnością nie uratuje jego Stacji, ale nim zdążyła do zrobić, łącze chmurowe wypełniło jej oko zielenią, zielenią i bielą. Dwa Piana wzywała ją na mostek. Rój znowu się do nich odezwał. Chciał z nią porozmawiać.

Przebijający się przez szумы wypełniające kanał łączący ich z Peloa-2 głos Dwadzieścia Cykady miał osobliwe brzmienie. Dziewięć Hibiskus przypominała je sobie z ich pierwszych misji — nagła, paradoksalnie ożywiona rozwlekłość, pojawiająca się najczęściej wtedy, gdy był niewyspany, przepracowany i absolutnie pewny tego, jak wygląda kształt wszechświata, ponieważ przed chwilą go ujrzał. Przynajmniej nie mówił do niej „Malwo”. Ani „moja droga”. Jeśli jeszcze kiedyś to zrobi, Dziewięć Hibiskus prędzej go zabije, nim pozwoli, by cokolwiek znowu złamało jej serce.

Rzecz jasna, rozmawiał z Dzmare i Trzy Trawą-Morską, które pod nieobecność *yaotlek* zdołały przejąć kontrolę nad konsolą. Dwa Piana stała obok, nasłuchując uważnie, jakby czekała, aż emisariuszka albo Stacyjna dopuszczą się jawnej zdrady, co pozwoli jej przerwać połączenie. Dziewięć Hibiskus zjawiała się akurat na czas, by usłyszeć koniec zdania:

— ...jestem prawie pewien, że nie tylko rozumiem, w jaki sposób porozumiewają się bez mowy, emisariuszko, lecz również jak to możliwe, że robią to tak szybko, że nie możemy za nimi nadążyć. To nie jest mowa, tylko sieć zbiorowej świadomości.

— Dzielą się umysłami? — zdziwiła się Dzmare.

— Dzielą się pamięcią? — zawołała w tej samej chwili Trzy Trawa-

Morska.

Wymieniły spojrzenia, jakby łączyła je ze sobą jakaś wielka, głęboko skrywana tajemnica.

— Umysły albo pamięć — odparła Dzmare. — Jeśli potrafisz określić...

— Nie potrafię — przerwał jej Dwadzieścia Cykada. — Przynajmniej na razie. W tej chwili nadal wymieniamy się rysunkami. Swoją drogą fakt, że nie jestem częścią sieci, niepokoi ich bardzo głęboko. Nie jestem też pewien, czym właściwie byłaby pamięć w tego rodzaju unii umysłów.

— Mahit? — zapytała Trzy Trawa-Morska, jakby spodziewała się, że ambasadorka zna rozwiązanie tej całkowicie filozoficznej kwestii.

Dziewięć Hibiskus miała do zadania ważniejsze pytanie.

— Roju — zapytała tonem tak ciepłym, jak tylko było to możliwe na kanale łączącym ich przez czarną pustkę — w jaki sposób doszedłeś do tego wniosku?

— *Yaotlek* — zaczął Dwadzieścia Cykada. Jej tytuł zabrzmiał w jego ustach, jakby zwracał się do niej po imieniu. Był wyraźnie zadowolony z siebie i cieszył się, że usłyszał jej głos. — To ten grzyb. Podają go swoim dzieciom i on je budzi. Nie potrafię określić tego lepiej. Narysowali mi obrazek. Młody osobnik z ich gatunku zjada grzyb, po czym łączy się ze wszystkimi innymi tymi fraktalnymi sieciami. To coś w rodzaju farmaceutyku dającego zdolności telepatyczne. Albo pasożyta, który stał się symbiontem. Gdybyśmy tylko mieli pod ręką ekipę *ixplanatlim* oraz instytut badawczy. Może na „Ciężarku u Koła” jest ktoś, kogo hobby jest badanie pasożytniczych grzybów?

— Nigdy nikogo o to nie pytałam — odpowiedziała Dziewięć Hibiskus, zastanawiając się, czy ktokolwiek mógłby oddawać się takiemu hobby na jednym z okrętów Floty, zawsze z wielką determinacją chronionych przed zakażeniem grzybami. — Nie mam pojęcia. Ten sam grzyb zabił naszego medycznego kadeta. Myślisz, że robi z nich... umysł grupowy?

— Jestem o tym przekonany. To nie była wina Sześć Opadu-Deszczu.

Nadal uważam, że zabiła go potężna reakcja anafilaktyczna. Poza tym nasi wrogowie nie wprowadzają grzyba do krwi. Jedzą go.

— Całkowicie organiczny sposób przekazywania pamięci — przerwała im Dzmare cichym, zafascynowanym głosem. Dziewięć Hibiskus ją zignorowała. Czy Dwadzieścia Cykada nie powiedział przed chwilą, że obcy nie dzielą się pamięcią, tylko umysłem?

— Zatem wniesienie tego grzyba na nasz okręt nie było sabotażem — stwierdziła *yaotlek*. To właściwie nie było pytanie.

— Nie celowym — zgodził się Dwadzieścia Cykada. — Ale niuanse nadal mi umykają, Malwo. Muszę się posługiwać rebusami, a obcy mówią, czy może śpiewają, do siebie wewnątrz ogromnego, grzybowego umysłu grupowego. Mam pewien pomysł. Nie spodoba ci się.

Dziewięć Hibiskus miała ochotę się roześmiać. Uściskać go. Chciała, żeby wrócił na „Ciężarek u Koła”.

— Cóż to za pomysł i dlaczego miałby mi się nie spodobać?

— Chyba zjem tego grzyba — odparł jej adiutant, jej najbliższy przyjaciel, jej prawa ręka od z górą dwudziestu lat. — To mi pozwoli rozmawiać z nimi bezpośrednio.

To był najgorszy pomysł, z jakim Dziewięć Hibiskus zetknęła się w życiu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

[...] cele militarne wydają się logicznym rozszerzeniem zastosowania algorytmicznych procesów dzielenia się informacją już wykorzystywanych przez stróżów prawa. Możliwości interfejsu pilota są z zasady ograniczone w porównaniu z interfejsem Słońce Imperium (choć pozwalają na większą elastyczność, zamiast polegania tylko na algorytmach), ale pierwsze testy dzielonej propriocepcji dają obiecujące rezultaty. Z uwagi na moc obliczeniową interfejsu Odprysku Ministerstwo Nauki jest przekonane, że te małe statki jako pierwsze zaczną masowo korzystać z nowej technologii.

fragment Raportu o interfejsach człowiek-algorytm: zastosowania militarne, przygotowanego przez ekipę *ixplanatlim*, w której skład wchodził Dwa Kyanit (naczelný badacz), Piętnaście Tona i Szesnaście Filc, przedstawionego ministrowi nauki Dziesięć Perle i zaaprobowanego przez niego

* * *

Statystycznie szansa nieudanej integracji imago prowadzącej do nieodwracalnych psychologicznych oraz neurologicznych uszkodzeń wynosi 0,03%, czyli trzy przypadki na dziesięć tysięcy. Dziedzictwo i Podtrzymywanie Życia uważają ten poziom ryzyka za dopuszczalny.

Fragment broszury *Chirurgia imagowa, czego się spodziewać*, rozprowadzanej rutynowo jako element przygotowania do wszczepienia maszyny imago

Osiem Antidotum stracił dwadzieścia minut, nim udało mu się znaleźć

Odprysk w terminalu Nasturcja. Nie zauważył niczego, co przypominałoby kawałek szkła o ostrych krawędziach, a tak właśnie wyobrażał sobie Odprysk na podstawie lśniących sylwetek jednoosobowych myśliwców, jakie widział na czarnym tle stołów kartograficznych w Ministerstwie Wojny. Dopiero po upływie tego czasu przypomniał sobie, że prawie wszystkie Odpryski wiszą wewnątrz większych okrętów.

Właściwie nie potrzebował Odprysku, tylko pilota, który zgodzi się go do niego wpuścić.

To było trudniejsze zadanie. Jak miał znaleźć pilota? Do baru go nie wpuszczą, nie mógł też połączyć się z Ministerstwem i zapytać. A czas upływał. Z każdą minutą, którą tracił w chaosie Terminalu Nasturcja, wydany przez Dziewiętnaście Ciesak rozkaz zniszczenia całej planety zbliżał się do *yaotlek*. Jego rozkaz został daleko z tyłu.

Po chwili zaczął się pod kioskiem Informacji, poza zasięgiem wzroku *asekretim*. Zastanawiał się, jak się dostać na okręt Floty. Czy mógłby się zaciągnąć? Miał za mało lat, ale mógłby udawać... do chwili, gdyby ktoś sprawdził jego kod genetyczny, przekonał się, że ma do czynienia z dziedzicem cesarskiego tronu i odwiózł go do pałacu jak zgubionego kotka. To nie mogło się udać. A gdyby ukrył się w skrzyni ładowanej na któryś z okrętów, jako pasażer na gapę?

Wszystkie jego pomysły wywodziły się wprost z najgłupszych odcinków holodramatów, tych, które zawsze wyłączał.

Nagle, jakby przywołał ich siłą woli, dwójka żołnierzy Floty wyszła z kiosku Informacji i ruszyła prosto w jego stronę. Oboje byli wysocy i mieli długie włosy, związane w ciasne warkocze w wojskowym stylu. Ta z lewej, tuż poniżej naszywki na rękawie z symbolem Drugiego Legionu — układ dwóch gwiazd krążących wokół siebie, jeden z najłatwiejszych do rozpoznania symboli — miała metalowy trójkąt o wszystkich bokach ukształtowanych tak, jakby pozostawały w ciągłym ruchu. Była pilotką Odprysku. Znalazł ją. To wydawało się niewiarygodne. Potrzebował jej i nagle

się zjawiała. Uświadomił sobie jednak, że to Odpryski są najszybszymi kurierami przenoszącymi przez bramy skokowe pocztę przeznaczoną dla Floty.

Rzeczywiście, przywołał ją tu, na swój sposób.

Spowodował, że przyszła do kiosku po jego wiadomość do Floty. Właśnie przed chwilą ją odebrała.

Chłopiec przełknął ślinę i wyprostował się na pełną wysokość. Gdyby tylko był ubrany jak następca cesarskiego tronu Osiem Antidotum, a nie jak goniec Osiem Antidotum. Nie miał żadnych narzędzi poza sobą samym. Podszedł do żołnierzy i stanął im na drodze, stając się przeszkodą, którą mogli odepchnąć na bok albo się przed nią zatrzymać.

— Czcigodni piloci — rzekł, nie wiedząc, czy „czcigodni” to odpowiedni tytuł w tym kontekście. Miał jednak zamiar prosić ich o przysługę, doszedł więc do wniosku, że to słowo się nada. — Jestem współcesarz Ekscelencja Osiem Antidotum. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście pozwolili mi wejść na chwilę do swojego statku.

Dwoje żołnierzy popatrzyło na siebie nawzajem. Następnie skierowali spojrzenia na niego.

— Słucham, dziecko? — odezwał się jeden z nich, nie pilotka, tylko jej towarzysz.

Chłopiec zacisnął zęby.

— Jestem Osiem Antidotum. Dziedzic tronu słonecznych włóczni i władzy nad całym Teixcalaanem. Jeśli zechcecie, możecie przywołać w łączach chmurowych moje holo i porównać je ze mną. Potrzebuję dostępu do waszego statku... właściwie to do jej statku... — Wskazał podbródkiem na pilotkę. — Dostępu do Odprysku.

— To z pewnością najdziwniejsza rzecz, jaka mi się przytrafiła, odkąd upiliśmy się kumkwatem w tym okropnym barze na Stacji Xelka — stwierdziła pilotka. Chłopiec naprawdę nie chciał wiedzieć, co to jest kumkwat, pomijając owoc. Ani czy istnieją alkoholowe owoce.

— Po co ci Odprysk? — zapytała pilotka. To było znacznie lepsze niż opowieści o pijackich przygodach. Osiem Antidotum miał nadzieję, że opowiedziała przyjacielowi o sztuczce odpryskowej. W przeciwnym razie dowie się o niej od niego, w samym środku Kosmoportu Prowincji Wewnętrznej.

— Wiem, że gdy piloci Odprysków są wewnątrz swoich statków, wyczuwają się nawzajem i być może nawet mogą ze sobą rozmawiać. Na niewiarygodne odległości. Na drugim końcu bram skokowych.

Twarz pilotki znieruchomiała nagle niczym maska.

— Od kogo się o tym dowiedziałeś?

Osiem Antidotum postanowił powiedzieć prawdę. To zawsze była najskuteczniejsza metoda.

— Od minister wojny Trzy Azymut, podczas prywatnej narady.

To nie była prywatna narada z nim, ale mniejsza o szczegóły.

— Jeśli rzeczywiście jesteś tym Osiem Antidotum... — zaczęła z namysłem pilotka, ale przyjaciel przerwał jej nagle.

— Cztery Krokus, jestem pewien, że dzieciak, który jest następcą tronu, ma dopiero jedną indykację. Ten chłopak jest za duży.

— Sprawdźcie to — błagał Osiem Antidotum. Jeśli mu nie uwierzą... jeśli teraz go powstrzymają, nie będzie już miał drugiej szansy, a w połowie udane międzygwiazdne oszustwo pocztowe było znacznie gorsze od całkowicie udanego. — Proszę. Potrzebuję tego. Jeśli będę musiał, wydam wam rozkaz jako dziedzic Imperium Teixcalaanlijskiego, czcigodni piloci, ale wolałbym tego nie robić. Proszę.

Pilotka Cztery Krokus zrobiła coś ze swoim łączem chmurowym. Jej oczy poruszały się błyskawicznie, jakby chciały wyskoczyć z oczodołów. Szybkie wyszukiwanie.

— Wygląda prawidłowo — stwierdziła. — I... i nie wiesz, co się w ostatnich dniach działo we wzroku odpryskowym, Trzyście Mionie, ale

jeśli dzieciak chce to zobaczyć... Muszę polecieć z tą wiadomością, ale pokażę mu Odprysk.

— To już twój problem — odparł Trzynaście Mion. — Wiesz, że nie mam w zwyczaju cię powstrzymywać. Gdybym to robił, nigdy nie mielibyśmy okazji się zabawić.

— Tędy, Ekscelencjo — rzekła Cztery Krokus. Osiem Antidotum ruszył za nią i za drugim żołnierzem w stronę labiryntu statków Terminalu Nasturcja.

Odprysk był mniejszy, niż spodziewał się tego chłopiec. Okazało się, że wcale nie znajdował się wewnątrz okrętu. Cztery Krokus pełniła służbę jako kurier. To był jakiś skomplikowany rodzaj kary czy może nagrody. Po drodze opowiadała o tym Trzynaście Mionowi, ale Osiem Antidotum nic z tego nie rozumiał. Dlatego jej statek stał w kosmoporcie zamiast wisieć na stanowisku dla Odprysków w okręcie, na którym służyła. To był okręt klasy „Triumf”, „Szalony od Horyzontów”, należący do Drugiego Legionu. Czekał na nią w odległości trzech bram skokowych od Klejnotu Świata. Sądząc z jej słów, nie mogła się doczekać, aż tam wróci, lecz jednocześnie czuła się zaniepokojona.

Teraz jednak jej Odprysk stał w Terminalu Nasturcja niczym kawałek szkła wbity w dłoń i czekał, aż jedna z sieci kosmoportu złapie go i wyrzuci na orbitę. Mogła się w nim swobodnie zmieścić jedna dorosła osoba, pod warunkiem że nie będzie się za bardzo ruszać. Osiem Antidotum dotknął kadłuba stateczku. Metal był chłodny i gładki. Chłopiec wiedział, że Odprysk może się zwrócić w absolutnie dowolnym kierunku, a pilot będzie swobodnie wisiął w stanie nieważkości w ulokowanej w jego środku kapsule.

— Zaczekaj tu z nim — poleciła Trzynaście Mionowi Cztery Krokus. — Muszę poprosić o przysługę innego kuriera. To jest naprawdę pilna wiadomość, a nie wiem, jak długo Jego Ekscelencja będzie chciał doświadczać wzroku odpryskowego. Zabierze ją najbliższy Odprysk, który przeleci przez bramę skokową.

Osiem Antidotum cieszył się, że Cztery Krokus tak poważnie traktuje swoje

obowiązki. Szkoda, że nie mógł udzielić jej pochwały. Jeśli ją zapamięta, być może będzie mógł to zrobić, kiedy zostanie cesarzem. Ta wiadomość — jego rozkaz — musiała być wysłana natychmiast. Nawet jeśli oznaczało to, że będzie musiał spędzić irytujące dziesięć minut pod nadzorem Trzynaście Mionu, który najwyraźniej nie rozmawiał z żadnym dzieckiem od czasów własnego dzieciństwa i był przekonany, że wszystkie dzieci fascynują się gwiazdami piłki ręcznej (Osium Antidotum nie interesował się tym sportem) albo sławnymi muzykami, wypełniającymi olbrzymie sale podczas koncertów, na których dzieci wrzeszczały przeraźliwie (nimi chłopiec nie interesował się tym bardziej).

Wreszcie, sfrustrowany czekaniem, pewien, że za chwilę ktoś rzuci bombę zapalającą, albo przyjdzie zabrać go do pałacu i zamknąć w jego pokojach jak w więzieniu, zapytał, czym zajmuje się Trzynaście Mion w Drugim Legionie. To pytanie przyniosło wyraźną ulgę im obu. Okazało się, że Trzynaście Mion jest inżynierem poświęcającym większość czasu na pracę nad nowymi metodami naprawiania kadłubów statków kosmicznych. Chłopiec nie wiedział absolutnie nic o ręcznych pistoletach manewrowych używanych do mikronawigacji w warunkach nieważkości, a to oznaczało, że mógł się skupić, zamiast drzeć z niecierpliwości, ponieważ musiał naprawdę uważać, żeby zrozumieć wszystko, co mu mówi Trzynaście Mion.

Mimo to przerwał mu natychmiast, gdy wróciła Cztery Krokus.

— Muszę wejść do środka — oznajmił jej. — Muszę się znaleźć wewnątrz wzroku odpryskowego, pilotko Cztery Krokus. — Poczuł, że rumieni się, sfrustrowany tym, że musi prosić o pomoc w każdej sprawie. — Musisz mi pokazać, jak to się robi.

Cztery Krokus zerknęła na Trzynaście Mion, po czym przeniosła wzrok z powrotem na chłopca.

— Jesteś tego pewien? — zapytała. — To znacznie łatwiejsze, niż ci się zdaje. Ale również nieporównanie gorsze.

— To dziecko, Cztery Krokus, nawet jeśli rzeczywiście jest tym, za kogo

się podaje. Przyleciałaś do Klejnotu Świata na przepustkę i skontaktowałaś się ze mną, bo chciałaś się napić po tym, co przeżyłaś, kiedy ostatnio znalazłaś się we wzroku odpryskowym, a teraz chcesz narazić na coś takiego tego dzieciaka? — zapytał Trzyńście Mion. Osiem Antidotum naprawdę nie miał czasu słuchać, jak dorośli dyskutują o tym, czy to będzie dla niego dobre, czy o co właściwie im chodziło. Nie rozumiał ich i nie chciał ich zrozumieć.

— Pokaż mi to — powtórzył. — Natychmiast. To rozkaz, pilotko.

— Będziesz potrzebował mojego łącza chmurowego, Ekscelencjo — poinformowała go Cztery Krokus. — Musisz też wejść do środka. Wzrok odpryskowy działa za pośrednictwem zwykłego łącza, dzięki odpowiedniemu oprogramowaniu, ale sztuczka odpryskowa, nie potrafię uwierzyć, że tak to nazywają, jakbyśmy robili to celowo, wymaga mocy obliczeniowej wykraczającej poza możliwości takiego drobiazgu jak łącze chmurowe. Albo umysł. Potrzeba do tego statku. — Położyła dłoń na kadłubie, jakby głaskała zwierzątko potrzebujące uspokojenia. — To dobry statek — oznajmiła. — Mój Odprysk.

— Wierzę ci — odparł z wielką powagą Osiem Antidotum, ponieważ Cztery Krokus najwyraźniej potrzebowała to usłyszeć.

Pilotka zaczerpnęła głęboki oddech niczym recytatorka rozpoczynająca występ na cesarskim dworze.

— W porządku. Bierzmy się do roboty. Kurwa, mam nadzieję, że naprawdę jesteś tym, za kogo się podajesz, bo inaczej wywalą mnie z korpusu na zbity pysk...

W stateczku ledwie było miejsce dla jednej osoby, nie wspominając już o dwóch. Cztery Krokus pokazała mu, gdzie ma usiąść i gdzie położyć dłonie, by przywołać silnik oraz pokładową SI, nie rozpoczynając sekwencji startu. Następnie zasłoniła swym łączem chmurowym jego lewe oko. Oczywiście, łącze było za duże — musiał przechylić głowę w bok, żeby się trzymało — ale działało tak samo, jak jego własne. Interfejs był identyczny, tyle że wzbogacono go o chyba z setkę programów i poleceń, jakich Osiem

Antidotum nigdy w życiu nie widział. Sprzęt Floty wyposażony w jej oprogramowanie. To go przerażało. Podobnie jak wszystko inne. Zostawił jednak strach na zewnątrz, razem z nudą związaną z oczekiwaniem na powrót Cztery Krokus. Towarzyszyło mu tylko zimno. Miał wrażenie, że zaraz zacznie dygotać.

— To jest jak kalejdoskop — wyszeptała Cztery Krokus. — W pierwszej chwili możesz wymiotować. To często się zdarza. Ja zwymiotowałam. Ale zobaczysz. Zobaczysz, co się z nami dzieje. Gotowy?

Skinął głową. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu nie ma pojęcia, co się z nim za chwilę stanie.

— W takim razie obudź statek — poleciała Cztery Krokus. — Kiedy program się włączy, na każde pytanie odpowiadaj: tak.

Wysiadła ze swojego Odprysku. Pokrywa ze statkowego szkła zamknęła się za nią z cichym trzaskiem. Osiem Antidotum został sam. Jego dłonie spoczywały na sterach...

Rozpoczął sekwencję i poczuł, że statek się obudził. Usłyszał niecierpliwy pomruk. Połowę jego pola widzenia wypełniły ciemne pola gwiazd. Łącze chmurowe się uruchomiło — to była jakaś wersja wzroku odpryskowego — a w kącie tego obrazu pojawiło się zapytanie: *tak? Tak* — odpowiedział jednym mrugnięciem...

I runął w pustkę, wyrzucony z siebie dalej niż kiedykolwiek dotąd. W pustkę i w wypełniające ją krzyki.



— I co by to dało? — zapytała Dziewięć Hibiskus. — Nawet gdybyś przeżył to doświadczenie, a chuj wie, czy to jest możliwe. I tak...

— To jest system — odpowiedział zniekształcony przez szumy głos

Dwadzieścia Cykady. — System rozproszony, w dodatku wytracony ze stanu równowagi, ponieważ nie rozumie, jak możemy być osobami i nie być jego częścią. Przeszczep z zewnątrz bardzo by mu pomógł, Malwo.

Mahit uważnie obserwowała twarz *yaotlek* borykającej się z typowym dla *Teixcalaanlitzlim* przerażeniem koncepcją sztucznego udoskonalenia umysłu. *Lselka* nigdy nie potrafiła zrozumieć, jak głębokie jest to kulturowe tabu. To był główny powód zabójstwa *Yskandra*. Jej poprzednik ofiarował cesarzowi *Sześć Kierunkowi* technologię *imago*, a ani Ministerstwo Nauki, ani *Dziewiętnaście Ciesak* nie byli w stanie zaakceptować czegoś, co uważali za fundamentalne zepsucie jaźni.

<Imago w niczym nie przypomina tego, co ten człowiek chce zrobić ze sobą> wyszeptał *Yskandr* w głębi jej umysłu. <Nawet jeśli przeżyje, nie będzie już człowiekiem. Stanie się częścią czegoś innego>.

Czy nie to samo mówią o nas? — zapytała go. *Że my, barbarzyńcy używający technologii dzielenia się umysłami, właściwie nie jesteśmy ludźmi.*

<Niektórzy tak mówią> przyznał jej poprzednik. Znowu stał się starym *Yskandrem*, tym, który uwiódł cesarza obietnicą kontynuacji pamięci. <Ale tylko niektórzy>.

— *Roju* — odezwała się *Dziewięć Hibiskus*. — Twoja religia nie wymaga od ciebie, byś w pojedynkę ustanowił równowagę w całym pierdolonym przez gwiazdy wszechświecie.

— Któż inny mógłby podjąć taką próbę? — zapytał *Dwadzieścia Cykada*. *Mahit* poczuła lekki, lecz gwałtowny dreszcz w mięśniach pleców.

— Myślisz, że on ma rację? — zapytała ją *Trzy Trawa-Morska* tak cicho, że *Lselka* ledwie ją usłyszała. — Że są zbiorowością? Czy to tak samo, jak... ty?

— *Stacyjni* są łańcuchami — odparła *Mahit*. — Złożonymi z ogniw szeregami. To, co opisuje *Dwadzieścia Cykada*, to fraktalna sieć... tak, myślę, że może mieć rację. To miałoby sens. Dlatego zawsze wiedzą, gdzie są ich inne statki, bez żadnego opóźnienia. Może mieć rację.

Trzy Trawa-Morska wyciągnęła rękę i ujęła dłoń *Mahit*. *Lselka* nie

spodziewała się tego. Nie myślała, że dotknie jej publicznie. Nie odsunęła się jednak. W tej chwili nikt nie zwracał na nie uwagi. Wszyscy słuchali, jak *yaotlek* i jej adiutant dyskutują, czy ten drugi powinien *de facto* przyłączyć się do sił nieprzyjaciela — biochemicznie, mentalnie i bez reszty — w nadziei, że to pozwoli powstrzymać wojnę. Ciepłe palce emisariuszki zaciskające się na jej dłoni były jak kotwica w wirującym szaleńczo świecie.

— Jeśli to zrobi — odezwała się emisariuszka — jeśli mu się uda i jeśli przeżyje, to będzie oznaczało, że jego pierwszy kontakt zakończył się sukcesem, jakiego nigdy dotąd nie osiągnął żaden Teixcalaanlitzlim.

— Zazdrościsz mu? — zapytała Mahit, niespodziewanie dla siebie.

— Brakuje mi odwagi na zazdrość — odpowiedziała jej kochanka i odwróciła wzrok.



Umarł dwa razy, zanim nauczył się mówić. Najgorsze były najgłośniejsze i najsilniejsze wrażenia. Przyciągały pilotów Odprysków, jak czarna dziura przyciąga masę. Stateczek rozpuszczający się od zewnątrz, całe jego statkowe szkło pokryte czarnym, ruchliwym olejem, płynnym i gęstym, wszystkie alarmy pokładowej SI odzywające się jednocześnie i milknące nagle — zanim jeszcze Osiem Antidotum zdążył się zastanowić, powstrzymać bezładny upadek złożony z tysiąca umysłów i dwóch tysięcy oczu, żyroskopowy i zmieniający się nieustannie

(jak ktokolwiek mógł to przetrwać, nauczyć się być takim pilotem, czuć wszystko tak blisko siebie)

nim zdołał odnaleźć siebie wewnątrz kakofonii, wirował porażony strachem, bez silników, czuł w gardle panikę jakiejś innej pilotki, której Odprysk zderzył się z krawędzią złożonego z trzech pierścieni

nieprzyjacielskiego okrętu i pokryta drobnymi kraterami powierzchnia planetoidy zbliżała się coraz szybciej i szybciej i *kocham cię zawsze cię kochałam pamiętaj*, a potem już nic. Powidok ognia.

Dwie śmierci i bardzo blisko trzeciej — spirala prerażenia, bliskie chybienie działa energetycznego, bratobójczy ogień, błękitna śmierć tuż przed jego twarzą, ale to nie była śmierć i Osiem Antidotum zdołał jakoś odnaleźć siebie i zakrzyknąć w słowach.

Płakał i krzychał: *Zatrzymaj się, zatrzymaj, ty, który przewozisz wiadomość od Trzy Azymut, proszę, zatrzymaj się, zaczekaj.*

Tysiąc umysłów i dwa tysiące oczu zapytało: *Słucham? Kim jesteś...? Gdzie?* Odrobina uwagi, rozproszenie. Nie wszyscy się rozpadali. Nie wszyscy umierali. Niektórzy po prostu lecieli, walczyli albo byli razem, a ci, którzy byli najbliżej Osiem Antidotum, w jego sektorze przestrzeni, stawali się zrozumieli. *Tylko to, co najgorsze, dociera do wszystkich przypadkowo* — pomyślał. Usłyszeli go, zorientowali się, że nie jest Cztery Krokus, i chcieli się dowiedzieć dlaczego.

Proszę — zaczął, nie wiedząc, czy mówi na głos, czy tylko myśli. *Jestem Osiem Antidotum, dziewięćdziesięcioprocentowy klon starego cesarza, i muszę zatrzymać tę wiadomość. Jest niedobra. Fałszywa.*

Ze wszystkich sił starał się powstrzymać myśl: *Ale giniecie, i to jest straszne. Co jeśli Trzy Azymut i Dziewiętnaście Ciesak mają rację i masowa eksterminacja to jedyny sposób powstrzymania wojny?*

Gdyby to pomyślał, nigdy by mu nie uwierzyli.



Dziewięć Hibiskus chodziła w kółko po mostku, jakby jakiś wewnętrzny mechanizm jej masywnego ciała nie pozwalał jej pozostawać w bezruchu, gdy

rozmawiała ze swym adiutantem. Mahit nie potrafiła uwierzyć, że mówią publicznie o takich sprawach, w miejscu, gdzie ona, Trzy Trawa-Morska i połowa oficerów na mostku słyszeli każde słowo zakorzenione w wieloletniej przyjaźni i zaufaniu. Z pewnością spierali się o podobne sprawy już ze sto razy, ale to nie były już teoretyczne, abstrakcyjne argumenty. Z drugiej jednak strony jak mogliby porozmawiać prywatnie, kiedy Dwadzieścia Cykada przebywał na śmiercionośnej pustyni, a Dziewięć Hibiskus była tam, gdzie jej miejsce, na mostku okrętu, na którym zawsze wszystko dla niej organizował. Mahit wyobraziła go sobie, jak unosi nitki grzyba zamknięte w plastikowym sześcianie balansującym na dłoni. Na Peloa-2 wreszcie zaczynał się zachód słońca. Lselka zadała sobie pytanie, czy obcy przystawili mu pazury do gardła, czy może wrócili do swojego statku, żeby poczekać, odpocząć bądź po prostu napawać się (o ile byli zdolni do takich uczuć) tym, że udało im się skłonić teixcalaanlijskiego negocjatora do połknięcia trucizny.

Następnie wyobraziła sobie, jak otwiera pojemnik i kładzie grzyb na języku, gotowy umrzeć albo rozwiązać problem, tak samo jak w pokoju sekcyjnym na pokładzie „Ciężarka u Koła”. Zorientowała się, że Yskandr pomyślał w tej samej chwili o Sześć Kierunku — a może to ona o nim pomyślała — dręczonym gorączką, wychudłym ze starości albo z choroby, gotowym umrzeć lub rozwiązać problem, nawet gdyby lselska maszyna imago miała sprawić, że przestanie być sobą.

Czy dobrze jest się dowiedzieć, że nie był jedynym Teixcalaanlitzlim gotowym podjąć taką próbę? — zainteresowała się, celowo formułując to pytanie w zamkniętym pokoju luster w swoim umyśle.

<Brak mi go> odrzekł Yskandr. To była wymijająca odpowiedź. Nagła fala żałoby, tęsknoty i dumy była jednak bardziej wymowna.

Tak, ale on nigdy nie znalazł się w podobnej sytuacji. Więc kto wie.

Dziewięć Hibiskus była cieniem, przesuwanym się przed statkowym szkłem przednich okien. Jej sylwetka co chwila przesłaniała nadal tu obecny

okręt, który przewiózł obcych negocjatorów na Peloa-2. Wirował w przestrzeni, podczas gdy *yaotlek* chodziła w kółko i argumentowała.

Darj Tarats wrócił z niewielkiej sali, do której go zabrano. Towarzyszył mu jeden z oficerów z mostka. Mahit miała wrażenie, że to oficer nawigacyjny, ale nie pamiętała jego imienia i nie była pewna, czym dokładnie się zajmuje. Jego widok zaskoczył ją niemal równie silnie, jak przedtem informacja, że się tu zjawiał. Było jej łatwiej, gdy nie musiała o nim myśleć. Kiedy nie czuła, jak Yskandr wzdryga się trwożnie, a sama reaguje podobnie, pełna wstydu, gniewu i strachu.

— Radco — przywitała go, chcąc, by wszyscy zauważyli jego obecność. Zebrani na mostku Teixcalaanlitzlim spojrzeli na niego i na nią. Wszyscy poza Dziewięć Hibiskus, która najwyraźniej miała na głowie ważniejsze sprawy.

— Słucham, Dzmare — odpowiedział i podszedł do niej. Nagle zapragnęła się odsunąć, ale emisariuszka nadal ścisnęła jej dłoń. Tarats zauważył, że trzymają się za ręce, i na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiej satysfakcji. Rozciągnął usta w okrutnym, nerwowym uśmiešku.

— Teraz widzę, co zrobiłaś — oznajmił w ich ojczystym języku. — Dlaczego tak gorąco pragnęłaś odlecieć z tą kobietą? Zaoferowała ci coś więcej niż tylko ucieczkę przed Aknel Amnardbat pragnącą odebrać ci maszynę imago, czyż nie? Coś przyjemniejszego.

<Ja się tym zajmę> rzekł Yskandr. Mahit pozwoliła mu na to. Była zbyt wściekła, żeby mu się sprzeciwić. To było tak, jakby nagle zapadła się w siebie, jej środek ciężkości się przesunął, podobnie jak kąt, pod którym pochylała głowę. Ale tylko nieznacznie. Mniej niż za poprzednimi razami. Byli sobie coraz bliżsi. Sztuczka przechodzenia od Yskandra Aghavna do Mahit Dzmare i z powrotem wkrótce przestanie działać. Będą musieli zostawić to za sobą.

— Powiedz mi, jak wiele razy — zaczął Yskandr, cedząc stacyjne spółgłoski z akcentem płynącym z przesadnej pewności siebie kogoś, kto zbyt

długo mówił po teixcalaanlijsku — powtarzałeś mojemu poprzednikowi, że choć Imperium nas uwodzi, my również możemy uwieść Imperium?

Miała nadzieję, że nikt na tym okręcie nie znał stacyjnego na tyle dobrze, by zauważyć gierki, jakie prowadziła z Taratsem. Cisnęła w niego długą historią listów, które wymieniał z Yskandrem, chcąc sprawdzić, czy się wzdrygnie, i wskutek tego zaprezentowała się jako szpieg, nieczujący szczególnej lojalności wobec nikogo — ani Lsel, ani Teixcalaanu. (Przed wszystkim miała nadzieję, że Trzy Trawa-Morska rzeczywiście zna stacyjny tak kiepsko, jak zapewniała. To było sedno sprawy. Nie chciała zniszczyć tego, co udało się im ocalić między nimi. Nie z powodu Darja Taratsa).

— I spójrz, dokąd go to zaprowadziło — warknął radca górników, wskazując na Mahit, jakby była zniewagą dla jego wrażliwości. — Spójrz, dokąd zaprowadziło ciebie.

— To znaczy dokąd? — zapytał Yskandr jej ustami. — Czy trafiliśmy w jakieś miejsce, w którym ty się nie znalazłeś? Jesteśmy całkowicie zależni od Teixcalaanu, który może nas uratować albo zniszczyć. Absolutnie nic się nie zmieniło.

Mahit nigdy dotąd nie brała udziału w kontynuacji kłótni, przy której nie była obecna. Jej dłonie wypełnione były bólem i mrowieniem. Ogień. *Ostrożnie* — pomyślała, ale wcale nie chciała, by Yskandr zachował ostrożność. Sama również nie pragnęła jej zachowywać. Zależało jej jedynie na zwycięstwie. Gdyby tylko wiedziała, na czym miałyby ono polegać...

— Nikt z waszej linii nie miał w sobie ani krzty lojalności — oznajmił z nienawiścią w głosie Tarats. — A gdyby któreś ją miało, pozostali wystawiliby je na działanie próżni. Być może Amnardbat jednak miała rację.

Mahit — nie, Yskandr, on był tylko plamą przerażenia i fascynacji — uniosła płonąca, odrętwiałą dłoń i uderzyła radcę w twarz.

Wzrok odpryskowy wypełniała kakofonia. Chaos, zamieszanie i hałas były o całe rzędy wielkości większe niż w Kosmoporcie Prowincji Wewnętrznej. Zanurzony w tym potężnym strumieniu Osiem Antidotum ledwie był świadomy własnego istnienia. Punkt, w którym się znajdował, jego życie i wszystko, co wiedział — wszystko to ciągle znikało mu z oczu. Zginął raz jeszcze, w czymś pojedyńku z trzypierścieniowym statkiem, wypełnił go szalony triumf, gdy pilot rzucił się na nieprzyjaciela, stał się włócznią, szrapnelem, który eksplodował w samym sercu wirujących pierścieni. To zabolowało. To bolało za każdym razem.

Proszę, wysłuchajcie mnie — powtarzał raz po raz. Musicie zatrzymać tę wiadomość. Któraś z was przewozi ją przez bramy skokowe, a ona jest zła. Jest fałszywa i błędna. Jestem dziedzicem Teixcalaanu i mówię wam, że jeśli pozwolicie, by dotarła na front walk, wszystkie dotychczasowe ofiary będą jedynie wstępem...

To właściwie nie były słowa. To były uczucia. Myślał do wiru oczu albo za jego pośrednictwem.

Wreszcie dotarła do niego odpowiedź. Pojedyncza osoba w Odprysku zmierzającym prosto do bramy skokowej, daleko (nadal daleko! Być może to wystarczy!) od innych, ginących pilotów. Głos, który nie był przyzwyczajony do wahania, ale tym razem się wahał.

Jeśli rzeczywiście jesteście Osiem Antidotum, tym dzieckiem z holowiadomości i kanałów medialnych, tym, które zalała krew cesarza, gdy oddał za nas życie, daj słowo, że mówisz poważnie i że jeśli zgubię wiadomość, którą przewożę, przestaniemy ginąć w ten sposób.

Cisza. Kalejdoskop. Kolejny krzyk, nagle urwany. Osiem Antidotum nie wiedział, gdzie są jego oczy ani co to właściwie są oczy, jeśli nie czują wszystkiego jednocześnie. Cisza i oczekiwanie.

Daję słowo — odpowiedział. Mówił poważnie, ale nie miał pewności, czy zdoła dotrzymać tej obietnicy.

Policzek Taratsa przybrał intensywnie czerwoną barwę. Rzucił się na nią, odsłaniając zęby, choć ręce nadal miał unieruchomione kajdankami. Mahit cofnęła się błyskawicznie, ale Trzy Trawa-Morska — zdumiona, przerażona i całkowicie zachwycona (tak w sumie reagowała na wszystko, co robiła Lselka) — stanęła mu na drodze. Radca górników był od niej wyższy o prawie pół metra. Miał bardzo wąską pierś, ale emisariuszka również była szczupła. Była też jednak z górą czterdzieści lat młodsza od niego i doszła do wniosku, że jeśli będzie musiała, zapewne zdoła zbić go z nóg. To byłoby okropne dyplomatyczne *faux pas*, ale to samo można było powiedzieć o wszystkim, co tu się ostatnio działo. Na mostku panował chaos. Protokół szlag trafił! Na szkoleniach, które przeszła w Ministerstwie Informacji, nie wspomniano ani słowa o trójstronnych rokowaniach na mostku okrętu Floty, podczas których jedna ze stron w ogóle nie była ludźmi, druga nie była Teixcalaanlitzlim, a żadna z nich nie była agentami Informacji, poza samą prowadzącą negocjacje. Mogłaby napisać podręcznik opisujący taką sytuację.

Zakładając, że dożyje chwili, gdy będzie się jej aż tak nudziło.

Tarats się cofnął. Ach, zatem był gotowy zaatakować Mahit, ale nie kogoś, kto był Teixcalaanlitzlim. Dobrze było to wiedzieć.

— *Yaotlek* — odezwała się Dwa Piana, wyraźnie cierpiąca z powodu tego, że znowu musi przerwać przełożonej, zwłaszcza że ta nadal rozmawiała z przebywającym na Peloa-2 Dwadzieścia Cykadą. Trzy Trawa-Morska odwróciła się, żeby sprawdzić, co w tej chwili przyciągnęło jej uwagę, i zdumiała się na widok osoby, która weszła na mostek. Żołnierz noszący na rękawie jaskrawy trójkąt pilota Odprysku płakał niepowstrzymanie.

Oczywiście, jej również zdarzało się płakać. Nawet publicznie. Była wtedy zawstydzona i przerażona albo czuła, że zachowała się odpowiednio, ponieważ była w żałobie. Nigdy jednak nie płakała tak, jak ten mężczyzna,

bez końca i bez chwili przerwy, a w dodatku w chwili, gdy miała złożyć meldunek swemu dowódcy.

Dziewięć Hibiskus odwróciła się i zauważyła żołnierza. Jej policzki poszarzały, tracąc barwę brązu, ogorzała od wystawienia na przestrzeń kosmiczną.

— Zaczekaj chwilkę, Dwadzieścia Cykado — rzekła do adiutanta. — Nie rób niczego, kiedy nie będę się przyglądała. To rozkaz. Pilocie, jak się nazywasz? Co się stało?

Gdy podeszła bliżej, zwrócił ku niej twarz, jakby był zasadzonym zbyt głęboko w cieniu kwiatem, próbującym dosięgnąć słońca.

— Pilot Odprysku Piętnaście Kalcyt, *yaotlek* — odpowiedział, nie przestając łkać. Wyglądało to tak, jakby łzy były po prostu czymś, co się z nim działo, jakimś naturalnym procesem, który nie powstrzymywał go od wykonywania obowiązków służbowych. Lojalność, jaką Dziewięć Hibiskus budziła w swoich żołnierzach, była naprawdę potężna. Promienna.

— Wzrok odpryskowy stał się... zepsuty albo zbyt intensywny — kontynuował. — Nie wiemy, co naprawdę się dzieje, *yaotlek*, ale to nie wygląda jak w czasach, gdy ty pilotowałaś Odpryski, to przez to nowe oprogramowanie, dzieloną propriocepcję. Zawsze czujemy, gdy któreś z nas ginie, a teraz ofiar jest tak wiele. Wyłączyłem te programy, ale nie mogę przestać o tym myśleć. Musisz się dowiedzieć, że istnieje pewien próg traumy, po którym propriocepcja wywołuje sprzężenie zwrotne. Nie tylko ja nie mogę powstrzymać łez, *yaotlek*. Wybacz. Nie chciałem cię znieważać w ten sposób.

Dziewięć Hibiskus potrząsnęła głową.

— Z całą pewnością nie czuję się znieważona, pilocie Piętnaście Kalcyt. Opowiedz mi więcej, jeśli zdołasz. Wiem o powidokach we wzroku odpryskowym. Byłam kiedyś jedną z was, wcale nie tak dawno temu. Ale to... kiedy to się zaczęło? Czy Odpryski nadal są zdolne do akcji?

— W chwili, gdy więcej niż troje albo czworo z nas zginęło blisko siebie

i wszystkie ofiary korzystały ze sztuczki odpryskowej... to znaczy z uaktualnienia propriocepcji.

Trzy Trawa-Morska wiedziała, że nie powinna mu przerywać, ale nie służyła we Flocie i nie była związana jej protokołem. Nigdy nie słyszała o tej technologii.

— Sztuczka odpryskowa? — zapytała, na tyle głośno, że wszyscy ją usłyszeli w posępnej ciszy spowijającej rozmowę Dziewięć Hibiskus z żołnierzem. Cała reszta obecnych umilkła i słyszało się tylko szum zakłóceń z otwartego kanału na Peloa-2. Dwadzieścia Cykada również słuchał.

Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę.

— Sztuczka odpryskowa? — powtórzyła.

— To nowa technologia stworzona przez Ministerstwo Nauki — wyszeptała Dwa Piana, stojąca za nią, nieco po lewej. Zapewne liczyła na to, że emisariuszka wreszcie się zamknie. — Dzięki niej piloci znają nawzajem swe położenie w przestrzeni. To znacznie zmniejsza opóźnienie nawigacyjne. Metoda jest oparta na algorytmie Słońc Imperium...

Trzy Trawa-Morska była absolutnie pewna, że ani ona, ani nikt z Ministerstwa Informacji nie powinien się dowiedzieć o tej technologii. Wojna i Nauka znowu współpracowały ze sobą, trzymając wszystko w tajemnicy przed Informacją, nie wspominając już o cesarzu Dziewiętnaście Ciesak i jej ludziach. Zupełnie jak podczas nieudanego powstania sprzed dwóch miesięcy. Nadal te same sojusze.

— Flota wykorzystuje technologię dzielenia umysłów w celach nawigacyjnych? — zapytała, mówiąc znacznie głośniej niż przed chwilą Dwa Piana.

Usłyszała szybki, nerwowy śmiech Mahit.

— Widzisz, Trzy Trawo-Morska? — odezwała się Lselka. — Teixcalaan już robi rzeczy bardzo podobne do tego, co Stacyjni od pokoleń robili z liniami imagowymi. Ale my nie pozwalamy nikomu narażać się na podobne przeżycia bez przygotowania, jak ten pilot...

Przerwała nagle, uświadamiając sobie, co powiedziała.

Zdała sobie sprawę, że właśnie otwarcie przyznała, iż maszyny imago istnieją naprawdę, podczas gdy Yskandr Aghavn maskował ten fakt tańcem tajemniczości.

Było już jednak za późno. Radca Tarats odsłonił wszystkie zęby — emisariuszka nigdy nie zrozumie, na czym polega stacyjny uśmiech i czym właściwie jest wyraz twarzy, który się za nim kryje — pochylił się nad nią i warknął szybko po stacyjnemu coś o nieprzyjemnym brzmieniu. Trzy Trawa-Morska zrozumiała słowa „maszyna imago”. Reszty mogła się domyślić. *To zdrada. Sprzedałaś tajemnicę naszej niewiarygodnie niemoralnej technologii. Pierdolę cię i wszystko, co reprezentujesz.* To było oczywiste. Łatwo można było to odgadnąć z reakcji Mahit, która pobladła i delikatnie odepchnęła emisariuszkę na bok, by spojrzeć Taratsowi prosto w oczy. (Wszyscy na mostku patrzyli teraz na nich, nawet zapłakany pilot Odprysku, który właściwie przeszedł już do pociągania nosem).

Ambasadorka zaczęła coś mówić po stacyjnemu — jedno długie zdanie, zlepek pełnych furii spółgłosek — lecz nagle przeszła płynnie na teixcalaanlijski:

— Radco, czy naprawdę myślisz, że pierwsza sprzedałam naszą technologię w zamian za dalsze istnienie Stacji? Pisałeś listy do Yskandra przez dwadzieścia lat, a on cały ten czas cię oszukiwał. — Jej głos był gładki i swobodny, przybierał tony, które emisariuszka świetnie знаła, by po chwili je zgubić. Wiedziała, że słucha częściowo również Yskandra Aghavna (który był bardzo podobny do Mahit, ale nie był w pełni nią... och, będzie jeszcze miała czas zastanawiać się panicznie nad tym, z którym z nich spała, któremu z nich ufała, chyba że nie będzie już czasu na nic. Tak czy inaczej, w tej chwili nie miało to znaczenia).

Gdy Tarats jej odpowiedział, okazało się, że potrafi mówić po teixcalaanlijsku całkiem zrozumiale.

— Chcesz zasugerować, że Aghavn stworzył coś w rodzaju umysłu

grupowego? To nie jest technologia imago, Dzmare. To aberracja. Przykład zepsucia, jakie płynie z Teixcalaanu. Zakładając, że coś takiego w ogóle istnieje.

Mahit odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Och, Tarats, mój przyjacielu, przyjacielu mojego poprzednika, mój patronie i przeciwniku, dlaczego mielibyśmy to robić, kiedy wystarczyłoby, gdybyśmy uczynili to, czego od nas chciałeś, i dzięki obietnicy wiecznej pamięci w zamian za naszą wolność wzbudzili w Teixcalaanie miłość do nas?

— To, co robicie, jest chore — nie ustępował radca górników. — To wypaczenie imagowej integracji. Nie jesteś Yskandrem. Udając go, postępujesz wulgarnie.

— Nie jestem Yskandrem — zgodziła się Mahit. — Nigdy nie oferowałabym cesarzowi Sześć Kierunkowi maszyny imago i nie zginęłabym z tego powodu. Zrobiłabym coś innego, co również by ci się nie spodobało. Teixcalaan nie pozwoli nam zachować czystości. Ani tobie, ani mnie, ani Yskandrowi. Jestem nim w wystarczającym stopniu, by być tego pewna. Pamiętam, kim jestem. Kim go uczyniłeś i kim on z kolei uczynił mnie.

Cichy szum kanału, na którym słuchał ich Dwadzieścia Cykada, nasilił się nieco. Przeszedł w syk, a wreszcie w głos, brzmiący poważnie i niezwykle.

— Ach, Malwo — rzekł adiutant. Dziewięć Hibiskus odwróciła się błyskawicznie ku niemu, wpatrując się w pola gwiazdne widoczne za statkowym szkłem, jakby mogła w nich ujrzeć jego twarz. — Wygląda na to, że nawet nie będę pierwszy. Stacja Lsel bardzo nas wyprzedziła, nieprawdaż? Ale nadrabiamy straty.

— Nie rób tego — poprosiła go *yaotlek*. Ale nie dodała „to rozkaz”. Nie powiedziała też „proszę”. Trzy Trawie-Morskiej przyszło na myśl, że to drugie słowo mogłoby się okazać ekwiwalentem pierwszego.

— Służenie pod twoimi rozkazami było dla mnie największym zaszczytem w życiu, moja droga — oznajmił Dwadzieścia Cykada. — Życz mi szczęścia.

Szum nagle ucichł. Łączność przerwano.

Na Peloa-2 człowiek, który wierzył, że marnotrawstwo jest najgorszą plagą, jaka może dotknąć społeczeństwa, zamierzał pozwolić, by pożarto go żywcem.

Nawet po wszystkich złożonych obietnicach, gdy już wiedział, że odniósł sukces, jeśli sukces oznaczał, że jakiś pilot Odprysku, bardzo daleko od wszystkich miejsc, które kiedykolwiek odwiedził Osiem Antidotum, zgniół pod obcasem sztyft infofiszkowy zapieczętowany znakiem Ministerstwa Wojny, aż słońce rozszczepiło się na włócznie, z blasku nie zostało nic poza złotym woskiem, a kawałki sztyftu uleciały spod jego buta w stanie nieważkości, chłopiec nie potrafił się do końca wycofać ze wzroku odpryskowego. Zbyt szeroko się w nim rozprzestrzenił. Odprysków było za dużo i nie potrafił określić, w którą stronę jest góra i czy słowo „góra” ma tu jakiegokolwiek znaczenie. Nie wiedział nawet, czy sam ma znaczenie. Był tylko sobą, kimś bardzo małym w porównaniu ze śmiercią, desperacją i wiecznie ruchomym pięknem wypełniających pustkę gwiazd, poruszających się razem niczym chmara ptaków.

Bał się, lecz jednocześnie był dumny. Był pewien, że oba te uczucia należą do niego, lecz należały również do pilotów Odprysków. Strach i duma nie wystarczały. Czuł, że się rozpuszcza, jak sól wrzucona do wody.

Śmierć i ból przyciągały wzrok odpryskowy, lecz wystarczająco duże skupisko Odprysków miało takie samo działanie. Takie skupisko właśnie się pojawiło w centrum roju, grupa, której wszyscy członkowie wiedzieli o sobie nawzajem nawet bez dzielenia się uczuciami, pozwalającego sztuczce odpryskowej pokonywać niewiarygodne odległości. Ta grupa zawisła niczym gwiazdy wokół okrętu flagowego. Wszystkie poruszały się razem, tworząc

ciągle się zmieniającą tarczę osłaniającą ich dom przed wzrokiem obserwatorów i łatwym zrozumieniem. Dostrzegł przelotnie nazwę okrętu. „Kompresja Paraboliczna”. Ten okręt był dumą Dwudziestego Czwartego Legionu.

On i jego Odpryski już — już, bez rozkazu, nie zważając na to, co uczynił Osiem Antidotum, czego się dowiedział czy co obiecał — zbliżały się do układu planetarnego zamieszkanego przez obcych nieprzyjaciół. Płonął w nich triumf i krwiożercze oczekiwanie. Zakończą tę wojnę, wreszcie będą razem...

Nie — pomyślał Osiem Antidotum, ale to słowo zniknęło w szerokiej połaci połączonych umysłów, za ciche, żeby je usłyszano. Był za słaby, zbyt nieznaczący, by dotrzeć tak daleko.

Proszę, nie! Jeden głos w kakofonii, w chórze innych, gorszych zaprzeczeń — *nie, nie pozwólcie mi ginąć — nie, nie mogę tego zrobić, boję się — nie, to nie może się dziać...*

Wszystkie Odpryski Dwudziestego Czwartego Legionu mknęły naprzód. Nie bały się i nie dały się przekonać, o ile w ogóle go usłyszały.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Nie da się czerpać żadnej nauki z praktyki utrzymywania równowagi, która stanowczo czegoś zabrania albo coś nakazuje. Jeśli ktoś postanowi wykrwawić się dla słońca i gwiazd Teixcalaanu, nie ma w tym żadnej szkody, pod warunkiem, że jest gotowy zrobić to samo dla ziemi i wody każdej planety, dla łez i śliny nieznanego albo dla czegoś tak mało znaczącego jak jałowy kawałek ogrodu.

Fragment *Cateńskiego komentarza do praktykowania równowagi*, tom 3 z 57, Anonimowy Komentator G (niebieski tekst po lewej stronie, napisany w przybliżeniu sto neltocańskich lat po podboju); Anonimowy Komentator G pisze po teixcalaanlijsku, co pozwala go odróżnić od Anonimowego Komentatora F (niebieski tekst po lewej stronie), piszącego po neltocańsku. Argumenty wspierające tezę, że F i G to odrębne osoby, patrz: *Cateński Komentarz do praktykowania równowagi*, tom 39 z 57.

Wojna rozpuściła się wokół Dziewięć Hibiskus niczym wata cukrowa wrzucona do wody. Za szybko, by miała czas na żałobę. Była *yaotlek* tych sześciu legionów i stała na mostku swego okrętu flagowego. Wszystkie raporty o nagłym wahaniu nieprzyjaciela — o zniknięciu jego grup uderzeniowych, o niespodziewanym zatrzymaniu się trzypierścieniowych, plujących śmiercią jednostek, orbitujących teraz powoli wokół teixcalaanlijskich okrętów i obserwujących je z uwagą, zamiast je roztrzaskać — napływały do niej. Zgromadziła je, uruchomiła kartograficzny stół strategiczny i zaznaczyła na nim pozycję swojej Floty oraz jej nieprzyjaciół. Starła się aktualizować te dane tak szybko, jak to tylko możliwe. Wszystkie rozbłyśki symbolizujące konflikt po prostu się zatrzymały. Zawisły w ciepłym oczekiwaniu. Poruszał się tylko Dwudziesty Czwarty Legion,

„Kompresja Paraboliczna” Szesnaście Wschód-Księżycy, a nawet ona zwolniła, zaskoczona nagłym brakiem oporu. Nadal posuwała się naprzód, ale to było w porządku. Dziewięć Hibiskus wolałaby, żeby Dwudziesty Czwarty Legion był gotowy do akcji, jeśli to dziwne zawieszenie broni zakończy się nagle. Jeśli się okaże, że to, co zrobił Rój, nie wystarczy.

Cokolwiek właściwie zrobił, przynajmniej kupił im trochę czasu. Krzyknęła — czy raczej wrzasnęła — do niego, mimo że przerwał już połączenie. Wstydziła się tego, ale ból był naprawdę straszliwy, jakby w środku jej jaźni nagle pojawiła się dziura, jakby kwas obcych ją przeżerał, tak samo, jak trawił kadłuby jej okrętów. Rój umarł, zniknął albo nie był już sobą. Nie był jej przyjacielem. Jej najlepszym przyjacielem. Co teraz robi z jego wszystkimi roślinami? Kto zadba o prawidłowe funkcjonowanie pokładu hydroponicznego? O tego pieprzonego kauraańskiego kotka, którym się opiekował? Co mogła zrobić, poza obserwowaniem, jak to, co umiała robić — prowadzenie wojny na wszystkie niezbędne i możliwe sposoby — staje się zbędne, a symbolizujące działania wojenne światełka gasną?

Roju, Roju, co ty robisz? — pragnęła go zapytać. On jednak nie odpowiadał na jej wiadomości. Być może po prostu zjadł grzyb i umarł, a nieprzyjaciel z jakiegoś powodu uznał to za wystarczające poświęcenie.

Nikt go nie słyszał ani nie chciał go słuchać. Wzrok odpryskowy w całości wypełniła żaloba albo niezachwiana determinacja, przesłaniająca żalobę i śmierć scyntylacją światła. Osiem Antidotum przestał widzieć kształt Odprysków otaczających „Kompresję Paraboliczną”. Zginął po raz kolejny. To była prosta, paskudna śmierć. Ktoś wyraźnie pomyślał *o kurwa*, gdy szybko się poruszający odłamek uderzył w bok jego Odprysku, zdeformował go

i rozbił kokpit ze statkowego szkła — zimno, szokujące zimno i gniew, a następnie cisza.

Chciał, żeby to się skończyło. Pragnął stąd wyjść. Ale nie było wyjścia. Nie było końca.

Tyle że:

Oczy kolejnych Odprysków jedno po drugim dostrzegały nagle wahanie w kanonadzie rozpuszczającego kadłuby kwasu oraz ognia dział energetycznych. Nastąpiła chwila przerwy, jakby nieprzyjaciel — traktowany jako całość, wszystkie jego jednostki razem — zaczął się zastanawiać. Trzypierścieniowy okręt, niewiele większy od Odprysku, znieruchomiał niespodziewanie, a następnie zatoczył powolny, leniwy krąg wokół dwóch myśliwców, nie próbując ich atakować, jakby starał się sporządzić mapę ich zarysów. Obce cele zniknęły, pozostawiając po sobie kłębiące się niespokojnie nieciągłości. Dłonie Teixcalaanlitzlim drżały na sterach ich Odprysków. Zaciskały się dotąd na nich tak mocno, że gdy tylko się rozluźniły, wypełnił je ból. Wszyscy wstrzymali oddech. Tysiąc stateczków i dwa tysiące oczu próbujących coś poczuć, zrozumieć, uświadomić sobie, że już nie umierają.

Wszyscy poza Odpryskami otaczającymi „Kompresję Paraboliczną”, które niczego nie słyszały. Które nie próbowały słuchać, bo nic ich to nie obchodziło. Które miały swój cel i plan. Dla których nieciągłość — nawet korzystna — była czymś, co trzeba było zniszczyć, wymazać po niej wszelki ślad. Które zatrzymały się w chwili niedowierzania, wstrząśnięte nagłym zniknięciem oporu, ale później usłyszały jakiś głos, jakiś rozkaz, czy może zew jakiegoś okrutnego pragnienia wypełniającego ich serca, i znowu zaczęły przyśpieszać. Z każdą chwilą mknęły coraz szybciej.

Wtem zaczęły się konwulsje. Drżenie. Osiem Antidotum zadał sobie pytanie, czy znowu umiera, czy może Dwudziesty Czwarty Legion rozpoczął śmiercionośne bombardowanie i tak właśnie ono wyglądało... nagle pojawiło się światło... dłonie...

Chłopiec uniósł wzrok, oszołomiony raptownym powrotem do małego,

indywidualnego ciała, i zobaczył złotą, pozbawioną rysów maskę Słońca Imperium, które zdjęło z jego twarzy łącze chmurowe Cztery Krokus i wyjęło go z jej Odprysku, jakby wydłubywało pestkę z brzoskwini.

Cesarski szybki kurier dostarczył rozkaz opatrzony osobistą pieczęcią Jej Promiенności Dziewiętnaście Ciesak — biały sztyft zapieczętowany białym lakiem. Właściwie było to raczej faksymile. Dziewięć Hibiskus słyszała, że nowa cesarz używa sztyftów zrobionych z kości zwierząt, ale takie nie przeszłyby przez stacje transmisyjne położone między bramami skokowymi. To była plastikowa kopia. To w sumie wystarczyło. Sam rozkaz można niemal było uznać za zbędny.

Jego Ekscelencja Osiem Antidotum, współcesarz, dziedzic tronu słonecznych włócznie, w imieniu rządu władającego gwiazdami Imperium Teixcalaanlijskiego, do yaotlek kapitan floty Dziewięć Hibiskus z Dziesiątego Legionu: Teixcalaan jest cywilizacją i mamy obowiązek jej strzec.

To ciekawe, że rozkaz wypowiedziano głosem następcy tronu, a nie samej Jej Promiенności. To był skomplikowany manewr polityczny. Cesarz nakazuje rozpoczęcie wojny, a jej następca okazuje łaskę. W opinii Dziewięć Hibiskus było to nieco przekombinowane. A może po prostu czuła się zmęczona i wszystko, co wykraczało poza sytuację na jej okręcie, traciło dla niej sens.

Ten rozkaz zabrania użycia niszczącej cywilizację broni oraz taktyki w starciu z obcymi zagrażającymi obszarom położonym poza Sektorem Parzrawantlak, w tym również ataków jądrowych na zamieszkane przez cywilów układy planetarne, pomijając sytuacje, gdy taka broń albo taktyka będzie jedynym, co stoi między nami a katastrofą zagrażającą całej cywilizacji.

Cywilizacji nie zagrażała katastrofa. Nie w tej chwili. Już nie. Nie od chwili, gdy Rój uczynił to, co uczynił.

— Dwa Piano — odezwała się, unosząc spojrzenie znad stołu strategicznego. — Wyślij kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy rozkaz zatrzymania się. Na razie.

Słońca Imperium — było ich więcej, oczywiście, one nigdy nie chodziły same — złapały Osiem Antidotum za rękę, gdy nogi się pod nim ugięły. Świat nie przestawał wirować wokół niego. Terminal Nasturcja przyprawiał go o klaustrofobię, choć tym razem nie dlatego, że było tu tak wielu ludzi. Tym razem chodziło o to, że terminal wydawał się maleńki w porównaniu z niezmiernymi sektorami przestrzeni kosmicznej, po których Osiem Antidotum rozciągnął się tak bardzo, że nagły powrót do własnego, ciasnego ciała był bardzo nieprzyjemnym wrażeniem. Zacisnął mocno powieki, ale to mu w niczym nie pomogło. Nawet czerwonawy półmrok, który wtedy ujrzał, wydawał się straszliwie dotykalny.

— Ekscelencjo, rozkazano nam odprowadzić cię do pałacu — odezwało się jedno ze Słońc Imperium.

Pewnie, że tak. Jej Promiennosc go zabije. A może pozwoli Trzy Azymut to zrobić. Zapewne stał się teraz osobą powodującą zaburzenia.

— Pozwalam wam to zrobić — zdołał wykrztusić głosem brzmiącym jak głos pijaka. Słowa zamazywały się, nachodząc na siebie. Zresztą nie potrzebowały pozwolenia. I tak go tam zabiorą.

— Udało ci się osiągnąć to, czego chciałeś, Ekscelencjo? — usłyszał dobiegający z oddali głos Cztery Krokus.

Nie wiedział, co jej rzec. „Być może” nie wystarczy. Tak, udało mu się

sprawić, że wydany przez Trzy Azymut rozkaz zamordowania planety nie dotrze do celu. Nie sądził jednak, by zdołał dokonać czegoś więcej.

— Mam taką nadzieję — zdołał odpowiedzieć, nim chłodne, ukryte w złotych rękawicach dłonie Słońc Imperium zabrały go stamtąd.

Nikt z nich nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś usłyszy głos Dwadzieścia Cykady, a już z pewnością nie Trzy Trawa-Morska.

Pożegnanie zabrzmiało bardzo ostatecznie. Było naprawdę piękne. Szkoda, że go nie nagrała. Mogłaby napisać wspaniałą wiersz o nim. A nawet dla niego. Nadal mogła to zrobić, ponieważ wyglądało na to, że wszyscy mają szansę przeżyć — przynajmniej przez chwilę potrzebną, by stworzyć krótki utwór poetycki.

(Ale być może niewystarczającą na epopeję albo cokolwiek o skomplikowanym rytmie opartym na średniówkach. Nadal istniał problem Darja Taratsa, a poza tym kto wiedział, jak długo potrwa zawieszenie broni, które kupił dla nich Dwadzieścia Cykada?)

Gdy kanał znowu otworzył się z głośnym szumem — to było to połączenie w obie strony, nie w jedną, jak to, do którego krzyczała Dziewięć Hibiskus — Trzy Trawa-Morska poczuła się nie tylko zaskoczona, lecz również wstrząśnięta. Była niemal całkowicie pewna, że Dwadzieścia Cykada nie żyje. Albo uległ transformacji tak głębokiej, że właściwie na jedno wychodziło.

To jednak był jego głos, nawet jeśli zniekształcały go zakłócenia i brzmiał trochę dziwnie. Rytm jego fraz stał się synkopowany, jakby Dwadzieścia Cykada próbował sobie przypomnieć, na czym polega mowa, i odtwarzał umiejętność mówienia od podstaw. Jego głos wypełnił cały mostek, ponieważ Dziewięć Hibiskus w ogóle nie ściszyła głośników.

— Śpiewamy — oznajmił. Nastąpiła chwila przerwy. — Śpiewamy... hmm, My...

— Roju? — przerwała mu Dziewięć Hibiskus. Trzy Trawa-Morska zadrżała, słysząc zawiedzioną nadzieję w jej głosie.

— Tak — odparł. — W znacznej części tak. To imię jest odpowiednie. Cześć, Malwo. Cześć, My. Nasz... „Ciężarek u Koła”, Malwo, kochaj go dla nas. Dla nas... dla nas i dla innych. Chcemy... ustanowić. Jest z wami emisariuszka?

— Tak — potwierdziła Trzy Trawa-Morska. — Jestem tutaj.

— I ta druga też? Osoba z pamięcią. Ta... Szpiegówka i jej faworyta. — Ta fraza zabrzmiała, jakby przywołał ją z pamięci jako jedną całość. — Stacyjna.

— Ja też tu jestem — oznajmiła Mahit. Dziewięć Hibiskus gapiła się na nie z oczami lśniącymi od łez, których wyraźnie nie chciała przelać.

— My... chcemy ustanowić... protokół dyplomatyczny. Na okres zawieszenia broni.

Trzy Trawa-Morska spojrzała bez słowa na *yaotlek*, prosząc o pozwolenie. Dziewięć Hibiskus skinęła leciutko głową.

— Akceptujemy zawieszenie broni — oznajmiła. — Jakiego rodzaju protokół masz na myśli, Dwadzieścia Cykado?

Zwróciła się do niego po imieniu, licząc na to, że pozostał sobą w wystarczającym stopniu, by to coś dla niego znaczyło.

— Przyślij nam ludzi. Takich, którzy udowodnią, że jesteśmy osobami. Dzielących się pamięcią. Żebyśmy z nimi porozmawiali.

— Masz na myśli Stacyjnych — stwierdziła Mahit.

Zapadła cisza.

— Tak — potwierdził wreszcie Dwadzieścia Cykada. Albo coś, co kiedyś było Dwadzieścia Cykadą. — Stacyjnych. Pilotów. Słońca Imperium. Wszystkich. Wszystkich. Jesteśmy osobami. Jeśli. Śpiewamy. Jeśli.

Wszystkich. Wszystkich, Teixcalaanlitzlim czy nie, którzy byli częściami jakiegoś wspólnego umysłu. Trzy Trawa-Morska spojrzała na Lselkę, pełna

niepewności. Rozumiała bardzo niewiele z tego wszystkiego. Nie była pewna, jakiego rodzaju osoby mogą tu być użyteczne.

— Tak — odpowiedziała Mahit i skinęła głową do emisariuszki. — Dyplomaci będą ludźmi, którzy rozumieją, na czym polega wspólnota umysłów.

O ile zrozumienie wspólnoty, jakiej częścią stał się Dwadzieścia Cykada, w ogóle było możliwe. Emisariuszka nie miała takiej pewności.

— *Yaotlek* — odezwała się nagle Dwa Piana. — Szesnaście Wschód-Księżycyca nie odpowiada na nasze komunikaty. Nadal zbliża się do układu planetarnego obcych. Bardzo szybko.

Dziewięć Hibiskus próbująca przestawić się z rozmowy z tym, co zostało z jej adiutanta, na problem Szesnaście Wschód-Księżycyca, przypominała nieco okręt floty, który nagle włączył odwracacz ciągu — nagle szarpnięcie, nie do końca efektywne. Trzy Trawa-Morska skrzywiła się boleśnie.

— Co takiego? — zdumiała się *yaotlek*.

— Nadal posuwa się naprzód po wektorze ataku — odparła Dwa Piana. — Bomby rozpryskowe są gotowe do użycia. Nie potwierdziła odbioru żadnych rozkazów, które jej wysłałaś...

Twarz Dziewięć Hibiskus była nieprzeniknioną maską

— To nie są moje rozkazy. To rozkazy Jej Promienności. Wyślij je jeszcze raz. Powiedz jej, że jeśli nadal utrzyma ten kurs, okaże otwarte nieposłuszeństwo Cesarz Całego Teixcalaanu.

Dwa Piana ponownie zwróciła się w stronę konsoli. Jej oczy poruszały się pod łączem chmurowym, a dłonie manipulowały projekcją przestrzeni łączności Floty. Zapadła stłumiona, odrażająca cisza, umilkła nawet istota na drugim końcu kanału łączącego ich z Peloa-2, Rój (emisariuszce łatwiej było teraz nazywać go Rojem niż Dwadzieścia Cykadą, to ułatwiało odróżnianie ich od siebie).

— Nie ma potwierdzenia — odezwała się wreszcie Dwa Piana. —

Dwudziesty Czwarty Legion przyśpiesza. Szesnaście Wschód-Księżycy nie zamierza nas słuchać, *yaotlek*.

Ani nas, ani obcych — pomyślała Trzy Trawa-Morska. Nie interesuje jej nic poza wybranym kursem akcji. Wtem nadeszła następna myśl, jaskrawa, wyrazista i przyprawiająca o mdłości. To będzie najkrótsze zawieszenie broni w historii Imperium.

Maska na twarzy Dziewięć Hibiskus pękła nagle. *Yaotlek* podjęła jakąś decyzję, która odsłoniła jej wnętrze, jakby była barbarzynką. Jej twarz wykrzywiła się w grymasie pewności i żalu. Trzy Trawa-Morska nie miała pojęcia, co mogłaby powiedzieć głównodowodząca Floty, żeby zmienić sytuację. A uważała się za negocjatorkę!

Dziewięć Hibiskus było łatwiej, gdy, słuchając zakłócanego szumami głosu docierającego do niej z Peloa-2, wyobrażała sobie, że rozmawia z duchem. Albo — co równie absurdalne i w takim samym stopniu raniące serce — z jakąś inną, nieznaną osobą, przypadkowo noszącą to samo imię, co jej najdroższy przyjaciel, adiutant, który służył razem z nią przez z górą dwie indykcje. To tylko przypadek. Nic więcej.

Nie tylko było jej łatwiej, lecz również mogła wtedy poprosić go — poprosić to, poprosić ich, poprosić istotę przebywającą na Peloa-2, czymkolwiek mogła być, bez ucisku w gardle i łez w oczach:

— Roju, czy mógłbyś wyświadczyć mi przysługę? Ty i cała reszta tego, czym teraz jesteś. To będzie przysługa i oznaka wiary w zawieszenie broni, które wynegocjowałeś. Słyszysz mnie?

Nie powinna była nazywać go „Rojem”. To było zbyt prywatne, a zarazem zbyt odpowiednie.

— Słyszemy cię — odpowiedział. Pomijając szumy oraz użycie liczby mnogiej, jego głos brzmiał tak samo, jak zawsze. Spokojny i swobodny. Żołnierz w pełni kontrolujący wszystkie swoje zasoby i gotowy oddać je do jej dyspozycji.

Dziewięć Hibiskus rozprostowała ramiona i wsparła dłonie na stole kartograficznym, nieodłącznej części jej okrętu.

— Podam ci współrzędne oraz wektor Szesnaście Wschód- -Księżycyca i „Kompresji Parabolicznej”, zmierzających ku zamieszkaney planecie, będącej celem ich ataku — oznajmiła. — Dokładne współrzędne.

— W takim razie zobaczymy ją — odpowiedziało to, co zostało z Dwadzieścia Cykady. — Będziemy gotowi, kiedy przybędzie. Sięgnijemy po nią. Wyciągniemy się ku niej. Złapiemy ją w sieć i roztrzaskamy, oddamy domowi-pustce...

Jego cichnący głos brzmiał jak westchnienie, niemal melodia.

Przerażeni oficerowie na mostku umilkli. Dziewięć Hibiskus zrobiła już kiedyś coś takiego, całkiem niedawno. Ale tamta żołnierka błagała o śmierć z ręki swej kapitan floty, nie chciała rozpuścić się w kwasowej ślinie obcych. Ten rozkaz był czymś zupełnie innym. Musiała być stanowcza. Stanowcza i niezachwiana. Ale i tak straci tych ludzi. A przynajmniej nie będą już ufali jej bez zastrzeżeń, jak poprzednio. Pozwoli swemu adiutantowi oraz obcym, którzy pożarli go, zabili planetę i zniszczyli tak wiele jej jednostek, zamordować kolejny statek. Zabić kapitan floty razem z jej okrętem flagowym. Czy wszyscy ludzie na pokładzie „Kompresji Parabolicznej” byli wariami mniej od obcych na planecie? Czy warto ich było poświęcić, by ocalić niepewne zawieszenie broni?

Czy powinna zhańbić poświęcenie Dwadzieścia Cykady, udając, że jeden okręt flagowy jest ważniejszy niż zakończenie wojny?

Nie mogła tego zrobić.

Musiała w jakiś sposób zapobiec rzuceniu tych bomb. Jeśli cesarski rozkaz

nie wystarczył Szesnaście Wschód-Księżycy, musi pozwolić, by obcy wykonali za nią brudną robotę. Chyba że...

— Adiutancie — warknęła ostrym, rozkazującym tonem, przywołując to, co zostało z Dwadzieścia Cykady. Przypominając mu o tym, co zawsze robili razem. O logistyce i dowodzeniu. — Podam ci te współrzędne i pozwolę obcym zaatakować „Kompresję Paraboliczną” tylko, jeśli mnie zapewnisz, że jesteście w stanie zniszczyć wyłącznie sam mostek. Na tym okręcie są trzy tysiące Teixcalaanlitzlim. To nasi ludzie. Nie pozwól, by ich życie się zmarnowało z powodu Szesnaście Wschód-Księżycy.

Zapadła cisza, mącona tylko sykiem otwartego kanału.

— Nigdy bym na to nie pozwolił, Malwo — zapewnił po chwili Dwadzieścia Cykada, cicho jak duch. Wiesz o tym. I *My* też o tym wiemy.

Podawała mu współrzędne.

— Naprawdę wierzysz, że Imperium i to, do czego właśnie się przykuło, pozwoli, żeby stacyjna barbarzynka uczestniczyła w ich rokowaniach? — zapytał Darj Tarats. Podszedł do Mahit i zatrzymał się stanowczo zbyt blisko niej, szepcząc do niej po stacyjnemu. Oboje obserwowali *yaotlek* teixcalaanlijskiej Floty przygotowującą precyzyjne uderzenie na jej własne siły. Nigdy sobie nie wyobrażała, że coś takiego może być możliwe. Teixcalaan, który znała (Teixcalaan, który znał Yskandr i w który wierzył Tarats), kuszące Imperium o pozerającej wszystko paszczy, lekko chwytajacej zębami nieteixcalaanlijskie układy planetarne, by zaraz wzmocnić uścisk i złamać im kręgosłup, uśmiercając miejscową kulturę — ten Teixcalaan nigdy nie poświęciłby kawałka siebie, by uratować nie w pełni wynegocjowany pokój.

Pomyślała też o kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy, błysku barwy elektrum, który pojawił się nagle w jej ciemnej kabinie na „Ciężarku u Koła”, by negocjować albo grozić. Mahit nie zdołała do końca określić, która z tych opcji była prawdziwa. Nigdy się tego nie dowie, ale też nie miało to już znaczenia. Trzypierścieniowe statki wymażą wszelkie ślady po negocjacjach bądź groźbach kapitan floty, usuną je jako opcje. Ocalą siebie i swoją planetę.

<Siebie, swoją planetę i całą resztę „Kompresji Parabolicznej”> wyszeptał Yskandr. <To ważki argument za tym, że ten sojusz ma sens. Zrozumieli, że gdy ludzie giną, nie da się ich zastąpić>.

Nie da się ich zastąpić łatwo — pomyślała Mahit. Wypełnił ją elektryczny śmiech imago. *To bardzo trudne i skomplikowane zadanie.*

Darj Tarats cmoknął, poirytowany jej milczeniem.

— Widzę, że albo w to wierzysz, albo w ogóle cię to nie obchodzi.

Odwróciła się ku niemu. Pragnęła — i Yskandr również tego pragnął, poczuła to jako mały, gwałtowny rozbłysk — rozmawiać z nim wyłącznie w języku, którego nienawidził, a który ona kochała, w języku jego wroga, pozwalając, by z jej ust wypływała poezja. To jednak nie był jej język. I nigdy nie stanie się jej językiem. Była tego całkowicie pewna.

— Pozwól mi wynegocjować pierwszy kontakt, Tarats — odpowiedziała po stacyjnemu. — Razem z nimi. Dlaczego Stacyjni nie mieliby się stać częścią tego nowego protokołu dyplomatycznego, zwłaszcza, że Teixcalaanlitzlim wiedzą, iż radzimy sobie z pamięcią zbiorową znacznie lepiej od nich?

— Nigdy nie powinni byli się dowiedzieć o technologii imago — poskarżył się radca górników.

Mahit zaczerpnęła oddech. A po nim drugi. Powoli.

— Zapewne masz rację — przyznała. Wzdłuż jej nerwów łokciowych znowu przebiegł ostry ból, wyrażający niezadowolenie Yskandra z faktu, że się z nim nie zgadzała. — Ale to już się stało, radco. Stało się dawno temu. Imperium wie. A jeśli Stacja Lsel poprowadzi tę dyplomatyczną delegację, nasza pozycja przetargowa może się stać najlepsza od pokoleń...

— Za jaką cenę, Dzmare? Mielibyśmy wprowadzić jedną z naszych linii imagowych do tego... konglomeratu, który mówi o sobie *My*? Dopuścić do tego, żeby Teixcalaan pragnął odebrać nam więcej niż niepodległość, język i ekonomiczną niezależność?

— Cena byłaby wyższa, gdyby trzypierścieniowe okręty rozwaląły na kawałki całą Stację, i świetnie o tym wiesz — odpowiedziała głośno Mahit. Nie chciała krzyżeć. Nie miała zamiaru przyciągnąć uwagi połowy osób obecnych na mostku, tych, które nie obserwowały, jak „Kompresja Paraboliczna” zbliża się na stole kartograficznym do stu trzypierścieniowych okrętów.

— Całe swoje życie poświęciłem ruinie — oznajmił Darj Tarats, zataczając szeroki krąg ręką, jakby chciał wskazać nie tylko na mostek i Pelloa-2, lecz również na cały Teixcalaan i wszystkich jego wrogów. Cały jego długoletni plan wciągnięcia Teixcalaanu w prowadzoną za jego granicami wojnę, której nie mógłby wygrać, zakończył się klęską. Teixcalaan nie rozpadnie się na kawałki, tłukąc o niezdojyty brzeg. Nie tutaj. Nie w ten sposób.

— Gdy nadejdzie pokój, ruiny można odbudować — odpowiedział Yskandr przez usta Mahit.

I to Yskandr pomógł jej utrzymać się na nogach i zachować kamienną twarz, gdy Tarats odpowiedział:

— Byłaś pomyłką. Ty i cała twoja linia imagowa. Postaram się, żeby radczyni Amnardbat dowiedziała się, że się z nią zgadzam. Nie ma dla ciebie miejsca na Lsel. Nigdy tam nie wracaj, Dzmare.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Ruch gonu jest nieprzeniknionym językiem, niepojętym dla mnie w takim samym stopniu, jak język kwiatu, który rozchyła płatki o świcie, choć nie ma pamięci ani umysłu. Spójna logika i taniec, ale nie taki, który potrafiłbym ukształtować w swoim wnętrzu. Wszystkie moje próby to tylko przybliżenia. Nie sposób oddać znaczenia w języku, w którym nie potrafimy go dostrzec. Niemniej wyczuwam w tym jakiś ład, mowę, świat po drugiej stronie cienia, niedotykalny, lecz rzeczywisty. Minęły trzy lata, odkąd wróciłem z Ebrekt, i nadal śnią mi się biegnące gony. W snach czasami je rozumiem.

Fragment z *Asymptoty/Fragmentacji*, cyklu esejów *Jedenaście Tokarki*

Dziewięć Hibiskus znała kształt „Kompresji Parabolicznej”, mimo że nigdy nie postawiła nogi na jej pokładzie. Znała ją równie dobrze, jak własny okręt. Wszystkie jednostki klasy „Wieczny” zbudowano na takim samym planie, na ogromnym, starannie zrównoważonym szkielecie ze stali i statkowego szkła. Ich konstrukcja była identyczna. Równie dobrze mogłaby stać na mostku „Kompresji Parabolicznej” i widziałyby dokładnie to samo, co teraz, te same konsole w tych samych miejscach. Tylko mundury byłyby inne — zamiana Dwudziestego Czwartego Legionu na Dziesiąty i jednej kapitan floty na drugą.

Niemalże żałowała, że nie może się zamienić z Szesnaście Wschód-Księżycy. Zająć jej miejsca, położyć dłonie na sterach i poprowadzić swojego okrętu z bezlitosną prędkością przez należącą do obcych przestrzeń, wypowiadając jednocześnie pełne niesubordynacji słowa: „Nie słuchajcie tego. Nawet cesarze mogą się mylić. W naszych wrogach nie ma nic, co by

sprawiło, że warto z nimi rozmawiać. Są dla nas jedynie trucizną i będą nas zatruwać bez końca, jeśli wszystkich nie spalimy”.

Yaotlek potrafiła to sobie wyobrazić z aż za wielką łatwością, i to nie tylko dlatego, że sama zraniła się poczuciem winy, gdy wydała Rojowi rozkaz — pozwolenie — zabicia Szesnaście Wschód-Księżycy, jeśli tylko był — byli — w stanie to zrobić. Poczucie winy nie było wystarczającym motywem, by pragnęła zginąć w zamian za jedną ze swoich podkomendnych.

Ale zadawanie sobie pytania, czy Szesnaście Wschód-Księżycy mogła jednak mieć rację... no cóż, to mogło wystarczyć, by Dziewięć Hibiskus zapragnęła znaleźć się na mostku odległego okrętu w chwili, gdy ten zadrzał pod ogniem nieprzyjacielskich dział energetycznych — zabójczy, błękitny płomień, uderzający z absolutną precyzją (Rój zawsze był precyzyjny... na pierdolone krwawiące gwiazdy, ten ból nigdy się nie skończy, prawda?), a potem tylko chmura połyskliwych odłamków szkła i metalu, rozszerzająca się powoli w pustce.

To, co zostało z „Kompresji Parabolicznej”, zwalniało lot. Gdzieś w chmurze połyskliwych odłamków było to, co zostało z Szesnaście Wschód-Księżycy.

Okręty obcych wycofały się równie szybko, jak się zjawily. Zawieszenie broni nadal obowiązywało. Na razie.

Dziewięć Hibiskus pozwoliła sobie na żal z tego powodu, tak gwałtowny i rozpaczliwy, jak to tylko możliwe. Była żołnierką i dowodziła żołnierzami, nie powinna kończyć wojen w ten sposób. Następnie odepchnęła od siebie ten żal, jakby sama połknęła powoli działającą truciznę.



Dziewiętnaście Ciesak przyniosła mu miseczkę herbaty. To była druga

najbardziej zaskakująca rzecz, jaką Osiem Antidotum kiedykolwiek widział w jej wykonaniu. Pierwsza była wtedy, gdy, przejmując go z rąk Słońc Imperium, bez zbędnych wstępów uściskała go serdecznie, na oczach wszystkich, w ogrodach przed Pałacem-Ziemia. Była bardzo chuda i znacznie wyższa od niego, a ramiona miała żyłaste i muskularne. Myślał, że wtrąci go do więzienia albo do końca życia zabroni opuszczania własnych pokojów, co byłoby politycznym odpowiednikiem tego samego. ale coś takiego? Szybki, gwałtowny uścisk. Nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś go uściskał. To było dobre dla małych dzieci. Sam uściskał Dwa Kartograf, syna Pięć Agat, kiedy przestali się bawić, ale to było coś zupełnie innego.

Jej Promienność nie kazała go zamknąć. Zaprowadziła go do swojego apartamentu. Stanowczo sterowała krokami chłopca, trzymając dłoń na jego ramieniu, nawet wtedy, gdy świat przesunął się w bok i cień w korytarzu stał się nagle cieniem trzypierścieniowej śmierci, ujrzanej przez pilota jakiegoś Odprysku. To tylko wspomnienie, powtarzał sobie. To nie jest realne, już nie. Zaprowadziła go do swojego apartamentu, a następnie oznajmiła, że wróci, jak tylko upora się z codziennymi obowiązkami. Zostawiła go tam. Bez strażników. I bez łącza chmurowego. (Jego łącze zapewne nadal jeździło w kółko metrem). Mógłby sobie pójść, uciec przez okno albo coś w tym rodzaju.

Ale on siedział tylko przy oknie, za długą, białą kanapą, i gapił się na wodne ogrody skąpane w blasku wczesnopołudniowego słońca, próbując sobie przypomnieć, gdzie jest. Gdzie znajdują się jego granice. Nie był pewien, czy wróci kiedyś do stanu bycia w jednym miejscu, absolutnej pewności tego, kim i czym jest, i gdzie w tej chwili przebywa. To było okropne i przyprawiało o zawrót głowy, doszedł jednak do wniosku, że spotkała go zasłużona kara. Popołudnie przeszło w wieczór. Niewykluczone, że spał przez jakiś czas. A może tylko śniło mu się, że śpi, albo wyobraził to sobie, bądź też przypomniał sobie sen kogoś innego. Gdy jednak ocknął się

całkowicie, zapadał już zmierzch, a świat na zewnątrz przybrał granatowo-fuksjową barwę.

Wreszcie Jej Promienność wróciła, usiadła na parapecie obok niego i podała mu miseczkę herbaty, intensywnie zielonej i słodko-cierpkiej. Zastanawiał się, czy sama ją zrobiła. Coś równie niedorzecznego byłoby do niej podobne. Wypił trochę. Jego dłonie nadal funkcjonowały jak trzeba, gardło również. Kubki smakowe, którymi czuł smak herbaty, z całą pewnością należały wyłącznie do niego. To mu pomogło.

— Niczego nie żałuję — oznajmił. Rzeczywiście niczego nie żałował, a poza tym, jeśli cesarz zamierzała go ukarać, pragnął na to zasłużyć.

Dziewiętnaście Ciesak przyglądała mu się przez bardzo długi czas. Tak długi, że miał ochotę zarumienić się, skulić ze wstydu i uciec stąd. Nie zrobił jednak nic w tym rodzaju. Wreszcie skinęła głową, jakby doszła do jakiegoś zadowolającego wniosku.

— To dobrze — stwierdziła.

— Dobrze? — zdziwił się Osiem Antidotum.

— Tak. Jesteś pewien, że postąpiłeś słusznie. Miałeś swoje powody, stworzyłeś plan i wykonałeś go. Nie zrobiłeś nikomu krzywdy, poza tą pilotką Odprysku, którą przestraszyłeś prawie na śmierć. Myślała, że dziedzic cesarskiego tronu zginął przez nią albo doznał uszkodzenia mózgu. Ale nic jej nie będzie. Zatem to dobrze. Pamiętasz, co ci powiedziałam o następcach?

— Że wolałabyś... hmm... irytującego następcę niż tępaka.

Kiedy Dziewiętnaście Ciesak się uśmiechała, wyglądała groźniej niż zwykle.

— Jesteś niezwykle irytującym następcą, mały szpiegu. I z całą pewnością nie jesteś tępakiem.

— Czy... czy mi się udało? — zapytał. Nagle poczuł, że nie może się przed tym powstrzymać.

Jej Promienność uniosła rękę i najpierw zgięła dłoń w jedną stronę, a następnie w drugą. Może tak, a może nie.

— Co właściwie chciałeś osiągnąć? — zapytała.

Osiem Antidotum zastanowił się nad tym, co to znaczy być szpiegiem. Musiał starannie ukrywać swoje pragnienia, nawet jeśli zapytano go o nie bezpośrednio. A jeśli już postanowił je ujawnić, musiał zdecydować, które. Mógłby nadal tak postępować, zapewne nawet powinien. Zostanie cesarzem, zakładając, że Imperium przetrwa, i nie mógł po prostu mówić ludziom, czego pragnie, bo wykorzystaliby to przeciwko niemu...

Ale Dziewiętnaście Ciesak opowiedziała mu o jego przodku cesarzu i o maszynach ze Stacji Lsel. O tym, co mogło się wydarzyć. Opowiedziała mu o tym, on wykorzystał to przeciwko niej, a mimo to siedzieli tu razem.

— Pragnąłem Teixcalaanu, o którym mi mówiłaś — odparł. — Osiemdziesiąt razy po osiemdziesiąt lat pokoju. I żeby nikt nie zdecydował, że opłaca się zabić planetę po to, by czegoś dowieść. Chciałem... chciałem powstrzymać rozkaz Trzy Azymut i dlatego wysłałem zamiast niego własny. Ale chciałem też, żebyśmy i tak wygrali wojnę.

— Wojna się kończy, a układ planetarny obcych pozostaje nietknięty — oznajmiła Dziewiętnaście Ciesak. — Podejrzewam, że to częściowo twoja zasługa. To, co zrobiłeś wewnątrz Odprysku...

Powiedziała, że wojna się kończy, ale nie wyjaśniła, w jaki sposób ani dlaczego. Osiem Antidotum zauważył, że ręce drżą mu tak mocno, iż rozlewa herbatę. Dziewiętnaście Ciesak wzięła miseczkę z jego rąk i uniosła ją przed nim.

— To się nazywa sztuczka odpryskowa — zaczął. — Wszyscy oni potrafią to zrobić. Nie tylko ja.

— Pilot Cztery Krokus wyjaśniła nam wszystko — odparła Dziewiętnaście Ciesak. W jej głosie nie słyszało się zadowolenia. Osiem Antidotum pomyślał, że raczej nikt nie ucieszyłby się z takiej technologii. Z czegoś, co było jak Słońca Imperium, tylko bardziej. (Nie powiedział jej, że to nadal dzieje się w jego umyśle. Nie był pewien, co by wtedy zrobiła. Jemu i w ogóle).

— Jedenaście Wawrzyn nie chciał, żebyś się o tym dowiedziała —

poinformował ją.

— Ach... — mruknęła Dziewiętnaście Ciesak, jakby dał jej coś, czego potrzebowała. Ostatni element układanki. — To bardzo użyteczna wiadomość, Osiem Antidotum. Dziękuję. Nie byłam pewna, które z nich jest za to odpowiedzialne, minister czy podsekretarz.

— Czy zamierzasz...

Nawet nie wiedział, jak sformułować to pytanie.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Znacznie łatwiej mi będzie obserwować go, gdy będzie siedział w Ministerstwie Wojny, niż gdybym wypuściła go do Floty bez nadzoru.

— A co ze mną?

— Pytasz, czy coś ci zrobię?

— Tak.

— No wiesz, chciałabym, żebyś mi zaufał — odparła z westchnieniem. — Ale gdybyś tak postąpił, przestałbyś być sobą. Nie, Osiem Antidotum. Nie zamierzam cię karać w żaden sposób. Zaczekam, aż dorośniesz i uwolnisz mnie od tej roboty.

Dopiero później, gdy rozmowa się skończyła i położył się spać, przypomniał sobie, co Dziewiętnaście Ciesak powiedziała mu o kapitan floty Dziewięć Hibiskus i o tym, dlaczego mianowała ją *yaotlek* po tym, co zrobiła na Kauraanie. *Ale nie dlatego, że uważałam, iż jest zbyt niebezpieczna, by pozwolić jej żyć, mały szpiegu. Dlatego, że pomyślałam, iż jest tak niebezpieczna, że może przeżyć.* Gdy przypomniał sobie te słowa, nie mógł zasnąć.



Na pokładzie hydroponicznym „Ciężarka u Koła” wszystko było zielone.

Powietrze pachniało wspaniale, było tak gęste, że Mahit ledwie mogła oddychać. Były tu kwiaty — lotosy i lilie — mieszające się z ryżem i ogrodami warzywnymi, jakby były równie niezbędne jak kalorie. Dla Dwadzieścia Cykady zapewne były. To było jego królestwo. Trzy Trawa-Morska opowiedziała jej o rozmowie, którą tu z nim odbyła. Była wówczas przekonana, że Dwadzieścia Cykada nigdy by nie dopuścił do tego, by Teixcalaan pozwolił żyć tak marnotrawnie niszczycielskiemu gatunkowi, jak ci obcy.

Obie opierały się o dekoracyjną poręcz. Mahit zadawała sobie pytanie, na czym miejscu stoi — czy przedtem stał tu Dwadzieścia Cykada, czy Trzy Trawa-Morska? Czyja narracja zataczała krąg?

<Struktura chiastyczna> odezwał się Yskandr. *Za bardzo deterministyczna* — odpowiedziała mu znowu. Hasło i odzew.

— Czy chcesz wrócić ze mną? — zapytała nagle emisariuszka bez zbędnych wstępów. Rozprostowała tylko ramiona i uniosła podbródek, jakby Mahit była problemem wymagającym równie wielkiej determinacji, jak wszystkie negocjacje, które prowadziła na mostku.

Przynajmniej nie zapytała: „Czy chcesz polecieć ze mną do domu?”.

— Nie — odpowiedziała Mahit, nie patrząc na nią. — Zresztą... dokąd miałybyśmy wrócić?

— Do Klejnotu Świata — odpowiedziała Trzy Trawa-Morska. *Oczywiście. Dla Teixcalaanlitzlim żadne inne miejsce nie było realne.* — No wiesz, mam tam mieszkanie. Muszę pozmywać naczynia. I zapewne też porozmawiać z Jej Promiennością. Ale... jeśli nie chcesz mieszkać w Mieście, mogłabym... na pewno znajdzie się jakiś układ planetarny, który potrzebuje nadmiernie wykwalifikowanej *asekrety* i ma w miarę przyzwoity salon poetycki. Mogłabym załatwić sobie przeniesienie. To właśnie chcę ci powiedzieć.

— Trzcino — odezwała się cicho. Trzy Trawa-Morska przestała mówić, zwróciła się w jej stronę i uniosła nieco głowę, szeroko otwierając bardzo ciemne oczy. Była taka niska. Mahit często o tym zapominała.

Pochyliła się i pocałowała ją w usta. Niezbyt długo. Nie wystarczająco długo, żeby znaczyło to „tak”.

— Nie rób tego dla mnie — poprosiła. — Nie opuszczaj Miasta. Wróć do domu. Pozmywaj naczynia. Porozmawiaj z Jej Promiennością, jeśli po pozmywaniu naczyń zostanie ci jeszcze trochę czasu.

Trzy Trawa-Morska zachichotała. To był wilgotny dźwięk, jaki wydają z siebie ludzie, którzy się śmieją, choć mają ochotę płakać.

— Najpierw naczynia, a później Jej Promiennosc Błysk Ostrza Noża, w tej kolejności, tak jest. A co będzie z tobą?

— Nie wiem — odparła zgodnie z prawdą Mahit. Nie było już dla niej takiego miejsca jak dom. Darj Tarats wsiadł do swojego stateczku i odleciał na drugą stronę Bramy Anhamemat. Zawieszenie broni wynegocjowane przez Dwadzieścia Cykadę rozszerzyło się na całą flotę obcych, bez względu na to, czy jej ofiarami miały być teixcalaanlijskie okręty, czy Stacja Lsel. Wszyscy ludzie byli dla nich tym samym i jedno poświęcenie wystarczyło, by kupić dla nich pokój. Nawet nie tknęli Stacji Lsel. Mahit słyszała transmisję przez teixcalaanlijskie transportowce przelatujące obok. Wierzyła też w to, co Tarats powiedział jej na mostku: jeśli wróci na Stację, dopóki on i Aknel Amnardbat pozostaną u władzy, zginie z ich rąk. Jednego albo drugiego z nich. Dziedzictwa bądź Górników. Nie znajdzie tam bezpieczeństwa. I co uzyskała w zamian?

Teraz naprawdę jesteśmy wygnańcami — pomyślała. Nie potrafiła nawet zdobyć się na wewnętrzny ton wyrzutu: od początku miała rację, a Yskandr się mylił. Ale on poleciałby z Trzy Trawą-Morską do jej mieszkania pełnego brudnych naczyń i do obietnicy salonów poetyckich. Przyjąłby tę propozycję już za pierwszym razem — trzy miesiące temu, przed ostatnią wojną.

— Nie musisz być tam ze mną — podjęła Trzy Trawa-Morska — jeśli na tym polega twój problem z powrotem do Miasta. Nadal nawet w połowie nie rozumiem twoich uczuć w sprawie tego, jak bardzo cię lubię, ale daję słowo, że świetnie potrafię udawać, że się nie znamy, i mogę już nigdy cię nie

pocałować. Jeśli Jej Promienność mówi, że nadal jesteś ambasadorką, to znaczy, że nią jesteś. Nie zabraknie dla ciebie pracy...

Mahit przerwała emisariuszce, kładąc rękę na jej ramieniu tak delikatnie, jak tylko potrafiła.

— Nie chodzi o ciebie — zapewniła. — Trzcino, sama nawet w połowie nie rozumiem, dlaczego tak bardzo cię lubię, ale lubię cię naprawdę mocno.

<Mogłabyś wyjaśnić jej to lepiej> wyszeptał Yskandr. <Czasami nawet Teixcalaanlitzlim mogą się nauczyć nas widzieć>.

Chcę — pomyślała Mahit i ogarnęło ją pragnienie, by dać się pochłoniąć i stać się... ach, stać się Teixcalaanlitzlim, o czym marzyła na lekcjach języka, tak dawno temu, gdy wymyśliła dla siebie imię Dziewięć Orchidea i wyobrażała sobie, że poezja wystarczy, by stać się kimś, kogo Teixcalaanlitzlim automatycznie uznają za osobę.

— Jeśli nie chodzi o mnie, to w takim razie o co? — zapytała Trzy Trawa-Morska. — Jeśli mi odpowiesz, że zamierzasz się przyłączyć do grzybowego umysłu grupowego, pogniewam się na ciebie, ale ci nie uwierzę. Masz już w sobie wystarczająco wielu ludzi i lubisz być osobą, a nie...

— Jestem Mahit Dzmare — przerwała jej Lselka z ironią w głosie. — Tylko jedną osobą, nawet jeśli mam imago.

Chcę — pomyślała znowu.

<Wrócić do domu> dokończył za nią Yskandr.

Nie ma takiego miejsca.

Ponowiła próbę.

— Trzy Trawo-Morska, chcę... pracować i pragnę też... rzeczy, których nie mogę mieć, które już nie istnieją albo nigdy nie istniały. Pragnę też... jeśli kiedyś poprosisz mnie po raz trzeci, bym poleciała z tobą do Miasta, móc szczerze odpowiedzieć „tak”.

Emisariuszka milczała. Nasłuchiwała. Obracała w myślach słowa Mahit. Lselka wyobrażała sobie, że problem jest jak kamyk w jej ustach, przeszkoda

utrudniająca wypowiedzianie się klarownym wierszem. Po chwili zaczerpnęła w płuca haust przepojonego zielenią powietrza i rozprostowała ramiona.

— Chcę, żeby ktoś pamiętał, że lubię, jak nazywają mnie „Trzcina” — zaczęła. — I nie chcę się nudzić. Ty nigdy nie jesteś nudna. Podobała mi się... ta wasza powieść graficzna. Nie znam takich opowieści i chciałabym je poznać. Zmuszasz mnie do myślenia, Mahit. To niesprawiedliwe, nikt inny nie potrafi spowodować, bym pracowała tak ciężko i lubiła to.

Lselka parsknęła cichym śmiechem, zasłaniając dłonią usta.

— Czy to miał być komplement, czy zniewaga?

Trzy Trawa-Morska potraktowała to pytanie z większą powagą, niż było tego warte, zdaniem tej, która je zadała.

— Nie wiem — przyznała po chwili. — Zapewne i jedno, i drugie. Mahit...

— Słucham?

Zauważyła, że emisariuszka wzięła się w garść, rozprostowała ramiona i oddychała przeponą, jakby rozmowa z Lselką była konkursem recytatorskim, który pragnęła wygrać.

— A co z tymi innymi układami planetarnymi, o których wspominałam? Co, gdybyś tam poleciała? — Mahit otworzyła usta, żeby jej odpowiedzieć, ale emisariuszka uciszyła ją machnięciem ręki. — Gdybyś tam poleciała, a ja nie — kontynuowała. — Jej Promienność wyśle cię wszędzie, dokąd zechcesz. To nie musi być Klejnot Świata. Możesz wybrać jakieś nowe miejsce. Mogłabyś do mnie pisać, gdybyś nie chciała, żebym się nudziła. Ja będę pisała do ciebie. Przysyłałabyś mi nowe tomy *Niebezpiecznej granicy!*, a ja wysyłałabym ci nowe wiersze i wszystko, co tylko chciałabyś ode mnie otrzymać...

— Naprawdę? — zapytała Mahit. Po wszystkim, co się wydarzyło, słodycz nadal przyprawiała ją o szok.

— Naprawdę — potwierdziła Trzy Trawa-Morska. — Mogłabyś sama szyfrować swoje listy. Daję słowo.

Uśmiechy w stacyjnym stylu nie wychodziły jej zbyt dobrze. Odślaniała

wszystkie zęby, w całej ich olśniewającej bieli. Jej uśmiech wyglądał jak blask gwiazd i groźba. Lselka nagle zapragnęła nauczyć ją, jak powinno się to robić.

Odwzajemniła uśmiech, niepewnie i nerwowo. Była na granicy łez, lecz mimo to nie chciała powstrzymać uśmiechu. To było...

<To dobra propozycja, Mahit> odezwał się Yskandr. <Lepsza niż wszystko, co mnie kiedykolwiek zaoferowano>.

Cesarz Szeć Kierunek obiecał mu pokój w zamian za zdradę. Dziewiętnaście Ciesak nie widziała sprzeczności między kochaniem kogoś a uważaniem, że ta osoba powinna zginąć, zanim wyrządzi zbyt wielkie szkody. W porównaniu z tym korespondencja i tymczasowe skierowanie na jakąś odległą, prowincjonalną planetę w Imperium były całkiem do przyjęcia.

— Będę do ciebie pisała — obiecała. — Cały czas.

ZAKOŃCZENIE

Myśleć jak osoba i nie myśleć w języku. Myśleć we fraktalnej, rozproszonej pieśni, w kształcie nieznanego ciała, jak inkluzja, okruch granatu uwięziony w skale — nadal będący kamieniem, ale skryształizowanym i kompletnym. Wewnątrz tego kryształu gnieździ się i niesie echem język — przypominający gębowe krzyki nie osób, ale uczyniony przetłumaczalnym na śpiew. *My* śpiewaliśmy w nas w harmonijnych wariantach, wibrując w częstotliwościach bliskich interferencji. To ciało, tamto ciało — to ciało miało znak przywołujący, kiedy nie było osobą i nie jest w tym jedyne, to ciało nazwało się SKACZ!, a tamto Szareplamy, inne znowu zwano Najsprytniejszym z Miotu, a to nowe ciało śpiewające w *My* nazywano Rojem, co jest teraz śmiesznym imieniem. Niektóre znaki przywołujące są dokładnie takie, jak osoba w *My*, i to wzbudza ostry, połyskliwy zachwyt; ciało SKACZ! jest budowniczym-konstrukтором, twórcą struktur, które są pajęczynowymi przestrzeniami do przeskakowania na drugą stronę. Tak samo ciało Rój.

Nie nazwaliśmy tego ciała — śpiewa nieznanego ciała. Nazwano nas. Byliśmy znani. Nieznajome ciało śpiewa wewnątrz teixcalaanlijskiego okrętu, rozproszenie obrazów i ciepła: inne ciało, ciało-dowódca, osoba-nie-osoba w tysiącu punktów-pamięci, na nowo połączonych w całość. *My*-kiedy-jesteśmy-Teixcalaanem jesteście znani bez śpiewania — wyjaśnia *My* Rój. *My*-kiedy-jesteśmy-Teixcalaanem jesteście znani tylko przez język, ale klarownie.

W przestrzeniach *my* pojawia się niedowierzenie. Pomyśleć, że język może być tak przejrzysty, że pozwala poznać!

Język nie jest tak przejrzysty — Myśli Dwadzieścia Cykada do *My*. Długie migotanie przechodzi przez jego całość. Jest teraz w całości w *My*, ale jest też

sobą, nami. Język nie jest tak przejrzysty, ale czasami możemy być znani. Jeśli mamy szczęście.

Uboczne, migotliwe zapytanie, nieskończone ciekawość, pragnienie i sięganie, które jest *My*, myśli bez języka: Pokaż nam!

Na Peloa-2, pośród pustynnej nocy, czekając na wahadłowiec, który zabierze jego ciało do bardziej odpowiedniego środowiska, to, co zostało z Dwadzieścia Cykady, siada ze skrzyżowanymi nogami na piasku i zaczyna próbować.

Słownik osób, miejsc i przedmiotów

Aglomeracja Dzwonów — Prowincja Miasta, podzielona na liczne dzielnice. Na przykład Aglomeracja Dzwonów Jeden jest „zbiorową sypialnią” dla Teixcalaanlitzlim, którzy nie chcą bądź nie mogą mieszkać w Prowincji Wewnętrznej, a Aglomeracja Dzwonów Sześć pełna jest przestępczości, tłoku na drogach i ubogich mieszkańców.

ahachotiya — Napój alkoholowy produkowany ze sfermentowanych owoców, popularny w Mieście.

Ajaks Kerakel — Trzeci analityk systemów podtrzymywania życia na Stacji Lsel.

Aknel Amnardbat — Radczyni dziedzictwa, jedna z sześciu członków Rady Rządzącej Lsel; odpowiedzialna za maszyny imago, pamięć i promocję kultury.

amalitzli — Teixcalaanlijski sport. Gra toczy się na glinianym boisku. Rywalizujące drużyny próbują wprowadzić gumową piłkę do małej bramki za pomocą bezpośrednich rzutów, odbić lub rykoszetów. Popularne są też wersje gry przystosowane do warunków niskiej grawitacji bądź nieważkości.

Aragh Chtel — Stacyjna pilotka przydzielona do rekonesansu sektorowego.

asekreta — Teixcalaanlijski tytuł funkcjonariusza Ministerstwa Informacji pozostającego w czynnej służbie.

blask gwiazd — „Trunek cesarzy”, destylowany napój alkoholowy produkowany z pszenicy, tradycyjnie spożywany podczas oficjalnych posiłków Floty.

Brama Anhamemat — Jedna z dwóch bram skokowych w Sektorze Bardzravand. Prowadzi z przestrzeni stacyjnej do ubogiego w zasoby obszaru, którego obecnie nie kontroluje żadna znana siła. Potocznie zwana „Daleką Bramą”.

Budynki (poemat epicki) — Poemat ekfrastyczny opisujący sławne architektoniczne cuda Miasta. Często uczy się go dzieci w szkołach.

„Ciężarek u Koła” — Okręt klasy „Wieczny”. Flagowy okręt Dziesiątego Legionu.

cuecuelihui — Teixcalaanlijski stopień wojskowy specjalistów niebędących oficerami.

Czerwone pąki dla Trzydzieści Wstążki — Teixcalaanlijski romans.

Czterdzieści Tlenek — Kapitan floty Siedemnastego Legionu, okręt flagowy „Mieniące się Sirocco”. Służy w teixcalaanlijskiej grupie operacyjnej wysłanej za bramę Anhamemat, by prowadzić wojnę z nieznanym nieprzyjacielem.

Czterdzieści-Pięć Zachód-Słońca — Adiutant Jej Promienności Cesarz Dziewiętnaście Ciesak.

Czterdzieści-Pięć Zmierzch — Młodszy asystent Jej Promienności Cesarz Dziewiętnaście Ciesak.

Czternaście Iglica — Współczesna teixcalaanlijska poetka o niezbyt wysokiej renomie.

Czternaście Kolec — Członkini załogi zwiadowczej kanonierki „Dziewięte Kwitnienie Ostrza Noża”, tłumaczka i specjalistka od przesłuchań. Służy w Dziesiątym Legionie w stopniu *cuecuelihui*.

Czternaście Skalpel — Autor poematu *Enkomion dla poległych na okręcie flagowym „Dwanaście Otwierający-Się-Kwiat-Lotosu*.

Cztery Aloes — Obecna minister informacji.

Cztery Dźwignia — *Protospathat* pracujący dla Ministerstwa Sprawiedliwości jako ekspert od sekcji zwłok.

Cztery Jawor — Reporter zatrudniony przez Kanał Ósmy!

Cztery Krokus — Pilotka Odprysku. Służy w Drugim Legionie.

Darj Tarats — Radca górników, członek rady Rządzącej Lsel; odpowiedzialny za wydobywanie zasobów, handel oraz siłę roboczą.

Dava — Niedawno anektowana przez Imperium Teixcalaanlijskie planeta, sławna ze swej szkoły matematycznej.

Dekakel Onchu — Radczyni pilotów, jedna z sześciu członków Rady Rządzącej Lsel; odpowiedzialna za obronę militarną, eksplorację i nawigację.

Druga Dłoń — Jedna z gałęzi Ministerstwa Wojny. Linie zaopatrzenia i logistyka.

Dwa Cytryna — Obywatelka Teixcalaanu.

Dwa Kalendarz — Znany poeta dworski na dworze Jego Promienności Cesarza Sześć Kierunku.

Dwa Kanał — Kapitan floty Szóstego Legionu. Członek teixcalaanlijskiej grupy

operacyjnej wysłanej za bramę Anhamemat, by prowadzić wojnę z nieznanym nieprzyjacielem.

Dwa Kartograf — Syn Pięć Agat. Ma siedem lat. Niekiedy zwany Mapą.

Dwa Krzywa-Łańcuchowa — Dyrektor do spraw etyki medycznej Szpitala Klinicznego imienia Dwanaście Rozbłysk-Słoneczny. Autor komentarza do *Listów z nieodgadnionej granicy Jedenaście Tokarki*.

Dwa Kyanit — *Ixplanatl*, naczelnny badacz kierujący zespołem pracującym nad *Raportem o interfejsach człowiek-algorytm: zastosowania militarne*.

Dwa Opuncja — Pierwszy Teixcalaanlitzlim, który zginął, nosząc mundur Dziesiątego Legionu.

Dwa Palisander — Była minister informacji.

Dwa Piana — Oficer łącznościowy na pokładzie „Ciężarka u Koła”. Służy w Dziesiątym Legionie. Niekiedy zwana Bąbelkami, ale nigdy przy niej.

Dwa Plama-Słoneczna — Historyczny cesarz Teixcalaanu, który wynegocjował traktat z Ebrekti.

Dwa Szarłat — Historyczny *ezuazuacat*, służący cesarz Dwanaście Rozbłysk-Słoneczny.

Dwadzieścia Cykada — Pierwszy *ikantlos* na okręcie flagowym Dziesiątego Legionu „Ciężarek u Koła”. Wyznawca kultu homeostatu. Niekiedy zwany Rojem.

Dwadzieścia Dwa Nić — Piąty podsekretarz Ministerstwa Wojny. Piąta Dłoń.

Dwadzieścia-Cztery Róża — Autorka teixcalaanlijskich przewodników dla podróżnych.

Dwadzieścia-Dwa Grafit — Asystent Jej Promienności Cesarz Dziewiętnaście Ciesak.

Dwadzieścia-Dziewięć Infograf — Funkcjonariusz Ministerstwa Sprawiedliwości.

Dwadzieścia-Dziewięć Most — Obecny Strażnik Cesarskiego Kałamarza, służy Jej Promienności Cesarz Dziewiętnaście Ciesak.

Dwanaście Azalia — Funkcjonariusz Ministerstwa Sprawiedliwości. Przyjaciół Trzy Trawy-Morskiej. Niekiedy zwany Płatkiem. Nie żyje.

Dwanaście Fuzja-Jądrowa — Pierwszy *ikantlos* na pokładzie okrętu flagowego

„Kompresja Paraboliczna”. Służy w Dwudziestym Czwartym Legionie, adiutant kapitan floty Szesnaście Wschód-Księżycy.

Dwanaście Średniówka — Kapitan teixcalaanlijskiego okrętu „Pryzmat Odbijający”. Służy w Dziesiątym Legionie.

Dziesięć Perła — Obecny minister nauki.

„**Dziewiąte Kwitnienie Ostrza Noża**” — Kanonierka z Dziesiątego Legionu.

Dziewięć Hibiskus — Kapitan floty Dziesiątego Legionu, okręt flagowy „Ciężarek u Koła”. Niekiedy zwana bohaterką Kauraanu. *Yaotlek* teixcalaanlijskiej grupy operacyjnej wysłanej za bramę Anhamemat, by prowadzić wojnę z nieznanym nieprzyjacielem.

Dziewięć Karmazyn — Postać z teixcalaanlijskiej historii, *yaotlek* Trzeciego, Dziesiątego i Osiemnastego Legionu floty, żyjący około pięciuset lat temu.

Dziewięć Kukurydza — Znany nadworny poeta na dworze Jego Promienności Cesarza Sześć Kierunku.

Dziewięć Lód-Morski — Oficer łącznościowy na „Mieniącym się Sirocco”. Służy w Siedemnastym Legionie.

Dziewięć Napęd — Była minister wojny, przeszła w stan spoczynku.

Dziewięć Powódź — Postać z teixcalaanlijskiej historii, cesarz z czasów, gdy Teixcalaan nie był jeszcze kosmiczną potęgą.

Dziewięć Sklepienie-Łukowe — Była dziewczyna Trzy Trawy-Morskiej.

Dziewięć Wahadłowiec — Gubernator planety Odile-1, niedawno przywrócony na tę pozycję po stłumieniu powstania.

Dziewięćdziesiąt Stop — Teixcalaanlijski holoserial. Romans militarny.

Dziewiętnaście Ciesak — Jej Promiennosc cesarz. Ta, Której Łaskawa Obecność Rozświetla Salę Jak Błysk Ostrza Noża.

Dzoh Anjat — Pilotka ze Stacji Lsel.

Ebrekt/Ebrekti — Ebrekti (liczba pojedyncza „Ebrekt”) to gatunek czworonożnych drapieżników. Podstawę ich społeczeństwa stanowi struktura zwana „gonem”, przypominająca stado lwów. Teixcalaanlijski cesarz Dwa Plama-Słoneczna

czterysta lat temu (według kalendarza teixcalaanlijskiego) wynegocjował z nimi trwały traktat pokojowy, jasno definiujący strefy wolne od rywalizacji.

Esharakir Lrut — Fikcyjna postać w lselskiej powieści graficznej *Niebezpieczna granica!*

Esker-1 — Planeta w Łuku Zachodnim Teixcalaanu, słynąca z chóralnego śpiewu.

ezuazuacat — Członek osobistej rady cesarza, tytułowany „Ekscelencją”. Wywodzi się od nazwy grupy zaprzysiężonych cesarzowi wojowników z czasów, gdy Imperium ograniczało się do jednej planety.

Gelak Lerants — Członek Lselskiego Komitetu Dziedzictwa, ciała zajmującego się przyznawaniem licencji.

Gienah-9 — W większej części pokryta pustynią planeta anektowana przy użyciu wielkich sił, przy poważnych stratach w ludziach przez Teixcalaan, a następnie utracona w wyniku rebelii, ponownie anektowana i spacyfikowana. Popularne miejsce akcji militarnych dramatów.

Gorlaeth — Ambasadorka Davy w Teixcalaanie.

„Grynszpanowy Płaskowyż” — Teixcalaanlijski okręt przydzielony do Trzeciego Legionu.

Historia ekspansji — Dzieje rozrostu Imperium Teixcalaanlijskiego, przypisywane Trzynaście Rzece (tę teorię obalono; współcześnie teixcalaanlijscy literaturoznawcy uważają, że autorem była nieznana osoba, którą nazywają Pseudo-Trzynaście Rzeką).

Historia przyszłości napisana przez pilota: statki-światy i Stacja Lsel — Popularna książka historyczna napisana przez emerytowanego stacyjnego pilota Takana Mnala.

huitzahuitlim — „Pałacowe kolibry”, gatunek ptaków żywiący się nektarem kwiatów.

ikantlos — Stopień wojskowy w teixcalaanlijskiej flocie. *Ikantlos* z reguły dowodzi grupą bojową wchodzącą w skład legionu.

imago — Żywy zapis pamięci przodków.

Imperialny Urząd Cenzorski — Dział teixcalaanlijskiego rządu decydujący, które przekazy będą mogły trafić do których części Imperium.

infofiszka — Kawałek elastycznego, składanego, przezroczystego plastiku, mogący

wyświetlać obrazy i tekst. Nadaje się do wielokrotnego użytku.

infoplachta — Gazeta zrobiona z infofizykowego plastiku.

ixhui — Pieróg z mięsem.

ixplanatl — Każdy licencjonowany teixcalaanlijski uczonec, czy to zajmujący się fizyką, biologią i chemią, czy naukami społecznymi.

„Jaśminowe Gardło” — Teixcalaanlijski statek zaopatrzeniowy klasy „Sukurs”.

Jeden Błyskawica — Były *yaotlek* teixcalaanlijskiej floty, w służbie Jego Promienności Cesarza Sześć Kierunku, darzony wielkim poważaniem przez żołnierzy. Pokonany uzurpator.

Jeden Cyklamen — Drugi podsekretarz z Wydziału Epistolografii Ministerstwa Informacji.

Jeden Granit — Legendarna pierwsza *ezuazuacat* Pierwszego Cesarza.

Jeden Iglak — Teixcalaanlijski obywatel zatrudniony w Oddziale Północno-Wschodnim Centralnego Zarządu Podróży.

Jeden Lazuryt — Dawny cesarz Teixcalaanu, panujący przed cesarzem Dwanaście Rozbłysk-Słoneczny.

Jeden Teleskop — *Ezuazuacat* sprzed około dwustu lat. Pomnik upamiętniający jej czyny stoi w centralnym węźle transportowym Prowincji Wewnętrznej.

Jeden Winda-Orbitalna — Sławny teixcalaanlijski poeta. Jego utwory często są lekturą szkolną.

Jedenaście Chmura — Pokonana uzurpatorka, która próbowała obalić Dwa Plamę-Słoneczną czterysta lat temu (według kalendarza teixcalaanlijskiego).

Jedenaście Iglak — Patrycjusz trzeciej kasy, po honorowej służbie w teixcalaanlijskiej flocie przeszedł w stan spoczynku w stopniu trzeciego *podikantlosa*. Nie żyje.

Jedenaście Tokarka — Teixcalaanlijski poeta i filozof, najlepiej znany ze swego dzieła *Listy z nieodgadnionej granicy*.

Jedenaście Wawrzyn — Trzeci podsekretarz w Ministerstwie Wojny. Trzecia Dłoń. Niekiedy zwany Wieńcem.

Jirpardz — Pilot ze Stacji Lsel.

Kamchat Gitem — Pilot ze Stacji Lsel.

Kapitan Cameron — Fikcyjny bohater lselskiej powieści graficznej *Niebezpieczna granica!*

Kauraan — Zamieszkana planeta w Układzie Kauraan. Teixcalaanlijska kolonia, na której niedawno doszło do nieudanej rewolty.

Klejnót Świata — Potoczna (i poetycka) nazwa Miasta-Planety.

„Kompresja Paraboliczna” — Okręt klasy „Wieczny”. Okręt flagowy Dwudziestego Czwartego Legionu.

Kosmoport Prowincji Wewnętrznej — Największy port kosmiczny w Mieście.

„Krwawe Żniwo Intronizacji” — Teixcalaanlijski okręt wojenny klasy „Pożeracz”.

kult homeostatu — Pogardliwa nazwa tradycyjnej neltocańskiej praktyki religijnej, polegającej na homeostatycznej medytacji.

kumkwat — Napój alkoholowy. Nie zaleca się jego spożycia. (Nie mylić z owocem, którego spożycie można zalecić).

łącze chmurowe — Przenośne urządzenie zakładane na oko, umożliwiające Teixcalaanlitzlim dostęp do mediów elektronicznych, wiadomości, komunikacji itd. Służy też jako urządzenie zabezpieczające oraz klucz otwierający drzwi i pozwalający wchodzić do budynków, a także do lokalizacji satelitarnej.

Łuk Zachodni — Ważny i bogaty sektor Teixcalaanu. Działają w nim bogate koncerny handlowe.

Mahit Dzmare — Obecna ambasadorka Stacji Lsel w Teixcalaanie.

Mgła — Siły policyjne Ministerstwa Sprawiedliwości.

Miasto — Planetarna stolica Teixcalaanu.

„Mieniące się Sirocco” — Okręt klasy „Wieczny”, okręt flagowy Siedemnastego Legionu.

Nakhar — Układ planetarny kontrolowany przez Teixcalaan, do niedawna skłonny do okresowych rebelii, powstań oraz niepokojów.

Nguyen — Złożona z wielu układów planetarnych konfederacja położona blisko przestrzeni stacyjnej. Stacyjni zawarli z nią umowę handlową.

Niebezpieczna granica! — Powieść graficzna w dziesięciu tomach, opublikowana przez PRZYGODY/SMUTKI, małe wydawnictwo ze Stacji Lsel.

Odile — teixcalaanlijski układ planetarny, w którym niedawno doszło do niepokojów i powstania.

Odprysk — Teixcalaanlijski jednoosobowy myśliwiec, pilotowany za pomocą biofeedbacku i łącza chmurowego.

Osiem Antidotum — Dziewięćdziesięcioprocentowy klon Jego Promienności Cesarza Sześć Kierunku. Dziedzic teixcalaanlijskiego tronu słonecznych włóczni. Ma jedenaście lat.

Osiem Pętla — Teixcalaanlijska minister sprawiedliwości. Ochronkowa siostra Jego Promienności Cesarza Sześć Kierunku.

Osiem Scyzoryk — Pracownik Ministerstwa Informacji.

Osiemdziesiąt-Cztery Zmierzch — Kapitan statku zwiadowczego „Róża Grawitacji”. Służy w Dziesiątym Legionie.

Osiemnaście Dłuto — Główny oficer nawigacyjny na „Ciężarku u Koła”.

Osiemnaście Grawitacja — Kapitan „Splotu z Kwiatów”.

Osiemnaście Koral — Teixcalaanlijska artystka, znana głównie z mozaik.

Osiemnaście Turbina — *Ikantlos*, obecnie dowodzący Dziewiątą Grupą Bojową Dwudziestego Siódmego Legionu.

osm — Cenny metal, często znajdujący w planetoidach. Jeden z podstawowych towarów eksportowych Stacji Lsel.

„Osmalony Fragment Porcelany” — Krążownik o obniżonej wykrywalności klasy „Tefra”, przydzielony do Dwudziestego Czwartego Legionu.

Patrycjusz (pierwszej, drugiej albo trzeciej klasy) — Rangi teixcalaanlijskich dworzan, odpowiadające wysokości pensji, jaką otrzymują oni z cesarskiego skarbcza.

Peloa-2 — Teixcalaanlijska kolonia górnicza. Eksportuje krzemiany.

Piąta Dłoń — Jedna z gałęzi Ministerstwa Wojny, odpowiedzialna za badania i rozwój.

Pierścień Drugi — Nazwa prowincji Miasta oddalonych od pałacu o więcej niż pięćset, ale mniej niż tysiąc kilometrów. Określenie wywodzące się ze slangu Ministerstwa Informacji.

Pieśń żałobnicza — Cykl teixcalaanlijskich pieśni upamiętniający czyny Pierwszego

Cesarza. Przekazywano ją ustnie i istnieje ponad tysiąc różnych wersji.

Pięć Agat — *Ezuazuacat* Jej Promienności Cesarz Dziewiętnaście Ciesak.

Pięć Diadem — pseudonim literacki sławnej teixcalaanlijskiej historyczki i poetki Pięć Kapelusz.

Pięć Igła — Postać z teixcalaanlijskiej historii, bohaterka historycznej powieści dla dzieci, w której była ochronkowaną siostrą przyszłej cesarz Dwanaście Rozbłysk-Słoneczny.

Pięć Oset — Główny oficer służący na stanowisku broni na „Ciężarku u Koła”

Pięć Portyk — Mechaniczka zajmująca się między innymi ciałami i mózgami. Mieszka w Aglomeracji Dzwonów Sześć.

Piętnaście Kalcyt — Pilot Odprysku. Służy w Dziesiątym Legionie.

Piętnaście Silnik — Dawny łącznik kulturowy ambasadora Yskandra Aghavna. Zabity w zamachu terrorystycznym podczas powstania poprzedzającego wstąpienie na tron Jej Promienności Dziewiętnaście Ciesak.

Piętnaście Tona — *Ixplanatl*, członek zespołu badawczego pracującego nad *Raportem o interfejsach człowiek-algorytm: zastosowania militarne*.

Poematy o otwieraniu granicy — Wybór poezji wielu autorów, popularny we Flocie.

porażacz — Elektryczna broń używana w Teixcalaanie głównie do panowania nad tłumem.

Północ Tlachtli — Dzielnica w Prowincji Wewnętrznej.

Prowincja Topola — Jedna z prowincji położonych najdalej od Prowincji Wewnętrznej Miasta. Leży za oceanem.

Prowincja Wewnętrzna — Centralna prowincja Miasta, w której znajdują się gmachy rządowe i główne ośrodki kultury.

„Pryzmat Odbijający” — Teixcalaanlijski okręt przydzielony do Dziesiątego Legionu, dowodzony przez Dwanaście Średniówkę.

Pseudo-Trzynaście Rzeka — Nieznany autor *Historii ekspansji*, który podpisywał się „Trzynaście Rzeka”, mimo że nie był ministrem sprawiedliwości o tym samym imieniu, którego traktaty o sprawiedliwości retribucyjnej po dziś dzień studiuje się w teixcalaanlijskich szkołach prawniczych.

Punkt podparcia — Pierwsza z serii popularnych teixcalaanlijskich powieści napisanych przez Pięć Włócznie, autora urodzonego w Łuku Zachodnim.

„Róża Grawitacji” — Statek zwiadowczy przydzielony do Dziesiątego Legionu. Jego dowódcą jest Osiemdziesiąt-Cztery Zmierzch.

Sektor Bardzravand — Sektor znanej przestrzeni, w której znajduje się Stacja Lsel i inne Stacje. (Wymowa stacyjna).

Sektor Parzrawantlak — Teixcalaanlijska nazwa Sektora Bardzravand.

Shrja Torel — Obywatelka Stacji Lsel. Przyjaciółka Mahit Dzmare.

Siedem Aster — Drugi podsekretarz Ministerstwa Wojny. Druga Dłoń.

Siedem Chryzopraz — Reporter pracujący dla Kanału Ósmego!

Siedem Monograf — Czwarty podsekretarz Ministerstwa Wojny.

Siedem Podziałka — Młodszy rangą asystent Jej Promienności Cesarz Dziewiętnaście Ciesak.

Słońca Imperium — Policja Miasta.

„Splot z Kwiatów” — Teixcalaanlijski statek zaopatrzeniowy zajmujący się przewozem artykułów medycznych. Jego bazą jest Kosmoport Prowincji Wewnętrznej.

Stacja Lsel/Stacyjni — Ludzie mieszkający na stacjach górniczych w Sektorze Bardzravand. Nie mają własnej planety.

Stacja Xelka — Teixcalaanlijska placówka wojskowa.

Strażnik Cesarskiego Kałamarza — Tytuł urzędnika odpowiedzialnego za harmonogram cesarskich audiencji i pełniącego obowiązki szambelana.

Szalony od Horyzontów — Teixcalaanlijski krążownik klasy „Triumf”. Przydzielony do Drugiego Legionu.

Szesnaście Filc — *Ixplanatl*, członek zespołu badawczego pracującego nad *Raportem o interfejsach człowiek-algorytm: zastosowania militarne*.

Szesnaście Wschód-Księżycyca — Kapitan floty Dwudziestego Czwartego Legionu, okręt flagowy „Kompresja Paraboliczna”. Służy w teixcalaanlijskiej grupie operacyjnej wysłanej za bramę Anhamemat, by prowadzić wojnę z nieznanym nieprzyjacielem. Czasami zwana Wzejściem.

Sześć Helikopter — Były teixcalaanlijski biurokrata.

Sześć Kierunek — Jego Promienność Panujący Cesarz Całego Teixcalaanu.

Sześć Opad-Deszczu — Kadet medyczny na pokładzie „Ciężarka u Koła”. Służy w Dziesiątym Legionie.

Sześć Rozpostartych Dłoni — Potoczna (albo poetycka) nazwa Ministerstwa Wojny. Symbolizuje sześć dłoni wyciągających się we wszystkich kierunkach (północ, południe, zachód, wschód, góra, dół) — symbol typowy dla teixcalaanlijskiej teorii podboju.

„Szkłany Klucz Inskrypcji” — Okręt flagowy Teixcalaanlijskiego cesarza Dwa Plamy-Słonecznej.

Szkłany klucz — Teixcalaanlijski seryjny holodramat, opisujący historię cesarza Dwa Plamy-Słonecznej oraz niedoszłej uzurpatorki Jedenaście Chmury. Uznany za odpowiedni dla szkół ochronkowych.

Szósta Dłoń — Gałąź Ministerstwa Wojny. Inżynieria i budowa okrętów.

szyft infofiszkowy — Pojemnik wielkości ludzkiego kciuka, często spersonalizowany, zawierający holograficzny obraz przekazu, który pokazuje się po tworzeniu szyftu. Może też zawierać fizyczną infofiszkę.

„Śniąca Cytadela” — Okręt z Dziesiątego Legionu.

Światło naszych gwiazd: opisanie synkretycznych form religijnych występujących w Teixcalaanie — Akademicka monografia autorstwa teixcalaanlijskiego historyka Osiemnaście Dymu.

Świt ze zbierającymi się chmurami — Teixcalaanlijski seryjny holodramat, opisujący historię cesarza Dwa Plamy-Słonecznej oraz niedoszłej uzurpatorki Jedenaście Chmury.

Tajna historia cesarzy — Sławna (i skandalizująca) anonimowa kronika opiewająca życie wielu teixcalaanlijskich cesarzy. Często aktualizowana, ale nigdy nie imitowana.

Teixcalaan — Imperium, świat, identyczny ze znanym wszechświatem. (Forma przymiotnikowa „teixcalaanlijski”, osoby będące obywatelami Teixcalaanu nazywa się „Teixcalaanlitzlim”).

teixcalaanlijski — Język, którym mówi się w Teixcalaanie.

tlauxlalim — Licencjonowany księgowy albo finansista w Teixcalaanie.

Tonący złocień — Teixcalaanlijski holodramat. Obecnie nadaje się piąty sezon.

Trzecia Dłoń — Gałąź Ministerstwa Wojny. Bezpieczeństwo, oficerowie polityczni i sprawy wewnętrzne.

Trzy Azymut — Minister wojny. Potocznie zwana „rzeźniczką nakharskich umysłów”.
Ta, która roznieca wrogość w najwierniejszych sercach.

Trzy Blask-Lampy — Funkcjonariusz Ministerstwa Sprawiedliwości.

Trzy Nasturcja — Teixcalaanlijski obywatel, Inspektor Centralnej Światowej Kontroli Ruchu w Kosmoporcie Prowincji Wewnętrznej.

Trzy Perycentrum — Dawny cesarz Teixcalaanu.

Trzy Sumak — Kapitan floty w Dwudziestym Szóstym Legionie.

Trzy Trawa-Morska — Trzeci podsekretarz Ministerstwa Informacji, była łączniczka kulturowa Mahit Dzmare, lselskiej ambasadorki, czasami zwana Trzcina.

Trzydzieści-Jeden Zmierzch — Pracownik Ministerstwa Informacji zatrudniony w Departamencie Epistolografii.

Trzydzieści Ostróżka — Ten, Który Zalewa Świat Kwiatami, dawniej eden z *ezuazuacatlim* Sześć Kierunku, wywodzi się z bogatej rodziny kupieckiej w Łuku Zachodnim, pokonany uzurpator.

Trzydzieści Woskowa-Pieczęć — Kapitan kanonierki „Dziewiąte Kwitnienie Ostrza Noża”. Służy w Dziesiątym Legionie.

Trzydzieści-Sześć Wszędołaz-Tundrowy — Teixcalaanlijski obywatel.

Trzyście Mion — Specjalista od inżynierii. Służy w Drugim Legionie.

Tsagkel Ambak — Negocjatorka i dyplomatka ze Stacji Lsel. Sformalizowała aktualnie obowiązujący traktat między Stacją Lsel a Imperium Teixcalaanlijskim.

Układ Neltoc — Teixcalaanlijski układ planetarny o trzech zamieszkałych ciałach niebieskich: planetach Neltoc i Pozon oraz księżycu Sepiri. Neltocanie praktykują oficjalnie zarejestrowaną tradycję religijną znaną jako „medytacja homeostatyczna”.

Uniwersalny Kolaps — Teixcalaanlijski zespół muzyczny, grający w stylu multiharmonicznym.

Verashk-Talay — Obejmująca kilka układów planetarnych oraz sektorów konfederacja posiadająca pewne wpływy za Bramą Anhamemat. Składa się z dwóch odrębnych grup ludności, Verashków i Talayów. Każda z nich posługuje się własnym językiem. Najwyraźniej rozwiązały konflikty o zasoby dzięki przyjęciu jakiejś formy demokracji przedstawicielskiej.

xauitl — Kwiat.

yaotlek — Stopień wojskowy w teixcalaanlijskiej flocie, dowódca co najmniej jednego legionu.

Yskandr Aghavn — Były ambasador Stacji Lsel w Teixcalaanie.

Zaginiony Ogród — Restauracja na Czwartym Placu Północnym, słynąca z dań typowych dla kuchni zimnego klimatu.

Zapiski z początków Lsel — Zbiór dokumentów oraz relacji z początków dziejów Stacji Lsel. Niekompletny i pełen sprzeczności, ale bardzo wysoko ceniony.

Zorai — Ojczysta planeta byłej minister wojny Dziewięć Napęd.

O wymowie i pisowni języka teixcalaanlijskiego

Język teixcalaanlijski jest logosylabiczny, zapisuje się go znakami, reprezentującymi zarówno swobodne, jak i związane morfemy. Teixcalaanlijskie znaki mogą również reprezentować fonemy, z reguły pochodzące od wymowy dawnego morfemu, który utracił pierwotny sens, stając się czystym fonemem. Z uwagi na logosylabiczny charakter języka łatwo można uzyskać podwójne albo potrójne znaczenia. Pojedyncze znaki mogą być wizualnymi grami słownymi albo sugerować znaczenia niekoniecznie powiązane z dosłownym sensem morfemów. Tego typu gry słowne — zarówno wizualne, jak i słuchowe — mają wielkie znaczenie dla imperialnej literatury.

Język teixcalaanlijski jest bogaty w samogłoski i ma ograniczoną liczbę spółgłosek. Niżej zamieszczono krótki słownik wymowy (ze znakami z Międzynarodowego Alfabetu Fonetycznego).

a — **ɑː** — długie „a”

e — **ɛ** — krótkie „e”

o — **oʊ** — jak polskie „oł”

i — **i** — krótkie „i”

u — **u** — długie „u”

aa — **ɑːɑː** — teixcalaanlijskie „aa” jest chronemem, wydłuża dźwięk „a”, nie zmieniając jego wymowy

au — **aʊ** — jak polskie „ał”

ei — **eɪ** — jak polskie „ej”

ua — **wa** — jak polskie „ła”

ui — **wi** — jak w słowie „weekend”

y — **j** — jak polskie „j”

c — k — zawsze jak polskie „k”
h — h — jak polskie „ch”
k — kh — jak „k” z wyraźnym przydechem
l — ʎ — jak w angielskim słowie „bell”
m — m — jak polskie „m”
n — n — jak polskie „n”
p — p — jak polskie „p”
r — r — jak amerykańskie „r”
s — s — jak polskie „s”
t — th — jak „t” z wyraźnym przydechem
x — ks — jak polskie „ks”
z — z — jak polskie „z”
ch — tʃ — jak polskie „cz”, nieco zmiękczone

Jednakże w częstych w języku teixcalaanlijskim zbitkach spółgłoskowych „t” nierzadko jest wymawiane bez przydechu, jak polskie „t”, a „l” jak polskie „l”. W teixcalaanlijskim często się spotyka pożyczki z innych języków. Wymawiając słowa wywodzące się z języków bogatszych w spółgłoski, rodzimi użytkownicy teixcalaanlijskiego często ubezdźwięczniają nieznanome spółgłoski, np. „b” przechodzi w „p”, a „d” w „t”.

O języku używanym na stacji Lsel i innych stacjach Sektora Bardzravand

W przeciwieństwie do teixcalaanlijskiego język, którym mówi się na stacjach w Sektorze Bardzravand, posługuje się alfabetem i jest bogaty w spółgłoski. Rodzimym użytkownikom języka stacyjnego łatwiej jest nauczyć się teixcalaanlijskiej wymowy niż na odwrót. (Jeśli ktoś chce spróbować nauczyć się na własną rękę prawidłowej wymowy stacyjnego, mając za wzór tylko ziemskie języki, dobrym przykładem będzie współczesna wymowa wschodnioormiańska).

Podziękowania

Powszechnie uważa się, że drugą powieść znacznie trudniej napisać niż pierwszą. Pomimo mojej zuchwałości i pełnych determinacji zapewnień kierowanych między innymi do mojego agenta, redaktorki oraz innych pisarzy, których z dumą zwę przyjaciółmi, a także do mojej żony, ta książka nie okazała się wyjątkiem. Zuchwałość i determinacja nie wystarczą w konfrontacji ze stu pięćdziesięcioma tysiącami słów, deadline'em oraz ciężarem świadomości, że choć raz mi się udało, przy każdej nowej powieści muszę od nowa uczyć się pisania powieści.

Nadal się tego uczę.

I będzie tak, dopóki będę miała przywilej ich tworzenia. Mówię to nie z rezygnacją, lecz raczej z zachwycającą, z trudem zdobytą satysfakcją. Mam nadzieję, że gdy za piętnaście lat przeczytam te podziękowania, będę się śmiała, widząc, jak mało wtedy wiedziałam i jak wiele się od tego czasu nauczyłam. Liczę też na to, że czytelnicy odniosą podobne wrażenie. W pierwszej kolejności dziękuję wszystkim, którzy przeczytali *Pamięć zwaną Imperium*, pokochali ją i zapewnili jej sukces. Bez was nie miałabym powodu, by kontynuować opowieść o Mahit. Jestem wam głęboko wdzięczna.

Wyrażam też nieskończoną wdzięczność grupie osób, do których kierowałam swą zuchwałość i zapewnienia.

Są wśród nich moi drodzy przyjaciele: Elizabeth Bear, która pragnie, bym stała się lepszą pisarką, niż teraz, a także głębiej poznała etykę i psychologię postaci. Jej przyjaźń jest dla mnie zaszczytem i punktem oparcia; Devin Singer, która powiedziała mi, że świetnie mi wyszło, w chwili, gdy potrzebowałam tych słów; Marissie Lingen, która napisała mi w esemesie „RÓJ jest świetny”, co udowodniło mi, że moja książka budzi u czytelników emocje, jakie pragnęłam przekazać; Maxowi Gladstone'owi, który kiedyś

rozmawiał ze mną o buddyjskiej etyce tak długo, że na moment zrozumiałam jej podstawy, a następnie napisał książkę (*Empress of Forever*, którą szczerze wam polecam, o czytelnicy, którzy zdołaliście dobrać tak głęboko w podziękowania), dzięki której uwierzyłam w sens opisywania dramatycznych bitew w kosmosie; oraz całej reszcie zoo i moim drogim agentom. Jest ich zbyt wielu, bym zdołała tu wszystkich wymienić, a boję się, że mogłabym pominąć kogoś ważnego. Dziękuję wam wszystkim, jesteście społecznością, jakiej zawsze dla siebie szukałam.

(Krótkie podziękowania należą się również Scottowi i Anicie z podcastu *The Read-Along*, którzy czystym przypadkiem uratowali mnie przed zawstydzającym błędem ciągłości; Davidowi Bowlesowi, który rozmawiał ze mną o języku nahuatl i wiele mnie o nim nauczył; oraz Rebecce Roanhorse, która gorąco popierała tę książkę, zanim jeszcze ją przeczytała).

Dziękuję również DongWon Songowi, mojemu fantastycznemu agentowi, który wierzył, że znajdę właściwą drogę do napisania tej książki, a jednocześnie zapewnił, że promocja pierwszej z nich poszła gładko; Devi Pillai, znakomitej redaktorce, upierającej się, bym zadbała o odpowiedni stosunek akcji do objętości, i — co zdumiewało mnie i przyprawiało o frustrację — zawsze miała rację (tym razem tylko piętnaście tysięcy słów za mało, Devi, uczę się); znakomitemu ilustratorowi Jaime Jonesowi, który najwyraźniej potrafi zajrzeć do mojej głowy, oraz całemu działowi promocji w Tor Books, który tak dobrze się spisał.

Co jednak najważniejsze, nie mogłabym napisać tej książki — ani w ogóle niczego — bez mojej wspaniałej żony Vivian Shaw — konsultantki od statków kosmicznych, tłumaczki światów, pierwszej i najlepszej czytelniczki. Jesteś centrum wszystkich map gwiazdnych, i to nigdy się nie zmieni, kochanie.

Kwiecień, 2020

Santa Fe, stan Nowy Meksyk